

A r k a d i u s z
S t e m p i n

ANGELA
MERKEL

Cesarzowa
Europy

Arkadiusz Stempin

**ANGELA MERKEL
CESARZOWA EUROPY**

WARSZAWA 2014

REDAKTOR: Jolanta Zarembina

KOREKTA: Bartosz Choroszewski

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZART.DESIGN

OPRACOWANIE GRAFICZNE: ProDesGraf – Michał Wastkowski, Elżbieta Wastkowska

FOTOEDYCJA: Maciej Murański

OPRACOWANIE ZDJĘĆ DO DRUKU: Małgorzata Charewicz-Mostowska

Okładka: archiwum prywatne Angeli Merkel/East News

Zdjęcie autora: Agata Janiszewska/Agencja Gazeta

REDAKTOR NACZELNY: Paweł Goźliński

PRODUCENCI WYDAWNICZY: Małgorzata Skowrońska, Robert Kijak

KOORDYNACJA PROJEKTU: Joanna Cieślowska

© Copyright 2014 by Arkadiusz Stempin

© Copyright 2014 by Agora SA

Wydanie elektroniczne 2014

ISBN: 978-832-681-563-8 (epub)

ISBN: 978-832-681-564-5 (mobi)

WYDAWCA

Agora SA

ul. Czerska 8/10

00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji



Spis treści

Dedykacja

Wstęp

Córka „czerwonego pastora” – dziedzictwo protestanckiego domu

Fizyk władzy

Czy Angela Merkel była agentką Stasi?

Amazonka

Łowczyni męskich głów

Posada kanclerska

Czarna wdowa?

Poskromicielka niemieckiej chadecji

Całkiem zwyczajna kobieta w kolejce do sklepowej kasy

Menedżerka unijnego kryzysu

Cesarzowa Europy i polscy fryzjerzy

Przypisy

Polecamy

Ewie, Liwii i Ronaldowi

Wstęp

„Spieprzaj, dziwko!” – takim hasłem witał Angelę Merkel grecki emeryt, który ze stoickim spokojem stał na drodze jej przejazdu z lotniska do rezydencji premiera Grecji, gdy ta jesienią 2012 roku przybyła do Aten. „Wizyta u greckich przyjaciół”, jak ich Merkel określiła w rozmowie z premierem Antonisem Samarasem, przebiegała pod znakiem osobliwej gościnności gospodarzy. Rodacy ateńskiego emeryta, od miesiący bez emerytury i zasiłków, na powitanie kanclerz Niemiec wyszli z kamieniami w rękach. Co spokojniejsi z plakatami przedstawiającymi „prawdziwe oblicze dostojnego gościa”, a więc wariantowo: z dorobionymi wąsami Hitlera, twarzą dyktatora III Rzeszy lub twarzą zamalowaną czarną swastyką. Zapowiedź Samarasa: „Podejmiemy naszego gościa z największą godnością”, oznaczała nic innego jak konieczność wysłania policji w celu uśmierzenia gniewu demonstrujących przeciwko wizycie, zasnucie nieba policyjnymi helikopterami patrolującymi stolicę kraju czy całkowite wstrzymanie ruchu samochodowego w zakorkowanych zwykle Atenach. Tylko dzięki masowej akcji policji protesty przeciwko „faszystowskiej dyktaturze oszczędnościowej” Angeli Merkel zakończyły się „pokojowym” paleniem jej portretów^[1]. A wszystko dlatego, że w dobie kryzysu euro i zgrzytów w łonie Unii Europejskiej Merkel bankrutowi z południa Europy narzuciła żelazną dyscyplinę budżetową, by kraj topiący pieniądze w świadczeniach socjalnych nie stał się za kilka lat tanim burdelem dla turystów z Chińskiej Republiki Ludowej^[2], jak to prorokuje francuska sława Michel Houellebecq.

Także podczas wizyty w Portugalii na trasie przejazdu „kanclerzyny” rzesze mieszkańców Lizbony wymownie pokazywały jej środkowy palec. Nie inaczej „dostojnego gościa” witano na Cyprze i w Madrycie, gdzie tłumy demonstrantów w gromkim proteście wyległy na ulicę. Merkel mogła do woli kontemplować fotomontaże ze swoim obliczem. A to w mundurze SS, a to w nowym wcieleniu jako okrutnie oszpecony Joker z filmu „Batman”. W Nikozji w jej kierunku wymachiwano transparentami z dosadnym hasłem: „Merkel, twoje pieniądze są bardziej krwawe niż samo pranie brudnych pieniędzy”. W Madrycie transparenty ostrzegały przed „IV Rzeszą kanclerz Merkel”. Owszem, w Grecji afekt antymerkelowski można wytłumaczyć pamięcią Hellenów o bestialstwach Wehrmachtu z lat II wojny światowej. Ale przecież Cypr czy Hiszpania nie zostały zawojowane przez Hitlera. Przez długie dekady po wojnie w milionach turystów z Monachium, Frankfurtu i Stuttgartu widziano pożądane dojne krowy wylegające się na śródziemnomorskich plażach. W hiszpańskich miastach jak grzyby po deszczu wyrastały kolejne Instytuty Goethego. A studenci z Półwyspu Iberyjskiego ochoczo wybierali się na studia nad Renem.

Ale o czym tu mówić, skoro Merkel stała się celem ataków nawet we Włoszech. A, jak wiadomo, relacji niemiecko-włoskich nie obciąża ponura przeszłość. Mussolini był przecież największym sojusznikiem Hitlera. Niemiecki dyktator na swoim biurku trzymał popiersie Duce. Ważniejsze, że po wojnie obydwie kraje łączyły silne więzy kulturalne. Od kontaktów literackich, poprzez sportowe, aż po bezgraniczną miłość Włochów do Mercedesa, Audi czy

Boscha. I odwrotnie, wielki afekt Niemców do włoskiego dolce vita. Dziś każda mniejsza miejscowość w Niemczech może nie mieć klubu piłkarskiego, ale na pewno posiada ze dwie pizzerie. Nie wspominając już o tym, że przez kilka miesięcy w roku co weekend połowa monachijczyków w poszukiwaniu szczęścia ewakuuje się nad jezioro Como. A jeszcze większa armia Niemek rusza na shopping w Mediolanie, kręcąc się po tych wszystkich ubóstwianych przez siebie sklepikach Prady, Dolce Gabbana czy Versace. Ba, sama Merkel rokrocznie spędza urlop na wyspie Ischia, publicznie wyznając miłość do włoskiego stylu życia. Tymczasem gdy kryzys waluty euro rozlał się na Włochy i „kanclerzyca” kurację zaciskania pasa zaordynowała rządowi w Rzymie, gazety z półwyspu uderzyły na alarm, gdyż dostrzegły złowieszcze znaki: nadejście „Quarto Reich”. Komentarze opatrywano zdjęciem pani kanclerz podnoszącej rękę w geście nazistowskiego pozdrowienia. Wraz z podpisem „Heil Angela!”^[3]. Chwilę potem okrzyknięty politycznym trupem ekspremier Berlusconi dzięki kampanii wyborczej wymierzonej w Merkel po ogłoszeniu wyników wyborów mógł otwierać zmrożone szampany. Został przywódcą drugiej siły politycznej w kraju. Pomimo sądowych procesów i afery bunga bunga. A popierany przez Merkel urzędujący premier Mario Monti wybory przegrał z kretesem i musiał posprzątać swoje biurko w Palazzo Chigi.

Nieprzypadkowo więc, gdy w 2013 roku niemiecka szef rządu razem z mężem na Wielkanoc znowu przyleciała na Ischię, miejscowi paparazzi rozpoczęli szaleńcze polowanie, byleby tylko ustrzelić jej wyjątkowo niefortunne zdjęcie. Najlepiej w kostiumie kąpielowym obnażającym niedostatek figury 60-letniej kobiety-polityk. Dopięli swego. Obsesyjni na punkcie bella figura Włosi z rozkosznym uczuciem zemsty oglądali w gazetach fotki najpotężniejszej kobiety świata pluskającej się w Termach Afrodyty, z udami tak solidnymi jak niemiecka gospodarka, bez obowiązującego plec piękną na Półwyspie Apenińskim wcięcia w tali. Zdjęcie obiegiło świat. Włosi wzięli odwet na Merkel. Fotki z basenu miały taką samą wymowę, jakby Paris Hilton przyłapano z wibratorem w rękę. „Doskwiera Ci, Angelo, skwar kryzysu euro?” – dołączył się do antymerkelowskiej kampanii brytyjski „Daily Mail”. W podobny, przyprawiony żółcią ton uderzyły gazety z innych krajów. Nigdzie kanclerski urlop nie wzbudził miłych komentarzy, a osoba kanclerz respektu. Merkel – kozioł ofiarny kryzysu euro?

„To najbardziej niebezpieczny człowiek świata, gorszy od prezydenta Iranu i dyktatora Korei Północnej” – zawyrokował złowieszczo już wcześniej brytyjski magazyn „New Statesman”. I na stronie tytułowej pokazał Merkel w kurtce z czarnej skóry i w masce terminatora^[4]. Na okładkę tego pisma trafiła raz jeszcze, tym razem w towarzystwie Bismarcka i Hitlera. Z kolei amerykański „Newsweek” na stronie tytułowej ostrzegł: „ACHTUNG! It’s Angela!”. Nawet najbardziej zaprzyjaźnieni z Niemcami Francuzi dołączyli do chóru krzykaczy odsądzających Merkel od czci i wiary: Jak ongiś czołgi w rękach Hitlera, tak dziś euro jest orężem w imperialnej polityce pani kanclerz, pohukiwali sąsiedzi zza Renu. Arnaud Montebourg, minister odnowy gospodarczej w rządzie prezydenta François Hollande’a, porównał Merkel do Żelaznego Kanclerza, mało sympatycznego Otto von Bismarcka^[5]. Z kolei grecki magazyn „Crash” na okładce jednego z lipcowych numerów z 2012 roku ubrał ją w więzienny pomarańczowy uniform, jaki po Guantánamo zna pół świata. „Domina Europy, która pejczem okłada unijnych sąsiadów z kontynentu” – ubolewał nad powszechnym wizerunkiem Merkel w Unii Europejskiej komentator z Berlina^[6].

W Polsce nie ma waluty euro, nie ma więc kryzysu eurostrefy. Ale wystarczyło, by państwowa telewizja niemiecka wyemitowała kontrowersyjny serial „Nasze matki, nasi

ojcowie”, który Polaków z lat II wojny przedstawiał jako zatwardziały antysemitów, by kubek pomyj wylać akurat na głowę „kanclerzyny”. Jakby sama go nakręciła. Lub zleciła jego wykonanie, aby pokolenie jej wnuków mogło się uczyć w szkole, „że w 1939 roku Wehrmacht, Gestapo i SS musiały dokonać humanitarnej akcji na terenie Polski”^[7]. Zdjęcie „kanclerzyny” na okładce tygodnika „Uważam Rze” w oświęcimskim pasiaku i obozowej chuście na głowie na tle drutu kolczastego zrobiło w mediach furorę. Zupełnie zignorowano fakt, że szefowa niemieckiego rządu wielokrotnie doceniała wrażliwość Polaków na historię. Czyż nie zaprosiła Lecha Wałęsy jako specjalnego gościa na obchody dwudziestej rocznicy zburzenia muru berlińskiego? Czy sama nie oddała hołdu Polakom na Westerplatte w siedemdziesiątą rocznicę wybuchu II wojny światowej? I czy jako jedyna spośród mężów stanu nie podjęła próby dotarcia samochodem przez pół Europy (z Lizbony, gdzie wylądowała po przylocie z USA, drogą okrężną przez Rzym) do Krakowa na pogrzeb prezydenta Kaczyńskiego, gdy islandzki wulkan spowił kontynent w pyłę i uniemożliwił loty? Tymczasem sporo Polaków widziało w niej sukcesorkę Fryderyka II – tego od rozbiorów – i diabelską kontynuatkę niemieckiego „parcia na Wschód”. Oni nakręcili spiralę antymerkelowskich nastrojów w Polsce. Na tym żyznym podglebiu tygodnik „Wprost” opublikował bulwersujące zdjęcie Merkel jako macochy z przyssaną do piersi dwójką bliźniąt, Lechem i Jarosławem Kaczyńskimi. W ten sposób tygodnik wyraził uczucia tych Polaków, którzy w „kanclerzynie” widzą znieawidzonego polityka rozbijającego jedność kontynentu. I którzy przez ostatnią dekadę dokładali jej za każdą antypolską wypowiedź Eriki Steinbach, choć Merkel odcinała się od szefowej Związku Wypędzonych, by ostatecznie pograć ją w politycznym niebycie.

Angela Merkel budzi skrajne emocje. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że w tej samej Polsce w 2012 roku po raz piąty w sondażu OBOP została najpopularniejszym politykiem zagranicznym, zwyciężając wcześniej w latach 2006, 2007, 2010 i 2011. W ostatniej edycji w pobitym polu zostawiła prezydenta Obamę i premiera Camerona. Z kolei w Niemczech „Żelazna Angela”, owszem, też uchodzi za maciorę Europy, tyle że swoim mlekiem karmiącą bankrutów z południa kontynentu. W latach zawieruchy euro i samej Unii jej rodacy wierzą, że tylko ona przeprowadzi kraj suchą stopą przez fale kryzysu. Dlatego po raz trzeci wybrali supermatkę, jak ją nazywają, na kanclerza. A jej rywalowi z SPD Peerowi Steinbrückowi, którego nie bez racji uważają za pazernego na mamonę, pokazali środkowy palec. Niemcy ponad politycznymi preferencjami popierają politykę kanclerz w kraju, a także wobec UE, USA, Chin czy Rosji Putina^[8].

Putin i Merkel spotykają się na bankiecie. Pani Kanclerz mówi: „Jest wiele sposobów pomnażania zysków, ale tylko jeden uczciwy”. Na to Putin: „Jaki?”. „Aaaa” – odpowiada Merkel i zacięła ręce. „Wiedziałam, że pan go nie zna!”

Kawałów o niej jest w bród. Ich mnogość ilustruje wielką popularność i sympatię, jaką pani kanclerz cieszy się u rodaków. Dowcip z Putinem jak papierek lakmusowy wiernie oddaje jej błyskotliwość, inteligencję i roztropność. A przynajmniej powszechne wśród rodaków uznanie dla analitycznego rozumowania doktor nauk ścisłych. Drugi rodzaj krążących po Niemczech żartów o Merkel na zasadzie przeciwieństwa czyni aluzję do jej rzekomej głupoty i nieudacznictwa.

Dwóch akwizytorów przechwala się strategiami sprzedaży. „Sprzedałem jednej blondynce zmywarkę do naczyń. Kupiła z mety, choć w domu nie ma gniazdka”. „To jeszcze nic” – odpowiada drugi. „Ja Angeli Merkel opchnąłem zegar z kukulką. Razem z 10 kilogramami karmy dla ptaka”.

Wreszcie trzeci typ kawałów tylko pozornie wyśmiewa brak silnej ręki pani kanclerz w rządzeniu. Także wobec własnego gabinetu.

Merkel rankiem truchta do Urzędu Kanclerskiego. Właśnie spadł śnieg. Tuż przed wejściem rzuca się jej w oczy nasikane na świeżym puchu zdanie: „Angie jest głupia”. Wściekła otwiera posiedzenie gabinetu, zaciska jednak zęby i nie mówi nic. Ale na drugi dzień rano ponownie widzi świeżo nasikane zdanie „Angie jest głupia”. Czerwona ze złości wpada na posiedzenie rządu, wali pięścią w stół: „To świństwo! Kto z was to napisał?”. Wszyscy ministrowie chowają głowę w piasek. Drobnutkiej postury minister pracy Ursula von der Leyen bąka: „To nie mogłam być ja”. Po chwili rączkę ostrożnie podnosi szef MSZ Westerwelle: „Nasikałem ja, ale zdanie napisał Helmut Kohl”.

Miernikiem popularności pierwszego w dziejach Niemiec szefa rządu w spódnicy jest jego obecność w popkulturze. Kto chce, może kupić sobie wyciskacz do cytrusów z główką „Angie” za 16,99 euro. Albo komiks o Merkel^[9]. Albo też wycinankę, dobierając pani kanclerz garderobę to do dyskoteki, to na poligon wojskowy, to na spotkanie w domu seniora. Największy zaszczyt przynosi jej jednak obecność w kultowym klubie Barbie. Na 50-lecie najśłynniejszej lalki świata wypuszczono okazji model Merkel-Barbie, oczywiście po uzyskaniu zgody pani kanclerz. Zbieżność wyglądu mini-Merkel z oryginałem sprowadza się do fryzury i fatałaszków, czarnego żakietu z trzema guzikami, spodni, różowej bluzeczki i oczywiście sznura pereł. Twarz i figura z talią osy odpowiadają klasycznej laleczce.

Jak wcześniej w Helmutie Kohlu, tak teraz w Angeli Merkel Niemcy widzą męża stanu. Pod jej „panowaniem” powodzi im się wcale nieźle. Paradoksalnie kryzys Unii Europejskiej i euro wykatapultował ją na lidera Europy. Jeszcze do niedawna tworzyła tandem z prezydentem Sarkozyem. Teraz jest osamotniona. Merkel jako stary wyjadacz na międzynarodowym parkiecie musi współpracować z młodszą generacją polityków. Na światowych szczytach konferuje z kolejnymi prezydentami USA i Chin. W „kółku różańcowym” złożonym ze światowych przywódców jedynie prezydent Putin przewyższa ją stażem jako głowa państwa. Co raczej nie dziwi. Nie dziwi też, że magazyn „Forbes” w dwóch ostatnich latach umieścił „Żelazną Lady” na pierwszym miejscu wśród najbardziej wpływowych kobiet świata.

Kim jest ta tak bardzo kontrowersyjna kanclerz Europy, najbardziej wpływowa kobieta świata, która przed dwoma dekadami była jeszcze enerdowską prowincjuszka? Jak to w ogóle było możliwe, że bojaźliwa doktor fizyki z Berlina Wschodniego i działaczka młodzieżówki komunistycznej w NRD została liderką jednego z kluczowych krajów Zachodu i mężem stanu? W czym przewyższa innych? Na czym polegają strategie przynoszące jej sukces w politycznej dzungli, pełnej szakali i hien? Tropem tych pytań podąża ta opowieść. A pierwszy trop prowadzi do ojca Angeli Merkel.

Córka „czerwonego pastora” – dziedzictwo protestanckiego domu

Od czasów Lutra w domu rodzinnym niemieckiego pastora dzieci wyrastały wśród Bacha, Bölla, Biblii i dominującego ojca, w NRD doszła do tego kontrola państwa. Na podglebiu religijnego wychowania i lęku przed inwigilacją państwa dojrzewały niezwykle przydatne w Urzędzie Kanclerskim cnoty: dyscyplina i dyskrecja.

Hajo Schumacher, dziennikarz niemiecki^[1]

„Czerwony pastor”

„Nie, proszę nie ściągać butów!” – wołał na progu swojego domu 79-letni pastor Kasner do dziennikarzy z prestiżowych niemieckich gazet, którzy po przejęciu przez jego córkę urzędu kanclerza Niemiec tłumnie oblegali w prowincjonalnym Templinie ostatni z szeregowych domków. Przy Wilhelm-Wilcke-Strasse stoją wyłącznie nowe albo świeżo wyremontowane domy, z nieskazitelną czerwoną dachówką, białymi fasadami i wymuskany trawnikiem. Z ich ogrodów wychodzi się prosto na łąki lub do lasu. „Choć niektórzy sąsiedzi lub znajomi przynoszą ze sobą pantofle. Takie tu panują zwyczaje”^[2] – dodawał na tym samym oddechu Kasner. Gdy mówił, w mimice jego twarzy rozpoznać można było córkę. Podobnie jak w gestykulacji rąk. Szczególnie wtedy, gdy natrętnych dziennikarzy szerokim ruchem ramion zapraszał do środka. Do pokoju będącego czymś na kształt salonu albo czytelnicy. Drewniana podłoga, duże okna, ciężkie firany, przytłaczająca meblóweczka, regały wypełnione wyblakłymi grzbietami książek wydanych jeszcze w NRD oraz królujące pośrodku pokoju, wyższe od pozostałych krzesło. Jakby konfesjonał. Cóż za kontrast z nowoczesnymi i modnie urządzonymi salonami w Niemczech Zachodnich czy też upodobnionymi do nich salonami byłych energetyków. Ale ten pastora Kasnera z powodzeniem oparł się zjednoczeniu kraju. Tak jak on sam. Do końca życia pozostał nieufny wobec importowanego do NRD kapitalizmu, z pełnymi klientami galeriami handlowymi i koncernami zarabiającymi krocie na przemyśle zbrojeniowym.

W 2005 roku pastor Kasner doczekał chwili, gdy leżący na północnym skrawku Brandenburgii kilkunastotysięczny Templin został miastem kanclerskim. Od tej pory na ulicy pojawia się czarne audi. „Wiemy, że to ochrona” – mówią mieszkańcy. Ale się mylą, bo limuzyną audi A8 do Templina przyjeżdża Angela Merkel. Nim została kanclerzem, widziano ją jedynie za kierownicą starego, zielonego golfa, gdy odwiedzała rodzinne miasto.

Sąsiedzi dobrze znali pastora. „Mocno stąpający po ziemi, niekonfliktowy typ” – określa go

jeden z nich. O jego przeszłości nikt jednak nie chce mówić. „Rządowy konformista” – oświadcza rencista krzątający się po jednym z ogródków^[3].

Urodzony w Berlinie Horst Kasner nie ma jeszcze dwudziestu ośmiu lat, gdy w 1954 roku kończy studia teologii ewangelickiej w Hamburgu. Jego żona jest w ostatnim miesiącu ciąży. Młody pastor powinien jak najszybciej rozejrzeć się za jakąś ciepłą posadką, najlepiej spokojną parafią w ewangelickiej, północnej części RFN. Ale jego biskup, Hans-Otto Wölber, proponuje mu, by udał się do NRD i wspomógł kraj gnębiony ateizmem^[4]. W pierwszym niemieckim państwie robotniczym represje dotyczą na równi duchownych i wiernych. Smagany przez reżim komunistyczny Kościół ewangelicki cierpi na dokuczliwy niedobór duszpasterzy. By temu zaradzić, zachodniemiecka hierarchia obsadza pastorami wyświęconymi w adenauerowskiej republice owdowiałe parafie po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Część wykształconych w RFN duchownych sama wyrwa się na drugą stronę. Niektórych porywa fascynacja rzekomo sprawiedliwym systemem społecznym. Większość jednak czuje się misjonarzami. Ekscytuje ich konfrontacja z politycznymi przeciwnościami losu^[5]. Jednym z nich jest właśnie Kasner. Już wtedy płynie pod prąd. W tym czasie bowiem obywatele kraju Ulbrichta biorą nogi za pas i uciekają w przeciwnym kierunku – na Zachód. W roku urodzenia Angeli Merkel, 1954, 180 tysięcy Niemców emigruje z NRD do RFN^[6]. By zatamować fale ucieczek, za siedem lat władze w Berlinie Wschodnim wybudują 165-kilometrowy mur. I dla zakamuflowania prawdziwych motywów nazwą go „antyfaszystowskim”.

Co skłoniło Kasnera do przesiedlenia się do NRD i pozostawienia w Hamburgu żony w zaawansowanej ciąży? Brakuje dowodów na to, że już wtedy sympatyzował z socjalizmem. Raporty Stasi donoszą, że zajmował raczej „stanowisko reakcyjne” wobec „kraju robotników i chłopów”^[7]. Wydaje się więc, że młody pastor kierował się poczuciem silnej lojalności wobec Kościoła. Gdy tylko usłyszał wezwanie biskupa, z dnia na dzień spakował walizki. Jakież silne musiał mieć przekonanie misyjne, skoro zdecydował się na posługę duszpasterską w kraju, w którym religię traktowało się jak opium dla ludu. Taki krok wymagał przecież nie tylko surowości wobec rodziny, ale także wobec samego siebie. Kasner należał jednak do tych, którzy także byli gotowi pójść pod prąd, jeżeli wymagało tego dobro Kościoła^[8].

Dzień po jego wyjeździe do NRD, 17 czerwca 1954 roku, przychodzi na świat córka Angela Dorota. Sześć tygodni później niemowlak odbywa dziewczęcą podróż, gdy wraz z matką dołącza do ojca. Warunki, jakie rodzina zastaje w brandenburskim Quitzow, w którym jej głowa otrzymała misyjne zlecenie, są odległe od tych, jakie panują w parafiach republiki Adenauera. Wioska leży zaledwie 30 kilometrów od granicy niemiecko-niemieckiej, ale straszy biedą. Jej degrengoladę widać gołym okiem: niedawno pozbawiono ją szkoły. Przymusowa kolektywizacja wielu chłopów pograżyła w nędzy, a nawet w depresji. Część z nich popełniła samobójstwo. Dla tych, którzy przeżyli, osoba pastora jak przed wojną jest centralną postacią w wiosce. W domach wieśniaków i na plebanii panują spartańskie warunki. Oprócz gabinetu pastor i jego rodzina mają do dyspozycji trzy skromne pokoje^[9]. We władanie Kasner obejmuje również niewielki kościółek oraz kawałek ziemi parafialnej ze skromnym inwentarzem, uniezależniającym go od marnego zaopatrzenia w sklepach. Pastor nie stawał za pługiem, ale jak przypomina sobie córka, musiał jednak nauczyć się doić kozy, a jego żona gotować potrawy z pokrzyw. Po parafii poruszał się motorowerem. Jeszcze częściej rowerem. Za trudy posługi inkasował marnych 600 marek^[10]. Ale misjonarz Kasner nie przejmował się zbytnio wiatrem, jaki wiał mu w twarz. Ciężące na nim brzemię traktował jak wyzwanie.

Zresztą po trzech latach harówki w wiejskiej parafii los uśmiechnął się do niego. Zarządca diecezji brandenburskiej, dziekan Albrecht Schönherr, uznał, że pedagogiczne umiejętności podległego mu duszpasterza, jakie nabył w wielkomiejskim Hamburgu, marnują się na prowincji, gdyż predysponują go bardziej do kształcenia duchownego narybku niż do wygłaszania wiejskich homilii. I awansował na proboszcza w szesnastotysięcznym Templinie, odległym 80 kilometrów od Berlina. Co istotniejsze, uczynił Kasnera rektorem w miejscowym seminarium, zakamuflowanym pod postacią Stephanus-Stiftung, charytatywnego ośrodka pomocy dla niepełnosprawnych fizycznie i umysłowo. Przebywało w nim około dwustu osób, głównie umysłowo upośledzonych. Stephanus-Stiftung był w mniejszym stopniu zamkniętym ośrodkiem pomocy społecznej, a bardziej placówką stwarzającą możliwości osobistego, choć ograniczonego, rozwoju. Pacjenci mogli się swobodnie poruszać po całym rozległym obszarze leśnego kompleksu, pracować w ogrodzie, w zakładzie szewskim, przy dojeniu krów. Dzięki płynącej z RFN pomocy finansowej mieli zapewnioną opiekę medyczną. Jednak ogólnie standard był niski.

Waldhof (Leśny Dwór), jak nazywał się cały kościelny kompleks, leżący wraz z plebanią na obrzeżach miasta, składał się z szeregu porozrzucanych murowanych budynków i drewnianych baraków. Z jednej strony graniczył z lasem. Od budynku do budynku prowadziły ścieżki, na których w słoneczne dni głęboko grzęzło się rowerem w piasku. Gdy lało – w błocie. Większość baraków zamieszkiwali pacjenci. Tylko dwa z nich należały do seminarium. Warunki w nim przypominały bardziej te, jakich doświadcza się w prymitywnym schronisku górskim. Mniejsza hala służyła do spania, większa do wykładów i odprawiania nabożeństw. Oświetlenie było oszczędne, wyżywienie marne, ciepła woda rzadkością. Spartański klimat jak najbardziej odpowiadał osobowości rektora „misjonarza”, który stawiał na siłę słowa, nie blichtru. Tę postawę odziedziczy po nim córka.

Seminarium, coś w rodzaju studium podyplomowego, przygotowywało ewangelickich wikarych w diecezji brandenburskiej do drugiego egzaminu dyplomowego – na proboszcza. Wykładano głównie egzegezę Biblii, szlifowano sztukę wygłaszania kazań, opracowywano koncepcje pracy duszpasterskiej i omawiano delikatne zagadnienia relacji Kościół – państwo. Część zajęć prowadził Kasner. Dominujący i władczy w parafii i w czterech ścianach domu, na sali wykładowej z rzadka wcielał się w dogmatycznego profesora. Nie wbijał podopiecznym wiedzy do głowy młotkiem. Raczej zaskakiwał liberalnymi poglądami, zachęcając do otwartych dyskusji i wypowiedzania szczerych opinii. Silnie wierzył w moc rzeczowej argumentacji. To także odziedziczy po nim córka. Najwięcej do powiedzenia ojciec Angeli miał w kwestii relacji Kościół – państwo. Kilka lat spędzonych w NRD zupełnie wystarczyło, by przejął od swojego mentora, Schönherra, pogląd o ideowej zbieżności chrześcijaństwa i marksizmu, który myśl zrównania społecznego wyprowadzał z kart Nowego Testamentu i pism Karola Marksa. W warunkach enerdowskich miało to wymiar nie tyle filozoficzny, ile praktyczny. Oznaczało połączenie posługi religijnej z akceptacją rzeczywistości politycznej. „Chcemy Kościoła nie obok, nie przeciwko niemu, lecz w socjalizmie” – brzmiał ukuty przez Schönherra slogan^[11]. Zrozumiałe więc, że ten „swoim człowiekiem” obsadził stołek rektora seminarium. Kasner miał kształcić w Brandenburgii kolejne roczniki pastorów lojalnych wobec enerdowskiego państwa.

Rozwój wypadków w NRD tylko utwierdził Kasnera w jego poglądach. Po wybudowaniu w 1961 roku muru berlińskiego, który zatamował ucieczkę Niemców z NRD do RFN, część ewangelickich hierarchów enerdowskich uznała, że trzeba na długi czas pogodzić się

z istnieniem państwa rządzonego przez SED (Socjalistyczną Partię Jedności Niemiec) i do jego warunków dostosować posługę duszpasterską^[12]. Na szczytach Kościoła ewangelickiego zawiązał się wpływowy krąg duchownych i świeckich Weissenseer Arbeitskreis, szukający strukturalnej współpracy z socjalistycznym państwem. Reżim Ulbrichta, a potem Honeckera zacierał ręce z zadowolenia, że ideologiczny oponent sam się do niego łąsił. Co strażnikom enerdowskiego socjalizmu nie przeszkadzało jednocześnie inwigilować państwowców w koloratkach, czym parała się wszechwładna Stasi^[13].

Kasner należał do Weissenseer Arbeitskreis. Ba, grał na tym forum pierwsze skrzypce, głęboko przekonany o naturalnej symbiozie marksizmu i chrześcijaństwa^[14]. Nic dziwnego, że dał się porwać robiącej furorę w Ameryce Łacińskiej teologii wyzwolenia, a w Europie Zachodniej ruchom „lewicy chrześcijańskiej”. Idea zrównania społecznego rodem z Nowego Testamentu i pism Marksa wykluwała się burzliwie na przełomie lat 50. i 60. w różnych punktach globu: od swojego radykalnego symbolu, Chrystusa zatkniętego na karabinie w Ameryce Łacińskiej, poprzez ruch księży-robotników we Francji, aż po stowarzyszenie PAX i księży-patriotów w Polsce^[15]. Katolicki rodowód tych ruchów jest bez znaczenia, gdyż jeszcze przed Soborem Watykańskim II (1962–1965) teologia katolicka i protestancka przenikały się nawzajem. Kasnerowi taka postawa przyniosła w środowisku ewangelickim przydomek „czerwonego pastora”. Jego parafianie nie zdziwili się zbyt, gdy po dwukrotnym pobycie w latach 70. w Italii wstrząsanej terrorem lewicowych Czerwonych Brygad zrobił im wykład o tym, że „tylko Komunistyczna Partia Włoch jest w stanie wyciągnąć z konwulsji katolicki kraj”^[16].

Kasner nie poprzestał na słowach. Jako enfant terrible Weissenseer Arbeitskreis rozpoczął polityczną akcję odrywania Kościoła ewangelickiego NRD ze struktur ogólnoniemieckich. Ku wielkiemu zadowoleniu władz NRD starania te zostały w 1969 roku zakończone sukcesem. Utworzono odrębną od Kościoła w RFN wschodnioniemiecką prowincję kościelną^[17]. Ale w optyce bezwzględnie rządzących w NRD marksistów członkowie Weissenseer Arbeitskreis z Kasnerem na czele byli jedynie dającymi się wykorzystać łatwowiernymi durniami. Udzielali bowiem rządzącym komunistom swojego błogosławieństwa, rozwiewając wątpliwości bardziej krytycznej, choć nieznacznej części społeczeństwa, i to w sposób doskonalszy od jakiegokolwiek maszynierii propagandy władzy. Socjalistyczni chrześcijanie swoją proenerdowską postawą wzbudzili nawet nieufność wśród partyjnych ideologów. W ostatnich latach istnienia NRD przypominali sekciarzy owładniętych ideą nawracania na „prawdziwy marksizm”.

Istnieją silne poszlaki wskazujące na to, że Kasner był w jakiś sposób szantażowany przez Stasi. Ale jego współpraca z bezpieką nigdy nie została udowodniona. Natomiast będąc prominentnym aktywistą we wschodnioniemieckim Kościele ewangelickim, działał w towarzysko-politycznym kręgu licznych wysokich rangą duchownych, których kolaboracja ze Stasi została potwierdzona ponad wszelką wątpliwość. Na forum synodu zwycięsko kruszył kopie o oddzielenie Kościoła w NRD od ogólnoniemieckiego w ścisłym porozumieniu z Clemensem de Maizièr'em (TW „Kałuża”, TW „Adwokat”) oraz profesorem Hanfriedem Müllerem (TW „Hans Meier”, TW „Michael”). Clemens de Maizièr, czołowy działacz zwasalizowanej wobec SED wschodniej CDU, był z kolei blisko zaprzyjaźniony z szefem partii Geraldem Göttingiem (TW „Göbel”). Natomiast profesor Hanfried Müller, teolog na Uniwersytecie Humboldta, który przeprowadził się do NRD, miał kontakty sięgające samego Biura Politycznego SED. Jego wydział uchodził za bastion stalinizmu. Kasner

pozostawał w zażyłych kontaktach także z działaczem kościelnym i prawnikiem Wolfgangiem Schnurem (TW „Torsten”, TW „Dr Ralf Schirmer”). A poprzez Clemensa de Maizièrè’a i jego syna Lothara de Maizièrè’a (TW „Czerni”) miał dostęp do Klausu Gysiego, należącego do absolutnej wierchuszki partii, będącego w randze ministra szefa Urzędu ds. Wyznań. Nie sposób ustalić, na ile te kontakty pozwoliły Kasnerowi w późniejszym okresie wejść w posiadanie dwóch samochodów, prywatnego i służbowego, oraz należeć do Reisekader, czyli grupy osób cieszących się w NRD nie lada przywilejem, bo mogących wyjeżdżać na Zachód. A Kasner wyjeżdżał przecież nie tylko do RFN. W latach 1974 i 1975 bawił na przykład w Italii. Podejrzenie o konformizm leży więc na wyciągnięcie ręki.

Ale ojciec Angeli Merkel nie był aparatczykiem, politycznym cynikiem oportunistycznie popierającym enerdowski system. W swoich czterech ścianach oglądał zakazaną przez władze zachodnią telewizję. Półki w domowej biblioteczce ugięły się od literatury figurującej w NRD na czerwonym indeksie, sprowadzanej z RFN. W latach 80. urządzał nawet spotkania prywatnego „klubu filozofów” w Waldhofie. Uczestniczył w nim zaufany krąg przyjaciół, złożony z krytycznych wobec systemu enerdowskiego przyrodników, fizyków i lekarzy, a niekiedy z naukowców i teologów z RFN. Z tymi ostatnimi Kasner utrzymywał stały kontakt. Dwa razy w tygodniu udawał się do Berlina Zachodniego, skąd w kalesonach szmugłował góry banknotów. Marki zachodniemieckie przeznaczał na rozbudowę seminarium w Templinie^[18]. Nie miał też żadnych oporów przed utrzymywaniem silnych więzów z rodziną żony w zachodniemieckim Hamburgu. Co roku razem z żoną albo tam wyjeżdżał, albo też podejmował jej rodzinę u siebie. Po wybudowaniu muru wzajemne wizyty ustały, najczęstszą formą kontaktu stały się przysyłane z Hamburga paczki od hanzeatyckiej rodziny. Wszystkie te pozasystemowe aktywności tworzą niejednorodny obraz „czerwonego pastora”. Jego wizerunek tylko w jednym, nadrzędnym punkcie pozostał spójny: gdy duchowny kruszył kopię o pełną harmonię pomiędzy religią a socjalistycznym państwem. Dlatego ojciec Angeli Merkel nigdy nie pogodził się z faktem, że z wymarzonej przez niego syntezy socjalizmu i chrześcijaństwa wyszedł potworny bękart: NRD z wszechwładną Stasi, łamaniem praw człowieka i zanieczyszczeniem środowiska naturalnego.

Jako zwolennik socjalizmu z ludzką twarzą wyraźnie dystansował się podczas przełomu lat 1989/1990 od większości mieszkańców Templina i całej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, którzy frenetycznie witali upadek reżimu Honeckera. W walącej się z trzaskiem NRD nie podzielał powszechnego entuzjazmu dla tworzącego się nowego porządku społecznego rodem z RFN. Z pałąką moralności w ręce krytykował konsumpcjonizm, który u progu zjednoczenia kraju RFN eksportowała do NRD^[19]. W przeciwieństwie do żony i córki nie wstąpił do żadnej z partii powstałych na wzorach zachodniemieckich podczas jesieni 1989 roku. Gdy córka po zjednoczeniu Niemiec znalazła się w gabinecie kanclerza Helmuta Kohla, pastor pomstował na ambonie w Templinie i w regionalnej gazecie: „Żyjemy z konstytucją starej RFN. O uchwaleniu nowej nic nie słyhać. Co najwyżej można liczyć na jakąś niewielką korektę lub uzupełnienie. [...] Uwolnieni od dyktatury i monopolu jednej partii, żyliśmy nadzieją na demokratyczny przełom. Ale wpadliśmy w sidła takiego państwa partyjnego, w którym władza wprawdzie pochodzi od narodu, ale nie powraca do niego nigdy. Wystarczy tylko spojrzeć, by stwierdzić, że partie przekształcają państwo w swój łup, a ono samo stało się dla polityków jedynie sklepem samoobsługowym”^[20]. Kasner tak bardzo nie cierpiał nowego ustroju, że jako jedyny z rodziny demonstracyjnie zbojkotował w 2004 roku,

czternaście lat po zjednoczeniu Niemiec, organizowane przez CDU uroczystości jubileuszu 50-lecia własnej córki, gdy ta stała już na czele niemieckiej chadecji. Choć rok później, gdy córka osiągnęła szczyt politycznej kariery i została kanclerzem, „czerwony pastor”, nadal potępiając w czambuł jej chadeckie wartości, zasiadł podczas ceremonii zaprzysiężenia na trybunie honorowej w Bundestagu z twarzą promieniującą dumą. Bo podziwiał żelazną konsekwencję, z jaką córka przekuwała w czyn polityczne zamierzenia. W jej pryncypialności, autodyscyplinie, głodzie sukcesu, skromności, surowości wobec innych, a najbardziej wobec samej siebie dostrzegał własne odbicie i swoją protestancką szkołę wychowania. Ona z kolei, choć rozpoznała życiowy dylemat ojca: iluzję marzeń o wolnym Kościele w dobrym państwie socjalistycznym, plecami odwróciła się od socjalizmu, ba, zdystansowała się od światopoglądu ojca. Jednak wielokrotnie indagowana przez wścibskich dziennikarzy wystawiała mu pomnik: „Powiem prosto z mostu. Bez domu rodzinnego w Templinie nie przetrwałabym socjalizmu w NRD”^[21]. Przy czym ów „dom rodzinny” to w pojęciu Angeli Merkel dominujący ojciec pastor. Co tłumaczy powyższą ambiwalencję. Generalnie relacje córek z władczymi ojcami są naznaczone na całe życie silnymi, choć sprzecznymi uczuciami. A jakim węzłem gordyjskim Angela Merkel była związana z ojcem, można się było przekonać w 2011 roku, gdy pastor zmarł. Akurat w szczycie kryzysu euro na kilka dni kanclerz odwołała wszystkie spotkania. W dniu pogrzebu z kamienną twarzą, tłumiącą porażający ból, kroczyła za trumną. Silne piętno, jakie wycisnął na niej despotyczny ojciec, wynikało nie tylko z jego władczej osobowości, ale i z socjalizacji w wyjątkowym „biotopie” – na ewangelickiej plebanii w orwellowskim państwie Stasi.

Dziedzictwo protestanckiej plebanii

Pastor Kasner wprowadził córkę do niezwykle ekskluzywnego klubu, którego karty członkowskiej nie da się kupić za największe pieniądze. Jego prominentnymi członkami są filozof Fryderyk Nietzsche, były prezydent Niemiec Johannes Rau, psychoanalityk Carl Gustav Jung, pisarze Hermann Hesse i Friedrich Dürrenmatt, a także mniej znani w Polsce: premier Turynii Christine Lieberknecht, terrorystka Frakcji Czerwonej Armii Gudrun Ensslin, filmowiec Hans Geissendörfer, reżyser „Lindenstrasse”, niemieckiego odpowiednika telewizyjnego tasiemca „M jak Miłość”, czy prezes Commerzbanku Martin Kohlhausen. Klubowa karta? Wszyscy wychowali się na plebanii jako dzieci protestanckiego duchownego. Język niemiecki ukuł na to specjalne pojęcie: Pfarrerskind. Założycielem klubu był krzepki i krwisty Marcin Luter, który w 2003 roku w plebiscycie publicznej telewizji ZDF na najwybitniejszego Niemca wszech czasów zajął drugie miejsce. Tuż za Konradem Adenauerem. W pokonanym polu pozostali tytani muzyki: Bach, Beethoven, Mozart, geniusze umysłu: Kant i Einstein, polityki: kanclerz Kohl i Fryderyk Wielki, czy wreszcie sam cesarz futbolu Franz Beckenbauer. Reformator religijny z XVI wieku ma na stałe zapewnione miejsce w historii nie tylko jako legendarny twórca protestantyzmu, ale jako wynalazca nieznanego katolicyzmowi zjawiska, jakim jest Pfarrhaus, czyli mieszkający na plebanii pastor z rodziną. Mnich augustiański nawoływał: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, bo to Boże dzieło, któremu przeszkadzać nie jest w naszej mocy, jest ono potrzebniejsze niż jedzenie i picie, spanie i czuwanie”. I zapewniał solennie, że „zakonnicy i zakonnice, nie pozostając czyści, po cichu plamią się grzechem czy rozpustą”. Po czym od słów przeszedł do czynów. Bez zrzucenia

habitu ożenił się ze zbiegłą z klasztoru mniszką. Razem z nią dorobił się szóstki potomstwa. Czym, jak to sam ujął, „zamknął oszczercom i hipokrytom gębę”^[22]. Dla potomnych stał się protoplastą owego Pfarrhausu, instytucji, która na dobre zadomowiła się w kulturze niemieckiej, splatając w sobie dobroć niebios z ludzką kondycją. Przez niemal pięć wieków Pfarrhaus wyciskał swoje znamię na kolejnych generacjach dzieci pastorów. Jak skrupulatnie wyliczył Johann Friedrich Schulze, katolicki organista z XIX wieku, spośród 1,6 tysiąca znanych Niemców z XIX wieku aż 861 pochodziło z ewangelickiego Pfarrhausu^[23]. Najlepszy jego portret wyszedł w 2009 roku spod pióra dziennikarki Anji Würzberg, która jako córka pastora cywilizacyjny niemiecki wynalazek poznała na własnej skórze. Dziennikarka przeprowadziła wywiady z wieloma osobami z podobnym biograficznym doświadczeniem. Nie ma wśród nich Angeli Merkel. Ale zbiór rozmów Anji Würzberg zatytułowany „Ja – dziecko pastora z plebanii” jest wiarygodnym psychogramem kanclerz Niemiec.

W rozmowach powtarzają się te same wątki. Wszystkie dzieci pastorów, które dorastały na plebanii, opowiadają o swoim domu rodzinnym jako oazie spokoju, bezpieczeństwa i stabilizacji. Dominujący pastor-ojciec, pracoholik w winnicy Pana, czuwał nad kierunkiem duchowego i umysłowego rozwoju swoich latorośli. Matka otaczała je ciepłem i uczuciem. Jako żona pastora w czterech ścianach domu zarządzała gospodarstwem. Na zewnątrz prowadziła chór parafialny, kółko biblijne, naukę gry na flecie, przygotowywała niedzielne podwieczorki dla parafian i akcje charytatywne. Mogła wcielić się właściwie w każdą rolę, „byleby nie być sexy i modnie ubrana. Skromna, bez szminki i makijażu”^[24]. Dokładnie tak jak u rodziców Angeli Merkel, gdzie role zostały rozdane modelowo. Ojciec, rzadko obecny w domu, gdy się już zjawił, wydawał rozkazy jak z kościelnej ambony. Córką na co dzień zajmowała się matka. Urodzona w Hamburgu Herlind Kasner, z wykształcenia filolog klasyczna, niewiele miała do powiedzenia, gdy jej mąż zdecydował się na misję w NRD. A zapłaciła za przeprowadzkę wysoką cenę. Chętnie nauczałaby w szkole przedmiotów, które studiowała, łaciny i angielskiego. Ale w socjalistycznym systemie szkolnym żony pastorów odsunięto od pracy z uczniami. Herlind Kasner przed każdym nowym rokiem szkolnym słała listy motywacyjne. Zawsze otrzymywała odmowy. Dopiero w ostatnich latach istnienia NRD zaczęła wykładać łacinę i starożytną grekę w templińskim seminarium. Przeprowadzka zaszkodziła nie tylko jej planom zawodowym. Wybudowanie muru berlińskiego odcięło ją od macierzystego Hamburga. Niepracująca, pozbawiona kontaktu z rodzinnym miastem, w domu poddana silnej dominacji męża, poświęciła się bez reszty wychowaniu trójki dzieci. To dlatego trzydzieści pięć lat po urodzeniu pierwszego dziecka, podczas niemieckiej jesieni 1989/1990, dokonała przeciwko mężowi rebelii, gdy w przeciwieństwie do niego zaakceptowała nowy porządek polityczny importowany z RFN. Zaangażowała się politycznie i wstąpiła do SPD. Z członkostwa w CDU zrezygnowała, gdyż nie mogła zdzierżyć, że na szefa chadecji w Templinie wybrano konformistę, który wcześniej co roku pojawiał się na trybunie honorowej z okazji 1 Maja i narodowego święta NRD. Nawet jeśli kariera Herlind Kasner w SPD nie trwała zbyt długo – w 1998 roku nie wybrano jej ponownie na radną w Templinie – to w pamięci mieszkańców zapisała się jako zaangażowany samorządowiec. Przynależność do odmiennych formacji politycznych w niczym nie zakłóciła wzajemnego stosunku między matką a 35-letnią córką, należącą wtedy do partii chadeckiej. Od początku ich relację cechowała harmonia. Jednak to stosunek z ojcem był dla córki konstytutywny. Jeśli matka uczyła ją sztuki improwizacji, choćby przygotowania kolacji teoretycznie dla czterech,

w praktyce dla ośmiu osób, do czego zmuszały warunki życia w NRD, to ojciec uwrażliwiał ją na moc argumentu i siłę logiki. Imponował jej. Niczym u oficera pruskiego „wszystko musiało być zrobione perfekcyjnie. Sam był zresztą bardzo pracowity i dokładny” – przypomina sobie Angela Merkel^[25], która w dorosłym życiu przejęła te cechy.

Ale w tym miejscu pojawia się rysa na glazurze Pfarrhausu. Nie tylko w przypadku Angeli Merkel. Bo perfekcyjny i władczy na plebanii i ambonie pastor-ojciec, absolutny autorytet niemal w każdej dziedzinie, także w domu wszystko wiedział najlepiej, nigdy nie popełniał błędów, zawsze miał rację, a dzieciom, jak swoim parafianom, wysoko stawiał poprzeczkę. Kasner na przykład wymagał, by córka już w pierwszej klasie do odległej o ponad kilometr szkoły jeździła na rowerze. Pod dachem Pfarrhausu dzieci pastorów dorastały więc w kulturze psychicznej przemocy, posłuszeństwa i milczenia^[26]. Spadał na nie deszcz krytyki, rzadko słyszały pochwałę. Ich życie kręciło się wokół spełniania nakazów i przestrzegania zakazów. Rozmiar i konsekwencje reżimowej dyscypliny, jakiej były poddane, pokazuje nagrodzony Złotą Palmą w Cannes film „Biała wstążka”. Łącznie z kumulacją negatywnych emocji, które znajdują ujście w patologicznym sadyzmie, ujawnianym natychmiast, gdy zabraknie w pobliżu rodziców. Dla takiej Gudrun Ensslin sprzeciw wobec dyktatury w domu wyraził się z opóźnieniem, gdy jako terrorystka Frakcji Czerwonej Armii uczyniła przemoc formą oporu. U większości dzieci z Pfarrhausu relacja z ojcem ukształtowała w nich „tylko” niepewność własnej wartości^[27], a w późniejszym wieku nieufność, często samotność. Zmusiła do podejmowania dramatycznych starań nakierowanych na potwierdzenie własnej wartości. U Angeli Merkel ta silna potrzeba kompensacji przejawia się w zabiegach o akceptację w gronie szkolnych rówieśników. Zaprowadzi ją także w objęcia prokomunistycznej młodzieżówki. A potem nawet nakręci jej polityczną karierę. By na każdym jej szczeblu mogła z satysfakcją udowodnić ojcu – zobacz, ile osiągnęłam, zobacz, że jestem coś warta!

Duch Pfarrhausu promieniował we wszystkie strony. Dlatego rozmówcy Anji Würzberg mówią też o „silnym duchu wiary”, „słuchaniu na okrągło Bacha” i „uginających się pod dziełami Goethego, Schillera i Bölla domowych regałach”. „To ostatnie odróżniało plebanie ewangelickie od katolickich, w których wisiały zdjęcia papieża i obrazy Madonny” – wyjaśnia Fulbert Steffensky, były zakonnik benedyktyński, który przeszedł na protestantyzm. Choć biblioteczka pastora nie składała się wyłącznie z dzieł religijnych i wielkiej literatury. Królowały powieści, w tym obowiązkowo wszystkie tomy Karola Maya. Kolega brata Angeli Merkel wspomina po latach, jak wypożyczył od niego wydaną w RFN, a niedostępną w NRD książkę neurologa Hoimara von Ditfurtha: „Coś takiego było dla nas nie do zdobycia”^[28]. Zarówno brat Angeli, jak i ona sama musieli zaczytywać się w stojących na półce w salonie białych krukach z zakresu nauk przyrodniczych i ścisłych, skoro obydwójce tak bardzo pasjonowali się fizyką, że wybrali ten kierunek studiów. Z kolei ojciec pisarki Gabriele Wohmann, jednej z rozmówczyń Anji Würzberg, tak bardzo uwielbiał Goethego, że ku utrapieniu żony kupował od razu kilka wydań tego samego tytułu. Wciśnięte między ołtarz i domową biblioteczkę dzieciaki pastorów wielkimi haustami wchłaniały kulturę słowa. „Byłby z ciebie dobry kaznodzieja” – zauważył ojciec przyszłego prezydenta Niemiec Johannes Raua, gdy usłyszał syna przemawiającego przed rolnikami z Nadrenii. Martin Kohlhaussen, który nim został prezesem Commerzbanku, długo był jego rzecznikiem prasowym, zdradził złotą regułę Pfarrhausu: „Nie można wszystkich konfliktów wynosić na zewnątrz. Usta trzeba umieć zamknąć na kłódkę, a jeszcze lepiej skryć się za wysokim murem, jak w twierdzy. Dotyczy to

spraw prywatnych i zawodowych”. Angela Merkel lepiej by tego nie spuentowała. Cnotę krycia się za wysokim murem, jak w twierdzy, przyswoiła sobie w domu rodzinnym na plebanii w Templinie. I zaimplantowała, pełniąc urząd kanclerza. Kohlhaussen natomiast, zgodnie z maksymą, udzielił dziennikarce tak skąpych odpowiedzi, że nakreślony przez niego autoportret mógłby być autorstwa jego rzecznika prasowego.

Wszyscy rozmówcy Anji Würzburg jak jeden mąż powtarzają także, że ich dom rodzinny nagminnie stawał się przestrzenią publiczną. „Przychodzili do nas zupełnie obcy ludzie, obnażając najbardziej intymne myśli” – wyznaje publicystka tygodnika „Die Zeit” Elisabeth Niejahr. I na tym samym oddechu dodaje: „Mój ojciec był pastorem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Także w nocy i podczas urlopu”. W domu zawsze ktoś przebywał. Reinhard Höppner, były premier Saksonii-Anhalt, pastorska latorośl z Magdeburga, przypomina sobie: „Próby chóru odbywały się w naszym mieszkaniu. Jako dziecko zasypiałem w takt śpiewu w sąsiednim pokoju”. Dom-plebania była jednocześnie zakrystią, biblioteką z czytelnią, konfesjonalem, biurem interwencyjnym i punktem pomocy społecznej. Dzieci od najmłodszych lat, nieco przedwcześnie, słuchały opowieści o nienawiści i pojednaniu, zwątpieniu i nadziei, o rzeczach ostatecznych: życiu i śmierci. Kto wie, czy w ogóle powstałby telewizyjny tasiemiec „Lindenstrasse”, gdyby jego autor nie dorastał na plebanii. Geissendörfer jak z czarodziejskiej skrzyni wyciąga do serialu kolejne postaci i historie, które poznał pod dachem domu ojca-pastora. Ale ile razy przy śniadaniu słyszał: „Dziś mam pogrzeb”, „Nie przeszkadzaj, proszę, piszę kazanie!”. „Czy mój ojciec bardziej wolał Boga, czy swoje dzieci?”^[29] – zastanawiał się ciągle Friedrich Christian Delius, syn pastora z heskiej Wehrdy, dziś pisarz i członek niemieckiego PEN Clubu. Także Angeli Merkel brakowało w dzieciństwie ojca, zaangażowanego w działalność duszpasterską, charytatywną i wykładową. Popołudniami często wybiegała z domu na prowadzącą do miasta leśną drogę, w nadziei, że spotka go tam powracającego. Stęskniona, ale przepelniona bojaźnią przed ciemnym lasem, zawracała. Dopiero gdy ojciec zjawiał się na kolacji, dla córki „wszystko stawało się na powrót piękne”^[30].

Dzieci pastorów w sposób jak najbardziej naturalny uczestniczyły w życiu duszpasterskim i liturgicznym. „Roznosiłem gazetkę parafialną do wszystkich domów w parafii, uciekając na podwórkach przed ujadającymi psami. Zawsze z duszą na ramieniu”, zwierzył się Anji Würzburg syn pastora. Inne przeżycia były mniej traumatyczne. „W każdą niedzielę o 6 rano rozpaląłem piec koksowniczy, który ogrzewał kaplicę. Łopatą wrzucałem koks do pieca”^[31] – odpowiedział w ankiecie Eckhart Freiherr von Vietinghoff, syn pastora z Getyngi, późniejszy zwierzchnik Kościoła w Hanowerze. Dzieci dbały o kwiaty w kościele, zapalały i gasiły świece przy ołtarzu, śpiewały w chórze, biły w dzwony, przygotowywały kanapki i ciasto na spotkanie parafian po niedzielnej liturgii, zajmowały się bezdomnymi, którzy zapukali do drzwi plebanii, pocieszały strapionych, dzwoniących pod nieobecność rodziców. Właściwie cały czas były pod ręką. Popyt na posługę duszpasterską nie ograniczał się, jak praca w banku, do ściśle wyznaczonych godzin. Drzwi plebanii zawsze stały otworem. Jednocześnie rytm tygodnia przebiegał według stałego schematu: poniedziałek – próba chóru, wtorek – zbiórka ministrantów, środa – kółko gry na flecie, czwartek – sprzątanie kościoła, piątek – spotkanie rady parafialnej, sobota – godzina biblijna, niedziela – nabożeństwo. Życie rodziny spletało się z życiem parafii. Czasu wolnego praktycznie nie było. Nic dziwnego, że Angela Merkel po wyjeździe z Templina, jako asystentka w Akademii Nauk w Berlinie, łapała się na tym, że przez cały czas, także w domu, myślała o pracy. „Ale mój ojciec nie mógł oddzielić życia

prywatnego od zawodowego” – przyznaje^[32]. Zapytana, „jak spędziłaby kilka wolnych dni, które nagle by jej spadły z nieba, odpowiada, że posortowałaby książki walające się po mieszkaniu. Albo pojechała do swojego okręgu wyborczego, bo dawno tam nie była, a wyborcy czekają na rozmowę”^[33]. Myśl o relaksie nie przyjdzie jej do głowy. Zresztą go nie potrzebuje, motywację i siłę działania uzyskuje dzięki pracy. Inspiruje ją etos protestancki. Religia i wiara są dla niej impulsem do działania, osiągania kolejnych sukcesów. Sporo w tym dziedzictwa ojca-pastora.

To właśnie dzięki sprawowaniu przez niego pieczy nad kościelną fundacją dla niepełnosprawnych córka dorastała w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Niektórzy z pacjentów ośrodka pomagali Kasnerom w prowadzeniu gospodarstwa domowego i pracach ogrodowych. Mieszkańcy Templina ze sporym dystansem podchodzili do kalekich pacjentów. W społeczeństwie NRD sprawność fizyczna i wysportowanie uchodziły za cnoty narodowe^[34]. Odchylenia musiały jawić się jako wyjątkowe upośledzenie. „Czy ci ludzie mnie szokowali? Wcale nie. Dla mnie ich widok był najzwyczajniejszy w świecie” – wyznała po latach Merkel^[35]. Już w Templinie pojęła, że sprawność fizyczna nie może uchodzić za kryterium afirmacji życia. I tu zderzyła się z aksjologią wschodnioniemieckiego państwa. Zresztą nie tylko w tym jednym punkcie.

Niemieckie państwo robotników i chłopów zatroszczyło się jednocześnie i o to, by córka pastora wyrastała nie tylko w cieniu krzyża, między Biblią, Bachem, kółkiem gry na flecie, ale by także na własnej skórze poczuła jego represyjną dłoń. „Życie na podsłuchu” – brzmi tytuł niemieckiego filmu z 2007 roku, najlepiej portretujący mroczny proceder inwigilacji przez Stasi. I jak najbardziej dotyczący Pfarrhausu w Templinie. Dom pastora Kasnera był pod stałą kontrolą bezpieczeństwa, jego telefon na podsłuchu. Swobodnym rozmowom służył spacer po okolicznym lesie. Nieufność, sceptycyzm i ostrożność awansowały do rangi strategii przeżycia. By uciec przed czujnym okiem Stasi, trzeba było stać się niewidocznym, pospolitym. Nie można się było wychylić z szeregu. Tylko jak to osiągnąć, skoro duchowna profesja ojca stygmatyzowała w szkole? Czyniła odmiennym od całej reszty. „Od samego początku podstawówki wyróżniałem się na tle innych. Jako jedyny w klasie nie należałem do Młodych Pionierów Ernsta Thälmana. Nie nosiłem niebieskiej chusty i odznaki pionierskiej. Nie chodziłem na pochody pierwszomajowe, czym zawałałem stuprocentową frekwencję w klasie” – wyznaje Christoph Dieckmann, dziś 50-letni dziennikarz „Die Zeit”, który jako syn pastora dorastał w Sondershausen w Turynii. „To typowy los dziecka ewangelickiego duchownego w socjalistycznym NRD” – ocenia Bettina Ernst-Bertram, zaangażowana protestantka z niemieckiego Zgorzelca, która zebrała dokumentację dla ponad trzystu takich biografii^[36]. Dzieci pastorów „niczego bardziej sobie nie życzyły – kontynuuje Bertram – jak być zwykłymi, normalnymi uczniami. I by nie odpowiadać na sarkastyczne pytanie nauczyciela w szkole: jakież to numer przed 500 laty wywinął niemieckim książętom Marcin Luter”. Tymczasem Pfarrkinder już swoim wyglądem kłuły w oczy. W przeciwieństwie do reszty szkolnej gawiedzi, ubranej w jednakowe, białe koszule Młodych Pionierów, stały na porannym apelu w kolorowych jak papugi sweterkach czy bluzkach. Na lekcjach muzyki „Międzynarodówka” nie przechodziła im przez gardło. Słowa drugiej zwrotki „Nie nam wyglądać zmiłowania z wyroków bożych, z carskich praw” urastały do politycznej rozgrywki między pastorem, jego dzieckiem a marksistowską edukacją szkolną. Podobnie jak w IX i X klasie zajęcia z przysposobienia obronnego. „Cholerny kościół” – przeklinał po cichu, choć z zupełnie innego

powodu, swój status syna pastora Christoph Dieckmann, gdy ojciec zabronił mu zapisać się także do szkolnej drużyny piłkarskiej. Ta bowiem swoje mecze rozgrywała w niedzielne przedpołudnia, kiedy młody Christoph musiał śłęczyć w kościele. Do dziś jeszcze dźwięczą mu w uszach słowa inspektora szkolnego, grożącego, że nie dopuści do matury żadnego dziecka pastora. Nawet ze średnią 5,0. „Bo skoro nic nie robisz dla ludu, to władza ludu nic nie zrobi dla ciebie”^[37].

Angela Merkel dzieliła ten los. W podstawówce w Templinie niektórzy reżimowi nauczyciele wytykali jej pochodzenie klasowe. Nienawidziła więc sytuacji, gdy na głos przed całą klasą musiała podać zawód ojca. Mamrotała wtedy pod nosem, przekręcając słowo „Pfarrer” (pastor) na podobno brzmiące „Fahrer” (kierowca)^[38]. By powetować sobie społeczną stygmatyzację i zgarnąć pochwałę, jaką lojalnych obywateli obdarzało komunistyczne państwo, zapisała się do Młodych Pionierów, a potem do komunistycznej młodzieżówki Wolna Młodzież Niemiecka (FDJ). Biała koszula, niebieska chusta w pionierach, potem niebieska bluza z żółtą chustą w FDJ rekompensowały jej negatywną etykietkę i ratowały przed osamotnieniem w szkole. A przy okazji podnosiły poczucie własnej wartości. Tym bardziej że bycie córką duchownego w NRD na niektórych rówieśników działało jak płachta na byka. Odstraszał ich Waldhof. Woleli nie przebywać w pobliżu dziwnych, kalekich ludzi i posiadłości pastora. Co od Angeli Merkel wymagało hartu ducha. Rzecz jasna wpoił go jej ojciec.

Swoje dzieciństwo w Templinie Angela zapamiętała jednak jako jedną wielką idyllę. Tak to przynajmniej dzisiaj przedstawia. Sporo w tej ocenie pobłażliwości, możliwe, że wyparcia przykrych wspomnień czy mniej lub bardziej świadomej chęci idealizacji. Owszem, w dzieciństwie mogła zanurzyć się w leśnych otchłaniach, zbierając jagody, goniąc po łąkach czy kąpiąc się w osłoniętych ścianami drzew krystalicznych, ale zimnych jeziorach, lub z wyjątkowym afektem przypatrywać się bobrom budującym tamy w pobliskim kanale. Co z rozrzewnieniem wspomina. Ale profesja ojca, ów duch Pfarrhausu, niosły ze sobą także dyskomfort, liczne wewnętrzne rozdarcia. I w czterech ścianach domu, i w szkole.

Uczennica między frontami

Do szkoły podstawowej pomaszerowała w roku wybudowania „antyfaszystowskiego muru obronnego”. Właśnie to tragiczne wydarzenie tak bardzo utkwilo w pamięci siedmiolatce w idyllicznym Templinie. Dwa tygodnie przed pierwszym w jej życiu dzwonkiem szkolnym, 13 sierpnia 1961 roku, by zatrzymać masową ucieczkę obywateli do kapitalistycznej RFN przez wspólną berlińską metropolię, władze w Berlinie Wschodnim przedzieliły murem i drutem kolczastym wschodnią i zachodnią część aglomeracji. Naturalna jedność miasta legła w gruzach. W geście rezygnacji zrozpaczeni krewni i przyjaciele stali po jednej i drugiej stronie wznoszonego muru, machając do siebie rękami. Na Bernauer Strasse, gdzie domy znajdowały się po wschodniej, a chodnik po zachodniej stronie miasta, mur przechodził dokładnie przez środek kamienic. Rankiem 13 sierpnia kilku śmiazków odważyło się skoczyć na chodnik z okien, nim je pośpiesznie zamurowano. W Berlinie nastrój eksplozji unosił się w powietrzu. „Wojna leżała w zasięgu ręki” – notował w pamiętniku burmistrz Berlina Zachodniego Willy Brandt^[39]. Po wschodniej stronie Bramy Brandenburskiej do akcji wkroczyła policja ludowa. Demonstrujących w Berlinie Zachodnim w szachu trzymały oddziały policji z armatkami wodnymi. Ale RFN nie zaryzykowała większego sprzeciwu w obronie jedności miasta. Także

USA, Wielka Brytania i Francja nie przystawiły ZSRR noża do gardła. Berlin Wschodni znalazł się za szczelną żelazną kurtyną bloku radzieckiego. Tego dnia Angela Merkel widziała płaczącego w kościele ojca. Dla kogoś, kto dobrowolnie przesiedlił się z RFN i stracił szansę powrotu na Zachód, podział Berlina stanowił dotkliwy cios. Kasner utrzymywał stały kontakt z pastorami zachodnioniemieckimi. Regularnie przemyślał od nich gotówkę na utrzymanie Waldhofu^[40]. Silne więzy rodzinne łączyły rodzinę z krewnymi w Hamburgu. Jeszcze podczas ostatniego urlopu latem wożowali volkswagenem garbusem razem z babcią z Hamburga po słonecznej Bawarii. Teraz zostało im jedynie odbieranie paczek z Hamburga. Modne wówczas zupy w proszku, nieosiągalne mydło, polityczną literaturę i ostatni krzyk mody – dzinsy – regularnie wypakowywano na stole w Templinie. Te ostatnie oczywiście dla dorastającej nastolatki, która po skończeniu podstawówki uczyła się w gimnazjum. Dzięki tym paczkom Angela Merkel na pozaszkolne wyjścia udawała się w zachodnich ciuchach. Do szkoły ich nie zakładała, od kiedy dyrektor tak ubranych uczniów odesłał z powrotem do domu. Jako produkt amerykańskiej kultury dzinsy ucieleśniały „klasową wrogość” i godziły w etos kraju robotników i chłopów. Zresztą dyrektor szkoły pouczał swoich podopiecznych także w kwestii paczek z RFN: „Nie otwierać, tylko wysłać z powrotem”. Co Angela Merkel konsekwentnie ignorowała. Z Hamburga otrzymywała też płyty winylowe. Kolejny powód jej dumy i uznania w oczach rówieśników. O co przecież usilnie zabiegała, kompensując w ten sposób brak uznania u autorytarnego ojca i swoją stygmatyzację. W murach socjalistycznej szkoły czuła bowiem na sobie odium córki pastora. Oficjalnie szkoła nie dyskryminowała dzieci duchownych, jednak większość pedagogów z nieufnością odnosiła się do Pfarrkinder. Angela dwoiła się i troiła, by jej status córki duchownego nie rzucił się cieniem na kontakty z kolegami i koleżankami szkolnymi, by ją akceptowano.

Dlatego też na imprezy organizowane przez rówieśników przynosiła niedostępne w NRD, a ubóstwiane przez wszystkich płyty Beatlesów. Zbawcza trampolina do skoku własnych notowań u kolegów. Sama szczególną sympatią darzyła filigranowego Paula McCartneya. Ale na ścianie swojego pokoju powiesiła reprodukcję Paula Cézanne’a, także prezent z Hamburga. I tak jak płyty Beatlesów gadżet, dzięki któremu rosła w oczach szkolnej paczki.

Akurat w okresie, gdy nastolatki wyjątkowo nie cierpią rodzicielskiej kontroli, 13-latką otrzymała samodzielny pokój z oddzielnym wejściem. Idealne miejsce do niezmaconych niczym spotkań z rówieśnikami, którzy walili teraz do niej drzwiami i oknami. Ale samodzielny pokój nigdy nie stał się miłosnym gniazdkiem. Swoją pierwszą sympatię Angela miała poznać dopiero na studiach. W latach gimnazjum nie cieszyła się powodzeniem wśród chłopców. Choć na wygląd uskarżać się nie mogła: zgrabna figura, szczupłe nogi, atrakcyjna fryzura z krótkimi włosami. „Ale już wtedy należała do CDU – Club der Ungeküssten” (klubu abstynentów całowania) – żartuje Harald Loeschke^[41], jej szkolny kolega. Na zdjęciach z tego okresu widać obok niej więcej uśmiechniętych twarzy dziewczęcych niż chłpięcych. Ale tej najbliższej przyjaciółki, od serca, której ze wszystkiego można się zwierzyć, nie miała. W kontaktach rówieśniczych brakowało jej pewnej dozy lekkości, figlarności, fantazji. Nie potrafiła flirtować. W rozmowach nie brylowała. I cały czas się kontrolowała. Od początku pilna, ambitna i zdolna, ale nieśmiała, przypominała bardziej szarą myszkę skrupulatnie wykonującą polecenia nauczycieli niż prowodyra szkolnego, lidera grupy nadającego ton na przerwach.

Przykładając dużą wagę do akceptacji swojej osoby, pilnowała się, by nie naruszyć solidarności uczniowskiej. Jeśli po szkole palono papierosy, paliła i ona, ku wielkiemu

zdziwieniu kolegów i koleżanek. Jako córka pastora „uchodziła za ucieleśnienie moralności”^[42]. Sympatię rówieśników pozyskiwała, oferując pomoc. „Kto miał problemy w klasie, zawsze mógł na nią liczyć”^[43]. Także w odpisaniu zadania domowego lub ściąganiu na klasówce. Dzięki temu, należąc do najlepszych uczniów w klasie gimnazjalnej, nie miała opinii kujona. Uczyła się wszystkiego jak leci, ale najbardziej lubiła języki: rosyjski i angielski. Dobra znajomość rosyjskiego wynikała po części z praktyki częstych rozmów, które jeszcze jako dziecko prowadziła ze stacjonującymi w Templinie żołnierzami radzieckimi. Jej nauczycielka z gimnazjum przypomina sobie jednak, że pilna uczennica „słówka z rosyjskiego wkuwała nawet na przystanku autobusowym”^[44]. Z dobrym efektem: jeśli nawet musiała nosić kłameczkę na zęby, która uniemożliwiała jej wymowę wibrującego rosyjskiego „r”, to w IX klasie jako 15-latką wygrała na szczeblu ogólnokrajowym olimpiadę z rosyjskiego. Czym przysporzyła sporo kłopotów nauczycielce, która musiała się tłumaczyć, że na olimpiadę wysłała córkę pastora, a nie dziecko robotnika fabrycznego. Olimpiadzie przyświecało wprawdzie motto: „Światopogląd marksistowsko-leninowski najlepszym fundamentem przyjaźni”, ale laureatka niewiele sobie z tego robiła. W nagrodę pojechała do Moskwy, by stanąć do rywalizacji na szczeblu międzynarodowym.

Brylowała w przedmiotach, których dało się nauczyć z książki. Piętą achillesową okazały się natomiast zajęcia techniczne i sport. Już jako kanclerz przywoła lekcję wuefu, na której przez dobrych czterdzieści pięć minut stała na trampolinie. Skoczyła do wody dopiero równo z dzwonkiem na przerwę. By nie powtarzać skoku. Także w muzyce nie była orłem. Jej śpiew przypominał smętne zawodzenie – wspomina po latach szkolny kolega^[45].

Wzorem rówieśników chciała koniecznie wstąpić do Młodych Pionierów, harcerskiej przybudówki komunistycznej partii. Ojciec długo opierał się jej życzeniu. „Każdy musi iść do szkoły, ale nie każdy musi zakładać bluzę pioniera”^[46] – perswadował jej w domu. Ideologiczne pranie mózgu w komunistycznej organizacji wychodziło poza granicę dopuszczalnej kolaboracji pastora z systemem. W efekcie jednak nieobecność w czerwonym harcerstwie regularnie pozbawiała Angelę nagród wręczanych najlepszym uczniom na koniec roku szkolnego. Przyznawano je wprawdzie za bardzo dobre świadectwo, ale pod warunkiem, że piątkowy uczeń należał do pionierów. Dlatego laury w klasie Angeli kolekcjonował Bodo Ihrke. Kiedyś ruszyło go sumienie, podszedł do nauczycielki i walnął prosto z mostu: „Angela jest tak samo dobra jak ja”. Na co usłyszał, „że to on, a nie Angela, należy do Młodych Pionierów”^[47].

Pewnie z tego względu wrażliwy na protestancką cnotę sukcesu pastor Kasner ustąpił naleganiom córki. Założenie najpierw mundurka pionierów, a potem niebieskiej bluzy FDJ nobilitowało Angelę w kręgu rówieśników. W komunistycznym państwie nic nie mogło przynieść większego prestiżu w oczach kolegów i koleżanek niż członkostwo w tych organizacjach. A ponieważ wszędzie tam, gdzie się Angela Merkel angażowała, wkładała serce i duszę, to w komunistycznej przybudówce w pracach organizacyjnych czuła się jak ryba w wodzie^[48]. Choć najczęściej pozostawała w cieniu innych. Zdolności przywódczych nie posiadała. „Nie pchała się na świecznik, nie rozpychała łokciami”^[49] – opowiada Bodo Ihrke, który po zjednoczeniu Niemiec został radnym powiatowym z ramienia konkurencyjnej wobec chadecji SPD. Późniejszą karierę polityczną Angeli Merkel jej koledzy i koleżanki ze szkolnej ławy przyjęli ze sporym zaskoczeniem. Także i z tego powodu, że uważano ją za niezwykle

uczciwą, a powszechnie się uważa, że „w polityce obowiązują inne reguły postępowania”^[50]. Wyprowadzanie natomiast z członkostwa w komunistycznej młodzieżówce tezy o kolaboracji Merkel z ernerdowskim systemem jest czystą fantasmagorią. Albo złośliwością^[51].

Pod koniec gimnazjum Templin dla nastolatki stał się nudny. Dokuczliwie brakowało jej teatru. Dużo bardziej niż kina. Do jedynej w mieście kultowej knajpki Cafe am Markt specjalnie jej nie ciągnęło. Przesiadywały tam koleżanki z paczki, z papierosem w ręku wyczekując na księcia z bajki. Jeszcze dziś prowincjonalność miasta kłuje w oczy. Dwadzieścia lat po zjednoczeniu Niemiec kamienice wypiękniały, ulice stały się bardziej kolorowe, ale niezmiennie wieje nudą. Dziewczyny w knajpkach nadal wyczekują na swoich książąt. Z jedną różnicą: w rękach trzymają telefony komórkowe. Wtedy w weekendy szalały jeszcze na dyskotecę. Ale nie Angela. Ona wolała albo ze swoją paczką z Templina, albo nawet sama pojechać do Berlina Wschodniego, w którym mieszkała jej babka ze strony matki. U niej mogła dłużej niż w domu oglądać program telewizji zachodnioniemieckiej. A z rówieśnikami pozanurzać się w luksusach, jakie oferowała wschodnioniemiecka stolica: zwiedzając muzea, chodząc na wystawy i koncerty gwiazd estrady NRD. Towarzyskie kontakty w stolicy nawiązywała nie tylko z Niemcami; spotykała się też z Bułgarami, a nawet Amerykanami. W rustykalnym Templinie paczka organizowała też wypadki rowerowe lub wycieczki do lasu. W pamięci utkwiła jej kilkudniowa eskapada łódką prowadząca przez wodne akweny Uckermarku, krajobrazowo przypominającego polskie Mazury^[52].

Od początku edukacji szkolnej, zgodnie z duchem Pfarrhausu, Angela Merkel interesowała się polityką. Szczególnie tym, co działo się po drugiej stronie żelaznej kurtyny w RFN, a co nie należało do kanonu wiedzy w ernerdowskiej szkole. I tak znała na pamięć cały skład gabinetu zachodnioniemieckiego czy procedurę wyboru Gustava Heinemanna na prezydenta RFN. Mocno wbił jej się w pamięć rok 1968 i praska wiosna. Dla jej ojca porażka czechosłowackiego zrywu oznaczała przekreślenie szans na zaprowadzenie w NRD wymarzonego socjalizmu z ludzką twarzą. Akurat w sierpniu 1968 roku rodzina spędzała urlop w czeskim ośrodku Pec pod Śnieżką w Sudetach. Pastor wynajął tam prywatną kwaterę. Kiedyś Angela Merkel zobaczyła przez przypadek, jak kilkunastoletni syn właścicieli zrywa z kopert znaczek z pierwszym sekretarzem czeskiej partii Nowotnym. „Teraz naszym bohaterem jest Dubczek” – usłyszała. Po powrocie z wakacji swoje przeżycia zaczęła relacjonować podczas godziny wychowawczej. „Szybko zorientowałam się po minie nauczyciela, że zaraz może zrobić się gorąco”^[53]. I przerwała wywód o słuszności czeskiego buntu.

Polityczna lekcja praskiej wiosny pochodziła z wyjątkowego źródła pozaszkolnej wiedzy. Rzadko się bowiem zdarza, by przez przypadek znaleźć się samemu w centrum historycznych wydarzeń. Ale wiedzę, której by trudno szukać w podręcznikach ernerdowskich, regularnie córce przekazywali rodzice. W domu mogła czytać literaturę przeschmuglowaną w paczkach z Hamburga, słuchać zachodnich stacji radiowych lub oglądać zachodnie programy telewizyjne, co u Kasnerów było codzienną praktyką. Jednocześnie jednak rodzice przestrzegali ją, by w szkole nie prowokowała zdobytą wiedzą i lepiej przemilczała niektóre zasłyszane w domu polityczne wice, nie mówiąc o nadsyłanych z Hamburga paczkach. Nie prowokować” – wbijano jej do głowy. I Angela nie prowokowała.

Krótko przed maturą razem z koleżankami i kolegami z ławki szkolnej zdrwiła sobie jednak z systemu. Ten jeden raz... Jej wychowawca do dziś nie chce o tym mówić. „Ani słowa o Merkel” – powtarza Charly Horn na progu mieszkania w Templinie, nagabywany przez

dziennikarzy. A jego twarz czerwienieje przy tym i nabrzmiewa złością. „W XII klasie doszło do incydentu, o którym nie będę mówił”^[54]. Co się wtedy stało? Horn był dla uczniów „swoim chłopem”, ale ogólnie belfrem leserem. Gdy przegapił przygotowanie podopiecznych w klasie maturalnej do konkursu szkolnego, ci postanowili dać mu nauczkę i zbojkotować szkolną imprezę. Ale rozgrywka z wychowawcą nabrała wymiaru politycznego. W NRD kto nie był za, był automatycznie przeciw. Szkolnictwo podlegało Ministerstwu Edukacji Narodowej, ale organem kontrolnym była Stasi. O wszystkich incydentach dyrektor miał obowiązek informować służbę bezpieczeństwa. Godnym odnotowania faktem mogła być przesyłka z RFN, wroga wypowiedź ucznia na tematy polityczne lub węgry, interpretowane jako „dywersja ideologiczno-polityczna”^[55]. W tym sensie absencja klasy maturalnej w obligatoryjnym socjalistycznym programie kulturalnym od razu zagrażała pokojowi światowemu. Tym bardziej że jako temat przewodni artystycznej produkcji władze szkoły narzuciły wojnę w Wietnamie. Zgodnie z wykładnią obowiązującą w krajach bloku wschodniego Wietnam traktowano jako walkę postępowej idei narodowyzwolenczej z imperializmem USA. Rozumiał to świetnie pastor Kasner. I miał świadomość tego, czym w razie bojkotu maturzyści ryzykują: obłąną maturą i utratą miejsca na studiach. Angela Merkel już choćby jako córka pastora musiała jawić się dyrekcji jako prowodyrka politycznego bojkotu. „W ostatniej chwili uległa moim perswazjom. Nie pełniła żadnej funkcji klasowej, ale była ważna. Uczniowie spotkali się u nas w domu i naprędce sklecieli program” – opowiada pastor. Ale jaki?! Złożyły się na niego wiersze Christiana Morgensterna. Jeden z nich opiewał życie psa siedzącego na murze. Żaden z nauczycieli o wierszoklecie Morgensternie pojęcia nie miał. Podczas akademii nauczycielskie twarze pokryły się klasowym gniewem, gdy pedagodzy dowiedzieli się, że poeta ma burżuazyjno-mieszczański rodowód. Występujący w wierszu „mur” budził jednoznaczne skojarzenia. Zebrane podczas przedstawienia pieniądze klasa postanowiła w dodatku przeznaczyć nie na rzecz Wietnamu walczącego z USA, lecz na nieznany powszechnie marksistowski ruch rebeliancki Frelimo w Mozambiku. Występ zakończyło odśpiewanie „Międzynarodówki”, tyle że po angielsku, w języku kapitalistycznego wroga. Zapachniało prowokacją. Wymierzoną nie tylko w nielubianego wychowawcę i dyrektora gimnazjum, ale także przeciwko powiatowemu inspektorowi szkolnemu, którego żona podczas sławetnego występu siedziała w pierwszym rzędzie. W odbiorze władz oświatowych szkolna produkcja godziła w system socjalistyczny. Skandal szybko zatoczył szerokie koła. Nad maturzystami zawisła groźba niedopuszczenia do matury. W systemie enerdowskim w skład komisji maturalnej wchodził dyrektor placówki, przedstawiciele SED, FDJ, szkolnego inspektoratu powiatowego i powiatowej komisji wojskowej. Maturzysta, który chciał zdawać egzamin i studiować na wyższej uczelni, musiał wykazać się „postawą partyjną” i „przywiązaniem do NRD”. Dlatego w klasie maturalnej Angeli Merkel do akcji wkroczyła Stasi. Uczniów przesłuchiowano. Oliwy do ognia dolał wychowawca, który wskazał na swoich krnąbrnych podopiecznych jako jedynych odpowiedzialnych za skandaliczny występ. Nauczyciele sami obawiali się o swoją skórę^[56]. W NRD brak konformizmu w najbardziej banalnej nawet sprawie groził politycznymi konsekwencjami. W obawie przed nimi szkoła rozpoczęła nagonkę na winnych dywersji. Zainspirowani przez nauczycieli uczniowie innych klas wywieszali w gazetkach szkolnych pełne oburzenia oświadczenia. Jeszcze większej stygmatyzacji służyło wykluczenie winnych uczniów z ceremonii apelu. Do szkoły zostali wezwani ich rodzice. Ale ci jak jeden mąż wstawili się za uczniami. W potoku oskarżeń płynących pod adresem ich dzieci

musieli usłyszeć także i ten zarzut, że ich pociechy przychodzą do szkoły w zachodnich dzinsach. Przebrała się wówczas miara, gdyż znalezienie odpowiedniego ubrania w socjalistycznej rzeczywistości graniczyło z cudem. Wzburzeni rodzice opuścili w proteście zebranie. Co nie polepszyło położenia maturzystów. Kasner doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji i zagrożonych studiów córki. Wiedział, że system pała żądzą ukarania uczniów. „Jeden z informatorów powiedział mi, że muszę poprosić o interwencję wysoko postawioną osobę” – wspominał^[57]. Zwrócił się więc do biskupa Albrechta Schönherra, który incydent szkolny załagodził na samych szczytach – w sekretariacie do spraw kościelnych w Komitecie Centralnym SED. Jednocześnie Kasner napisał petycję skierowaną do władz SED, którą jego córka przedłożyła najważniejszemu duchownemu w Kościele ewangelickim NRD Manfredowi Stolpemu. Incydent ten lepiej niż cokolwiek innego ilustruje pozycję polityczną „czerwonego pastora”. Szkolny kawał, zamiast zakończyć się karą dla maturzystów, w tym dla panny Kasner, przyniósł im jedynie naganę ze strony rady pedagogicznej szkoły. I to bardziej wirtualną, ponieważ nie została umieszczona na świadectwie maturalnym. Mature i miejsce na studiach gimnazjaliści uratowali. System ukarał pedagogów, zdaniem władz szkolnych i partyjnych odpowiedzialnych za niską świadomość polityczną maturzystów. Wychowawcę przeniesiono karnie do innej szkoły, a dyrektor i radę szkoły wymieniono.

Dla uczennicy Angeli, jak ognia unikającej konfrontacji z socjalistycznym systemem, incydent ten pozostaje dowodem nonkonformizmu w jej enerdowskiej biografii. Jak ojciec łączyła w sobie sprzeczności: religijność z przynależnością do FDJ, wrodzony introwertyzm z działalnością społeczną, polityczny konformizm z noszeniem zachodnich dzinsów. Ale schizofrenię osobowości na większości wymuszał system. W NRD żyło się w dwóch światach. Kiedy nauczyciel składał wizytę w domu, przełączano siódmy, zachodnioniemiecki kanał TV, na piąty, wschodnioniemiecki. Socjalistyczne slogany płynęły z ust jak górski strumień, podczas gdy większość zachowywała dystans do systemu politycznego NRD. Córka pastora do ostatniego dnia w Templinie znajdowała się między frontami. Jej szkolny kolega Loeschke, który później został tam komendantem policji, opowiada interesującą historię: „Ostatni raz widzieliśmy się na dworcu kolejowym w Prenzlau. Ona jechała do Lipska studiować fizykę, ja do szkoły policyjnej w Aschersleben. Gdy chciałem ją pozdrowić, udawa, że mnie nie zna. Byłem w mundurze. I Angela Merkel się mnie wstydziła”^[58].

Spuścizna Pfarrhausu kapitałem w polityce

Na dzieciństwo i lata szkolne Angeli mentalność Pfarrhausu wywarła tak silne piętno, że nadal pozostaje pod jego wpływem. Bo także dziś potrzebuje przestrzeni, do której, jak do twierdzy, nie wdrze się nikt. W latach NRD wysokie mury Kościoła strzegły jej prywatności przed inwigilacją komunistycznego państwa. Strategia przeżycia gwarantowała utrzymanie więzów z tymi, którzy również szukali ochrony przed „obcymi z zewnątrz”: policją, szpiclami, komunistami, wścibskimi sąsiadami. Angela stale musiała uważać na to, co i do kogo mówi, jak daleko może się posunąć. Jak wtedy, gdy relacjonowała na lekcji swoje wrażenia z praskiej wiosny. Jednym niepotrzebnie wypowiedzianym słowem mogła narazić na niebezpieczeństwo siebie, rodzinę, przyjaciół. A skoro i dzisiaj także znalazła się na celowniku, tym razem mediów, rywali i wrogów politycznych, to swoją strategię przetrwania i wyniesioną z ewangelickiej plebanii zaimplantowała w prezydium CDU, najważniejszym gremium partii, oraz w Urzędzie

Kanclerskim. Otoczyła je wysokimi murami, za którymi chroni siebie i swój team. Każdy współpracownik Urzędu Kanclerskiego czy prezydium partii wie, że jeśli nie utrzyma języka za zębami, wyleci. Kto bowiem raz znalazł się pod obserwacją, ten stale kontroluje swoje uczucia i myśli. Ta powściągliwość, perfekcyjna autokontrola i dyskrecja wraz z samodyscypliną okazują się niezwykle przydatne na stanowisku szefa CDU i kanclerza kraju. Bo nakładając sobie knebel, Merkel unika rozgłosu i upublicznienia swojego życia prywatnego. Nie jest też pyszałkowatą polityk celebrytką. A to właśnie ten archetyp, rozkoszujący się własnym ekshibicjonizmem i serwujący na tacy mediom swoje życie prywatne, dużo częściej pada ofiarą skandalu politycznego czy obyczajowego, ginąc ostatecznie w politycznym niebycie. Włoski ekspremier Silvio Berlusconi i francuski eksprezydent w spółce z Carłą Bruni nie są jedynymi, choć najbardziej prominentnymi przykładami ostatnich lat – zmiecionymi przez wiatr historii. Tymczasem Angela Merkel nie skalała się ani jednym skandalem. Ale cóż Niemcy wiedzą na przykład o jej mężu, profesorze chemii Joachimie Sauerze? Aż tyle, że ochrzcili go „fantomem”^[59]. Wszystko, co o nim wiadomo, pochodzi wyłącznie z ust samej Merkel. W skromnych ilościach i dobrze przefiltrowane. „Tyle, ile jest konieczne, by przeżyć” – wyjaśnia pani kanclerz ze smutkiem. Ot, choćby to, że mąż czasami przegląda rękopisy jej przemówień. Albo krytykuje jej wystąpienie w Bundestagu: zbyt często podnosiła palec w geście ostrzeżenia. I że ona sama zachwyca się jego opanowaniem. W jednym z talk-shows okrzyknęła go „superfacetem”, a konwersacje z nim nazwała „esencjonalnymi”, bez których jej myślenie byłoby „jednowymiarowe”. Z kolei w innej rozmowie telewizyjnej zdradziła, że bardzo lubi gotować mężowi obiady rodem z ciężkiej kuchni niemieckiej: rolady, kotlety, kartoflanek. Na sylwestra pieczoną gęś i oczywiście placek ze śliwkami, za którym sama nie przepada. Po kilku latach kanclerstwa przeciekło jeszcze do prasy i to, że pralkę w domu włącza ona, ale męża-profesora wysyła w weekendy z kartką na zakupy. Tajemnicą poliszynela jest także i to, że „spija kawę za kawą”, boi się burzy, a „kiedy obiera warzywa w kuchni, przychodzą jej do głowy genialne rozwiązania polityczne”^[60].

Kiedyś zdradziła tygodnikowi „Der Spiegel”, że „w jednej czwartej płynie w niej polska krew”^[61]. Czy dlatego w Elblągu taksówkarze pokazują turystom „dom Merkel”? Neoklasyccyścianą kamienicę z płaskorzeźbami na świeżo odnowionej fasadzie i kutymi balustradami na balkonach? Stoi ona dokładnie naprzeciwko stacji PKP, przy głównej ulicy miasta, prowadzącej od dworca do centrum. W 2007 roku, po przejęciu rządów przez PO Donalda Tuska, kamienicę odnowiono. Prezent premiera Kaszuba dla krajanki? Faktycznie przed stu laty, gdy Elbląg należał do Prus, mieszkali w niej przodkowie dzisiejszej kanclerz – po kądzieli. Emil Richard Drange z żoną Emmą i czwórką dzieci, jak wyszperał historyk elbląski Lech Słodownik. Jak na członka magistratu przystało, Emil Drange zajmował przestronne, dwustumetrowe mieszkanie na pierwszym piętrze. Syn prostego młynarza zrobił oszałamiającą karierę urzędniczą w cesarstwie niemieckim. Ale nie miał nic wspólnego z polskością. Urodził się w 1866 roku w państwie Hohenzollernów na Dolnym Śląsku, w Unruhstadt (dzisiejszej Kargowie) w powiecie Babimost. A ożenił z pięć lat młodszą Emmą Wachs, rodem z pobliskiego Rietscheitz (dzisiejszych Jerzmanowic koło Głogowa). Także Emma była kobietą o niemieckich korzeniach. Jej matka nosiła typowo niemieckie nazwisko Günther. W ostatniej dekadzie XIX wieku Emil i Emma byli już małżeństwem. W 1891 roku urodziła się im pierwsza córka Gertrud. Siedem lat później rodzina przeprowadziła się z Głogowa do Elbląga, w którym Emil otrzymał posadę asystenta magistrackiego. Ambitny

ojciec rodziny wdrapywał się po kolejnych szczeblach urzędniczej kariery. Aż dochrapał się tytułu nadsekretnarza miejskiego, najwyższego, jaki mógł osiągnąć człowiek jego stanu. Żył skromnie, pomieszkując z rodziną w mieszkaniach czynszowych. Dopiero w 1910 roku z uciulanych oszczędności i dzięki wsparciu majątnych rodziców żony nabył reprezentacyjną, trzypiętrową kamienicę. Z tyłu domu spełniony ojciec sadził jodły z okazji narodzin kolejnych pociech. Sukces życiowy Emil Drange opłacił jednak utratą zdrowia. Zmarł jeszcze przed pięćdziesiątką. Wdowa pozostała w mieszkaniu z dziećmi. Najstarsza z córek, 22-letnia Gertrud, obrała jedyną możliwą wtedy dla kobiet drogę kariery – została nauczycielką. Niedługo jednak pomieszkała z matką pod jednym dachem. Poszła za głosem serca, wychodząc za mąż za Williego Jentzscha, dyrektora gdańskiego gimnazjum. W 1921 roku przeprowadziła się do niego. Ale i Willi Jentzsch nie miał polskiego rodowodu. Gniazdo rodzinne Jentzschów znajdowało się w niewielkiej miejscowości Wolfen w Saksonii. Końcówka nazwiska „-icz” (-tzsch), sugerująca polskie pochodzenie, występuje powszechnie w środkowych Niemczech, także w nazwach miejscowości, i ma nie polskie, tylko serbsko-łużyckie korzenie. W 1928 roku Jentzschom urodziła się córeczka Herlind, matka Angeli Merkel. W Gdańsku mieszkali oni do 1936 roku. Nie wiadomo, czym się kierowali, gdy przeprowadzili się do portowego Hamburga.

Zagadkę enigmatycznego stwierdzenia Merkel, która o rodzinie nie opowiada, rozwiązał niedawno dziennikarz monachijskiej gazety „Süddeutsche Zeitung” Stefan Kornelius. Jej dziadek nazywał się swojsko Ludwik Kazimierczak^[62]. Na świat przyszedł w 1896 roku w niemieckim od czasów drugiego rozbioru Polski Poznaniu, kilka lat po ustąpieniu z urzędu Żelaznego Kanclerza Bismarcka. Był nieślubnym dzieckiem niemającej Anny Kazimierczak, mieszkającej wraz z synem na Grabenstrasse 14/56 (dziś ul. Grobla). Po przyłączeniu Wielkopolski do powstałego po upadku cesarstwa niemieckiego państwa polskiego spakował walizki, osiedlił się w Berlinie i został policjantem. Musiał czuć się Niemcem do szpiku kości, skoro nie tylko dał nogę z Polski, ale w 1930 roku, w szczytowym okresie napięcia między Republiką Weimarską i II Rzeczpospolitą Piłsudskiego, zmienił nazwisko na Kasner. Urodzony w 1926 roku jego syn, późniejszy ojciec Angeli Merkel, wchłaniał opary już wyłącznie niemieckiej kultury. I to w takim zagęszczeniu, że wybrał powołanie pastora luterańskiego. Jego córka z polskością nie ma nic wspólnego. Dziadka nigdy nie poznała. Zmarł, nim się urodziła. Ni w ząb nie rozumie też języka polskiego. Jej polskie pochodzenie nie ma absolutnie żadnego przełożenia na jej politykę wobec Polski. Merkel nie kieruje się sentymentem, tylko wyłącznie niemiecką racją stanu. I trzyma język za zębami. Tak jak jej mąż profesor Joachim Sauer, który jak ognia unika mediów. Opinia publiczna w Niemczech do dziś dysponuje zaledwie kilkoma jego cytatami. Najdłuższa z tych wypowiedzi pochodzi z maila napisanego kilka dni przed wyborem żony na kanclerza Niemiec, we wrześniu 2005 roku: „Zdecydowałem się nie rozmawiać z dziennikarzami i nie udzielać im żadnych wywiadów, które nie dotyczą mnie jako nauczyciela akademickiego, a które odnosiłyby się do politycznej działalności mojej żony”^[63].

Niezwykłe rzadko pojawia się w blasku fleszy u jej boku. Nawet podczas jej pierwszego zaprzysiężenia na kanclerza nie siedział na trybunie, tylko w swoim uniwersyteckim laboratorium. Wyjątkowo często, bo aż trzy razy, zdarzyło mu się publicznie wystąpić w roli First Husband w 2009 roku: na szczycie NATO w Baden-Baden, podczas wyborów prezydenta Niemiec w Bundestagu i na festiwalu Wagnera w Bayreuth. W 2011 roku towarzyszył żonie

podczas spotkania z papieżem Benedyktem XVI, który składał wizytę w Niemczech. Monsieur Merkel, jak go nazywał były prezydent Francji Nicolas Sarkozy, jeżeli jest już obecny u boku żony na szczytach G8, nieformalnego rządu światowego, to bez kompleksów bierze udział w tak zwanych programach kobiecych, przygotowywanych każdorazowo przez gospodarza szczytu dla towarzyszących mężom pierwszych dam. W Berlinie zmieniono nawet nazwę tych programów – z „Damenprogramm”, na „Partnerprogramm”.

Także matka Angeli Merkel bojkotuje mikrofon. Brat Marcus, fizyk na uniwersytecie w Magdeburgu, raz udzielił wywiadu lewicowemu dziennikowi z Berlina „Tageszeitung”, ale ani razu nie zająknął się przy tym o siostrze. Pastor Kasner do końca życia unikał mediów oraz tematu córki. „To nie jest w moim stylu”^[64] – odpowiadał pukającym do jego drzwi dziennikarzom. Cały klan Merkel skrywa się za murami twierdzy. Wszyscy jego członkowie mentalność Pfarrhausu mają we krwi, wszyscy praktykują strategię milczenia. A może Angela Merkel miałaby ją zmienić? Może jej wyborcy powinni wiedzieć, co we wtorki porabia profesor chemii? Kogo pani kanclerz w swoim urzędzie nie lubi i za co? Czyż Merkel nie stałaby się wtedy bliższa swoim wyborcom? Cóż za nedorzecznosc! Dlaczego miałaby zmieniać strategię, która przynosi jej sukces? Angela Merkel wie doskonale, że długi język i celebryckie maniere prowadzą do zguby. Jeżeli ktoś chce rozkwitać w świetle jupiterów, proszę bardzo, ale nie ona. Dlatego też sprawdzoną w NRD strategię milczenia z powodzeniem stosuje w chadeckiej centrali i w Urzędzie Kanclerskim. Ku rozczarowaniu wścibskich dziennikarzy z posiedzeń jej gabinetu i z codziennych porannych narad nie wychodzą żadne przecieki. W obrębie wysokich murów powiedzieć można wszystko. Poza nimi najlepiej nic. Jeśli w NRD wokół Pfarrhausu krążyły szakale z bezpieki, to teraz wokół Urzędu Kanclerskiego czają się zawsze gotowe do rozszarpywania dziennikarskie hieny i sępy. Paparazzi polują na nią dniem i nocą. Bezskutecznie. Także dlatego, że Angela Merkel, inaczej niż armia współczesnych polityków, dzięki protestanckiej cnotce skromności i żelaznej samodyscyplinie nie ulega magii blichtru i próżności. Unika pułapek, w które często wpadają politycy. Bo trudno wyobrazić sobie, by rozstała się z mężem, zamieniając go na hollywoodzkiego aktora czy nawet na Reinholda Messnera, z którym razem wędruje po wysokich Alpach. Imprezy bunga bunga? Wykluczone. Podobnie jak korupcja. Merkel odmówiła nawet sławnym projektantom mody, gotowym do zasypania jej darmowymi kreacjami. Dlatego nie trafia na języki i na pierwsze strony kolorowej prasy. Wychowana w surowości protestanckiego domu rodzinnego, dzięki dyskrecji i brakowi próżności, mocno trzyma się w kanclerskim siedle.

Fizyk władzy

Postrzeganie siebie z dystansu jako jednej z wielu zmiennych w układzie sił decyduje o przewadze Merkel nad politykami z temperamentem, w których żyłach płynie krew, nie prąd.

Hajo Schumacher, publicysta^[1]

Umysł fizyka

O mały włos Guido Westerwelle, giętki dyplomata, którego talent i ambicja wywindowały na stanowisko szefa Wolnej Partii Demokratycznej (FDP), a w przyszłości miały zapewnić posadę ministra spraw zagranicznych Niemiec, przegapiłby pięćdziesiąte urodziny Angeli Merkel. W lipcu 2004 roku na jego biurko dociera zaproszenie prezydium CDU na wykład „Mózg. Przykład samoorganizacji kompleksowych systemów”. Na takie imprezy Westerwelle czasu nie ma. Zaproszenie ląduje na dnie szuflady, tak jak w przypadku połowy politycznego establishmentu w Berlinie. Dopiero uważna lektura drobnitkiego druku na zaproszeniu informuje o tym, że po wykładzie jego uczestnicy będą mieli możliwość pogratulowania Angeli Merkel. Wykład bowiem stanowi centralny punkt uroczystości urodzinowych zorganizowanych przez wierchuszkę CDU dla swojej przewodniczącej. Taki prezent Angela Merkel zażyczyła sobie od chadeckiej partii na swoje półwiecze na rok przed objęciem fotelu kanclerza.

W dniu uroczystości w berlińskiej centrali CDU, Konrad-Adenauer-Haus, zjawiała się cała śmietanka chadecji, wielkiego biznesu i mediów. Westerwelle zdążył jeszcze kilka godzin wcześniej wysłać solenizantce esemesa z pytaniem, czy na galę może przybyć z partnerem, 38-letnim dyrektorem turnieju jeździeckiego w Akwizgranie. Merkel oporów nie miała^[2]. W ten sposób przyszedł szef niemieckiej dyplomacji przy okazji pięćdziesiątych urodzin przyszłej pani kanclerz wprowadził na berlińskie salony swojego partnera. „To wielka miłość” – napisał potem plotkarski magazyn „Bunte”^[3]. Gejowska para stała więc na urodzinach Merkel w centrali chadeckiej partii ramię w ramię z kardynałem Karlem Lehmannem, biskupem Moguncji. Wspólny toast za zdrowie przewodniczącej CDU musiał głęboko wstrząsnąć purpuratem. To samo przeżycie Angela Merkel zafundowała ultrakonserwatywnemu szefowi siostrzanej partii CSU Edmundowi Stoiberowi.

Gdy zaczyna się wykład, Stoiber i kardynał siadają w pierwszym rzędzie, blisko Angeli Merkel, otoczonej rodziną: dwójką mniej sławnego rodzeństwa i matką. „Czerwony pastor” nie przyjechał. Z lewicowym sercem bojkotuje uroczystość spod znaku niemieckiej prawicy. Nie widzi więc, jak przy pulpicie na scenie stoi profesor z gęstymi brwiami i kolorowymi lwami na krawacie – Wolf Singer, naukowa sława w neurofizjologii w zakresie badań nad mózgiem, dyrektor prestiżowego Instytutu Maxa Plancka we Frankfurcie nad Menem. To właśnie jego

wykładem zamiast kolejnej laudacji postanowiła uraczyć się jubilatka^[4]. Przed profesorem na ekranie wyświetlane są zdjęcia mózgu ślimaka i człowieka. „Różnica między mózgiem ślimaka a człowieka sprowadza się jedynie do rozmiaru kory mózgowej. Ich struktury pozostają te same” – wyjaśnia profesor. Siedzący blisko Angeli Merkel sekretarz generalny CDU Laurenz Meyer wierci się niespokojnie. Jakby nie dowierzał. Przed chwilą sam wygłaszał laudację. Ale w jego przemówieniu ludzki mózg, dzieło Stwórcy, wykazywał podobieństwo do płyty kompaktowej najnowszej generacji. Nie do ślimaka. Meyer zerka nerwowo to na profesora, to na Merkel. Przewodnicząca CDU przyryka powieki. W największym skupieniu słucha wykładu. Czym przypomina medytujących buddystów lub pacjentów na zbiorowej psychoterapii. Gdyby katolicki sekretarz generalny miał taką możliwość, to pewnie zamiast wywodów Singera podarowałby swojej przewodniczącej na urodziny patronat honorowy nad sierocińcem na Haiti lub ekologiczną plantacją herbaty w Indiach. Tymczasem Meyer musi zdzierżyć to, że profesor, pokazując palcem na ślimaka, objaśnia swoją neuroteorię. Po pierwsze, w mózgu nie ma zarządzającej nim centrali, jednego konkretnego miejsca, które wydawałoby polecenia. W mózgu nie siedzi jakiś homunkulus, który pociągałby za sznurki. Postrzeganie składa się z wielu równoczesnych procesów splatających się w całość. Po drugie, swoboda podejmowania decyzji jest wielką iluzją. Wszystko, co czyni człowiek, lub czego nie czyni, determinują neurony. Człowiek jest w swoim działaniu ubezwłasnowolniony; w życiu, w miłości, w polityce. „Następne zdjęcie proszę” – zarządza profesor, który jako koryfeusz determinizmu neurologicznego podważa istnienie sumienia i duszy^[5]. Gdy to mówi, kardynał Lehmann marszczy brwi. „Tak wyglądają pomiary mózgu kota” – jak w transie objaśnia Singer widoczną na następnym zdjęciu wiązkę promieni. „Nie wszystko trzeba zapamiętać” – pociesza. Ale Guido Westerwelle jak wzorowy uczeń pilnie notuje każde słowo. Dalej jednak nie rozumie, dlaczego Angela Merkel w prezencie urodzinowym zażyczyła sobie wykładu Singera o mózgu. Na chwilę przekręca głowę i widzi, że Stoiber jak przed chwilą Meyer też niespokojnie kręci się w fotelu. Katolikowi z Bawarii nie w smak wykład podważający naukę Kościoła. I jak cała reszta gości doszukuje się w wykładzie drugiego dna – politycznego.

Profesor tłumaczy kolejne zdjęcie. Podbródek sekretarza generalnego definitywnie opada. Meyer, początkowo nerwowy, zapada w drzemkę niezbędną politykowi między serią ważnych spotkań. Tak widocznie chciały neurony. Zresztą cóż politykowi po neurofizjologii. Jej wielki badacz dociera tymczasem do Kartezjusza: „Myślę, więc jestem? Nieprawda” – zaprzecza Singer słowom genialnego filozofa. „Jesteśmy częścią procesu ewolucji, którym nie możemy sterować. Mózg podejmuje decyzje, na długo nim je sobie uświadomimy. Pomyłkę musimy rozumieć jako konieczność, bo ewolucja jest produktem mutacji i selekcji, czyli przypadku. I musimy rozstać się z utopią planowania przyszłości”. Na ekranie pojawiają się śmieszne figury, bez ładu i składu. To neurony. Na nich opiera się teoria Singera. Uchodzi za przełomową. Dlatego jej twórca jest właśnie specjalnym gościem u polityka mózgowca Angeli Merkel. „Nic nie da się przewidzieć, nie wiemy, co będzie za pięć lat” – puentuje uczony^[6]. Na dźwięk tych słów Angela Merkel odpręża się. Dla niej, doktor fizyki, zawikłane wywody akademickie są strawą lekką. Nie wszystkie z nich przyjmuje bezkrytycznie. „Najnowsze badania nad mózgiem są fascynujące. Ale niektóre tezy, jakie się z nich wyprowadza, przypominają wypowiedzi kosmonautów, którzy twierdzili, że byli w kosmosie, ale nie widzieli Boga. Debatę o wolnej woli neurofizjologów powinni pozostawić filozofom” – komentuje^[7]. Chadecy są sfrustrowani. Teorię chaosu kompleksowych systemów i wywody

o mózgu jako obiekcie niebędącym stałym centrum dowodzenia budzą ich przerażenie. Skoro Singer udowadnia, że nie wszystko można wytłumaczyć rozkazami wydawanymi przez ośrodek decyzyjny niższym strukturom, to planowanie skazane jest na porażkę, a zmiany najlepiej przeprowadzać małymi krokami. Czyżby w łeb brały plany wielkich reform politycznych? Jak tu pogodzić się z wnioskami profesora o nieuchronności błędzenia, popełniania pomyłek i braku wpływu na proces ewolucji, który sprowadza ludzkość do bezwiednie toczącej się piłki. Oprócz niemiłych dla ucha wywodów niesmak chadeckich wiarusów budzi sama forma uroczyści. Zamiast tradycyjnego koncertu Schuberta lub Liszta, a najlepiej orkiestry dętej, zaserwowano im wykład darwinisty. Element obcy w politycznym biznesie. Za kanclerza Kohla urodziny obchodzono z niekończącą się liczbą laudacji. Potem golonka dla jednych, kawior dla drugich. I dużo francuskiego szampana.

Na pięćdziesiątych urodzinach Merkel nastrój siadł jeszcze bardziej, gdy sznurek chadeków poczłapał w stronę bufetu. Przyzwyczajeni do szampana i kawioru lub golonki, wykrzywiali twarze: w dniu swojego jubileuszu Merkel zaserwowała im piwo i rolmopsy w occie, specjal z jej brandenburskiej ojczyzny. Przegryzając śledzia, chadecy gorączkowo rozmawiali o zwojach nerwowych i ewolucji. Nawet ci, którzy się przespali, zachodzili w głowę: co przewodnicząca CDU chciała im tym wykładem powiedzieć? Gdzie kryje się polityczny przekaz? Czyżby w tym, że każdy z nich jest tylko niewielkim laboratorium neuronów? Bez strategii i planu? A może, drapała się po głowie wewnątrzpartyjna konkurencja Merkel, skoro niczego nie można zaplanować, to i niczemu, co ona robi, przeszkodzić? „Zanotowałem sobie, że plany pięcioletnie są bez sensu. Ale to wiedziałem wcześniej” – oświadczył chępliwie Westerwelle, który, choć pilnie słuchał, też nie zrozumiał słów profesora^[8]. A ten ideę wielkiej politycznej wizji sprowadził z nieba na ziemię. Skoro ludzki mózg pracuje tak kompleksowo, to nie można szczegółowo zaplanować monumentalnych projektów. Lepiej politykę uprawiać małymi krokami. Eksperymentować metodą prób i błędów. I zamiast sztywną ideologią kierować się praktyką.

Po wykładzie chadecy byli jednak tak samo mądrzy jak przed nim. Nie wyszli poza ciasny gorset myślenia polityka. Bo wszyscy oni są pozbawieni myślenia charakteryzującego umysły ścisłe. Politycy myślą dedukcyjnie, wyciągając z ogólnych przesłanek wnioski dotyczące szczegółu. Oto ich logika: „Skoro ludzie mają mózgi, a blondynka jest człowiekiem, to każda blondynka posiada mózg”. Zupełnie inaczej rozumują przedstawiciele nauk przyrodniczych i ścisłych, preferujący myślenie indukcyjne, od szczegółu do ogółu. „Skoro zrobiono tomografię wielu blondynkom i stwierdzono u nich występowanie mózgu, to znaczy, że wszystkie blondynki mają mózg”. W rozumowaniu indukcyjnym hipotezę formułuje się w oparciu o niepełną ilość przesłanek. W nauce większość rozumowań ma charakter indukcyjny, a kluczową rolę odgrywa element zgadywania, przypuszczenia i wykorzystania informacji niepełnych. „Jest więc bliski temu, co nazywamy intuicją”^[9]. Szukając rozwiązań, przyrodnicy, którzy spowodują wypadek samochodowy, zapytają: „W jaki sposób uzyskać najkorzystniejszą wypłatę od firmy ubezpieczeniowej?”. Czyli jak rozwiązać problem. W przeciwieństwie do nich humaniści i politycy będą analizować: „Dlaczego akurat mnie musiał przytrafić się wypadek?”.

Angela Merkel myśli indukcyjnie, czym odróżnia się od politycznej konkurencji. I co zapewnia jej sukces. Dedukcyjnie myślący politycy nie potrafią przejrzeć i unicestwić jej planów. Ona natomiast, stosując eksperymentalną metodę prób i błędów, rozszyfrowuje ich zamierzenia i trafnie ocenia ich samych, zostawiając w pobitym polu. Jak to się stało, że Angela

Merkel uzbroiła się w oręż myślenia indukcyjnego?

Do polityki trafiła dopiero w wieku trzydziestu pięciu lat. Nie przechodziła więc dedukcyjnego prania mózgu, które jest udziałem polityków zaczynających kariery w młodzieżowych przybudówkach partyjnych. Za to od młodości ćwiczyła się w sztuce indukcji.

Studia na Uniwersytecie Karola Marksa

Pod koniec gimnazjum zafascynowała ją fizyka: „Chciałam zrozumieć teorię Einsteina, by pojąć, co myśleli skupieni wokół Oppenheimera naukowcy, gdy budowali bombę atomową. Dlatego wybrałam fizykę”^[10]. Wbrew ojcu, który marzył, by poszła na teologię. Już wtedy musiała targać nią silna chęć przecięcia pępowiny z autorytarnym pastorem. I udowodnienia mu, że jest coś warta. Przy wyborze kierunku studiów w grę wchodził jeszcze jeden motyw. Studia fizyki wydawały jej się w NRD najmniej zideologizowane. Nie uciekła jednak przed indoktrynacją. Państwo SED zatroszczyło się bowiem o to, by także studenci fizyki „wnosili swój wkład w kształtowanie świadomej postawy państwowej i etosu socjalistycznego”^[11]. Na równi ze studium innymi kierunkami musieli przez cztery lata zakuwać rosyjski i bełkotliwą teorię marksizmu-leninizmu. A po każdym roku zdawać z nich egzamin^[12]. Jego oblanie równało się wyrzuceniu ze studiów.

Uniwersytet w Lipsku, niewiele młodszy od Jagiellońskiego w Krakowie, wraz z renomowanym Instytutem Fizyki, który do II wojny światowej wydał kilku noblistów, przekuto w NRD na wylęgarnię czerwonej inteligencji. W 1953 roku, „pomny pamięci wielkiego humanisty, genialnego naukowca i uczciwego niemieckiego patrioty, przybrał zaszczytne imię Uniwersytetu Karola Marksa”. Z ojcem marksizmu w nazwie kroczył w pierwszym szeregu enerdowskich uczelni „broniących pokoju”, „zwalczających reakcyjne, faszystowskie i imperialistyczne dążenia, które w przeszłości wyrządziły wiele krzywdy niemieckim uniwersytetom”^[13]. Ten bełkot w praktyce oznaczał wzięcie kadry naukowej i studentów w karby podwójnej inwigilacji: partii i Stasi. Jak wielkim zaufaniem władz cieszył się lipski uniwersytet, świadczy fakt utworzenia tam jedyne w kraju Instytutu Dziennikarstwa, podległego bezpośrednio Wydziałowi Agitacji i Propagandy SED. Ochrzczony mianem „czerwonego klasztoru”^[14], wyrósł na kuźnię reżimowych dziennikarzy i agentów bezpieczeństwa. W Lipsku socjalistyczny porządek zaprowadzono nawet w uczelnianej architekturze: z inicjatywy senatu i przy błogosławieństwie wierzchuszki SED władze miasta w 1968 roku postanowiły w barbarzyński sposób wysadzić w powietrze nieuszkodzony w latach II wojny światowej akademicki kościół św. Pawła, architektoniczną perełkę ze średniowiecza, wraz z trzema historycznymi kolegami. Ich miejsce zajął koszmarny wieżowiec z szarego betonu, symbolizujący nowy porządek społeczny. Kiedy Angela Merkel rozpoczęła studia, betonowy kłoc akurat został świeżo oddany. Wszystko to niewiele miało wspólnego z patronującym uczelni Marksem. Z takiego uniwersytetu sławny filozof z pewnością by się natychmiast wypisał, o ile ze swoim mieszczańskim pochodzeniem w ogóle by się na niego dostał. Sam Instytut Fizyki korzystał z bezpośredniego wsparcia ze strony „najwyższych czynników w państwie”, kiedy SED wylansował hasło „ofensywy przemysłowej” „forsowanej przy wyteżonym wsparciu nauki”. Instytut Fizyki w Lipsku przerobiono wtedy na „wzorcowy” dla wszystkich pozostałych instytutów fizyki w kraju^[15].

Uniwersytecki biotop w Lipsku w latach studiów Angeli Merkel (1973–1978) jeszcze bardziej spowiły czerwone opary, gdy reżim Honeckera w całym kraju rozpoczął przykręcanie ideologicznej śruby. W 1974 roku nowa konstytucja uznała NRD za „socjalistyczny kraj robotników i chłopów”. Hymn, którego słowa ewokowały przyszłe zjednoczenie dwóch niemieckich państw, mógł być odtąd wykonywany tylko instrumentalnie. Polowania na dysydentów zwieńczono wydalaniem z NRD dwóch czołowych pisarzy, Wolfa Biermanna i Reinera Kunzego. Solidaryzujących się z nimi intelektualistów także zmuszono do emigracji.

Songów Biermanna słuchała Angela Merkel chętnie. Ale nie wsparła nielicznych studentów protestujących w Lipsku, solidaryzujących się z Biermannem. Za to od razu została aktywistką uczelnianej FDJ. I w tym przypadku był to balsam na jej zaniżone poczucie własnej wartości. W FDJ czuła się potrzebna. Ale w Lipsku to właśnie młodzieżówka partyjna wślawiła się głośną nagonką na Biermanna. Stąd część kolegów i koleżanek z roku studentkę z Templina zapamiętała „jako zapalczywą propagandzistkę”^[16]. Ona sama swoją aktywność w FDJ opisuje dziś jako organizowanie biletów do kina czy teatru. Rozbieżności tych rozstrzygnąć nie sposób. Musiała jednak Merkel uczestniczyć w cyklach szkoleniowych dla „aktywu młodzieżowego”. Możliwe też, iż należała do „kolektywu kierowniczego” koordynującego robotnicze praktyki letnie. Zapędzani do nich w okresie wakacji studenci wykonywali użyteczne prace społeczne. Ona sama z łopata w ręku odgruzowywała jedną ze średniowiecznych baszt obronnych w Lipsku, w której miał powstać klub studencki. Inny rodzaj studenckich praktyk robotniczych, którymi w NRD wyrównywano dotkliwy deficyt rąk do pracy, zawiódł ją do pralni. Tam prasowała koszule rosyjskich żołnierzy. „Taka praca nie szkodzi nikomu” – skomentowała po latach^[17].

Ponury socjalizm nie zakłócił jej radości studiowania. Dużo czasu spędzała w klubie studenckim. Do najlepszych tancerzy nie należała. Za to wieczorami wystawała za barem i nalewała drinki. Jej specjalność – wódka z wiśniami. Zarabiała 30 fenigów od szklanki. Do kieszeni wpadało jej średnio 30 marek na tydzień. Połowa czynszu za pokój w akademiku. Dorywczą pracą reperowała swoje marne finanse: 250 marek stypendium. 120 marek zarobione w barze było całkiem niezłą sumką, skoro w tym czasie gazeta kosztowała 10 fenigów, tabliczka czekolady 4 marki, paczka kawy (125 g) 8 marek, ale lodówka już 1,1 tysiąca, radiomagnetofon 1,2 tysiąca, a telewizor kolorowy 4,1 tysiąca marek. Merkel uwijała się wieczorami za barem, a w ciągu dnia sama musiała postarać się o składniki do alkoholowego koktajlu. Między seminariami wyskakiwała więc na zakupy, taszcząc do klubu to butelki wódki, to syropu. Szybko też nauczyła się, jak przy nalewaniu drinków przechylać szklanki, by ich zawartość wydawała się nieco większa.

Kielkujące w niej myślenie indukcyjne przebijało się niemal w każdej sytuacji. Na przedostatnim roku studiów (1977) wyszła za mąż za kolegę z roku, Ulricha Merkela. „Urzekła mnie swoją otwartością” – wyjaśniał nie tak dawno dziennikarzom^[18]. Dla początkującej fizyk natomiast przesądzający motyw do zawarcia małżeństwa stanowiła zimna kalkulacja: możliwość szybkiego uzyskania taniego mieszkania. W NRD przysługiwało ono ustawowo małżeństwom^[19], wraz z prawem do zaciągnięcia kredytu do 7 tysięcy marek, z zerowym oprocentowaniem, a w przypadku wydania na świat trójki dzieci pełnym jego umorzeniem^[20]. Tak w ramach polityki prorodzinnej władze starały się zwiększyć dzietność w socjalistycznym kraju. A konkurując z kapitalistycznym RFN na każdym polu, także demograficznym, dążyły do podwojenia liczby mieszkańców. Ulrich i Angela potomstwa nie

mieli, ale dość szybko zdecydowali się na ślub. Ulrich Merkel, agnostyk z przekonania, zgodził się nawet na kościelny. Ceremonia odbyła się w kaplicy w Templinie. Ślubu udzielił nie ojciec Angeli, lecz jeden z młodszych pastorów. Panna młoda miała na sobie jasnoniebieską sukienkę. Na miesiąc miodowy małżonkowie wyjechali na wyjątkowo mało romantyczną, smaganą wiatrem i deszczem bałtycką wyspę Hiddensee.

Zaraz potem para wprowadziła się do swojego gniazdka w akademiku. Za 20 marek miesięcznie. Cisnęła się na 10 metrach kwadratowych, w pokoju z łóżkiem, szafą i dwoma biurkami, dzieląc toaletę i łazienkę z trzema innymi użytkownikami. Jednak w tym samym czasie większość studentów gnieździła się w niewiele większych pokojach, tyle że czteroosobowych. „Merkel cechowało chłodne, racjonalne rozumowanie, wszystko planowała z głową, nawet w życiu osobistym nie znosiła chaosu, zawsze wiedziała, czego chce” – twierdzi jej kolega ze studiów^[21]. W tym okresie najwięcej czasu spędzała nad fizyką teoretyczną i eksperymentalną. Tę pierwszą miała w małym palcu. Drugiej się zachłannie uczyła. Na salach wykładowych, w laboratoriach, przy rozwiązywaniu równań w domu rozwijała swoje zdolności „do wychwytywania związków przyczynowo-skutkowych, efektywnego eksperymentowania i opracowywania katalogu pytań w zakresie nauk przyrodniczych i ścisłych”, jak to ujmował sylabus dla studentów fizyki „czerwonego uniwersytetu”^[22]. Gimnastykowała myślenie indukcyjne. „Bardzo dużo liczyłam, nad równaniami spędzałam mnóstwo czasu, eksperymentowałam. Teoria fizyki sama wchodziła mi do głowy” – przyznała^[23].

Trudności przysparzało jej zaliczanie zajęć sportowych. W nastawionym na osiągnięcia sportowe NRD fizyczna sprawność obywateli decydowała niemal o sprężystej sile socjalistycznego państwa. Tymczasem Angela Merkel oblała bieg na setkę. Zaliczyła go dopiero w drugim podejściu, ale – jak sama przyznała – tylko dzięki temu, że mierzący czas nauczyciel za późno nacisnął stoper.

Pracę dyplomową pisała u profesora Reinholda Haberlandta, prowadzącego badania naukowe pod dachem Akademii Nauk. Wśród studentów Haberlandt uchodził za „ostrą kość”. By sprostać jego wymaganiom, dyplomantka spędziła wiele samotnych miesięcy w mrocznym i oszpeconym rurami pokoiku na poddaszu lipskiej filii Akademii Nauk. Jej praca dyplomowa „Wpływ korelacji przestrzennych na szybkość reakcji w elementarnych reakcjach bimolekularnych w ośrodkach gęstych” wymagała przeprowadzania niekończących się obliczeń. Ciągi matematyczne wypełniały większość stron rozprawy. Promotor błędu nie znalazł i pracę ocenił na piątkę. Miesiące spędzone na poddaszu przy pisaniu rozprawy dyplomowej jeszcze bardziej wygimnastykowały umysł Angeli Merkel w myśleniu indukcyjnym. A dyplom fizyka renomowanego, a zarazem „czerwonego” uniwersytetu otwierał jej drogę do dalszej kariery naukowej.

W Akademii Nauk NRD

Małżeństwo w NRD dawało jeszcze inne przywileje, na przykład możliwość podjęcia pracy przez obydwójce małżonków w tym samym miejscu zamieszkania^[24]. Tę korzyść Merkel także wówczas uwzględniła w swojej kalkulacji.

Angela i Ulrich Merkelowie są dopiero rok po ślubie, gdy postanawiają aplikować na politechnikę w Ilmenau. To renomowana uczelnia z interesującym nowym kierunkiem –

bioniką. Gdy absolwentka „czerwonego uniwersytetu” zjawia się na rozmowie kwalifikacyjnej, doznaje szoku. Konwersacja z pracownikami naukowymi instytutu przebiega gładko. Ale gdy później przechodzi do sąsiedniego pokoju, czuje, jak oblewa ją zimny pot. Dwaj panowie, którzy siedzą po drugiej stronie stołu, w trakcie rozmowy zonglują intymnymi detalami z jej życia. Wiedzą, jak często słuchała zachodnioniemieckiego radia, kiedy zakładała nowe dzinsy, znają treść jej rozmów z uniwersyteckich korytarzy. W głowie Angeli kłębią się ponure myśli. Powoli dociera do niej, że w Ilmenau musiała wylądować jej personalna teczka z Lipska, a zawartość tejże pęczniała dzięki donosom studiujących razem z nią kolegów i koleżanek. Kiedy pada propozycja współpracy ze Stasi, odmawia. I już wie, że posada asystenta na politechnice w Ilmenau przeszła jej koło nosa.

Małżonkowie próbują raz jeszcze. Tym razem w Berlinie. Dzięki swojemu promotorowi z lipskiej filii Akademii Nauk Angela Merkel dowiaduje się o wolnej posadzie w Centralnym Instytucie Chemii Fizycznej Akademii Nauk NRD, od nazwy dzielnicy zwanym powszechnie Adlershofem. Profesor Haberlandt wystawia jej świetną opinię. I pewnie interweniuje u swojego brata, który jest członkiem berlińskiego instytutu. Równolegle Ulrich Merkel składa podanie o przyjęcie na Uniwersytet Humboldta. Tym razem się udaje. Obydwoje zostają przyjęci. Od jesieni 1978 roku 24-latka jest doktorantką w Instytucie Chemii Fizycznej. Pomimo prestiżowej rangi ośrodka Merkel wprowadza się do biura znajdującego się w szaroburym baraku, położonym na terenie dużego kompleksu naukowo-badawczego. Tu mieści się Katedra Fizyki Teoretycznej. Zarastający okno krzew skutecznie zasłania dopływ światła. W mrocznym pokoju przez najbliższych siedem lat doktorantka zajmie się jedną kwestią badawczą. Nie ma ona ani znaczenia praktycznego, ani gospodarczego, tylko teoretyczne. Od fizyka wymaga jednak myślenia indukcyjnego na najwyższym poziomie. Kluczem do rozwiązania badanej kwestii jest femtosekunda, biliardowa część sekundy. W ciągu jednej lub kilku femtosekund zachodzą reakcje między molekułami. Angela Merkel głowi się nad tym, z jaką prędkością dochodzi do procesu rozpadu molekuł, kiedy atom wodoru oddziela się od etanu, jednego z alkanów. Przy odrapanym biurku zanurza się w świecie węglowodorów i femtosekund. Wymaga to niezwyklej gimnastyki umysłu, rekompensującej archaiczne wyposażenie instytutu w sprzęt badawczy. Pod koniec lat 70. w czołowych laboratoriach na świecie stosuje się zaawansowane technologie cyfrowe. Ich eksport do NRD jest jednak w krajach zachodnich objęty embargiem. W Katedrze Fizyki Teoretycznej w Adlershofie do dyspozycji naukowców stoi 12-bitowy radziecki czytnik do kart dziurkowanych, pierwsza generacja komputerów. Zmora tego systemu są częste przypadki przekłamań. Resztki po dziurkowaniu pozostają w środku urządzenia, przekształcając informację. Dziś pojemność pamięci czytnika zmieściłaby się w telefonie komórkowym. Dopiero pod koniec lat 80. instytut otrzymał komputer nowszej generacji i rodzimej produkcji – Robotrom. Ale o czym tu mówić, skoro elitarna placówka badawcza nie ma nawet automatu do kawy. W Katedrze Fizyki Teoretycznej kawę parzy się, gotując wrzątek w jedynym aluminiowym czajniku. Za to każdorazowe użycie czytnika czy Robotromu wymaga pisemnego podania i zgody przełożonych. W baraku słychać przekleństwa na przestarzały czytnik i brak kontaktu z naukowcami zachodnimi. W tych warunkach Angela Merkel doktorat pisze przez siedem lat.

Na szczęście doktorantka natrafia w katedrze na zespół, z którym świetnie się rozumie, złożony z siedmiu mężczyzn. Lata współpracy z męskim teamem procentują dwie dekady później, gdy Angela Merkel przejmie szefostwo największej partii chadeckiej na świecie, czując się w męskim otoczeniu jak ryba w wodzie. „Nazywam się Angela, nie Angela” – już podczas

pierwszego spotkania z kolegami w baraku, nieco jeszcze naiwna, ale świadoma własnej wartości, zwraca uwagę na prawidłowe akcentowanie imienia^[25]. „Nieprawdopodobnie ambitna, o trzeźwym myśleniu i elastyczna w działaniu” – tak zapamiętał ją kolega z baraku^[26]. Dwie ostatnie cechy, konstytutywne dla myślenia indukcyjnego, rozwinięte przez kolejne lata do perfekcji.

Swoją paczkę z katedry Angela Merkel regularnie zaprasza do domu na kolację. Najczęściej na rybę lub Eintopf. Przyjaźń z kolegami z pracy rekompensuje jej małżeńskie rozczarowanie. W Berlinie najpierw długo z mężem nie mogą znaleźć dla siebie lokum. W stolicy NRD brak mieszkań jest szczególnie dotkliwy. Sytuacji nie poprawia forsowany przez Honeckera program budowy blokowisk na obrzeżach miasta^[27]. Połowa mieszkań w starych kamienicach nie ma toalety i łazienki. Z pomocą znajomych Ulrich i Angela znajdują wreszcie lokum w oficynie kamienicy blisko przejścia granicznego w samym centrum miasta. Mieszkanie jest zapuszczone, toaleta znajduje się dwa piętra niżej, z kranu płynie tylko zimna woda, w piecach pali się węglem. Z okien rozciąga się ponury widok na mur berliński. „Nie widziałem jednak, by Angela szczególnie cierpiała na chorobę muru” – zapewnia Ulrich Merkel^[28]. Ale wpływ na jej nastrój wywiera szarość miasta. Dotkliwie odczuwa brak zielonego lasu i błękitnego nieba z Templina. A w domowym budżecie – pieniędzy. Choćby na remont mieszkania. W Adlershofie zarobki początkujących pracowników nie przekraczają marnych 700 marek. Jej niezadowolenie odbija się na relacjach małżeńskich. I kończy rozstaniem.

To jednak nie finanse przesądziły o tym, że małżeństwo przetrwało niecałe cztery lata, lecz różnice temperamentów i brak chemii między małżonkami. Ulrich okazał się domatorem, bez większych wymagań i oczekiwań od życia. Tymczasem Angela rzuciła się w wir życia towarzyskiego, akcji społecznych i pracy w FDJ. „Rozsadzała ją energia. Pewnego dnia zupełnie niespodziewanie spakowała swoje rzeczy i wyprowadziła się. Uzgodniła to sama ze sobą i wyciągnęła konsekwencje”^[29] – opowiada były mąż. Do podziału nie było wiele. On zatrzymał meble, ona lodówkę i nazwisko. To drugie ma do dzisiaj.

„Wysłałam wcześniej za mąż, ponieważ taka była praktyka w NRD” – wyjaśniła Merkel, gdy stała już na czele CDU. W istocie w NRD małżeństwa, nie tylko studenckie, zawierano w młodym wieku^[30]. Ale po dwóch dekadach, jakie minęły od ślubu, Ulrich Merkel, który pracuje jako fizyk w Dreźnie, a mieszka w Berlinie, zaledwie niecały kilometr od swojej byłej żony, z niesmakiem odniósł się do jej komentarza: „Jej słowa mnie ranią, bo dobrze wie, że ja decyzję o naszym ślubie dogłębnie przemyślałem”^[31].

Po wyprowadzce od męża Angela z dnia na dzień zostaje bez dachu nad głową. Najpierw mieszka kątem u przyjaciół. Potem decyduje się na ryzykowny krok. Jak w eksperymencie fizycznym. Razem z kolegami z instytutu zjawia się przy zabitych dechami drzwiach pustostanu w kamienicy na Reinhardtstrasse. Koledzy włamują się do środka, zmieniają zamek w drzwiach i oddają Merkel klucze do „jej mieszkania”. W następnych tygodniach zwożą do niego stare meble i sprzęty, malują ściany. Ona decyduje się na ryzykowną zagrywkę. Zaczyna płacić zarządowi dzielnicy czynsz: 30 marek miesięcznie. Administracja kwituje wpłaty i zupełnie nie dziwi się brakiem umowy o najem. Dzika lokatorka nie ma jednak zameldowania. Jego brak w policyjnym państwie Stasi może się okazać pułapką, choćby przy głosowaniu w wyborach. Gdy więc zbliżają się wybory, Angela zabiera na nie za radą przyjaciół legitymację cieszącej się poważaniem Akademii Nauk. Zapytana przy rejestracji o zameldowanie, od razu wciska urzędnikowi do ręki legitymację nobliwej instytucji. Ten ze zrozumieniem kiwa głową. Groźba

wpadki pojawia się raz jeszcze, gdy administracja zarządza w kamienicy wymianę kuchenek gazowych. W mieszkaniu Merkel, oficjalnym pustostanie, kuchenki nie ma. Dzień przed wymianą instytutowa paczka przywozi zepsutą kuchenkę, znaną na śmietniku w odległej dzielnicy. Na drugi dzień robotnicy demontują ją i wynoszą. Na jej miejscu instalują nową. Dzika lokatorka oddycha z ulgą.

Nowe lokum, jak uprzednio małżeńskie gniazdko, znajduje się w oplakanyim stanie. Marne wynagrodzenie nie wystarcza na kupno nowych mebli. Gdy na jej trzydzieste urodziny przyjeżdżają rodzice, ojciec nie kryje rozczarowania. „Daleko nie zaszłaś” – mówi bez pardonu, rozglądając się po mieszkaniu^[32]. Słowa niczym prawy sierpowy trafiają mocno. Ale więz z ojcem w tym czasie jest już mocno rozluźniona. Rozstanie z mężem idzie w parze z osłabieniem kontaktu z rodzicami. Praca w instytucie i doktorat pochłaniają ją od rana do wieczora. Na eskapady do Templina nie wystarcza czasu.

Niedługo potem Angela dostaje zawiadomienie od administracji. Wszystkie lokale w oficynie zostaną wyremontowane, a czynszownicy przeniesieni do mieszkań zastępczych. „Czy ja także?” – dopytuje się w liście. „Oczywiście” – brzmi odpowiedź urzędu, w którym nikt nie połapał się w sytuacji. Doktorantka wprowadza się do nowego, trzypokojowego mieszkania całkiem legalnie, łącznie z umową i zameldowaniem. „Mieszkanie na Prenzlauer Berg było urządzone skromnie, ale z sercem. Czulo się tam ducha Goethego i Wagnera” – wspomina jej kolega^[33]. Dzięki regałom z książkami pod sam sufit dziedzictwo Pfarrhausu rozpięło pełne zagle.

Skłonności właściwe dla natury fizyka – ryzyko eksperymentowania – ujawniają się w niej z nową siłą. Nie tylko przy pirackim zajęciu mieszkania. W 1984 roku razem z dwiema koleżankami z instytutu wyrusza z plecakiem do Bułgarii. W kieszeni wiza tranzytowa do ZSRR. Indywidualne wyjazdy do ZSRR są dla Niemców z bratniej NRD zabronione. Tymczasem po przyjeździe do Kijowa trójka kobiet wsiada do pociągu do Gruzji i zaczyna wielką przygodę. Po republikach kaukaskich Niemki podróżują autostopem. Sypiają w namiocie, gdyż noclegi w hotelach czy na kempingach, jak i podróże koleją, grożą wpadką. Z kierowcami, którzy zabierają je z pobocza dróg, sukces oblewają w wersji soft szampanem i melonem, w wersji hard koniakiem. „By potem z kierowcą na lekkim rauszu ruszyć w drogę” – wspomina Merkel. „Jazda z lekko podchmielonym kierowcą przyprawiała mnie o zawroty głowy. Na szczęście wszystko zawsze szło gładko. Największe niebezpieczeństwo groziło nam ze strony milicji. Podróżując stopem we trójkę, zatrzymywałyśmy auta z dużym bagażnikiem, by zmieścić w nim nasze wielkie plecaki. Najodpowiedniejsza była marka Żiguli, którą jednak bardzo często jeździła milicja. Kiedyś, w drodze z Azerbejdżanu do Gruzji, zatrzymałyśmy żiguli. Za kierownicą, o Boże, milicjant w mundurze. Uspokoił nas jednak, mówiąc, że jedzie prywatnie, a w bagażniku wiezie zakupioną na czarnym rynku dziczyznę. Wyjaśnił nam, że mundur ma chronić go na wypadek, gdyby przekroczył prędkość i zatrzymali go koledzy. No i pędził jak szalony. Został zatrzymany. Dla niego żaden problem, a my musiałyśmy wysiąść. Na komendzie zbajerowałam milicjantów, mówiąc, że nie mogłyśmy wyjechać do Bułgarii, gdyż Gruzja wydała nam się taka piękna. Dali się nabrać i zapytali, czy byliśmy już w Tbilisi, bo jeśli nie, to koniecznie musimy zobaczyć ich stolicę”^[34]. Na drugi dzień stróże prawa sami zatrzymali jakiś samochód i ku zaskoczeniu kierowcy zapakowali do niego nielegalne turystki z Niemiec, by mogły dotrzeć do pięknej stolicy kraju.

W Berlinie kontakty przyjacielskie są dla doktorantki najpierw odskocznią od jej małżeństwa,

a po rozstaniu z mężem psychiczną „poduszką” w żywocie singla. Angela Merkel jak powietrze potrzebuje towarzystwa instytutowej paczki, nim wróci do mrukliwego męża, a potem pustego mieszkania. Czy dlatego w Akademii Nauk wstępuje do FDJ? Z partyjną młodzieżówką można najpierw za pół darmo wyjechać na kurs językowy do ZSRR, podróżować po bloku wschodnim, a w Berlinie ze zniżką pójść do teatru czy kina. Merkel z każdej z tych ofert korzysta. Ale doktorantka zostaje członkinią instytutowego kierownictwa FDJ: wedle swojej oceny sekretarzem do spraw kultury, w pamięci innych specjalistką od propagandy. Wątpliwości nie do rozwiązania. Bezdyskusyjnie jednak zajmowane stanowisko silnie ją dowartościowuje. Zaspokaja głód sukcesu i potrzebę akceptacji – pochodne relacji z ojcem^[35].

Aktyw kierowniczy FDJ w Akademii Nauk rozumie się świetnie. Jego członkowie często organizują wykłady, dyskusje, wieczory autorskie. Po części oficjalnej aktywności spotykają się w kameralnym gronie przy podłym, tanim winie. Tworzy się zgrana paczka, spotykająca się później w domach lub organizująca imprezy instytutowe, wykłady, wypadki do teatru i kina czy wspólne czytanie książek. Ale nawet członkom swojej kliki introwertyczna Merkel nie opowiada o problemach małżeńskich. O rozstaniu z Ulrichem przyjaciele z FDJ dowiadują się dopiero wtedy, gdy Merkel odchodzi od męża, zostaje bez dachu nad głową i któregoś wieczora staje na progu mieszkania jednego z nich.

W połowie lat 80. paczka z FDJ rozpada się. Jej członkowie odchodzą z instytutu, zmieniają pracę, biorą urlopy rodzinne. Angela Merkel całą swoją energię koncentruje na doktoracie. W styczniu 1986 roku przedkłada dysertację: „Badania mechanizmu reakcji rozpadu przy występowaniu pojedynczego wiązania w łańcuchu węglowodorów oraz obliczanie stałych prędkości ich rozpadu w oparciu o metodę kwantowo-chemiczną i statystyczną”. Owoc siedmiu lat indukcyjnego myślenia. Cóż za trening na przyszłość.

Pracy warto się przyjrzeć. Najpierw pobieżnie. Fizyk piszący o chemii? Czyżby nadużycie? Nie, nic nadzwyczajnego, akurat chemia kwantowa w dużym stopniu rozwinęła się dzięki badaniom fizyków. Tylko nieliczni chemicy mają o niej pojęcie, większość z nich zajmuje się przygotowaniem mikstur w laboratorium. Wątpliwości pojawia się jednak więcej. Na pierwszy rzut oka temat wydaje się niezwykle zbieżny z pisaną osiem lat wcześniej pracą dyplomową. Własny plagiat? Jednak nie. W pracy dyplomowej nacisk położony jest na badanie reakcji, podczas których z dwóch elementów powstaje jeden. W dysertacji natomiast filar analizy stanowił proces rozpadu molekuł, w dodatku w warunkach beztlenowych. Kolejna wątpliwość: to dzieło naukowe dziwnie trudno znaleźć w bibliotekach niemieckich uniwersytetów. Fakt. Ale jest dostępne na uniwersytetach: Humboldta w Berlinie, w Ratyźbonie, Frankfurcie nad Menem czy w Monachium. No i oczywiście w Lipsku. Można je wypożyczyć na miejscu i czytać w lektorium. W rękę trzyma się wtedy lekko poślizgnięte kartki z tekstem napisanym na maszynie. Całość liczy 153 strony. Na pierwszych 60, czyli niemal przez połowę pracy, zreferowany zostaje ówczesny stan wiedzy. Kolejnych 70 stron wypełniają „obliczenia własne” autorki, dalszych 11 zawiera literaturę przedmiotu, ostatnich 7 podsumowanie w formie tez. W pierwszej chwili trudno rozpoznać efekt badawczy i jego wartość. Za to na samym końcu nie sposób przeoczyć specjalnego podziękowania: „Panu dr. Sauerowi za przejrzanie rękopisu”. Ostatniej wątpliwości rozstrzygnąć się nie da: w jakim stopniu dzisiejszy mąż pani kanclerz, zarazem chemik, był zaangażowany w pisanie tej pracy? Formalnie jednak tytuł doktorski Angela Merkel uzyskała bez kantów.

Dopiero dogłębna lektura pracy doktorskiej szeroko otwiera oczy na formację autorki.

Na doktora fizyki? Nie, na fizyka przyszłej władzy.

„Przemiana węglowodorów przy wysokich temperaturach bez dostępu tlenu – termoliza, piroliza, plazmoliza – ma obecnie, a zapewne także w przyszłości, duże znaczenie dla gospodarki narodowej”. Oczywiście enerdowskiej. Tą inwokacją ku czci stojącej na usługach realnego socjalizmu fizyki Angela Merkel zaczyna pracę doktorską. W enerdowskim mikrokosmosie nawet czysto teoretyczna rozprawa z zakresu chemii kwantowej o procesach rozpadu musi złożyć hołd socjalistycznym siłom produkcji. Merkel tę stałą w swoim równaniu uwzględnia. W istocie nie pisze jednak o procesach rozpadu, tylko wyprowadza całą serię matematycznych wzorów, „które pozwalają zrozumieć rzeczone procesy”. Kolumny obliczeń prawnikowi, posłowi do Bundestagu czy politykowi nic nie powiedzą. W pracy doktorskiej Angeli Merkel napisane są odręcznie. Żonglerka tymi wszystkimi macierzami algebraicznymi świadczy niezbitcie, że autorka do perfekcji opanowała swój fach. Inaczej niż język. Daleko mu do elegancji, składnia razi chropowatością, słownictwo ubóstwem. Niewielka to przeszkoda dla przyszłej fizyk władzy, która swoje polityczne równania będzie rozwiązywać od końca, od pożądanego wyniku.

W swojej dysertacji doktorantka uwzględnia jednak, że nie każda kalkulacja prowadzi do oczekiwanego wyniku. Niekiedy, by go uratować, jak to czyni w matematycznej części rozprawy, musi Merkel na gwałt podeprzeć się „semiempirycznymi regułami interpolacji”. I z bólem przyznać: „Obliczenia kwantowo-chemiczne pozwalają jedynie na opis stanów wibracji. Ich przejście do stanu rotacji nie mogło zostać uwzględnione”. Dziś jej oponenci w Unii Europejskiej, François Hollande czy Mariano Rajoy, którzy przeciwstawiają się ratowaniu euro niemiecką metodą zaciskania pasa, swojej szansy powinni więc upatrywać w rotacji. Na przykład w rotacji uprawnień fiskalnych od rządów narodowych do Brukseli (jak chce Merkel) i z powrotem do swoich stolic. Bo jak wynika z doktoratu, stan stałej rotacji wymyka się poznaniu chemika kwantowego – Angeli Merkel. Ta w pracy doktorskiej wyjaśnia otwarcie tę słabość: „Takie trudności są natury zasadniczej i według naszej wiedzy także w ośrodkach zagranicznych nie zostały rozwiązane”. Brzmi niby przekonująco, ale nie do końca. „Według naszej wiedzy” oznacza co najwyżej konsultację publikacji w kraju. Bezpośrednia współpraca Akademii Nauk NRD z czołowymi ośrodkami badawczymi na świecie nie była możliwa. Dlatego doktorantka z Berlina Wschodniego, obliczając „frekwencje drgań alkanu”, dodaje: „Nie wykluczamy, że właściwe obliczenia zostały już przeprowadzone w innym miejscu”. Na przykład w USA lub Europie Zachodniej. Ostatecznie więc wkład naukowy Angeli Merkel do światowego skarbcza nauki nie porywa. „To nie naukowa rewolucja, ale esencjonalna, solidna i wolna od błędów praca” – wyrokuje profesor Wolfgang Domcke z politechniki w Monachium^[36]. W ocenie własnej stanowi ona „pakiet programowy, który umożliwia dokonanie obliczeń stałych prędkości na poziomie odpowiadającym nowoczesnemu stanowi wiedzy”. Zdanie brzmi jak program polityczny.

Równania polityczne

Przez szesnaście lat Angela Merkel dniami i nocami pochłaniała teorię fizyki, obliczała równania i wyprowadzała wzory przy uwzględnieniu praw rządzących ruchem cząsteczek i atomów. Obowiązujące między nimi reguły zależności odcisnęły na niej takie piętno, że przeniosła je na sposób, w jaki zaczęła postrzegać dynamiczne relacje międzyludzkie.

Dopatruje się w nich tych samych mechanizmów i struktur, jakie występują w mikrokosmosie fizyki i jakie rządzą siłami wzajemnego oddziaływania mikroelementów. Analizy politycznego działania dokonuje według schematów, jakich nauczyła się na studiach fizyki i jakie stosowała w laboratoriach Adlershofu. „Zawsze myślę od końca łańcucha zdarzeń, ale indukcyjnie, tak jakbym każdą perłę łańcucha na sznurku dokładała do następnej” – wyjaśnia^[37]. Przenoszenie doświadczeń w zakresie analizy i rozwiązywania problemów z jednego obszaru ludzkiej aktywności na drugi nie jest niczym nadzwyczajnym i zostało w nauce dobrze poznane. Zbadał i opisał to zjawisko polski uczonec Edward Nęcka^[38], a profesor Ryszard Stocki z Krakowa wyjaśnił, jak następuje całościowe przeniesienie jednej domeny na inną, czy wręcz zastąpienie domeny, na której się ktoś nie zna, domeną, na której się zna^[39]. Dokładnie to zjawisko można zaobserwować w przypadku Angeli Merkel. To, co badacze teorii formalnej koncepcji inteligencji (profesor Nęcka) i przenoszenia domen (profesor Stocki) ujęli w swoich dziełach, niedościgniony mistrz polskiego felietonu Stefan Kisielewski spuentował jednym zdaniem: „Z psa wychowanego pod szafą musi wyrosnąć jamnik”^[40].

Odnosi się to do Angeli Merkel, która w wieku trzydziestu pięciu lat z dnia na dzień przekracza polityczny Rubikon. Nie posiada żadnego doświadczenia politycznego, prawniczego i administracyjnego. Nie wygrała żadnych wyborów, nie podstawiła nikomu nogi w politycznym biznesie, nie udzieliła choćby jednego wywiadu, jak kanclerze Kohl czy Schröder. Kiedy Helmut Kohl świętował swoje trzydzieste piąte urodziny, dziennikarze potrzebowali pół strony arkusza papieru, by wymienić najważniejsze pełnione przez niego funkcje polityczne. Gdy ona, mając na karku pięćdziesiąt jeden lat, obejmie urząd kanclerza, nie ma nawet pojęcia o tym, jaka sukienka pasuje do stąpania po czerwonym dywanie przed Urzędem Kanclerskim. Jak przemaszerać przed kompanią honorową, czy trzeba schylić głowę przed sztandarem wojskowym? A może gościa w Berlinie objąć ramieniem, jak to czynili Kohl i Schröder? Dygnąć i poklepać po ramieniu przy pożegnaniu? Ale doktor fizyki wszystkie deficyty nadrobi, odwołując się do struktur, mechanizmów i reakcji opisywanych przez teorie fizyki. Ułatwi jej to znacznie wypełnianie obowiązków ministra, a potem kanclerza. Naturalna skłonność fizyka do przeprowadzania eksperymentów w laboratorium pchnie Angelę Merkel w jej aktywności politycznej do posługiwania się metodą prób i błędów.

Stąd wiele decyzji, jakie podejmie jako minister w rządzie kanclerza Kohla, będzie posunięciami *va banque*. Najbardziej spektakularne? W 1994 roku Niemcy rozdziera spór o Gorleben, niewielką miejscowość na wschodzie Dolnej Saksonii, z nieczynną kopalnią soli. Rządząca chadecja Helmuta Kohla do spółki z lobby energetycznym kopalnię chce przemienić w składowisko śmieci atomowych. Przeciw gardłuje front złożony z SPD, Zielonych oraz środowisk pacyfistycznych. Tysiące demonstrantów blokuje na torach przejazdu pociągów wiozących odpady radioaktywne. Merkel jako minister ochrony środowiska tak bardzo optuje za energią jądrową i za cementarzem atomowym w Gorleben, że dusi w zarodku dyskusję o alternatywnych miejscach składowisk. By nie mnożyć wątpliwości wobec preferowanej lokalizacji, decyduje się na ryzykowny krok: zarządza tylko częściowe rozpoznanie kopalni Gorleben, czym znacznie obniża kryteria bezpieczeństwa dla miejsca składowania atomowych śmieci.

„Totalna osobowość eksperymentalna” – ocenił ją tygodnik „Die Zeit”^[41]. A ona sama otwarcie przyznała, że „należy do tych, którzy lubią sprawdzić granice swoich możliwości”^[42]. Znowu je przetestowała, gdy we wrześniu 2012 roku, stojąc na czele swojego drugiego rządu

(2009–2013), pośpiesznie tworzyła fundusz ratunkowy dla eurolandu w kryzysie. Ustalając przy tym wysokość wkładu Niemiec, świadomie dużym łukiem obeszła parlament. Czym naruszyła konstytucję, licząc na to, że sędziowie Federalnego Trybunału Konstytucyjnego puszcza jej to płazem. O mały włos ryzykowne posunięcie by się jej udało. Tylko kilka osób z ostatnich rządów ław poselskich podniosło krzyk i wniosło skargę do Trybunału.

Jeszcze zanim została kanclerzem, niemiecki politolog Karl-Rudolf Korte zdiagnozował u niej silną inklinację do takich sposobów uprawiania polityki, które są kopią „eksperymentalnych metod badawczych w naukach ścisłych”^[43]. To „fizyk władzy” – zawyrokował tygodnik „Stern”^[44]. A magazyn „Focus” uchylił nawet rąbka tajemnicy jej laboratorium politycznego: „Najpierw zbiera mnóstwo informacji, potem je segreguje, układając równanie, tyle że od końca – od pożądanego wyniku. Na końcu wylicza występujące w równaniu niewiadome. Wykazuje się przy tym naukową precyzją. Dzięki temu wie, jak się zachowują jej oponenty”^[45]. „Tak, nie rozwiązuje równań, jeżeli wcześniej nie zna ich wyniku” – potwierdzają koledzy chadecy^[46]. Co oznacza, że zajęcie przez nią stanowiska w każdej sprawie politycznej jest tylko pomocniczą zmienną w równaniu, które ustawia pod rzeczony wynik. Tę samą myśl dziennikarz „Spiegla” wyraził w inny sposób: „Jej uczciwość w polityce przypomina małżeńską wierność, która jest tylko romantycznym ideałem. Lub cyrkowca, który tuzin jabłek podrzuca, jedno łapie, nadgryza, a przed publicznością udaje, że wszystkie są nienaruszone”^[47].

Na czym jednak polega naukowa metodologia doktora fizyki w polityce? Otóż istotę fizyki stanowi wyjaśnianie za pomocą najprostszych praw przemian, jakie zachodzą między jednym stanem a drugim. Centralnym pojęciem fizyki jest siła, miara oddziaływań fizycznych na ciała. W polityce natomiast centralne pojęcie to władza. Podobnie jak siła, tak i władza nie jest dana z góry, raz na zawsze, lecz za każdym razem musi zostać na nowo wytworzona. Siła w fizyce zależy od dwóch zmiennych: masy i przyspieszenia. Analogicznie jest z władzą. Nie można jej wprawdzie matematycznie zmierzyć, zwiększa się jednak lub zmniejsza na skutek politycznych decyzji. Sprawowanie władzy, czyli ciągle podejmowanie politycznych decyzji, do złudzenia przypomina plan, z jakim przeprowadza się doświadczenie fizyczne. Dyrygowanie aktorami politycznymi, którzy działają pojedynczo i zespołowo, wymaga bowiem zdolności posługiwania się kategoriami fizyki, takimi jak siła czy wzajemne oddziaływanie. W fizyce kwantowej, bliskiej Angeli Merkel, zjawisko eksperymentu uzupełnia reguła, która zastosowanie znajduje w sferze polityki. Tak zwana zasada nieoznaczoności mówi, że występują takie pary wielkości, których nie da się zmierzyć z dowolną dokładnością. Pomiar jednej wielkości deformuje część pomiaru drugiej. Nie wynika to z niedoskonałości metod czy instrumentów pomiaru, ale z natury rzeczy. Dla przykładu: gdy robi się zdjęcie jadącemu samochodowi o znanej długości, zależnie od szybkości migawki auto na zdjęciu będzie mniej lub bardziej rozmyte. Przy długim czasie naświetlania samochód wyda się na fotografii dłuższy. Mierząc długość samochodu, można określić jego prędkość. Ale wtedy nie można dokładnie określić położenia auta, bo obraz jest rozmyty. Zmniejszając czas migawki, otrzyma się bardziej wyraźny obraz, ale określenie prędkości będzie trudniejsze. W ekstremalnym przypadku precyzyjnie określi się położenie, ale w ogóle nie ustali prędkości. Zjawisko nieoznaczoności określa więc relację między obserwatorem a obserwowanym przedmiotem lub osobą^[48].

Analogiczna relacja zachodzi w sferze polityki. Polega ona na stałej obserwacji samego siebie w politycznym biznesie. I to dwuwymiarowo: poprzez trzymanie ręki na całym procesie

decyzyjnym oraz nieustannie weryfikowanie własnego stanowiska i zastosowanych środków. Oznacza to uzyskanie największej możliwej kontroli idące w parze z własną maksymalną elastycznością. To właśnie strategia Angeli Merkel. Postrzeganie siebie z dystansu jako jednej z wielu zmiennych w układzie sił decyduje o jej przewadze nad politykami z temperamentem, w których żyłach płynie krew, nie prąd. W przeciwieństwie do rozumowania fizyka myślenie polityka prawnika jest skażone emocjami.

Merkel pojmuje politykę bez krzty emocji. Jak obserwację zjawisk fizycznych. Lub jak rozgrywanie partii szachów z ludźmi zamiast pionów i figur. Nie przez przypadek przed trzema laty wstawiła sobie do gabinetu prezent od Związku Niemieckich Stowarzyszeń Właścicieli Lasów, który rok w rok na Boże Narodzenie do Urzędu Kanclerskiego przesyła jej wielką choinkę. Prezentem tym były figury szachowe. Najpierw dama, potem król i dwa pionki, a ostatnio wieża.

Angela Merkel jest fizykiem władzy. Podczas politycznych procesów decyzyjnych obserwuje zachodzące na siebie siły, czyli aktorów politycznych, mierząc potencjał ich możliwości i skanując różne konstelacje z ich udziałem. Sama trzyma się najpierw na uboczu. Obserwuje, nie zdradza swoich preferencji. Stara się jednak uzyskać taki wpływ na przebieg procesu, by zachować w ręku największą liczbę możliwości. Władza to dla niej swoboda działania, maksymalna liczba opcji. Forsuje je siłą albo częściej meandrycznie, z nagłym zwrotem na końcu. Utrudnia to życie politycznym konkurentom. Lwia ich część to namiętni pozeracze akt: prawnicy, urzędnicy administracji, politolodzy, ekonomiści. Bez skłonności do ryzyka eksperymentowania, uwięzieni w gorszej myślenia dedukcyjnego. Co nie dziwi, skoro na przykład w czasie pierwszej kadencji Merkel (2005–2009) niemiecki parlament był zalany falą 143 prawników. W dalszej kolejności szli nauczyciele (34), politolodzy (28), ekonomiści (26), urzędnicy administracji (19)^[49]. Wśród jej czołowych kontrahentów na europejskim parkiecie francuski prezydent François Hollande, a jakże, z wykształcenia jest prawnikiem, tak jak Hiszpan Mariano Rajoy. Brytyjski premier David Cameron to politolog (podobnie jak prezydent Barack Obama, który skończył też prawo), były włoski szef rządu Mario Monti – ekonomista, a holenderski Mark Rutte – historyk. Tymczasem ścieżka rozumowania prawniczego ogranicza się do wykładni szczegółu i linearnej logiki. Nierzadko jej wykwyty przejawiają się w prawniczych absurdach. Ot, choćby kierując się artykułem 3 ust. 2 niemieckiej konstytucji, która określa, że „mężczyźni i kobiety są równi w prawach”, prawnicy postulują uzupełnienie w niemieckim Kodeksie karnym przepisu o mordercy (§ 211 pkt 1) sformulowaniem o „morderczyni”. Rozumowanie prawnicze bynajmniej nie cierpi na niedostatek logiki. Porusza się jednak wyłącznie w obrębie ciasnych przepisów. Dlatego brakuje mu elementu kreatywności. W samej palestrze deficyt ten wyraża ironiczne powiedzenie: „Dobry prawnik dobrze zna prawo, bardzo dobry – sąd i sędziego”.

Jeśli instynkt władzy kanclerza Kohla wyrastał z przeczucia i intuicji, to instynkt Merkel wyrasta z mózgu fizyka. Kohl był uczuciowy. Często się wzruszał, nawet publicznie wyciągał chusteczkę i ocierał nią łzy. Merkel z chusteczką nie widział nikt. Dlatego wielu Niemców pyta się, czy przez mózg tej kobiety-fizyka przepływa krew czy prąd? Czy córka pastora jest zdolna do wytworzenia w sobie tylko eksperymentalnej temperatury czy też ludzkiego ciepła?

Takie wątpliwości nasuwają się w sytuacji, gdy jej umysł fizyka musi rozwiązać polityczne równanie, w którym jedną ze zmiennych są ludzkie emocje. Tak się stało w 2009 roku, gdy niemiecki papież Benedykt XVI wyciągnął rękę do sekty lefebrystów i cofnął nałożoną na nich

ekskomunikę. Część Niemców zazgrzytała zębami. Jeden z beneficjentów papieskiej łaski, biskup Richard Williamson, notorycznie negował istnienie komór gazowych w Auschwitz. W Niemczech za kłamstwo oświęcimskie idzie się za kraty. Jednak Angela Merkel niezbyt trafnie oceniła nastroje społeczne. W przekonaniu, że reprezentuje większość oburzonych rodaków, chwyciła za telefon i w bezpośredniej rozmowie kategorycznie zażądała od papieża wyjaśnienia. Między wierszami dała mu do zrozumienia, że relatywizuje on swój stosunek do Holocaustu. „Proszę przeprosić papieża” – zażądał od niej kardynał Joachim Meisner, arcybiskup metropolita Kolonii. Wielu chadeków interwencję kanclerz uznało za nadużycie. Profesor teologii z Freiburga Hubert Windisch skwitował: „Niemieccy katolicy nie mogą już więcej głosować na Angelę Merkel”^[50].

Cztery lata wcześniej w kampanii wyborczej przytrafił jej się analogiczny błąd. Stając do boju o fotel kanclerza z urzędującym Schröderem, powołała do swojego gabinetu cieni eksperta finansowego Paula Kirchhofa. Jej cudowna broń szybko zamieniła się w kulę u nogi. Wzięty z sali wykładowej profesor prawa nie posiadał minimalnej wrażliwości wobec wyborcy. Fizyk władzy jakoś dziwnie przeoczyła ten fakt. Tymczasem zimnokrwisty profesor istotę swojej misji, reformę systemu podatkowego, objaśniał na przykładzie „przeciętnej sekretarki”, posiadającej 1,3 dziecka i częściowo zamężnej. Swoją retoryką uderzał w środowiska kobiet, proponując im powrót do „kuchni, kościoła i dziecięcego pokoju”. Jego program „Matka robi karierę w rodzinie” był tylko wodą na młyn dla konkurencyjnej SPD. Wystarczyły dwa dni, by projekt reformy podatkowej CDU obnażyć jako wołającą o pomstę do nieba niesprawiedliwość społeczną, a światopogląd profesora jako archaiczny. On sam posłużył SPD do rozpętania negatywnych emocji przeciw CDU. Politycy SPD z rozkoszą pastwili się nad profesorską propozycją, by „przeciętną sekretarkę” i jej prezesa zarządu opodatkować po równo, w wysokości 25 procent. Po takiej wpadce tydzień przed wyborami Merkel zaklinała się, że po jej zwycięstwie Ministerstwa Finansów w żadnym wypadku nie otrzyma bezduszny profesor. Na końcu problem Kirchhofa rozwiązał się sam. Notowania CDU przy urnie wyborczej spadły dramatycznie. Szefowa CDU musiała utworzyć wielką koalicję z SPD. Oczywiście już bez profesora^[51]. Nawet w strategicznym dla siebie momencie zupełnie rozminęła się ze społecznymi nastrojami. Co o mały włos kosztowałoby ją przegraną w wyborach.

W październiku 2012 roku udała się z wizytą do greckiego eurobankruta. Po raz pierwszy od wybuchu kryzysu. Zdaniem wielu zdecydowanie za późno. Jesienią 2012 roku zadłużeni po uszy Grecy w zamian za pakiety ratunkowe muszą mocno zaciskać pasa. Szpitale nie przyjmują pacjentów, bezrobotni nie liczą już na pracę, renciści i odbiorcy pomocy socjalnej na renty i zasiłki. Na program oszczędnościowy najbardziej naciskają Niemcy, największy europejski kredytodawca. W Atenach Merkel witają hasła: „Córko Hitlera, won z Grecji”. Ale przez trzy lata pani kanclerz problem Grecji widziała oczami buchaltera. Albo raczej fizyka. Nie dostrzegała dramatu ludzkiego. Pouczała za to Greków: „Musicie oszczędzać, nauczyć się uczciwości”. Dopiero po trzech latach, gdy uznała, że wyjście Grecji ze strefy euro będzie kosztowniejsze niż pomoc dla niej, solennie przyrzekła, iż nie pozwoli jej zbankrutować. Dodając, że gdy myśli „o cięciach w Grecji, to krwawi jej serce”. I z tymi nowinami zjawiała się w Atenach. „Gdyby przyrzekła to Grekom zaraz na początku ich dramatu, zaoszczędziłaby sobie inwektyw” – konstatuje były belgijski premier Guy Verhofstadt^[52]. Musiałaby jednak nauczyć się wczuwać w nastroje społeczne, wyostrzyć empatię. „Ty masz euro, my mamy

serce” – informował rozwieszony specjalnie dla niej wielki grecki transparent na stadionie w Gdańsku podczas meczu piłkarskich Mistrzostw Europy 2012 Grecja – Niemcy, na który przyleciała prosto z unijnego szczytu poświęconego kryzysowi euro.

Raz jeden spontanicznie jako kanclerz wyraziła emocje. I to w świetle jupiterów, przed dziesiątkami kamer. Za co od razu spadł na nią deszcz krytyki. Prawnik z Hamburga Heinz Uthmann złożył nawet doniesienie do prokuratury, oskarżając ją, że wyraziła publicznie aprobatę dla czynu karalnego z paragrafu 140 niemieckiego Kodeksu karnego. „Cieszę się z jego śmierci”^[53] – brzmiało inkryminowane zdanie, wypowiedziane zaraz po zabiciu przez amerykańskich komandosów głowy terroryzmu islamskiego Osamy bin Ladena. Prokuratura sprawy nie wszczęła. Merkel w sukurs przyszedł jej pretorianin Volker Kauder, szef klubu parlamentarnego chadecji w Bundestagu. „Jako chrześcijanin dostrzegam zło w świecie. A Osama był jego ucieleśnieniem. Zrozumiałe, że chrześcijanin cieszy się, gdy na świecie zmniejsza się obszar zła”^[54]. Widać jednak wyraźnie, że Angela Merkel we właściwym momencie nie chce lub nie potrafi wyrazić uczuć. „Empatia nie jest jej silną stroną” – twierdzi Margaret Heckel, dziennikarka, która na zgłębianiu biografii Merkel zęby zjadła. „Jak u wielu mózgowców empatię potrafi wyrazić w wąskim gronie. Ale nie publicznie”^[55]. To fakt, nauczyła się small talk, potrafi stuknąć się z wyborcą kuflem piwa, a nawet z wdziękiem nadstawić policzek do pocałowania. To ostatnie trenowała na szczytach unijnych podczas spotkań z Sarkozym. Ale nadal ignoruje potrzebę rządzonych, by polityka kierowała się nie tylko liczbami, faktami i laboratoryjnym zarządzaniem. A rządzeni szczególnie w okresie kryzysu domagają się współczucia. Co wcale nie znaczy, by pracownikom Siemens, Volkswagena czy bezrobotnym Grekom obiecywać gwiazdkę z nieba, lecz by dać im poczuć, że chce im pomóc. Polityka bowiem to nie sama fizyka. Jeśli Merkel tego nie pojmie, jej wielki atut, który wielokrotnie dyskutowała, odbije jej się kiedyś czkawką. Na razie jednak niemieccy wyborcy jej ufają. A fizyk władzy ze swoim rozumowaniem z laboratorium wygrywa w cugłach z polityczną konkurencją.

Czy Angela Merkel była agentką Stasi?

Wybraliście na stanowisko kanclerza młodą komunistkę, młodą zdeklarowaną komunistkę! Czy w ogóle jesteście tego świadomi?

Oskar Lafontaine, czołowy niemiecki polityk lewicowy^[1]

Próba werbunku

Ofertę od smutnych panów otrzymała jako świeżo upieczona magister fizyki. Z dyplomem renomowanego w NRD Uniwersytetu Karola Marksa w kieszeni starała się właśnie o asystenturę na politechnice w Ilmenau. Najpierw wysłała tam dokumenty, potem zjawiała się na rozmowie kwalifikacyjnej. Profesorska komisja z zadowoleniem kwitowała jej kolejne odpowiedzi. Wreszcie rozmowa dobiegła końca. W sąsiednim pokoju kwestury miała jeszcze otrzymać zwrot kosztów podróży. Tam jednak zamiast dobrotliwej księgowej czekał na nią oficer Stasi. Zaproponował współpracę. Jej zadanie – inwigilacja najbliższego otoczenia i wypełnianie operacyjnych zleceń Stasi, pisanie meldunków. W rozmowie oficer nonszalancko żonglował szczegółami z jej życia. Wiedział, kiedy pojawiała się na uczelni w nowych dzinsach, kiedy słuchała zachodnich rozgłośni radiowych i telewizji. Nie naciskał bardzo, choć sugerował, że wiele koleżanek ze studiów ofertę przyjęło. Ona odmówiła. „Nie potrafię trzymać języka za zębami, wszystko wypaplam” – odparła^[2]. Odmowa zaważyła na jej karierze. Wymarzona posada na politechnice przepadła. Zamiast w Ilmenau Angela Merkel znalazła się w berlińskich laboratoriach Akademii Nauk NRD. Bez szans na habilitację, profesurę i karierę naukową. Tak brzmi wersja oficjalna. Kanclerz opowiedziała ją, siedząc na sofie w popularnym, skupiającym milionową publikę telewizyjnym talk-show „Menschen bei Maischberger”. W dodatku w wydaniu specjalnym, wyemitowanym w przeddzień jubileuszu 60-lecia RFN, w maju 2009 roku.

Kilka lat wcześniej tę samą historię zdradziła niemieckiemu politologowi Gerdowi Langguthowi: „Nauczyłam się od swoich rodziców, by w kontaktach z agentami Stasi mówić, że nie umiem trzymać języka za zębami. Więc poinformowałam ich wtedy, że chyba nie potrafię milczeć i z pewnością o wszystkim opowiem mężowi”^[3]. Wtedy jednak miało przesłuchiwać ją dwóch oficerów. Jak brzmiały ich nazwiska? Dlaczego z jednego agenta bezpieczeństwa zrobiło się nagle dwóch? Lub odwrotnie? Tego Angela Merkel nie wyjaśniła. Rozmowa w politycznym talk-show zelektryzowała kraj. Na portalach internetowych zawrzało. Niemcy przecierali oczy ze zdumienia, pytając, czy można było się wyłgać od współpracy

z wszechwładną Stasi, enerdowską bezpieką, siłą wymuszającą lojalność wobec socjalistycznego państwa, nie bez kozery nazywaną „tarczą i mieczem partii komunistycznej”, a zdaniem ostatniego szefa SED Egona Krenza nawet „państwem w państwie”^[4]? Tą armią 91 tysięcy pracowników etatowych, z jeszcze większą, bo 173-tysięczną armią szpicli konfidentów (TW) przeczesujących w NRD wszystko: od sklepików z mydłem i powidłem po seminaria duchowne? Ba, podsłuchujących nawet wierchuszkę partii komunistycznej? Czy można było odmówić Stasi, na której czele przez pół wieku stał Erich Mielke, nazwany „trywialną kopią Heinricha Himmlera i Ławrientija Berii”^[5]? „Można, wbrew powszechnemu przekonaniu można” – wyjaśnia historyk Andreas Schmidt, który na wertowaniu dokumentów bezpieki zjadł zęby^[6]. „Można” – potwierdza nie byle kto, bo sam Joachim Gauck, w NRD luterański pastor, po zjednoczeniu Niemiec pierwszy szef Urzędu do spraw Akt Stasi, a obecnie prezydent kraju. „Właśnie taką strategię proponowałem młodym ludziom, którzy radzili się mnie, jak wymigać się od donoszenia”. Gauck sugerował im, by w rozmowie werbunkowej stale podkreślali, że oczywiście, jak najbardziej chcą przyczynić się do rozwoju pierwszego niemieckiego państwa robotników i chłopów, ale jest jeden mały szkopuł. Nie wylewają za kołnierz i nie potrafią potem trzymać języka za zębami. Zresztą o wszystkim mówią żonie czy mężowi, a oni przy najbliższej okazji, ot, choćby u fryzjera, na meczu piłkarskim, wszystko wygadają. Wymówka o niezdolności trzymania gęby na kłódkę zwykle robiła na Stasi wrażenie. Jakiż miałyby ona pożytek z kolaboranta z długim jęzorem? Nawet zawodowi oficerowie Stasi spotkania ze swoimi TW odbywali w ścisłej konspiracji, często w specjalnych mieszkaniach „operacyjnych”, które przedstawiali jako swoje własne, by wytworzyć atmosferę zaufania. By ją jeszcze zwiększyć, oficer stawiał na stół piwo, parówki, a sam na nogi zakładał kaptcie. Agent otrzymywał wiadomość informującą o przesunięciu o godzinę lub dwie na przykład próby chóru lub meczu w klubie szachowym. To oznaczało na przykład, że tajne spotkanie odbędzie się w wyznaczonym miejscu w najbliższą środę o godzinie 15. Przy takiej konspiracji gadatliwego delikwenta bezpieka klasyfikowała jako bezużytecznego i zostawiała w spokoju. Tym bardziej, jeśli nagabywanym był młody człowiek, jeszcze bez pozycji, bez układow, ot, pionek. Dokładnie tak, jak w przypadku Angeli Merkel w 1978 roku. No, chyba że Stasi na kogoś zagięła parol. Wtedy historyjki o niewyparzonym języku, gadatliwej żonie czy chlaniu wódki nie wystarczyły. Siłą i zastraszeniem wymuszano dyskrecję. Ale Gauck twierdzi, że młodzi enerdowcy rzadko wymawiali się od współpracy. Donoszenie na kolegów i koleżanki z pracy, ze studiów, a nawet z gimnazjalnej ławki szeroko otwierało drzwi do kariery, mieszkania, trabanta i urlopu nad Balatonem – największych luksusów, jakie mogły się zamarzyć w robotniczo-chłopskim państwie wschodniemieckim^[7]. Przy okazji szpiclowanie zaspokajało afekty zemsty, odwetu i wyrównania rachunków z osobistymi wrogami w miejscu pracy czy zamieszkania. Badacz historii Stasi Helmut Müller-Enbergs przytacza notatkę z akt bezpieki, jak to kandydat na TW podczas rozmowy kwalifikacyjnej utyskuje na swojego dowódcę w wojsku, że ten „specjalnie zwała na niego najgorszą pracę, podczas gdy ich wspólny przełożony major W. wie o tym, ale nie podejmuje żadnych działań. Kandydat zaznaczył, że major W. ma kalkulator i markowe pisaki firmy Faber Castell z RFN”^[8]. „Dzięki kolaboracji czułam się wyróżniona, ważna i silnie dowartościowana” – mówi Jana Döhring, która niedawno w autobiografii publicznie się wypowiedziała z tego, że będąc w tym samym wieku co Angela Merkel, otrzymała od Stasi propozycję kolaboracji. Bez wahania ją przyjęła^[9]. Natomiast odmowa współpracy z bezpieką przekreślała szanse na złote życie w NRD. Jak w przypadku Angeli Merkel?

Wątpliwości

I tu właśnie pojawiają się wątpliwości. Bo odrzucenie przez nią oferty współpracy nie poskutkowało zsyłką na prowincję, do laboratorium jakiegoś zakładu przemysłowego czy na etat fizyka w zabiedzonej podstawówce. Została doktorantką w Instytucie Chemii Fizycznej Akademii Nauk NRD. „Bez szans na habilitację i profesurę” – wyjaśniła pośpiesznie na sofie w talk-show u Sandry Maischberger. Tej argumentacji nie da się jednak zweryfikować. Rzeczywiście, po napisaniu doktoratu Angela Merkel przewodu habilitacyjnego nie wszczęła. Ale też sama po latach w jednym z wywiadów przyznała: „Chętnie parałam się fizyką. Jednak nie z aż tak wielką pasją, by dla nauki zrezygnować z tych wszystkich przyjemności, które oferuje życie. A tego właśnie wymaga profesja naukowca”^[10]. W 1990 roku bez żalu porzuciła naukę dla polityki. Tymczasem trudno potraktować pracę w Akademii Nauk NRD jako ślepy zaułek czy boczny tor w karierze w państwie robotniczo-rolniczym. Chodziło przecież o flagową instytucję energo-wiedzy. Dzięki przejęciu wielu instytutów przedwojennego, renomowanego Kaiser-Wilhelm-Institut, odpowiednika Polskiej Akademii Umiejętności, nauki przyrodnicze i ściśle należały w Akademii Nauk NRD do najbardziej prestiżowych, a zarazem najsilniej związanych z najważniejszymi sektorami państwa: obronnością, wojskowością i gospodarką. W szczególności Instytuty Chemii i Fizyki wydawały opinie lub prowadziły badania bezpośrednio na zlecenie rządu. W ten sposób obydwa centra naukowe awansowały do kluczowych placówek, organicznie splecionych z reżimem SED. W chwili upadku rządów Honeckera w 1989 roku Akademia Nauk NRD zatrudniała ponad 20 tysięcy osób, z czego aż 5,4 tysiąca w samych tylko piętnastu instytutach chemii i fizyki. Cała ta piętnastka znajdowała się w berlińskiej dzielnicy Adlershof, gdzie od początku XX wieku siedzibę znalazł Kaiser-Wilhelm-Institut. Właśnie lokalizacja Instytutu Chemii Fizycznej zaświadczała o wysokiej jego randze w państwie Ulbrichta i Honeckera. Tam, gdzie kiedyś rezydował Kaiser-Wilhelm-Institut, nowe socjalistyczne państwo niemieckie utworzyło dla siebie po 1949 roku swoisty kompleks usługowy. Za wysokim ogrodzeniem, które przebiegało wzdłuż naturalnych granic, wyznaczonych z jednej strony nasypem linii kolejowej, a z drugiej kanałem wodnym Teltow, reżim energo-wiedzy ulokował trzy centralne, wspierające go instytucje: oprócz Akademii Nauk telewizję państwową i garnizon wojskowy imienia Feliksa Dzierżyńskiego, wyjątkowego kata sowieckiej bezpieki, rodem z Polski. Zgodnie z imieniem patrona jednostka wojskowa służyła jako wylegarnia wojskowych służb śledczych i zawodowych oficerów Stasi. Ta „przyboczna gwardia” energo-wiedzy Biura Politycznego komunistycznej partii zasłużyła się szczególnie w brutalnym zdławieniu robotniczego powstania w Berlinie 17 czerwca 1953 roku oraz przy budowie muru berlińskiego osiem lat później. Pod koniec swojego istnienia, w 1989 roku, przedłużone ramię SED liczyło ponad 11 tysięcy żołnierzy, którzy parali się głównie ochroną należących do Stasi gmachów, budynków rządowych oraz zapewniali bezpieczeństwo w willowym getcie partyjnych bonzów leżącym w podberlińskim Wandlitz. Teren wojskowy jednostki zabezpieczały wieżyczki strzelnicze, a do całego kompleksu wejść można było tylko za okazaniem przepustki. Żaden zwykły śmiertelnik nie mógł się przekonać na własne oczy, jakimi przywilejami cieszyli się zatrudnieni w Adlershofie pracownicy. Ci na terenie odgroźonego kampusu mieli własną klinikę, księgarnię, warsztat samochodowy, salon fryzjerski i sieć specjalnych sklepów Konsum (odpowiedników pewexów), w których przez cały rok sprzedawano pomarańcze, banany i pralinki – szczyt luksusu. Władze musiały jakoś hołubić naukową elitę kraju. Ponadto Merkel trafiła do Zakładu Fizyki Teoretycznej, absolutnego

zaczyna na ideologicznym froncie w państwie Stasi. Bo cóż ci teoretycy, którzy zajmowali się stałymi prędkościami, mogli wnieść do intensyfikacji gospodarki narodowej? Socjalizm ich nie potrzebował, lecz mógł sobie na nich pozwolić. Uniwersytety, które specjalizowały się w produkcji nowych pokoleń homo sovieticus, znajdowały się pod czujnym okiem partii, lecz w Akademii Nauk pobłażliwie zezwalała ona na odstępstwa od jedynie słusznej linii.

Nic dziwnego, że nie brakuje w Niemczech publicystów, którzy w stanowisku doktorantki asystenta w renomowanej Akademii Nauk NRD widzą raczej awans niż degradację Angeli Merkel. I wyprowadzają stąd wniosek o podpisaniu przez nią lojalki. Mało tego, posługując się tą logiką, zakładają, że to wcześniejsza współpraca ze Stasi musiała być warunkiem wstępnym do otrzymania ciepłej posadki w prestiżowej placówce enerdownskiego reżimu. Możliwe więc, że w orbitę zainteresowań Stasi Angela Merkel trafiła już podczas studiów. Choć niewykluczone też, że rzeczywiście pierwsza rozmowa werbunkowa odbyła się w zaciszu kwestury politechniki w Ilmenau. A Stasi zgodnie ze sprawdzoną praktyką przeprowadziła wcześniej szczegółowy, wieloetapowy wywiad na temat upatrzonej kandydatki. Dlatego Angela Merkel odniosła wtedy wrażenie, że Stasi zna ją na wylot^[11].

Oskarżenia

Zwolennicy teorii współpracy Merkel ze Stasi wyciągają obecnej kanclerz pobyt studencki w Moskwie. Istotnie profesor Gerd Langguth, który przeprowadził z nią wiele rozmów na temat jej przeszłości, napisał, że swojego męża Ulricha panna Kasner poznała w 1974 roku „podczas wymiany młodzieży ze studentami fizyki w Moskwie i Leningradzie”^[12]. Sformułowanie na tyle niejasne, że zainicjowało spór o to, czy Angela Merkel studiowała w Moskwie, czy też nie. „Tak, w ramach wymiany studenckiej była tam przez dwa semestry” – orzekł Oskar Lafontaine, szef ultralewicowej partii Die Linke, przed milionową publiką w programie „Hart aber fair” telewizji publicznej ARD. Biuro prasowe Urzędu Kanclerskiego natychmiast zaprzeczyło. Kto ma rację? Lafontaine czy Urząd Kanclerski? Indagowany profesor Langguth sprecyzował: „Mowa jest o wymianie młodzieży, nie o studiach w Moskwie. Lafontaine fałszuje rzeczywistość, posługując się demagogią i populizmem”^[13]. Taki czy inny moskiewski pobyt chór krytyków „czerwonej przeszłości” Merkel interpretuje na jej niekorzyść. Tylko lojalni aktywiści mogli w nagrodę wyjechać do Moskwy – argumentują. Ponadto krytycy Merkel powołują się na casus Michaela Schindhelma. Studiował on przez jakiś czas w ZSRR, gdzie, jak się później okazało, w 1984 roku – szantażowany – w dramatycznych okolicznościach podpisał lojalkę, został TW i rozpoczął współpracę ze Stasi. W nagrodę wysłano go do Instytutu Chemii Fizycznej w Adlershofie, gdzie otrzymał identyczną jak Merkel posadę doktoranta asystenta. Obydwoje znaleźli się w tym samym baraku. Dzielili ich ściana, łączyło wiele. Schindhelm, o którym jeszcze będzie mowa, odegra w życiu Angeli Merkel istotną rolę.

W tym miejscu trzeba podkreślić, że im bardziej opiniotwórcze media w Niemczech chowają głowę w piasek przed wątkiem kontaktów Angeli Merkel ze Stasi, tym bardziej ochoczo podejmują go niezależni publicyści, blogerzy czy portale internetowe. Bujne spekulacje kwitną. Ale ich słabość polega na tym, że nie są poparte żadnymi twardymi dowodami. Na światło dzienne nie wypłynęły bowiem ani ewentualna lojalka, którą podpisałaby Angela Merkel, ani też żaden inny dokument potwierdzający jej współpracę ze służbą bezpieczeństwa.

Angela Merkel ma jednak na swoim koncie epizod w biografii, który wielu niechętnym jej osobom nasuwa jednoznaczne skojarzenia. Rozumują one, że skoro doktorantka w Akademii Nauk należała do FDJ, i to wcale nie do grona szeregowych członków, lecz do kierowniczego aktywu tej młodzieżowej przybudówki SED, to siłą rzeczy musiała też należeć do grona agentów Stasi. Tym bardziej że aktywiści zarządu FDJ tak prestiżowej instytucji jak Akademia Nauk włączeni byli w struktury SED szczebla powiatowego lub nawet wojewódzkiego. A gremia te kontrolowały poczynania administracji państwowej, w tym także służb bezpieczeństwa. Werbunek na etatowych funkcjonariuszy Stasi i TW z szeregów komunistycznej młodzieżówki jako „społecznych współpracowników do spraw bezpieczeństwa” był czymś oczywistym^[14].

Szef organizacji FDJ w Akademii Nauk profesor Hans-Jörg Osten, który fizykę studiował w Polsce, komunistyczną młodzieżówkę reprezentował na szczeblu władz okręgu w Berlinie. Razem z Angelą Merkel, która była jego prawą ręką i członkiem zarządu. A jako sekretarz do spraw agitacji i kultury trzymała w całym Adlershofie pieczę nad edukacją polityczną aktywu i krzewieniem tak zwanego marksizmu-leninizmu. W lecie prowadziła wakacyjne obozy dla pionierów. Ona sama utrzymuje jednak, że pełniła jedynie funkcję referenta do spraw kultury i „zajmowała się zakupem biletów do kina i teatru oraz organizowaniem wykładów dla grup młodzieżowych”^[15]. Sprawdzić niczego nie można, gdyż także i w tym przypadku wszystkie dokumenty się zapodziały. Profesor Osten „już nie pamięta”, jakie Merkel dokładnie piastowała stanowisko, wie tylko, że „troszczyła się o kulturę”. Ale ekspert od historii SED profesor Manfred Wilke nie pozostawia cienia wątpliwości: „Kultura w słownictwie SED oznaczała agitację”^[16]. Nie przez przypadek ojcowie założyciele NRD wcisnęli Johanna Wolfganga Goethego na banknot dwudziestomarkowy. W ustach enerdowskiego ministra kultura była orężem w światowej walce, elementem uzbrojenia socjalistycznego narodu. Twórcy kultury byli zobowiązani do uczestnictwa w pochodzie pierwszomajowym, w przygotowaniach do zjazdu SED – przypomina brytyjski historyk Timothy Garton Ash^[17].

„To nie ja nosiłem niebieskie koszule FDJ, ona je nosiła”, „Była sekretarz FDJ do spraw agitacji i propagandy jest dziś kanclerzem Niemiec. Kto by pomyślał”, „Wybraliście na stanowisko kanclerza młodą komunistkę, młodą zdeklarowaną komunistkę. Czy jesteście tego świadomi?”^[18] – takie tyrady pod adresem Merkel jeszcze nie tak dawno wygłaszał przewodniczący Die Linke, ekscentryczny Oskar Lafontaine. Spośród polityków niemieckich to on najbardziej zajadłe atakował ją za jej przeszłość. Choć akurat w jego ustach ataki te brzmiały kuriozalnie. Jako szef młodzieżówki socjalistycznej w zachodniemieckim Saarbrücken Lafontaine w 1968 roku przyjmował z najwyższymi honorami działaczy FDJ, którzy nawiązali kontakty z „postępowymi siłami” w RFN, zaczytywał się w historii niemieckiego ruchu robotniczego, „wykazał zrozumienie dla ingerencji sojusznicznych krajów socjalistycznych” podczas praskiej wiosny 1968 roku, potem został „bliskim przyjacielem” Ericha Honeckera, a „obecnie jest w swojej partii otoczony przez byłych agentów Stasi, których Angela Merkel nazywa „waletami”^[19].

Jednocześnie Angela Merkel zdaje sobie sprawę z tego, że obciążająca ją hipoteka aktywistki FDJ szkodzi jej wizerunkowi, szczególnie w landach zachodnich. FDJ była „programem obowiązkowym” dla uczniów i studentów do dwudziestki. Ale dla starszych roczników? W rozmowie, którą przeprowadził z Merkel w 2003 roku dziennikarz Hugo Müller-Vogg, z dużym dystansem odniosła się do tego epizodu ze swojej przeszłości: „Może wcale tych

kontaktów nie potrzebowałam”^[20]. Cóż za kontrast z jej wcześniejszym osądem z 1991 roku. Wtedy w dużym wywiadzie telewizyjnym, fragmentarycznie zamieszczonym w dokumentalnym filmie telewizji ARD „Freundschaft! Die Freie Deutsche Jugend” (Przyjaźń! Wolna Młodzież Niemiecka), zdradziła dziennikarzowi Günterowi Gausowi, że „z wielkim entuzjazmem angażowała się w działalność w FDJ”. Jeśli w pracy fizyka w Adlershofie czuła się „niezrealizowana”, to FDJ „dawało jej możliwość aktywnego spędzenia czasu”. O silnym upolitycznieniu młodzieżówki Merkel wspomniała jakby mimochodem: „W 70 procentach motywacja wynikała z oportunistu” – przyznała. To „aktywne spędzanie czasu” zawiodło ją też do bratnich krajów: Czechosłowacji i ZSRR. W 1983 roku udała się autostopem na wólcę z plecakiem po Kraju Rad, zwiedzając republiki kaukaskie: Gruzję, Armenię i Azerbejdżan. Z kolei jej wyjazdy do RFN sugerowały, że należała do tak zwanej Westreisekader, czyli elitarnej grupy obywateli NRD cieszącej się zaufaniem władz w Berlinie Wschodnim, mającej prawo wyjazdów na Zachód. I to pomimo tego, że miała status bezdzietnej rozwódki, modelowej wręcz kandydatki na pozostanie w RFN^[21].

Niezależnie jednak od stopnia uwikłania Merkel w epizod z FDJ wszyscy ci, którzy wyprowadzają stąd wnioski o współpracy ze Stasi, nie mają na to żadnych dowodów. W 2005 roku pochodząca z NRD pisarka Kathrin Schmidt, która do upadku muru była asystentką w Instytucie Psychologii na uniwersytecie w Lipsku, a podczas przełomu 1989/90 silnie zaangażowała się w działalność opozycyjną i brała udział w rokowaniach Okrągłego Stołu w Berlinie Wschodnim, na łamach lewicowego, silnie wobec Merkel krytycznego pisma „Der Freitag” wyjaśniła krótko: „Na Angelę Merkel nie ma haka, bo przechwyciła ona i głęboko schowała do szuflady wszystkie akta swoje i ojca”^[22].

Nieścisłości w wypowiedziach Angeli Merkel co do własnej roli w FDJ, liczby przesłuchujących ją oficerów Stasi w Ilmenau, możliwe, że idące na konto zawodnej pamięci, dałyby się szybko wyjaśnić, gdyby kanclerz zezwoliła na wgląd w sporządzone na jej temat dokumenty. Ale ona konsekwentnie odmawia dostępu do nich, powołując się na „ochronę sfery prywatnej”^[23]. A to tylko podsycza spekulacje wokół jej powiązań ze Stasi.

Kolejna z tych spekulacji dotyczy przewodu doktorskiego. Otóż oprócz rozprawy naukowej z fizyki przewód doktorski wymagał przedłożenia pisemnej pracy z zakresu marksizmu-leninizmu, która wieńczyła kilkuletni kurs „czerwonej” filozofii (trzy bite godziny w tygodniu w każdym semestrze). Kręgi niechętnie kanclerz podejrzewają, że w napisaniu doktoratu pomogło jej Stasi. Aparat partyjny chętnie bowiem obwieszał się orderami i tytułami doktorskimi, w czym pajęczka sieć bezpieczeństwa oddawała bezcenne usługi. Ale i w tym przypadku mamy do czynienia z „ubytkiem dokumentów”. O ile bowiem rozprawa doktorska z fizyki znajduje się w archiwach i bibliotekach kilku uniwersytetów w Niemczech, o tyle owa praca wykazująca, jak bardzo doktorantka przyswoiła sobie wiedzę o marksizmie-leninizmie, przepadła bez wieści. Angela Merkel twierdzi, że temat pracy brzmiał: „Jak wygląda socjalistyczny styl życia”. Na uniwersytecie Karola Marksa w Lipsku praca zaginęła. „Ja też jej nie mam, ani oryginału, ani kopii. Gdybym ją miała, przedstawiłabym ją niezwłocznie. Bo w ten sposób wywołuję tylko podejrzania, że coś tu nie jest w porządku. Tymczasem mało kto dziś zdaje sobie sprawę z tego, jak wyglądało życie bez kopiarki i jak wystukuje się pracę na maszynie do pisania ze stale obsuwającą się kalką”^[24]. W annałach Akademii Nauk zachowała się jednak cenzurka, jaką wystawił jej profesor Joachim Rittershaus. Według tygodnika „Der Spiegel” pani kanclerz miała zastrzec wgląd w dokumentację jej przewodu

doktorskiego, przechowywanego w archiwum obecnej Berlińsko-Brandenburskiej Akademii Nauk, będącej w sensie administracyjnym sukcesorką enerdowskiej poprzedniczki. I dopiero po interwencji „Spiegla”, który przed Sądem Administracyjnym w Berlinie zaskarżył odmowę wydania akt, akademia ujawniła ocenę. Podwójne łacińskie rite, raz z trzyletniego kursu marksizmu-leninizmu i drugi raz z pracy pisemnej, odpowiada nocie „dostatecznej”. Taka trójka dziś raczej nobilitowałaby Merkel w zjednoczonych Niemczech, wystawiając jej opinię marnego znawcy teorii marksistowskiej i odsuwając podejrzenie o jakikolwiek mecenat Stasi. Trudno byłoby wszak przypuszczać, że bezpieka nie zatroszczyłaby się o wzorową ocenę dla swojej podopiecznej na flagowym dla siebie, ideologicznym froncie. Chwilową jasność mącą jednak nasuwające się wątpliwości. Po pierwsze, uczelnia oceny nie pokazała, tylko podała do publicznej wiadomości. Po drugie, większość doktorantów nauk ścisłych i przyrodniczych jako ludzie bez weny pisarskiej pracę z marksizmu-leninizmu z reguły pisała na tróję. Wreszcie profesor Rittershaus nie przypomina sobie Angeli Merkel, co wydaje się najdziwniejsze. Owszem, roztargnieni profesorowie nie pamiętają swoich studentów, którzy uczęszczali, a tym bardziej tych, którzy nie uczęszczali na ich wykłady, a których później tylko egzaminowali. Ale Angela Merkel doktorat obroniła w 1986 roku, zaledwie pięć lat później została ministrem w rządzie kanclerza Kohla. I to właśnie wydaje się osobliwe. Bo jeśli profesor swojego studenta po kilku latach widzi ciągle w telewizji, to przypomni sobie łatwo: olaboga, przecież tego ministra sam egzaminowałem i o mały włos nie oblałem. Ale o dziwo nie dotyczy to profesora Rittershausa.

Nie zapomniał jej za to ów kolega z sąsiedniego pokoju z Instytutu Chemii Fizycznej Michael Schindhelm, który pod dachem Akademii Nauk próbował w latach 1984–1986 doktoryzować się u tego samego co ona promotora. Ten, który podczas wcześniejszych studiów w Woroneżu w Rosji pod groźbą szantażu za rzekome kontakty z wywiadem państw zachodnich dał się złapać na haczyk i poszedł na współpracę ze Stasi. Ale o tym w Adlershofie nikt nie wiedział. Natomiast Angela Merkel tak polubiła doktoranta zza ściany, że dwa razy w ciągu dnia zjawiała się u niego, stawiając mu na biurku filiżankę kawy. Parzyła ją po turecku, czyli zalewając sypaną kawę wrzątkiem z jedyne go czajnika stojącego w naukowym baraku. Między tą dwójką doktorantów od razu zaiskrzyło. Bardziej niż przy fizyce, chemii kwantowej czy obliczeniach matematycznych obydwójce odkryli pokrewieństwo dusz przy wspólnie wypijanych kawach, przy których namiętnie dyskutowali o literaturze, teatrze i zanieczyszczeniu środowiska w NRD. Ich serca i umysły ekscytowały się „Anną Kareniną”, literaturą rosyjską czy sensacyjnymi, ich zdaniem, eksperymentami Michaiła Gorbaczowa, studiowaniem w oryginale jego wypowiedzi czy analizowaniem słynnego przemówienia prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera z okazji czterdziestej rocznicy zakończenia II wojny światowej, które obydwójce przesmuglowali z Berlina Zachodniego^[25]. Nie brak domysłów, że to właśnie dla kolegi zza ściany Angela Merkel rozstała się z mężem. Schindhelm, z wykształcenia chemik kwantowy, ale typ niespokojnego ducha o artystycznych skłonnościach i twarzy playboya, po trzech latach przerwał doktorat w Akademii Nauk, wyjechał z Berlina i parął się rosyjskimi tłumaczeniami w jednym z prowincjonalnych miast w Górach Harzu. Po upadku NRD raz jeszcze zmienił profesję, przekwalifikowując się na dyrektora teatru w Gerze. Potem nadeszły angaże od najlepszych oper w Europie. Były chemik dyrektorował najpierw w Bazylei, by w końcu przejąć we władanie Fundację Berlińskich Oper w stolicy Niemiec. Nigdzie dłużej nie zagrzał miejsca. Nim w 2008 roku wybuchł światowy kryzys

finansowy, próbował tchnąć artystyczną duszę w kulturowo pustynny Dubaj, czyniąc z niego światowe centrum kultury z operami, muzeami i teatrami. Gdy także i tam pękła bańka finansowa, zwinął sponsorowany przez szejka interes. Zamieszkał między Rzymem a szwajcarskim Tessinem. Snuje teraz plany budowy wielkiego centrum kultury w Hongkongu. Jeszcze nim przeprowadził się z Bazylei do Berlina, na jaw wyszła jego współpraca ze Stasi jako TW „Manfreda Weiha”. Ale bezpieka nie miała z niego większego pożytku. Agentem okazał się marnym. Oficerom bezpieki wciskał plotki o życiu artystów lub zasypywał ich informacjami o niedostatkach życia codziennego w NRD^[26]. O swoich kolegach z instytutu, w tym także o Angeli Merkel, nie puścił pary z ust. Za to w napisanej autobiograficznej powieści „Roberts Reise” odsłonił kulisy Zakładu Fizyki Teoretycznej w Instytucie Chemii Fizycznej w Adlershofie. Jedną z asystentek piszących tam latami doktorat nosi imię Renate alias Erika. Pozbawiona wszelkich iluzji, odżywa jedynie podczas samotnych jazd na rowerze przez lasy i mokradła Brandenburgii. Nie do końca opis ten pasuje do Merkel. W instytucie zapamiętano ją przecież jako ambitnego, uskrzydłonego wieloma pomysłami naukowca. Ale podczas kongresu CDU w 2000 roku, na którym została jej przewodniczącą, Angela Merkel garściami cytowała z „Roberts Reise”, utożsamiając się z powieściową figurą. Od tej pory TW „Erika” jest przyklejona do niej jak numerki do piłkarskiej koszulki.

Sprawa Havemanna

Wśród kłębiących się spekulacji wokół ewentualnych powiązań Merkel ze Stasi największe emocje budzi niewyjaśniona do końca jej rola w największym przedsięwzięciu śledczym w dziejach wschodnioniemieckiej bezpieki – izolacji i obserwacji przebywającego w areszcie domowym Roberta Havemanna. Ten urodzony w 1910 roku w Monachium członek Komunistycznej Partii Niemiec, wybitny chemik, zdobył się w latach dyktatury Hitlera na heroiczny czyn: założył opozycyjną grupę o wymownej nazwie Unia Europejska. Aresztowany w 1943 roku, trafił do tego samego więzienia, w którym siedział już młody komunista Erich Honecker. Ponura twierdza Brandenburg-Görden uchodziła przed II wojną światową za „najpewniejsze więzienie na świecie”^[27], lepsze od Alcatraz. Hitler egzekucję na Havemannie stale odsuwał w czasie, ponieważ wierzył, że siedząc za kratami, dokona on przełomowych odkryć, udoskonali broń chemiczną, co ostatecznie zawiedzie wodza III Rzeszy do zwycięstwa w wojnie. Po klęsce reżimu Hitlera wybitny chemik o lewicowych poglądach uciekł z kapitalistycznej RFN do socjalistycznej NRD, wstąpił do SED, został posłem do parlamentu, ba, podjął współpracę ze Stasi. Ale po upadku stalinizmu i poluzowaniu śruby w ZSRR zamienił się w najbardziej prominentnego krytyka ernerdowskiego reżimu. Były kolega z więziennej celi wykluczył go z partii i zatroszczył się też o to, by wydano mu zakaz pracy i wyrzucono z Akademii Nauk i Uniwersytetu Humboldta. Havemann, teraz już jako męczennik systemu, zaczął publikować na Zachodzie. Na całego zadarł z NRD, zakładając sobie w RFN konto bankowe, czego surowo zabraniało wschodnioniemieckie prawo. Na jego stole domowym stał demonstracyjnie nieobecny w asortymencie ernerdowskich sklepów keczup, słodko-kwaśny symbol łączności z kulturą Zachodu. A przede wszystkim Havemann przemycił za plecami Stasi do zachodnioniemieckich dziennikarzy nagrane swoim basowym szeptem jeremiady. Nic dziwnego, że Havemann dzień rozpoczynał od sprawdzania klocków hamulcowych w swoim samochodzie. W 1976 roku na łamach zachodnioniemieckiego

„Spiegla” opublikował list do byłego kolegi z celi Ericha Honeckera, protestując przeciwko wydaleniu z NRD innego opozycjonisty, Wolfa Biermanna. Honecker postarał się, by Havemann stanął przed sądem jako wróg klasowy. Zasądzony wyrok skazywał go na areszt domowy. Reżim nie odważył się wsadzić mocno podupadłego na zdrowiu i chorego na gruźlicę opozycjonisty z powrotem do „najpewniejszego więzienia świata”, które tymczasem rozbudowano i odnowiono. Bo Honecker nie był Hitlerem, a NRD nie była III Rzeszą. Ale zdjęcia osaczonego przez Stasi dysydenta pojawiły się w niemal każdej gazecie na Zachodzie. Od 1979 roku znajdował się dwadzieścia cztery godziny na dobę pod obserwacją bezpieki. Trwała ona przez kolejne trzy lata aż do śmierci opozycjonisty. W domu założono mu podsłuch. Położona nad jednym z kanałów w ówczesnej berlińskiej dzielnicy Grünheide działka, na której mieszkał w walącym się domku letniskowym, została hermetycznie otoczona przez bezpiekę, która wykupiła nawet sąsiednie parcele. Służba bezpieczeństwa weszła w posiadanie drewnianej altanki, nabywając ją od eksmałżonki opozycjonisty, gdy ta rozwiodła się z mężem. Codziennie przy obydwu wyjściach z działki parkowały policyjne samochody. Przejazdy łódkami rzeką wzdłuż posiadłości Havemanna odbywały się wyłącznie w towarzystwie policji. Posiadłość znajdowała się pod stałą obserwacją narybku Stasi – zwerbowanych do współpracy młodzieżowców z FDJ^[28]. Czy wśród nich była Angela Merkel?

Tę właśnie sensacyjną tezę wysunął szwajcarski portal internetowy Schweiz Magazin. Jego redaktorzy wyszperali w 2008 roku dokumentację, jaką regionalna stacja telewizyjna Mitteldeutscher Rundfunk (MDR) z Lipska zgromadziła do filmu dokumentalnego odsłaniającego działalność śledczą wschodnioniemieckiej bezpieki. „Im Auge der Macht – die Bilder der Stasi” pokazuje, jak służba bezpieczeństwa w NRD szpiegowała opozycję, Kościół, zachodnie misje wojskowe oraz stałe przedstawicielstwo RFN w Berlinie Wschodnim. W filmie wykorzystano głównie nagrania amatorskie, robione ręką samych agentów i od kuchni ukazujące ich zakulisowe poczynania. Absolutne przeciwieństwo niezmiennie emitowanych w enerdowskiej telewizji scen z udziałem „dobrego funkcjonariusza Stasi”: od nadętych akademii z wręczaniem medali i uściskiem dłoni przelożonych po opiekuńczych funkcjonariuszy odwiedzających w wakacje dziecięce kolonie. Pierwotnie w archiwach Stasi znajdowało się 1,4 miliona zdjęć oraz 3,8 tysiąca filmów wideo. Wśród nich dziennikarze MDR natrafili na stare zdjęcie paszportowe Angeli Merkel włożone do teczki, w której skompletowano fotografie wszystkich szpicli zaangażowanych w bezprecedensową, nawet jak dla Stasi, obserwację Roberta Havemanna.

W tym czasie Angela Merkel pracowała już jako doktorantka w Instytucie Chemii Fizycznej, a zarazem przewodniczyła tamtejszemu oddziałowi młodzieżówki komunistycznej FDJ. Nie przypomina sobie jednak, by kiedykolwiek była na działce osaczonego przez Stasi Havemanna. Natomiast nie zaprzeczała, że bardzo dobrze znała jego syna Ulricha. Nie tylko dzieliła z nim biuro w baraku instytutu, ale także przyjaźniła się z nim prywatnie. W tym okresie Havemann junior był mocno skłócony z ojcem, do czego rękę przyłożyła Stasi. Bezpardonowo niszcząc opozycjonistę, bezpieka stosowała swoją ulubioną metodę – podpuszczała przeciwko swojej ofierze najbliższych członków rodziny. Doprowadziło to w końcu do rozwodu Havemanna z żoną i zdystansowania się od niego syna. Akcja skłócenia ze sobą rodziny wkomponowana została w przeprowadzony na początku 1978 roku frontalny atak Stasi na opozycjonistę, mający go ostatecznie złamać. Odebrano mu „ze względu na stan zdrowia” prawo jazdy, zakazano przyjmowania gości w domu, a na działkę wysyłano jeszcze liczniejsze zastępy szpicli,

głównie młodych wiekiem TW.

Dziennikarze z lipskiego studia MDR już w 2005 roku poprosili Angelę Merkel o zgodę na pobranie zdjęcia z archiwum Urzędu do spraw Akt Stasi. Jej biuro odmówiło prośbie, powołując się na ochronę danych osobowych oraz na równość w traktowaniu wszystkich petentów wysuwających podobne zapytania^[29]. Jeszcze bardziej nietypowo zakończyło się pukanie do drzwi samego urzędu. Zdjęcie wydano, ale z zamazaną twarzą. Strona internetowa szwajcarskiego portalu z dossier o Merkel znikła.

Podejrzenie o ewentualną współpracę Angeli Merkel ze Stasi traci na swojej zasadności w obliczu jej bliskich od 1978 roku relacji z Havemannem juniorem. Ulrich pomógł jej podczas przeprowadzki z Lipska do Berlina, w nowym mieszkaniu zmontował regały, zawiesił firanki. Ona zrewanżowała mu się opieką nad jego dziećmi jako babysitterka. Jej obecność na posiadłości ojca wcale nie musiała oznaczać uczestnictwa w szpiegowskiej akcji Stasi.

Dostęp do znajdującego się w areszcie domowym Roberta Havemanna miała jeszcze jedna osoba, która do dziś należy do czołówki politycznego establishmentu Niemiec: Gregor Gysi, współprzewodniczący frakcji parlamentarnej partii Die Linke. To on w latach 1979–1980 reprezentował przed sądem jako adwokat wschodnioniemieckiego opozycjonistę. Gysi uchodził za niezwykle zdolnego prawnika. W palestrze mówiono nawet, że na jego rozprawy powinno się sprzedawać bilety wstępu^[30]. W oczywisty sposób Gysi kontaktował się też z Ulrichem. Możliwe, że nawiązał kontakt z zaprzyjaźnioną z nim Angelą Merkel. Zresztą między zdolnym adwokatem, który należał do partii komunistycznej, a początkującą doktorantką istniało jeszcze jedno łącze. Ojciec Angeli Merkel, „czerwony pastor” Kasner, znał się bardzo dobrze z ojcem błyskotliwego adwokata. Klaus Gysi dochrapał się w reżimie Honeckera prominentnej funkcji ministra kultury i szefa Urzędu do spraw Wyznań. Piastując to stanowisko, krótko trzymał Kościół ewangelicki. Jego współpraca ze Stasi nie podlega dyskusji. Jako TW „Kurt” zarzucał sieci na wysokich funkcjonariuszy wschodnioniemieckiego Kościoła. Czy namaścił też swojego syna na agenta? Wiadomo, że ten w wieku ośmiu lat otrzymał od Stasi pierwszy prezent, bajeczną dla chłopca w NRD kolejkę elektryczną made in West Germany. Ale poważne podejrzenia dotyczą lat 70. i 80., gdy Gregor Gysi zmonopolizował obronę na wokandzie sądowej wschodnioniemieckich dysydentów. Po zjednoczeniu Niemiec wokół szyi Gregora Gysiego – domnianego TW „Notariusz” – zaciska się pętla podejrzeń. Gysi stanowczo zaprzecza. Jeżeli podejrzenia te miałyby się potwierdzić, oznaczałoby to, że pracował dla Stasi w chwili, gdy był adwokatem Havemanna^[31]. I gdy kontaktował się z Angelą Merkel.

A może to sam „czerwony pastor” współpracował ze Stasi i niejako z ojcowską rekomendacją polecił bezpiecze usługi córki? To pytanie otwiera całą listę kolejnych. Czyż pastor Kasner nie forsował gorliwie na forum konformistycznego Weissenseer Arbeitskreis współpracy z reżimem Honeckera i nie kruszył kopii na rzecz idei „Kościoła w socjalizmie”? Czyż nie dystansował się od działalności opozycyjnych duchownych? Czyż dokumenty państwa SED nie zaliczają go do „sił postępowych” w łonie wschodnioniemieckiego synodu kościelnego? Czy nie cieszył się przywilejami, których dysponentem było państwo? „Czerwony pastor” miał dwa samochody, służbowy i prywatny, mógł wyjeżdżać do Italii, Wielkiej Brytanii i RFN, podobnie jak jego córka. Żona bez problemów odwiedzała USA. Jednak wydaje się mało prawdopodobne, by „czerwony pastor” dał się zwerbować Stasi. Tak przynajmniej utrzymuje – bo teczki ojca Merkel nigdy nie znaleziono – były zastępca szefa XX Głównego Wydziału, rozpracowującego Kościół, kapitan Klaus Rossberg, którego zeznania obciążały już niejednego duchownego

z NRD, robiącego karierę w zjednoczonych Niemczech. To nie kto inny tylko Rossberg przez dwadzieścia lat jako oficer prowadzący spotykał się z Manfredem Stolpem alias TW „Sekretär”, który w NRD należał do wierchuszki Kościoła ewangelickiego, a jednocześnie przyjaźnił się z „czerwonym pastorem”, by po zjednoczeniu Niemiec zostać premierem Brandenburgii. Rozgoryczony swoim podupadłym statusem i marną rentą w wysokości 802 marek w zjednoczonych Niemczech kapitan Rossberg opublikował wspomnienia o kolaboracji z prominentnymi ewangelickimi duchownymi „Krzyż pański z Krzyżem”^[32]. Według Rossberga Stasi w latach 70. zaczęła szantażować Kasnera, którego miała przyłapać na kontaktach z prostytutkami^[33].

„Korek, worek i rozporek”, czyli alkohol, pieniądze i seks, należały do ulubionych strategii Stasi, dzięki którym dobierała się do upatrzonej ofiary, uderzając w jej słaby punkt^[34]. Najchętniej sięgała po rozporek. Prowokacje, polegające na wysyłaniu agentek-prostytutek, w tym także do łóżek duchownych, należały do ulubionych zagrywek ministerstwa bezpieczeństwa^[35]. Oficjalnie prostytutka uchodziła w socjalistycznym NRD za „wyraz pasożytniczej, dekadentckiej i mieszczańskiej kultury zachodniej”, jak to ujęła w pracy dyplomowej z 1975 roku dwójka oficerów bezpieczeństwa. Nieoficjalnie natomiast podwładni generała Ericha Mielkego chętnie angażowali prostytutki do współpracy i posiadali nawet modelowy profil agenta z pejczem w rękę i high-heels na nogach, jak wynika z akt lipskiego oddziału: „wiek od 22 do 28 lat, wzrost 160–170 cm”, brak zobowiązań rodzinnych, główne zainteresowania: „nawiązywanie kontaktów z mężczyznami i kobietami w restauracjach, barach nocnych i hotelach”^[36]. W przypadku Kasnera Stasi się jednak nacięło. Kapitan Rossberg zeznał bowiem, że pastor nie ugiął się przed szantażem. „Zanim się zgodzę na współpracę, wszystko wyznam swojemu biskupowi. U niego znajdę rozgrzeszenie” – powiedział nagabującym go agentom^[37].

Gdzie są dowody?

Horst Kasner utrzymywał bliskie kontakty z hierarchiami Kościoła ewangelickiego oraz osobami świeckimi orbitującymi między Kościołem a kręgami rządowymi NRD. Klaus Gysi, Wolfgang Schnur, Clemens de Maizière, Lothar de Maizière, Günther Krause, Manfred Stolpe – wszyscy oni uchodzili za lewicowych teologów. W niektórych kręgach za przedłużone ramię SED w synodzie Kościoła ewangelickiego. I wszyscy oni dążyli do wyrwania Kościoła w Brandenburgii z matczynych struktur ogólnoniemieckich, czyli w rzeczywistości zachodnioniemieckich. Wielu z nich albo kontaktowało się ze Stasi, albo też z nią współpracowało jako TW. Całe to środowisko pastorów, prawników kościelnych, adwokatów, świeckich funkcjonariuszy Kościoła oraz polityków wywodzących się z pseudochadeckiej enerdowskiej partii CDU-Ost, związane licznymi więzami towarzyskimi i inwigilowane przez Stasi, stanowiło dla Angeli Merkel polityczny biotop, w którym wyrastała. Ważniejsze jednak jest to, że później na jej drodze postaci z tego kręgu pojawią się raz jeszcze, wspierając w kluczowych momentach jej karierę. Manfred Stolpe TW „Sekretär” wyciągnął ją z opresji przed maturą. Wolfgang Schnur TW „Torsten” przyjął po upadku muru berlińskiego pod koniec 1989 roku do Zrywu Demokratycznego, nowej partii wyrosłej na fali rewolucji w NRD, i awansował na jej rzecznika prasowego. Schnur, przyjaciel pastora Kasnera, w NRD piastował wysoki urząd wiceprezesa synodu Kościoła ewangelickiego w Brandenburgii. Jednocześnie

udzielał się jako obrońca kościelnych opozycjonistów. W istocie jednak nieprzerwanie od 1964 roku donosił na nich bezpiece. Nic dziwnego, że w centrali Stasi uzbierało się trzydzieści grubych segregatorów, w których pęczniały jego raporty. W jednym z nich skarżył się, że jako niewierzący musi dla dobra socjalistycznej ojczyzny udawać żarliwego ewangelika, by spokojnie móc inwigilować środowiska kościelne. W zamian za heroiczną służbę otrzymał z rąk socjalistycznych władz liczne ordery. Z kolei Lothar de Maizière, TW „Czerni”, syn Clemensa de Maizière alias „Clemens”, „Phil”, „Anwalt” (Adwokat) – uczynił ją zastępcą rzecznika prasowego w swoim gabinecie, zarazem ostatnim rządzie w dziejach NRD. I po ustąpieniu z historycznej sceny dziejowej wschodniemieckiego państwa razem z Güntherem Krausem gorąco polecił kanclerzowi Helmutowi Kohlowi. Günther Krause, z wykształcenia organista kościelny i inżynier, przed 1989 rokiem członek reżimowej CDU-Ost i naukowiec, robiący zawrotną karierę w Wyższej Szkole Technicznej w Wismarze, nie był przed 1989 rokiem w NRD zarejestrowanym tajnym współpracownikiem. Z własnej woli składał Stasi obszerne raporty o sytuacji w Kościele ewangelickim, środowisku akademickim i zwasalizowanej przez SED partii CDU-Ost. Wszystkie jego informacje ministerstwo bezpieczeństwa zaklasyfikowało jako „istotne”^[38]. Charakterystyczne, że jako minister rządu Lothara de Maizière’a – a z jego ramienia główny negocjator traktatu zjednoczeniowego z RFN – opowiadał się za likwidacją akt Stasi i amnestią dla wszystkich donosicieli. Kiedy Angela Merkel została kanclerzem, na szefa Urzędu Kanclerskiego i ministra bez teki desygnowała Thomasa de Maizière’a, kuzyna Lothara. Dla zwolenników teorii spiskowych zapachniało „układem” – Lothar powołał do rządu Angelę, Angela powołała do rządu Thomasa. Tym bardziej że na nowym stanowisku Thomas de Maizière odpowiadał za służby specjalne. Spekulacje o układzie między Merkel a klanem de Maizière odżyły, gdy Thomas po dymisji Karla-Theodora von und zu Guttenberga został ministrem obrony w drugim rządzie Angeli Merkel^[39].

Dowodami na współpracę Angeli Merkel ze Stasi nie dysponuje nikt. W Urzędzie do spraw Akt Stasi „piętrzą się wnioski osób”, które z prokuratorską wnikliwością chciałyby zbadać jej przeszłość w NRD^[40]. Dlatego tak długo, jak Angela Merkel nie ujawni swoich akt personalnych Stasi, stwarzać będzie pole do różnych domysłów. Wszystko, co wiadomo o jej życiu w NRD, nie pozostawia jednak złudzeń – jej uwikłanie w system ernerdowski było znaczne. Nawet rewolucja 1989 roku jej nie interesowała. Dopiero wtedy, gdy kości zostały rzucone, gdy runął mur, a SED dogorywała, przyłączyła się do Zrywu Demokratycznego Wolfganga Schnura alias TW „Torsten”.

Amazonka

Skończyła się orgia gwałtu i walki. Krewki Achilles zabił w pojedynku syna króla Troi, Hektora. W porywie gniewu zbeczczył jego zwłoki: przyczepione do rydwanu włókł po ziemi. Grecka maszynka do zabijania powoli się uspokaja. Zezwała strapionemu ojcu, by uroczyście pogrzebał syna. Tyle stary, dobry Homer. Historię spod murów Troi dokończyli za niego inni. Według nich na odsiecz trojanom przybyła królowa Amazoнок Pentezylea. Pod ciosami jej wojowniczek gęsto ścielił się męski trup. „Psy! Pomrzecie dziś, nie ujrawszy swych żon i dzieci” – odgrażała się Pentezylea Achajom^[1]. Wtedy Achilles wyzwiał ją na pojedynek. Przebił ją, zwłókł za włosy z siodła i ściągnął jej złoty hełm. W pięknej twarzy zakochał się bez pamięci. W porywie ekstazy zgwałcił powabne zwłoki. Kolejne pokolenia Greków Pentezyleę uwieczniały na wazach.

Wyemancypowane, bitne wojowniczkі rozpałały fantazję Greków. Podziwiali ich odwagę, niezależność i mistrzowskie ujeżdżenia konia. Uważali Amazonki za jedyne kobiety, które podejmują ryzyko pomimo doznanych porażek. W czasach imperium rzymskiego porównanie legionisty do Amazonki uchodziło za największy komplement. „Jesteś władcą całego świata, o sławie dorównującej imieniu Amazoнок” – taki okrzyk lud rzymski wznosił w 170 roku w Koloseum na cześć nowego cesarza Kommodusa.

Ale czy te piękne i odważne kobiety nie są przypadkiem wytworem męskiej fantazji? Żyjący kilka wieków po wojnie trojańskiej Herodot brak śladów po Amazonkach tłumaczył: uciekły na dzikie, północne tereny. Jego rzymski kolega po fachu Plutarch zaklinał się na wszystkie świętości, że kiedy w czasach Chrystusa odwiedzał Ateny, na własne oczy oglądał ogromny obelisk upamiętniający rzeź Amazoнок. Te bowiem aż pięciokrotnie znad Morza Czarnego miały podchodzić pod miasto. Zwycięstwo nad nimi świętowano w Atenach huczniej niż legendarne pokonanie Persów.

Istnieją i inne dowody na autentyczność Amazoнок. Katolicycy duchowni, którzy w XVI wieku towarzyszyli hiszpańskiemu konkwistadorowi Francisco Pizarro podczas przemarszu przez południowoamerykańską dżunglę, raportowali o ostrzeliwujących ich z łuków wojowniczkach. Ich imieniem zdobywcy z Hiszpanii nazwali największą rzekę świata. Amazonki dotrwały do naszych czasów – na taśmach filmowych, kartach komiksów, a ostatnio w grach komputerowych. I oczywiście w sporcie jeździeckim.

Niekiedy pojawiają się w wielkiej polityce. Dziewica Orleańska była jedną z nich. Prosta, wiejska dziewczyna zaryzykowała życie, by przed brytyjskim najeźdźcą uratować swojemu królowi tron i koronę. „Nie boję się niczego” – wyznaje dziś swoje credo inna z Amazoнок^[2]. Nie do końca mówi prawdę. Angela Merkel boi się burzy i psów. W dzieciństwie została pogryziona przez czworonoga. Dobrze o tym wiedziały rosyjskie służby specjalne. Dlatego na zakończenie wizyty w dacy Władimira Putina na rosyjskiej Riwierze w 2007 roku przewrotny gospodarz na oczach licznych dziennikarzy położył u nóg Merkel potężnego

czarnego labradora. Kanclerz była jak sparaliżowana. Szybko jednak odzyskała kontenans. Dopiero znacznie później dowiedziała się, że suka Koni nie jest groźna, słynie z wyjadania herbatników dziennikarzom obecnym na konferencjach prasowych Putina, który w chwilach depresji konsultuje z nią polityczne decyzje.

Ale od razu Amazonka? Co z legendarną aparycją i zgrabną figurą? Ach, ten warunek Merkel spełnia na starcie. Bo jak wytłumaczyć niewinną drobnostkę, że to akurat jej wizerunek przejął w 2009 roku jeden z modeli lalki Barbie? Od aparycji i figury ważniejsza jest jednak dusza. A Merkel jak każda Amazonka jest kobietą nietypową. Wyłamuje się z roli przypisanej swojej płci. Odważna, wyrachowana, ze skłonnością do ryzyka. Posłuszeństwo wobec szefów okazuje tylko tak długo, jak to jest konieczne. Inaczej nie przeżyłaby w męskim klubie, jakim jest CDU. Jej największy atut? Pozorna nijakość. Ten typ szarej myszki wtapiającej się w tło, dla innych niegroźnej, najpierw bez pardonu pnącej się po kolejnych szczeblach politycznej kariery, a potem jako kanclerz rozgrywającej swoje polityczne gry, narodził się na fali enerdowskiej rewolucji 1989 roku. Bo dopiero upadek muru berlińskiego i zjednoczenie Niemiec pchnęły początkującą naukowicę z szarego baraku w Adlershofie w objęcia polityki. Gdyby nie zwycięska rewolucja w Berlinie Wschodnim, Merkel nadal zgłębiałaby tajniki chemii kwantowej. I nie przemieniłaby się w Amazonkę.

Niemiecka Jesień Ludów 1989–1990 stworzyła tylko warunki do metamorfozy Merkel, bynajmniej jej nie determinowała. 35-letnia wtedy pani doktor nie była przecież jedyną w NRD, która z dnia na dzień stanęła w szranki polityki. W gorących dniach rewolucji enerdowskiej swoją wielką przygodę z polityką rozpoczęła rzesza pastorów, naukowców i intelektualistów. Większość z nich dość szybko połamała sobie na niej zęby. Tylko nieliczni przetrwali zjednoczenie NRD z RFN, jeszcze mniej dotarło na polityczny parnas w zjednoczonym kraju. A już tylko ona jedna zatknęła chorągiewkę na samym szczycie – została kanclerzem Niemiec. Jak to się stało, skoro Angela Merkel w chwili, gdy padał mur, była politycznym żółtodziobem? Tu trzeba cofnąć się do dramatycznej jesieni 1989 roku.

Schabowski obala mur

W swoich najśmielszych przypuszczeniach Günter Schabowski nie sądził, że przejdzie do historii jako królobójca niemieckiego państwa robotników i chłopów. Żonaty z Rosjanką żarliwy komunista z szeroką, nalaną twarzą, szczycił się nienagannym proletariackim pochodzeniem – ojciec był hydraulikiem złotą rączką. W latach 70. cieszył się tak wielkim zaufaniem Honeckera, iż powierzono mu kierownictwo „Neues Deutschland”, organu SED, będącego „skrzyżowaniem propagandowej gazetki ściennej, politycznego komunikatu meteorologicznego oraz gazety dworskiej”^[3]. W następnej dekadzie „towarzysz Schabbi”, jak go ochrzcił partyjny kolektyw, wdarł się na szczyty partii. Podlegał jedynie samemu Honeckerowi. Zamieszkał w willowej dzielnicy Wandlitz pod Berlinem, ekskluzywnym getcie dla partyjnych bonzów. Przesiadł się do służbowej limuzyny Volvo, którą to luksusową marką Honecker zastąpił przyciężkawe radzieckie krążowniki, by jego partyjni dygnitarze prestiżem mogli się równać z konkurencją z Zachodu. Sprowadzenie mercedesów byłoby zbyt dużym dopieszczeniem kapitalistycznego rywala z drugiej strony muru berlińskiego. Zgodnie z ornitologiczną typologią, praktykowaną w tak zwanym wolnym świecie, dzielącą polityków bloku radzieckiego na „gołębie” i „jastrzębie”, Schabowski należał do tych drugich. Z lat 80.

pozostał po nim lizusowski list do Honeckera, w którym pomstował, że coraz więcej enerdownców, zamiast budować socjalizm, instaluje na dachach domów anteny satelitarne, by odbierać „przeklęty SAT1”, zachodniemiecki kanał komercyjny z dużą liczbą filmów erotycznych. Pisarka Christa Wolf oświadczyła, że w „Związku Pisarzy NRD przed partyjnym ideologiem Schabowskim wręcz trzęsiono portkami”^[4].

Pomyłka, jaką popełnił podczas konferencji prasowej 9 listopada 1989 roku, zadała śmiertelny cios wstrząsanej konwulsjami NRD, pozbawiając ją w ciągu kilku godzin najcenniejszej nieruchomości: „antyfaszystowskiego wału ochronnego”. Rzeczona konferencja prasowa stanowiła absolutne novum w historii kraju. Po raz pierwszy radio i telewizja transmitowały na żywo oświadczenie dla prasy wysokiego dygnitarza partyjnego. Przed czarnobiałymi telewizorami zasiadły miliony enerdownców. Taką nieznaną dotąd w NRD formą przekazu do społeczeństwa bossowie SED chcieli uratować socjalizm. A przy okazji własną skórę. Od dobrych kilku miesięcy mieli do gardła przystawiony nóż. Od kiedy w maju 1989 roku Węgry otworzyły granicę z Austrią, tysiące enerdownców brało wolne, pakowało do trabantów namioty, menażki i walizki, by pod pozorem urlopu nad Balatonem dać nogę do RFN. Demograficzny krwotok przybrał takie rozmiary, że groził biologiczną śmiercią raju Honeckera. Ci, którzy w nim zostali, wychodzili na ulice. Po kilku tygodniach wrzenia grupka reformatorskich aparatczyków, skupiona wokół partyjnego barona Egona Krenza, przeprowadziła pucz, usuwając politycznego dinozaura Honeckera. By jeszcze bardziej uchylić ciężką pokrywkę z niebezpiecznie kipiącego kotła, wierchuszka SED na posiedzeniu 9 listopada zdecydowała się wprowadzić liberalne reformy, w tym zezwolić na wyjazdy do RFN. Radosne nowiny miał ogłosić Schabowski, odpowiedzialny w partii za kontakt z mediami.

Na konferencji prasowej Schabowski przez godzinę zanudzał partyjnym belkotem, opisując planowane reformy. Dziennikarze drzemali w najlepsze. Nagle korespondent włoskiej agencji ANSA Riccardo Ehrman zadał najbardziej interesujące Niemców pytanie o ustawę dotyczącą wyjazdów za granicę. Schabbi, który nie uczestniczył w partyjnym posiedzeniu, zaczął się plątać. Wreszcie wydukał: „Zdecydowaliśmy się na to..., dziś ustanowiliśmy regulację, która pozwala każdemu obywatelowi NRD wyjechać przez punkty graniczne leżące w NRD”. Na sali zawrzało. Drzemiący dziennikarze zerwali się na równe nogi. „Od kiedy nowa ustawa wchodzi w życie?” – pytali. Schabowski założył okulary i zaczął nerwowo przerzucać kartki, które otrzymał od Krenza. Jego spojrzenie rozpaczliwie szukało pomocy u siedzących obok dwóch innych członków politbiura. Zapadła cisza. Mikrofon w zwielokrotniony sposób przenosił w eter szelest kartek. Gdy odpowiedź nie padała, napięcie w sali sięgnęło zenitu. „Według mnie..., to jest, tak, od zaraz” – wybąkał towarzysz Schabbi. A trafiając w końcu na właściwą kartkę od Krenza, dodał pewnym już głosem: „Natychmiast, niezwłocznie”^[5]. Tymczasem regulacja obowiązywała od rana następnego dnia, a co ważniejsze, przewidywała uzyskanie najpierw zezwoleń na wyjazd w urzędach paszportowych. Sprytni oficerowie Stasi układający ustawę liczyli na to, że wiele wniosków wyjazdowych utknie w szufladach urzędników, powstrzymując falę uciekinierów. Schabowski jednak nic o tym nie wiedział. Kartki Krenza wcześniej nie czytał. Na posiedzeniu wierchuszki SED nie był. Mocno zirytowany zakończył wystąpienie i wyszedł z sali. Dziennikarze, nie do końca pewni, czy bąknięcia partyjnego politruka oznaczają otwarcie granicy, tak to właśnie zinterpretowali. Rok później Schabowski przyznał, że tamtego wieczoru sam nie pojmował sensu swoich słów^[6]. Tymczasem tuż po konferencji agencje prasowe informację puściły w świat. Dopiero jednak główne wydanie

wieczornego dziennika w zachodnioniemieckiej jedynce zelektryzowało przyssanych do telewizorów energowców. O 22.42 w swoich ciasnych mieszkaniach dowiedzieli się, że dla każdego z nich granica z RFN stoi otworem. Tak jak siedzieli, hurmem ruszyli na przejścia graniczne. Wielu w pidżamach i narzuconych na nie płaszczach.

Wywody Schabowskiego spadły na pilnujących przejść granicznych strażników Stasi jak grom z jasnego nieba. Na przejściach zbierały się tłumy podekscytowanych energowców. Na Bornholmer Strasse, jednym z przejść w centrum Berlina, w pobliżu mieszkania Angeli Merkel, pół setki pograniczników ni w ząb nie zrozumiało wystąpienia Schabowskiego. Ich komendant próbował uzyskać dodatkowe instrukcje w centrali Stasi. Ale nawet tam bezradnie rozkładano ręce. Sam Egon Krenz nie wiedział, co robić. „Czyżby chodziło o to, by zamknąć granicę?” – pytał zdezorientowany partyjnych towarzyszy^[7]. Szef SED rady szukał u Gorbaczowa, ale w Moskwie, ze względu na różnicę czasu, a w dodatku w dniu rocznicy rewolucji październikowej, nikt nie odbierał telefonu. Mocno niepokoił się natomiast ambasador radziecki w Berlinie. Śledził bieg wydarzeń, zachodząc w głowę, dlaczego kierownictwo NRD zapadło się pod ziemię. Rozwój wypadków w Berlinie zaskoczył także amerykańskiego prezydenta i CIA. W odległym Waszyngtonie Bush senior też nie odchodził od telewizora. Na kolanach miał rozłożoną mapę Niemiec. W obawie przed radziecką prowokacją ogłosił alarm dla amerykańskich sił zbrojnych w RFN.

Politycy, także ci najwięksi, sprowadzeni zostali do roli biernych obserwatorów. Sytuację w Berlinie i NRD kształtowała ulica. Na przejściach granicznych pęczniały tłumy energowców. Na Bornholmer Strasse ich liczba w ciągu kilku godzin wzrosła do 20 tysięcy. Za nimi ciągnął się półtorakilometrowy sznur trabantów i wartburgów. „Otworzyć szlaban! Schabowski powiedział: natychmiast, niezwłocznie!” – krzyczano w kierunku strażników granicznych. Komendant przejścia zawezwał podwładnych do siebie. „Przepuścić?” – zapytał. Odpowiedziało mu milczenie. „Otworzyć ogień?” – na wszystkich padł błady strach. Tuż przed północą szlaban poszedł w górę. Za przykładem Bornholmer Strasse poszły pozostałe punkty graniczne. Po dwudziestu ośmiu latach runął mur. „Spełniło się wielkie marzenie” – westchnął w Bonn Egon Bahr, twórca polityki wschodniej kanclerza Willy’ego Brandta. Po czym co sił popędził do byłego pryncypała. „Rzeczywistość przerosła najśmielsze fantazje” – oświadczył Brandtowi^[8]. Dobiegający osiemdziesiątki ekskanclerz siedział w jednym z biur niemieckiego parlamentu, wlepiony w ekran telewizora, i z trudem powstrzymywał łzy, gdy widział, jak do Berlina Zachodniego napływały tłumy energowców. Witali ich entuzjastycznie mieszkańcy kapitalistycznej części miasta. Na leżącym nad Sprewą przejściu granicznym Oberbaumbrücke przed krajanami ze wschodu wyłożono nawet czerwony dywan. Na przejściach strzelały w górę korki od szampana i petardy. Każdego pojawiającego się trabanta witano gromkimi brawami. Obcy ludzie padali sobie w objęcia. Festiwal trwał do rana. Nawet osłupiałym pogranicznikom wręczano kwiaty.

W saunie z ręcznikiem, kostiumem i klapkami

Co w wieczór, gdy padał mur, porabiała Angela Merkel? Jak miliony rodaków siedziała w domu przykuta do telewizora i oglądała wystąpienie Schabowskiego. Potem zgasła telewizor i wyszła... do sauny. Czwartkowe wieczory od dłuższego już czasu miała w zwyczaju spędzać razem z przyjaciółką w saunie basenowego kompleksu Ernst-Thälmann-Park. Czyżby nie

pojęła słów Schabowskiego? Wręcz przeciwnie! Nim spakowała ręcznik, klapki i kostium, zadzwoniła do mamy w Templinie i przypomniała jej o kursującym w rodzinie powiedzonku: „Kiedy padnie mur, idziemy do Kempinskiego na ostrygi”^[9]. Rodzinne powiedzonko uchodziło za synonim kaprysu, hotel Kempinski za najbardziej luksusowy w Berlinie Zachodnim, a ostrygi za przysmak ekskluzywny. Na enerdowskich stołach małże o subtelny, morsko-słono-słodkawym smaku pojawiły się dopiero po zjednoczeniu kraju. Do tej pory za wykwinną potrawę w RFN trzeba było wyłożyć 60 marek (dziś 120 złotych). Angela Merkel po latach wyznała, że tamtego wieczoru przeczuwała nadejście trzęsienia ziemi, ale nie sądziła, że nastąpi ono w ciągu najbliższych godzin. I jako polityczny żółtodziób nieprzypadkowo znalazła się wtedy z klapkami na nogach w saunie. Choć od przejścia granicznego na Bornholmer Strasse mieszkała o rzut beretem. A wieczorem 9 listopada sensacyjne informacje o sytuacji na przejściach granicznych lotem błyskawicy obiegały cały Berlin. Lothar de Maizière, pierwszy demokratycznie wybrany premier NRD i człowiek o wiecznie pobożnej twarzy pastora, wspomina, jak w tamten wieczór do protestanckiego kościoła w Berlinie Wschodnim, w którym akurat przebywał, wpadł młody mężczyzna i krzyknął, że runął mur^[10]. Skoro o wydarzeniach na przejściach granicznych rozprawiano w kościołach, to chyba tym bardziej w saunie. Temperatura rozmów politycznych musiała podnosić tę w kabinach. Po dwóch godzinach relaksu w parówce Angela Merkel, wiedzona ciekawością, a może i sceptycyzmem wobec krążących wieści, pognąła na punkt graniczny. Z torbą basenową w ręce. Wtopiona w tłum, jeszcze przed północą wkroczyła do Berlina Zachodniego. Ale atmosfera ludowych igrzysk na ulicy nie wywołała u niej euforii, raczej mieszane uczucia. „Z przypadkowymi ludźmi z ulicy trafiliśmy do mieszkania jakiejś zachodniobierlińskiej rodziny”. Gospodarze piwem w puszkach raczyli swoich gości. „Później wszyscy chcieli wyjść jeszcze na Ku’damm, reprezentacyjną ulicę Berlina Zachodniego, ale ja wołałam już wrócić. Na drugi dzień rano musiałam wstać do pracy. Zresztą tak licznego, nieznanego mi towarzystwa na razie miałam dość. Jak na swoje możliwości posunęłam się daleko”^[11]. Dystans i ostrożność, poczucie obowiązku i sumienność, a przede wszystkim indyferentyzm polityczny nie opuściły Merkel nawet w chwili, gdy na jej oczach walił się powojenny porządek światowy.

Dlatego też cztery dni później znalazła się w Polsce, dotrzymując terminu wcześniej zaplanowanego sympozjum z fizykami toruńskiego uniwersytetu. Ci przecierali oczy ze zdumienia, iż w tak historycznym momencie nie została w Berlinie^[12]. Jej apolityczna reakcja, charakterystyczna dla politycznego żółtodzioba, kontrastowała diametralnie z postępowaniem Helmuta Kohla. Zestawienie obydwu tych postaw z listopada 1989 roku wydaje się o tyle interesujące, że zaledwie dekadę później Merkel pałeczkę w CDU przejmie po Kohlu. A dokona tego ze znanstwem godnym politycznego wygi. I z brawurą Amazonki.

Kanclerz RFN w listopadzie 1989 roku składał przełomową wizytę także w Polsce, jaka wyłoniła się po czerwcowych wyborach. Niemiecka delegacja odleciała z Bonn do Warszawy trzy godziny przed wystąpieniem Schabowskiego. Planowane spotkanie z premierem Mazowieckim w Krzyżowej miało zainicjować pojednanie obydwu krajów^[13]. Na wzór niemiecko-francuskiego, przypieczętowanego monumentalną mszą w katedrze koronacyjnej królów Francji, podczas której Adenauer i de Gaulle wymienili między sobą znak pokoju. Ale sceny z Berlina, oglądane przez kanclerza z wypiekami na twarzy w telewizji w warszawskim hotelu Marriott, w którym ulokowała się delegacja niemiecka, nakazały natychmiastowe przerwanie wizyty. „Moja decyzja doprowadziła do prawdziwej kłótni” – wspomina Kohl.

„Polski premier za wszelką cenę chciał zapobiec mojemu wyjazdowi do Berlina. Odebrano by go jako afront wobec prezydenta Jaruzelskiego, gdybym odwołał przewidziane na następny dzień spotkanie z nim, powiedział mi Mazowiecki”. Najpierw polski premier zadzwonił do Jaruzelskiego, potem za słuchawkę chwycił kanclerz. Tłumaczył swojemu rozmówcy, że natychmiast musi zwołać posiedzenie rządu i pojawić się w Berlinie, po czym powróci do Warszawy. Kohl upierał się, że przerwana wizyta nie straci nic ze swojej rangi. Jaruzelski ustąpił. „Dla mnie było od razu jasne, że muszę przerwać tę wizytę mimo jej wagi, ponieważ miejsce kanclerza w tej historycznej godzinie było w niemieckiej stolicy, w centrum wydarzeń” – oznajmił Kohl tłumowi dziennikarzy w Marriotcie^[14].

Przepaść między Kohlem a Merkel w 1989 roku w wymiarze świadomości politycznej była równa głębokości Rowu Mariańskiego. Z dzisiejszej perspektywy trudno uwierzyć, że kiedy w Berlinie pisano historię świata, Angela z klapkami na nogach wolała zażywać uroków sauny bądź dzielić się wynikami swoich badań naukowych na sympozjum w Toruniu. W rewolucję niemiecką weszła z umysłem zupełnie nieukształtowanym politycznie. „Nie widziałem w niej politycznego nerwu” – ocenił 35-letnią fizyk z Berlina goszczącą ją w Toruniu profesor Jacek Karwowski. Już prywatnie polski naukowiec zabrał ją do siedziby miejscowej Solidarności. „Owszem, fascynował ją ten ruch, bo nie sięgając po metody gwałtu, był skuteczny i odwoływał się do korzeni chrześcijańskich. Merkel interesowała się sprawami politycznymi, ale nie wiedziałem, że widzi siebie w roli aktywnego polityka” – wyjaśnia profesor. A doktor Maria Berndt-Schreiber dodaje: „Przyjechała tu pod wrażeniem tego, co zobaczyła w Berlinie. Ale nie wierzyła, że upadek muru zjednoczy Niemcy. Wydawało jej się, że coś, co trwało dwa pokolenia, nie jest takie łatwe do zlikwidowania”^[15].

Pobyty w Polsce i silne przekonanie toruńskich fizyków, że podczas następnego ich spotkania obydwa państwa niemieckie będą już zjednoczone, jak Angela Merkel szczerze przyznała, „szeroko otworzyły jej oczy”^[16]. Ferment w jej politycznym myśleniu dojrzewał pod wpływem bezkrwawej berlińskiej „refolucji”, jak Timothy Garton Ash nazwał połączenie odgórnych zmian, którym przewodziła oświecona mniejszość w SED, z oddolnymi naciskami ulicy^[17]. Takie przyspieszone dojrzewanie polityczne nie jest niczym niezwykłym. Odbywa się zwykle pod silnym ciśnieniem wydarzeń politycznych, które torują drogę do władzy ludziom nowym, spoza polityki. Rewolucja francuska 1789 roku, w Polsce okres ratowania kraju pod rządami Stanisława Augusta Poniatowskiego bądź epoka Solidarności wydały całe generacje polityków, którzy w innych warunkach by nie zaistnieli. „Czym byłby dzisiaj Danton?” – pytał Stendhal w „Czerwonym i czarnym”. „Nie byłby nawet substytutem prokuratora królewskiego”^[18]. Za każdym razem z możliwości, jakie oferowały przewroty polityczne, korzystały legiony ludzi o różnych talentach i temperamentach. W NRD „refolucja” 1989 roku wprowadziła do gry politycznej rzeszę pastorów, prawników, naukowców. Pierwszy demokratycznie wybrany premier, Lothar de Maizière, był muzykiem! To właśnie inteligencja prawnicza, naukowa, a przede wszystkim teologiczna nadawała swoistego kolorytu niemieckiej „refolucji”, uzbrajając ją w wysoką kulturę prawną, filozoficzną i retoryczną. Nie mówiąc już o tym, że taki prawnik, naukowiec czy pastor bez problemu mógł „chwilowo” zawiesić na kołku swoją profesję i poświęcić się polityce.

Po powrocie Angeli Merkel z Polski strumień wydarzeń w Niemczech nadal płynął wartkim nurtem, stanowiąc trudny do okiełznania żywioł. Rządzący w RFN i NRD nie posiadali ani wypracowanego scenariusza, ani też podręcznikowej ściągki podpowiadającej, co robić,

i reagowali intuicyjnie na to, co dyktowała ulica. Ona zamieniła w makulaturę dziesięciopunktowy plan Kohla zjednoczenia kraju rozłożony na lata. Jeśli przed upadkiem muru demonstranci w NRD, by podkreślić swoją podmiotowość, krzykali: „Jesteśmy narodem!”, to gdy mur runął, by dać wyraz woli zjednoczenia z RFN, gardłowali: „Jesteśmy jednym narodem!”. W istocie, połowa energowców siedziała na walizkach, szykując się do wyjazdu do RFN. Pod tą presją wschodnioniemiecki reżim sypał się jak domek z kart. Wszechwładna do tej pory SED przechodziła znane już z Polski konwulsje umierającej partii komunistycznej. Parlament usunął z konstytucji zapis o jej przewodniej roli. Stojący na czele państwa sekretarz generalny SED Egon Krenz musiał w dniu, w którym Angela Merkel wygłaszała referat w Toruniu, ustąpić nowemu rządowi Hansa Modrowa, mniej twardogłowego komunisty z Drezna. Wprawdzie nowy premier nie mógł wprowadzić się do budynku rządowego, gdyż zabarykadował się w nim przyklejony od ponad dwudziestu lat do stołka szefa rządu twardogłowy Willi Stoph. Wkrótce jednak SED wyrzuciła Stophę z partii, obaliła Krenza i dokonała liftingu swojej nazwy. Wzorem Polski rozpoczęto rozmowy Okrągłego Stołu, choć w przeciwieństwie do warszawskiego oryginału mebel był prostokątny. Przede wszystkim zapowiedziano demokratyczne wybory. Kiedy tuż przed Bożym Narodzeniem do Drezna przybył kanclerz Kohl, na placu przed ruiną kościoła Najświętszej Marii Panny, gdzie przemawiał do tłumów, witało go morze czarno-czerwono-złoty flag. Wszystkie z olbrzymią dziurą w środku. Wobec braku tekstyliów w sklepach i niemożności uszycia naprędce zachodnioniemieckich flag energowcy wycinali ze środka swojej flagi cyrkiel, młot i wieniec. Pozbawiona „narzędzi” flaga symbolizowała całe Niemcy. Zresztą Kohl zaraz po wylądowaniu na lotnisku w Dreźnie wyczuł, że „reżim ma się ku końcowi”. Schodząc po schodkach samolotu, odwrócił się do swojego ministra Rudolfa Seitersa, mówiąc: „Sprawa jest przesądzona”^[19]. Ustanowienie RFN na wschodzie Niemiec wydawało się nieuchronne.

Polityczny ferment, o jakim mówił Kohl, a jaki po powrocie z Torunia Angela Merkel zastała w kraju, objął także jej najbliższe otoczenie w Adlershofie. „Przez te wszystkie dni w listopadzie i grudniu nie mogłam wieczorami zasnąć. Akademia była w stanie wrzenia, tyle się słyszało i widziało, demonstracje na ulicach się nie kończyły”^[20]. Niepewność co do losu kraju łączyła się z lękiem o przyszłość. Co stanie się z naukowcami namaszczoneymi przez komunistyczny reżim? – pytano na instytutowych korytarzach Akademii Nauk. To egzystencjalny niepokój i perspektywa zniknięcia NRD z powierzchni ziemi przemieniały Angelę Merkel w homo politicus. Czyżby dlatego jej metamorfoza nie nastąpiła wcześniej, na przykład pod wpływem opozycji demokratycznej? Tej sprężyny napędowej energowskiej rewolucji, która burzliwymi spotkaniami i dyskusjami pchnęła jesienią 1989 roku tysiące obywateli, do tej pory oportunistycznych, do wyjścia na ulice? Jeszcze we wrześniu 1989 roku w Templinie pod dachem rodzinnego domu Merkel zetknęła się twarzą w twarz z gronem teologów, filozofów i fizyków, które za murami kościelnymi, korzystając z gościnności pastora Kasnera, dyskutowało namiętnie o tym, o czym rządzący w NRD najmniej chcieli wiedzieć. Najczęściej podnoszono wątki etyczne: a to w kontekście zanieczyszczenia przyrody przez przemysł NRD, a to polityki energetycznej kraju, a to konieczności działania wynikającej z chrześcijańskiej wiary. W każdym z tych przypadków klubik dyskutantów znajdował się w opozycji do rządzących. Wśród rozmówców w Templinie przeważali fizycy. Z całkiem prostego powodu. Dzięki swojej apolitycznej profesji mogli się odwrócić plecami do czerwonego reżimu bez konieczności emigrowania do RFN. Teraz jednak, gdy system komunistyczny trząsł się

w posadach, otwierała się przed nimi szansa na otwarte polityczne zaangażowanie. Wielu z nich, siedzących we wrześnieowy wieczór u pastora Kasnera, z tej szansy skorzystało. Choćby taki Hans-Jürgen Fischbeck, fizyk z Berlina, który do spółki z kolegami później miał stanąć na czele ruchu obywatelskiego Demokracja Teraz. Albo Günter Nooke, fizyk z Forstu, który nieco później miał założyć opozycyjny Przełom Demokratyczny (DA). Przy stole siedział także brat Angeli Merkel, Marcus, również fizyk. Wyjątek w tym gronie stanowił profesor Christof Frey, teolog z uniwersytetu w Bochum, który regularnie podbijał klubową kartę w Templinie. Podczas wrześnieowej rundy akademickie grono, stawiając pytanie: „Kim jest człowiek?”, zastanawiało się, czy powtórka masakry z placu Niebiańskiego Spokoju w Pekinie może się zdarzyć w Berlinie Wschodnim. Wypowiadali się wszyscy obecni. Wszyscy z wyjątkiem Angeli Merkel. Córka „czerwonego pastora” milczała jak zakłeta. Profesor Frey przez cały wieczór siedział obok niej. Pamięta jej okrągłą jak piłka głowę, przyjazną twarz i introwertyczną osobowość. Do tamtego wieczoru znał ją wyłącznie z opowieści ojca. Był zdziwiony jej młodzieńczym wyglądem i niewiarygodną ignorancją polityczną. Zdumienie jego jeszcze wzrosło, gdy usłyszał od żony, z jakiej to intymnej tajemnicy zwierzyła się jej Angela Merkel. Ta odczekała bowiem, aż męskie towarzystwo pod osłoną nocy poszło się nago pluskać w pobliskim jeziorze, i wyznała sam na sam profesorowej, że „najbardziej w NRD irytuje ją... brak dobrego jogurtu”. Oslupiały profesor jeszcze tego samego wieczoru córkę pastora pociągnął za język. Ale dowiedział się tylko tyle, że nową NRD należy inaczej zorganizować niż jego RFN. Do dziś Frey zachodzi w głowę, jak kobieta, która zamartwiała się brakiem jogurtu i mleka pasteryzowanego, mogła zostać kanclerzem kraju. Sama Angela Merkel wrześnieowej rundy w Templinie nie pamięta. „Skoro Nooke i cała reszta utrzymują, że w ten weekend byłam w Templinie, to pewnie tak było. U mojego ojca zawsze coś się działo” – ucina dociekliwe zapytania. Tymczasem zdarzenie w Templinie jak papieriek lakmusowy ilustruje jej apolityczność i dystans do demokratycznej opozycji. „Nigdy nie byłam apolityczna, tylko nie angażowałam się politycznie” – kontruje kanclerz. „Razem z bratem uczyliśmy się na pamięć nazw stolic świata, by w ten sposób uzyskać syntetyczny jego obraz”^[21].

Angela Merkel trzymała się z dala od gorączkowych aktywności kręgów opozycyjnych, skupionych głównie przy ewangelickich parafiach. „Nie należała ani do pierwszych 500, ani do pierwszych 5 tysięcy, ba, do pierwszych 50 tysięcy, nie należała w ogóle do pierwszych 2 milionów enerdownców, którzy przed 9 listopada wyszli na ulice, by powiedzieć: »To wszystko jest jednym wielkim cuchnącym łajnem«” – ocenia ją jeden z ówczesnych kościelnych dysydentów^[22]. Wyjątkiem od tej reguły były sporadyczne odwiedziny grupy dyskusyjnej przy berlińskiej parafii Paula-Gerhardta. Ale podobnie jak w Templinie, także i tu nikt nie przypomina sobie, by jakaś Angela Merkel wykazywała się w dyskusjach. Co łatwo daje się wyjaśnić. Akurat tę formę wypracowania większościowego stanowiska doktor fizyki darzyła wyjątkową niechęcią. Nie wierzyła w skuteczność niekończących się debat. Tymczasem opozycyjne grupki z zapalem filozofowały o ulepszeniu państwa. Po latach już jako wytrawny gracz polityczny Merkel w jednym z wywiadów oświadczy: „Uprawiając politykę, nie można się wybierać z motyką na słońce. Trzeba stawiać sobie cele realne do osiągnięcia. A nie liczyć na cuda w przeciągających się debatach”^[23]. Analityczny umysł fizyka wzdragał się przed otwartymi procesami decyzyjnymi i zrozumieniem dla powolnego kształtowania jednolitego stanowiska na drodze dyskusji z różnymi grupami interesu. Preferował za to jasno zakreślony, choć ograniczony horyzont działania. Decyzje musiały być podjęte nie w wyniku

niekończących się słownych potyczek, ale jako rezultat chłodnej kalkulacji: która z możliwych opcji przynosi więcej korzyści. To w dużej mierze tłumaczy, dlaczego w 1989 roku Merkel nie pasowała do opozycji demokratycznej, zafiksowanej na sztuce dyskusji.

Jej dystans do opozycji demokratycznej brał się z jeszcze jednego faktu. W Akademii Nauk otaczała ją grono ludzi, którzy poza wyjątkami byli konformistami i nie chcieli narażać się w hazardowych przedsięwzięciach. Także ona sama dość wąsko zakresliła granice własnego bezpieczeństwa w totalitarnym państwie. Zdecydowała się nie podejmować ryzyka. Zadowolala się niewielkimi niszami wolności. Stąd reżim Honeckera odebrał jej część wolności, ale nie pozbawił godności osobistej. I nie sprowokował do otwartego wystąpienia. Dlatego ktokolwiek odważył się podjąć konfrontację z reżimem, napawał ją niepokojem, zapalając w niej czerwone światło.

„Mój akces do polityki idzie na konto tego wielkiego chaosu, jaki panował w 1989 roku” – przyznała po latach. „W warunkach, jakie istniały na zachodzie Europy, nigdy nie zostałabym politykiem, raczej już nauczycielką lub tłumaczką. Wtedy działo się dużo, wydarzenia toczyły się szybko i niespodziewanie”^[24]. Eufemistyczne wyjaśnienie niedotykające istoty rzeczy. Trzeba dopowiedzieć dosadnie: dopiero splot dwóch okoliczności – krach bezpieczeństwa w najbliższym otoczeniu w Adlershofie oraz perspektywa nadejścia jeszcze większego trzęsienia ziemi w postaci zniknięcia NRD po zjednoczeniu dwóch państw niemieckich – pchnął ją w ramiona polityki. Musiała Merkel na nowo zagwarantować sobie poczucie bezpieczeństwa w bliższym i dalszym otoczeniu.

Co do politycznego zaangażowania – w żadnym wypadku nie oznaczało uzyskania wyższych politycznych szlifów. W poszukiwaniu politycznego matecznika Angela Merkel wykazywała się takim samym dyletantyzmem, jaki zdradziła wypadem do sauny i eskapadą do Torunia w chwili, gdy walił się mur berliński, bądź jaki wyraziła w Templinie tęsknotą za prawdziwym jogurtem z poziomkami jako najbardziej doskwierającym jej deficytem w państwie Honeckera. Dlatego jej tour polityczny po Berlinie przypominał nieco sen somnambuliczny.

Większość nowych ugrupowań, które jak grzyby po deszczu wyrosły jesienią 1989 roku na bazie protestanckich ruchów obywatelskich, zrażała ją do siebie krzykliwym pacyfizmem i górnolotną ideowością. Nie przepadała za demonstracjami na rowerach z dziećmi w przyczepkach. Wszystko pachniało jej podejrzaną lewicowością. Szybko więc odfajkowała wypadły do Partii Zielonych i Nowego Forum. Razem ze swoim bezpośrednim szefem z instytutu wybrała się na wiec nowo powstałej partii socjaldemokratycznej. Tam też kręciła głową. Wschodnioniemiecka SPD wydała jej się zbyt ugrzeczniona, mało zadziorna. Większą część wiecu przegadano o konieczności budowy placyków dla dzieci, towarzysze mówili sobie na „ty” i intonowali rewolucyjne pieśni typu „Bracia, hej, ku słońcu!”. Nie, to nie był jej świat.

Natomiast partię, na której czele sama miała stanąć za dziesięć lat, wykluczyła od razu. Fakt, wschodnioniemiecka CDU do jesieni 1989 roku poza nazwą nie miała nic wspólnego z partią Adenauera i Kohla. Rządzący w Berlinie Wschodnim komuniści tuż po powstaniu obydwu państw niemieckich w 1949 roku siłą i gwałtem sprowadzili chadecję do roli fasadowej organizacji, trzymając ją na krótkiej smyczy. Skarbnik CDU-Ost co miesiąc przychodził do Komitetu Centralnego SED, by z wydziału do spraw zaprzyjaźnionych partii wyjść z walizką pełną gotówki^[25]. Angela Merkel przeoczyła jednak istotny drobiazg. Upadek muru zbiegł się z odrodzeniem wschodnioniemieckiej CDU. Zrzuciła z siebie kuratelę komunistów i powróciła do chadeckich korzeni. Ster objęli nowi ludzie z Lotharem de Maizière'em. Już

odnowicielski kongres partii, w przeciwieństwie do wcześniejszych, barokowych w formie, z szampanem i kawiozem, niemal symbolicznie odbył się w sali podrzędnego kina. Na obiad podano bułki i kielbasę z musztardą. Na sztandarach wypisano „odwrót od socjalizmu”^[26]. Ale skąd polityczny żółtodziób mógł o tym wiedzieć? Merkel szukała więc dalej.

Gdzieś pod koniec grudnia stanęła przed wejściem na Marienburger Strasse 12. Tu w niewielkim mieszkanku urzędował Przełom Demokratyczny (DA). Merkel nie pamięta, jak się tam znalazła. Po prostu weszła do środka i zapytała pierwszego napotkanego mężczyznę, czy może w czymś pomóc. „Jasne” – usłyszała. Dziś nie przypomina sobie jego twarzy, wie tylko, że nosił brodę. Usiadła i obserwowała. Na niewielu metrach kwadratowych panował wielki ruch. Atmosfera chaosu bardzo jej się spodobała. Od razu poczuła się potrzebna. Jak kiedyś w FDJ. W pierwszym tygodniu przyszła na posiedzenie zarządu. Jeden z liderów ruchu, Andreas Apelt, przypomina sobie, jak siedziała w kącie, cichutko i ze sceptycyzmem wypisanym na twarzy. Apelt podejrzewał nawet, że już się więcej nie pojawi. Ale ona przychodziła dalej. Niemal wyłącznie zajmowała się wypakowywaniem i podłączaniem przysyłanych z RFN nowych komputerów. W zapóźnionej cywilizacyjnie NRD opozycyjni aktywiści umieli obsługiwać powielacze i maszyny do pisania. Angela Merkel natomiast obsługę komputera miała w małym palcu. W piwnicy instytutowego baraku spędziła wiele godzin przed ekranem komputera, analizując reakcje prędkości molekuł w plazmie gazowej. Ten jedyny instytutowy komputer Robotron Akademia Nauk sprowadziła na krótko przed upadkiem muru^[27]. Dzięki znajomości jego obsługi Merkel okazała się niezastąpiona dla organizującego się od podstaw DA.

Szarej myszy nikt nie pamięta

Historia jego powstania przypomina dobry film szpiegowski. Dwa miesiące wcześniej, nim Merkel trafiła do DA, 1 października 1989 roku, zjechało do Berlina około osiemdziesięciu sympatyków DA z całej NRD, by przy parafii Miłosiernego Samarytanina formalnie założyć organizację. Nikt z nich nie wiedział, że Stasi ma ich na oku. Kiedy kościelni opozycjoniści dotarli pod plebanię, wejście zagroździ im funkcjonariusze bezpieki. Inicjator ruchu Rainer Eppelmann, niezwykle bojowy duszpasterz młodzieży, na którego Stasi w latach 80. planowała zamach – miał zginąć w wypadku samochodowym, ale proces morderców księdza Popiełuszki w Polsce podciął Stasi skrzydła^[28] – zdążył jeszcze rozdać przybyłym karteczki z napisanym naprędce nowym adresem spotkania. Ojcowie założyciele ruszyli pod wskazany adres: mieszkanie pastora Ehrharta Neuberta i jego żony przy Wilhelm-Pieck-Strasse w Berlinie Wschodnim (dziś Torstrasse). W pościg za nimi rzuciła się Stasi. Nim dotarła pod właściwy adres i zabarykadowała dostęp do mieszkania, siedemnastu członków DA znalazło się w środku. W obawie przed aresztowaniem żona pastora Neuberta z trójką małych dzieci na noc przeniosła się do przyjaciół. Natomiast ci opozycjoniści, którzy nie zdążyli już wejść do mieszkania pastora, schronili się w budynku sąsiedniej parafii. I telefonicznie próbowali skontaktować się z grupą Neuberta, by razem wydać oświadczenie założycielskie. Ale w telefonie nie było sygnału. Dodzwonił się jedynie Wolfgang Schnur, adwokat z Rostoku, zawsze pod krawatem i zawsze w wielkich czarnych okularach, członek wielu prominentnych gremiów Kościoła ewangelickiego. Ale teraz Schnur zgłosił dziwną propozycję, by w nadzwyczajnej sytuacji odwołać założycielskie forum. Zebrana u Neuberta siedemnastka

działaczy wydała jednak odezwę programową: „Socjalnie i ekologicznie”. „Ani na lewo, ani na prawo, tylko do przodu” – brzmiało kokieteryjne credo partii. Co w praktyce oznaczało zachowanie socjalizmu w NRD pod warunkiem nadania mu „ludzkiej twarzy”^[29]. Liderzy DA marzyli o państwie wolnym od agentów Stasi i partii komunistycznej, ale trzymającym się równie daleko od kapitalistów z RFN. Nie inaczej zresztą myśleli wschodnioniemieccy intelektualiści. W słynnym apelu z 28 listopada nawoływali do ratowania NRD, przestrzegając przed zdradliwymi urokami RFN, „pobłyskliwym śmieciem” Zachodu^[30].

Kiedy w drugiej połowie grudnia do drzwi DA zapukała Angela Merkel, nie spotkała już większości z siedemnastu ojców założycieli. W poczuciu zdrady lewicujący kościelni ideowcy i ekolodzy rozstali się z założoną przez siebie partią. W ciągu niecałych trzech miesięcy DA ewoluował na prawo, zatracając dziewczą lewicowość. Do głosu doszli liberałowie, gotowi natychmiast przekształcić NRD w manufakturę kapitalizmu, i chadecy, łypiący okiem w stronę CDU kanclerza Kohla. Nic dziwnego, że taki właśnie DA podbił serce dość mieszczańskiej córki pastora. „Wewnętrzne napięcie w DA spodobało mi się. Nie był on tak bardzo lewicowy jak Nowe Forum czy Demokracja Teraz, posiadał swoje prawe skrzydło. Procedury nie przewidywały głosowania nad każdą bzdurą wałkowaną w nieskończoność. No i była tam chmara interesujących osobowości”^[31]. Nie wiadomo nawet, czy Angelę Merkel przyjęto „na gębę”, czy też musiała podpisywać deklarację wstąpienia w szeregi partii. W każdym razie takowa się nie zachowała. Ale w tych burzliwych czasach nie zwracano sobie głowy formalnościami. Wśród „interesujących osobowości” oprócz Eppelmana, Neuberta i Schnura brylowali Andreas Apelt, młody historyk, pracujący jako ogrodnik na cmentarzu, Friedrich Schorlemmer, pastor z Wittenbergii o wyjątkowych zdolnościach oratorskich, i Edelbert Richter, specjalizujący się w marksizmie pastor z Erfurtu.

„Wewnętrzne napięcie” w DA, które tak radowało Angelę Merkel, eksplodowało z siłą wulkanu na grudniowym kongresie partii w Lipsku. Wydarzenie przykuło niebywałą uwagę mediów i polityków z RFN. W Lipsku swoje kamery rozstawiły wszystkie zachodnioniemieckie stacje telewizyjne. Kanclerz Kohl, na gwałt szukający w NRD partnera dla CDU, do Lipska wysłał swojego osobistego przedstawiciela. Rita Süßmuth, prezydent Bundestagu i polityczny lis w spódnicy, miała zarzucić sieci na resztki lewicujących, ekologicznych teologów i przekabacić ich na chadecką stronę. Trudne wyzwanie. Wschód Niemiec z nieprzejrzystą opozycją i ruchami obywatelskimi jawił się w RFN niczym dżungla, obco i odpychająco. Przekonał się o tym miesiąc wcześniej Volker Rühle, sekretarz generalny CDU, który dla Kohla sondował teren wschodnioniemiecki. Rühle nie znał tam nikogo z wyjątkiem Ericha Honeckera, z którym w połowie lat 80. spotkał się oficjalnie w Berlinie Wschodnim. Zapoznał się też wtedy z najdroższym hotelem w mieście, zwiedził Alexanderplatz i pałac Sanssouci, rezydencję cieszącego się w Polsce fatalną sławą „starego Fryca” Fryderyka II. Aha, wschodnioniemieckie doświadczenie Volkera Rühiego obejmowało też rozegranie meczu piłki ręcznej z reprezentacją Meklemburgii, jeszcze w juniorach. Teraz, podczas swojej sekretnej misji w Berlinie Wschodnim, by spotkać się z przedstawicielami DA, Rühle musiał pójść do piwnicy dyskoteki. Na rozmowę z Lotharem de Maizièr'em zjawiał się wprawdzie w oficjalnej siedzibie CDU-Ost, ale według relacji gospodarza „poruszał się tam jak po wrogim, zaminowanym terenie”. I wybałuszał oczy, gdy de Maizière z uporem maniaka powracał do tematu wojskowych kompleksów w krajach kapitalistycznych. „Egzaminował mnie, chciał wiedzieć, co myślę o demokracji parlamentarnej, o socjalizmie” – zanotował w pamiętnikach de Maizière^[32].

Rühego od de Maizière'a dzieliła przepaść, jak RFN od NRD.

Na kongresie DA w Lipsku Rita Süßmuth nie okazała się jęczyciem u wagi. Tę rolę odegrali delegaci z południa NRD, bardziej konserwatywni od pastorów z północy. Pod wpływem nastrojów ulicy od razu zwinęli sztandar z postulatem zachowania w NRD socjalizmu z ludzką twarzą. Wywiesili za to nowy: z wypisanym zjednoczeniem Niemiec i współpracą z CDU. Gdy jeszcze jeden posłaniec od Kohla, jego minister pracy Norbert Blüm, z bardziej od Rity Süßmuth niewyparzoną języciem, zaczął w Lipsku kusić („Chcę się z wami zjednoczyć”) i podburzać („Nie eksperymentujcie już z socjalizmem”^[33]), pastor Schorlemmer, okrzyknięty przez prawe skrzydło DA „czerwonym faszystą”, demonstracyjnie opuścił obrady. „Z tymi nacjonalistami nie chcę mieć nic wspólnego!” – wywrzeszczał wściekły do stojących przed nim kamer telewizyjnych^[34]. W turbulencjach wyborczych przepadła jego kandydatura na szefa partii. Został nim Wolfgang Schnur, który ledwie czterema głosami wygrał z młodą lekarką Sonją Süß, reprezentantką lewego skrzydła. Schorlemmer został zdegradowany do roli zwykłego członka prezydium. Sonja Süß natomiast nie zagrzała długo miejsca w polityce. Szybko opuściła DA. Musiałaby zdradzić swoje ideały, których taka Angela Merkel nie posiadała. Napisała za to doktorat o psychiatrii na usługach reżimu NRD^[35]. Dziś prowadzi gabinet psychoterapii w Berlinie. Opowiedziała dziennikarzowi „Spiegla” o zakulisowych szczegółach, jak to pod przewodnictwem Schnura DA wdzięczął się do Kohla. W dniach, kiedy Merkel pukala pod adres przy Marienburger Strasse, „Kohl podjął w hotelu Bellevue w Dreźnie niewielką grupkę opozycjonistów z NRD” – opowiada Süß. Ona do spółki ze Schnurem „reprezentowała tam DA. Schnur był tak zafascynowany Kohlem, że był gotów uciąć sobie rękę, iż na własne oczy widział, jak wraz z kanclerzem do pomieszczenia wkracza jego autorytet. Wpatrywał się w Kohla jak w Boga. I na powitanie rzucił mu się w ramiona”^[36]. Dzięki poparciu kanclerza Schnur widział się pewnym zwycięzcą wyborów i nowym premierem NRD, który poprowadzi je prosto do zjednoczenia z RFN, co uczyni go wicekanclerzem zjednoczonych Niemiec.

Kiedy w styczniu 1990 roku Angela Merkel podłączyła już wszystkie komputery w siedzibie DA, nie ostał się tam ani jeden z ojców założycieli, którzy kruszyli kopie o socjalizm z ludzką twarzą. Ludzie pokroju Schorlemmera i Süß opuścili DA, który przekształcił się w największe ugrupowanie konserwatywne wśród ruchów obywatelskich. „Angela Merkel zaoszczędziła sobie walk ideologicznych” – komentuje Rainer Eppelmann. „Nie mówiła, czego chce, co myśli. Ale teraz nie można jej tego zarzucić. Robiła to, co jej kazano. Była młodą dziewczyną. Choć nie tak młodą, jak sądziłem. Politycznego genu u niej nie dostrzegłem”^[37]. Czym się wyróżniała? Entuzjazmem i zapałem. Przebywała w siedzibie centrali przez dwanaście, trzynaście, a może i więcej godzin. Instalowała komputery, przносиła biurka i szafy, najpierw przy organizowaniu biura w klitce przy Marienburger Strasse, potem, po przeprowadzce na przełomie 1989 i 1990, już w obszernym lokalu, jaki DA odziedziczył po siedzibie berlińskiego komitetu powiatowego SED, gdzie naprędce trzeba było ściągać ze ściany wielki portret Honeckera. Merkel pisała na maszynie, roznosiła ulotki, robiła szefom kawę. Taka dziewczyna na posyłki. „Radząca sobie ze wszystkim”, „protestancko sumienna”, „nieskomplikowana w obejściu”, „zawsze zadowolona”, „bardziej dziewczęca niż kobieca” – tak zapamiętali ją aktywiści z centrali DA^[38]. Niezmiennie w brązowych spodniach ze sztruksu lub plisowanych spódnicach za kolano, w szerokich swetrach, w jezusowych sandałach. Wyglądem przypominała studentkę ubraną na cebulę i wiecznie bez grosza przy duszy, a nie członkinię prestiżowej Akademii

Nauk. Ta „szara mysz”, jak ją sobie przypomina pastor Ehrhart Neubert^[39], urlopowwała się w styczniu 1990 roku w Akademii Nauk, by móc zupełnie poświęcić się „pracy politycznej”. Niemal natychmiast po tym, jak Izba Ludowa NRD w kontekście planowanych na marzec 1990 roku wyborów parlamentarnych uchwaliła ustawę dającą możliwość wzięcia bezterminowego urlopu przez osoby zaangażowane w ruchy obywatelskie.

Za szarą mysz uznał Merkel także Peter Krause z kierownictwa DA, typ karierowicza mózgowca z dużym IQ i z jeszcze większą arogancją. Pewnego dnia Krause wszedł do biura i ujrzał Angelę Merkel uwijającą się między maszyną do pisania a stosem kartonów z papierem. Poprosił, by mu napisała wypowiedzenie z pracy. Szara mysz od razu poradziła, że wypowiedzenia przedkładać nie musi. Wystarczy, że zgodnie z nową ustawą się urlopuje. I od ręki ułożyła odpowiednie pismo^[40]. Krause z wrażenia nie wymówił słowa.

Jak każdy ruch oddolny tak i DA żył z zaangażowania, entuzjazmu i ofiarności swoich członków. Zamożni sympatycy przekazywali pieniądze i pomoc materialną: maszyny do pisania, farbę, papier. Mniej zamożni przynosili kanapki, herbatę i kawę. Ale główny ciężar pracy spoczywał na aktywistach. To oni urządzali biura, organizowali spotkania, wiece, kolportaż ulotek, pozyskiwali nowych zwolenników. Pomimo że wszyscy zakasali rękawy, pracy nie ubywało. Zwłaszcza przed zbliżającymi się wyborami. Kiedy Wolfgang Schnur na śmierć zapomniał o spotkaniu z zachodnioniemieckimi dziennikarzami, poprosił w biegu Merkel o ustalenie nowego terminu. „W jakim charakterze? Przecież nie jestem tu nikim ważnym” – odparła. „W charakterze rzecznika prasowego” – dopowiedział Schnur i pognął do swojej roboty^[41]. Wahala się. Nie miała przecież doświadczenia. Skonsultowała się ze swoim nowym partnerem Joachimem Sauerem. „Od razu przytaknął, w obawie, że politykę na nowo opanują ci sami ludzie”^[42]. To wystarczyło. Bez oficjalnej nominacji Merkel została rzecznikiem prasowym DA. Objęła pierwsze w życiu stanowisko polityczne.

Stawiając nogę na pierwszym szczeblu kariery, Merkel nie kreowała jej świadomie. Była organizatorką, nie ideologiem. Pasywnością ideologiczną wykluczyła się jednak sama z podejmowania w DA najważniejszych decyzji politycznych, przesądzających o pozycji w partii. „Nie wносиła nic podczas dyskusji programowych” – tak zapamiętali ją ówczesni luminarze ruchu^[43]. W efekcie na liście numerów telefonicznych dziewięćdziesięciu najważniejszych członków DA z 31 stycznia 1990 roku brak jej nazwiska. Powściągliwość w sprawach programowych przyniosła jednak pewne korzyści. Nabierając wody w usta, Merkel nie określała się ideowo, nie miała wrogów w obydwu skrzydłach partii. Jednocześnie z dystansem analitycznego fizyka przyglądała się, jak inni, światopoglądowo przeciwstawni członkowie DA skaczą sobie do gardeł. Wyniosła z tego naukę, którą z lubością zastosuje jako kanclerz: że w wielu kwestiach, zwłaszcza światopoglądowych, nie opłaca się zajmować jednoznacznego stanowiska. Unika się w ten sposób pożerającej energię polaryzacji. Ideologiczne spory w DA, na które nakładały się ambicje czy próżność poszczególnych liderów, uświadomiły jej, jak szkodliwy jest melanz różnic wynikających z osobistych aspiracji i politycznych zapatrywań.

Bez namysłu natomiast skorzystała z oferty zachodnioniemieckiej CDU – w ramach politycznych zalotów rządząca w RFN partia kanclerza Kohla zaproponowała niedoświadczonym aktywistom DA przyśpieszony kurs w zakresie marketingu politycznego. Angela Merkel zgłosiła się jako jedna z pierwszych. Eksternistyczne seminarium prowadził Hans-Christian Maass, który niedługo miał się okazać jednym z jej protektorów. Maass należał

do tych nielicznych w Bonn, którzy NRD znali jak własną kieszeń. Syn wschodnioniemieckiego pastora studiował rolnictwo na elitarnym Uniwersytecie Humboldta. W 1971 roku przyjechał do Warszawy na mecz reprezentacji Polski z RFN, rozgrywany w ramach eliminacji do piłkarskich mistrzostw Europy. Obecność na trybunach podczas tego meczu reżim Honeckera traktował jako zdradę socjalistycznej ojczyzny. I wyrzucił Maassa ze studiów. Rok później we wrześniu próbował on uciec przez Bałtyk do RFN. Został jednak złapany i wsadzony do aresztu. W 1974 roku należał do 30 tysięcy dysydentów wykupionych przez rząd kanclerza Brandta. Rząd federalny regularnie wykupywał do 1,5 tysiąca więźniów politycznych rocznie, płacąc do 1,5 tysiąca marek zachodnioniemieckich za głowę. Dysydenci stanowili najbardziej opłacalny towar eksportowy NRD. Tak reżim Honeckera łątał swój budżet i pozbywał się przeciwników politycznych, którzy ku jego uciesze ochoczo przystępowali w RFN do krytyki kapitalistycznych stosunków. Upychał przy okazji razem z opozycjonistami pospolitych kryminalistów^[44]. Maass w RFN przykładowo skończył studia i trafił do bońskiego Ministerstwa Transportu. Ba, został jego rzecznikiem. Tuż po upadku muru zaangażował się mocno w rozwój wypadków po jego drugiej stronie^[45]. W grudniu 1989 roku przyprowadził swojego ministra do klitki DA przy Marienburger Strasse. Kontemplując tynk odpadający z fasady budynku, w środku widok brodatych pastorów i zakasujących rękawy ekologów, wdychając napływające przez otwarte okna spaliny dwutaktowych trabantów, minister miał wrażenie, że wkroczył do zupełnie innego świata. Ale był podekscytowany jak mały chłopiec, który bawi się w Indian. I wdzięczny za dostarczenie nieznanym mu w RFN wrażeń. Maass natychmiast awansował w CDU na eksperta do spraw NRD. Powierzono mu prowadzenie seminariów dokształcających chadecki narybek ze wschodnich Niemiec. Na tych seminariach Angela Merkel była jego najpilniejszą podopieczną^[46]. Zadawała mnóstwo pytań. Nie krępowała się wcale. Jak Amazonka. Możliwe, że dzięki temu zachodnioniemieccy politycy-wykładowcy, gdy już ją dostrzegli, zakwalifikowali jako naiwną. Ale ona eksternistycznie nadrabiała braki w politycznej edukacji.

Pilnie się ucząc, wzorowo przekuwała teorię w czyn. Na swoim nowym stanowisku rzecznika prasowego DA, jak przypomina sobie Ehrhart Neubert, nadawała ostatni szlif tekstom, jakie szły do mediów. Pierwotne wersje oświadczeń, które trafiały do jej rąk, przypominały kościelne homilie. Przeredagowywała je, by brzmiały zrozumiałe dla ucha przeciętnego Niemca^[47]. Z kolei strajk taksówkarzy w Berlinie Wschodnim zainspirował ją, by wykorzystać ich jako darmowych PR-owców. Podczas gdy centrala DA dysponowała jednym tylko telefonem, nie posiadała ani faksu, ani swoich gazet, połowa berlińskich taksówek jeździła po ulicach z pierwszą ułożoną przez Merkel ulotką: „Wielce chwalona polityczna zmiana nie jest jeszcze dokonana!” (Die viel gelobte Wende ist noch nicht zu Ende!). Ale debiut polityczny i pierwszy prawdziwy chrzest bojowy jako rzeczniczka prasowa miała dopiero przed sobą. Nadchodziły pierwsze wolne wybory. Wschodni Niemcy mieli się w nich ostatecznie opowiedzieć: ratować NRD czy zjednoczyć się z RFN.

Polityczny debiut

Skoro jedni enerdownicy niezmiennie uciekali do RFN, inni organizowali się w ruchach obywatelskich i przygotowywali do wyborów, a kanclerz Kohl na forum międzynarodowym kruszył kopie o zjednoczenie obydwu państw niemieckich, to ulepiony z komunistycznej gliny

gabinet Modrowa nie miał wyboru – musiał poluzować śrubę. Jednocześnie jednak zerkał w stronę starego porządku. Dwa wydarzenia podcięły mu skrzydła. Najpierw tysiące demonstrantów w Berlinie 15 stycznia 1990 roku szturmem zdobyło centralę zniechęconej bezpieki. Poleciały szyby w oknach, wszechwładni urzędnicy salwowali się ucieczką. Stasi, państwo w państwie, z 91 tysiącami funkcjonariuszy, 180 tysiącami TW, którzy założyli 40 milionów kartotek o łącznej długości 180 kilometrów, przestało istnieć. Spełnił się koszmar, jaki latami dręczył władcę tego imperium Ericha Mielkego, sekretnego cesarza NRD, przed którym drżał sam Honecker. „Wszystko gówno, towarzysze, zlikwidować, jak trzeba, to bez wyroku sądu” – brzmiała dewiza życiowa tępego stalinowca^[48]. Gdy runęło imperium Stasi, Modrow usłyszał od Gorbaczowa drugą hiobową wieść – nie otrzyma ani finansowej pomocy, ani wsparcia politycznego. Reformator z Kremla nie zamierzał ratować politycznego i finansowego bankruta. Zostawała ostatnia deska ratunku: Bonn. Ale i tam żebrania skończyła się fiaskiem. Kanclerz Kohl 15-miliardowy kredyt obiecał dopiero po wolnych wyborach. NRD groził upadek. Do RFN uciekało coraz więcej ludzi. Lekarze, pielęgniarki, nauczyciele, urzędnicy i robotnicy z dnia na dzień porzucali pracę, mieszkania i w nadziei na eldorado trabantami ruszali do Frankfurtu, Hamburga czy Stuttgartu. Służby publiczne kraju się posypały. Władze Berlina Wschodniego poprosiły senat Berlina Zachodniego, by jego służby komunalne przejęły obowiązki także we wschodniej części miasta, od policji zaczynając, a na wywozie śmieci kończąc^[49]. W tej sytuacji rząd Modrowa, by skrócić swoje męki, przyspieszył termin wyborów – z 6 maja na 18 marca.

Kohl, który do tej pory na forum międzynarodowym forsował ideę szybkiego zjednoczenia obydwu państw niemieckich, po decyzji o przyspieszeniu terminu wyborów podwoił starania o pozyskanie dla swojej CDU wschodu kraju. Największy wewnętrzny rywal chadecji, zachodniemiecka socjaldemokracja (SPD), zdążył już zainstalować swoją odpowiedniczkę w NRD. Zresztą tradycyjnie wschód Niemiec, jeszcze zanim Hitler objął władzę, uchodził za bastion socjaldemokracji. Może dlatego przedwyborcze sondaże przewidywały zwycięstwo SPD. Kohl na gwałt potrzebował partnera dla swojej CDU. Owszem, wdzięczyła się do niego CDU-Ost, ale na samą myśl o jej przeszłości jako marionetki w rękach SED kanclerz dostawał drgawek. Nowy szef wschodniej CDU Lothar de Maizière, pasjonat gry na altówce, z giętkimi palcami także w polityce, jeszcze przed upadkiem muru zainicjował głęboki proces samooczyszczania partii, która dysponowała sprawną siecią biur, własnych periodyków i tysiącami członków w całym kraju. De Maizière nie ustawał w zachwalaniu Kohlowi swoich zalet. I tłumaczył się z garbu przeszłości. „Panie kanclerzu, kto żeni się z wdową, musi przyjąć w wianie dwójkę dzieci”^[50]. Kohl jednak miał wątpliwości, czy z tym garbem i „dwójką dzieci” pogodzi się także wyborca wschodniemiecki. Nachalnie więc kokietował dysydencki DA. Nowe jego kierownictwo ze Schnurem chętnie oddałoby mu swoją rękę, ale wzdragało się na samą myśl o współpracy z CDU-Ost upolitycznionego muzyka de Maizière’a. Gordyjski węzeł przeciął wreszcie muzyk-polityk. W największej tajemnicy spotkał się z Kohlem i zaproponował utworzenie koalicji wyborczej składającej się z CDU-Ost, DA i trzeciej formacji, mieszczańsko-chadeckiej Niemieckiej Unii Społecznej (DSU). W ten sposób, argumentował, CDU Kohla zyska przed wyborami silnego partnera na wschodzie Niemiec: CDU-Ost z logistycznym zapleczem i DA z cnotliwą reputacją. A czarując Kohla, dalej snuł opowieść. „Jechałem samochodem przez Berlin Zachodni, gdy na szczycie mijanego gmachu zobaczyłem kolorowy neon »Allianz – ubezpieczenia na życie«. Postanowiłem naszą koalicję

wyborczą ochrzcić jako Sojusz na rzecz Niemiec”. Kohlowi nazwa tak bardzo przypadła do gustu, że po czasie uznał się za jej ojca chrzestnego. „Nie kłóciłem się z nim o prawa autorskie. Byłem rad, że przymierze doszło do skutku” – spuentował polityczny artysta^[51]. Trzy ugrupowania podpisały wspólne oświadczenie. Z ramienia DA jej szef Wolfgang Schnur i rzeczniczka prasowa Angela Merkel. Było to jej pierwsze publiczne wystąpienie^[52].

Alians zawarto, kłótnie zostały. Schnur, zarozumiała i buńczucznie pewny, że z Kohlem na sztandarze w cuglach wygra wybory, odrzucił utworzenie wspólnej listy wyborczej z CDU-Ost. Przed wyborami, w których bardziej liczyły się osoby kandydatów niż program (na plakatach upolitycznionemu muzykowi de Maizière’owi dorabiano wąsiki Hitlera), Schnur lansował się na ich triumfatora i przyszłego premiera NRD. Przed biurem DA ustawiały się kolejki dziennikarzy i reporterów. Sześć tygodni przed wyborami zjawiała się tam umówiona wcześniej grupa zachodnich dziennikarzy. Rozchwytywany przez wszystkich Schnur na spotkanie nie dotarł na czas. Merkel jak Amazonka nadstawiła za niego pierś. Zastąpiła go przed kamerami. Żurnaliści na widok nieznanego rzecznik byli rozczarowani. „Ale na końcu ich nastrój się zmienił” – przyznaje po latach z szelmowskim uśmiechem pani kanclerz, zadowolona ze swojego ówczesnego wystąpienia^[53].

Chrzest bojowy

Chrzest bojowy dopiero na nią czekał. Na kilka dni przed wyborami wybuchła prawdziwa bomba. Do gabinetu sekretarza generalnego CDU Volkera Rühego w bońskiej siedzibie partii Konrad-Adenauer-Haus zapukał dziennikarz „Spiegla”. Wszedł do środka i na biurko rzucił kilka kartek. Wynikało z nich jednoznacznie, że Wolfgang Schnur alias „Torsten” jest agentem Stasi. Dziennikarz poprosił Rühego, by ten wiadomość zachował dla siebie. „Ha! – wykrzyknął Rühle – zatrzymać dla siebie? Trzy dni przed wyborami?!”. Bez namysłu chwycił za słuchawkę i zadzwonił do Kohla. Kanclerz natychmiast skontaktował się z szefem zachodniobermberskiej chadecji. Ten co tchu pognął samochodem do berlińskiej kliniki Świętej Jadwigi, gdzie leżał Schnur nagle podupadły na zdrowiu z powodu problemów z sercem. Szef DA był spalony. „Jakby uszło z niego napięcie, odprężył się, gdy ujrzał mnie przy łóżku szpitalnym” – relacjonował wysłannik Kohla. „Nalegał nawet na to, by sam mógł ułożyć oświadczenie o dymisji”^[54].

Mroczna przeszłość Schnura już wcześniej wyszła na światło dzienne, ale wówczas nie dotarła do kierownictwa CDU. Dwóch funkcjonariuszy Stasi z Rostoku, skąd pochodził lider DA, zaproponowało szefowi reporterów największej bulwarówki niemieckiej „Bild Zeitung” sprzedaż akt za 100 tysięcy marek zachodniemieckich. Ale zastępca redaktora naczelnego, który jednocześnie udzielał korepetycji Schnurowi w zakresie politycznego marketingu, przekonał redakcyjnych kolegów, że dokumenty nie są warte funta kłaków. W końcu jednak „Der Spiegel” wpadł na trop przeszłości adwokata^[55].

Właśnie w roli adwokata Schnur, z polecenia prezesa synodu Kościoła ewangelickiego w NRD Manfreda Stolpego, który również donosił do Stasi, bronił w procesach sądowych wschodniemieckich dysydentów. Zachodził nawet do cel więziennych, by modlić się z niektórymi. Część ze swoich klientów wysypywał przed bezpieką. Z akt jasno wynika, że Stasi obarczyła go zadaniem śledzenia krnąbrnego pastora Eppelmann. W okresie przełomu

w Niemczech 1989/1990 Schnur kondotiersko zmienił front. Zaprotestował między innymi przeciwko ukaraniu tych enerdownców, którzy schronili się w ambasadzie RFN w Pradze i stamtąd pociągami udali się do Niemiec Zachodnich. Nie docenił jednak swoich byłych mocodawców. Ci go zdemaskowali. Dzień jego klęski był dniem próby ognia dla Angeli Merkel.

Tego przedpołudnia rzeczniczka DA organizowała konferencję prasową poświęconą stosunkowi jej ruchu do Europy. Dziś sama się uśmiecha, gdy wraca do tego momentu. Ona, szara mysz, i Europa. I nagle po konferencji dotarła informacja o rezygnacji Schnura. Natychmiast zadzwoniła do Eppelmanna, który po dymisji szefa przejął stery w DA. Lewicujący brodaty pastor wrzeszczał jej do słuchawki: „Zachodniemiecka CDU nie będzie mi rozkazywać! Nie pojedę teraz na kryzysowe spotkanie z CDU w Berlinie Zachodnim!”. Pojechała więc ona^[56]. Jak Pentezylea pod Troją, tak ona nagle znalazła się w centrum wydarzeń. Oczywiście w wyjątkowo niegustownej, kloszowej spódnicy. Kiedy wysłannik Kohla pojawił się na zebraniu zachodniobermberskiej CDU z oświadczeniem Schnura i zakomunikował: „Proszę wszystkich nieupoważnionych o opuszczenie sali”, Angela Merkel nie wyszła.

Wieczorem DA zorganizował pośpieszną konferencję prasową. Najazd dziennikarzy był gigantyczny. Teraz dopiero Merkel pojęła, na co się zdecydowała, przekraczając polityczny Rubikon. Ale też wiele się w tym dniu nauczyła. Poczuli się jednym z ogniw decyzji, która zapadła na szczytach władzy w Bonn. Najpierw zadzwoniła do męża, by się uspokoić. Obydwoje uzgodnili tekst jej przemówienia. Podczas konferencji prasowej minę miała nietęgą, ale cały czas się kontrolowała. Zachowała nerwy na wodzy. To było już coś – zauważyli chadecy z Berlina Zachodniego. Tym bardziej że Eppelmann siedział obok niej błąd jak kreda^[57]. Dekonspiracja lidera DA jako agenta Stasi na trzy dni przed marszem enerdownców do urn równała się wyrokowi śmierci dla opozycyjnego ugrupowania.

Istotnie, wynik wyborów przyniósł klęskę DA – 0,9 procent. I głębokie rozczarowanie Angeli Merkel. Oznaczał koniec kariery w polityce, nim ta się zaczęła na dobre. A w konsekwencji powrót do Akademii Nauk. „Jesteś największym rozczarowaniem w moim życiu” – powiedziała publicznie Schnurowi prosto w oczy^[58]. Najbardziej go ze wszystkich skrytykowała. Jak Amazonka wbiła włócznię w serce ofiary.

W wieczór wyborczy przeżywała gorycz porażki. Jako polityczny trup tułała się od jednego party wyborczego do drugiego. Swoje własne DA organizował w gospodzie Zur Mühle. Wszyscy obecni byli w minorowych nastrojach. Jeden z uczestników w przypływie czarnego humoru swój wpis do księgi gości sygnował nazwiskiem Wolfganga Schnura. Angela Merkel opuściła żałobników i śmiało ruszyła na powyborcze party CDU-Ost, wielkiego zwycięzcy wyborów. Betonowy gmach z restauracją Ahornblatt na parterze otaczały barierki, kordon porządkowych i policja. W środku kręciły się setki fotoreporterów, dziennikarzy i licznych chadeków z Berlina Zachodniego. Wszyscy fetowali sukces Lothara de Maizière’a. Sam Kohl zadzwonił z gratulacjami. Ale dla szarej myszy z przegranej partii bez wejściówki progii Ahornblatt okazały się za wysokie. Odeszła stamtąd z kwitkiem. Nie dała za wygraną. Bez wejściówki brawurowo wcisnęła się do Pałacu Republiki, dawnej siedziby Honeckera, na czas wyborów zamienionej na centrum prasowe. Tumult panował tam nie mniejszy niż na imprezie wyborczej CDU-Ost. Jeden z doradców Lothara de Maizière’a w potwornym ścisisku został uderzony kamerą telewizyjną w czoło. Bliznę nosi do dziś. Zresztą sam filigranowy zwycięzca wyborów odniósł kontuzję kości piszczelowej po zderzeniu z grupą dziennikarzy^[59]. Merkel,

co pamięta do dziś, dostrzegła w ludzkim zbiorowisku lidera partii chłopskiej – w białych sportowych butach i szarych skarpetkach, co nawet jej, absolutnej minimalistce mody, wydało się nieeleganckie. Ale ona szykowała się do szarży na obleganego przez dziennikarzy triumfatora wyborów. Nie udało się. Spróbowała raz jeszcze. Dotarła do jego brata, zarazem bliskiego doradcy kanclerza Kohla, Thomasa de Maizière'a. Bez pardonowo zaoferowała swoje usługi, blefując: „Sojusz na rzecz Niemiec może być szczęśliwy, że ma takich ludzi na medal jak my z DA. Liczę na to, że przy tworzeniu przyszłego rządu będziemy uwzględnieni”^[60]. Jeszcze tej nocy osobiście spotkała się z Lotharem de Maizière'em. Gdy późnym wieczorem wróciła na stypę DA, przyszedł premier dla podreperowania nastrojów odwiedził party wielkiego przegranego. Tej nocy Merkel musiała się pytać, czy akces do polityki, zaangażowanie w DA, jej walka, by z politycznej przestrzeni raz na zawsze zniknęły białe sportowe buty i szare skarpetki, w ogóle się opłaciły. Nieoczekiwana odpowiedź miała nadejść lada moment. Od samego Lothara de Maizière'a.

Chadecka Amazonka

Agonia reżimu Honeckera wzbogaciła Merkel o nieznaną jej uczucie – osobistej wolności. Do tej pory musiała pokornie schylać kark: w szkole, na studiach, w Adlershofie. Żyła z łaski Stasi. Zetknięcie się z polityką otworzyło przed nią obszar wolności, w którym mogła zakosztować uroków władzy. Postanowiła go wypróbować. Z zapartym tchem przyglądała się od wewnątrz rządzącym polityką mechanizmom, rozpiętym między dżentelmeńskimi regułami a bezpardonową walką, w której wszystkie środki były dozwolone. W której walczone zespołowo albo jeden na jednego, aż do rozłożenia przeciwnika na łopatki. Nie mniej brutalnie niż pod Troją. Polityka do złudzenia przypominała mikrokosmos Amazonek. Oznaczała konieczność przeżycia między prawem pięści a kodeksem honorowym. I czyż Merkel sama nie wyznała: „Polityka mnie fascynuje”^[61]? W czasie, gdy wypowiadała te słowa, kolejne upadki wszechwładnych do niedawna satrapów enerdowskiego reżimu – Honeckera, Krenza, szefa Stasi Mielkego – mogły być dla niej jeszcze materiałem pogładowym. Ale do politycznego ukamienowania szefa jej ugrupowania Wolfganga Schnura sama już przyłożyła rękę. Po klęsce wyborczej DA otarła się o groźbę niebytu politycznego. Miała ocaleć tylko dzięki zwycięstwu odniesionemu przez jednego z koalicjantów w Sojuszu na rzecz Niemiec – CDU-Ost Lothara de Maizière'a. I dzięki swojej ryzykownej szarży, gdy jako wielka przegrana w wyborach w stylu amazońskiej królowej Pentezylei bez zaproszenia przedarła się do triumfatorów wyborów i bez pardonu zaoferowała im swój udział w przyszłym rządzie.

Od tej pory porzuciła postać szarej myszy. Wcieliła się w Amazonkę. Niezależną ryzykantkę czyniącą użytek z władzy. Im większą posiadała władzę, tym znaczniejsze były jej ryzykanckie kroki. Najczęściej konsultowała je tylko z samą sobą. Hasło: „Nie boję się niczego!” uczyniła swoim politycznym credo. W 1990 roku, w dniu dekonspiracji Wolfganga Schnura, nie wyszła z sali, w której miał się nad nim odbyć sąd kapturowy. Zaryzykowała pozostanie. Dobrą dekadę później w przededniu nominacji chadeckiego kandydata na kanclerza w wyborach 2002 roku udała się do jaskini lwa – Edmunda Stoibera – by makiawelicznie przedłożyć mu na talerzu rezygnację z kandydatury. Ocalając siebie. Przed kolejnymi wyborami w 2005 roku zagrała va banque, wystawiając siebie jako chadeckiego pretendenta do funkcji szefa rządu. W tej roli złowiła na lasso Paula Kirchhofa, powołując go do swojego gabinetu cieni, choć jego

ultraliberalne poglądy postawiły na głowie chadeckie oblicze CDU. Zresztą w ciągu trzynastu lat od chwili przejścia pałeczki nad największą partią niemiecką Merkel nie zawahała się przemieścić jej tak znacznie, że dziś sam Helmut Kohl nie poznałby swoich chadeckich hufców. Ich delegaci przyjeżdżali na partyjne kongresy, trzymali się mocno za ręce i z przerażeniem w oczach patrzyli na siebie, co tym razem na życzenie przewodniczącej mają wykreślić z programu, który wyssali z mlekiem matki. Któż by pomyślał, że akurat niemieccy konserwatyści na śmietnik historii wyrzucą ideę zasadniczej służby wojskowej, tak że w efekcie z dawnej Bundeswehry nie pozostanie kamień na kamieniu? Albo że opowiedzą się za płacą minimalną, flagowym postulatem partii lewicowych, od czego każdy uczciwy konserwatysta dostaje wypieków na twarzy? Merkel się tym nie przejmuje. Hołduje zasadzie, że wszystko, czego pragnie niemiecki wyborca, ma dostać w prezencie od CDU. Koniec, kropka. Podbieranie tematów od innych partii funkcjonuje nie gorzej niż kiedyś wprowadzanie mężczyzn przez wojownicze Amazonki.

Największe uprowadzenie, a zarazem najbardziej spektakularny polityczny zwrot o 180 stopni i ryzykowny manewr w dziejach CDU, a może i Republiki Federalnej Niemiec w ogóle, Merkel przeprowadziła w 2011 roku. Nigdy od 1949 roku partia Adenauera i Kohla tak szybko i bez wewnętrznej debaty nie usunęła filaru swojej tożsamości. Nigdy też rząd federalny nie podjął decyzji politycznej o tak dalekosiężnych konsekwencjach jak po wybuchu reaktora atomowego w Fukushima. Wtedy na fali szoku Niemców Angela Merkel podebrała postulat Zielonym: zakomenderowała całkowite odejście RFN od energii atomowej do 2022 roku i zastąpienie siedemnastu niemieckich reaktorów jądrowych odnawialnymi źródłami energii. Na dobry początek zamknięto osiem najstarszych i najmniej bezpiecznych elektrowni atomowych. W ten sposób Merkel niemal z dnia na dzień partię zwolenników energii jądrowej zamieniła w partię rewolucji energetycznej. Chadeccy apologety energii nuklearnej stali się w okamgnieniu jej prominentnymi krytykami. Ci sami politycy, którzy jeszcze niedawno potępiali w czambuł poprzedniego, czerwono-zielonego kanclerza Schrödera za wycofanie się z energetyki jądrowej, teraz sami przebijali propozycję poprzednika i nie mogli się doczekać realizacji swojego postulatu. Pikanterii dodaje fakt, że rząd Angeli Merkel jeszcze na krótko przed katastrofą w Fukushima zawiesił ustawę Schrödera i przedłużył żywotność niemieckim elektrowniom atomowym. Ba, sama Merkel do czasu katastrofy w Japonii ani przez moment nie wątpiła w sens pokojowego wykorzystania energii atomowej. Piastując od 1994 roku funkcję ministra ochrony środowiska, ciskała gromy na decyzję kanclerza Schrödera, oskarżając go o dogmatyzm ideologiczny. Jeszcze w 2010 roku układała dytamy na cześć niemieckich elektrowni jądrowych, „najbardziej bezpiecznych na świecie”. Po Fukushima zmieniła zdanie. Narzuciła je CDU, a co ważniejsze, całej trzeciej gospodarce świata, stawiając niemieckie koncerny energetyczne z dnia na dzień pod ścianą. Na co porwała się Amazonka? Niemcy muszą wybudować farmy wiatrowe na morzu o obszarze sześciokrotnie większym od Nowego Jorku, przeprowadzić linie wysokiego napięcia, które mogłyby połączyć Londyn z Bagdadem, oraz wysupłać na to, bagatela, 200 miliardów euro. W okresie kryzysu i łatania budżetów. „Przedsięwzięcie równe lądowaniu na Księżycu”, „operacja na otwartym sercu” – ocenia się w Niemczech skalę wyzwania. Rachunek nie jest bynajmniej zamknięty. Owszem, jeśli się uda, Niemcy zostaną światowym liderem w wykorzystaniu zielonych źródeł energii. Ustawi się do nich długa kolejka chętnych z prośbą o sprzedaż patentu. Ale na razie przed transformacją energetyczną w Niemczech piętroszą się poważne trudności. Brakuje sprawdzonych rozwiązań technologicznych. Północne landy chcą inwestować w parki wiatrowe, południowe

w elektrownie gazowe. Groźba wzrostu cen energii dla konsumentów jawi się całkiem realnie. Co przełoży się wtedy na spadek słupek poparcia dla CDU.

Dla Merkel jednak CDU jest niczym innym jak wehikułem władzy, złowionym na łące przez Amazonkę ogierem, na którym galopuje do przodu. Mocno siedząc w końskim siodle i nie oglądając się za siebie.

Także na parkiecie międzynarodowym nie waha się przeprowadzić ryzykownej szarży, by postawić na swoim. Rodacy dobrze zachowali w pamięci jej brawurę podczas kampanii prezydenckiej we Francji w 2012 roku. Wyznała wtedy wielką miłość urzędującemu prezydentowi Nicolasowi Sarkozy'emu. Francuska głowa państwa bez zastrzeżeń popierała jej końską kurację zaaplikowaną Grecji, podczas gdy pretendent lewicy François Hollande uznał, że w ten sposób Grecja może „zaoszczędzić się” na śmierć. W kraju spadł na nią grad krytyki: „To jasne, na kogo pani kanclerz głosowałaby we Francji, ale nie ma ona w tym kraju prawa głosu i nie jest tam uczestnikiem demokratycznej walki wyborczej. Dlatego czymś niesłychanym, a zarazem niezbyt mądrym, jest to, że tak otwarcie dała się zaprząć do wyborczego rydwanu Sarkozy'ego”^[62]. Inną z jej amazońskich szarż dobrze zapamiętali Polacy. Zaraz po przejściu funkcji kanclerza, na swoim pierwszym szczycie Unii Europejskiej, jednym pociągnięciem pióra przerwała długie dyskusje o budżecie unijnym na lata 2007–2013 i w ramach funduszu spójności oddała Polsce 100 milionów euro z kupki należnej Niemcom.

Jaki jest ostateczny cel tego galopu? Po co te liczne szarże, „uprowadzenia” tematów politycznych od innych partii? Odpowiedź może być tylko jedna. Angela Merkel należy do wcale pokaźnego grona kobiet, u których brak uznania i akceptacji w dzieciństwie ze strony oschłego, wymagającego i perfekcyjnego ojca wywołał chęć udowodnienia mu własnej wartości w dorosłym wieku. Czyż kolekcjonowanie sukcesów w niezwykle medialnej i prestiżowej sferze polityki, niepowiązanej zupełnie ze sferą kościelną pastora Kasnera, nie było najlepszym na to sposobem? A widzisz, że jednak potrafię – zdawała się mówić ojcu za każdym razem, gdy zostawała minister, sekretarz generalną CDU, jej przewodniczącą, chadecką kandydatką na kanclerza, wreszcie kanclerz Niemiec. Parując ojcowskie „daleko nie zaszłaś”, wypowiedziane na widok jej berlińskiego mieszkania^[63]. Czy wcześniejsze stałe wezwanie w Templinie: „Dzieci pastora muszą się podwójnie starać”. To właśnie ojcowskie superego jest sprężyną napędową sukcesów Amazonki w męskim klubie polityków.

Łowczyni męskich głów

To przemila kobieta, która natychmiast kopnie cię w tyłek, jak tylko się odwrócisz^[1]
Günther Krause, minister do zadań specjalnych i minister transportu w rządzie kanclerza
Kohla

Pierwsze starcie z twardzielami

Na wizytę kobiety nikt się nie przygotował. Nie posprzątał rybackiej budy. Nie pozbierał leżących na podłodze flaszek po piwie. Nie przebrał się ani nawet nie umył brudnych rąk. Zresztą dopiero co usiedli, skończywszy rozwieszać mokre sieci. Właśnie wrócili z połowu. Na zewnątrz panował przenikliwy ziąb. Nie opadła jeszcze poranna, listopadowa mgła, gdy usłyszeli pukanie do drzwi. W drzwiach stała kobieta. „Nikt z nas jej nie znał” – wspomina jeden z nich. „Weszła i przedstawiła się jakoś tak: »Nazywam się Angela Merkel, chcę być waszym posłem«”^[2]. Podeszła do jedyne go wolnego krzesła, przysunęła je do stołu i usiadła. Naprzeciw siedziało pięciu mężczyzn. Silnych, barczystych, styraanych robotą. Wszyscy w mocno przybrudzonych ubraniach i ciężkich buciorach. Kandydatka na posła nie wzbudziła ich większego zainteresowania. Milczeli, zaciągali się papierosami i popijali piwo. Jeden gapił się przez okno na stojącego przed budą niebieskiego trabanta, którym przyjechał niezapowiedziany gość, inny przeliczał pieniądze. „Zanim pogadamy, trzeba się napić” – przemówił wreszcie rybak w kapitańskiej czapce. I nalał gościowi szklankę Goldkrone, 28-procentowej brandy. Merkel zawartość szklanki wypija duszkiem. Skończyła właśnie trzydzieści sześć lat. Od jedenastu miesięcy działała w polityce, a teraz ubiegała się o swój pierwszy mandat poselski. Szukała dla siebie miejsca w zjednoczonym kraju. Pomagał jej w tym Hans-Christian Maass, orbitujący w ministerialnych kręgach w Bonn chadek, któremu wpadła w oko podczas seminariów organizowanych dla enerdownskiej opozycji przez CDU. Maass skontaktował ją ze swoim przyjacielem, fotografem z „Bild Zeitung”, największej niemieckiej bulwarówki. Obrotny fotograf zorganizował jej z marszu dwudniowy rekonesans po okręgu wyborczym. Drugiego listopada 1990 roku obydwój na ryzyk-fizyk zapukali do wystającego wśród piaszczystych wydm rybackiego baraku w niewielkim Lobbe na wyspie Rugii. Wśród wilków morskich, o rękach jak patelnia i brodatych twarzach, szczupła doktor fizyki, w kloszowej spódnicy z dzinsu, lnianej bluzeczce i mocno wyciągniętym swetrze, wyglądała jak królewna Śnieżka wśród krasnali. „Klasyczna scenka, gdy politycy i wyborcy skrepowani sztywną atmosferą próbują nawiązać ze sobą kontakt” – ocenił sytuację towarzyszący jej fotograf. Merkel po raz pierwszy w życiu stanęła w szranki walki wyborczej, tej na samym dole. „Poradziła sobie świetnie. Wychyliła do dna pięć czy sześć szklanek” – opowiada jeden

z rybaków, który nawet po latach nie potrafi ukryć podziwu dla niej. „Swojego człowieka wyczuje się, a Merkel była w porządku. Najpierw wypła, potem zaczęła opowiadać o partii” [3]. Rybacy, jak i cała wioska, i tak w ciemno głosowaliby na CDU. Ale na kobietę? Merkel musiała ich przekonać. Nie do CDU, do siebie. W rozmowie dużo pytała. Zagadnęła ich, jak może pomóc. Obiecała pójść w ich sprawie prosto do Kohla. To nazwisko na wilkach morskich zrobiło piorunujące wrażenie. Kanclerz zjednoczenia. I ona porozmawia z nim w ich sprawie. Opowiedzieli jej o swojej harówce, o marnych zarobkach – 1,20 enerdowskiej marki za kilogram złowionego śledzia. W wyborach cała piątka oddała na nią głosy. Jeden zapisał się nawet do CDU. Pierwsze samodzielne starcie z prawdziwymi twardzielami Merkel rozstrzygnęła na swoją korzyść.

Wtedy posiadała „wrażliwość i dobre serce. Potrafiła nawiązać nić sympatii” [4] – mówi Ehrhart Neubert, pierwszy mężczyzna-polityk w jej życiu. Może ten najważniejszy, bo gdyby go nie poznała, nigdy sama nie zostałaby politykiem. Neubert był w NRD ojcem założycielem opozycyjnego DA. To on zatrudnił ją najpierw jako pomoc biurową, gdy w połowie grudnia 1989 roku przypadkowo trafiła do berlińskiej siedziby ruchu obywatelskiego i zapytała, czy może w czymś pomóc. Później, gdy została rzecznikiem prasowym, płacił jej kilkaset marek na miesiąc. No i uczył, jak stawiać pierwsze kroki w polityce. Aż uczennica, która biegła w biurze w jezusowych sandałkach, bluzeczkach w paski i z fatalnie obciętą grzywką, przewyższyła mistrza. Neubert był opozycjonistą z krwi i kości. Specjalistą od wchodzenia na barykady. A tu trzeba było zawierać kompromisy, koalicje, zakładać pułapki na innych, wbijać sztylety. Nie potrafił tego. Odszedł z polityki. Merkel została. „Potrafiła podnieść władzę, którą inni opuścili na ziemię” – dodaje odkrywca jej politycznego talentu [5].

Pierwsze ofiary

Talent szlifowała później pod okiem mężczyzn innego już kalibru. Najpierw Wolfganga Schnura. W jego przypadku chodziło już o politykę przez duże P. Jako szef sprzymierzonego z Helmutem Kohlem opozycyjnego DA Schnur uchodził za stuprocentowego faworyta w pierwszych wolnych wyborach w NRD. W wirze ważnych terminów, zobowiązań i uścisków dłoni w kampanii wyborczej przyszedł premier nagle stracił z oczu swoją podopieczną. Ona przypominała mu się jednak tak, że nigdy tego nie zapomniał. „Jesteś największym rozczarowaniem w moim życiu” [6] – wygarnęła mu prosto w twarz, gdy kilka dni przed wyborami Schnur został zdemaskowany jako agent Stasi. Merkel stała w pierwszym szeregu tych, którzy od razu przeznaczyli go do odstrzału, winiąc za klęskę DA w wyborach. Schnur alias TW „Torsten” został wyrzucony z partii w trybie natychmiastowym. Niedoszły premier NRD był jej pierwszą męską ofiarą. Ale i trampoliną do dalszej kariery. Bo nieformalnie zajęła jego miejsce. Wiedziała też, jak samej wybrnąć z opresji, dysponując arsenałem środków wykraczającym poza „dobre serce” i „nawiązywanie nici sympatii”. Od tej pory mężczyźni byli jej potrzebni do trzech rzeczy: „by się od nich uczyć, by nad nimi zatriumfować i by ich sobie podporządkować” [7].

Skoro pierwszy człowiek w NRD nie miał nazywać się Schnur, tylko Lothar de Maizière, to Merkel jeszcze w wieczór wyborczy triumfatorowi wyborów zaproponowała usługi swojego ugrupowania w przyszłym rządzie. Blamaż Schnura przesądził przecież o totalnej klapie

wyborczej Przełomu Demokratycznego. Nowy premier, adwokat i pasjonat gry na altówce nie miał gotowego scenariusza na obsadzenie stanowisk rządowych. Naoczni świadkowie opowiadają, jak z pierwszym garniturem doradców ślęczał po nocach, studiując na gwałt plany organizacyjne poprzedniego rządu Modrowa. Na ministrów powoływał zasłużonych opozycjonistów, bez kwalifikacji do rządzenia. Przykładowo Ministerstwo Obrony objął brodaty pastor Eppelmann, notorycznie karany w NRD za odmowę służby wojskowej. Dlatego resort przemianowano na Ministerstwo Rozbrojenia i Obrony^[8]. Rzecznikiem prasowym został Matthias Gehler, polityczny i życiowy bon vivant. Był dopiero trochę po trzydziestce, za to miał doświadczenie życiowe wilka morskiego. Z wykształcenia teolog, z pasji trubadur. W NRD przez długi czas parął się nielegalną wysyłką Biblii do ZSRR. Kiedy wpadł i stracił pracę, na chleb zarabiał, grając na gitarze. Pod koniec lat 80. zatrudnił się w partyjnej gazecie, jaką wydawała CDU-Ost. Przyjęto go z otwartymi rękami, gdyż w małym palcu miał nowatorską technologię opartą na światłowodach. Pisał o muzyce. Recenzując legendarny koncert Boba Dylana w Berlinie Wschodnim, zrobił kolosalne wrażenie na Lotharze de Maizière. To właśnie Gehler zarekomendował w marcu 1990 roku nowemu premierowi NRD dotychczasową rzecznikę DA na swoją zastępczynię. Nie znał jej osobiście, zapamiętał ją jednak ze wspólnych akcji przedwyborczych. Co w kreatywnym chaosie, jaki panował w raczkującej demokracji enerdowskiej, w zupełności wystarczyło. Wtedy wydarzenia następowały po sobie w zawrotnym tempie. „Czasu do namysłu nie było” – przywołuje klimat, jaki panował w Berlinie Wschodnim w marcu 1990 roku, jeden z insiderów. De Maizière zaprosił Merkel na rozmowę. Po kilkunastu minutach konwersacji zawyrokował: „Bierzemy ją, jest w porządku”^[9].

Zaraz potem Gehler w imieniu premiera złożył jej oficjalną propozycję objęcia stanowiska zastępcy rzecznika rządu, z bajkowym jak na warunki w NRD uposażeniem 2,5 tysiąca marek. Ale odpowiedź długo nie nadchodziła. Może się wahała? Nie wiedziała, czy podoba? „Poprosiła o czas do namysłu” – opowiada Gehler. „Poleci do Londynu i przemyśli sprawę”. Do dziś Gehler przechowuje u siebie jako cenną pamiątkę jej odpowiedź, napisaną dziewczęcym charakterem pisma: „Wielce Szanowny Panie Gehler, po krótkim okresie namysłu oraz rozmowie z przewodniczącym mojej partii z wdzięcznością i dużą chęcią przyjmuję Pana ofertę – stanowisko zastępcy rzecznika rządu”. Na samym dole w rogu widnieje data i nawet godzina: „9 kwietnia 1990, o 20”. Gehler ten moment uważa za przełomowy w życiu Angeli Merkel. „Od tej pory zaczął się dla niej nowy, polityczny rozdział. Dlatego przy dacie postawiła nawet godzinę” – argumentuje. „Londyn?” – dziwi się Angela Merkel. „Londynu sobie nie przypominam. Chciałam polecieć na Sycylię z mężem, który dostał właśnie zaproszenie na konferencję naukową. A ja, do tej pory harując jak wół w DA, zasłużyłam przecież na kilka dni odpoczynku w słońcu. Wyjazd kolidował z ceremonią zaprzysiężenia. Powiedziałam więc, że nie zostanę rzecznikiem, jeśli będę musiała być na zaprzysiężeniu. Trudno to sobie dziś wyobrazić, ale koniecznie chciałam lecieć na Sycylię”^[10]. Nie, to jeszcze nie był ten moment, wielka cezura w życiu Merkel. Odezwały się w niej stare nawyki, polityczna ignorancja, ta sama, która ujawniła się wizytą w saunie czy wyjazdem do Torunia, gdy w Berlinie padał mur. Wprawdzie doktor fizyki od grudnia 1989 roku działała w DA, była jego rzecznikiem, ale miała przecież w odwodzie zakurzone biurko w Instytucie Chemii Fizycznej. Mogła tam wrócić w każdej chwili. W Adlershofie urlopowwała się jedynie. Nie, Gehler się mylił. W chwili, gdy Merkel przyjmowała swoje pierwsze rządowe stanowisko, nie była jeszcze dostatecznie

zdeteminowana, by związać się z polityką na śmierć i życie. Nie miała jeszcze wypracowanej długofalowej strategii działania.

Sprzyjało jej szczęście. Gehler, jej szef, od razu znalazł się w jej cieniu. Ten teolog z Turynii, biegle władający łaciną i klasyczną greką, nie miał pojęcia o twardej polityce i jasnej komunikacji. Wygrywał na strunach gitary, ale nie polityki. Zapytany na jednej z pierwszych konferencji prasowych o listę rzeczników wszystkich dwudziestu trzech ministerstw, bezradnie rozkładał ręce. Owszem, połowa resortów nie miała wtedy jeszcze własnego rzecznika. Zmieniały się nawet ich numery telefonów. Ale rzecznik premiera de Maizière'a nie znał nawet swojego własnego, ba, „nie potrafił przedstawić z imienia i nazwiska nominowanych już na stanowisko rzeczników, którzy na pierwszej konferencji prasowej rządu stali obok niego równiutko w szeregu” – utyskiwał austriacki korespondent dziennika „Die Presse”^[11]. Przed kamerami i mikrofonami Gehler kluczył długo i zawile, nim dotarł do sedna sprawy. Tymczasem Merkel „była najpewniejszym źródłem oficjalnych informacji w Berlinie Wschodnim, zawsze potrafiła znaleźć właściwy komentarz, mało agresywny, za to precyzyjny, oddający istotę i główne myśli posiedzeń rządu” – pisał Detlev Ahlers z prestiżowego zachodniemieckiego dziennika „Die Welt”. Nawet dawny organ SED „Neues Deutschland” nie szczędził jej pochwał: „Inteligentna i wiarygodna. To właśnie jej zachodnie media zawdzięczają rzetelną i zawsze na czas podaną informację”^[12]. I rzeczowy komentarz. Zadanie rzecznika rządu nie wyczerpywało się bowiem na odczytaniu samych oświadczeń, ale także na ich komentowaniu. Zainteresowanie ze strony prasy było wtedy ogromne. Biuro prasowe rzecznika premiera pracowało przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Atmosferę chaosu zwiększali liczni praktykanci, wszyscy z RFN i wszyscy o gorliwości neofitów. Kręcili się po biurze, zasypywali Merkel pytaniami. Przeszkadzało jej to bardzo, ale uczyło odporności psychicznej^[13].

Merkel nie kopała dołków pod swoim szefem. Nie znała jeszcze tych wszystkich makiawelicznych trików: nie potrafiła zakładać pułapek na innych. Nie miała jeszcze rozbudzonych ambicji politycznych niezbędnych dla prowadzenia mniejszych czy większych gier i przebiegłych intryg. Profesjonalnie komentowała poczynania rządu. Najczęściej w ciemnych, plisowanych spódnicach, które sama sobie szyła, w czarnym kubraczku i w okropnych butach. Charakterystyczna fryzurka na pazia niefortunnie podkreślała jej okrągłą głowę. Ale wtedy nie dbała o swój wygląd. Lothar de Maizière pamięta, że przed podróżą do Moskwy do znużenia powtarzał jej, by kupiła sobie odpowiednie pantofle, żakiet i płaszcz^[14]. Brakowało jej także temperamentu polityka i pewności siebie. Austriacki korespondent „Die Presse” zapamiętał ją z przyjęcia dla prasy: „Stała na uboczu, opierając się o ścianę, tuż przy bufecie, skąd obserwowała całą salę. W rozmowie okazała się bojaźliwa i powściągliwa. Po chwili otworzyła się, recytując, że nie ma doświadczenia w polityce i mediach, jest fizykiem i zajmuje się chemią kwantową”^[15].

Nie należała do pierwszego garnituru kręcącego się wokół premiera. Także za kulisami nie aspirowała do roli arbitra w sporach merytorycznych. Za to szybko i wielkimi haustami uczyła się polityki. Znowu sprzyjało jej szczęście. Gehler panicznie bał się latać samolotem. Dlatego jego zastępczynię de Maizière zabierał na wizyty zagraniczne do światowych stolic: Moskwy, Paryża i Londynu. Uczestniczyła więc Merkel w międzynarodowych rokowaniach „dwa plus cztery”, podczas których rozstrzygano kwestie zjednoczenia Niemiec. Od kuchni podglądała polityczne rozgrywki, zagmatwaną strategię radziecką, siłową Busha czy „politykę walca” kanclerza

Kohla. Przysłuchiwała się rozmowom z Gorbaczowem, premier Thatcher, prezydentem Mitterrandem. Poznawała arkany dyplomacji, rodzaje uśmiechu na twarzy polityków i ich słabostki. W Paryżu na przykład zapoznała się z sekretami francuskiego republikanizmu, ot, choćby wtedy, gdy kontemplowała feudalny tron z połączanymi podpórkami pod łokcie, na którym zasiadał socjalistyczny prezydent Mitterrand. Jego gość, premier de Maizière, siedział w podobnym fotelu, ale już nieco niższym i bez złocen, a tłumacz okrakiem na zydelku. Nie przeszkodziło to jednak prezydentowi Francji, by po omówieniu pałacej kwestii zjednoczenia Niemiec jak równy z równym porozmawiać z upolitycznionym muzykiem z NRD o polifonicznym kontrapunkcie. „Wreszcie jakiś kulturalny Niemiec!” – wykrzyczał swoją radość Mitterrand po wizycie premiera NRD. Ale wieść o tym, w jak dobry nastrój prezydenta Francji wprowadził de Maizière, pocztą dyplomatyczną szybko dotarła do kanclerza Kohla. Wielki miłośnik ludowych przyspiewek, marszów wojskowych i orkiestr dętych, przez Niemców nazywany ze względu na swoją czerstwość „Gruchą”, przy następnej rundzie spotkań z delegacją rządową NRD zmarszczył brwi i wrzasnął: „O jakiej to kulturze de Maizière rozmawiał z Mitterrandem?!”^[16]. Uczestnicząc w takich wydarzeniach, Angela Merkel pobierała najlepsze korepetycje w zakresie polityki, lepsze, niżby mogła jej udzielić najbardziej renomowana akademia dyplomatyczna. De Maizière przypomina sobie, że podczas wizyty w Moskwie wysłał ją na ulice, by wysondowała, jakie nastroje panują wśród zwykłych mieszkańców wobec planowanego zjednoczenia Niemiec. Co mówią taksówkarze, sklepowe, co mówi się w metrze. Po kilku godzinach Merkel wróciła i oświadczyła: „Stalin wygrał II wojnę światową, Gorbaczow ma szansę ją przegrać”^[17]. De Maizière uznał, że rokowania z Gorbaczowem trzeba natychmiast przyspieszyć.

Merkel była też obecna, gdy zachodnioniemiecki szef MSW Wolfgang Schäuble i jego wschodnioniemiecki kolega Günther Krause negocjowali traktat zjednoczeniowy, określający wewnętrzne warunki połączenia obydwu państw niemieckich. A przez cały ten czas sprzedawała mediom politykę mężczyzn, coraz lepiej poznając ich słabości. Musiała dostosowywać się do nich, do ich humorów, nastrojów dnia, niekiedy kaprysów. Thomas de Maizière, brat premiera, a syn generała, był władczy i nie znosił sprzeciwu. Maass pouczał ją stale jak belfer, co ma w danej chwili zrobić. „Mów bardziej soczyście, z werwą!” – napominał^[18]. Ona jednak wolała zostać przy klarownych, rzeczowych wypowiedziach. Jakby chciała opisać doświadczenie z laboratorium. Gehler z kolei wzdychał do swoich ulicznych koncertów gitarowych i wyśpiewywał w biurze jeden po drugim ułożone przez siebie songi. Pierwszy doradca premiera de Maizière’a Winfried Fest przynosił do gabinetu magnetofon, żeby odsłuchiwać koncerty Mozarta. Na muzyczne interludia wpadał z sąsiedniego pokoju sam premier, który – najczęściej w drodze na stołówkę i w kolejce po obiad, o zgrozo, na oczach wszystkich – inscenizował grę na skrzypcach, poruszając w powietrzu rękami i palcami oraz, jak to zwykle skrzypkowie mają w zwyczaju, kiwał odpowiednio głową. Gdy dopadł go stres, odgrażał się podwładnym, że po zjednoczeniu Niemiec powróci do profesji adwokata. Regularnie między godziną 13 a 14 zamykał się w gabinecie i ćwiczył grę na altówce. Angela Merkel miała wrażenie, że oni wszyscy nie traktują serio swojej politycznej misji. Grubo się myliła. Dopiero uczyła się, jak należy rozumieć polityków. Nie wiedziała, że godzina z altówką pozwalała premierowi „naładować akumulatory”, „dzieląc jednocześnie długi dzień na dwa mniejsze segmenty”^[19]. Altówkę de Maizière zabierał ze sobą w zagraniczne podróże. W przerwach spotkań rządowych ćwiczył w pokojach hotelowych, przygotowując się

do letniego festiwalu w Meklemburgii, od kiedy jego organizatorom dał słowo, iż muzyczne święto uświetni solowym koncertem. Składając w czerwcu 1990 roku wizytę w Dublinie, zastał Irlandię ogarniętą gorączką piłkarskich mistrzostw Europy. By dać szansę obejrzenia meczu narodowej reprezentacji chroniącym go w hotelu policjantom, wystawił im do przedpokoju telewizor, zamknął drzwi i chwycił za altówkę. Najspokojniej ćwiczył na tle dochodzących zza drzwi okrzyków policjantów i ryku telewizora^[20]. To właśnie w Dublinie na zakończenie wizyty w towarzystwie swojej rzeczniczki udzielił niemieckiej telewizji obszernego wywiadu, który później wyemitowano „z puszek”. Podczas nagrania Angela Merkel podeszła nagle do niego i szepnęła mu coś na ucho. Premier jak mały chłopczyk grzecznie kiwnął głową. Tak, za dużo powiedział, przyznał rację swojej rzeczniczce. I za jej radą wywiad nagrał od nowa. „Musieliśmy być ostrożni” – wyjaśniała zatroskana Merkel^[21]. Wzorowa uczennica po raz kolejny udowodniała, jak w eksternistycznym tempie przyswajała sobie zasady męskiej polityki, ujawniając przy tym wyjątkowy talent. Dumny ze swojej rzeczniczki premier gorąco zachwalał ją zachodniemieckim chadekom: „Zapamiętajcie ją dobrze. Będą z niej ludzie”^[22].

Rekomendacje te były dla Merkel cenniejsze niż złoto. Późną jesienią 1990 roku zbliżało się zjednoczenie Niemiec. Rząd eierdowski musiał się rozwiązać. Dla Merkel oznaczało to utratę posady i niezłego dochodu. Także przyszłość reżimowej Akademii Nauk stała pod znakiem zapytania. To właśnie teraz Angela Merkel podjęła decyzję życia. Pojechała do Adlershofu i posprzątała swoje biurko. Na zawsze rozstała się z karierą naukowca. Bez żalu. Bo owszem, przez dobrych kilka lat całymi dniami wysiadywała w instytutowym baraku i za guru miała Skłodowską-Curie, ale profesja naukowca nie zaważadła jej duszą. Na odchodnym w Adlershofie powiedziała: „Polityka mnie fascynuje!”^[23]. A z perspektywy czasu dodała: „To był punkt zwrotny w moim życiu”^[24]. Tak, postawiła wszystko na jedną kartę. Jak Amazonka. Ale z umysłem fizyka – zabezpieczyła całe przedsięwzięcie, zapewniając sobie poparcie Lothara de Maizièr’a, który w przededniu zjednoczenia awansował na numer dwa w CDU, zastępcę samego Kohla. „Zaproponowałem ją osobiście Kohlowi na stanowisko ministra w nowym rządzie niemieckim, już po zjednoczeniu”^[25] – wspomina Lothar de Maizièr. Kohl miał wprawdzie innego kandydata, ale de Maizièr wybił mu go z głowy. Szybko poinformował swoją podopieczną: „Słuchaj, wkrótce zadzwoni do ciebie Kohl i zaproponuje stanowisko ministra”. „Chyba żartujesz?” – odparła^[26]. Kohl zadzwonił. Ona propozycję przyjęła. W pierwszym rządzie zjednoczonych Niemiec objęła resort do spraw rodziny, młodzieży i kobiet.

Krótko przed utworzeniem rządu wybuchła bomba. „Der Spiegel” ujawnił sensacyjną informację: Lothar de Maizièr to tajny agent Stasi, latami donoszący bezpiece o wydarzeniach na szczytach protestanckiego Kościoła w NRD. Oskarżony zdecydowanie zaprzeczał: niczego nie podpisywał, nikomu nie szkodził, nie brał pieniędzy. By nie utrudniać jednak kanclerzowi utworzenia rządu, do którego de Maizièr był murowanym kandydatem, zrezygnował ze wszystkich funkcji. Upadek mecenasa nie pogrążył w politycznym niebycie jego protegowanej. Stało się odwrotnie. Kanclerz, by dowartościować eierdowców, zdecydował się na rzecz najbardziej oczywistą. Sięgnął po rezerwowe wcielenie de Maizièr’a – Angelę Merkel, która jako kobieta spełniała jeszcze jedno pożądane kryterium: parytetu płci. W ten sposób na początku stycznia 1991 roku Merkel zastąpiła de Maizièr’a na stanowisku wiceprzewodniczącego CDU. Od razu odcięła się od protektora. Niegdyś szara mysz przeobraziła się w szarą eminencję chadecji.

Jeszcze dwie dekady po tych wydarzeniach de Maizière nie ukrywa rozczarowania była podopieczną. Przypadek sprawił, że dziś, w wielomilionowym Berlinie, ostatni premier NRD swoją kancelarię adwokacką prowadzi na parterze domu, którego pierwsze piętro wynajmuje Angela Merkel. „Dwukrotnie zapraszałem ją do siebie: jeśli masz czas, wpadnij. Na filiżankę kawy zawsze możesz liczyć” – opowiada mocno rozżalony. „Nie zjawiała się nigdy. Mam wrażenie, że odczuwa lęk przed bliższym kontaktem z tymi wszystkimi, którzy pomogli jej w karierze”. Gdy się pyta Lothara de Maizière’a, czym różni się obecna przewodnicząca CDU od jego rzecznik prasowej, ekspremier odpowiada: „Odczuwa ona głęboką satysfakcję, gdy pociągając za sznurki, porusza kukielkami na scenie. Nakręca ją kontrola nad mechaniką ruchu. I nad ludźmi”^[27].

„Dla kariery Merkel jest gotowa zrobić dosłownie wszystko” – uzupełnia jej portret Günther Krause. „To przemiła kobieta, która natychmiast kopnie cię w tyłek, jak tylko się odwrócisz”. Czy Krause wie, co mówi? Wspierał Merkel w tym samym czasie co Lothar de Maizière. I do spółki z nim gorąco polecał ją Kohlowi. W NRD Krause, młody i elokwentny profesor architektury, zrobił oszałamiającą karierę naukową i polityczną. Do rewolucji 1989 roku z wielkim sercem angażował się w satelickiej wobec reżimu Honeckera CDU-Ost. Pomimo młodego wieku uchodził za wielką nadzieję tej marionetkowej partii. Jeszcze na krótko przed upadkiem muru pod niebiosą wychwalał towarzysza Honeckera jako wielkiego chorążego pokoju. Nieoficjalnie spotykał się z oficerem Stasi, który później zeznał: „Informacje, jakie dostarczał mi pan Krause, oceniałem jako bardzo istotne i po każdorazowym z nim spotkaniu przedstawiałem je pisemnie mojemu przełożonemu”^[28]. W czasie rewolucyjnego przełomu 1989/1990 w ostatniej dosłownie chwili oportunistą zdążył zmienić poglądy. Dzięki swojej inteligencji wkradł się w łaski nowego przewodniczącego CDU-Ost Lothara de Maizière’a. Gdy ten został premierem, Krause jako szef jego kancelarii był bezpośrednim przełożonym Angeli Merkel. Jako najbardziej zaufany człowiek premiera NRD negocjował z szefem MSW Wolfgangiem Schäublelem traktat zjednoczeniowy. W przyszłym gabinecie Kohla miał zapewnioną posadę ministerialną. To właśnie dzięki jego pomocy Angela Merkel postanowiła w zjednoczonych Niemczech zostawić za sobą wschodniemiecki rozdział życia. I zawalczyć w pierwszych ogólnoniemieckich wyborach o mandat poselski.

Najchętniej została by posłem w prestiżowym Berlinie. Tam jednak szerzej nieznana rzecznik rządu przepadłaby z kretesem. O berlińskie mandaty do śmiertelnego boju szykowali się już polityczni prominenci. Krause, który piastował jeszcze stanowisko szefa CDU w Meklemburgii, postanowił dla swojej podopiecznej zarzucić sieci na północnym skrawku wschodnich Niemiec. Ale okręg wyborczy numer 267 Stralsund-Rugia-Grimmen krył w sobie kilka pułapek. Po pierwsze, składał się z trzech mniejszych, odrębnych okręgów, dwóch na lądzie i jednego wyspiarskiego. Po drugie, wyspiarze z Rugii, wśród których przeważali rybacy i rolnicy, uchodzili za wyjątkowo upartych i nieufnych. Nieufność wyspiarzy pogłębił po bankructwie NRD upadek kombinatów rolniczych, PGR-ów, zostawiając ich bez pracy. Prawdziwą przeszkodą dla Merkel okazało się jednak coś innego. Apetyt na mandat wyborczy z ramienia CDU w okręgu 267 miało dwóch innych kandydatów ze „starej” RFN: młodszy od niej, ale równie zadziorny, szef Junge Union z południa Niemiec Klaus Herrmann i bankier z Oldenburga Hans-Günther Zemke^[29].

Krause, pierwszy generał Kohla w kampanii wyborczej na wschodzie Niemiec, stawał dosłownie na głowie, by w chadeckich prawyborach pobić importowaną z RFN konkurencję.

W pamięci mieszkańców okręgu nominacja na kandydata CDU zapisała się jako „bardzo dziwna”^[30]. Pierwotnie termin zebrania delegatów z lokalnych oddziałów CDU wyznaczono na 16 września. Na kartkach do głosowania figurowały dwa nazwiska: Herrmanna i Zemkego. Ale głosowanie w ostatniej chwili odwołano. Jako przyczynę podano „wystąpienie formalnych błędów w procedurze”. Tylko częściowo odpowiadało to prawdzie. Nikt w istocie nie miał pojęcia, ilu delegatów z regionalnych oddziałów CDU powinno uczestniczyć w prawyborach. Na drugi dzień jednak po niedoszłym głosowaniu do dwóch dotychczasowych nazwisk zostało dopisane trzecie, Angeli Merkel. Nowy termin chadeckich prawyborów w okręgu przesunięto na 27 września. Do tego czasu Krause zarzucał swoją sieć. Wici do wszystkich lokalnych oddziałów CDU w regionie wyborczym rozsyłał jego zaufany człowiek Wolfgang Molkenntin, lokalny potentat rolniczy, a zarazem długoletni szef CDU w Grimmen. Najdziwniej przebiegał sam wieczór wyborczy. Głosowanie rozpoczęto 27 września w Prorze, głównym mieście na Rugii. Miejscowi delegaci jak jeden mąż oddawali głosy na Zemkego, elektorzy z rolniczego Grimmen na Merkel, a reprezentanci portowego Stralsundu na Herrmanna. Późnym wieczorem po obliczeniu wszystkich głosów okazało się, że na własnym boisku wygrał Zemke z 45 procentami, przed Merkel z 31,5 procent i Herrmannem z 21 procentami. Triumfatorowi do pełni szczęścia i absolutnej większości głosów zabrakło niecałych 5 procent. Zarządzono drugie głosowanie krótko przed północą. I tylko na pierwszą dwójkę. Lwia część miejscowych delegatów nie wzięła w nim jednak udziału. Niepowiadomiona zawczasu o możliwej drugiej turze, po wrzuceniu kartek do urny wróciła do domów. Natomiast autobusy, które miały zabrać delegatów z odległego Grimmen, podjechały dopiero po formalnym zakończeniu zebrania, oddaniu głosów w drugiej turze. Proceduralne niedociągnięcie czy makiaweliczne posunięcie Krausego i Merkel? W drugiej turze w cuglach wygrała Merkel. Zemke został jej polityczną ofiarą.

Namaszczona przez CDU chadecka kandydatka w okręgu wyborczym 267 rzuciła się w walki o mandat do Bundestagu. To wtedy zapukała do drzwi rybaków z Lobbe. Jej poczynaniom niezmiennie patronował Krause. Obydwoje w dniu wyborów 2 grudnia 1990 roku z napięciem oczekiwali wyników głosowania w okręgu. Gdy je ogłoszono, mentor i jego podopieczna odetchnęli z ulgą. Merkel wygrała z 48 procentami. Została posłanką.

W maju 1993 roku na szyi Krausego, nowej gwiazdy w gabinecie Kohla, zacisnęła się pętla. Wybuchła afera ze sprzątaczką w roli głównej. Otóż minister pod swoim dachem zatrudnił bezrobotną jako pomoc domową. Wynagrodzenie dla niej wyludzał od miejscowego urzędu pracy, bezceremonialnie depreczując prawo. Postawiono mu prokuratorskie zarzuty. Walczącemu o polityczne przeżycie mentorowi Angela Merkel nie przyszła z pomocą. Czekala spokojnie, aż ten się śmiertelnie wykrwawi. Miała w tym swój interes. Dymisja byłego protektora otworzyła jej drzwi do kolejnego stanowiska. Zająła miejsce Krausego jako szefowa CDU w Meklemburgii, jednym z szesnastu krajów związkowych. „Jestem nią strasznie rozczarowany. Tak wiele dla niej zrobiłem” – żalił się Krause^[31]. Nie on pierwszy, nie ostatni. A Merkel rosła w siłę. Była już posłanką, minister, wiceszefową CDU – po Lotharze de Maizièrre – i szefową CDU w Meklemburgii – po Krausem.

Mogła już się obyć bez protekcji dotychczasowego mentora. Cieszyła się względami samego Kohla. Konserwatywny i drobnomieszczański patriarcha, z góry spoglądający na polityków w spódnicach, alergicznie reagujący na feministki, po zjednoczeniu kraju musiał przestawić się na parytetową arytmetykę personalną. Na gwałt potrzebował na ministra kobietę z NRD.

Polecona mu przez de Maizière'a i Krausego Merkel idealnie spełniała obydwie kryteria. Dlatego kanclerz nie przejął się zbytnio, gdy na pierwszym z nią spotkaniu, jeszcze przed sformowaniem rządu, badając jej stosunek do kwestii rodziny, kobiet i młodzieży, w odpowiedzi uzyskał beznamienne wzruszenie ramion. Zupełny brak entuzjazmu Merkel dla „miękkiej” tematyki nie przeszkodził kanclerzowi uczynić ją ministrem do spraw kobiet i młodzieży. Czuł też do niej pewną słabość. Niepozorna z wyglądu 30-latką, przemykająca po rządowych korytarzach w przydługawych spódnicach, wełnianych sweterkach, z chłopcą grzywką, a w samolocie zakładająca na nogi zrobione na drutach skarpetki włóczkowe, wydała mu się wymarzoną „plasteliną”, łatwą do urobienia. Tą zaletą punktowała u niego najbardziej. „Jej naiwny wyraz twarzy w zupełności wyjaśniał, dlaczego Kohl tak bardzo ją wspierał. Takiej osoby największy nawet znawca dusz ludzkich nie mógł przecież podejrzewać o to, że skrzywdzi muchę, nie mówiąc już o tym, że swojemu protektorowi wsadziłaby nóż między żebra” – brzmiała jedna z cynicznych analiz, tłumacząca logikę Kohla i wyjątkową słabość odurzonego władzą kanclerza do swojej dość osobliwej minister^[32]. Zacierał więc Kohl ręce, kontent z dokonanego wyboru. Nie mógł nachwalić się lojalności i pracowitości Merkel. A już naprawdę ciepło mu się na sercu robiło, gdy do jego nader wrażliwych uszu dobiegał szczerzy dla niego podziw pani minister, lechtający jego olbrzymie ego. Oficjalnie nazwał ją „swoim pupilkiem”. Ważniejsze, że obsypywał licznymi łaskami. Jeszcze nie wysechł atrament na ministerialnej nominacji, a już wysłał swojego pupila do sanktuarium niemieckiej chadecji we włoskiej Cadenabbii. Tam, gdzie patriarcha Adenauer spędzał urlopy, grywając w boccia w zmiętym kapeluszu i pod krawatem, Angela Merkel jako chadecki złotodziób, ba, parweniusz z przeszłością w FDJ, miała wchłonąć nieznaną jej partyjne opary, poczuć smak chadeckich manier, reńskich zwyczajów i tradycji zachodniemieckiej republiki. Jako jedyna z ministrów Kohla towarzyszyła mu w 1991 roku w spektakularnej podróży do Kalifornii, kiedy za dzieło zjednoczenia kraju na oczach całej Ameryki odbierał medal honorowy Uniwersytetu Berkeley, a na prywatnym ranczu Reagana gratulacje od eksprezydenta. Po wygraniu w 1994 roku kolejnych wyborów do Bundestagu Kohl ponownie powierzył Merkel tekę ministra, tym razem znaczniejszego już resortu – ochrony środowiska. Nawet gdy cztery lata później przegrał następne wybory i ster rządów w CDU oddał w ręce Wolfganga Schäublego, zachowując tytuł honorowego przewodniczącego, to do spółki ze swoim następcą namaścił Merkel na sekretarza generalnego CDU, numer trzy w partii, jako niezbędnego w politycznej arytmetyce reprezentanta wschodnich Niemiec i kobiet. Jej mentor nie miał pojęcia, jak szybko niepozorna doktor fizyki przyswajała sobie reguły i sztuczki twardej, męskiej gry politycznej. Na oczy przejrzał dopiero w 1999 roku, gdy na powierzchnię wypłynęła afera „czarnych kont”, największy skandal polityczny w powojennych Niemczech.

Podwójne ojcostwo

Afera wybuchła, gdy ujawniono stworzony przez Kohla nielegalny system finansowania partii, dzięki któremu przez ćwierć wieku mógł sterować nią jak faraon starożytnym Egiptem. Lojalnym podwładnym wsuwał do kieszeni okrągłe sumki, to na rozbudowę regionalnych struktur, to na kampanie wyborcze w landach. W efekcie rzesze chadeków siedziały w jego kieszeni. W ten też sposób pozyskiwał od struktur terenowych CDU cenne informacje, a na kongresach głosy delegatów. Gdy w 1989 roku na kongresie CDU w Bremie groził mu

pucz, sfinansował pośpiesznie skomputeryzowanie biur oddziałów powiatowych i miejskich, z których pochodzili puczyści. Wytrącił im z ręki broń, a ich samych położył trupem.

Kohl tajne subwencje zapisywał w osobnym rejestrze. Nigdy nie trafiły one do księgi rachunkowej skarbnika CDU. Ich istnienie było jednak tajemnicą poliszynela na szczytach chadecji. Wielokrotnie podczas kolacji z pretorianami, gdy przyszło do płacenia rachunku, kanclerz palcem wskazywał na jednego z biesiadników, rubasznie komenderując: „Ha, dziś płacisz ty! Masz kasę z czarnych kont! He, he, wiem o tym!”^[33]. I śmiał się do rozpuku z resztą towarzystwa.

Skąd pochodziły subwencje? Wpływały pokaźnym strumieniem na specjalnie w tym celu utworzone w bankach luksemburskich lub szwajcarskich konta, zamykane zaraz po dokonaniu większego przelewu, co przypominało mafijne praktyki prania brudnych pieniędzy. Konta w Niemczech należały do fikcyjnych organizacji, noszących fantasmagoryczne nazwy, jak Wspólnota dla Przyłączenia Rozwijających się Rynków czy Zjednoczenie dla Wspierania Prywatnej Pomocy Rozwojowej. Podczas śledztwa przyparty do muru Kohl ujawnił, że tylko w latach 1993–1998 na czarnych kontach wylądowało blisko 2 miliony marek. Milczał natomiast jak grób, skrywając nazwiska hojnych sponsorów. „Dałem im na to słowo” – powtarzał. Nad Renem i Sprewą zawrzało. Praktyka kanclerza godziła w samo serce niemieckiej konstytucji, jasno określającej transparentność w obchodzeniu się partii z finansami. Tymczasem wszystkie raporty finansowe CDU były sfalszowane. Od razu podejrzewano, że suma 2 milionów to jedynie wierzchołek góry lodowej. Ujawnione malwersacje dotyczyły bowiem okresu po 1993 roku. Do rozliczenia się z wcześniejszych operacji finansowych CDU w chwili ujawnienia afery w 1999 roku nie była już zmuszona ustawowo. Zresztą gdy rok wcześniej Kohl przegrał wybory do Bundestagu, w Urzędzie Kanclerskim na gwałt niszczone akta państwowe. Do dziś nieznane jest pochodzenie 10 milionów marek w gotówce, jakie w latach 1989–1992 trafiły do CDU w walizkach, przekazywanych na stacjach benzynowych, przy autostradach i we włoskich pizzeriach. Ogólna suma czarnych kont opiewa na ponad 20 milionów marek. Część z nich zakamuflowano jako „spuściznę po majątkach żydowskich”, co w kontekście odpowiedzialności RFN za zbrodnie Holocaustu III Rzeszy graniczyło z wyjątkową impertynencją. Jeszcze większą impertynencją kanclerza była odmowa podania nazwisk sponsorów. Podejrzewano jednak, że mogły nimi być nie tyle osoby prywatne, jak sugerował Kohl, ile raczej wpływowe firmy, otrzymujące od rządzących chadeków konkretne korzyści. Pewnych poszlak dostarczyło wytropienie spektakularnej afery z 1991 roku, gdy koncern zbrojeniowy Thyssen w zamian za sprzedaż czołgów do Arabii Saudyjskiej wręczył chadeckim skarbnikom walizkę z milionem marek. Łapówki nigdy nie zaksięgowano. Inny trop sugerował, że hojnych donatorów wyciągnął z kapelusza kanclerz, by ukryć istnienie jeszcze większej liczby tajnych kont. Oskarżony o malwersacje finansowe stanął przed prokuraturą i komisją śledczą. Twórcy zjednoczenia Niemiec groziło pięć lat za kratami.

Niemcy były w szoku, CDU w rozsypce, jej wielcy baronowie, po uszy uwikłani w skandal, gdy sekretarz generalna przeprowadziła szarżę życia. Kiedy dwa dni przed Bożym Narodzeniem Niemcy brali urlopy, piekli ciasta lub szykowali się do wypadu na narty w Alpy, Merkel na łamach najbardziej opiniotwórczego dziennika niemieckiego „Frankfurter Allgemeine Zeitung” (FAZ) opublikowała artykuł, który zmienił losy Niemiec, CDU, Kohla i jej samej^[34]. Zażądała w nim od chadecji natychmiastowego odcięcia pępownicy od szkodliwego malwersanta, który chełpił się tym, że na stałe wszedł do podręczników historii. Skoro odmawia

on podania nazwisk donatorów nielegalnych subwencji, to należy go raz na zawsze wyrzucić z partii, kart historii i pozbawić osobistego kultu, jakim się powszechnie cieszy. W 150 wierszach sekretarz generalna CDU wezwała Kohla do abdykacji, a partię do puczu. Sama stanęła na jego czele. Do tej pory nikt w CDU nie śmiał jawnie wystąpić przeciwko ikonie zjednoczenia. Szef CDU Schäuble wprawdzie stale wydzwaniał do Kohla, ale błagał go na kolanach, by ujawnił nazwiska sponsorów, chroniąc partię przed całkowitym blamażem. Chadecki patriarcha ignorował te prośby, topiąc w błocie autorytet CDU i jej polityków. „W starożytnym Egipcie po śmierci faraona był zwyczaj zamurowywania w piramidzie żyjących członków dworu ze zmarłym monarchą. Tak też będzie w moim i CDU przypadku” – odpowiedział rozsierdzony listem Merkel kanclerz w jednym z programów telewizyjnych^[35]. Schäuble nie naciskał. Jako wcześniejszy szef Urzędu Kanclerskiego, frakcji parlamentarnej i desygnowany następcą kanclerza Kohla, zawsze z łaski tegoż, sam był mocno uwikłany w system czarnych kont. Do otwartego buntu przeciwko milczącemu jak grób Kohlowi nie był zdolny też żaden z pretorianów, powiązanych z nim siecią czarnych kont i co najmniej setką wspólnych wieczorów przy pieczonej golonce czy żołądku wieprzowym, ulubionym daniu kanclerza, na które w dowód zaufania zapraszał do rodzinnego Palatynatu.

Za to Merkel nie zadrżała ręka przy pisaniu brutalnej prawdy. Nie czuła się związana z Kohlem ani wspólnotą przeszłości, ani reńskim paternalizmem, ani też osobistą relacją. Papa Kohl, przy całej słabości do swojej pupilki, nie traktował jej całkiem poważnie. Nie wtajemniczał w machinacje finansowe, nie zapraszał do domu, nie częstował żołądkiem wieprzowym, nie zaproponował przejścia na „ty”. Upokarzał ją nawet przez ostatnie dwa lata, jakie minęły od porażki CDU w wyborach. Choć ustąpił wtedy z funkcji szefa partii, został jej honorowym przewodniczącym – za zasługi dla zjednoczenia kraju. Jego przygniatająca wszystkich sylwetka pojawiała się na każdym posiedzeniu zarządu, prezydium czy kongresie partii. Niezmiennie odbierał cesarskie hołdy, pociągał zza kulis za sznurki. I karcił na oczach wszystkich nieopierzoną jego zdaniem Merkel.

Pod presją oburzonych Niemców, kilka tygodni po wezwaniu przez Merkel do puczu, zainspirowana nim wierchuszka CDU zmusiła swojego patriarchę do opuszczenia tronu, gdyż „jako honorowy przewodniczący naruszył swoje obowiązki, odmawiając współpracy przy zażegnaniu kryzysu i udzieleniu koniecznych wyjaśnień w sprawie popełnionych przez siebie uchybień”^[36]. W jednej chwili sekretarz generalna straciła wielkiego kanclerza z cokołu pomnika, jaki ten wystawił sobie zjednoczeniem Niemiec. Pozbawiła go najpierw władzy, a potem czci. Dokonała ojcobójstwa z zimną krwią. Dla dobra partii?

W wyroku fortuny, jaki z ręki Merkel dopadł Kohla, wcześniejszy jej protektor Wolfgang Schnur od razu rozpoznał własny los. „Tak jak wcześniej postąpiła ze mną, tak też teraz potraktowała kanclerza, absolutnie nielojalnie”^[37] – powiedział. „To najbardziej inteligentna kobieta, jaką znam” – komentował z kolei Wolfgang Schäuble, który wypowiadając te słowa, sprawiał wrażenie, jakby płodził je z takim samym wysiłkiem, z jakim kobieta wydaje na świat dziecko. Gdy Schäuble opowiada o Merkel, zadziera głowę do góry i patrzy w sufit. Jej artykuł w „FAZ” śmiertelnie ugodził i w niego. Zasugerował bowiem Kohlowi, że jego sukcesor maczał palce w intrydze Merkel. A Schäuble nie wiedział o niczym. Bo gdyby wiedział, nie zezwoliłby na publikację. Tymczasem rozsierdzony Kohl, skoro już nieuchronnie musiał upaść, postanowił pociągnąć za sobą swojego następcę, który jak każdy z jego otoczenia był splamiony brudnymi pieniędzmi: „Schäuble sam dobrze zarobił na czarnych kontach, a teraz odgrywa rolę

uczciwego śledczego. Postawię pod ścianą tego niewdzięcznika. A Merkel, tę zmiję, wykarmiłem na własnej piersi. Jak ich dopadnę, zrobię z nich pudding karmelowy”^[38]. Schäuble miał to nieszczęście, że przed kilku laty przyjął od lobbysty 100 tysięcy marek. Merkel o tym wiedziała. Gdy Schäuble w toku prowadzonego śledztwa zaprzeczył przed parlamentem przyjęciu łapówki, Merkel miała na niego haka. Swoją publikacją dokonała więc podwójnego ojcobójstwa: Kohla i Schäublego. „Kompletnie »zdemontowała« Schäublego, ponad jego głową zupełnie samodzielnie wyznaczając strategię partii” – ocenił Lothar de Maizière^[39]. Czekałszy cierpliwie latami na przejęcie schedy po Kohlu Schäuble po niecałym roku musiał opuścić stanowisko szefa CDU. Przed Merkel stanęła otworem droga do awansu – prawdziwy cel podwójnego ojcobójstwa.

Publikując jeden niewielki artykuł, Merkel wybiła się na pierwszego stratega w CDU. Każdy członek partii, od szeregowego żołnierza po generała Schäublego, musiał teraz wybrać opcję: za Kohlem przeciwko Merkel lub za Merkel przeciwko Kohlowi. Oburzone niecną praktyką kanclerza partyjne masy jak zahipnotyzowane legły u stóp puczystki. Kobieta nieporadnie machająca ręką z podium do delegatów na regionalnych konferencjach partyjnych przeprowadzonych w całym kraju objawiała się zszokowanym masom partyjnym jako mesjasz, który uzdrowi sparaliżowaną chadecję. W tej roli ucieleśniała przeciwieństwo systemu Kohla: była kobietą, z NRD, z zaledwie dziesięcioletnim stażem w polityce i CDU, do tego była mierną mówczynią, dziwnie ubraną i nieufryzowaną. Ale właśnie ta odmienność jak magnes przyciągała do niej szeregowych chadeków. Im szersze kręgi zataczała afera czarnych kont, tym silniej Merkel jaśniała blaskiem niepokalanej przeszłości. Niekiedy wydawało się, że masy uwielbiają ją już z tego jednego powodu, że nie przejęzycza się w telewizji. Na odnowicielskim kongresie w kwietniu 2000 roku partyjne doły obwołały ją przewodniczącą CDU. Jak w antycznym Rzymie legiony swojego cesarza. Rachuby, które legły u podstaw podwójnego ojcobójstwa, spełniły się. Ku przerażeniu pretorianów Kohla. Kontenans natomiast zachowała inną chadecką koteria. Ba, wplotła ona Merkel w swój przewrotny plan. Koteria miała przejść do historii pod dźwięczną nazwą Pacto Andino. Kryło się pod nią największe sprzysiężenie, jakie powstało w dziejach CDU, związane nad ośnieżonymi szczytami amerykańskich Andów.

Pakt andyjski

Amerykański odrzutowiec DC-8, lot VA 930, późnym wieczorem 25 lipca 1979 roku odrywa się od pasa startowego w wenezuelskim Caracas i bierze kurs na Santiago de Chile. Na pokładzie dwunastu Niemców, pełny zarząd Junge Union (JU), ćwierćmilionowej młodzieżówki CDU i bawarskiej CSU^[40]. Nastrój wśród chadeckiego narybku panuje minorowy. Przed dwoma dniami leciwi młodzieżowcy, wszyscy pod trzydziestkę, wylądowali w Caracas, by na koszt partyjnej fundacji Adenauera przeżyć wakacyjną przygodę na południowoamerykańskim kontynencie. Głodni wrażeń czekali na spotkanie z ośnieżonymi Andami, złotymi plażami, dziewczymi puszczami – wszystkimi możliwymi cudami natury. Tymczasem nobliwa fundacja pobyt w Caracas zamieniła w polityczny maraton spotkań w sprinterskim tempie. Mimo sprawnych nóg młodzieżowcy z RFN z wywieszonymi językami biegają ze spotkania na spotkanie. „Od dwóch dni nie mam kiedy kupić głupiej pasty do zębów” – żali się jeden. To jeszcze nic, bo większość ubolewa, że nie ma czasu na randki z miejscowymi dziewczynami na nadmorskich plażach^[41]. Z młodych mężczyzn frustracja

wylewa się wiadrami. I ogniskuje na organizatorze eskapady, szefie fundacji. „Heck musi ustąpić ze stanowiska!” – wrywa się podczas lotu do Santiago z młodych piersi^[42]. Konserwatywny do bólu Bruno Heck nie ma zrozumienia dla potrzeb dziarskich chłopców, którzy lubią się zabawić. Pamięta jeszcze cesarza Wilhelma II, a młodość, nie własna oczywiście, kojarzy mu się źle, głównie z lewacką rebelią studentów 1968 roku^[43], która jego zdaniem „zniszczyła więcej wartości niż III Rzesza”. Przepędzenie ducha rewolucji 1968 roku partyjny emeryt uważa za „ważniejsze niż przegnanie Hitlera, gdyby ten zjawił się jeszcze raz”^[44]. Heck też jest specjalistą od Ameryki Południowej i podróży po niej. Krótco po puczu Pinocheta w 1973 roku, gdy więzienia pozapychano przeciwnikami politycznymi, zjawił się w Chile, by wysondować, w jakiej sytuacji znaleźli się tamtejsi chadecy. Po powrocie do Bonn warunki bytowe na stadionie w Santiago, na którym junta więziła pięć tysięcy więźniów, generalnie ocenił jako „złe”. Ale zaraz dodał, że więźniowie mogą się swobodnie poruszać, co przy złej pogodzie jest „wstrętne”, ale przy słonecznej „z pewnością przyjemne”^[45], czym wzbudził przerażenie Niemców i podejrzenia o sympatię dla dyktatury.

Nic dziwnego, że sfrustrowany zarząd chadeckiej młodzieżówki na wysokości 10 kilometrów nad ośnieżonymi Andami poranioną duszę leczy szkocką whisky, którą wenezuelskie linie lotnicze Viasa hojną ręką rozdają pasażerom^[46]. Chivas Regal uchodzi za prestiżowy trunk i symbol bogatych snobów. Butelka zostaje opróżniona w tempie szybszym, niż zapada niejedna decyzja polityczna. Pod wpływem chwili i Chivas Regal powstaje manifest polityczny, nabazgrany na firmowej serwetce Viasa. „Sytuacja jest poważna” – zaczyna Bernd Huck, dziś szanowany adwokat w Brunshwiku, z twarzą Louisa de Funesa. Zdanie nawiązuje do sentencji kanclerza Adenauera wygłaszanej przy otwarciu posiedzeń gabinetu w momentach kryzysowych. Wywołuje to ogólne rozbawienie podchmielonych kolegów. Huck idzie za ciosem: „W trosce o delegację, składającą się z wysoko postawionych osobistości, oraz dla ochrony zdrowia zawiązujemy niniejszym pakt andyjski”. Główny postulat frustratów: „Więcej atmosfery w polityce”, nijak się ma do ostatniego zdania manifestu: „Niech żyją mieszkańcy Andów i okolicznej niziny, dla których dobra zawarto ten pakt!”. Poniżej u dołu serwetki: „Ratyfikowano 25 lipca 1979 w powietrznych przestworzach”. Ciepły jeszcze dokument podpisują wszyscy członkowie delegacji, dodając do nazwiska wymyślony tytuł: szef Junge Union „opozycjonista Wissmann”, Huck „el secretario general”. A Friedbert Pflüger obok podpisu rysuje zaciśniętą robotniczą pięść^[47]. Huck do dziś w jednym z domowych segregatorów trzyma poźółkły już dokument^[48]. Po latach dodaje: „To był żart”^[49].

Nie do końca. Główny postulat „Mehr Ambiente in der Politik” nie wziął się znikąd. Ambiente pochodzi z hiszpańskiego. I oznacza „atmosferę, klimat, aureę”, tę, jaka panuje w kulturze śródziemnomorskiej i iberyjskiej. Styl życia, który Kundera nazywał „lekkością bytu”. Ambiente ogarnia wszystko, co można zobaczyć, zasmakować, poczuć: brzmienie prowansalskich cykad, szum mistrała w Barcelonie, zachód słońca na tle katedry w Sewilli, zapach cortado czy smak burgunda. W polityce oznacza mniej siermiężności, więcej swobody, elegancji, przestrzeni, oddechu i tolerancji. Postulat wielce słuszny, bo na nadmiar ambiente w republice bońskiej chadecki narybek narzekać nie może.

W RFN od dekady rządzą socjaldemokraci. Przewodzi im kanclerz Helmut Schmidt, agnostyk z Hamburga z równie silnym analitycznym umysłem co nałogiem papierosowym^[50]. Chadecy w oparach dymu tytoniowego grzeją w Bundestagu ławy opozycyjne. Po trzykrotnie z rzędu przegranych wyborach brakuje im ożywczego powiewu, o czym tak marzą młodzieźowi

druhowie nad Andami. Ku ich przerażeniu trzy tygodnie przed zawarciem paktu duchota i siermiężność przybierają na sile, gdy chadecja namaszcza ultrakonserwatywnego Franza Josefa Straussa na kandydata na kanclerza w wyborach do Bundestagu w 1980 roku. Partyjny patriarcha i szef siostrzanej CSU z Bawarii, syn rzemieślnika, cierpi na chorobę niedowartościowania. Pogardliwie spogląda na kolegów z CDU. Szczególnie nie znosi jej nowego szefa Helmuta Kohla. Nie może zdzierżyć faktu pojawienia się młodszego pokolenia polityków. Strauss, typ samca alfa, polaryzuje środowisko swoim konserwatyzmem i antykomunizmem. Jego prawa ręka, Edmund Stoiber, w trakcie kampanii zasłynął z niechlubnego cytatu, który zabrzmiał jak obrona Hitlera: „W przeszłości niedostatecznie uwypukliliśmy, że narodowi socjaliści byli przede wszystkim socjalistami, którzy preferowali kolektywizm”^[51]. Strauss, skazany w wyborach 1980 roku na osiągnięcie absolutnej większości, nie uzyskuje jej – nikt nie chce wejść w koalicję z chadeckim jastrzębiem. Niewesołe to perspektywy dla całej chadecji, w tym dla brawurowych 30-latków z JU. Ich szanse na więcej ambiente w łonie partii spadają do zera. Oni sami w CDU-CSU stanowią margines. Ton nadaje ojcowskie pokolenie Kohla albo nawet generacja dziadków, której przewodzą tacy jak Strauss czy Heck.

Przy całej iluzoryczności politycznych wizji, które pryskają jak bańka mydlana w ciągu dwóch dekad, pakt przerodzi się w najsilniejszą lożę władzy, jaka powstała w powojennej RFN. Jej siła opiera się na dwóch filarach. Pierwszy z nich to tajność sprzymierzenia. Sir Huck, tytułowany tak przez resztę ze względu na lordowskie maniery i perfekcyjny angielski, kieruje związkiem zza kulis. W przeciwieństwie do kolegów andystów po zakończeniu przygody z JU nie przekroczył Rubikonu wielkiej polityki. Ale politycznym karierom przyjaciół kibicował, niekiedy nimi sterował. A wszyscy pieli się po szczeblach partyjnej drabiny. Gdy Merkel zostaje szefową CDU, lider paktu Roland Koch jako jedyny z andystów piastuje już urząd premiera landu (w Hesji). Premierami wkrótce zostaną Christian Wulff (w Dolnej Saksonii), Günther Oettinger (w Badenii-Wirtembergii) i Peter Müller (w kraju Saary). Matthias Wissmann i Friedbert Pflüger są ważnymi rozgrywającymi we frakcji parlamentarnej. Christoph Böhr zarządza CDU w Palatynacie, a Franz Josef Jung chadecką frakcją parlamentarną w Hesji. „W moim telefonie komórkowym mam numery do nich wszystkich. Dzięki temu posiadam większe wpływy, niż gdybym zasiadał w Bundestagu” – oświadczył kiedyś Huck^[52]. To on ustala terminy spotkań, wysyła zaproszenia. Na wszystkich figuruje dopisek: „Pacto Andino. El secretario general”. I stały punkt programu: „sprawy wewnętrzne”. Eufemizm, kryjący wymianę opinii o wszystkich wydarzeniach, jakie zachodzą na kanwie kolejnego kongresu CDU, kolejnych wyborów do Bundestagu czy poszczególnych Landtagów. Na tajnych spotkaniach ustala się listy kandydatów do czołowych gremiów partii, chadeckiego kandydata na prezydenta lub kanclerza. Na miejsce obrad sir Huck wybiera zaciszne miejsca, by przyjazd dużej liczby czarnych limuzyn nikomu nie rzucił się w oczy. Raz w roku sekretarz generalny zaprasza w podróż zagraniczną. Wojaże są okazją do wspólnych spotkań z konserwatywnym establishmentem odwiedzanego kraju. Wśród prominentnych gospodarzy figurują nazwiska szefów państw Ameryki Południowej, prezydenta Izraela Ezera Weizmana, Francji Jacques’a Chiraca, premiera Włoch Silvio Berlusconi czy Hiszpanii José Marí Aznara. Pomimo tajności paktu sir Huck prowadzi konto w oddziale Deutsche Banku w Brunszwiku, na które każdy członek przelewa roczną opłatę 100 marek, później 50 euro^[53].

Drugi filar, na którym wspiera się siła męskiego przymierza, to solidarność jego członków.

Cnota o nieprawdopodobnym znaczeniu w świecie polityki, w którym krytyka czy podstawienie nogi przez konkurenta z własnych szeregów częściej niż strzały przeciwnika politycznego okazują się śmiertelne. Andyści zobowiązują się wspierać swoje kariery, nigdy sobie nie szkodzą. Wierzą, że niedługo przejmą stery CDU. Wszystkich zżera rak władzy. Ich program jest prosty: rządzić Niemcami. Faktycznie, dzięki tym dwóm zasadom Pacto Andino w ciągu trzydziestu lat od narodzin w powietrznych przestworzach wykatapultuje ostatecznie na szczyty władzy ze swojego grona: jednego prezydenta kraju, sześciu premierów i sześciu szefów CDU w poszczególnych landach, kilku zastępców federalnego przewodniczącego partii oraz paru ministrów. Ale tajną lożę od samego początku scala jeszcze jeden, najważniejszy cel: wyłonienie ze swojego grona następcy Helmuta Kohla, który przejmie po nim CDU i fotel kanclerza, na którym Kohl zasiadł w 1982 roku.

Młodzi chadecy, wszyscy o wielkich ambicjach i nawzajem ubezpieczający swoje kariery w RFN, nie przewidzieli jednak największego po II wojnie światowej trzęsienia ziemi w Niemczech: upadku muru w 1989 roku i zjednoczenia kraju rok później. I dali się zaskoczyć „historycznemu wypadkowi przy pracy”, jak nazwali pojawienie się na szczytach CDU Angeli Merkel^[54]. Kiedy dwadzieścia jeden lat po utworzeniu paktu 10 kwietnia 2000 roku była pionierka z NRD zostaje wybrana na przewodniczącą ich partii, członkowie „andyjskiej loży” traktują to jako rozwiązanie tymczasowe. Zagryzają wargi, gdyż umoczeni po uszy w aferze czarnych kont dotychczasowi liderzy partii z patriarchą Kohlem i delfinem Schäublelem rzucili na całą elitę CDU tak wielki cień, że synowskiemu pokoleniu, szykującemu się do objęcia schedy po wielkim kanclerzu, jedyną deską ratunku wydaje się wydzierzawienie stołka szefa partii komuś spoza ich grona. Wybór pada na Merkel. Pod jej szyldem reklamowym, nieskalanym korupcyjnym skandalem, CDU ma poprawić reputację i odzyskać zaufanie. Merkel wydaje się gwarantować andystom, iż na okres czasowej umowy o pracę pozostanie polityczną figurantką, marionetką w ich rękach. Aż smród afery się ulotni, a przewodnicząca wyciągnie CDU z cuchnącego szamba. Wtedy się ją usunie, zastępując kimś ze swojego grona.

Merkel nie ma najmniejszego pojęcia o istnieniu andyjskiej loży. Swojej nominacji nie traktuje taktycznie, a stanowiska szefa CDU jako umowy czasowej. Jej starcie z tajnym przysiężeniem jest więc nieuchronne. Od samego początku przewaga paktu nad Merkel jest miażdżąca. Andyści, w kwiecie wieku, na wysokich stanowiskach, złączeni gęstą siecią kontaktów z całą strukturą partyjną, CDU znają jak własną kieszeń. Przynależność do niej wyszali z mlekiem matki. Z elegancją poruszają się na politycznym parkiecie. Ich koneksje sięgają konserwatywnego establishmentu w całej Europie. I na głowę biją przewodniczącą kulturą polityczną. Wszak są specjalistami od ambiente. Noszą nienaganne garnitury, włoskie buty, czują smak cortado, po zapachu odróżniają pinot noir od chablis, wiedzą, jak przegryzać tapas i równocześnie prowadzić konwersację. Brylują na festiwalach filmowych i targach międzynarodowych, ściskają dłonie artystów, biznesmenów, a na Boże Narodzenie wymieniają się życzeniami z połową kolegium kardynalskiego. Merkel przy nich to polityczny nieokrzesaniec, co gruntownie wyjaśnił sir Huck: „Ambiente nie można studiować z książki, trzeba je wchłonąć za młodu. A w NRD nie było go nawet na lekarstwo”^[55]. Tę samą myśl współlider paktu Christian Wulff ubrał w inne słowa: „Na miejscu Merkel nawet nie przyszłoby mi do głowy, by nadrobić to wszystko, co inni już mają w małym palcu; poczucie przynależności do chadeckiej wspólnoty i zdolność prowadzenia politycznych debat”^[56]. Chadecy dżentelmeni patrzą z góry na kobietę rodem z NRD, która nie czuje ich partii. Ten

stosunek pierwsza emancypantka RFN Alice Schwarzer spuentuje trochę inaczej: „Nawet w stanie silnego odurzenia nie są oni gotowi na to, by zaprosić kogoś bez penisa do swoich zawodów sikania na odległość”^[57].

Pierwsza konfrontacja ze sprzysiężeniem – porażka, która jest zwycięstwem

Stosownie do układu sił łoża szybko wyznacza Merkel miejsce w szeregu. Na początek grudnia 2001 roku Huck zwołuje nadzwyczajne posiedzenie. Na agendzie tylko jeden punkt: nominacja chadeckiego kandydata na kanclerza w wyborach do Bundestagu we wrześniu 2002 roku. Żelazna reguła pierwszeństwo przyznaje szefowi ogólnoniemieckiej CDU. Ale skoro koledzy z łoży zamierzają usunąć Merkel, nie mogą za nic w świecie dopuścić do jej nominacji. W grę wchodzi albo jeden z nich, albo szef CSU, premier Bawarii Edmund Stoiber. Łoża uznaje, iż na jej członkach nadal ciąży odium skandalu korupcyjnego Kohla, i wybiera Stoibera. Choć niejednomyślnie. Gorsza bowiem od braku wspólnej przeszłości z Merkel okazuje się dla bractwa wspólna przeszłość ze Stoiberem.

Jeszcze w okresie, gdy w latach 80. kruszyli oni kopie o lepsze ambiente w polityce, nie było bardziej znienawidzonego przez nich polityka niż Stoiber. Ochrzczony przez nich „gilotyńą o blond włosach”, ówczesny ultrakonserwatywny sekretarz generalny CSU z jasną czupryną nie mógł wybaczyć im sprzeciwu wobec kandydatury Straussa na chadeckiego kandydata na kanclerza w 1979 roku. Stoiber tępił heretycki narybek z CDU z misjonarskim zapałem, posługując się językiem anatemy. Ciskał w niego gromy z zajadłością większą niż w politycznego przeciwnika, socjaldemokratycznego kanclerza Schmidta. Odmowę poparcia młodzieżowców z JU dla kandydatury Straussa piętnował jako „polityczną prostytutkę”^[58]. A młodzi andyści odpowiadali pięknym za nadobne. Ten osobliwy rodzaj wzajemnej sympatii przetrwał przez dwie dekady, w czasie których andyści wdrapywali się na coraz wyższe piętra władzy w CDU. Postawieni w grudniu 2001 roku przed wyborem: Merkel albo Stoiber, wybrali mniejsze zło. Największy atut Bawarczyka polegał na tym, że nie był on Angelą Merkel. Bo jeśli ona wygrałaby wybory i usadowiła się w fotelu kanclerskim, trudno byłoby ją stamtąd usunąć. Starszego wiekiem Stoibera można natomiast przeczekać i po jednej kadencji wymienić na kogoś ze swojego grona.

„Lęk przede mną musiał być wielki”^[59] – z dużą dozą złośliwości Merkel dziś ocenia sytuację z przełomu lat 2001–2002. W czasie tamtej, wyjątkowo ostrej, zimy przewodnicząca CDU, pojęcia nie mając o istnieniu łoży, czuje jednak, że chmury zbierają się nad jej głową. Gdy jako liderka CDU w najbardziej oczywisty sposób postanawia stanąć do rywalizacji z urzędującym kanclerzem Schröderem, andyści jeden po drugim namawiają ją, by poddała się swojemu losowi, któremu na imię Stoiber. Ona jednak nic sobie nie robi z ich perswazji. Sytuacja staje się napięta. Łoża obawia się popisu solowego Merkel, która posuwa się już tak daleko, że publicznie informuje o swojej kandydaturze^[60]. W odpowiedzi bractwo reaguje ostro. Podrzuca prasie informacje o tym, że prezydium CDU wcale nie zmusza szefowej partii do rezygnacji z ubiegania się o fotel kanclerza. To mało subtelny, bo puszczony na oczach całej opinii publicznej, sygnał dla Merkel, który trzeba czytać: oddaj wolne pole! Ona zbywa i tę prowokację. Z niewielką grupką oddanych współpracowników przygotowuje kampanię wyborczą pod hasłem: „Kobieta kanclerzem!”.

Sytuacja staje się poważna. Zaskoczona hardością Merkel łoża domaga się od Rolanda

Kocha natychmiastowej interwencji. Merkel trzeba jasno postawić sprawę. 9 stycznia 2002 roku Koch dzwoni do niej podczas urlopu narciarskiego w tyrolskich Alpach. Obok niego stoi na stoku kolega z łoży Franz Josef Jung. Ton Kocha jest jednoznaczny. Język jeszcze bardziej. „Twoja kandydatura nie ma poparcia w CDU, ty sama szans na wybór” – wali jak bokser między oczy. Przewodnicząca kontruje tym samym językiem^[61]. Ale już wie, że przegrała. Upokorzona siedzi w biurze w berlińskiej centrali CDU, zagadując każdego spotkanego tam posła: „Ty pewnie także jesteś za Stoiberem”. Większość z posłów, lojalna wobec wielkich rozgrywających z paktu, wije się w wymówkach. Niekiedy pełnych galanterii. „Angela, Stoiber jest dla nas nisko oprocentowaną książeczką czekową, ty prawdziwą akcją giełdową” – brzmi jedna z bardziej eleganckich odpowiedzi^[62]. Jak zupełna jest jej porażka, Merkel doświadcza na noworocznym bankiecie, jaki tego samego dnia wydaje prezydent Johannes Rau. W pałacu Bellevue dużo small talku, ambiente i wieczorowych kreacji. Ale przewodnicząca CDU tonie w samotności. Rozgląda się, szukając chadeckich twarzy. Wreszcie w tłumie gości znajduje Friedricha Merza, barona CDU, szefa frakcji parlamentarnej, który, o dziwo, uśmiechnięty maszeruje w jej kierunku. Twarz Merkel promienieje, ona sama instynktownie nadstawia policzek do pocałunku. Ale Merz zatrzymuje się pół kroku przed nią. I zatapia się w serdecznej rozmowie z jej sąsiadem^[63]. Tak traktuje się przegranych. Skoro jednak Merkel pojęcia nie ma o istnieniu paktu, nie wie też, że Merz, choć nominalnie nie należy do tajnego sprzysiężenia, sympatyzuje z nim duszą i ciałem.

Merkel czuje, że traci grunt pod nogami. Wieczorem, dwa dni po prezydenckim bankiecie, w magdeburskim hotelu Herrenkrug mają się zebrać na wspólnym posiedzeniu prezydium CDU i CSU, by ogłosić Stoibera chadeckim kandydatem na kanclerza. To więcej niż porażka szefowej CDU, to policzek, jaki wymierza jej pakt. Merkel decyduje się zagrać *va banque*. Wieczorem 10 stycznia wynajmuje prywatnie samolot i leci do Monachium. Na drugi dzień o 8 rano w największej tajemnicy zjawia się w jaskini lwa, prywatnej rezydencji Stoibera w podalpejskim Wolfratshausen. Śniadanie z gospodarzem przechodzi do annałów^[64]. Smarując wiejskim masłem i marmoladą pieczone bułeczki z ziarnami słonecznika, przekładając na talerzyk jajka na twardo, Merkel rezygnuje ze swojej kandydatury. Składa ją u stóp Bawarczyka. To jej *Canossa*. Pakt spełnia swoją powinność: utracą jej kandydaturę. Ale to pyrrusowe zwycięstwo. Rezygnacja Merkel zawiera w sobie jadowite żądło. Delektując się w Wolfratshausen konfiturami domowej roboty à la Stoiber i rezygnując z nominacji, Merkel zgrabnie kopiuje analogiczne posunięcie patriarchy Kohla, gdy ten jako szef CDU przed wyborami w 1980 roku zorientował się, że nie wygra wewnętrznej rywalizacji z szefem CSU Franzem Josefem Straussem. Kohl odpuścił rozgrywkę z Bawarczykiem, spekulując, że w wyborach do Bundestagu Strauss ulegnie kanclerzowi Schmidtowi. Ryzyko się opłaciło. Strauss przegrał z socjaldemokratą. Kohl pierwotną porażkę przekuł w zwycięstwo, gdyż w kolejnych wyborach 1982 roku już raz pokonany Strauss musiał mu ustąpić pola. A jako kandydat chadecji Kohl wygrał z urzędującym kanclerzem Schmidtem batalię o fotel szefa rządu.

Teraz Merkel stawia na powtórkę z 1980 roku. Kalkuluje, że niemiecki wyborca, także ten konserwatywny, nie zagłosuje na ultrakonserwatystę z CSU. Bawarczyk kanclerzem? Wykluczone! Jeśli Stoiber przegra ze Schröderem, ona ma szansę zostać chadeckim kandydatem na kanclerza w kolejnych wyborach. Jeśli Stoiber przegra... Upojony kapitulacją konkurentki Stoiber widzi siebie zwycięzcą wyborów, poskramiaczem Schrödera i przyszłym

kanclerzem. Pierwszym z Bawarii. Jego szanse potwierdzają sondaże. Ale jemu i andystom zwycięstwo nad Merkel staje kością w gardle, gdy w wyborach 2002 roku przegrywa ze Schröderem. „Byłoby korzystniej wystawić Merkel” – orzeka bezceremonialnie Merz. „Załatwiłoby się ją na zawsze”^[65]. W istocie, po porażce ze Schröderem Merkel musiałaby oddać fotel szefa partii. Tymczasem, przepuszczając Stoibera przodem, „zaciągnęła hamulec bezpieczeństwa”^[66]. Trzeźwym spojrzeniem fizyka oceniła brak szans w konfrontacji z wewnętrznym rywalem. A po odstrzale Bawarczyka może być pewna, że w kolejnych wyborach to nie przegrany Stoiber, tylko właśnie ona ruszy jako koń pociągowy chadecji i wyzwie na pojedynek kanclerza. Tak to, kopiując zagrywkę Kohla z 1980 roku, wymerklowała w 2002 roku Stoibera. „Od Kohla nauczyła się więcej niż przez cały okres edukacji w NRD” – twierdzi Horst Teltschik, bliski doradca kanclerza zjednoczenia. „Wszystkimi porami wchłonęła jego zasady: »Kto chce zostać chadeckim kanclerzem, musi całą CDU trzymać za pysk« i »Jeśli tylko popuszczę cugli, jest już po mnie«”^[67]. Wzorem Kohla Merkel władzę uczyniła obiektem swojego pożądania. Ku wielkiemu zaskoczeniu andystów okazała się wyposażona w gen władzy i zdolność pilnego uczenia się od najlepszych zonglerów politycznego makiawelizmu.

Ona sama tak wyjaśniła anatomię zagrywki ze Stoiberem: „Jestem graczem i sama na sobie przeprowadziłam eksperyment: jak daleko mogę się posunąć. Wyobraźmy sobie lukrecjowy cukierek w formie spirali. To nieprawdopodobne, jak bardzo daje się on rozciągnąć. Im bardziej go rozciągamy, tym staje się pewniejsza. Nie można tylko przeoczyć momentu, w którym spirala się rozerwie”^[68]. Kohl nie powstydziliby się takiej uczennicy. Tym bardziej że rozgrywając batalię na śniadaniu w Wolfratshausen, Merkel uzyskuje od Stoibera jeszcze jeden bonus: jego poparcie w wydarciu Friedrichowi Merzowi szefostwa chadeckiej frakcji w Bundestagu z 248 posłami. Merkel chce skumulować władzę w swoich rękach, chce być szefową CDU i frakcji. Zadanie o tyle trudne, że Merz ani myśli ustępować. A o tyle ułatwione, że kandydata na przewodniczącego reprezentacji CDU-CSU w Bundestagu po każdorazowych wyborach wysuwają szefowie obydwu siostrzanych partii. A więc Stoiber i ona. Stoiber w pocie czoła forsuje wobec loży jej kandydaturę. „W rewanżu za jej rezygnację podczas śniadania w Wolfratshausen” – syczy mocno rozżalony Merz^[69]. W istocie jednak Bawarczyk hołduje ułudzie, że z pomocą słabej Merkel, a nie silnego Merza jako szefa frakcji uda mu się do następnych wyborów za cztery lata pozostać kandydatem chadecji na kanclerza. Merkel pozwala Stoiberowi cieszyć się tą iluzją. Rozgoryczony Merz w poczuciu zdrady i bezsilności – Merkel wcześniej zapewniła go o swojej lojalności – rzuca ręcznik na ring. W krótkim liście, zaczynającym się od słów: „Wielce Szanowna Pani Przewodnicząca, Droga Angelo”, składa rezygnację ze wszystkich piastowanych przez siebie funkcji^[70]. Zwalnia fotel szefa chadeckiej frakcji. Merkel przejmuje go, eliminując z gry wielkiego hetmana CDU. Zastępuje go dwoma następcami, wprowadzając o randze szachowych gońców, ale oddanymi sobie. Obydwaj wchodzi też do zarządu frakcji, arytmetycznie wzmacniając w nim jej frakcję. Merkel usunęła Merza tak, jak się usuwa drzewa pod budowę autostrady.

Wymerklowany pakt

Skumulowana władza przewodniczącej CDU i szefowej frakcji daje jej duże możliwości w grze z oponentami. Szczególnie przy personalnej obsadzie zarządu, prezydium partii czy

frakcji w Bundestagu. Nic dziwnego, że niektórzy z andystów, niecierpliwi i nienasyчени zaszczytów, zaczynają mizdrzyć się do niej, licząc na takie czy inne stanowisko. Jako pierwszy zjawia się u niej szef CDU w Dolnej Saksonii Christian Wulff. Zaprasza ją do nasączonej niezbędnym ambiente włoskiej knajpki. Przy paście z cukinią i bakłazanem próbuje zdobyć jej zaufanie, szeroko rozwodząc się nad paktem andyjskim. Wywołuje tym wielkie oczy u Merkel i zmarszczenie brwi kolegów. „To był jeden z moich największych błędów” – wyzna później^[71]. W ten sposób Merkel z ust samego przeciwnika dowiaduje się o istnieniu męskiego sprzysiężenia. Wkrótce zjawia się u niej drugi gawędziarz, równie skory do tego, by wkraść się w jej łaski. To Wissmann, który, jak złorzeczą wściekli andyści, „poleca swoją osobkę na stanowisko wiceprzewodniczącego partii lub frakcji parlamentarnej”^[72]. By przebić ofertę Wulffa i zademonstrować przed Merkel swoją władzę w pakcie, Wissmann decyduje się na niebywały krok: aranżuje spotkanie całej łoży z przewodniczącą^[73]. Wiadomość elektryzuje andystów, którzy nerwowo wydzwanają do siebie. Dekonspiracja pozbawia ich największego atutu. Ale skoro Merkel już od Wulffa dowiedziała się o istnieniu paktu, to odmowa odbycia z nią spotkania nie przywróci im tych wszystkich asów w rękawie, jakie mieli, gdy pozostawali w konspiracji.

Po raz pierwszy polityczni kontrahenci stają twarzą w twarz. Wieczorem 20 października 2002 roku limuzyna przewodniczącej podjeżdża pod szklany gmach siedziby SAT1 w Berlinie. Gdy Merkel przekracza próg kameralnej sali konferencyjnej na czwartym piętrze, członkowie andyjskiej łoży, wszyscy w dwurzędowych marynarkach, siedzą już zebrani wokół stołu. Wszyscy z wyniosłymi minami. Pośrodku nich sir Huck, tradycyjnie przewodniczący każdemu posiedzeniu. To on wskazuje gościowi miejsce obok siebie. Napięcie wyczuwa się po obydwu stronach. „Nie sądzę, by wieczór uważała za udany, minę miała nietęgą” – powie później Huck^[74]. Ale i tak Merkel zachowuje zimną krew, gdy w tym wrogim gremium dostrzega same znajome twarze współpracowników. Swoją niepewność Merkel maskuje sarkastycznym, z góry przygotowanym komentarzem: „Dobrze, że w CDU jest grupa, która niczego od razu nie wypaple”^[75]. Grupa komentarz zbywa wyniosłym milczeniem. I dyktuje reguły spotkania. Merkel sądzi, że została zaproszona, by omówić obsadę stanowiska jej zastępcy w CDU. Ale łoża ignoruje ten wątek. Konwersację sprowadza do banałów. Gość ma prawo delektować się wykwinnym menu w nobliwym towarzystwie, w odpowiednim ambiente. I tyle. Merkel sący więc białe wino, do którego serwuje się wyborne stek i sałatki. Pewnie najgorsze w jej życiu. Po skończonej kolacji Huck wymownym gestem ręki daje jej do zrozumienia, że audyencja dobiegła końca. Ledwo Merkel zamyka za sobą drzwi, łoża ustala nazwisko wiceprzewodniczącego, wywodzącego się z jej grona szefa CDU w Palatynacie Christopha Böhra. Na drugi dzień andyści upokarzają ją jeszcze bardziej, gdy dwóch uczestników wieczornego spotkania, niezależnie od siebie, zjawia się kolejno w jej gabinecie, proponując kandydaturę Böhra. Merkel musi ustąpić. Ale podejmuje rękawicę. Jasno precyzuje swój cel: rozbić pakt i „zostać niekwestionowaną liderką CDU”^[76]. Czyli kanclerzem. W konfrontacji ze sprzysiężeniem nie jest bez szans, skoro popełnia ono błędy. Najistotniejszy z nich to utrata atutu tajności. Z chwilą gdy istnienie paktu wydostaje się na światło dzienne i dociera do Merkel, której słabość do tej pory polegała na mylnym przeświadczeniu o posiadaniu wśród andystów sojuszników, przewodnicząca, świadoma już istniejącego zagrożenia, uniknie powtórnej pomyłki. Nie weźmie wroga za sojusznika.

Walkę rozpocznie od stworzenia własnego obozu. Brak w nim wpływowych chadeków^[77],

gdyż ci wiernie stoją za paktem. Krąg zaufanych jej osób ogranicza się na początku do dwóch kobiet: szefowej jej biura Beate Baumann i rzeczniczki prasowej Evy Christiansen oraz Willy'ego Hausmanna, stuprocentowego mężczyzny, ale zupełnie podporządkowanego „girls camp”, jak ochrzczono tę trójkę. Hausmann, zainstalowany przez Merkel niczym zwiadowca w partyjnej centrali Konrad-Adenauer-Haus, donosi jej o wszystkich drgnięciach, ruchach czy gierkach na partyjnych szczytach i na szczeblu landów. O krążących, a wypowiedzianych szeptem pogłoskach czy półprawdach. Ze swoim sztabem Merkel omawia najważniejsze decyzje. Wierną trójkę cechuje absolutna lojalność wobec szefowej^[78]. Baumann pozostaje zupełnie w jej cieniu. Ubiera się tak, by w ogóle pozostać niezauważona. Nosi tylko szare kostiumy i buty na płaskim obcasie, obywa się bez makijażu i szminki. Podobnie jak Eva Christiansen, która pracuje dyskretnie, ale efektywnie. Nie wręcza Merkel na oczach wszystkich kartek z tekstem przemówień, co jest specjalnością rzecznika Rolanda Kocha, i nie sufluje przewodniczącej, gdy ta przed kamerami udziela wywiadu, w czym celuje z kolei rzecznik prasowy Stoibera.

„Girls camp” informację o egzystencji paktu podrzuca „Spiegłowi”. Wydaje go imperium prasowe Axel Springer, którym zarządza wdowa po wielkim magnacie prasowym Friede Springer. Opiekunka do dzieci Axela Springera została najpierw jego kochanką, potem partnerką, wreszcie piątą żoną, by po śmierci męża odziedziczyć mocno podupadły koncern, wyprowadzić go na prostą, a w licznych rozgrywkach wymanewrować rekinów z branży^[79]. Opromieniona sukcesem i poważana w Niemczech bizneswoman, dopatrując się w losie Merkel analogii do własnej biografii, postanawia wesprzeć ją w batalii z samcami alfa. Do spółki z Alice Schwarzer, naczelną emancypantką Niemiec, zakłada grupę wsparcia przewodniczącej CDU, do której dołączy jeszcze kilka wpływowych kobiet ze szczytów niemieckiego biznesu i mediów.

Idąc za sugestią Friede Springer, „Der Spiegel” odczeka nieco, by w szczyście najbliższego sezonu ogórkowego wypuścić medialną bombę i na kilkunastu stronach szczegółowo zreferować męskie przymierze^[80]. O jego istnieniu dowiaduje się cały kraj. Nimb tajemniczości paktu definitywnie pryska. Wraz z nim jego endogeniczna siła. Publikacja „Spiegła” zaskakuje andystów, którzy dopiero teraz uświadamiają sobie, jak kolosalnym błędem było spotkanie w siedzibie SAT1. Tym bardziej że opinia publiczna w oparciu o publikację „Spiegła” szybko rozdaje role: po jednej stronie sfera złych wilków z przywódcą Kochem, po drugiej niewinna, samotna owieczka.

Andyści tracą nerwy. Kilku z nich drży o swoje kariery i gotowych jest oprzeć je na Merkel. Upada druga reguła paktu: solidarność członków. Gdy Wissmann i Pflüger ogłaszają, że znowu chcą się spotkać z Merkel, Merz ostro oponuje. „Jeśli do tego dojdzie, zrywam z wami” – grozi^[81]. Intensywność flirtu Wissmanna i Pflügera z przewodniczącą do dziś spowija woal tajemnicy. Pewnej poszlaki dostarcza komentarz Hucka, wypowiedziany po latach ze szczerym oburzeniem: „Obydwaj grali na dwa fronty. Usiedli mateczce na kolanach i wszystko jej wypaprali”^[82]. Tak mówi się o zdrajcach.

Niesnaski rozdierają pakt. Reputacja Wissmanna i Pflügera w oczach łoży jest zszargana. Szczególnie Pflüger, współzałożyciel sprzysiężenia i ekspert CDU do spraw polityki zagranicznej, stale adoruje Merkel. W 2003 roku w czasie elektryzującej Niemcy debaty irackiej słowo w słowo powtarza to, co mówi przewodnicząca. Za kulisami jest odwrotnie. To on udziela jej korepetycji z polityki zagranicznej. Ma to o tyle znaczenie, że po kategorycznym

odrzuconiu przez rząd kanclerza Schrödera udziału Niemiec w militarnej interwencji USA w Iraku chadecy mówią podzielonym głosem. Pflüger reprezentuje stanowisko proamerykańskie, Schäuble, po aferze czarnych kont zastępca Merkel w CDU, bardziej powściągliwe. Gdy Merkel jako przywódczyni opozycji w 2003 roku składa wizytę w USA, zabiera ze sobą Pflügera. Schäuble traktuje to jako afront^[83]. Ale właśnie o to chodzi przewodniczącej. Wbić klin między andystów, neutralizując każdego z nich z osobna. Tym bardziej że Merkel gołym okiem widzi, jak Pflüger ostrzy zęby na stołek wiceszefa frakcji.

Prezydencki gambit

Kolejną okazję do rozgrywki z paktem stwarza przewodniczącej elekcja prezydenta Niemiec w maju 2004 roku. W tej partii Merkel sprzyja tylko jedna okoliczność: CDU z liberałami z FDP mają większość w Zgromadzeniu Federalnym, by na jego forum przeforsować własnego kandydata na najwyższy urząd w państwie. Dla łoża w grę wchodzi tylko jeden: Wolfgang Schäuble.

Odkrył go i politycznie usynowił patriarcha Kohl dekadę wcześniej, nim sam w 1982 roku został kanclerzem Niemiec. Masywny, ważący 150 kilogramów, zapatrzony w siebie i silnie emocjonalny, ale nieufny i prowincjonalny Kohl dopatrywał się perfekcyjnego uzupełnienia swojej osobowości w szczupłym Badeńczyku. Cenił w nim cnoty, których sam nie posiadał: analityczny umysł, kreatywność i lojalność. Gdy pryncypał już jako kanclerz po raz pierwszy wplątał się w aferę korupcyjną i stanął przed sądem partyjnym, jawnie go okłamując, Schäuble własną piersią osłaniał mentora: „To nie Kohl złożył fałszywe zeznania, to komisja zadawała fałszywe pytania” – kontrował^[84]. Obaj uzależnili się od siebie. Kanclerz do bólu wykorzystywał dynamicznego i przewyższającego go intelektualnie prawnika. Ten z kolei wchłaniał unoszące się nad Kohlem narkotyczne opary władzy. „Nigdy się nie wyemancypuje i to wcale nie z powodu czarnych kont” – mawiał cynicznie kanclerz, awansując pupila na ministra spraw wewnętrznych. W nowej randze ze starym zapalem Schäuble zaharowywał się na śmierć. Skoro świt przychodził do Urzędu Kanclerskiego, jeszcze przed sprzątaczkami, wychodził ostatni. Rok przed upadkiem muru udaremnił pucz w łonie chadecji wymierzony w szefa rządu. Jeśli ten został wkrótce kanclerzem zjednoczenia Niemiec, to Schäuble był jego architektem. To on pochylał się nad najmniejszym nawet prawnym detalem wiekopomnego aktu. W poczuciu niebywalej wdzięczności w dniu zjednoczenia wschodnio- i zachodniemieckiej CDU delegaci zgotowali mu na kongresie partii owację na stojąco. Całe Niemcy były gotowe wystawić mu łuk triumfalny. Dwa tygodnie później Schäuble walczył o życie we freiburskiej klinice, postrzelony przez szaleńca na wiecu wyborczym. Wtedy Kohl po raz pierwszy zdradził swój prawdziwy stosunek do ministra, zbywając jego brata, który jako pierwszy zatelefonował do niego z hiobową wieścią. Schäuble przeżył, sparaliżowany od pasa w dół, skazany na wózek inwalidzki. „Dlaczego nie pozwoliliście mi umrzeć?” – pytał zrozpaczony w szpitalu. Podczas mocno spóźnionych odwiedzin przy szpitalnym łóżku Kohl podarował mu biografię prezydenta USA Roosevelta, również przykutego do wózka, podkreślając na czerwono najważniejsze, jego zdaniem, fragmenty, głównie te mówiące o korzyściach politycznych płynących z kalectwa. Ot, choćby w postaci zwiększonej empatii wyborców czy świetnej wymówki do tego, by nie pojawiać się tam, gdzie może się to wydać niewskazane. Przede wszystkim jednak Kohl w klinice namaścił „przyjaciela”, jak go teraz

nazywał, na swojego następcę. Obietnicy nigdy nie spełnił, przyklejony do obydwu foteli: kanclerza i szefa partii. Przed wyborami do Bundestagu w 1998 roku Schäuble, widząc, jak notowania mentora lecą na łeb na szyję, zaklinał go, by przekazał mu pałeczkę. Ten jednak, uparty i nieufny, do dymisji podał się po wyborczej klęsce. Schedę po pryncypale przejął więc Schäuble już nie jako kanclerz, lecz przywódca opozycji. Obopólna przyjaźń zamieniła się w nienawiść. Kiedy rok później Niemcami wstrząsnęła afera czarnych kont, zatopiony w niej po uszy Kohl, po sławetnej publikacji Merkel, pociągnął za sobą w otchłań wiernego mu przez lata pretorianina. „Gardzę Kohlem. I mówię to w imieniu całej rodziny” – oświadczył brat Wolfganga^[85]. W atmosferze skandalu Schäuble ustąpił z funkcji szefa partii, robiąc miejsce dla Merkel. Choć oficjalnie nie należał do paktu andyjskiego, pozostawał z nim jednak w bliskich stosunkach. W oczach Merkel to już wystarczyło, by skreślić go ze swojej listy jako chadeckiego kandydata na prezydenta.

Jej pozycja wyjściowa w szachowych rozgrywkach prezydenckich 2004 roku jest jednak niekorzystna. Za kandydaturą Freiburczyka murem stoi nie tylko loża, ale i Stoiber, prowadzący za sobą wszystkie szable CSU w Zgromadzeniu Federalnym. Jediną szansę dla Merkel otwiera jej ewentualny gambit z FDP. Bo tylko z liberałami Westerwellego CDU-CSU posiadają większość w Zgromadzeniu. Ale szef FDP Guido Westerwelle nie chce być usłużnym skoczkiem szachowym dostarczającym na swoim grzbiecie potrzebnych chadecji głosów. Jego siła nie wystarcza wprawdzie do wystawienia własnego kandydata, ale do zablokowania Schäublego, którego FDP uważa za skalanego aferą czarnych kont i niegodnego urzędu prezydenta.

Merkel najpierw wybiera swojego kandydata, któremu może zaufać, a który za dwa lata lojalnie wsparłby jej kandydaturę na kanclerza. Warunki te spełnia urodzony podczas zawieruchy wojennej w Polsce Horst Köhler, dyplomata, finansista i szef Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Nie jest uwikłany w bieżące układy na niemieckiej scenie politycznej, więc nie ma wrogów. Przewodnicząca nie ujawnia go na razie, trzyma na sam koniec rozgrywki. Pozornie faworyzuje Schäublego, wiedząc, że jego kandydaturę zawetuje FDP.

Nocą 4 marca zbiera się w Berlinie kierownictwo CDU, by ustalić strategię działania. Pod presją „nie” FDP dla Schäublego, na co gra Merkel, załamuje się w toku bizantyjskich rokowań jedność loży. Jej większość, na czele z Kochem, obstaje za Freiburczykiem. Ale dwóch andystów, w tym Christian Wulff, wspiera stanowisko Merkel: dalsze negocjacje z FDP przy rozszerzonym tableau kandydatów. Wulff gra na własny rachunek. Liczy na to, że za dwa lata wdzięczna FDP poprze jego kandydaturę na kanclerza. Rezultat nocnego maratonu, który odbywa się w atmosferze wielkiego napięcia – Schäuble nie wytrzymuje nerwowo i wychodzi przed końcem rozmów – objawia się sporządzeniem rozszerzonej listy z nazwiskami trójki kandydatów. Nie figuruje już na niej Schäuble, lecz Horst Köhler, były minister Kohla o poglądach proekologicznych oraz kobieta. To sukces Merkel, która teraz blefuje, że faworyzuje kobietę. Stoiber, „wielki elektor”, łapie ten haczyk i zgodnie z rachubą Merkel odrzuca ekologicznego chadeka i niezamężną, bezdzietną kobietę. „Prezydent musi świecić przykładem” – poucza mentorsko. Nazwisko Köhlera elektryzuje go. Liberał, szef MFW. Gardłuje więc za „czempionem, choć z innej, bankowej, branży”^[86]. Wybór Stoibera przesądza sprawę. FDP drugiej kandydatury chadeków, w dodatku bankowca i liberała, odrzucić już nie może. Merkel osiąga cel, rękami FDP i CSU morduje kandydaturę Schäublego. Zamiast niego instaluje swojego sojusznika na urządzie głowy państwa. Demonstruje swoją siłę przed

ostateczną rozgrywką z paktem.

Przełom w rozgrywce – Merkel chadecką kandydatką i kanclerzem

Ostateczna batalia między Merkel a paktem rozgrywa się wokół nominacji na chadeckiego kandydata na kanclerza w przededniu wyborów w 2005 roku. Loża po raz drugi szykuje się do utracenia jej kandydatury. Sekretarz generalny paktu Huck już zaprosił andystów na tajne spotkanie, by ustalić nazwisko chadeckiego nominata. Tym razem ze swojego grona. To wcale nie taka prosta sprawa, skoro aspiracje przejawiają obydwaj liderzy, Roland Koch i Christian Wulff. Koch posiada większe wpływy w prezydium i zarządzie CDU, Wulff ma poparcie partyjnych dołów. Premier Dolnej Saksonii uwodzi dodatkowo aparycją. Wulff to archetyp „idealnego kandydata na zięcia”: 190 centymetrów wzrostu, aksamitny głos – atuty, które w mediokracji przekładają się na słupki poparcia. W marcu 2005 roku 34 procent Niemców właśnie w nim widzi chadeckiego kandydata na kanclerza, w Merkel tylko 22 procent^[87]. Ale Koch i Wulff blokują się wzajemnie. „Jeśli nie zmienicie postępowania, żaden z was nie zostanie kanclerzem” – przestrzega Merz^[88]. Ale loża wierzy w swoją siłę. Jej członkowie w jednej trzeciej zasilają prezydium CDU, przewodzą oddziałom w landach. Merkel nawet z poparciem prezydenta Köhlera i swoim „girls camp” jest przegrana. „Stałyśmy z plecami przypartymi do ściany i nożem przyłożonym do gardła” – wspominają pretorianki Merkel^[89]. Odsiecz przyszła z nieoczekiwanej strony. Trochę przez przypadek, niezbędny element w karierze polityka.

22 maja 2005 roku SPD Schrödera nieoczekiwanie przegrywa wybory w Nadrenii Północnej-Westfalii. Po klęsce w tym landzie kanclerz ratuje się ucieczką do przodu. Zapowiada na jesień przyspieszone wybory. Merkel w lot chwytą szansę. Wykorzystuje okoliczność, że Stoiber po przegranej w 2002 roku po raz drugi z rzędu nie może otrzymać chadeckiej nominacji, i dyskontuje bratobójczą rywalizację liderów paktu andyjskiego, gdyż nieodległy termin wyborów wyklucza między nimi dalsze przeciąganie liny. Koch sam strzela sobie w stopę. By zwiększyć szanse w rywalizacji z Merkel i Wulffem, dumny jak paw premier Hesji zaczął stylizować się na polityka ponadpartyjnego, operującego na szczeblu federalnym i międzynarodowym. Jako kanclerz in spe testował możliwości współpracy chadecji na forum drugiej izby parlamentu z socjaldemokratyczną konkurencją, składał wizyty w najważniejszych stolicach świata. Sprzyjało mu szczęście. W Waszyngtonie przyjął go wiceprezydent, co i tak dla premiera niemieckiego landu było nie lada zaszczytem. Podczas rozmowy z wiceprezydentem drzwi do gabinetu się otworzyły. Stał w nich sam prezydent Bush. Z krzesłem w ręku i fotografem u boku. Usiadł i przyłączył się do rozmowy. Po powrocie do Niemiec Koch celebrował w mediach i na forum CDU okazaną mu w Waszyngtonie rewerencję. Tym bardziej że Angela Merkel podczas swojej wizyty w Waszyngtonie zgodnie z protokołem dyplomatycznym jako szefowa opozycji nie dostała się przed oblicze prezydenta USA. Koch, pewny zwycięstwa także w wyborach ze Schröderem, dyskretnie już sondował ceny nieruchomości w Berlinie. Pod kanclerskie mieszkanie. Aż wreszcie popełnił błąd, na który liczyła Merkel. Akurat on, wielki zwolennik generalnego obniżenia podatków, by wyróżnić się na tle innych chadeków i potwierdzić swoje kwalifikacje jako najgodniejszego chadeka na pretendenta w batalii o fotel kanclerski, w czambuł potępił reformę podatkową kanclerza Schrödera. Merkel z większością chadeckich liderów była gotowa ją poprzeć. Ci poczuli się,

jakby Koch dał im pstryczek w nos. Premier Hesji znalazł się w swojej partii w izolacji. Wmanewrował się w sytuację bez wyjścia. Każdy jego ruch, łącznie z ewentualną pochwałą Merkel, przemawiałby teraz na jego niekorzyść. Siedział więc zatrzaśnięty we własnej pułapce, gdy w maju 2005 roku kanclerz Schröder ogłosił przyspieszone wybory. Sparalizowany, pozbawiony poparcia we własnych szeregach i wściekły lider andystów decydującą batalię z Merkel przegrał. W żaden sposób nie mógł przeciwdziałać wysunięciu przez nią nominacji na chadeckiego pretendenta w walce o fotel kanclerza. Sam ją ogłosił, by na zewnątrz stworzyć pozór jednomyślności wśród chadeków. Cóż za satysfakcja dla Merkel. 30 maja jej nominację oficjalnie potwierdził Stoiber. „Ten fakt przesądził o naszym losie” – oświadczył Huck^[90]. Od tej pory 30 maja uchodzi za dzień żałobny paktu.

Przed wrześniowymi wyborami Merkel uchodzi za zdecydowaną faworytkę. Reelekcja kanclerza Schrödera wydaje się niemożliwa. Szef rządu, przygwożdżony niskimi notowaniami, jak kapitan rozbitego statku idzie na dno. Jego okręt, rozbudowane państwo socjalne, zalewa fala globalizacji. W Niemczech znikają dobrze płatne miejsca pracy, armia bezrobotnych przekracza magiczną liczbę pięciu milionów. Ale w kampanii Schröder walczy jak lew. Na wszystkich frontach. Oto jeden z nich.

U progu kampanii agencja DDP publikuje analizę szans reelekcji Schrödera pióra dziennikarki Sabine Schwind von Egelstein. Rozpływa się ona w zachwytach nad doskonałym wizerunkiem urzędującego kanclerza. Wątpliwości budzi jedynie pozbawiona siwych pasemek czupryna. Schröder „byłby bardziej wiarygodny, gdyby nie farbował siwych włosów” – konkluduje w jednym z pobocznych wniosków ekspertka z Monachium^[91]. Nie wiadomo, czy to obawa przed utratą wiarygodności, czy też raczej oburzenie na wątpliwości co do autentyczności koloru włosów inspirują kanclerza do zdecydowanych działań. Najpierw wydaje uwiarygodnione podpisem notariuszy oświadczenie, że nie farbuje włosów. Potem demonstruje publicznie, że na innych częściach ciała również ma ciemne włosy. Mianowicie na palcach u nóg. Na takie dictum agencja DDP wydaje sprostowanie: „Kanclerzowi Schröderowi zależy bardzo na stwierdzeniu, że jego włosy nie są farbowane. Twierdzenie von Egelstein, że włosy Gerharda Schrödera są farbowane kolorem lub henną, jest zdaniem kanclerza Niemiec absolutnie nieprawdziwe”^[92]. To mu nie wystarcza. Nadal pieni się z wściekłości. Do boju wysłał zaufanego adwokata, który z miejsca żąda od agencji, by ta oświadczyła na piśmie, że w przyszłości nigdy więcej nie powtórzy obrzydliwego kłamstwa. Pod groźbą złożenia pozwu o odszkodowanie w wysokości 10 tysięcy euro. Podobne ostrzeżenia adwokat wysłał do przyjaźnie wobec Schrödera nastawionej bulwarówki „Bild Zeitung” i plotkarskiej „Gali”, które pozwoliły sobie na delikatne aluzje w sprawie koloru kanclerskich włosów. Agencja DDP odmawia wydania rzeczzonego oświadczenia. Spór trafia na wokandę sądu krajowego w Hamburgu. W krótkim czasie piętrzą się tam stosy akt w sprawie o naturalny kolor włosów kanclerza. Sztaby prawników po obydwu stronach przerzucają się dowodami. I tak adwokat Schrödera ujawnia pod przysięgą, że jego wujek rolnik do późnego wieku cieszył się włosami czarnymi jak antracyt. Także przybocznicy fryzjerzy kanclerza, jeden z Hanoweru, drugi z Berlina, pod przysięgą oświadczają, że włosy kanclerza nigdy nie były poddane koloryzacji. Z kolei reprezentujący agencję doświadczony prawnik przyznaje otwarcie, że „choć z czynnego uprawiania profesji zdążył się już wycofać, to z wielką przyjemnością podejmuje się tej niezwyklej sprawy”. Przed sądem argumentuje: kwestią sporną jest zaledwie jedno króciutkie zdanie, w dodatku poboczne, a przecież nikt od redaktorów nie żądał, by w rzeczonej sprawie

zwrócili się do kanclerza. „Zresztą kanclerz rzeczywiście ma dziwnie ciemne włosy”^[93]. No i rzuciło mu się w oczy, że w ostatnim swoim występie telewizyjnym Schröder miał brwi znacznie jaśniejsze niż włosy. Sędzia, notabene z niefarbowaną, siwą, pełną loków i sięgającą ramion czupryną, orzeka, że nie dysponuje nowymi dowodami, wobec czego agencja DDP pod groźbą złożenia pozwu o odszkodowanie w wysokości 250 tysięcy euro nie może więcej kolportować kontrowersyjnej opinii. Sprawa „Schröder przeciwko agencji DDP” trafia w końcu aż przed Trybunał Konstytucyjny, do którego adwokat oskarżonej strony składa odwołanie. Ale najwyższy sąd niemiecki wniosek o rewizję odrzuca. Tymczasem sprawczyni całej zawieruchy Sabine Schwind von Egelstein rewiduje swoją pierwotną wersję. „Politykowi, który zbliża się do sześćdziesiątki, oraz sile jego przekonywania wychodzi tylko na dobre, jeśli jego wizerunek koresponduje z oczekiwaniami wyborców” – mówi^[94].

Jak na ten show reaguje Merkel? Pozwala Schröderowi się wyszaleć. Oczywiście chadecy ze śmiechu zrywają boki. Niektórzy próbują zdyskredytować go politycznie. Jeden z nich sugeruje nawet, że kanclerz, który farbuję włosy, podkolorowuje też federalne statystyki. Niemcy śmieją się do rozpuku, robią zakłady na internetowych forach o prawdziwy kolor kanclerskich włosów, dopytują się w drogeriach o farbę do włosów à la Schröder. Imponuje im waleczny kanclerz z adrenaliną i testosteronem. W toku kampanii wyborczej pierwotna, trzynastopunktowa przewaga Merkel nad Schröderem topnieje z dnia na dzień. Choć demoskopy wieszczą koniec Schrödera, wieczór wyborczy przynosi zaskakujące rozstrzygnięcie: SPD przegrywa zaledwie jednym punktem procentowym. Nikt jednak nigdy nie udowodnił, że Schröder batalię przegrał w wyniku farbowania włosów. W centrali CDU wrze. Przy tradycyjnie serwowanej kartoflance rozgoryczenie słabym wynikiem przewodniczącej grozi puczem we własnych szeregach. Merkel stoi nad przepaścią. Z opresji wybawia ją Schröder – męską próżnością, arogancją i niecierpliwością. Tą samą, jaką zademonstrował podczas afery z kolorem włosów. W trakcie debaty telewizyjnej, prowadzonej tuż po zamknięciu lokali wyborczych, urzędujący jeszcze kanclerz zamienia studio w ring bokserski. Na oczach milionów Niemców, krzycząc i wymachując rękami, odmawia Merkel legitymacji do utworzenia rządu. „Pozostaję kanclerzem, wygrałem wybory!”, „Nadrobiłem trzynaście punktów!”, „Kraj chce kanclerza Schrödera!” – eksploduje^[95]. To jego SPD zdobyła najwięcej głosów, gdyż te oddane na chadecję rozbijają się na dwie siostrzane partie, CDU i CSU. Merkel właściwie się nie odzywa. Oddaje pole samcowi alfa, który swoją arogancją wymusza na mocno zde gustowanych chaddeckich liderach solidarność z ich przewodniczącą. To ją ratuje. Chadecy impertynencki atak na Merkel traktują jako atak na CDU. Jej przewodnicząca, wzmocniona adresami poddańczymi nawet od andystów, nie pozwala Schröderowi odebrać sobie prawa do utworzenia rządu: „Powiedziałam mu, że go kiedyś załatwię”^[96]. Słowa dotrzymuje. Zostaje kanclerzem. Dzięki nietypowej strategii koszenia męskiej konkurencji: ta bowiem uśmierca się sama. Merkel tylko cierpliwie, choć ze znanstwem, wyczekuje. Kolekcjonując głowy samców alfa.

Posada kanclerska

Spotykają się prezydenci USA i Rosji oraz kanclerz Niemiec. Prezydent Rosji mówi: Mam dwunastu ochroniarzy, jeden chce mnie zabić. Tylko który? Na to prezydent USA: Mam dwanaście praktykantek, jedna ma AIDS, ale która? Ostatni do rozmowy włącza się kanclerz Niemiec: Mam dwunastu ministrów i tylko jeden jest dobry, ale nie wiem który.

Dowcip niemiecki

Niemcy są rządzone z siódmego piętra Urzędu Kanclerskiego w Berlinie. To tam znajduje się gabinet kanclerza. Centrum dowodzenia stanowi półokrągłe biurko, długie na 3 metry 90 centymetrów i szerokie na metr trzydzieści. Należy ono do najbardziej znanych mebli w RFN. I zarazem do najbardziej posprzątanych, gdyż jego zdjęcia nieustannie pojawiają się w mediach. Nie daj Boże tonęłoby ono w nieładzie. Siedzący na kanapie przed telewizorem Niemiec wiedziałby niechybnie o przepracowaniu kanclerza i jego złej organizacji pracy. Same piętrzące się góry akt nie szkodzą, o ile są równo poukładane. Dowodzą dobrego zarządzania krajem. Biurko i jego wygląd są papierkiem lakmusowym kondycji szefa niemieckiego rządu. Błat połyskuje szaroniebieskim odcieniem, zdaniem psychoterapeutów najbardziej sprzyjającym kolorem przy wykonywaniu pracy umysłowej. Mebel jest tak masywny, że przy urządzeniu gabinetu trzeba go było wciągać dźwigiem przez okno. Po lewej stronie stoi monitor komputera, po prawej trzy telefony z bezpośrednim połączeniem z prezydentem, szefem Urzędu Kanclerskiego i ministrem spraw zagranicznych. Na biurku jego właściciel trzyma kilka osobistych rzeczy: zdjęcia rodzinne, pamiątki z podróży zagranicznych, pióro. Przy wyprowadzce zmieszczą się w jednym niewielkim kartonie. Choleryczny kanclerz Willy Brandt zawsze miał na biurku pod ręką pudełko zapalek. Grywał nimi jak w bierki dla ukojenia nerwów^[1].

Smak potęgi

Z gabinetu kanclerskiego za oszkloną ścianą roztacza się fantastyczna panorama stolicy. Widoku tego nie szczędzi się nikomu, kto potyka się o kanclerskie progi. W dole rozciąga się zielona łąka okalająca gmach parlamentu, nieco w dali wije się ciemnoniebieska nitka Sprewy. Skojarzenia z antycznym Rzymem, w którym rzymski lud nieopodal Tybru zbierał się na Forum Romanum w bezpośredniej bliskości obradującego senatu, nasuwają się same. W Berlinie na zielonej łące między Bundestagiem a Urzędem Kanclerskim można nawet rozbić namiot czy zorganizować sobie piknik z gorącą kiełbasą i piwem. Nikt tu nikogo nie przepędzi za deptanie trawy. A piwa nie trzeba popijać ukradkiem. Władze jak w antycznym Rzymie rządzą na oczach społeczeństwa. Przez przeszklone ściany frontowe i zapełnione kwiatami

zimowe ogrody siedziba kanclerza otwiera się na miasto i płynące od niego impulsy. Czego kanclerz z okna swojego gabinetu nie widzi, to Forum Obywatelskie. Jego projekt, równoległy do budowy Urzędu Kanclerskiego, utknął w niebycie na skutek braku pieniędzy. Ta sieć knajpek, barów, restauracji i muzeów miała tchnąć ożywczego ducha w pustawą dzielnicę rządową. Za to raz w roku, w dniu otwartych drzwi Urzędu Kanclerskiego, berlińczycy mogą się przespacerować po najwyższych piętrach i korytarzach polityki. I przekonać się na własne oczy, że w Niemczech hierarchię urzędów republiki wyznaczają wysokości mieszczących je gmachów. Bo Urząd Kanclerski zaprojektowano tak, by w najwyższym swoim punkcie z 37 metrami był niższy od 47-metrowego gmachu parlamentu. Kanclerz ze swojego gabinetu widzi wyraźnie spacerujące pod przeszkloną kopułą Bundestagu sylwetki swoich wyborców. Memento dla jego pracy.

Sam gabinet kanclerza ma powierzchnię odpowiadającą dużemu mieszkaniu (142 mkw.). Po drugiej stronie kanclerskiego biurka stoją dwa krzesła. Ale nie są przeznaczone dla gości szefa rządu. Dla nich jest miejsce na wygodnej sofie przy oknie, oddalonej dobrych 10 metrów od biurka. Jej szary kolor gwarantuje dyskretny klimat miejsca. Ale i kamufluje zbierający się na niej kurz. Pomimo codziennego odkurzania unosi się on natychmiast do góry, gdy któryś z gości zbyt gwałtownie usiądzie na sofie. Na krzesłach siadają tylko najbardziej zaufani współpracownicy z przylegającego do gabinetu sekretariatu.

Kanclerz Niemiec wymieniany jest jednym tchem na liście najpotężniejszych polityków świata obok prezydenta USA, Chin i Francji czy premiera Wielkiej Brytanii. Przewodzi krajowi będącemu czwartą po USA, Chinach i Japonii gospodarką świata. Dlatego należy do elitarnego klubu przywódców najbardziej uprzemysłowionych państw globu, spotykających się na szczytach G8 i G20. W samych Niemczech stanowisko kanclerza cieszy się wielkim prestiżem. Decyduje o tym niezwykła stabilność polityczna kraju, wyrażająca się rzadką zmianą rządów. Od powstania RFN w 1949 roku do chwili, gdy urząd kanclerza obejmowała Angela Merkel (2005), godność tę, o którą ubiegać się może teoretycznie każdy Niemiec, piastowało zaledwie siedmiu wybrańców: Konrad Adenauer (1949–1963), Ludwig Erhard (1963–1966), Kurt Kiesinger (1966–1969), Willy Brandt (1969–1974), Helmut Schmidt (1974–1982), absolutny rekordzista w długości sprawowania tego urzędu Helmut Kohl (1982–1998) i mało sympatyczny z punktu widzenia Polaków przyjaciel Władimira Putina Gerhard Schröder (1998–2005).

Tymczasem przed Hitlerem w ciągu jedynie trzynastu lat istnienia Republiki Weimarskiej (1919–1933) krajem rządziło dwunastu kanclerzy. Niektórzy z nich utrzymali się na urzędzie zaledwie przez kilka miesięcy. Średnio republika „zużywała” jednego na rok. Ale ojcowie założyciele RFN nie popełnili błędów poprzedników. „Kanclerza proponuje prezydent, ale wybiera parlament” – ten lapidarny zapis w konstytucji z 1949 roku stanowił rewolucyjny przewrót w organizacji niemieckiego państwa. Bo w dobie Weimaru kanclerza wyznaczał prezydent. W ten sposób do władzy doszedł Hitler, którego na szefa rządu desygnował stetryczały Paul von Hindenburg. Hitler odczekał, aż cieszący się wielkim szacunkiem narodu starzec umrze, i po jego śmierci złączył godności kanclerza i prezydenta, obwieszczając siebie Führerem. Obecnie prezydent Niemiec tylko teoretycznie może zaproponować dowolnego kandydata. Skoro musi on uzyskać poparcie parlamentu, prezydent decyduje się zawsze na osobę odpowiadającą większości posłów.

W dobie Weimaru prezydent stale kopał dolki pod szefem rządu. W RFN, by temu zapobiec, w konstytucji z 1949 roku odwrócono role. Prezydent kraju pełni jedynie funkcje

reprezentacyjne. A co z parlamentem, który w Republice Weimarskiej działał na kanclerza niczym straszak, grożąc mu dymisją? Otóż twórcy RFN postanowili, że Bundestag tylko w jednym, jedynym przypadku może odwołać kanclerza – jeśli przegłosuje konstruktywne wotum nieufności, wybierając jednocześnie następcę. Na przestrzeni sześćdziesięciu lat istnienia RFN taka próba zdarzyła się dwa razy. W 1982 roku udało się Kohlowi wysadzić z siodła Schmidta. Dziesięć lat wcześniej przywódcy chadeckiej opozycji Rainerowi Barzelowi zabrakło jedynie dwóch głosów, by utracić kanclerza Brandta. Choć Barzel był tak pewny zwycięstwa, że jeszcze przed głosowaniem w Bundestagu poprosił urząd prezydencki o wydrukowanie na pergaminie oficjalnej nominacji kanclerskiej ze swoim nazwiskiem. Nie wiedział bowiem tego, co ujawnili historycy już po zjednoczeniu Niemiec, że głosowanie przegrał głosami dwóch przekupionych przez Stasi posłów ze swoich własnych, chadeckich szeregów^[2].

Powazanie w kraju i estyma, jaką na świecie cieszy się kanclerz Niemiec, idą w parze ze szczególnymi przepisami prawnymi, jakimi obwarowana jest posada kanclerska. Szef rządu RFN nie posiada umowy o pracę. Zawarty z nim szczególny stosunek pracy wyklucza prawo wypowiedzenia pracy, pobierania wynagrodzenia za nadgodziny czy pracę w porze nocnej. Pracodawca, RFN, nie wyznacza mu też szczegółowego zakresu obowiązków. Jedynie konstytucja kraju precyzuje, że „kanclerz federalny wytycza kierunki polityki kraju i ponosi za to pełną odpowiedzialność”. Co wskazuje, że w jego rękach skupiony jest spory zakres władzy. W gruncie rzeczy ten 65. artykuł konstytucji przemilcza, jak te „kierunki polityki” mają być konkretnie wyznaczone. Nie daje kanclerzowi do ręki absolutnie żadnych instrumentów. To, jak w istocie silna jest władza kanclerza, zależy więc od wielu bieżących konstelacji: od układu sił w koalicji rządowej (od czasu powstania RFN wszystkie gabinety niemieckie były koalicyjne), w Bundestagu i w uczestniczącej również w ustawodawstwie Radzie Federalnej, czyli w Bundesracie. W latach istnienia wielkiej koalicji CDU i SPD (1966–69) pod wodzą kanclerza Kiesingera jego pozycja była naturalnie słabsza, gdyż rząd tworzyły dwie równorzędne partie. Dlatego Kiesinger dorobił się określenia „chodzącej komisji rozjemczej”. Nie mógł walić pięścią w stół. Musiał się za to wykazać zręcznością, dyplomacją i zdolnością do zawierania kompromisów.

Ponadto kanclerz musi mieć posłuch we własnych szeregach. Jeżeli część posłów z partii własnej lub koalicjanta, tak zwana większość kanclerska, wypowie mu posłuszeństwo, przepadnie w Bundestagu każda ustawa rządowa. By zdyscyplinować swoich krnąbrnych posłów i uzyskać od nich poparcie dla kontrowersyjnych projektów ustaw, kanclerz ma w ręku silny środek nacisku – wotum zaufania. Stawiając w parlamencie wniosek o wotum zaufania dla siebie, szef rządu krnąbrnym posłom przystawia do gardła nóż. Jeżeli odmówią mu poparcia i kanclerz głosowanie w Bundestagu przegra, nie musi się podać do dymisji, ale za to może wnioskować do prezydenta o rozwiązanie parlamentu i ogłoszenie nowych wyborów.

Grunt przygotowany dla Merkel

Jedynym niemieckim szefem rządu, który dwa razy zażądał głosowania nad wotum zaufania dla siebie, był kanclerz Schröder. W obu przypadkach wynik głosowania był zgodny z jego oczekiwaniami. Tyle że za drugim razem ostatecznie stracił on fotel kanclerza. Schröder w obu przypadkach dysponował większością w parlamencie. Po wyborach w 2002 roku przewaga ta wynosiła cztery głosy. 11 września 2001 roku doszło do ataku na WTC w Nowym Jorku. USA

stały na czele krucjaty przeciwko terrorowi islamskiemu. Schröder postanowił się przyłączyć do amerykańskiej wojny z terroryzmem. Nie było to w smak wielu pacyfistycznie zorientowanym politykom z koalicyjnej Partii Zielonych. Wtedy kanclerz zdecydował się połączyć głosowanie w Bundestagu nad projektem wysłania niemieckiego kontyngentu do Afganistanu z wotum zaufania dla swojego rządu. W listopadzie 2001 roku 336 posłów, o dwóch więcej niż wymagane minimum, opowiedziało się za wysłaniem niemieckich żołnierzy w rejon Hindukuszu. A jednocześnie wyraziło wotum zaufania. Ryzykowna zagrywka kanclerza opłaciła się, choć wielu własnych posłów sarkano po kątach i mówiło o kanclerskim szantażu. Rok później Schröder tylko o włos okazał się lepszy od chadecji w wyborach do Bundestagu. Zasiadło w nim 306 posłów z rządowej koalicji SPD i Zielonych. Także i tym razem przez pierwsze trzy lata kanclerz z wielką zręcznością zonglował w Bundestagu. Jego pozycję zachwiały dopiero wybory do Landtagu w Nadrenii Północnej-Westfalii. W maju 2005 roku wybory wygrała tam chadecja. Pół godziny po ogłoszeniu oficjalnych wyników liderzy SPD zapowiedzieli, iż w obliczu utraty przez SPD Nadrenii Północnej-Westfalii koalicja rządowa straciła polityczną swobodę manewru. I chce ją odzyskać, wygrywając przyspieszone wybory w całym kraju. To oznaczało rozwiązanie Bundestagu, co Schröder mógł osiągnąć tylko w przypadku poniesienia porażki w głosowaniu nad wotum zaufania dla siebie. Kanclerz złożył taki wniosek. 1 lipca 2005 roku odbyło się nad nim głosowanie. Z 595 posłów 151 wyraziło zaufanie do rządu, 296 odmówiło mu go, a 148 wstrzymało się od głosu. Zgodnie ze swoim życzeniem Schröder nie uzyskał wotum zaufania. Na jego wniosek Bundestag został przez prezydenta RFN rozwiązany, a nowe wybory wyznaczono na 18 września. Dwóch posłów z koalicji rządowej zaskarżyło legalność całej procedury do Federalnego Trybunału Konstytucyjnego, argumentując, iż kanclerz świadomie zainscenizował własną przegraną. Sędziowie w Karlsruhe skargę odrzucili. Schröder mógł odetchnąć. Ale 18 września w wyborach do Bundestagu poniósł porażkę. Musiał przejść na polityczną emeryturę. Jego następcą została Angela Merkel.

Prywatne gniazdko

Co realnie wpływa na pozycję kanclerza? To relacje z mediami. Adenauer mógł jeszcze w wyborczy wieczór założyć pidżamę, wypić kieliszek wina i położyć się spać, by na drugi dzień rano odebrać od swojego referenta kartę z wynikami wyborów. O takim luksusie teraz mowy nie ma. Szef rządu musi trzymać rękę na pulsie i stale komentować w mediach własne poczynania. Ślepa uliczka demokracji? Niekoniecznie, skoro w ten sposób okazuje się szacunek wyborcom i publicznie zabiega o ich wsparcie. Choć z drugiej strony medialna wszechobecność kanclerza toruje drogę do silnej personalizacji polityki. Najlepszym mistrzem przekazu medialnego, zarazem kreowania autowizerunku wśród dotychczasowych szefów rządu był Gerhard Schröder. Gdy tylko poczuł, że w pobliżu jest kamera, jego twarz przyjmowała wyraz lwiego uśmiechu, a on sam zamieniał się w „sunny boya”.

Kanclerzowi nie wolno podjąć dodatkowego zatrudnienia. Natomiast pierwszego dnia miesiąca wpływa mu na konto pensja w wysokości 14 893,25 euro brutto. Plus dodatki: zamiejscowy 810,24 euro i urzędniczy 1022,58 euro. Niby dużo, ale mniej niż dochód przeciętnego właściciela gabinetu stomatologicznego czy dyrektora kasy oszczędnościowej na głuchej prowincji. Jak każdy Niemiec płaci też podatek na rozwój nowych landów (byłej

NRD), a jeśli jest katolikiem lub protestantem – podatek kościelny. Co prawda nie ściboli jak każdy śmiertelnik na składkę rentową i ubezpieczenie od bezrobocia, ale za to musi głęboko sięgać do kieszeni, opłacając luksusy związane z prestiżowym stanowiskiem: czynsz za wynajmowanie mieszkania służbowego w Berlinie i korzystanie poza godzinami pracy ze służbowej limuzyny. Rzecz jasna zamówienie taksówki po wieczornym koncercie czy raucie wyniosłoby taniej. Ale nie zezwalają na to przepisy gwarantujące bezpieczeństwo.

Gdzie mieszka kanclerz? Do czasu przeprowadzki z Bonn do Berlina w 2001 roku wszyscy szefowie rządów oprócz Adenauera, który do Bonn codziennie dojeżdżał z nieodległego Rhöndorfu, wprowadzali się do parterowego bungalowu z płaskim dachem, położonego tuż nad leniwie płynącym Renem. Pięć pokoi, dwie duże garderoby, dwie łazienki, piękny ogród, basen, patio plus cudowny widok na Ren. Posadzka kamienna z włoskiego piaskowca z Tivoli, sufit w boazerii z brazylijskiej sosny. Melancholijny Willy Brandt tu przeżywał większość swoich depresji. Ale Helmut Schmidt przez dziewięć, a Helmut Kohl przez szesnaście lat czuli się w tym otoczeniu jak ryba w wodzie^[3]. Po przeniesieniu stolicy do Berlina oficjalną rezydencją kanclerza Niemiec została specjalnie przebudowana w 1999 roku willa w parkowej dzielnicy miasta Dahlem. Ale pierwszy użytkownik, Gerhard Schröder, miał węża w kieszeni i czynsz za wynajem wydał mu się nieprzyzwoicie wysoki: 4 tysiące euro, czyli 26 euro za metr kwadratowy. Skąpy Schröder wprowadził się więc na ósmą kondygnację Urzędu Kanclerskiego, piętro wyżej nad swoim gabinetem. Obydwa poziomy łączą wewnętrzne schody kryjące się za regałem z książkami. Niewykluczone, że późnym wieczorem Schröder w pidżamie jeździł przeszkloną windą, podziwiając nocną panoramę Berlina. A na drugi dzień przychodził w kapciach do pracy. Takie rozwiązanie ma wiele praktycznych zalet. Mieszkając nad swoim gabinetem, kanclerz nie musi się rano głowić, czy na drugi dzień w łazience znajdzie mydło, a w lodówce salami i masło. Mieszkanie jest zawsze posprzątane, okna i naczynia w kuchni umyte, łóżko pościelone, podłoga odkurzona. Raz na tydzień zjawia się kierowca i zawozi brudne ubrania do pralni. Ale mieszkanie w Urzędzie Kanclerskim kryje w sobie dużo minusów. Największy z nich: nie zostało ono zaprojektowane z takim przeznaczeniem. Sypialnia jest tak mała, że ledwo mieści się w niej łóżko. Konstrukcja ścian nośnych wymusza trójkątny kształt pokoju. Pierwotnie łazienka sąsiadowała z sypialnią. Schröder przeniósł ją na drugą stronę mieszkania, gdzie przylega teraz do kuchni. By się dostać z sypialni do łazienki i kuchni, trzeba przeczłapać przez salon. Niejeden zręczny agent nieruchomości musiałby się wykazać nie lada kunsztem, by takie mieszkanie, pomimo spektakularnego położenia, wynająć komuś na wolnym rynku. Ale Schröder za 28 mkw., nie licząc kuchni i łazienki, płacił śmieszne 500 euro.

Oczywiście, kanclerz może zamieszkać w lokum wynajętym przez siebie na wolnym rynku. Jak uczynił to choćby wicekanclerz Joschka Fischer (1998–2005), który wprowadził się do czynszowej kamienicy. Wtedy jednak wszystkie szyby w oknach zostają zamienione na pancerne o grubości 80 milimetrów. A przed wejściem, na klatce schodowej oraz w windzie instaluje się kamery. Przed domem kręcą się borowcy. Każdy wchodzący do kamienicy podlega kontroli. Kanclerz współlokator staje się prawdziwym utrapieniem dla sąsiadów. Z jednym wyjątkiem: przy okazji także ich mieszkania są wyjątkowo dobrze zabezpieczone przed włamaniem.

Większość czasu kanclerz spędza nie w domu, lecz w Urzędzie Kanclerskim. Jest on osmiokrotnie większy od Białego Domu, większy też niż Pałac Elizejski w Paryżu, nie mówiąc

już o ciasnawej rezydencji premiera Wielkiej Brytanii przy Downing Street 10. Wysoki na 37, szeroki na 102, a długi na 341 metrów. Ze swojego gabinetu do najbliższej kafejki na ulicy kanclerz ma pół godziny drogi piechotą. „Mógłby być numer mniejszy” – westchnął Gerhard Schröder, który jako pierwszy się do niego wprowadził w maju 2001 roku^[4]. Bo to jego poprzednik Helmut Kohl zamarzył o reprezentacyjnym miejscu pracy dla kanclerza zjednoczonego kraju. Skromnej „republice bońskiej”, temu tworowi Adenauera, za Urząd Kanclerski służył od 1976 roku w Bonn betonowy kloc wybudowany zgodnie z koszmarną architektoniczną manierą lat 70. „Przypomina budynek kasy oszczędnościowej” – szydził Helmut Schmidt, gdy po raz pierwszy przekroczył urzędowe progi^[5]. Centrala rządowa idealnie pasowała do kultury politycznej „republiki bońskiej”. Skromna i funkcjonalna, bez reprezentacyjnego prężenia mięśni. Gdy jednak Kohl dokonał wiekopomnego zjednoczenia kraju i przeniósł stolicę z prowincjonalnego Bonn do Berlina, zamarzył o godniejszym miejscu pracy. Rozpisano konkurs. Kohl dwoił się i troił, by zwycięstwo odniosła para architektów Axel Schultes i Charlotte Frank. Ich projekt gigantycznego gmachu z białego betonu, jasnego piaskowca, częściowo pokrytego zielonkawym metalicznym lakierem z oszkloną ścianą frontową, trafił dokładnie w jego gusta. „Pralka kanclerska”, „kibel dla słonia” – padały wśród berlińczyków sarkastyczne określenia gmachu. Minister finansów marszczył brwi. Koszty wynosiły 233 miliony euro. Ale Kohl był nieugięty. Potrzebował pomnika. A nowy Urząd Kanclerski stwarzał idealne kulisy dla inscenizacji władzy. Potężny hall wejściowy z równie imponującą klatką schodową – wymarzona dekoracja dla schodzącego dostojnie ze swoją switą z siódmego piętra kanclerza. Między siódmym a ósmym piętrem zawieszona jest empora w formie greckiego amfiteatru – perfekcyjne tło dla kanclerza filozofującego z dziennikarzami, naukowcami czy artystami. A jego gabinet z zapierającym dech w piersi widokiem na dachy Berlina – inspiracja dla kanclerskich wizji? Kto choć raz znalazł się w środku tego urzędu, nie poczuje się powalony monumentalnością gmachu. Emanuje on raczej modną współcześnie w architekturze transparentnością, gdzieś tam żartem. Choćby na dziedzińcu, na którym kanclerz wita zagranicznych gości. Pełno tam futurystycznych kwietników. Podanie ręki szefom obcych państw odbywa się pod kubistycznym białym żaglem, rozciągniętym nad wejściem i tylko w teorii chroniącym przed słońcem. Zrezygnowano z budowy bunkra. Budynek okala jedynie trzymetrowa siatka. Za to przed wejściem głównym w górę strzelają fontanny. Idealne miejsce zabawy dla dzieci z pobliskiego przedszkola.

Gdzie kucharzy sześciu

Na szóstym piętrze szef rządu w dużym gabinecie spotyka się z ministrami. Piętro niżej znajduje się sala bankietowa na 120 osób. Na większe przyjęcia wynajmuje się Pałac Charlottenburg. Jeszcze niżej leży kuchnia. Podczas przyjęć 120 kompletów talerzy, salatek, kieliszków i półmisek z potrawami wnosi się piętro wyżej. Niełatwe zadanie. Od przeprowadzki z Bonn za kanclerstwa Schrödera w kuchni króluje mistrz patelni Ulrich Kerz. Podbił on żołądek kanclerza sybaryty smakowitą, ale ciężkostrawną kuchnią niemiecką, oferując menu od golonki po rolady i pierś kurczaka w sosie myśliwskim, podawane z purée z zielonego groszku. Właśnie przy jego sosach oblizywali palce najwięksi przyjaciele Schrödera – prezydenci Jacques Chirac i Władimir Putin. Kerz do urzędu przyjeżdża rowerem, w południe podaje lunch, o 19 kolację. Zakupy robi osobiście, wystając w kolejkach. Jego

kuchnia obsługuje jedynie kameralne przyjęcia. Ale takich jest najwięcej. Zagraniczne delegacje państwowe składają się z reguły z piętnastu-dwudziestu członków. Kerz gotuje wtedy z pomocą sześciu kucharzy. Pod tym względem kuchnia kanclerza lokuje się w drugiej połowie światowej tabeli. A może nawet w światowym ogonie. Biały Dom zatrudnia dziewięciu, Pałac Elizejski osiemnastu, a Kreml osiemdziesięciu mistrzów chochli. Specjalne laboratoria sprawdzają potrawy, czy nie są zatrute. Ale o czym tu mówić, skoro nawet księżę mikroskopijnego Monako swoje menu omawia codziennie z czterema kucharzami, którym księżna Charlene z lubością pomaga w gotowaniu. W Berlinie przy większych rautach państwowych, powyżej dwudziestu gości, korzysta się z cateringu renomowanych berlińskich restauracji Aigner lub Borchardt. Za to wina serwuje się z własnej piwniczki, leżącej wyjątkowo na czwartym piętrze. Sąsiaduje ona z chłodnią, w której przechowuje się świeże kwiaty, oraz pakamera, w której pod kluczem zdeponowane są wszystkie prezenty, jakie kanclerz otrzymał podczas zagranicznych wojaży. Centralnie na czwartym piętrze leży też jedyna sala konferencyjna z zabezpieczonymi od podsłuchu ścianami. Tam zbiera się sztab kryzysowy, a kanclerz wysłuchuje szefów niemieckich wywiadów.

Gdy o fotel kanclerza ubiegała się Angela Merkel, w Urzędzie Kanclerskim zatrudnione były oprócz mistrza kucharskiego jeszcze 463 osoby. W tym także spece od klimatyzacji i trzech ogrodników. Najważniejszymi współpracownikami kanclerza są jednak szef Urzędu Kanclerskiego, kierownik biura kanclerza i główna sekretarka. Ta trojka zasiada na krzesłach przystawionych do kanclerskiego biurka. Stanowią oczy i uszy szefa rządu. Ten filtr nie może być ani zbyt szczelny, ani zbyt przepuszczalny. Przez ręce trojki przechodzi osiem tysięcy dokumentów, jakie miesięcznie produkuje Urząd Kanclerski. Kanclerz jest bez szans, by zapoznać się ze wszystkimi. Z produkcją tej wielkości nie dawał sobie rady nawet taki połykacz akt jak Helmut Schmidt, który na urlopie kazał sobie dokumenty przysyłać kurierem. Jego poprzednik Willy Brandt ani nie studiował papierów po godzinach, ani nie zabierał ich ze sobą do domu. Zjawiał się tam wczesnym wieczorem, przebierał w wygodny sweter, zakładał kaptur i oddawał się lekturze gazety lub książki. Albo oglądał z rodziną telewizję^[6]. Helmuta Kohla natomiast częściej niż na czytaniu akt można było złapać na tym, jak wisił na telefonie. Albo jak czatował na korytarzu na jakiegoś urzędnika, by wyłuszczyć mu sprawę w cztery oczy. Jego polecenia przybierały często formę nabazgranych na kartce zapisków, które nagle wyciągał z kieszeni marynarki. Gerhard Schröder z kolei preferował rozmowę w gabinecie. Zarówno Kohl, jak i Schröder woleli, żeby ktoś zreferował im problem, niż dostarczył opasły segregator z aktami.

Dla trojki dzień zaczyna się wcześniej niż dla kanclerza. Tym bardziej że większość szefów rządu była notorycznymi sowami i wyjątkowymi śpiochami. „Willy, wstawaj, trzeba rządzić!” – około południa Willy’ego Brandta ogarniętego depresją ściągał z łóżka szef jego Urzędu Kanclerskiego. Horst Ehmke w sypialni zjawiał się od razu z butelką czerwonego wina i dwoma kieliszkami. Przez chwilę obydwaj siedzieli w milczeniu i popijali. „Schmidt i Wehner to skurwysyny!” – wyrwało się kiedyś w pościeli szefowi rządu pomstującemu na swoich ministrów. „Tak, tak, wiem o tym” – potakiwał solennie Ehmke. Był zadowolony, jeśli w ciągu godziny ściągnął kanclerza z łóżka do gabinetu^[7]. Przygnębiony Brandt, jeśli już się pojawił w Urzędzie Kanclerskim, potrzebował kilku godzin, by pozbyć się porannej huśtawki nastrojów, pomimo że dzień zaczynał wtedy całkiem układnie: od podania ręki każdej sekretarce. Rozluźniał się wieczorem w kręgu zaufanych ludzi, gdy po kolacji serwowano kolejną rundę

kawy i drinków. „Opowiadał wtedy po raz setny tę samą zabawną historię i śmiał się z niej do rozpuku, najgłośniejsz ze wszystkich”^[8]. Także uchodzący za jowialnego Schröder pohukiwał z rana na współpracowników i musiał wypić kilka kaw, nim złagodniał. Kiesinger ryczał na podwładnych niezależnie od pory dnia. Nie inaczej Schmidt, szczególnie gdy zaczął cierpieć na nadczynność tarczycy.

Każdego ranka, gdy kanclerz około 8 rano wchodzi do gabinetu, zastaje na biurku przygotowane przez zaufaną trojkę trzy teczki. Pierwsza z nich zawiera doniesienia o wydarzeniach politycznych z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Żadne z nich nie jest jednak na tyle istotne, by wymagało natychmiastowej interwencji. W przeciwnym razie czujna trojka w nocy ściągnęłaby go z łóżka. W drugiej teczce zebrane są wszystkie doniesienia mediów komentujące poczynania kanclerza oraz wydania porannych gazet. Przez tę górę papieru nie przebieje się żaden śmiertelnik, tym bardziej kanclerz, który na prasówkę może poświęcić maksimum godzinę. Dlatego trojka przygotowuje teczkę trzecią, kwintesencję obu poprzednich. Najistotniejsze miejsca są zaznaczone markerem. Z reguły krytyczne komentarze przeważają nad pochwałami. Dzień dla kanclerza zaczyna się więc mało przyjemnie. Z tego powodu Kohl nie cierpiał dziennikarzy. „Bimbają przez cały dzień, chleją na umór i biorą jeszcze za to dużo kasy” – taką miał o nich opinię^[9].

O 8.30 do gabinetu wchodzi szef Urzędu Kanclerskiego i kierownik biura. Szef to prawa ręka kanclerza, „pierwszy oficer, szef sztabu, mediator, sanitariusz, piorunochron i szef protokołu”^[10]. Jeśli dwóch ministrów kłóci się ze sobą, sprawa ląduje na jego biurku. To on szuka kompromisu między odmiennymi stanowiskami ministerstw. Podczas porannej narady z jego udziałem u kanclerza omawiane są nie tylko palące tematy dnia. Skoro on i kierownik biura jako najbardziej zaufani współpracownicy szefa rządu wiedzą wszystko o wszystkich, podpowiadają kanclerzowi, kogo można podejrzewać o dostarczenie informacji do czytanych przez niego przed chwilą krytycznych o nim artykułów. I gdzie we własnych szeregach ukrywają się krety. Na utyskiwanie na podłość tego świata kanclerz czasu nie ma, gdyż od 10 rano zjawiają się pierwsi goście. By uniknąć wpadek, listę terminów spotkań sekretariat prowadzi podwójnie, w komputerze i na papierze. Tygodniowo kanclerz podejmuje około czterdziestu gości. Co sumuje się do dwóch tysięcy w roku, a ośmiu tysięcy w okresie kadencji. Sporo spotkań przypada na mityngi z przedstawicielami różnych organizacji. Liczba zarejestrowanych w Niemczech związków opiewa na 5,2 tysiąca. Wśród nich są całkiem egzotyczne, jak na przykład Związek na rzecz Psów Potrzebujących Pomocy. Ale wszystkie reprezentują grupy wyborców. I wszystkie oczekują na audiencję. Jej odrzucenie mogłoby przynieść szefowi rządu więcej strat niż korzyści wynikających z zaoszczędzonego czasu. Do każdego spotkania kanclerz musi się przygotować. Podejmując na przykład Niemiecki Związek Pszczelarzy, musi zapoznać się z warunkami hodowli pszczoły i aktualnymi cenami miodu w skupie. Spotkanie ze Związkiem Hokeja na Trawie wymaga od niego przestudiowania wyników reprezentacji z ostatnich mistrzostw świata oraz tabeli przynajmniej pierwszej ligi. By nic nie uszczknąć z dumy czempionów i nie pomylić ich z piłkarzami Bayernu Monachium. Właściwie w każdej dziedzinie kanclerz musi wykazać się znajomością rzeczy. Wypadłby głupio przed swoim rozmówcą, gdyby na kongresie historyków nie wiedział, w jakich okolicznościach Bismarck pobił Austriaków w 1866 roku, a na spotkaniu z komisją etyki nie znał przepisów zezwalających na przeszczep komórek macierzystych. Jego rozmówcy, którzy tymi problemami zajmują się od lat, byłiby wtedy święcie oburzeni. Przed każdym takim spotkaniem kanclerz

korzysta ze specjalnie przygotowanej ściagi. „Turbo”, tak się owa pomoc nazywa, stanowi kwintesencję wiedzy na dany temat. Dzięki niej kanclerz może wydać się rozmówcy zorientowany w zagadnieniu. „Turbo” zawiera nie tylko encyklopedyczną wiedzę, lecz spuentowane stanowisko konkretnego rozmówcy oraz pogląd, jaki w rozmowie powinien wyrazić kanclerz. Jeśli szef rządu sztywno trzyma się zawartych w ściągce sugestii, nic złego mu nie grozi. Kiedy jednak zdaje się na własną inwencję, towarzyszący mu w spotkaniu doradcy stają się niespokojni, chrząkają, patrzą nerwowo na zegarek, a w sytuacjach podbramkowych tracą go nogą pod stołem.

Jedną z zalet kanclerskiej posady jest nieograniczona możliwość odbycia spotkania niemal z każdą osobistością. Kolacja z Lukaszem Podolskim? Sekretariat kanclerza dyskretnie zaaranżuje takie spotkanie. Woody Allen? Referat 211, odpowiedzialny za kontakt z USA, wykona jeden telefon i przy kolejnej podróży za ocean dinner z neurotycznym reżyserem jest zagwarantowany. Wiele wrażliwości w doborze gości musi kanclerz wykazać wobec rodzimych luminarzy kultury. Mają o sobie wysokie mniemanie, ale nie czują się w przestrzeni publicznej odpowiednio dowartościowani. Fakt, socjaldemokrata Schröder większą atencją darzył bossów biznesu i koncernów Porsche i Mercedesa. Z kolei noblista Günter Grass uskarżał się na kanclerza Brandta, że ten zbyt rzadko korzysta z jego rady, podczas gdy on, Grass, dużo lepiej czuje ducha partii. Oraz, jako doradca, własnym etosem pisarza uszlachetnia nikczemne mechanizmy władzy. Podobnie jak inna niedoceniona przez Brandta wielkość literacka, Heinrich Böll. Ten z kolei widział się w roli politycznego wieszacza posiadającego w małym palcu oprócz wizji także znajomość politycznej teorii. „Osobliwe jednak – jak napisał politolog Wolfgang Jäger – że ci wrażliwi na ból egzystencjalny pisarze sami nie mają skrupułów, by zadawać ciosy poniżej pasa”^[11].

Dzień jak co dzień

W każdą środę o 9.30 przy owalnym stole w sali posiedzeń na czwartym piętrze kanclerz zwołuje posiedzenie rządu. Zjawia się jako ostatni. W końcu jest najważniejszy. Zasiada w samym środku, tam, gdzie stół jest najszerszy, mając po prawej ręce wicekanclerza, po lewej szefa Urzędu Kanclerskiego. Naprzeciw siedzi trzeci w hierarchii minister finansów. Do szefa rządu ministrowie zwracają się „panie kanclerzu”, on sam rezygnuje wobec nich z całej tytulatury, mówiąc im po nazwisku. Także ministrowie, choć znają się jak łyse konie i są ze sobą na ty, na posiedzeniach gabinetu używają formy oficjalnej. Wcześniej w tym gremium kanclerz wyróżniał się jeszcze fotel z wyższym od innych oparciem. Socjaldemokratyczny Schröder zlikwidował ten monarszy przywilej. Demokratycznie też przed każdym członkiem gabinetu stoi ten sam zestaw: srebrny dzbanuszek z kawą, filiżanka, długopis i blok papieru. Tylko przed szefem urzędu piętrzą się stosy akt porażające wielkością. Ale w ciągu jednej czteroletniej kadencji rząd wnosi propozycje 400 ustaw. Praca legislacyjna to najważniejsze brzemię, jakie ciąży na kanclerzu. W czasie środowego posiedzenia gabinet omawia średnio dziesięć-czternaście punktów. W ciągu godziny są one odfajkowane, a posiedzenie zamknięte. O ile minister spraw zagranicznych nie uraczy zebranych szczegółami o wybuchłym akurat kryzysie w odległym miejscu globu. Sprinterskie tempo, w jakim omawia się poszczególne projekty ustaw, wynika z przyjętej procedury. Posiedzenia nie służą rozwlekłej debacie o kierunkach polityki rządu. Ministrowie krótko przedstawiają dopieszczony w ich resorcie projekt ustawy,

po czym kanclerz zarządza nad nim sprawne głosowanie. Ręce ministrów szybko idą do góry. I przechodzi się do następnego punktu. Niedopracowane projekty nie trafiają do porządku obrad. Zawczasu o finalizację projektów ustaw troszczy się szef Urzędu Kanclerskiego. Każdy szef w sobie tylko wiadomy sposób przyswaja system, który pozwala mu zapoznać się z projektem ustawy na długo, nim ten zaświta w ministerialnej głowie. Środowe posiedzenia objęte są największą tajemnicą. Ale nierzadko zdarzało się, że już w trakcie posiedzenia dziennikarze zza zamkniętych drzwi otrzymywali przecieki esemesami.

Drugą najważniejszą sferą aktywności kanclerza jest polityka personalna. Doświadczenie uczy, że w pierwszych latach urzędowania kanclerz szczerze korzysta z dobrodziejstwa wymiany ministrów. Szefa resortu może zwolnić bez podania przyczyny. Podczas swojej pierwszej kadencji Brandt wymienił czterech, a Schröder tylko w trakcie pierwszych dwóch lat piastowania swojej funkcji aż sześciu ministrów. Dłuższy staż pracy na urzędzie hamuje te zapędy. Co wcale nie wynika z faktu, że w miarę upływu czasu ministrom rządziej przytrafiają się pomyłki. To raczej kanclerze dochodzą do przekonania, że nowe miotły nie zamiatają lepiej od starych. Ponadto kurczy się ławka potencjalnych kandydatów. Większość z nich należy nie do tej partii, co trzeba, biznesmenów z nazwiskiem i doświadczeniem odstrasza niska zarobki, a intelektualistów obca na uniwersytetach bezpardonowość walki politycznej. Ostatecznie do rządu trafiają ci, którzy mieliby problemy z dotarciem na szczyt w sferze innej niż polityka. W pierwszym swoim gabinecie Kohl zebrał pięciu prawników, dwóch radców rządowych, dyplomowanego kupca, sinologa, chemika, producenta rolnego, ekonomistkę i wytwórcę narzędzi metalowych. W gabinecie Schrödera znaleźli się: handlarz książek, aptekarka, nauczycielka, dziennikarz, fizyk, drukarz, ekonomista, pracownik socjalny i glazurnik^[12].

Trzecią domeną kanclerza Niemiec jest polityka zagraniczna. Tu czuje się najlepiej. Tu jest najbardziej niezależny od parlamentu. Dlatego jako najwięksi kanclerze do annałów przeszli ci, którzy odnieśli spektakularne sukcesy na arenie międzynarodowej: Adenauer, który połączył RFN z Europą Zachodnią, Brandt, który otworzył ją na blok wschodni, i Kohl, który zjednoczył Niemcy i Europę. Szef niemieckiego rządu ma ułatwione zadanie. Gra w światowej ekstraklasie i należy do najczęściej odwiedzanych przywódców państwowych. Ponadto dotychczasowi kanclerze okazywali się na tyle ugodowi, że szefowie rządów i państw z całego świata chętnie wpadali z wizytą do Bonn czy Berlina. W samym tylko 2004 roku kanclerz Schröder gościł 282 prezydentów, premierów i ministrów spraw zagranicznych. Częste wizyty mają jednak i ciemne strony. Bo przewidziane protokołem dwie godziny z premierem Tuskiem czy przewodniczącym Barroso są politycznym kapitałem, ale o czym tu przez 120 minut rozmawiać z prezydentem Wybrzeża Kości Słoniowej? Największe problemy dyplomatyczne pojawiały się podczas spotkań kanclerza Brandta z przywódcą ZSRR Leonidem Breżniewem. I to pomimo że obydwaj w latach zimnej wojny czuli do siebie niekłamaną sympatię. Jeden i drugi lubił wino, kobiety i śpiew. I wodę. Raz nawet pluskali się razem w basenie willi Breżniewa na Krymie. Podczas rewizyty w 1973 roku w Bonn Brandt podarował swojemu gościowi najnowszy typ Mercedesa 450 SLC. Ku przerażeniu wszystkich Breżniew siadł za kierownicą i już na trzecim zakręcie mocno się wijącej drogi walnął w drzewo. Cudem wyszedł bez szwanku, auto poszło do kasacji. Natomiast przewrażliwiony na punkcie kontaktu fizycznego Brandt nie cierpiał czułych objęć misiówatego komunisty, a już alergicznie reagował na jego pocałunki w policzek, jakie tradycyjnie obowiązywały przy powitaniach między geriatrycznymi przywódcami państw bloku sowieckiego^[13].

Zgodnie z protokołem kanclerz jest zobowiązany do podjęcia premiera innego kraju. Ale protokół już nie precyzuje, jak szybko ma to nastąpić. Termin spotkania zależy więc od rangi strony odwiedzającej, długości wizyty i jej programu. Koszty wizyty pokrywa Urząd Kanclerski. Kanclerz w wyjątkowych tylko wypadkach osobiście fatyguje się na lotnisko, by powitać gościa. Z reguły wysyła szefa protokołu dyplomatycznego, który na kilka minut przed przybyciem do Urzędu Kanclerskiego dzwoni z limuzyny do sekretariatu. Osobista sekretarka natychmiast zjawia się u szefa. Ten zjeżdża windą, by u bramy wejściowej powitać gościa. By nie popełnić żadnej gafy, kanclerz zawczasu studiuje dyplomatyczną ściągę. Zawiera ona podstawowe informacje o kraju pochodzenia gościa wraz z odpowiedziami, jak się wobec niego zachować. Te ostatnie przydają się szczególnie w przypadku, gdy to kanclerz składa wizytę za granicą i nie bardzo wie, w którą stronę ma się poruszać podczas przemarszu wzdłuż kompanii honorowej na lotnisku, po wyjściu z samochodu przed prezydenckim pałacem czy też biurem gospodarza. Najważniejsza reguła, jaka go obowiązuje: nie tracić z oczu szefa protokołu. Lepiej też będzie dla niego, jeśli nie zechce być na tyle uprzejmy, by spróbować sił w obcym języku, i zda się na tłumacza, który kanclerskie myśli wyłoży w pięknym hiszpańskim czy koreańskim. Według protokołu punktem kulminacyjnym każdej wizyty jest wymiana prezentów. Problem o tyle istotny, że wielu zachodzi w głowę, co podarować własnej żonie czy mężowi, a cóż dopiero emirowi Kataru czy papieżowi. Z opresji ratuje kanclerza konsultacja z własnym ambasadorem w rzeczonym kraju, który przedstawia kilka sensownych propozycji. Kanclerz musi tylko wręczyć prezent z uśmiechem. I z uśmiechem przyjąć swój. Tym bardziej że nie będzie więcej okazji, by się nim dłużej nacieszyć. Wszystkie podarunki, jakie otrzymuje szef rządu, lądują w pakamerze na czwartym piętrze. Trafiły tam nawet kozuchy, jakie otrzymały żona i córka kanclerza Schrödera. Wystawiane są później na eBayu lub oddawane na charytatywnych loteriach fantowych. Prezenty są traktowane jako własność federacji niemieckiej, a nie osobiste dobra kanclerza. Wyjątkiem od reguły są przedmioty nietrwale. Dlatego Helmut Kohl bez oporów konsumował burgunda, przegryzając go francuskimi serami, które regularnie otrzymywał od prezydenta Chiraca.

Urlop, który nie jest wypoczynkiem

Więcej swobody ma kanclerz w organizowaniu sobie urlopu. Właściwie mógłby wypoczywać tak długo, ile dusza zapagnie. Brak umowy o pracę implikuje brak zapisu o długości urlopu. W praktyce jednak haruje na okrągło. I gdyby tak znikł na Malediwach na dłużej niż miesiąc, w Berlinie wybuchłaby polityczna burza. Pierwotną normę urlopu wyznaczył patriarcha Adenauer. Staruszek odpoczywał przez osiem tygodni w roku, raz w zimie, raz w lecie. Brandt, Schmidt i Kohl urlop skrócili do miesiąca, Schröder do trzech tygodni. Coraz krótszy wypoczynek jest znakiem czasu. Niebanalny jest wybór miejsca – ważny dla budowy wizerunku. Dobrze widziany jest wypoczynek w kraju lub w strefie języka niemieckiego. Wyraża się w nim patriotyzm i solidarność z narodem. Brandt wyjeżdżał do Norwegii, w której spędził lata młodości i w której znalazł sobie pierwszą żonę. Kohl przez trzydzieści lat z rządu odpoczywał latem w tym samym miejscu – austriackim St. Gilgen, w skromnym, żółtawym domku z porożem nad wejściem. W miejscowym jeziorze próbował pływać, przynajmniej do niego wchodzić, częściej jednak wiosłował, pływając łódką, a najczęściej wdrapywał się na okoliczne alpejskie szczyty. W wielkim poście udawał się na dwutygodniową kurację

odchudzającą do hotelu St. Georg w austriackim kurorcie Bad Hofgastein, gdzie odżywiał się herbatkami ziołowymi, wodą mineralną i suchą mleczną bułką z orkiszu, pokrojona na dwanaście plasterków – połowa rano, połowa wieczorem. Razem z innymi pensjonariuszami przychodził w płaszczu kąpielowym na masaż lub pływał się po basenie. Mocno sapiąc, stawiał swój leżak pomiędzy innymi i od razu zapadał w sen. Ale nawet tam podejmował zagranicznych premierów. Podczas gdy szef rządu brytyjskiego John Major czy włoskiego Romano Prodi delektowali się wykwintnym menu, Kohl raczył się jogurtem lub żuł swoją bułkę. „Czy smakuje? Może jeszcze troszkę?”^[14] – proponował gościom dokładkę mięsiva, demonstrując przy tym wielką siłę woli. Odpoczynek kanclerski, letni i wiosenny, jako stały element weszły do politycznej symboliki Kohla. Jeśli wiosenna kuracja odchudzająca mówiła wyborcom o cnocie dyscypliny żelaznego kanclerza, to letnia kanikuła w St. Gilgen symbolizowała nagrodę należną za ciężką pracę. „Kto dużo pracuje, ten zasłużył sobie na odpoczynek” – brzmiał przekaz rządu z letniego pobytu w St. Gilgen uzupełniony kanclerską fotką. Promieniowała na niej masywna, zadowolona postać, niezmiennie przyodziana w szary anorak i brązowe, przyciężkawe sandały^[15]. Dokładnie takie, jakie noszą jego rodacy na wszystkich plażach świata ku oburzeniu obdarzonych nieomylnym zmysłem estetycznym Włochów. Wakacyjne zdjęcie kanclerza stanowiło rezultat zmuśniętych starań lokalnych prominentów i kanclerskich doradców, którzy w pocie czoła uganiaли się za odpowiednim i za każdym razem innym fotogenicznym czworonogiem, nieodłącznym elementem wizualnego przekazu.

Poprawny jest także urlop w Italii, choć bardziej w Toskanii niż w dyskotekowym Rimini. Sam patriarcha Adenauer wczasował się w Cadenabbii, urokliwym kurorcie Lombardii nad jeziorem Como: piętnaście pobytów przez kolejnych dziewięć lat. Ostatni raz na rok przed śmiercią. Zawsze z trzema córkami i siostrą w nieco zapuszczonej willi La Collina, ze skrzypiącymi podłogami i ukrywającymi się na strychu pod dachem nietoperzami. Obowiązywały spartańskie warunki. Gotowano na gazie z butli. Ciepłej wody w łazience wystarczało jedynie dla kanclerza, ale już nie dla trzech dorosłych córek. Sala jadalna była tak mroczna, że nazywano ją „kryptą”. Sztuńce i obrusy przywożono ze sobą. Brak komfortu wynagradzał fantastyczny widok na jezioro i góry, codzienne wędrówki pod pobliski szczyt do kapliczki, a po południu gra w bule – obowiązkowo w krawacie – w którą Adenauer przeważnie wygrywał, gdyż konkurenci z ochotą mu się podkładali^[16].

Podobna reguła jak dla Italii obowiązuje dla kanclerskich wczasów we Francji. Przyzwolenie wyborcy na urlop odnosi się do Normandii i całego wybrzeża atlantyckiego, ale już nie do owianej skandalem Riwiery, na której tłoczą się celebryci wszystkich nacji. Podejrzane są także Malediwy, Karaiby oraz Ibiza, wszystkie wyspy znane Niemcom ze skandali, o jakich czytują w prasie plotkarskiej. Dobrym wyborem zdaje się Hiszpania, w dwójnasób troszcząca się o intymność urlopu kanclerza z Niemiec. Kiedy w 2000 roku Schröder wypoczywał na Majorce, zrobione przez paparazzich z helikoptera zdjęcia hacjendy zostały przez miejscową policję natychmiast skonfiskowane, a wścibscy reporterzy zaproszeni na posterunek policji.

Na tym kończą się jednak plusy urlopu. Kanclerz nawet na wypoczynek musi lecieć maszyną rządową. Nie wolno mu korzystać z połączeń rejsowych. Ze względów bezpieczeństwa. Nie swojego, lecz współpasażerów. Co ma głęboki sens. Gdyby szykowano zamach w powietrzu, nie muszą razem z nim ginąć niewinni ludzie. Kolejna niedogodność: szef rządu na wypoczynek lata za darmo, ale najbliższa rodzina, żona i dzieci, płacą za lot według stawki, jaka obowiązuje

w klasie ekonomicznej Lufthansy. Skoro lot z Berlina do Italii dla trzyosobowej rodziny kosztuje 2 tysiące euro, to skąpy Schröder sam udawał się na urlop do Toskanii rządowym samolotem, a żonę i córkę wysyłał tanimi liniami. Później upodobał sobie leżącą nieopodal Neapolu wysepkę Ischia. Bywał tam tak często, że dorobił się honorowego obywatelstwa wyspy^[17]. Wypoczynek na łonie rodziny? Wykluczone. Urlop kanclerza przypomina wycieczkę zakładową lub wyjazd integracyjny. Towarzyszy mu nieodłącznie dwadzieścia-dwadzieścia pięć osób: osobisty referent, ochrona, stenotypiści niemieckiego wywiadu kodujący jego rozmowy. Nim kanclerz postawi nogę w kurorcie, na miejscu od kilku dni działa już oddziałek zwiadowczy, który zdąży założyć trzy specjalne kable telefoniczne. Bo na urlopie kanclerz cały czas jest informowany, co dzieje się na świecie. Telefonicznie z Berlina i w miejscu wypoczynku przez stacjonującego u jego boku sekretarza. W St. Gilgen, w pobliżu domku, w którym Helmut Kohl spędzał urlop, instalowano w latarniach ulicznych kamery telewizyjne. Raz jeden udało się ochronę wystrychnąć na dudka, ale tylko dlatego, że posiadłość bezpośrednio schodziła do jeziora. Wprawdzie kładki prowadzącej od domu do wodnego akwenu dyskretnie pilnowała austriacka żandarmeria, odpędzając wścibskich turystów na rowerach wodnych, jednak podczas wakacji w 1995 roku pod sam brzeg podpłynęła łódka. Kilku wesołków rozwinęło transparent z napisem „Kohl do roboty!”, po czym ściągnęło kąpielówki i wystawiło w stronę domku pośladki. Kanclerz, który akurat wygrzewał się na werandzie, incydentem bardziej się ubawił, niż przejął. Ale lista niedogodności urlopowych jest dłuższa. Zaproszenia do wspólnego spędzenia urlopu z biznesmenami lobbystami kosztowały prezydenta Christiana Wulffa utratę urzędu. Kanclerz Schröder jeszcze do dziś pamięta, jak mocno dostał po nosie, gdy amerykański pisarz Gore Vidal odrzucił jego prośbę o wynajęcie na dziesięć dni willi na malowniczym wybrzeżu Amalfi.

Długo planowany kanclerski urlop może w ogóle nie dojść do skutku. Schröder w 2003 roku już siedział na walizkach, a żona i córka miały bilety tanich linii lotniczych, gdy włoskiemu wiceministrowi turystyki Stefano Stefaniemu przyszło do głowy, by w środku sezonu urlopowego wyrzeshceć na całą Europę, że Niemiecscy turyści to „bekające chamy”^[18]. Kanclerz musiał demonstracyjnie rozpakować walizki i zostać w domu. A na dodatek zapłacić słony rachunek za niedoszły urlop hotelowi Flaminio w Pescarze – 50 tysięcy euro. Za rodzinę i 25-osobową grupę towarzyszącą. Zamiast wygrzewać się nad Adriatykiem, pechowiec przycinał żywopłot w ogrodzie swojego domu w Hanowerze.

Podróże samolotem to chleb powszedni na kanclerskiej posadzie. Lepiej więc, jeśli szef rządu nie cierpi na lęk przed lataniem. Choć incydenty w powietrzu się zdarzają. Najgroźniejszy Brandtowi podczas wizyty w Izraelu w 1973 roku, gdy cudem uniknął śmierci. Pod koniec pobytu niemiecki gość udał się helikopterem do Masady, legendarnej warowni powstańców żydowskich, którzy przed prawie dwu tysiącami lat, byleby tylko nie wpaść w ręce rzymskich legionistów, rzucali się z murów twierdzy w otchłań przepaści. Podczas lądowania silny podmuch wiatru rzucił maszynę z Brandtem na samą krawędź skalnej platformy. Ochrona kanclerza zakomenderowała: „Wszyscy opuszczająabinę!”. Wszyscy z wyjątkiem Brandta, który ze stoickim spokojem siedział w środku. Niesiony porywem wiatru helikopter zatrzymał się metr przed krawędzią przepaści. Dopiero wtedy kanclerz wyszedł z kabiny, otrzepując kurz z marynarki. Miejscowy dziennikarz podbiegł do niego i zapytał: „Czy to nie cud, że się udało?”. „Cuda zdarzają się tylko w Izraelu” – odpowiedział Brandt, znany z agnostycznego światopoglądu^[19]. Kanclerz nie posiada wyłączności na flotę powietrzną, lecz użytkuje ją

do spółki z prezydentem Niemiec i przewodniczącym Bundestagu oraz z resztą ministrów, najczęściej szefem MSZ. Minister spraw zagranicznych Joschka Fischer (1998–2005) przeżył w powietrzu pożar obydwu silników. Dym dostał się do kabiny pasażerskiej. „Czy muszę najpierw być wystawiony na katafalku w ministerstwie, by nasza flota mogła otrzymać nowe maszyny?” – wściekał się na posiedzeniu rządu po powrocie^[20]. Rząd Schrödera starał się o zmodernizowanie powietrznej floty. Bezskutecznie. Jego własny minister finansów przystopował wydatki rządu. Dlatego flota powietrzna kanclerza do niedawna składała się z dwóch starych airbusów A310 i trzech helikopterów Cougar. Obydwa airbusy – „Konrad Adenauer” i „Theodor Heuss” – były spuścizną po enerdowskiej Interflug. Latał nimi jeszcze towarzysz Erich Honecker. Mogły zabrać na pokład dwanaście osób do kabiny VIP-owskiej, dwadzieścia dwie do klasy biznes i pięćdziesiąt siedem do ekonomicznej. W przestworzach kanclerz mógł pozwolić sobie na prysznic, uciąć drzemkę w sypialni lub zwołać posiedzenie w specjalnym gabinecie. Trudno mu się było uskarżać na serwis i catering. Na tym kończył się komfort latania rządową maszyną. Zapas paliwa wystarczał na to, by dolecieć na Wschodnie Wybrzeże USA, ale już nie do Japonii czy Australii. Wtedy konieczne stawało się międzylądowanie i dodatkowe tankowanie. W lutym 2002 roku „Konrad Adenauer”, którym leciał Schröder z Meksyku do São Paulo w Brazylii, musiał wylądować w środku Puszczy Amazońskiej. Z kolei podczas ostatniego powrotu Schrödera z Chin kanclerska maszyna świeciła pustkami. Wielu towarzyszących kanclerzowi biznesmenów wołało wrócić lotami rejsowymi pierwszą klasą. Ścisły krąg wtajemniczonych wiedział również, że „Theodor Heuss” miał specjalne „wyposażenie”: zacinające się drzwi do toalety i spore wyrzuszenia w blatach stolików. Śniadanie czy obiad w tych warunkach stawały się ryzykowne. Do tego nie wszystkie fotele się rozkładały. Pomieszczenie na konferencje prasowe jest tak małe, że ściśnięci jak śledzie w beczce dziennikarze siedzieli szefowi rządu dokoła nóg. Największą niesławą cieszył się mikrofon, który wiecznie strajkował, podobnie jak tak zwany air show mający pokazywać na monitorze trasę lotu.

Większy komfort czekał kanclerza w trakcie podróży na lądzie. Do jego wyłącznej dyspozycji stały: mercedes klasy S, bmw serii 7, volkswagen Phaeton oraz audi A8 L 4.2 quattro. Cena tego przedostatniego to, bagatela, 115 tysięcy euro. Wszystkie limuzyny z wyjątkiem srebrnego audi są w kolorze czarnym; wszystkie wyposażono w telefon i faks. Ochrona jeździ identycznymi samochodami, by nikt nie mógł rozpoznać, w którym wozie siedzi kanclerz. Zabieg ten jednak bierze w łeb, ponieważ przy okazji wymienia się też tablice rejestracyjne w kanclerskim wozie, a każdy szef rządu umieszcza na nich początkowe litery rodzinnego miasta. Kierowca kanclerskiej limuzyny nigdy nie musi się martwić o to, że utknie w korku. W Berlinie nie potrzebuje nawet włączać syreny. Na trasie przejazdu limuzyny z kanclerzem wszystkie sygnalizatory świetlne na skrzyżowaniach automatycznie zapalają się na zielono. Nikt inny nie cieszy się w Niemczech takim przywilejem. Schröder, wielki miłośnik szybkich samochodów i przyjaciel prezesów koncernów samochodowych, sam niekiedy siadał za kółkiem. Był jednak wyjątkiem. Kohla jazda samochodem zupełnie nie pociągała. Brandt nawet nie miał prawa jazdy. Za kierownicę auta siadał tylko w lunaparku.

Z narażeniem życia

Posada kanclerska wymaga końskiego zdrowia. Kilka lat na urzędzie rujnuje je znacznie.

Szesnastogodzinny dzień pracy, mało snu, jeszcze mniej ruchu i sportu, wiecznie na krześle, w fotelu, w samochodzie. Niekończąca się karuzela spotkań przy suto zastawionych stołach. Stałe napięcie i stres. Największy szok przeżył kanclerz Kiesinger, gdy został publicznie spoliczkowany przez 29-letnią dziennikarkę za przynależność w latach III Rzeszy do hitlerowskiej NSDAP. Za co pisarz Heinrich Böll przysłał jej bukiet kwiatów, a sąd skazał na rok więzienia, zamieniony na sześć miesięcy w zawieszeniu. Kohla regularnie w latach 90. obrzucano zgniłymi pomidorami. Wicekanclerz i szef Partii Zielonych Joschka Fischer oberwał jajkami, nim ochrona zdążyła przed nim rozpiąć parasole. Nie stracił jednak kontenansu, pytając, czy jajko pochodziło od kury z ekologicznego chowu.

Powszechnie jednak kanclerze cierpią na częste przyipyływo złości, której nie wolno im wyładować. Brandt dla ukojenia nerwów rozrywał drewniane spinacze do wieszania bielizny, które zawsze miał na biurku^[21]. Nie uchroniło go to przed zawałem serca, który przeszli też Adenauer i Kiesinger. Z tym że Brandt dowiedział się o nim już długo po fakcie. Schmidt zaczął cierpieć na zaburzenia rytmu pracy serca. Erhard zmarł na zapalenie mięśnia sercowego. Kohl dopiero na emeryturze dostał wylewu i od kilku lat jeździ na wózku. Tak naprawdę nikt nie wie, co przytrafiło się mu 23 lutego 2008 roku. Tego dnia późnym wieczorem jego kierowca zastał go leżącego w kałuży krwi na podłodze w kuchni własnego domu. Prawdopodobnie upadł całą siłą bezwładnego ciała na twarz. Od tej pory stracił mowę. Przestał mówić akurat ten, który także dzięki swoim słowom wszedł do historii Europy. Teraz nie może nawet bronić swojego historycznego dzieła, wprowadzenia waluty euro, choć na fali kryzysu spotyka się ono z silną krytyką. Kohl wyduka czasem pojedyncze słowo, „cukier” albo „ciastko”, gdy kawa wyda mu się zbyt gorzka. Z reguły jednak, jeśli czegoś chce, kiwa głową.

Schmidt przez cały dzień odżywiał się kawą, colą i zupkami. Za to już Kohl, którego waga była tajemnicą państwową (150 kilogramów), trudy osiemnastogodzinnego dnia pracy rekompensował sobie przy stole. Na kolację spędzał pół Urzędu Kanclerskiego. Najpierw do renomowanych bońskich restauracji, potem, gdy zatrudnił swoich kucharzy, by uciec przed wścibskimi uszami, do kanclerskiej stołówki. Uwielbiał urągającą zdrowej diecie ciężkostrawną niemiecką kuchnię: golonki, gęsi, pieczone mięso, pieczoną kielbasę. Ale prawdziwym cymesem, za którym przepadał, były żołądki wieprzowe. Potrawa, która dzięki niemu trafiła do wyrafinowanego menu Lufthansy, składała się z kartofli i mielonego mięsa wypełniających żołądek wieprzowy. Pikantna mieszanka była następnie gotowana, krojona w plastry, podpiekana i serwowana z truflami. Na uczty obżarstwa – wieprzowe żołądki, zapiekane kielbasy ze skwarkami, strudle z kaszanką czy wątrobianką w sosie musztardowym, lody cynamonowe – Kohl zapraszał mężów stanu z całego świata do prowincjonalnego Oggersheim, swojego rodzinnego miasta. Wszyscy jego goście wstawali od stołu zniechęceni do jakiegokolwiek wysiłku fizycznego, zachowując ciepłe wspomnienia spotkania. Bo dla Kohla dobre jedzenie stanowiło wstęp do dyplomacji, stwarzało swobodny nastrój do rozmowy^[22]. Podobnie jak Kohl, tak i Schröder stres odreagowywał przy uginającym się stole. Do tego jeszcze palił cygara. Brandt z kolei ćmił papierosy. Ale obydwoj ustępowali pola Schmidtowi, który papieros zapalał od papierosa. Niekiedy, by zakurzyć, specjalnie wstawał z łóżka w nocy. No i konia z rzędem temu, kto znajdzie fotografię Erharda bez cygara. Dziennie wypalał dwanaście-piętnaście sztuk. Zgodnie ze swoim politycznym credo: „Dobrobyt dla wszystkich”. Żaden z kanclerzy nie gardził też alkoholem. „Kraj musi być rządzony wątrową” – ujawnił raz

Schröder, który na okrągło przechwalał się, że potrafi wypić piętnaście piw bez popadania w zamroczenie^[23]. „Głupi, leniwy, w dodatku pije” – brzmiała z kolei kolektywna opinia amerykańskiej administracji prezydenta Nixona o Brandcie^[24]. Całkiem trafna. Brandt chętnie sięgał po drinka. Zresztą i pozostali kanclerze taką samą wagę jak do relacji z Francją przywiązywali do zapelnienia kanclerskiej piwniczki. Kohl duże ilości ulubionego rieslinga sprowadzał z rodzinnego Palatynatu. Spiżarnię w Urzędzie Kanclerskim w Bonn kazał przerobić na winiarnię. Może dlatego jemu akurat najdłużej dopisywało zdrowie. Przez szesnaście lat na urzędzie przeszedł jedną operację prostaty, jedną na łękotkę, parę razy dopadła go grypa. Gdy nie mógł się już schylać, by zawiązać sznurówki, zaczął nosić buty wsuwane. Inni kanclerze mieli mniej szczęścia. Schmidt latami cierpiał na nadczynność tarczycy i zaburzenia rytmu serca. Podczas wizyty w Paryżu zaniemógł i stracił przytomność w gabinecie Valéry’ego Giscarda d’Estaing. „Infekcja” – brzmiała uspokajająca opinię publiczną diagnoza rządowej kliniki w Koblencji. Tak naprawdę parę razy zatrzymało się jego serce. Od tamtej pory Schmidt żyje z rozrusznikiem. Dwadzieścia lat wcześniej przemilczano zawał u Adenauera. Podanie tej informacji do wiadomości publicznej oznaczałoby dla 86-latkę nieuchronne złożenie urzędu. Schröder natomiast osobiście zaprzeczał, że siwieje na potęgę i farbuję sobie włosy, by w 2005 roku zwiększyć szanse na reelekcję.

Pożegnanie z urzędem odbywa się na skutek klęski w wyborach, podania się do dymisji albo też przegrania w parlamencie głosowania nad wotum nieufności. Najczęstszy wariant, własna dymisja, dotknęła: Adenauera (1963), Erharda (1966), Kiesingera (1969) i Brandta (1974). Schmidt (1982) przepadł w wyniku wotum nieufności, a Kohl (1998), tak jak Schröder (2005) przegrał wybory. Nigdy ustąpienie z urzędu nie było wymuszone zaawansowanym wiekiem. Na emeryturze Kiesinger przeżył jeszcze dziewiętnaście, Brandt osiemnaście, Erhard jedenaście lat. Tylko Adenauer zmarł trzy lata po dymisji, za to w imponującym wieku dziewięćdziesięciu jeden lat. Na pakowanie walizek, wyprowadzkę z Urzędu Kanclerskiego i mieszkania służbowego ustawa przewiduje komfortowe trzy miesiące. Niepisany kodeks wymaga jednak od następcy, by nie trzymać się kurczowo tego terminu. Kohl wspaniałomyślnie zaproponował Schmidtowi w 1982 roku, by sam ustalił datę wyprowadzki. Szesnaście lat później Schröder, gdy kolej przypadła na niego, okazał się równie wspaniałomyślny. Z chadeckim kolosem mieszkał pod jednym dachem, nim ten ostatecznie wyprowadził się ze służbowego mieszkania. Wino z Palatynatu popijali obydwaj, Kohl ze swoich prywatnych zapasów, Schröder ze skrzynek zabunkrowanych przez poprzednika w szafkach z aktami.

Na emeryturze

Emerytura jest zapewniona niezależnie od tego, czy kanclerz odszedł w chwale, czy w niesławie. Po jednej kadencji ekskanclerzowi przysługuje 4,3 tysiąca euro. Najwyższą emeryturę pobiera Kohl, za cztery kadencje 11,3 tysiąca euro. Podreperowanie jej nie przychodzi trudno. Rzadko który kanclerz popada w nieróbstwo. Zresztą nie trzeba być lekarzem, by wiedzieć, że hamowanie przy prędkości 200 kilometrów na godzinę do zera może zaszkodzić zdrowiu. Erharda po rozstaniu z urzędem jeszcze trzykrotnie wybierano na posła, Schmidt został współwydawcą największego tygodnika w Niemczech, Kohl szefem własnego biura doradczego do spraw polityki i obronności. Największego wyczynu dokonał Schröder, który z dnia na dzień przesiadł się na fotel prezesa rady nadzorczej rosyjskiego konsorcjum

Nord Stream budującego Gazociąg Północny na dnie Bałtyku.

Byli kanclerze nie narzekają na finanse. Po przejściu na polityczną emeryturę nie muszą kasować biletu w tramwaju. Schröder jeździ obecnie siedmioma służbowymi samochodami, w tym kilkoma limuzynami Mercedesa i dwoma volkswagenami T5, Kohl trzema luksusowymi mercedesami 600 SEL, a Schmidt czterema, w tym dwoma mercedesami 420 cdi. Wszystkie wyposażone są w szyby pancerne i dostosowane do indywidualnych kaprysów właściciela. Im więcej czasu upływa od odejścia z urzędu, tym lepiej jest oceniane sprawowanie władzy; na biurku rosną stosy zaproszeń na wykłady, przyjęcia i jubileusze, na ścianie dyplomy doktoratów honoris causa, a szuflady zapychają liczne wyróżnienia i nagrody. Kohl za życia trafił na znaczek pocztowy o wartości 55 centów. Choć od 2013 roku jego nominał jest już o 3 centy za niski, by wysłać nim zwykły list. Adenauer i Brandt doczekali się pomników, ulic, ich nazwiska patronują fundacjom partyjnym.

O tę właśnie posadę w 2005 roku postanowiła zawalczyć Angela Merkel. Pomimo że jej życie toczyło się zupełnie odmiennymi torami od tych, jakie były wspólne dla dotychczasowych kanclerzy. Od Adenauera do Schrödera wszyscy pochodzili z RFN. Wszyscy mogli się wymieniać receptami na bożonarodzeniowe ciasto Christstollen, a swoją chadecką czy socjaldemokratyczną partię znali jak własną kieszeń.

Czarna wdowa?

Po kopulacji samiczka pająka z rodzaju „latrodectus” pożera dużo mniejszego od siebie samca, zostając „wdową”.

Merkel została kanclerzem między innymi dlatego, że z uporczywym zaślepieniem ignorowali ją mężczyźni konkurenci. Głupcy – nie wiedzieli, że kto tej kobiety nie potraktuje poważnie, straci życie. Dali się zwieść jej dziewczęcej fryzurze z grzywką na pazia, minie żółtodzioba, sandałkom z rzemykami czy charakterowi pisma. Tak, tak, Angela Merkel do dziś stawia okrągłe, równiutkie litery. Jak pierwszoklasistka, która w podkolanówkach i z tornistrem na plecach maszeruje do szkoły. Ze swoim charakterem pisma mogłaby wygrać klasowy konkurs kaligraficzny. Kto przygląda się jej starannemu pismu, od razu widzi w niej potulną uczennicę. Takiego pupilka Kohla. Tymczasem człowiek, który jako pierwszy wprowadził ją do polityki, Ehrhart Neubert, stwierdził: „Według Hannah Arendt władza to umiejętność tworzenia i konsolidowania relacji. Merkel, gdy była w DA, wykorzystywała sprzyjające jej okoliczności do ich tworzenia i konsolidowania. Różnica między tamtą a dzisiejszą Merkel polega na tym, że obecnie potrafi sama te okoliczności wykreować” [1]. Przekonali się o tym pierwszozigowii politycy: de Maizière, Krause, Kohl, Schäuble, Stoiber, Merz i Schröder. Już pół roku po strąceniu Kohla, zapytana o stosunek do wielkiego kanclerza, Merkel odpowiedziała tak, jakby chodziło o trupa: „Nie budzi we mnie emocji. Przejąwszy ster CDU w swoje ręce, ani go nie odwiedziłam, ani z nim nie rozmawiałam przez telefon. On natomiast zaferował mi, że jeśli potrzebuję jego pomocy i wsparcia, otrzymam je. Myślę, że go kiedyś o to poproszę” [2].

Tajemnicę jej zwycięskiej strategii w męskim klubie zdradził wytrawny polityk bawarskiej CSU Michael Glos. Jowialny Bawarczyk, który dotarł do finiszu swojej politycznej kariery, przez długie lata obserwował ją z odległości wyciągniętej dłoni. Dosłownie. Siedział z nią w Bundestagu ramię w ramię jako rzecznik posłów CSU we wspólnej z CDU chadeckiej frakcji. Na pięćdziesiąte urodziny sprezentował jej jako zapalony myśliwy piersiówkę z nalewką. Oczywiście własnej roboty. W głębokim dla niej uznaniu jako łowczyni i kolekcjonerce politycznych trofeów. Z perspektywy myśliwego wyjaśniając, że „świetnie wie ona, iż do głuszców najlepiej strzelać podczas zalotów”, bo czarują wtedy samice tańcem i tokowaniem. Tak się przy tym zapamiętują, że głuchną, dzięki czemu myśliwi podchodzą do nich na odległość kilku kroków. „Merkel to wytrwały myśliwy, który z anielską cierpliwością czeka na okazję” – kończy opowieść Glos [3].

Strategię Merkel równie dobrze można opisać jako technikę judoki. Gdy jej polityczny rywal rusza na nią, ona robi unik, wykonuje skręt biodrami i wykorzystując siłę rozpędu napastnika, w półobrocie rzuca go z hukiem na ziemię. Oszczędza przy tym swoją energię. Stosunek

nakładu sił własnych do uzyskanego efektu jest minimalny.

Mniej ważne, co lepiej opisuje strategię Merkel, technika judoki czy myśliwego. W obydwu wariantach wie ona świetnie, jak funkcjonują mężczy przeciwnicy. Zna ich próżność, słabości i zalety. Zachowują się zawsze w sposób dla niej przewidywalny. W układanych przez nią jako fizyka władzy równaniach są stałym współczynnikiem. Skąd posiada tę wiedzę? Z długoletniej obserwacji samców alfa, pewnych siebie, rozpychających się łokciami, pozbawionych samokrytycyzmu. Pierwszym obiektem tych wnikliwych studiów był jej własny ojciec, dominujący i władczy z natury. Kolejnymi – rówieśnicy w szkole, pastorzy odwiedzający jej ojca w Templinie, później koledzy na silnie zmaskulinizowanych studiach fizyki i współpracownicy w Adlershofie, gdzie była jedyną kobietą. Wreszcie buchający politycznym testosteronem chadecy. Przez cały czas otaczali ją silni mężczyźni. Poznawała ich rytuały i wzorce zachowań. Pewnie dlatego potrafi dziś naśladować mimikę i gesty Kohla, Putina czy Schrödera, parodiuje ich grymasy twarzy, którymi okazują otoczeniu, że są nim znudzeni. Merkel znakomicie podpatrzyła, jak podkreślają majestat swojej władzy, jak Putin traktuje ministrów niczym faraon.

W konfrontacji z osobnikami alfa Angela Merkel unika starcia w otwartym polu. Prawdopodobieństwo porażki sięgałoby wtedy wyżej niż statystycznych 50 procent. Woli cierpliwie, nawet długo, wyczekiwać na błąd konkurenta: owo tokowanie głuszca czy atak judoki. Taka strategia gwarantuje więcej szans na spektakularny upadek rywala, zmniejszając ryzyko własne. Dyskontując błędy konkurentów, wykazuje się Merkel nie tyle nadzwyczajnymi zdolnościami, ile zdrowym rozsądkiem. Unikanie własnych kardynalnych błędów jest w politycznej karierze istotniejsze od wielkich osiągnięć. Politycy dużo częściej padają ofiarą swoich potknięć niż bezbarwności, nudziarstwa czy braku politycznego temperamentu.

Z perspektywy jej rywali to jednak ona uchodzi za aktywną i atakującą. Dlatego na chadeckich baronów padł błady strach, jeszcze nim została kanclerzem. W toczonych za plecami przewodniczącej CDU rozmowach pojawiło się złowieszcze określenie: „czarna wdowa”. Tak nazywa się w arachnologii jadowitą samicę pająka, która zaraz po kopulacji pożera partnera, o ile ten wcześniej się nie ulotni. Jej jad jest piętnaście razy silniejszy od jadu grzechotnika. W 1987 roku pod tym tytułem nakręcono kultowy film z Theresą Russell w roli głównej. Opowiada o przebiegłej kobiecie, która seryjnie wychodzi za mąż za milionerów, nakłania ich do zmiany testamentu i zapisania jej spadku, po czym morduje każdego z nich. Jak Merkel?

Gdy w 2004 roku przewodnicząca CDU pozbyła się drugiej osoby w partii, sekretarza generalnego Laurenza Meyera, choć posiadał on mandat pochodzący z wyboru kongresu partii, otoczenie Merkel gromko zaalarmowało: „Czarna wdowa znowu kąsa”^[4]. Merkel, by „pożreć” ofiarę, zgodnie ze swoją strategią przyczaiła się i czekała. W zbyt nijakiego jej zdaniem Meyera uderzyła dopiero wtedy, gdy mogła wykorzystać moment jego politycznej słabości. W 2004 roku przyłapano go na łapówkarstwie. Gdy dobrano mu się do skóry, okazało się, że obok pensji posła inkasował drugą, nielegalną, za członkostwo w zarządzie koncernu energetycznego, skąd pobierał jeszcze jako wyjątkowy skąpiec prąd po obniżonej cenie. Skandalowi nadzwyczajnej pikanterii dodawał fakt, że kilka lat wcześniej Meyer pozował na sprawiedliwego szeryfa, firmując plakat w formie listu gończego za „okradającym obywatela przestępcą”, którym był kanclerz Schröder. Meyer ze ścigającego stał się ściganym. Wszystkie apanaże, co do feniga, oddał na cele charytatywne. Ale Merkel litości dla niego nie miała.

Wysłała go na polityczną emeryturę.

Jak funkcjonuje Merkel jako czarna wdowa? Niektórzy „specjaliści” twierdzą, że jej polityczny jad paraliżuje umysł ofiary, odbiera jej zdolność postrzegania rzeczywistości taką, jaka ona jest naprawdę. Ofiara maszeruje prosto do rozsnutej przez Merkel pajęczej sieci, śmiertelnie się w niej zaplątuje. Nieświadoma, że popełnia kompromitujące czyny. Aż ginie. Wszystkie ofiary mają jedną cechę wspólną: są polityczną konkurencją^[5].

Mit czarnej wdowy na pierwszy rzut oka świetnie wyjaśnia rzeczywistość. W istocie jednak bardziej zaspokaja męską fantazję. Bo tej raczej trudno jest się pogodzić z faktem, że kobieta przebiegłością góruje nad stadem facetów. Nie trucizną, tylko wytrwałością Merkel usuwa konkurencję. Niekiedy sprzyja jej szczęście. Ona tylko cierpliwie czeka. Jak sama to postrzega, wyjaśniła za pomocą następującego przykładu: „Jeśli dać kobiecie do ręki przyrząd do robienia doświadczeń, ta najpierw uważnie mu się przyjrzy, obejrzy go ze wszystkich stron, zastanowi się nad jego przeznaczeniem, możliwe też, że parę myśli zapisze. I dopiero wtedy ostrożnie weźmie przyrząd do ręki. Mężczyzna natomiast od razu rzuci się na niego, święcie przekonany, że sekret jego działania ma w małym palcu. Przy dziesiątym podejściu okazuje się jednak, że pojęcia nie ma, jak ten przyrząd działa. Można być w ogóle zadowolonym, jeśli przyrząd przetrwa”^[6]. Tyle Merkel.

Jeśli przywoła się po kolei wszystkie jej ofiary, to widać wyraźnie, z jaką zapalczywością i nonszalancją „chwytają one przyrząd”. Jej strategia natomiast jest całkiem prosta. Mężczyznom trzeba pozwolić działać. A niekiedy delikatnie ich do tego zachęcić. Sami sobie złamią kark. Wolfgang Schnur i Lothar de Maizière przepadli po oskarżeniach o współpracę ze Stasi. Pierwszy z nich całkowicie się skompromitował, drugi po oskarżeniach miał polityki po dziurki w nosie. Krause potknął się o swoją manię wielkości. Kohla z gry wyeliminowała afery czarnych kont, Schäublego łapówka w wysokości 100 tysięcy marek. Stoiber przegrał wybory kanclerskie. Merz zachował się jak panienka. Obraził się na Merkel i pokazał jej język, gdy nie dotrzymała wcześniejszej umowy, odbierając mu szefostwo frakcji chadeckiej w Bundestagu, choć wcześniej zapewniała go o swej lojalności. Schröder, samiec alfa, przegrał wybory do Bundestagu, ale szedł w zaparte, mówiąc, że je wygrał. Wszystkie te przykłady wzorcowo ilustrują metodę usuwania przez Merkel konkurentów. Na to, by pozbyć się ich z otwartą przyłbicą, nie miała ani środków, ani sił. Zaczaiła się więc i odczekała, aż każdy z nich zaczął chaotycznie działać i padł ofiarą swoich błędów, najczęściej próżności i niecierpliwości. Ona ich tylko dobiła.

W rywalizacji z chadecką konkurencją spod znaku paktu andyjskiego posada kanclerza zwiększyła w jej ręku arsenał środków politycznego uwodzenia i upokarzania. Łatwiej jej przychodziła eliminacja andystów, którzy – choć złączeni uczuciem niechęci do niej – toczyli między sobą bój o pozycję w CDU. A ona mogła oferować stanowiska w rządzie czy w partii, łamiąc lojalność wewnątrz łóży. Mogła odmawiać tychże stanowisk głodnym zaszczytów andystom, pograżając ich w politycznym niebycie. Mogła wreszcie rozdawać takie stanowiska, które były polityczną pułapką. Merkel stała się jeszcze twardsza, a gdy trzeba – bezwzględniejsza. Nic dziwnego, że od tej pory wśród członków paktu kursowała lista jej ofiar. Nigdy niepublikowana, ale z pamięci recytowana przez zainteresowanych, zawierała nazwiska politycznie ukąszonych jadem czarnej wdowy.

Jako pierwszego unieszkodliwiła adorującego ją Friedberta Pflügera. Dyskretnie, ale zdecydowanie utwierdzała go w ambitnym, samobójczym zamierzeniu: odbicia dla CDU z rąk

SPD rządów w Berlinie, tej ultraliberalnej, zsekularyzowanej metropolii singli, patchworkowych rodzin, mniejszości etnicznych i seksualnych, z największą Love Parade na świecie, a zarazem najmniejszą w Niemczech liczbą wierzących^[7]. Merkel dobrze wiedziała, że w tym wybitnie niechadeckim biotopie szanse dystyngowanego intelektualisty i eksperta CDU od polityki zagranicznej na pokonanie urzędującego burmistrza z SPD Klaus Wowereita równały się zeru^[8]. Wowereit rządzi w Berlinie do dziś, w 2011 roku wybrany został po raz czwarty. I czuje się w stolicy jak wódz w indiańskiej wiosce. Podczas kampanii wyborczej w 2006 roku jego autografy na eBayu za jedno euro rozchodziły się jak świeże bułeczki. Pflügerowi natomiast, słabo odczytującemu nastroje wielkomiejskiego elektoratu, daleko było do Wowereitowskich akcji rozdawania prezerwatyw. „Berlin zasłużył na pierwszą damę” – niezmordowanie powtarzał podczas kampanii wyborczej swój slogan^[9], po części oddając hołd atrakcyjnej, dwadzieścia dwa lata od niego młodszej drugiej żonie, po części celując w gejowską orientację urzędującego burmistrza. Kiedy ten na krótko przed wyborami zwrócił się z pozdrowieniem do berlińskich środowisk homoseksualnych świętujących doroczny festiwal, katolik Pflüger z oburzeniem odmówił skierowania swojego pozdrowienia „do uczestników erotycznych targów wyprowadzających na ulice miasta partnerów na smyczy”^[10]. Za przyzwoleniem Merkel, która konsekwentnie łechtała niepokohamowaną ambicję desperata w jego mission impossible, jednocześnie zostawiając go bez wsparcia ze strony centrali CDU w kampanii wyborczej. W wyborach do berlińskiego Landtagu Pflüger poległ. Kampania wyborcza specjalistę od Iraku i Afganistanu kosztowała kilka dobrych kilogramów. Na ostatnich zdjęciach przed wyborami wyglądał jak połowa siebie. W czasie kampanii jego żona poroniła. Miesiąc później przyszedł do Merkel po prośbie: by uwzględniła go przy kompletowaniu nowego prezydium CDU na listopadowym kongresie. „Mogę liczyć na twoje wsparcie?” – pytał. Jakaż to dla niej musiała być satysfakcja! Żebrzący o jej łaskę andysta! „Nie potrzebujesz mnie przecież. Masz pakt andyjski”^[11] – ironizowała. Nie przyszła mu w sukurs. A dwa lata później ze stoickim spokojem przyglądała się, jak w wyniku wyborczej porażki berlińska CDU przeczłogała intelektualnego światowca. Obalony na drodze intrygi przez kolegów z berlińskiej CDU ze stanowiska szefa berlińskiego CDU, Pflüger wziął rozbrat z polityką, a w 2009 roku dał nogę do Londynu, by objąć posadę dyrektora szacownego Europejskiego Centrum Bezpieczeństwa, Energii i Surowców.

Jak Pflügerowi na federalnej, tak Elmarowi Brokowi na międzynarodowej arenie zablokowała dalszą ścieżkę kariery, choć ten rodowity Westfalczyk z wielką rudą czupryną i jednym tylko okiem – drugie stracił w wieku sześciu lat – nie bruździł pod jej bokiem w Berlinie, gdyż od 1980 roku nieprzerwanie reprezentuje Niemcy w Parlamencie Europejskim. „Najlepsze u Broka jest to, że śmiesznie łatwo zapamiętać jego życiorys: urodzony, ożeniony, Parlament Europejski” – rechotał jowialny Kohl. Nie przeszkadzało to jednak europarlamentarzyście jako „jednemu z nielicznych pielęgnować stałe kontakty z krajem”^[12]. Stąd korespondencyjnie i z doskoku, lecz ochoczo uczestniczył w knowaniach chadeckiej łoży. Kanclerz Kohl wspierał swojego człowieka w Strasburgu, lokując go mocno w systemie. Szczególną sympatią zapalał do niego, gdy w kontekście sceptycznej postawy Francji i Anglii wobec zjednoczenia Niemiec Brok rozpoczął wielką ofensywę w pozyskiwaniu europosłów, nie gardząc także komunistami, aż zebrał ich tyle, że przewyższył nimi liczbę zwolenników zjednoczenia w Bundestagu. Zostawszy kanclerzem, Merkel z dużym dystansem odniosła się do pupilka Kohla i korespondencyjnego andysty. Wołała go trzymać na odległość.

I z żelazną konsekwencją odmawiała spełnienia jego życzeń: stanowiska komisarza unijnego czy ambasadora w Waszyngtonie. Gdy definitywnie rozbiła w pył „pakt andyjski”, Brok przestał być groźny. Tak rozbrojonego okręciła sobie wokół palca, wykorzystując jego zdolności. Obarczyła go specjalną misją: sfinalizowania w Brukseli rokowań nad paktem fiskalnym, jej najważniejszym remedium na bolączkę kryzysu finansowego w Unii Europejskiej. Brok tak wzorowo wywiązał się z zadania, że wołał dopilnować finału negocjacji, niż przybyć na zorganizowaną na jego cześć przez samą kanclerz wielką fetę w Berlinie. „Nie mogłeś ode mnie żądać, bym laudację wygłosiła pod twoją nieobecność. To byłoby za dużo dla przyjaźni”^[13] – oświadczyła andyście, który przeszedł na jej stronę.

Takiego koła nie zatoczyła relacja z Christophem Böhrm. „Ostatni przyjaciel Kohla” – tytułowały go media w szczytowym okresie afery czarnych kont i zaraz po przejęciu przez Merkel przewodnictwa CDU^[14]. Jego przywiązanie do wielkiego kanclerza było absolutne, jak syna do ojca. Do dziś na biurku sygnatariusza paktu stoi zdjęcie chadeckiego patriarchy w srebrnych ramkach, z osobistą dedykacją^[15]. Choć z Kohlem bardziej niż ideologiczna bliskość łączyła go wspólnota pochodzenia. Obydwaj wywodzili się z Nadrenii-Palatynatu, obydwaj przewodzili tamtejszej CDU. Przy czym Böhr, syn architekta, intelektualista z tytułem doktorskim i uporczywą skłonnością do używania wyrazów obcych, miał dużo mniejszą charyzmę niż jego szacowny mentor. Przewodząc od 1996 roku CDU w Nadrenii-Palatynacie, nie znalazł wspólnego języka z wyborcami i dwukrotnie z rządu przegrał wybory do mogunckiego Landtagu. W efekcie nigdy nie został premierem landu. Możliwe, iż dlatego tematem pracy doktorskiej uczynił „popularność jako program i problem”. Ale druga z rządu porażka w wyborach krajowych na początku 2006 roku zmusiła go do rezygnacji z zajmowanych stanowisk: szefa CDU w Nadrenii-Palatynacie oraz zastępcy Merkel w partyjnej centrali – woda na młyn dla czarnej wdowy. Wystarczyło jej teraz, by pozbawionego gruntu pod nogami andystę utopić elegancko w politycznym niebycie, nie powierzając mu nowych godności. O dokooptowaniu do rok wcześniej sformowanego rządu i tak nie mogło być mowy. W grę wchodziła jedynie prestiżowa funkcja członka zarządu Fundacji Adenauera. I tej mu właśnie Merkel odmówiła. Böhr rozstał się z polityką. Przywdział akademicką togę i schronił za murami uniwersyteckimi, przyjmując posadę profesora.

Jak wielkie ciężki od Merkel zebrał pakt i jak bardzo skarłowaciał w ciągu czterech lat jej pierwszej kadencji jako kanclerza Niemiec (2005–2009), ujawniła podróż zagraniczna jego członków na Wielkanoc 2009 roku. Konserwatywna męska loża nieprzerwanie bowiem organizuje krótkie zagraniczne wojaże. Jak w 1979 roku. Ekskluzywny tour za pieniądze podatnika wiodą na wszystkie kontynenty. Luksusowe hotele, wytworne menu należą do żelaznych punktów programu, podobnie jak rauty z miejscową elitą polityczną, przeplatane wycieczkami turystycznymi. Między oficjalnymi spotkaniami zawsze znajdzie się dość czasu, by omówić delikatne sprawy personalne: kto powinien wejść do prezydium CDU, zostać premierem landu czy chadeckim kandydatem na kanclerza. Tymczasem podróż na okrągłą trzydziestkę paktu jest raczej papierkiem lakmusowym jego uwiadu. W 2009 roku, roku wyborów do Bundestagu, chadecka nominacja na kanclerza jest przesądzona. Z urzędu w blokach startowych ulokowała się już Angela Merkel. W Buenos Aires, dokąd prowadzi jubileuszowa podróż, nie ma czego omawiać. Z największego sprzysiężenia w dziejach RFN pakt andyjski staje się co najwyżej pięciogwiazdkowym biurem turystycznym dla chadeckich emerytów.

Na członków loży polityków czekają zarezerwowane pokoje w jednym z najznakomitszych hoteli Ameryki Południowej Alvear Palace: majestatyczne salony w kolonialnym stylu, w hotelowych łazienkach unosi się zapach mydełek Hermès de Paris, w restauracji potrawy serwuje sam francuski mistrz kuchni Jean-Paul Bondoux. Na Wielką Sobotę zaplanowano spotkanie z niemieckim ambasadorem w Argentynie, w niedzielę wielkanocną grill w legendarnej La Cabana, gdzie steki kosztowali już Fidel Castro i Louis Armstrong. Punkt kulminacyjny stanowi przyjęcie z okazji sześćdziesiątych urodzin Matthiasa Wissmanna. Jako prezes Niemieckiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego włożył szczególnie dużo trudu w przygotowania. Volkswagen pokrył lwią część kosztów. Bo gdzie Wissmann mógłby lepiej omówić kwestię pożyczki państwowej niż właśnie w Buenos Aires? Ku jego wielkiemu rozczarowaniu na lotnisku zjawiają się tylko dwaj andyści: minister obrony w rządzie Merkel Franz Josef Jung i premier Badenii-Wirtembergii Günther Oettinger. Reszta wycieczkowiczów, którzy cisną się do samolotu, to ludzie z ochrony. „Pakt andyjski organizuje już tylko podróże turystyczne, wpływu nie ma żadnego” – donosi „Spiegłowi” jeden z tych andystów, którzy woleli zostać w domu^[16].

Pierwotne role Dawida i Goliata się odwracają. Członkowie niegdyś potężnej loży mogą się jedynie odgryzać, mogą Merkel kąsać. Ich broń? Ignorancja kanclerz na gruncie towarzyskim. Emocjonalne upokorzenie, bolesne, ale nie śmiertelne. Nie dla czarnej wdowy. Choć sytuacje jak ta poniżej zdarzają się często.

Roland Koch zaprosił do domu na raut wierchuszkę CDU: andystów z potrzeby serca, Merkel z obowiązku. Wśród zaproszonych gości bryluje też szef CSU Stoiber, a nawet sam patriarcha Kohl. Podczas rautu kręci się nieustannie karuzela uścisków dłoni, serdeczności, konwersacji. Całe towarzystwo świetnie się bawi. Z wyjątkiem Merkel. Kanclerz Niemiec stoi sama, przestępując z nogi na nogę. Nikt do niej nie podchodzi, nie rozmawia, nie trąca się kieliszkiem. Merkel oczami szuka rozmówcy. Wreszcie nadchodzi wybawienie: Udo Jürgens, teutońskie wcielenie Zbigniewa Wodeckiego, ulubiony piosenkarz Kocha. Artysta lituje się nad Merkel, podchodzi do niej, żartuje. Bez niego zostałyby doszczętnie upokorzona przez lożę^[17].

Na salonach politycznych jest odwrotnie. Po wygranych we wrześniu 2009 roku drugi raz z rządu wyborach wzrasta siła Merkel, która teraz pakt ostatecznie rozkłada na łopatki. W ciągu pierwszych dwóch lat drugiej kadencji rozmontuje jego zaprzęg pociągowy – czwórkę premierów: Badenii-Wirtembergii Günthera Oettingera, Dolnej Saksonii Christiana Wulffa, Kraju Saary Petera Müllera oraz formalnego lidera związku, premiera Hesji Rolanda Kocha. Bezlitośnie wykorzysta ich niesolidarność oraz indywidualne potknięcia. Po dwóch pierwszych latach drugiej kadencji, a sześciu od przejścia kanclerstwa, jesienią 2010 roku na kongresie CDU w Karlsruhe uroczyste złoży pakt do grobu. Uwerturą do marszu pogrzebowego jest odstrzał pretorianina Kocha, Franza Josefa Junga.

Jung, jak przypomina sobie jego prowadzący w Hesji ojcowską winnicę brat, z założycielskiej podróży paktu w 1979 roku powrócił w stanie narkotycznej euforii. Wystarczyła ona w zupełności, by osobny pakt utworzyć w Hesji. Swoją nazwą Tankstelle-Connection nawiązywał do miejsca założenia tajnego związku młodych heskich konserwatystów: restauracji przy jednej ze stacji benzynowych na autostradzie A5. Cel był jeden: zdobycie władzy w Hesji. W „pakcie benzynowym” jedna relacja osobista wyróżniała się heroicznym, jednostronnym poświęceniem. Relacja Junga do Kocha. To właśnie syn winiarza wprowadził przyjaciela do paktu andyjskiego, zorganizował dla niego akcję zbierania podpisów przeciwko nadawaniu

podwójnego obywatelstwa imigrantom w Niemczech, dzięki czemu Koch wygrał wybory i został premierem Hesji (1999). A kiedy po odkryciu lokalnych czarnych kont przed premierem Hesji pojawiło się widmo upadku, Jung jako szef jego kancelarii podał się do dymisji, by przyjaciel mógł zachować stanowisko. Koch ze łzami w oczach przysłuchiwał się na forum Landtagu rejtanowskiemu oświadczeniu Junga. W 2005 roku zrewanżował mu się, uzyskując dla niego tekę ministra obrony w rządzie Angeli Merkel – instalując tam przy okazji swojego zaufanego informatora. Nominacja była wielkim zaskoczeniem dla samego zainteresowanego oraz dla pani kanclerz, która wyjątkowo słabo знаła swojego ministra. Ale nie miała wyjścia. Taka była wola Kocha i cena jego lojalności tuż po jej wyborczym zwycięstwie, odniesionym ze słabym wynikiem. Jung wprowadził jako pierwszy z dotychczasowych ministrów obrony RFN służył w Bundeswehrze, ale na kwestiach obronności czy bezpieczeństwa RFN i NATO się nie znał. Syn winiarza najlepiej znał się na niemieckich winnicach i na zakładaniu paktów. Ale jeśli Koch i pakt andyjski czy „benzynowy” mogły go wykatapultować na urząd ministra, to w jego sprawowaniu pomóc mu już nie mogły. Dlatego przez całą czteroletnią kadencję Jung administrował resortem asekuracyjnie, bez wizji, za to z lękiem przed popełnieniem błędu. W efekcie po dwóch latach ministrowania nie znało go 40 procent Niemców^[18]. Cały kraj usłyszał o nim dopiero wtedy, gdy na światło dzienne wyszedł pierwszy jego błąd. Za to tak kardynalny, że w konsekwencji musiał podać się do dymisji. Jak do tego doszło?

Wygrawszy drugi raz z rzędu wybory do Bundestagu, Angela Merkel 28 października 2009 roku sformowała gabinet, w którym Jungowi powierzyła tym razem resort pracy. Miesiąc później, 26 listopada, wybuchła bomba: media ujawniły zatajoną przez rząd informację o przeprowadzeniu przez Niemcy najbardziej krwawej operacji militarnej od czasów II wojny światowej, zbombardowaniu nocą 4 września w afgańskiej prowincji Kundus uprowadzonych przez talibów dwóch natowskich cystern z benzyną. Podczas nalotu śmierć poniosło ponad sześćdziesięciu afgańskich cywilów, którzy z kanistrami w rękach czekali na darmową benzynę przy cysternach^[19]. Opinię publiczną w Niemczech bulwersowały dwa kolejne szczegóły: że biorąca udział w kontrowersyjnej^[20] misji stabilizacyjnej w Afganistanie Bundeswehra naruszyła podczas nalotu natowskie reguły walki oraz że rząd zataił przed społeczeństwem informację o tym, kontynuując, jakby nic się nie stało, kampanię wyborczą. Jung w dniu, w którym otrzymał porażającą wiadomość, pedałowal na rowerze po swoim okręgu wyborczym, ciągnąc za sobą peleton wyborców. W zaplanowanych na trasie przerwach serwował dla ochłody oranżadę i polityczne przemówienia. Ale ani słowem nie wspominał o Afganistanie^[21]. Nic dziwnego, że po ujawnieniu afery dopiero co powołany drugi rząd Merkel, łącznie z nią samą, dostał się pod silny ostrzał opinii publicznej. By ratować własną skórę, Merkel poświęciła narzuconego jej przez Kocha ministra obrony, od miesiąca ministra pracy, a w obydwu gabinetach szpicla paktu. Polityczna kariera winiarza z Hesji dobiegła końca.

Podobną strategię odczekania, aż przeciwnikowi powinie się noga, i uderzenia nań w chwili słabości zastosowała Merkel wobec andysty najwyższego kalibru, premiera Badenii-Wirtembergii Günthera Oettingera. Jego wysoka ranga w CDU i w pakcie wynikała z zarządzania chadecko-katolickim bastionem na południu Niemiec. Pierwotnie Oettinger uchodził za wielką nadzieję chadeków. Z jedną tylko wadą: z silnym akcentem szwabskim przypominającym szybka, mało melodyjną rąbankę. „Wiem, że jestem interesującym przypadkiem dla logopedy” – przyznawał szczerze^[22]. „Nowy Merz”, „lider ultraliberałów” –

okrzyknęli go gremialnie koledzy, nawiązując do jego poglądów ekonomicznych i propozycji obniżenia podatków, gdy w kwietniu 2005 roku przejmował rządy w najbogatszym po Bawarii landzie niemieckim. „Günther polaryzuje i myśli niekonwencjonalnie” – uzupełniał jego portret kolega z łoży i premier Kraju Saary Peter Müller. A sam zainteresowany zapowiadał, iż w przeciwieństwie do poprzednika na urzędzie nie poprzestanie jedynie na zarządzaniu wzorcowym i bogatym landem, tylko „zwiększy obecność Badenii-Wirtembergii w Berlinie”^[23]. Co należało rozumieć jako zapowiedź wzmocnienia aktywności paktu w stolicy w celu zaciśnięcia pętli na szyi Merkel – usunięcia jej z funkcji kanclerza i lidera partii.

Nowy tygrys jednak szybko stracił zęby. Wystarczyła niewielka mowa pogrzebowa, w której Oettinger jednego ze swoich poprzedników na urzędzie, Hansa Filbingera, bezpodstawnie wystylizował na przeciwnika Hitlera^[24], za co Merkel publicznie go napiętnowała^[25]. Żaden z andystów nie odważył się mu przyjść z odsieczą i wziąć go w obronę. Za telefon chwycił jedynie Koch, i to bardziej z zakłopotania, doradzając, by Oettinger sam zastanowił się, jak wypije nawarzone przez siebie piwo^[26]. Jego samotność wyraźnie pokazała, że coraz bardziej topniejące grono andystów zarzuciło zasadę solidarności na rzecz indywidualnych przepychanek. Jeśli w mediach chodziło o rozliczenie okresu III Rzeszy, to w CDU o władzę i wpływy. Merkel samotnie, lecz przy otwartej kurtynie łajała Oettingera, udowadniając swoją siłę, podczas gdy klub karierowiczów, nabierając wody w usta, demonstrował swój uwiad. Oettinger, który nie mógł już teraz nawet wygłosić przemówienia, nie narażając się na straty własne, pozbawił się zdolności operowania powyżej szczebla landu. Zupełnie utracił ochotę na „zwiększenie obecności w Berlinie”. Trzy lata po objęciu urzędu premiera w Stuttgarcie ze swojej posady był już „wielce zadowolony”, możliwość strącenia Merkel uważał za „wielce śmieszna”, swoją do niej relację oceniał jako „bardzo dobrą”, a siebie samego za „jej zaufanego partnera”^[27]. Innego jednak zdania na temat zaufania była kanclerz. Wprawdzie premier wzorcowego ekonomicznie landu mógł wykazać się najmniejszą stopą bezrobocia w RFN i zrównoważonym budżetem, ale tracąc we wrześniu 2009 roku w wyborach do Bundestagu absolutną większość w „chadeckim bastionie” i uzyskując w Badenii-Wirtembergii dla CDU zaledwie 34 procent^[28], stracił grunt pod nogami. Jego pozycją już wcześniej zachwiało kilka skandali obyczajowych nieliczących z profilem konserwatywnego polityka o osobowości sztywnej jak drut. „Zachować swobodę i luz, zwłaszcza przed kamerą, nie jest mi łatwo” – przyznał w jednym z wywiadów^[29]. Najmniej na image’u zaciążył celebrowany w mediach rozwód z piękną żoną obracającą się w świecie mody, która – uskarżając się na stałą nieobecność męża w domu – najpierw przyprawiła mu rogi z prezesem samochodowego giganta Porsche, a potem wniosła pozew o rozwód^[30]. Dużo bardziej wizerunkowi premiera zaszkodziły dwa inne incydenty. Pierwszy, gdy po jednym z meczów podczas Euro 2008 nalał piwo z butelki do buta piłkarskiego i chlusnął nim na eksmałżonkę, drugi, gdy podczas laudacji na cześć jednego z przyjaciół złożył mu hołd jako „mistrzowi małżeńskiej zdrady”^[31]. Swój wizerunek podkopał ostatecznie niedoścignionym mistrzostwem w konkurencji lapsusów językowych. Jeden z nich przeszedł do annałów: „Niemiecki jest językiem, którym się mówi w czasie wolnym, w rodzinie, i w którym czyta się prywatne rzeczy. Angielski zaś jest językiem pracy”^[32]. Polityczny cios otrzymał już u progu kampanii wyborczej 2009 roku, gdy po raz drugi został skarcony przez berlińską centralę CDU. Gdy bowiem na fali kryzysu w branży samochodowej koncern Porsche ze Stuttgartu szykował się do połknięcia Volkswagena,

Oettinger wspierał ten plan. Gdy jednak okazało się, że Porsche porwało się z motyką na słońce i że doszło do odwrotnej fuzji, pozycja złotoustego premiera ze Stuttgartu mocno się zachwiała. Wykorzystując wszystkie potknięcia andysty, Merkel natychmiast po wygraniu wyborów w 2009 roku wyeliminowała go ze sceny politycznej w Niemczech. Nie mogąc go jednak zupełnie usunąć z politycznego biznesu, dała mu kopniaka w górę. Tym jest prestiżowe stanowisko komisarza w Brukseli. A Oettinger został ministrem do spraw energii w Komisji Europejskiej José Manuela Barroso. Nieobeznany z zagadnieniami energetycznymi, słabo władający angielskim dawał gwarancję, że po uszy zakopie się w Brukseli, do reszty osłabiając lożę. W 100 procentach spełnił pokładane w nim nadzieje. Wymancypował się od łoży, nie krytykuje już szefowej niemieckiego rządu, mówi o niej z największym szacunkiem „pani kanclerz doktor Merkel”. I idealnie z nią współpracuje. Przy fanatycznym zamięlowaniu do czytania akt i dokumentów wół roboczy ze Stuttgartu nabrał kompetencji w zakresie zarządzania europejską energetyką, podciągnął angielski, nie mówi już szwabskim dialektem, tak że Barroso świetnie go rozumie. Nawet w życiu prywatnym odnalazł szczęście, wiążąc się z 33-letnią menedżerką z Hamburga. Przyjeżdżając dziś do Niemiec, puentuje swoją metamorfozę: „Kiedyś zagranicą dla mnie był Palatynat, dziś jest nią Moskwa”^[33]. Na spotkania z andystami w kraju czasu nie ma. Zresztą ci już zostali „wymerklowani”.

Metodę kopniaka w górę kanclerz powtórzyła niecałe pół roku później. Tym razem wobec najgroźniejszego obok Rolanda Kocha andysty Christiana Wulffa. Znów wykazała się przy tym instynktem politycznym i niebywałą szybkością reagowania na nieoczekiwaną i niekorzystną dla niej zmianę sytuacji. A ta zaszła w momencie, gdy „jej” prezydentowi, z natury impulsywnemu, a nawet cholerycznemu Horstowi Köhlerowi tak bardzo puściły nerwy, że zrezygnował z najwyższego urzędu w państwie. Ze łzami w oczach oświadczył 31 maja 2009 roku przed kamerami telewizyjnymi, że do dymisji zmusił go deszcz krytyki, jaki spadł na niego za obronę sensu niemieckiej misji wojskowej w Afganistanie^[34]. Merkel musiała się śpieszyć. Konstytucja przewidywała tylko trzydzieści dni na wybór następcy. Na szczęście rządząca pod egidą pani kanclerz koalicja CDU-CSU-FDP dysponowała komfortową przewagą w Zgromadzeniu Federalnym, by przeforsować swojego kandydata.

Merkel lansowała Ursulę von der Leyen, filigranową, ale dysponującą wysokimi słupkami poparcia minister do spraw rodziny, matkę siedmiorga dzieci, możliwą do zaakceptowania przez obydwu koalicjantów, siostrzaną CSU i liberałów z FDP^[35]. Obopólna sympatia obydwu pań była tajemnicą poliszynelem. Co się więc stało, że Merkel zmieniła zdanie i przeorientowała się nagle na katolickiego Wulffa? Czyżby skapitulowała przed siłą łoży? Nie. W 2010 roku członkowie paktu nie współpracują ze sobą, raczej rywalizują. To Christian Wulff sam zaoferował swoją kandydaturę. A czarna wdowa takiego prezentu odrzucić nie mogła. Odsuwała w ten sposób od siebie realną groźbę królobójstwa. Czuła za sobą stały oddech największego rywala w partii, który w sprzyjających okolicznościach mógłby odebrać jej fotel lidera CDU, a potem kanclerza. Świetnie wiedziała, że premier Dolnej Saksonii o aksamitnej powierzchowności „idealnego zięcia” przed wyborami do Bundestagu w 2005 roku trzymał sztylet za jej plecami, testując swoje szanse jako ewentualnego kandydata na kanclerza. Oficjalnie solennie zapewniał, że między nimi „nie ma nawet szczeliny, w którą mogłaby się wcisnąć kartka”^[36]. Sam prosił się o wyeliminowanie. Urząd prezydenta Niemiec przypomina złotą klatkę. Głowa państwa przypina order do piersi, wymienia uściski z szefami innych państw i rządów, a w kraju z ambony wygłasza kierunkowe przemówienia do narodu. Ale

od realnej władzy, nie mówiąc już o wpływie na partię, jest odcięta. Czyżby więc Wulff, wyrachowany polityk o twarzy ministranta, stale z kadzidłem w ręku, o tym nie wiedział? On, od trzydziestu pięciu lat wytrwale pnący się po szczeblach precyzyjnie zaplanowanej politycznej kariery, założyciel paktu, sam przez siebie namaszczony na kanclerza? Nie, Wulff doskonale wiedział, że bezpowrotnie rozstaje się z celem swojego życia, wymianą Merkel na urządzie kanclerza. Tylko dlaczego tak postąpił?

Otóż za nagłą zmianą planów Wulffa kryła się jego femme fatale, druga żona Bettina, z domu Körner. Zjawisko kobiety trzęsącej męską karierą i zmieniającej przez to bieg wydarzeń politycznych jest dobrze znane w dziejach ludzkości. Przewija się przez nie od starożytności (Helena Trojańska, Kleopatra), przez wieki średnie (Dziewica Orleańska), po współczesność (Brigitte Bardot, Sharon Stone)^[37]. By nie szukać daleko, archetyp ten zadomowił się także na naszym rodzimym podwórku w burzliwych latach III RP, choćby w osobach Nelly Rokity, Izabeli Olchowicz czy Anety Krawczyk przetrącających kark odpowiednio „premierowi z Krakowa” Janowi Rokicie, premierowi Kazimierzowi Marcinkiewiczowi czy seksualnie nadaktywnym posłom Samoobrony. W przypadku Wulffa, jak na femme fatale przystało, Bettina Körner zjawiała się w jego życiu pozornie przypadkowo, umiejętnie reżyserując okoliczności. Ta 32-letnia specjalistka od public relations w produkującej opony hanowerskiej firmie Continental AG natychmiast skorzystała z oferty premiera Dolnej Saksonii, który wiosną 2006 roku zaprosił zarząd firmy, by towarzyszył mu w biznesowej podróży do RPA. Pochodząca z nizin społecznych blondynka o wymiarach modelki i niezaspokojonych ambicjach, absolutne przeciwieństwo statecznej żony 46-letniego polityka, uwiodła go już podczas pierwszych romantycznych nocy w Kapsztadzie. Zaledwie dwa miesiące później, a po osiemnastu latach wzorcowego małżeństwa, konserwatywny chadek z drobnomieszczańskimi manierami, co tydzień pokazujący się z rodziną w kościele, publicznie przyznał się do nowego związku^[38]. Zafascynowany zjawiskową Bettiną przekraczał kolejne granice. Szybki rozwód pogрузzył go finansowo, nowe małżeństwo wystawiło na publiczne obmowy. Media roztrząsały bowiem wątki biograficzne ekstrawaganckiej żony, znanej wcześniej z nocnych wypadów do hanowerskich dyskotek. W piwiarniach Dolnej Saksonii katolicki elektorat szeroko komentował zdobiące jej ciało tatuaże^[39]. Z kolei dla konserwatywnych chadeków zajęcie przez Bettinę w ciążę przed rozwodem stanowiło twarde orzech do zgryzienia. Ale Wulff, który jeszcze podczas światowej wystawy Expo 2000 w Hanowerze jako premier goszczącego imprezę landu jak każdy śmiertelnik pocziwie wystawał w długiej kolejce do kasy po bilet, dzięki ekstrawaganckiej żonie odkrył w sobie uśpione pokłady luzaka i światowca. „Cieszę się, że mężowi podoba się mój tatuaż i moja osobowość cool-kobiety”^[40] – spuentowała sama „cool-żona” metamorfozę nudziarza w lwa salonowego. A on wraz z nową towarzyszką życia, odurzona narkotycznym głodem blichtru i splendoru, zaczął wielkimi haustami wchłaniać opary „wielkiego świata”. Para zażywała przyjemności obcowania w ekskluzywnym kręgu ludzi show-biznesu. To właśnie teraz splukany po rozwodzie polityk odkrył w sobie menedżerskie talenty, przyjmując dewizę Talleyranda: „Widzi pan, nie trzeba nigdy być biedakiem”^[41]. Wulff zaciągnął u zaprzyjaźnionego lobbysty prywatny kredyt w wysokości pół miliona euro przy zaniżonym oprocentowaniu na wyścilenie domowego gniazdka. I, naruszając prawo, bez drgnienia powieki zataił ten fakt przed Landtagiem w Hanowerze. Innym lobbystom chętnie pozwalał się wraz z reprezentacyjną małżonką zapraszać do ich rezydencji, to na Florydzie, to na Majorce, to na bałtyckiej wyspie

Sylt^[42]. Ale nienasyconej stapania po czerwonych dywanach małżonce celebrytce idylla w Hanowerze szybko się znudziła. Dlatego gdy prezydent Köhler rzucił nagle ręcznik na ring i 1 czerwca wyprowadził się z berlińskiego zamku Bellevue, od razu zwiertżyła szansę na przeprowadzkę na prezydenckie salony i przejęcie roli First Lady. Oraz, co nie mniej istotne, okazję do podreperowania domowych finansów, gdyż niemiecka głowa państwa inkasuje przynajmniej dwa razy tyle co premier landu. Lider paktu, który nigdy wcześniej nie wpadłby na taki pomysł, uległ namowom małżonki, uznając, że wkracza na drogę przeznaczenia. Bettina wiernie mu towarzyszyła podczas nocnej podróży do Berlina, podtrzymując w zamiarze zarekomendowania Angeli Merkel prezydenckiej kandydatury. Podczas rozmowy w cztery oczy męża z panią kanclerz niecierpliwie oczekiwała na jej wynik w pobliskiej restauracji^[43]. Gdy upalnego 30 czerwca 2010 roku w dramatycznym głosowaniu – w Bundestagu panowała potworna duchota, jeden z posłów zemdłał, a w pierwszych dwóch turach głosowań aż czterdziestu czterech elektorów rządzącej koalicji pani kanclerz odmówiło Wulffowi swojego głosu^[44] – po dziesięciogodzinnym maratonie Wulff został wybrany na prezydenta, Bettina Wulff i Angela Merkel dopięły swoich celów. Pierwsza została pierwszą damą, druga pozbyła się konkurenta. Ale trącając się krótko przed północą kieliszkiem wybornego rieslinga z najstarszej niemieckiej winnicy Kloster Eberbach^[45], ani jedna, ani druga dama nie przypuszczały, że już po 600 dniach ta pierwsza pożegna się z tak bliskim jej sercu błyskiem fleszy, a ta druga na zawsze pozbędzie się rywala. Bo najpierw zarzut zatajenia półmilionowego kredytu, potem dalsze oskarżenia korupcyjne^[46], a nawet przecieki o kompromitujących praktykach pierwszej damy przyjmowania w prezencie luksusowych kreacji od renomowanych domów mody (rzecznicy marek Basler i Rena Lange, których suknie Bettina Wulff często nosiła, natychmiast nabrali wody w usta^[47]) zacisnęły na szyi prezydenckiej pary tak silną pętlę, że dalsze piastowanie przez Wulffa urzędu okazało się niemożliwe. Gdy 8 marca 2012 roku w ponury, deszczowy wieczór prezydencka para podczas wielkiej fety przed zamkiem Bellevue żegnała się z urzędem, berlińczycy głośno ją wygwizdali. Jak nędznych futbolistów. Marsze orkiestry wojskowej zostały zagłuszone przez przeraźliwe dźwięki wuwuzeli robiących karierę na stadionach oraz okrzyki i skandowanie przez oburzony tłum: „Hańba, wstydz się!”^[48]. W przeciwieństwie do licznych demonstrantów niemiecki establishment polityczny ceremonię zbojkotował. Angela Merkel jako jedna z nielicznych przybyła na uroczystość z urzędu. Ustąpienie chadeka w atmosferze wielkiego skandalu nie było jej politycznie na rękę. Ale musiała czuć satysfakcję, przyglądając się upokarzającemu upadkowi jej największego rywala i wicelidera paktu.

Sam lider paktu, heski premier Roland Koch, zrobił jej tę przyjemność, że abdykował w chwili, gdy słusznie uznał, że ani on sam, ani za pomocą paktu nie usunie jej z obydwu foteli, szefa CDU i kanclerza Niemiec. I nie zajmie jej miejsca. „Polityka to nie moja rzecz” – oświadczył człowiek, który miał zostać kanclerzem. Miesiąc wcześniej, nim Wulff poprosił Merkel o kopniaka w górę, Koch poinformował panią kanclerz o swojej rezygnacji ze wszystkich zajmowanych stanowisk. I o wycofaniu się z polityki. Gorycz porażki osłodził sobie szczyptą złośliwości, okolicznościami, w jakich przyszło Merkel zapoznać się z jego decyzją. Samolot rządowy z kanclerz na pokładzie lądował właśnie wieczorem 22 maja 2010 roku na lotnisku w Abu Zabi, gdy na wyświetlaczu telefonu komórkowego niemieckiej szefowej rządu pojawił się esemes od Kocha^[49]. Pod palmami, w otoczeniu bogatych szejków, Merkel musiała z kwaśną miną tłumaczyć się z meandrów niemieckiej polityki personalnej. Roland

Koch, pełnokrwisty polityk, najwybitniejszy z pokolenia wnuków Kohla, widział przed sobą tylko jeden cel w życiu: fotel kanclerza. Już jako nastolatek ćwiczył się w kanclerskich pozach. W latach 70. matka co tydzień autem dowoziła syna w garniturze, pod krawatem, z neseserem w rękę i znaczkiem Kohla w klapie na zebrania JU^[50]. Ale w 2010 roku, dobijając pięćdziesiątki, niedoszły kanclerz, błyskotliwy mówca, przebiegły taktyk o ambicji alpinisty, chciał się wspinać coraz wyżej, a „tylko” rządził w Hesji. Awans do Berlina za sprawą Merkel nie następował. Kanclerz mógł być tylko jeden. Gdy Merkel została nim po raz drugi, Koch stracił wszelką nadzieję. Jako jej zastępca w CDU mógłby otrzymać co najwyżej prestiżowe Ministerstwo Finansów albo Spraw Wewnętrznych. Lub też stanowisko komisarza w Brukseli. Niestety, zawsze z łaski Merkel. Mało satysfakcjonujące dla kogoś jego pokroju. W jego oczach niewiele więcej warte niż stanowisko kierownika archiwum Fundacji Adenauera. A przecież wydarzenia mogły się potoczyć zupełnie inaczej. W 2003 roku Koch w cuglach ponownie wygrał wybory w Hesji, zdobywając absolutną większość. W Waszyngtonie prezydent Bush zaszczylił go specjalną audiencją, czyniąc honory równe kanclerzowi Niemiec. Niestety, dwa lata później jego wymarzony urząd Merkel sprzątnęła mu sprzed nosa. Najpierw uprzykrzał jej życie, krytykował przy każdej okazji, rzucał kłody pod nogi. Potem zmienił taktykę, przechodząc na stronę pani kanclerz. Grzecznie pozwolił wybrać się na jej zastępcę w CDU. Ba, zaprosił ją do siebie do domu. Rezydencja w stylu włoskim, pasująca do heskiej architektury jak pięść do nosa, zaimponowała jej. „To wielka przyjemność móc rozmawiać z nim o polityce, bo szybko dedukuje i syntetyzuje”^[51] – komentowała wspólną kolację. Pogodzony z Merkel, ale i z losem, który odebrał mu widok na spełnienie celu życia, odszedł z polityki.

Jako ostatniego wielkiego przeciwnika czarna wdowa pożarła Petera Müllera, od jedenastu lat premiera i szefa CDU w graniczącym z Francją Kraju Saary. Jak Kochowi, tak i Müllerowi zablokowała karierę, nie pozwalając mu wspiąć się na szczybel federalno-rządowy. Ot, pominęła go w nominacjach ministerialnych, gdy po wygranych wyborach w latach 2005 i 2009 tworzyła swój pierwszy i drugi gabinet. Nie zapomniała mu nie tyle tego, że w 2002 roku co sił gardłował za Stoiberem jako chadeckim kandydatem na kanclerza, ile tego, że przy tej okazji zaprosił na poufne spotkanie w Berlinie elitę dziennikarzy stolicy, szczegółowo i z entuzjazmem objaśniając im, dlaczego nie nadaje się ona na szefa rządu^[52]. Kiedy Müller na swoim boisku po dwóch spektakularnych zwycięstwach wyborczych do Landtagu w Saarbrücken wygrał je w 2009 roku po raz trzeci, choć tym razem już z wielkim trudem, musiał rozszerzyć dotychczasową rządzącą koalicję CDU-FDP o trzeciego partnera, partię Zielonych. Tym większą też wyrażał ochotę, by zamienić posadę lokalnego matadora, uzerającego się z trójczłonową koalicją, na ministerialne stanowisko w Berlinie. Merkel pozostała na to głucha. Nawet wtedy, gdy popadający w coraz większą apatię w Saarbrücken andysta zmienił front, starając się „usiąść mateczce na kolanach”. Merkel „robi dobrą robotę!”, „Nie wali pięścią w stół, by wszyscy stali na baczność!” – przekonywał ze swojej prowincji ogólnoniemieckie media^[53]. Nic mu już nie pomogło. Czarna wdowa z Berlina z zimną krwią przyglądała się postępującemu politycznemu uwiądowi swojego partyjnego eksponenta, który to na posiedzeniu Landtagu został przyłapany na grze w szachy, to w zaufanym gronie oplakiwał sprzedaż rdzewiejącego saksofonu, gdyż nie starczało mu czasu, by na nim pograć^[54]. Niewiele zostało z tryskającego energią polityka, który sływał z nocnych rundek karcianych rozgrywanych z partyjnymi kolegami. A którego naturalna radość życia tchnęła nawet kiedyś do spędzenia wieczoru z żoną w dyskotecę transwestytów^[55]. Merkel nie zlitowała się nad

znużonym lokalną polityką 55-latkami. Zamiast powierzyć mu tekę ministra, ulokowała go daleko od siebie, wysyłając na polityczną emeryturę z 12 503 euro w kieszeni do Trybunału Konstytucyjnego^[56]. W oczach palestry i świata prawników powołanie to zawierało dodatkową szczyptę złośliwości, gdyż bezlitośnie obnażało niskie kwalifikacje nominata. Wprawdzie Müller ukończył prawo, a nim został politykiem, był sędzią do spraw fiskalnych w sądzie okręgowym. Jednak na tle doktoratów, habilitacji, profesur, przełomowych publikacji czy też wysokich funkcji piastowanych wcześniej w sądownictwie przez kolegów z trybunału sędzia Müller wyglądał jak cesarz bez szat. Skrupulatne śledztwo w sprawie jego dorobku prawniczego wykazało: brak doktoratu z okresu trzyletniej asystentury w katedrze prawa na Uniwersytecie w Saarbrücken, wygłoszenie przemówienia powitalnego w 2006 roku z okazji 25-lecia Forum Prawniczego w Saarbrücken, jak zaświadcza świadkowie, z głowy, co wyjaśniałoby brak jego późniejszej publikacji. Wreszcie wstydlivą rozbieżność w przypisaniu autorstwa dwudziestostronicowego studium „Konieczność nowej teorii własności państwowej”, napisanego w 1984 roku do pracy zbiorowej. Według spisu treści artykuł wyszedł spod pióra profesora Joachima Burmeistersa, natomiast zdaniem kancelarii premiera w Saarbrücken spod ręki Petera Müllera, ówczesnego asystenta Burmeistersa, okoliczność zdaje się wielce nieistotna zarówno dla profesora, który tymczasem zmarł, jak i dla wydawcy tomu^[57].

Angela Merkel uroczysty pogrzeb trupowi paktu andyjskiego wyprawiła na listopadowym kongresie CDU w Karlsruhe w 2010 roku. W ciągu niecałego kwadransa przemeblowała wierchuszkę CDU, żegnając z prezydium po kolei wszystkich andystów: Friedberta Pflügera, Christopha Böhra, Franza Josefa Junga, Günthera Oettingera, Christiana Wulffa i Rolanda Kocha. „Całe pokolenie utalentowanych polityków” – wzdychał w Brunzwicku „el secretario general” paktu. Huck, by zaoszczędzić sobie nerwów i zdrowia, na kongres nie pojechał. Nawet nie włączył telewizora. Nie chciał na własne oczy oglądać pogrzebu paktu. „Nie doceniliśmy mateczki. Wszystkich owinęła nas sobie wokół palca. To straszne” – wzdychał bez końca, poinformowany telefonicznie przez kolegów z łoża o odprawionych w Karlsruhe egzekwiach^[58]. Oraz o drugim nieszczęściu: wielkim triumfie Merkel, entuzjastycznie oklaskiwanej w Karlsruhe, która po swoim przemówieniu stała na podium z promienną twarzą i w trakcie dziesięciominutowego aplauzu ręką pozdrawiała delegatów. W euforii delegatów mogła przeglądać się jak w lustrze. Tak, CDU leży u jej stóp. „Karlsruhe jest cezurą w historii CDU” – wołała w kierunku tysiąca delegatów. Nie myliła się. Epoka paktu andyjskiego dobiegła końca. Ma on teraz takie same wpływy jak klub żeglarski. Oczywiście w należnym ambiente. Dlatego spotkanie pogrobowców, do którego doszło w przeddzień grudniowego kongresu CDU w 2012 roku w Hanowerze, miało wartość prasowej anegdotki. Koch, Oettinger i Müller popsociżyli na mateczkę i jej flagową inicjatywę: rewolucję energetyczną. „Zabezpieczenie Niemiec w energię stoi pod znakiem zapytania”^[59] – powiedział Koch, emerytowany lider paktu. Jakie to miało znaczenie dla Merkel? Kongres o rewolucji energetycznej nie powiedział ani słowa.

Przy każdym upadku samca alfa pozostali przy życiu szemrali o mordującej ich czarnej wdowie. Topos podchwyciły media. Na końcu o czarnej wdowie mówił cały naród. Chętnie przy tym zapominając, że w większości przypadków Merkel oddawała wolne pole męskiej konkurencji, a ta wykańczała się sama. Co najlepiej ilustrują dwa ostatnie jej „morderstwa”.

Jesienią 2010 roku dobiegał końca pierwszy rok drugiej kadencji Merkel, gdy zza jej pleców wystrzeliła polityczna gwiazda rozpalająca firmament niemieckiej polityki i miliony Niemców –

jej własny minister obrony Freiherr Karl-Theodor von und zu Guttenberg. Młody, wysportowany i elegancki polityk z bawarskiej CSU. Już samo arystokratyczne pochodzenie wyróżniało go na tle mieszczańskiego establishmentu. Podobnie jak poprzedzający nazwisko rodowe tytuł doktorski, dziesięć imion oraz imponująca rezydencja, bajkowe zamczysko w Górnej Frankonii. Wyjątkowego splendoru dodawała mu żona, Stephanie Anna Charlotte Gräfin von Bismarck-Schönhausen. Nie tylko niezwykle piękna, na niemieckie standardy może nawet zbyt seksowna, do tego jeszcze praprawnuczka samego Bismarcka, angażująca się społecznie przeciwko pedofilii. Arystokratyczny polityk błyszczał znajomością języków obcych, elokwencją, telegenicznością i podziwianą przez kobiety aparycją. Perfekcyjny wizerunek udoskonalał jeszcze z manierą celebryty: żelował włosy i nosił stylizacje nie gorsze od tych, jakie obowiązują narcyzów spędzających większość życia na czerwonym dywanie. Graf-minister życiem od razu pisał swoją biografię. Aż trzy sekretarki koordynowały terminarz jego spotkań. Niemcy byli wpatrzeni w niego jak w obraz. Nie interesowało ich zbytnio, że 39-letni polityk legitymował się skromną listą poważnych osiągnięć. Owszem, w pierwszej fazie kryzysu bankowego w 2008 roku zdecydowanie opowiedział się przeciwko wyciąganiu z dołka dotkniętej bankrutstwem samochodowej firmy Opel. Podobnie jak i niemieckich banków. W razie odmowy zagroził dymisją. Efekt był piorunujący. „Nie klei się do stołka. Wreszcie ktoś, kto myśli o szarych ludziach, a nie wielkich koncernach. Wreszcie ktoś z charakterem” – brzmiały hymny pochwalne^[60]. Tyle że graf równocześnie gromko gardłował przeciwko płacy minimalnej, zgodnie ze swoim przekonaniem, iż państwo to stróż, który dniem i nocą pilnuje wolnego rynku. Jako minister obrony odważył się nazwać misję stabilizacyjną w Afganistanie po imieniu. „To wojna” – powiedział. I niemiecką armię z poboru zaczął zamieniać na zawodową. Na tym jednak kończyła się lista jego osiągnięć. Mimo to Guttenberg działał na Niemców jak terapeuta, wzbudzając wygasłe emocje, i jak czarodziej, wyzwalając uspięte tęsknoty. Niczym księżę z bajki ucieleśniał to, czego tak bardzo brakuje rzeczowej i zdystansowanej pani kanclerz: charyzmy, dzięki której trafiał prosto do ludzkich serc, i entuzjazmu, którym potrafił zapalić żagiew namiętności. Miliony zachwyconych nim nie tyle zwolenników, ile czcicieli przenosiło na niego własne projekcje i marzenia. Gdzie tylko się pojawił, proszono go o autografy jak gwiazdę muzyki, sportu czy filmu. Po jednym z publicznych odczytów jedna z matek podała mu trzymane w ramionach dziecko. Chyba po to, by je pobłogosławił. Co trzeci Niemiec spędziłby z grafem urlop, co piąty kupiłby od niego samochód. Szybko okrzyknięto go największą nadzieją niemieckiej polityki. Niemieckim Obama. A może i Kennedym. Wszystko jedno. Baron-minister z formatem kanclerza, a nawet kajzera, powtarzano na salonach politycznych i w dyskontach sieciówki Aldi. W rankingu najbardziej popularnych niemieckich polityków błyskawicznie usadowił się na drugim miejscu. Tuż za Angelą Merkel. Na razie. Nowy kanclerz będzie się nazywał zu Guttenberg, jeszcze przed upływem kadencji Merkel – wyrokowały bulwarówki, a opiniotwórcze magazyny zbierały na to dowody od profesorów. Niemcy wreszcie otrzymają First Lady, na jaką zasługują, na wzór Lady Di. Atrakcyjna baronowa z domu Bismarck nareszcie zastąpi w tej roli dziwoląga, stale nieobecnego profesora Sauera, brzmiał jeden z argumentów. Naród robił zakłady, czy Guttenberg zostanie najpierw kanclerzem, czy nowym szefem CSU. Zrozumiałe więc, że chadecka konkurencja poczuła się nieswojo. Jej część gorąco życzyła zadzierającemu nosa arystokracie, by w miarę szybko skręcił kark. Łatwo wyobrazić sobie, co czuła Angela Merkel. Nie brakowało opinii, że czarna wdowa już o to się postara,

by zawczasu unieszkodliwić ewentualnego puczystę. Nie musiała. 1 marca 2011 roku niedoszły kanclerz sam zakończył karierę. Podał się do dymisji po czternastu dniach burzy, jaka rozszalała się wokół jego osoby. Takiego trzęsienia ziemi Niemcy nie przeżywały od zjednoczenia kraju. Powód nagonki? Plagiat doktoratu.

W połowie lutego Niemcami wstrząsnęła wiadomość, że pupilek narodu w całości zerznął pracę doktorską o amerykańskim i europejskim konstytucjonalizmie, za którą przed pięciu laty uniwersytet w Bayreuth przyznał mu najwyższą ocenę summa cum laude i nałożył na głowę biret doktorski. Minister obrony zarzut sparował jako próbę infamii i zapewnił solennie, że rozprawę napisał samodzielnie, po czym wyjechał do Afganistanu, by czynem zaświadczyć, jak sumiennie wypełnia obowiązki. Podczas gdy w cieniu Hindukuszu jak dobry ojciec poklepywał niemieckich żołnierzy po ramieniu, na głównej linii frontu, w dalekiej ojczyźnie, wokół jego szyi zaciskała się pętla. Z godziny na godzinę rosła liczba kolejno ujawnionych fragmentów dysertacji: przepisanych, skopiowanych czy pozbawionych pełnych danych źródłowych. Nie tylko z literatury z najwyższej półki, jak choćby z artykułu swojego promotora, z którego passusy przepisał wraz z błędami oryginału. Zdemaskowano między innymi akapit ściągnięty żywcem z pracy semestralnej początkującego studenta, ze strony internetowej amerykańskiej ambasady czy z ekspertyz Bundestagu. W internecie powstała specjalna strona Wikipedii patronująca narodowej kwerendzie anonimowych łowców plagiatów. Można było odnieść wrażenie, że z końcem zimy miliony Niemców zasiadło w przytulnych bibliotekach i z podejrzliwością policjanta filtrowało dysertację ministra pod kątem możliwych podróbek. Rodacy wertowali setki grubych książek, prac zbiorowych i artykułów. Zafascynowani wcześniej zjawiskowym Guttenbergiem, poczuli się nagle nabici przez niego w butelkę. W ciągu dwóch tygodni zebrano na stronie GuttenPlagWiki 1218 miejsc z wykorzystanym cudzym materiałem, pochodzących ze 135 źródeł, a obecnych na 371 stronach w liczącej sobie 393 strony dysertacji. Bez mała 94 procent^[61]. Prokuratura wysunęła oskarżenie o popełnienie plagiatu, uniwersytet Bayreuth odebrał grafowi tytuł doktorski. W ślad za tym zdystansował się od niego promotor. Opozycja zażądała głowy hochsztaplera. „Straciłem orientację nad cytatami. Pracę pisałem przez sześć, siedem lat”, a „w tym czasie między nogami pętały mi się małe dzieci” – bronił się niczym przyszczaty nastolatek dotychczasowy arcyministrz prezencji i stylu^[62]. Angela Merkel murem stanęła za copy-paste ministrem. Instynkt polityczny okazał się u niej silniejszy od rzekomego instynktu czarnej wdowy. Ten pierwszy odpowiedział jej, że rząd i chadecja poniosą większą stratę po ustąpieniu ulubieńca mas niż ona sama wystawiona na dalszą wewnętrzną rywalizację z ewentualnym Brutusem. Stawka była wysoka. Popularność politycznego czarodzieja przekładała się na słupki poparcia dla jej rządu. A utrata wiarygodności przez gwiazdę jej gabinetu rzuci się niechybnie cieniem na nią samą, CDU i na rząd, kalkulowała. „Nie zatrudniłam go na stanowisku naukowego asystenta, tylko ministra. Z powierzonego zadania wywiązuje się znakomicie. I tylko to się dla mnie liczy” – broniła cynicznie potencjalnego puczysty^[63]. Naukowy hochsztapler i dobry minister? Za tą wykładnią Merkel opowiedziało się 20 tysięcy czcicieli Guttenberga na Facebooku. „Nie wykańczajcie porządnego faceta. Srajcie na tytuł doktorski” – bębniła pierwsza bulwarówka kraju „Bild Zeitung”^[64]. Ale rachuba kanclerz, aby aferę sprowadzić do naruszenia ordynacji doktorskiej, obowiązującej jedynie za murami uniwersytetów, a nieistotnej dla zwykłego śmiertelnika czy ministra obrony, rozsierzdziła środowisko akademickie. 23 tysiące ludzi nauki w liście otwartym do niej zaprotestowało przeciwko banalizacji oszustwa i etosu naukowca. „To

szyderstwo z nas” – pisali oburzeni, skoro „wyłudzenie tytułu doktorskiego to kawalerski delikt. Próbuje pani z całych sił utrzymać ministra, który, mimo przygniatających dowodów, nadal twierdzi, że nie popełnił świadomego oszustwa przy pisaniu dysertacji”^[65]. Takiej reakcji Merkel się nie spodziewała. Elita kraju to był już zbyt poważny elektorat, którego nie mogła obrócić przeciwko sobie. Jej nadzieja, że milionowy fanklub Guttenberga wybaczy mu potknięcie, się nie spełniła. 1 marca graf-minister zainscenizował w gmachu Ministerstwa Obrony dramatyczny akt swojej dymisji. W stylu opery mydlanej. „W bardzo przyjacielskiej rozmowie z panią kanclerz poinformowałem ją, że rezygnuję ze wszystkich funkcji i urzędów. Dziękuję jej za udzielone wsparcie, zaufanie i zrozumienie. Ale dotarłem do kresu sił. To najboleśniejszy krok w moim życiu”^[66] – powiedział z kamienną twarzą zebranim w Sali Kolumnowej dziennikarzom, po czym zniknął za drzwiami i z politycznej areny. Nie zostanie kanclerzem, nie wysadzi z siodła Merkel. Spełniła się jednak jej obawa, że po odejściu bijącego rekordy popularności ministra jej gabinet gwałtownie „zmatowieje”. Poparcie dla CDU od razu spadło. Niecały miesiąc od dymisji shooting star CDU przegrała wybory w Badenii-Wirtembergii, tracąc po sześćdziesięciu latach ster rządów w drugim najbogatszym kraju związkowym, uchodzącym za jej bastion. Ale w zamyśle Merkel to przecież Guttenberg miał przyciągać masy na spotkania wyborcze. On jednak na własne życzenie odszedł do krainy wiecznych łowów. Czarna wdowa nie zaatakowała. Broniła nawet potencjalnego Brutusa. Wyznawcy teorii o kłusującej samicy pająka nabrali wody w usta. Ale tylko na rok. W połowie maja 2012 roku Niemcy obiegła kolejna sensacyjna wieść: „Mateczka ścięła głowę synowi”^[67]. Tym razem ulubionemu ministrowi, kreowanemu na następcę tronu. I to przy otwartej kurtynie. Nie pozwoliła mu nawet, co za dyshonor, jak uprzednio zu Guttenbergowi, by sam podał się do dymisji. Jak smarkacza wyrzuciła z rządu. O czym sam zainteresowany dowiedział się z mediów. Siedział w domu przed ekranem telewizora i nagle zobaczył, jak Merkel z zimną krwią, w ciemnoczerwonej garsonce, zapowiada, że zwróci się do prezydenta kraju o jego dymisję. Większego upokorzenia nie można sobie wyobrazić.

Ów „syn” z pierwszej ławki rezerwowych, jeden z nielicznych, z którym jest na „ty”, 47-letni i mocno już szpakowaty minister ochrony środowiska Norbert Röttgen, przewodził chadecji w wyborach do najludniejszego landu, Nadrenii Północnej-Westfalii (NRW). I poniósł sromotną, ba, historyczną klęskę. Uzyskał dla chadecji najgorszy wynik w jej dziejach. Merkel pieniała się z wściekłości. Na karku miała już kryzys euro, ratowanie Grecji po jednej, a spotkanie G8 w Chicago i szczyt NATO po drugiej stronie Atlantyku. Jej gniewu nie uśmierzyła rezygnacja Röttgena z funkcji szefa CDU w NRW, ogłoszona z ciężkim sercem i ze schyloną głową zaraz po ogłoszeniu wyników wyborów. Bezwzględność Merkel wzbudziła przerażenie wśród jej pretorianów. „Nie rozumiem, jak Norbert Röttgen mógł do 18.00 w niedzielę uchodzić za świetnego ministra, a teraz został odwołany” – pomstował Karl-Josef Laumann, szef frakcji CDU w Landtagu w NRW^[68]. „Nie dobija się leżącego” – oświadczył zbulwersowany nieludzkim zachowaniem Merkel Wolfgang Bosbach, wpływowy i uchodzący za najuczciwszego pod słońcem, a zarazem najbardziej konserwatywnego w szeregach chadecji poseł, niemiecki odpowiednik Jarosława Gowina. Zszokowana „brutalną decyzją” Merkel republika w wyrzuceniu za drzwi Röttgena widziała akt równy wcześniejszemu „ojcობójstwu Kohla”^[69]. Tak jak przed trzynastu laty zdemontowała pomnik Helmuta Kohla i rozwiązała sen Wolfganga Schäublego o kanclerstwie, tak teraz w jednej chwili zakończyła karierę Norberta Röttgena. „Co zrobi czarna wdowa, gdy pozre wszystkich samców?” – pytali przerażeni

Niemcy^[70]. Media zaczęły bić na alarm. Rozpisywano się o „mateczce odtrącającej pupilkę od swojej łaski”, o „kanclerz-morderczyni”. I oczywiście o „czarnej wdowie” pożerającej chadecką konkurencję. „Jeden kęs i już było po Röttgenie” – spuentowała „Süddeutsche Zeitung”. A czyniąc aluzję do długości oświadczenia Merkel dla prasy, raptem siedmiu zdań, w których kanclerz pożegnała ministra, gazeta dodała: „Niecałych dwóch minut potrzebowała mateczka, by go pożreć i przetrawić. Ale do utkanej przez nią sieci był przyklejony od dłuższego czasu”^[71]. Przy okazji chadecy, media i wyborcy odkurzyli pamięć o wcześniejszych trupach czarnej wdowy, tych z paktu andyjskiego i tych będących hetmanami koronnymi chadecji. Nikt nie zaprzętał sobie głowy najbardziej oczywistym faktem: minister ochrony środowiska, który z kretesem przegrywa wybory do Landtagu, na dodatek przed najważniejszymi wyborami do Bundestagu w 2013 roku, nie ma już wystarczająco dużo autorytetu, by móc jako minister sterować wielkim projektem przełomu energetycznego Energiewende.

W przypadku Röttgena, wpisanego natychmiast na listę ofiar „morderczyni”, stereotyp czarnej wdowy nie pasuje. Bo jak mogła mocarna kanclerz czuć się zagrożona przez, owszem, mocno do stanowiska przyklejonego i ambitnego ministra, jednak zawiadującego nie najważniejszym przecież resortem ochrony środowiska? W dodatku z perspektywą objęcia po niej w przyszłości schedy. Nie było też dowodów na to, że krnąbrny synalek pracowicie kopał pod nią dołki. Za to wyborcze przewinienie Röttgena widać było jak na dłoni. Po pierwsze, w kampanii długo lawirował, aż postanowił, że po ewentualnej porażce w wyborach nie stanie na czele opozycyjnej partii chadeckiej w regionalnym Landtagu, tylko pozostanie na ministerialnym stołku w Berlinie. Katastrofalny sygnał, ba, policzek dla potencjalnych wyborców. Przesądzające było jednak co innego: na finiszu kampanii odpowiedzialność za rysującą się na horyzoncie porażkę Röttgen zaczął przewencyjnie przenosić na Merkel. Wybory w NRW są głosowaniem nad polityką ratowania euro i Unii Europejskiej prowadzoną z Urzędu Kanclerskiego – perorował. Popenił śmiertelny błąd. Żaden szef rządu nie pozwolił sobie na tolerowanie takiej nielojalności i bezczelności. A już na pewno nie Merkel. Ona może wybaczyć błąd, ale nie brak lojalności. Trudne do zrozumienia?

Ostatnie wątpliwości rozwiewa sam przebieg oficjalnej ceremonii pożegnania ministra w zamku Bellevue u prezydenta. Po odczytaniu aktu dymisji Merkel podaje rękę Röttgenowi. Wcale nie rutynowy gest, bo minister wyczuwa w nim pewną nerwowość, choć podejrzewa, że to wcale nie z jego powodu, tylko następnej osoby, z którą kanclerz musi wymienić uścisk dłoni – jego żony Ebby Herfs-Röttgen. Kanclerz podchodzi do niej i staje twarzą w twarz. Wzrok obydwu kobiet się spotyka. Röttgen „widzi coś, czego jeszcze nigdy nie widział w oczach kanclerz. Jest bardzo przejęta i rzuca na szalę niebotyczną wolę przetrwania tej trudnej dla siebie sytuacji”^[72]. Targana silnymi emocjami rozstaje się z człowiekiem, który służył jej przez siedem lat, miał zostać jej następcą. Tyle że w takim stylu samica pająka nie pożera swoich ofiar.

Skąd bierze się więc topos czarnej wdowy? Merkel jako czarna wdowa to wytwór wygodny dla męskiej wyobraźni. Podszytej lękiem przed silnym, nieczęsto spotykanym typem kobiety. Odwołujący się do antycznego motywu Medei, która z zemsty zabija własnego syna. I żerujący, rzecz jasna, na trywialnym stereotypie mężczyzny i kobiety, także w polityce – wyjaśnia Margreth Lünenborg, profesorka na uniwersytecie w Berlinie, specjalistka w zakresie komunikacji medialnej^[73]. Bo czyż analogicznie postępujący kanclerz w spodniach i w krawacie byłby opisywany jako krwawy synobójca? A przecież dwaj ostatni niemieccy szefowie rządów,

Kohl i Schröder, równie często i chętnie otwierali zapadnię pod swoimi młodszymi wiekiem rywalami, a gdy nikt ich nie widział, swoje ofiary wrzucali do przepaści. Kohl z tą jedną subtelną różnicą, że po każdym „mordzie” wycierał chusteczką nie tylko zbroczony krwią nóż, ale także krokodyle łzy. Schröder natomiast, modelowy typ macho, swoją zapadnię uruchamiał przy otwartej kurtynie. Nie ukrywał wcale, że do rządzenia potrzebuje absolutnej swobody i możliwości odstrzelenia tego czy innego ministra. Merkel praktykuje inny styl. Nie celebrytuje władzy na oczach całej widowni. Rachunki załatwia po cichu, za kulisami. Choć nie mniej stanowczo i tak samo z zimną krwią. Tylko że „to, co u mężczyzn traktuje się jako przejaw ducha walki i ocenia pozytywnie, u kobiet staje się wyrazem agresywności, postrzeganej bardzo negatywnie”^[74]. Co u mężczyzn uchodzi za wysoki kunszt w zakresie strategii, choćby zakładania pułapek na rywala, u kanclerz Merkel jest piętnowane jako morderstwo z zimną krwią. Zapomina się przy tym, że wyrosła z matki, która każdemu winnemu wybaczy i do piersi przytuli – a więc przeciwieństwo czarnej wdowy – nie mogłaby być egzekutorką swoich własnych decyzji. W sytuacjach krańcowych, by mieć w polityce swobodę manewru, nie można być miłosiernym samarytaninem. Tymczasem opinia publiczna tworzy obraz Merkel, w który można walić jak nie kijem, to pałką. Wygrywając, rzecz jasna, na nieśmiertelnych stereotypach płci. Cokolwiek by zrobiła, zawsze będzie źle. Jeśli Merkel rządzi „miętko”, „po kobiecemu”, natychmiast naraża się na zarzut braku stanowczości i kompetencji. Uderzy natomiast w stół, jak w przypadku Röttgena, z miejsca staje się morderczynią i czarną wdową z walającymi się u nóg trupami. Klasyczny przypadek podwójnego wiązania^[75]. W tym drugim wariantcie Merkel traci kolor kobiecości, staje się „babochłodem”. W mediach rozpoczyna się dyskusja na temat jej fryzury – odpowiednia czy nie? Albo głębokości jej dekoltu^[76]. Kryje się pod tym jasny przekaz: stojąca na szczycie kobieta nie może odnosić politycznych sukcesów. W ten sposób Merkel pada ofiarą stereotypowego obrazu kobiety, w którym tworzące parę określenia: „kobiecość” i „polityczny sukces” wykluczają się nawzajem. Stoi za tym wiekowa tradycja chrześcijańska z przeciwstawnym sobie zestawieniem: wiedźma/dziwka – święta/matka. „Święta może posługiwać się jedyną matczyną władzą, poświęceniem, co nie jest najlepszą metodą w walce politycznej, podczas gdy władza wiedźmy, charakterystyczna dla femme fatale lub kobiety wyrachowanej, jest manipulatorska i niszcząca”^[77].

Tymczasem także ostatni przykład pupilka Merkel, Röttgena, dowodzi niezbitości, że w większości to mężczyźni sami eliminują się z gry, popełniając wcześniej kardynalny błąd. Merkel ich rękami wyciąga kasztany z ognia. Ale mało kto o tym mówi, raportując o twardym biznesie politycznym, jaki się toczy w Berlinie. Negatywną uwagę skupia na sobie kobieta. Historia silnych kobiet w polityce jest jeszcze krótka. W umyśle ludzkim dominują typy silnych mężczyzn. Na zmianę stereotypów trzeba trochę poczekać. Ale w Niemczech rośnie już nowe pokolenie, które widząc na plakatach Merkel, pyta rodziców, czy kanclerz może mieć wąsy.

Po „odstrzale” Röttgena pierwsze szeregi chadeckie są tak przerzedzone, że brakuje silnej osobowości, która mogłaby się wcielić w rolę Brutusa. Wszyscy baronowie z mocnym charakterem, potencjalni rywale Merkel, wypadli z gry. Kanclerz rządzi w CDU niepodzielnie. „Coraz więcej chadeków najwyższego szczebla dostrzega wyraźnie, że Angela Merkel długo jeszcze będzie stała na czele partii i Urzędu Kanclerskiego, a oni wszyscy pozostaną w jej cieniu” – ocenia historyk CDU Gerd Langguth i konkluduje: „W CDU doszło do personalnego upływu krwi, bo poszczególnym skrzydłom przewodzą coraz mniej charyzmatyczne osobowości”^[78]. Ci, którzy przetrwali i stanowią bladawy entourage Merkel, przypominają

zdaniem innego politologa „stajnię kucyków”^[79] pani kanclerz. A z kucykami w zaprzęgu trudno wygrywać w wyścigach wyborczych. Do tego potrzeba krewkich ogierów. No, chyba że Merkel powie za Ludwikiem XIV: „CDU to ja”. I wygra.

Poskromicielka niemieckiej chadecji

„Kiedy teraz patrzymy na naszą partię, Angelę Merkel...”^[1]

Freudowskie przejęzyczenie Volkera Kaudera mówi wszystko: CDU to Merkel

System Merkel

Plakaty, jakie późną jesienią 2012 roku pojawiły się na ulicach niemieckich miast z okazji kongresu CDU, natrętnie podkreślały, że na tym forum najczęściej do powiedzenia ma zwykły członek partii. Choćby był nawet szewcem czy woźnym w bibliotece zatrudnionym na umowę śmieciową. I słusznie. „Dobrze przeprowadzona dyskusja o programie CDU wyjdzie jej tylko na korzyść. Uczyni partię bardziej atrakcyjną”^[2] – cieszył się jeden z tysięcy delegatów. Złote słowa. Najważniejsze gremium chadecji powinno się przecież odnieść do dylematów, jakie w drugiej dekadzie XXI wieku rozpalają umysły Niemców. Na przykład do związków homoseksualnych.

Przyjmuje się, że w Niemczech żyje około ośmiu milionów gejów i lesbijek. Około, bo dokładnych statystyk się nie prowadzi. Żaden polityk czy urząd państwowy nie chce uchodzić za kolekcjonera „różowych list”, w oparciu o które jeszcze pod koniec XIX wieku wytaczano homoseksualistom procesy karne. Nie wiadomo nawet, ile jest w Niemczech związków partnerskich, które od 2001 roku można zarejestrować przed urzędnikiem stanu cywilnego. Zezwała na to ustawa uchwalona jeszcze przez czerwono-zielony rząd kanclerza Schrödera. Nie daje ona wprawdzie mniejszościom seksualnym pełni szczęścia, gdyż nie umożliwia gejom i lesbijkom zawarcia pełnoprawnego małżeństwa. Ale społecznie nobilituje związki jednopłciowe. Podobnie jak wcześniejszy coming out prominentów z politycznego establishmentu, jak choćby ministra spraw zagranicznych Guido Westerwellego czy burmistrzów Hamburga i Berlina, chadecckiego Olego von Beusta i socjaldemokratycznego Klausu Wowereita. Obecność homoseksualistów w przestrzeni publicznej jest zresztą widoczną gołym okiem. W serialach telewizyjnych, odpowiednikach polskich „Szpilek na Giewoncie” czy „Klanu”, postaci homoseksualistów mają status kultowy. A z reklamy wielkiej sieci budowlanej Hornbach, bijącej w oczy na autostradach i parkingach przed centrami handlowymi, kokietuje dwóch mężczyzn, którzy przy składaniu domowych szafek kuchennych czule się obejmują. Wymalowaną na ich twarzach bezradność uzupełnia napis: „Możesz być, kim chcesz, bylebyś nie był nieporadny”. Nie słysząc, by dokonujący zakupów w sieciówce majsterkowicze czy gospodynie domowe uskarżali się na widok dwóch przyklejonych do siebie męskich modeli. Ale czym jest nawet akceptacja społeczna dla reklamy Hornbacha wobec faktu, że aż 79 procent Niemców zaakceptowałoby rządy homoseksualnego kanclerza^[3]. Nic jednak w ostatnich latach

bardziej nie dowartościowało par homoseksualnych żyjących w zarejestrowanych związkach niż seria orzeczeń Federalnego Trybunału Konstytucyjnego. Najwyższy sąd w RFN najpierw w lipcu 2009 roku orzekł, że po śmierci jednego z partnerów drugiemu z nich przysługuje zapomoga na przeprowadzenie pogrzebu i wdowia renta^[4]. W sierpniu 2010 roku sędziowie z Karlsruhe zawyrokowali, że wdowom i wdowcom po lesbijkach i gejach przysługuje zwolnienie z podatku od dziedziczenia nieruchomości^[5]. W Niemczech zawrzało. Ale oliwy do ognia dołał dopiero wyrok Trybunału z lata 2012 roku. Na jego podstawie żyjący w zarejestrowanych związkach homoseksualnych urzędnicy państwowi otrzymali prawo do pobierania dodatku rodzinnego, jaki przysługuje ich heteroseksualnym kolegom i koleżankom z obrączką na ręce. Ośmiu sędziów Trybunału powołało się przy tym na konstytucję, gwarantującą obywatelom RFN równość wobec prawa^[6]. Debata społeczna o związkach homoseksualnych dotarła do bram rządzącej CDU i do jej przewodniczącej – Angeli Merkel. Zresztą od 2007 roku działa w CDU organizacja kobiet i mężczyzn o orientacji homoseksualnej *Lesben und Schwule in der Union*.

Ostatni wyrok Trybunału to wystarczający powód do tego, by w lecie 2012 roku trzynastu posłów chadeckich, okrzykniętych „dziką trzynastką”, zgłosiło dwa wnioski postulujące całkowite zrównanie podatkowe związku partnerskiego z małżeńskim i uzyskanie prawa do tak zwanej sukcesywnej adopcji dziecka partnera, które ten sam wcześniej adoptował. Bo to „zakrawa na skandal – napisała w swoim oświadczeniu »dzika trzynastka« – by rządzący politycy za każdym razem musieli posiłkować się ściągami od sędziów z Karlsruhe, jak z godnością traktować lesbijki i gejów. CDU musi się wreszcie przemóc, by oprócz tych samych obowiązków przyznać homoseksualistom także te same prawa”^[7]. Nie wszyscy sygnatariusze listu są homoseksualistami. I nie wszyscy wywodzą się z Berlina. Taki Jens Spahn reprezentuje rolniczy Münsterland, prowincjonalny bastion CDU. Spahn, absolwent katolickiego gimnazjum, niemal dwumetrowy chłop z imponującym rozmiarem buta 49, oficjalnie przyznał się do homoseksualizmu. Ucieleśnia on nową generację chadeków: „Jest na tyle śmiały, by rzucić się w oczy, a na tyle konformistyczny, by piąć się po szczeblach kariery”^[8]. Przede wszystkim jako rzecznik CDU do spraw polityki zdrowotnej jest na tyle kompetentny, że uchodzi za murowanego w przyszłości kandydata na ministra zdrowia. Zawsze w nienagannej białej koszuli, pod krawatem, z sygnetem na palcu i w markowych okularach, tyle że nie w stylu vintage, lecz retro. Kilkudniowy zarost zdradza prowokującą elegancję.

Większość „dzikiej trzynastki” pochodzi jednak z Berlina. Stolica Niemiec i miasto urzędników w garniturach i pozbawionych fantazji garsonkach wyrosło po zjednoczeniu kraju na europejską stolicę gejów i lesbijek. Co wrzesień świętują oni hucznie na ulicach swój kolorowy festiwal, największy w Europie. Przejazdzka rykszą zaprzęzoną w pony-girl należy do najsztudniejszych zabaw w czasie festiwalu.

Propozycja berlińskiej trzynastki stawia na baczność chadeckich konserwatystów. Ich anteny, ustawione na najwyższym maszcie, odbierają sygnały alarmowe. Podatkowe uprzywilejowanie małżeństwa heteroseksualnego to szczególny „kominek”, przy którym mogą ogrzać swoją chadecką duszę. Nie zgadzają się więc, by uprzywilejowanie podatkowe małżeństwa, rodziny i prawo adopcji dzieci, wszystko zapisane w statucie CDU, rozciągnąć na związki partnerskie. Grozi to osłabieniem tych pierwszych, narusza konstytucję. Bóg przecież sobie coś myślał, stwarzając osobno kobietę i mężczyznę – replikuje grupa konserwatywnych posłów z Fuldy, siedziby niemieckiego episkopatu. Za rządów kanclerza Kohla ich wniosek byłby jedyny

na kongresie. Zostałby przyjęty, przegłosowany, uchwalony. Koniec, kropka. Ale w CDU Angeli Merkel taki stanowczy krok wywołałby burzę. Rozpaliłby do czerwoności zwolenników i przeciwników związków. I odstraszył wyborców z dużych miast. A o nich właśnie CDU Merkel zabiega jak o pannę na wydaniu. Dlatego radykalny wniosek konserwatystów z Fuldy, nim trafi na kongres, zostaje przez partyjną centralę i jej komisję wnioskową przemieleny na drobne. W ostatecznej wersji, jaka wychodzi z partyjnej maszyny, małżeństwo pary homoseksualnej nie zostaje potępione w czambuł, ale pozostawione bez przywilejów podatkowych. Kluczowa formuła brzmi: „Uznajemy, że także w tych związkach obowiązują wartości, które są podstawowe dla naszego społeczeństwa”^[9]. Wilk syty i owca cała? Tak, nawet jeśli kompromisowa wersja zgrzyta sprzecznościami. Bo czy ktokolwiek słyszał o „opartych na powszechnych wartościach” związkach homoseksualnych? Oczywiście, że kakofonię wychwytuje oko i ucho samej Merkel. Ale taka jest dla niej cena kompromisu. W ugodowej formule kryje się jej osobiste stanowisko. Merkel nikogo nie chce odstraszyć, nikogo sprowokować, a już broń Boże zachęcić do wyjścia na barykady. Choć naraża się tym samym na zarzut zaprzędania chadeckiej duszy. Co wcale jej nie martwi, skoro w ten sposób udaje jej się zapobiec szkodliwym dla pracy rządu kłótniom na partyjnych skrzydłach. Czy ta strategia przyniesie jej sukces także w Hanowerze?

Najważniejsze forum chadeków zaczyna się 3 grudnia 2012 roku. Tysiąc delegatów zasiada w hali numer 13 na terenie największego w Niemczech centrum targowego. Nieco na peryferiach miasta. Wyłożony na betonowej podłodze szary filc idealnie amortyzuje odgłos kroków. Nic ma nie stukać, dudnić czy przeszkadzać. Obłożone niebieskim materiałem składane ścianki i banery tworzą miłą i odprężającą atmosferę. Niezbędną do spokojnych obrad. Służy temu też zakaz palenia papierosów w hali. Ale o czym tu mówić, skoro zatroszczono się nawet o opiekę nad małymi dziećmi, by ci z delegatów, którzy przyjechali z dziećmi, w niezakłócony sposób mogli się oddać głosowaniu. Otwarty non stop bufet serwuje prece, a dla uśmierzenia emocji wino i piwo. Merkel nie chce na kongresie żadnych waśni, sporów czy walk frakcyjnych. „Ma tam panować cisza cementarna” – objaśnia biograf CDU, zarazem jej prominentny członek^[10].

Kiedy rozpoczyna się dyskusja nad wnioskiem „dzikiej trzynastki”, pani kanclerz zapada się pod ziemię. Nie zapisuje się na listę mówców. Podobnie jak żaden z liderów partii. Ostatecznie 111 delegatów głosuje przeciwko, ale zdecydowana większość za faworyzowanym przez Merkel kompromisowym rozwiązaniem. Cel został osiągnięty: ostudzono emocje po obydwu stronach. Oczywiście zwolennicy prawnego zrównania związków partnerskich czują się tak, jakby dostali obuchem w głowę. Na Twitterze ćwierkają o „straconych szansach”, o homofobii w partii. Rozdają ulotki z iskrzącym przesłaniem: „Homofobię można wyleczyć”. Ale to wszystko. Nie wszczynają rabanu. Najwyraźniej Merkel może sobie na razie pozwolić na luksus utraty głosów środowisk homoseksualnych. Jeżeli jednak trzeba będzie o nie powalczyć, to szefowa partii puści do nich oko. Znajdzie sposób, by pokokietować ich na Facebooku lub Twitterze. Albo wyśle swoją minister na paradę gejów i lesbijek, by ta stanęła na platformie, jak to już raz uczyniła w 2009 roku Kristina Schröder. Merkel zacznie podwójną grę, kokietując i modernistów, i konserwatystów. Choć właściwie już ją uprawia. Pani kanclerz nie pokazuje się publicznie z homoseksualistami z CDU. Nie omieszka jednak przesłać im pozdrowień, gdy ci się spotykają. Do saksońskiego oddziału homochadeków zawiózł je sam sekretarz generalny CDU Ronald Pofalla. „CDU was potrzebuje” – powiedział na wstępie posłaniec Merkel,

po czym zaapelował do gejów i lesbijek, by ci „informowali go o wszystkich przypadkach, gdy napotkają na problemy w swojej działalności w ramach CDU. On się już tym zajmie”^[11]. Oczywiście, że swoją podwójną strategią Merkel tylko chwilowo rozwiązuje problemy, a właściwie odsuwa je w czasie. To jej jednak w zupełności wystarczy.

Tak właśnie funkcjonuje „system Merkel”. Szefowa CDU nie życzy sobie, by jej własna partia stała się wylegarnią kontrowersyjnych tematów, które mogłyby odbić się czkawką na pracy rządu. Dlatego pani kanclerz, która z wielką troską śledzi wzrost potęgi Chin pod opiekuńczymi skrzydłami piątej generacji przywódców i która z misyjnym zapalem wyciąga z tarapatów eurobankrutów, chadecką duszą partii zajmuje się w najmniejszym stopniu. Ba, zamyka usta gadatliwym chadekom, którzy by chętnie podyskutowali o programie partii i ustosunkowali się do piekielnie ważnych ich zdaniem problemów. A może i nawet, jak za Kohla, skoczyli sobie do gardeł i oczu. Bo część z nich to wiarusi byłego kanclerza, ideolodzy, obrońcy tradycyjnych wartości: religii i rodziny. Dla Merkel natomiast CDU jest partią państwowców. Ona sama uważa się najpierw za kanclerza, a dopiero potem szefa partii. Dlatego nie brakuje w szeregach CDU prominentnych członków, którzy przez zaciśnięte zęby syczą i wzdychają: „Taki Helmut Kohl bardziej troszczył się o firmę”^[12]. Za jego kanclerstwa staczano w CDU ciężkie boje: o poglądy, stanowiska, programy. Aż wióry leciały. A niekiedy głowy. Partia Merkel przypomina usługowy klub klakierów, który przez aklamację przyjmuje narzucone przez przewodniczącą kompromisowe formuły. Na kongresie w Hanowerze delegaci nie mieli nawet szansy, by dokonać wyboru przy obsadzaniu stanowisk wiceprzewodniczących partii. Merkel zatroszczyła się zawczasu o to, by kandydatów było tyle samo, ile miejsc do obsadzenia. Byleby uniknąć sporów. Tyle zgody i konsensusu w CDU nie było nigdy. Ani za Adenauera, ani za Kohla. O co tak naprawdę chodzi Merkel? O zapewnienie spokoju w partii? Ale w imię czego? Obiegowe twierdzenie, że jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to na pewno o pieniądze, jest tu wyjątkowo nietrafne.

„Panie kanclerzu, o co chodzi Angeli Merkel?” – zapytał kiedyś Helmuta Kohla wydawca największego tygodnika opiniotwórczego w Niemczech, „Die Zeit”, Michael Naumann, niemiecki Adam Michnik. „O władzę!” – odparł krótko Kohl^[13]. I wiedział, co mówi. Przez długich dziesięć lat Angela Merkel u Kohla pobierała korepetycje z zakresu sprawowania władzy. Troszczy się o nią jak matka o noworodka. Rozwinęła sejsmiczną wrażliwość na wszelkie zagrożenia mogące uszczuplić jej wpływy. Dlatego też od chwili przejęcia CDU nie opuściła ani jednego posiedzenia swojego klubu parlamentarnego. Bo, jak wiadomo, niebezpieczeństwo w polityce czai się tam, gdzie siedzi polityczny przyjaciel. Merkel nigdy nie zapomniała, że kiedyś Helmut Kohl przed czasem musiał wyjść z posiedzenia frakcji i gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, przy omawianiu ostatniego punktu spotkania, wolnych wniosków, próbowano zorganizować przeciw niemu pucz. Merkel zaprzysięgła sobie wtedy, że nawet chora, słaniając się na nogach, stawia się na każde posiedzenie klubu.

Pani kanclerz tak bardzo chce utrzymać władzę, że obawia się, iż samo gadulstwo partyjne mogłoby jej zaszkodzić. Minimalnie tylko odkręca wentyle bezpieczeństwa, zezwalając delegatom na chadeckich kongresach, by do woli podyskutowali sobie na trzeciorzędne tematy, jakie wpłyną wcześniej we wnioskach na skrzynki mailowe partyjnej centrali. Jeśli jednak wnioski nabierają znaczenia, jak w przypadku związków partnerskich, ukręca się im łeb w komisji wnioskowej, pełniącej dla nich funkcję zamrażarki czy nawet przedsiębiorstwa pogrzebowego. Albo maszynki do mięsa.

Dlatego na ostatnim kongresie w Hanowerze delegaci byli niema widownią teatralną dla przewodniczącej. I „stanęli właściwie tylko przed jednym zadaniem – twierdzi członek prezydium CDU – by przez co najmniej siedem minut oklaskiwać na stojąco Merkel po jej programowym przemówieniu”^[14]. Bijąc rekord z poprzedniego kongresu, wynoszący sześć minut aplauzu. W Hanowerze rekord pobito. Delegaci wstali z miejsc i co sił przez siedem minut i czterdzieści pięć sekund, jak zmierzyły stopery, ręka w rękę oklaskiwali przewodniczącą CDU. W hali szumiała historia. Kurtyna szła to w górę, to w dół. Bo ledwo mówczyni, przy niekończącym się aplauzie, spoczęła na krześle, przy kolejnym huraganie braw znów musiała wstawać. Ze środka sceny przeszła na lewą stronę podium i stamtąd pomachała delegatom. Potem przespacerowała się na prawą stronę podium, by delegaci stojący na tej flance również mogli się nią nacieszyć. Angela Merkel jest przecież dla wszystkich. Wszyscy rześnymi brawami chcieli nagrodzić ją za przemówienie. Zdaniem ekspertów bardzo przeciętne, nieprzeciążające umysłu i tradycyjnie wygłoszone przy użyciu skromnego słownictwa. Co powiedziała Merkel? Niewiele. Głównie, że CDU to partia środka niemieckiego społeczeństwa. Jeśliby przyrównać chadecję na przykład do boiska piłkarskiego, to lokuje się ona dokładnie w tym punkcie, gdzie zaczyna się mecz lub wznowia się go po strzelonej bramce.

Wreszcie nadszedł ostatni punkt hanowerskiego kongresu, wybór przewodniczącego partii. Wystawiono tylko jednego kandydata, Angelę Merkel. Ogłoszony wynik: dziewiętnaście głosów przeciw, pięć wstrzymujących się, 903 za. Zwycięstwo miażdżącą większością, 98 procent głosów. W chwili ogłoszenia wyniku triumfatorka jest w szoku. „Brak mi słów” – duka do mikrofonu. Na sam koniec otrzymuje dwa bukiety kwiatów. Bardzo do siebie podobne. Zapewne od tego samego florysty. W kularach szepcze się o zwycięstwie w chińskim lub kubańskim stylu. Wyjątkowo złośliwi robią aluzje do wyników uzyskiwanych przez Honeckera na zjazdach SED. Inni mówią o „mszy koronacyjnej”. Merkel jeszcze nigdy nie była tak silna jak w grudniu 2012 roku. Po siedmiu latach kanclerstwa i dwunastu przewodzenia chadecji. Szefowa CDU może sobie nawet pozwolić na to, by dość niespodziewanie zamknąć kongres w Hanowerze dwie godziny wcześniej. Powód? W Berlinie czeka na nią premier Izraela Benjamin Netanjahu. Cóż znaczy kongres CDU w obliczu ratowania pokoju na Bliskim Wschodzie?

„Wielka Europejka Angela Merkel” – wychwała ją z podium w Hanowerze numer dwa w CDU, szef frakcji parlamentarnej CDU-CSU, wysoki i postawny Volker Kauder. Z rozpędu pogubił się w zachwytach: „Kiedy teraz patrzymy na naszą partię, Angelę Merkel...”^[15]. Freudowskie przejęzyczenie Kaudera zdradza wszystko: CDU to Merkel. Jak kiedyś Król Słońce Ludwik XIV, tak teraz ona uosabia jedyną możliwą opcję, osobę i program. Żaden z jej poprzedników stojących na czele tej największej chadecckiej partii na świecie nie zmienił jej oblicza tak bardzo jak ta kobieta. CDU Adenauera i Kohla, z ówczesnymi nawet nie dwoma, ale trzema skrzydłami: konserwatywnym, liberalnym i katolicko-społecznym, córka pastora przemielła w „ideologiczne nic” – twierdzi konserwatywny publicysta Alexander Gauland^[16]. CDU nie przypomina dziś konserwatywnej partii chrześcijańskiej. Raczej turecki bazar, który wyborcy oferuje niemal każdy towar, jaki ten zechce. Towary, które nie idą, są wycofywane, towary, na które jest popyt, są w sprzedaży. Dzięki temu Merkel pozyskuje każdego wyborcę. I seryjnie wygrywa wybory. Ale czyż sami chadecy nie dlatego ją wybrali?

Przejmując w 2000 roku przywództwo niemieckiej chadecji, Merkel powątpiewała nawet w swój konserwatywny styl. „Czy jestem dla was na południu Niemiec wystarczająco

konserwatywna?” – pytała filuternie Georga Brunnhubera, wpływowego posła z bastionu CDU w Badenii-Wirtembergii. „Konserwatywni to jesteśmy my. Ale osiągniesz więcej, jeśli postarasz się o to, by nasze córki głosowały na CDU” – usłyszała w odpowiedzi od ultrakatolika, który zasłynął wcześniej z propozycji przebadania wszystkich Niemców testem na HIV i wydania im książeczki zdrowia na AIDS^[17]. Sugestię Badeńczyka Merkel mocno wzięła sobie do serca. Ba, podniosła do rangi naczelnej strategii: pozyskiwania elektoratu dla chadecji poza tradycyjnym, a kurczącym się gronem katolickich wyborców.

Erozja katolickiego elektoratu

Z chwilą przejścia sterów w CDU przez Merkel polityczna kultura Niemiec nie była już tak nasiąknięta katolickim systemem wartości jak za rządów Helmuta Kohla. Sukcesywnie postępujące zeświecczenie niczym korozja zżerało polityczny katolicyzm i do cna laicyzowało niemieckie społeczeństwo. Jeżeli w 1983 roku z okładki niemieckiego „Playboya” uśmiechała się twarz gwiazdy Nastassji Kinski, to w 2004 roku trafiały tam dziewczyny prosto ze środowisk mieszczańskich: siatkarka, hokeistka i florecistka. Erozję katolickiego elektoratu chyba jednak najbardziej uwidocznili stosunek Niemców do papieża. Podczas pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II nad Ren, w 1980 roku, witano go z dystansem, ale z godnością. Szesnaście lat później, gdy po zjednoczeniu Niemiec papież wraz z kanclerzem Kohlem symbolicznie przechodził przez Bramę Brandenburską, w ich kierunku leciały zgniłe pomidory, jajka oraz gwizdy. Z papieżem Benedyktem XVI natomiast Niemców łączyło już tylko wspólne obywatelstwo. Obojętni religijnie nie dopuścili przecież, by ich rodak podczas Światowych Dni Młodzieży celebrował mszę na kolońskich błoniach Hangelarer Heide. Ważniejsza dla nich była ochrona gatunkowa traszki grzebieniastej, trzmiela ozdobnego i ropuchy paskówki, które tamtejszy biotop upatrzyły sobie na miejsce rozrodu. Ekologicznie wrażliwi Niemcy gardłowali też przeciwko włożeniu przez papieża na głowę camauro. „Krew niewinnych zwierząt plami średniowieczną czapkę Benedykta” – pomstowali na zrobione z wielbłądziej skóry nakrycie głowy z gronostajową otoczką, które papież po kilku dekadach przywrócił do łask. Ale w ojczyźnie Benedykta co roku szkolne mury opuszcza większa liczba szewców specjalistów od butów ortopedycznych niż absolwentów seminariów duchownych. W arcybiskupim Magdeburgu jedynie 8 procent nowo narodzonych dzieci zostaje ochrzczonych. W Berlinie trzy czwarte uczniów nie chodzi na religię. Największym zaufaniem Niemcy obdarzają policję (70 procent), zaraz potem znaną w Polsce sieć handlową Aldi (51 procent). Kościoły katolicki i ewangelicki z 32-procentowym zaufaniem plasują się za bankami (41 procent), ale przed gospodarką wolnorynkową (26 procent). Benedykt XVI zajmuje nieco wyższe miejsce (36 procent), tuż przed Dalajlamą (35 procent). Statystycznie 26 z 82 milionów obywateli Republiki Federalnej to katolicy. Z tym że ich liczba od 1974 roku systematycznie maleje. W stosunku do 1991 roku, pierwszego po zjednoczeniu, spadła o trzy miliony. Średnio co roku z Kościoła katolickiego występuje 130 tysięcy członków, a z obydwu, katolickiego i ewangelickiego, jeden wierny co 75 sekund. Wystąpienia powodują wyraźny spadek dochodu Kościołów. I finansowy chaos. W 2005 roku z 22 tysięcy kościołów i kaplic sprzedano 250. Dalszych pięćdziesiąt poszło pod młotek licytatora. W niedzielnej mszy uczestniczy regularnie zaledwie 7 procent wszystkich Niemców. Gwałtownie obniża się liczba księży. W 1991 roku było ich jeszcze 20 tysięcy. W 2003 roku już o cztery tysiące mniej. Dramatycznie zmniejsza się liczba powołań. Próg

seminariów rokrocznie przekracza mniej niż 200 chętnych. W 2006 roku w dwudziestu siedmiu diecezjach kształciło się 900 alumnów. W takim na przykład 2003 roku wyświęcono 130 nowych kapłanów, zmarło 304, a 381 przeszło na emeryturę. Stąd z 13 tysięcy parafii jedna czwarta jest nieobsadzona. Środkiem zaradczym pozostaje na razie ich łączenie. Lub import księży. Także z Polski. Jeszcze gorzej wygląda kwestia wiary. Jedynie 65 procent katolików wierzy w dogmat o życiu pośmiertnym, a tylko garstka – w niepokalane poczęcie Maryi. Wielu z nich woli wiarę w reinkarnację, odmawia Bogu wpływu na los świata i własny, a katastrofy klimatyczne podnosi do rangi Janowej Apokalipsy. Chrześcijaństwo postrzega jako przeciwwagę dla islamu, jako kulturowy fundament, na którym pichci własną religijną miksturę. Modli się najczęściej w środy i soboty, kiedy są losowania totolotka. Spowiada się na czacie. Sensu życia upatruje w ontologicznym koktajlu: trochę Jezusa, dużo kariery, a w wypadkach wątpliwych spojrzenie w oczy swoich dzieci. Wiara jako patchwork? Tak. Najbardziej rzuca się to w oczy wśród młodzieży. Zsekularyzowane roczniki po 1990 roku wychowane są na internecie i MTV. Podług kardynała Meisnera z Kolonii to „metafizyczni wygnańcy”. Generacja, w której marka sportowych butów zdradza o ich posiadaczu więcej niż jego przynależność do Kościoła. Religijne emblematy są u nastolatków en vogue. Krzyż na szyi, na koszulce Che Guevara. I różaniec – jako niezbędny gadżet dla obydwu płci – podpowiada „Max”, młodzieżowe pismo w Niemczech. Rzecz jasna, tylko na sezon letnio-jesienny^[18].

Erozja katolickiego elektoratu chadecji idzie w parze z innymi zmianami społeczeństwa, na przykład drastycznym spadkiem liczby ludności pracującej w rolnictwie. I procesem starzenia się. W 1993 roku „tylko” jedna trzecia członków CDU miała co najmniej sześćdziesiąt lat. Zaledwie trzynaście lat później, w drugim roku kanclerstwa Merkel, niemal połowa członków CDU dobiła sześćdziesiątki lub jest jeszcze starsza. A tylko jedna czwarta chadeczków uważała się za „tradycjonalistów” w zakresie wyznawanych wartości^[19]. Akurat wśród tych adeptów papieskich i biskupich nakazów moralnych lęk przed modernizacją kurczącego się państwa dobrobytu był największy. Nigdy nie przejawiali większej chęci do wzięcia na siebie odpowiedzialności za własną rentę czy ochronę zdrowia. Zagwarantowanie bezpieczeństwa w czterech ścianach domu przez państwo opiekuńcze uznali za naczelną zasadę życiową. Ale ci właśnie chadecy, w większości pracobiorcy, byli przez całe życie katolicy, konserwatywni i garściami czerpali z dobrodziejstw państwa socjalnego. W Kolpingvereinen, katolickich związkach politycznych, i od długoletniego ministra pracy w rządzie kanclerza Kohla Norberta Blüma dowiadawali się, że ta katolicko-socjalna kombinacja wywodzi się od samego św. Tomasza. Ich znakiem rozpoznawczym jest krasnal w przydomowym ogrodzie, mercedes w garażu, wysoko zawieszona flaga niemiecka na działce. Mieszkają w domach z kasetonami na sufitach, ciężkimi kotarami w oknach, ciągle poprawiając kwieciste poduszeczki na sofie. Na autostradach zatrzymują się w każdym zajeździe na kotlet w sosie myśliwskim, mijając po drodze restauracje z kuchnią japońską.

Na ich antypodach pojawiły się wielkomiejskie grupy o zupełnie innym społecznym rodowodzie i zawodowej orientacji. Bezdzietni, single, rodziny patchworkowe – przeciwnicy rozbudowanego państwa opiekuńczego. „Metafizyczni wygnańcy”, jak ich nazywa kardynał z Kolonii, Boże Narodzenie i Wielkanoc spędzają na alpejskich stokach, niedzielę na joggingu i Twitterze, do pracy dojeżdżają rowerem, troszczą się o ekologię, skrupulatnie sortują śmieci, litrami piją latte macchiato i sok z rabarbaru oraz kupują zdrową żywność. Krótko mówiąc, generacja 2.0. Jej szeregi po zjednoczeniu Niemiec zasilili masowo zdechristianizowani

mieszkańcy byłej NRD.

Te procesy chłodno skalkulowała fizyk władzy Angela Merkel. I to z dozą wdzięcznej lekkości. Jej styl znacznie odróżnia się od formacji katolickiego konserwatysty z prowincji Helmuta Kohla, który pięć razy w życiu podnosił prawą rękę i uroczystą przysięgę kanclerską kończył słowami: „Tak mi dopomóż Bóg”. Każde przemówienie w sylwestra zamykał formułą: „Boże, chroń Niemcy”, a katedrę w Spirze, nieodległą od rodzinnego Ludwigshafen, traktował jak kaplicę domową. W stolicy kraju, Bonn, uchodził za drobnomieszczanina. Po ministerstwach krążyły opowieści, jak to Kohl po raz kolejny zaszedł do swojej ulubionej włoskiej restauracji i zanim złożył zamówienie, przechadzał się między stolikami i bez większego zażenowania zaglądał gościom w talerze. Jak przystało na prowincjonalną naturę, w gabinecie zmieniał półbuty na wygodne filcowe kapcie, zakładał zrobiony na drutach sweterek, a na spotkania wciskał się w przezroczyste nylonowe koszule i zbyt obcisłe garnitury. Co niedzielę zakładał najlepszy z nich i szedł do kościoła. Tymczasem gdy zapytano Angelę Merkel, jakie znaczenie ma dla niej niedziela, odpowiedziała: „To dzień, gdy mogę się wypaść do woli i trochę porozmyślać”^[20]. Córka pastora, rozwiedziona, żyjąca w drugim związku, bez dzieci, uosabia bardziej generację 2.0 niż tradycyjne oblicze reńskiej chadecji. Jak większość enerdoców reprezentuje na połę protestanckie, na połę zeświecczone Niemcy Wschodnie, w których życie zmuszało do zachowania dystansu wobec reżimowego państwa. Dlatego jej światopogląd wspiera się na krytycznym wobec państwa pojęciu liberalnej „wolności”, a jako doktora fizyki – na wierze w postęp i modernizację. Co bynajmniej nie należy do kanonu wartości konserwatywnych. Natura racjonalnego przyrodnika, nie religijnego metafizyka, może najbardziej wyraża się demonstracyjną atencją dla badacza mózgu Wolfa Singera. „Kluczowe pojęcie religii, wolna wola, jest tylko dobrym samopoczuciem” – twierdzi neurofizjolog z Frankfurtu. I rozumuje dalej: czy wkładamy koszulę, czy podkoszulek, zamawiamy wino czy piwo i na kogo oddajemy w wyborach głos – „wszystko zależy od splotu genetycznych możliwości mózgu, wychowania i czynników zewnętrznych, które kształtują połączenia w ludzkim mózgu”^[21]. A jeśli dusza, drugie centralne pojęcie wiary, „jest tym czymś wiecznym, co trwa dalej, kiedy my i wszystko to, czym jesteśmy, umiera, to coś takiego w kategoriach nauk przyrodniczych nie ma prawa występować” – puentuje Singer^[22]. Wywody uczonego Angelę Merkel zachwycają tak bardzo, że poprosiła go o wygłoszenie wykładu na jej pięćdziesiątych urodzinach.

Nie tylko w osobie przywódczyni, także na szczytach chadecji ujawniło się nowe, zsekularyzowane oblicze. O tysiące lat świetlnych odległe od wartości rodem z republiki bońskiej Adenauera i Kohla. Czyż można było pomyśleć, by katolik Adenauer rozwiódł się i ożenił powtórnie? Tymczasem katolicy pretorianie Angeli Merkel rozwodzą się w stylu hollywoodzkich gwiazd. A w stylu antycznych Rzymian zenią się powtórnie z kobietami o dwadzieścia lat młodszymi od siebie. Ich listę czyta się jak skład zarządu czy prezydium partii. Oprócz pani kanclerz rozwiedli się i zawarli drugi związek: były sekretarz generalny CDU Ronald Pofalla, były prezydent Niemiec Christian Wulff, obecny komisarz w Brukseli do spraw energii Günther Oettinger, były mózg partii do spraw polityki zagranicznej Friedbert Pflüger czy nawet były szef bawarskiej CSU i ultrakonserwatysta Theo Waigel. Ronald Pofalla, sekretarz generalny CDU w pierwszym rządzie Merkel i szef Urzędu Kanclerskiego w drugim, rozwiódł się po raz drugi. Tego wyczynu dokonał także eksprezydent Wulff. Jego drugie małżeństwo, owiane aurą skandalu i opisywane przez tabloidy w formie opery mydlanej,

budziło takie samo zainteresowanie Niemców jak mecze ich piłkarskiej reprezentacji. Od kilku lat krążą mniej lub bardziej wiarygodne plotki o byłej pierwszej damie Bettinie Wulff. W internecie szumi od pseudonimów i nazw domów publicznych, w których miała pracować. W autobiografii była First Lady zaprzeczyła pogłoskom, wydobywając za to na światło dzienne wiele pikantnych szczegółów swego małżeństwa. Nie zaprzeczał natomiast swojej homoseksualnej orientacji długoletni burmistrz Hamburga Ole von Beust. A o amorach lidera ultrakonserwatywnej CSU i premiera Bawarii Horsta Seehofera rozpisywała się prasa plotkarska. Poinformowała ona także szczegółowo o wojnie małżeńskiej Pflügera, gdy nawiązał romans ze swoją asystentką, i o uganianiu się Theo Waigela po stokach alpejskich za gwiazdą narciarską Irene Epple. O skandal jeszcze większego kalibru zatroszczył się Christian von Boetticher, szef CDU w Szlezwiku-Holsztynie i chadecki kandydat na premiera tego północnego landu, gdy kilka miesięcy przed wyborami na jaw wyszedł jego sekretny związek z nastolatką. Równoległy do oficjalnego z 34-letnią partnerką. Najbardziej jednak standardy chadeckie i autorytet moralny nadszarpnął Christian Wulff, przyjmując korzyści majątkowe od biznesmenów i lobbystów. Zaraz po nim plasuje się ulubieniec chadeckich mas, ultrakatolicki Karl-Theodor zu Guttenberg z bezczelnym plagiatem pracy doktorskiej.

Liderzy chadecji w latach 2000 dotarli tam, gdzie jeszcze przed dekadą sytuowała się rządząca w Niemczech lewicowa elita, wyrosła na fali rewolucji 1968 roku. Za jej modelowe wcielenie uchodził czterokrotnie żonaty kanclerz Gerhard Schröder i jego wicekanclerz, pięciokrotnie żonaty Joschka Fischer. Obydwaj w oczach katolickich kręgów symbolizowali styl życia godny potępienia. Od czasów trzykrotnie żonatego socjaldemokratycznego kanclerza Willy'ego Brandta stratedzy CDU mogli z nadzieją na sukces wysyłać do kampanii wyborczych własne tradycyjne rydwany. To się już jednak skończyło. Przemiany wywołane sekularyzacją przeżarły także elity chadeckie.

Merkel, nieucieleśniającej konserwatywnych wartości republiki bońskiej, przyszło działać wśród chadeków mocno przetrzebionych sekularyzacją. Dlatego gdy stanęła na czele CDU (2000), a potem rządu (2005), nie zainicjowała wzorem Helmuta Kohla wielkiej debaty, z której wyszedłby impuls do sformułowania politycznej filozofii i konserwatywnego profilu dla partii, a programu dla rządu. Przed dwudziestu laty, gdy Kohl zostawał kanclerzem, pierwsze zakusy sekularyzacji odparł on, ogłaszając „duchowo-moralny przełom”. Krył się pod tym hasłem powrót państwa do tradycyjnych wartości konserwatywnych: religii, rodziny, patriotyzmu, które uwiędły w latach rządów socjaldemokratycznych kanclerzy Brandta i Schmidta (1969–1982). Kohl zainicjował intelektualny spór o program polityczno-filozoficzny rządzącej partii. W sporze tym kopie kruszyli najwięksi luminarze epoki Jürgen Habermas i Arnulf Baring. Ale ostatecznie to sam kanclerz najsilniej rzeźbił aksjologiczne oblicze chadecji, odwołując się do wartości reprezentowanych przez patriotyzm narodowy, rodzinę i religię chrześcijańską. Właśnie w oparciu o naukę społeczną Kościoła katolickiego zachował on rozbudowane państwo opiekuńcze. W efekcie w latach 80. Niemcy żyli jak u Pana Boga za piecem. Emerytury, renty i płace rosły jak na drożdżach. Na porządku dziennym były trzynastki na Boże Narodzenie i czternastki na Wielkanoc. Państwo hojną ręką dopłacało do mieszkań, edukacji, ubezpieczeń, ochrony zdrowia, ba, do ogródków działkowych z nieśmiertelnym krasnałem. Chodniki w miastach wykładano kolorową kostką, samorzady fundowały darmowe festyny z piwem i parówką. Kraj ociekał dobrobytem. Ale kanclerzowi sprzyjało szczęście. Zamożność RFN zapewniał niebywały wzrost gospodarczy kraju. W drugiej dekadzie rządów Kohla, w latach 90., horrendalne koszty zjednoczenia Niemiec, globalizacji i starzenia się społeczeństwa mocno

zagroziły dobremu samopoczuciu państwa socjalnego. Wszystkie te demony Kohl starał się ujarzmić, podnosząc podatki oraz dopuszczając praktyki podwyższania płac na drodze bezpośrednich rozmów między pracodawcami a pracownikami. Tym właśnie pozyskiwał wyborców. Podobnie jak formułowaniem wielkich tematów dotyczących socjalnej gospodarki rynkowej, migracji do Niemiec, zjednoczenia kraju czy integracji europejskiej. A to, jak od słów przechodził do czynów, stanowi już drugą stronę medalu. Niezapomniane w tym kontekście jest jedno z jego pierwszych „migracyjnych” posunięć: wyznaczenie 10 tysięcy marek premii dla każdego obcokrajowca, który wyjedzie z RFN. Jego własny minister spraw wewnętrznych z FDP Gerhart Baum taką politykę migracyjną nazwał bez pardonu: „Bierz premię i spieszaj!”^[23].

Skręt w prawo wzbroniony

Zaniechanie przez Merkel na początku rządów podobnej ideowej debaty zdaniem papieża niemieckich publicystów Paula Noltego odpowiada za programowe dryfowanie chadecji^[24].

Nowa pani kanclerz wcale nie miała zamiaru zaprzeczać publicznie. O to jej właśnie chodziło: by uniknąć wrzawy wokół ideologicznego określenia CDU. By bez krępującego gorsetu konserwatywnego programu reagować elastycznie na bieżące polityczne wyzwania. „Raz kieruję się normami chrześcijańsko-społecznymi, innym razem konserwatywnymi, jeszcze innym liberalnymi” – wyłuszczyła elastyczność swoich przekonań^[25]. Prawie pięć milionów przykutych do telewizora Niemców słuchało tych słów w politycznym talk-show prowadzonym przez pierwszą dziennikarkę kraju Anne Will, niemiecką Monikę Olejnik, tyle że z czarnymi włosami i bez szpilek od Christiana Louboutina. Następnego dnia drugie pięć milionów dowiedziało się z gazet, że Merkel absolutnie nie przejęła pragmatyki Kohla, który dbał, by każde skrzydło CDU: konserwatywne, liberalne czy katolicko-społeczne, posiadało swojego reprezentanta na szczytach partii. Szczwany lis dobrze wiedział, że zapewnia to w CDU równowagę sił, a zarazem możliwość identyfikacji z nią różnych grup wyborców.

Merkel natomiast dokładała wszelkich starań, by śmierć chadecckiego jastrzębia Alfreda Dreggera, dwa lata po jej wyborze na przewodniczącą CDU (2002), symbolizowała złożenie do grobu chadecckiego konserwatyizmu. Dregger jako kapitan Wehrmachtu trafił pod Stalingradem do niewoli, co odcisnęło na nim piętno na całe życie. Po powrocie stał się zaprzysięgłym antykomunistą, a słowa „ojczyzna” i „patriotyzm” uczynił osią swojego politycznego życia. Nie cierpiał lewicowości. Na krótko przed śmiercią otrzymał list od grupy związkowców, którzy apelowali, by CDU kierowało się jeszcze większą sprawiedliwością społeczną, która przełożyłaby się na politykę zatrudnienia w Niemczech. Były dowódca batalionu odwarł, że na całym świecie nie brakuje milionów ludzi, którzy są gotowi podjąć pracę za ułamek ich wynagrodzenia. Po śmierci Dreggera, starając się podbić serce liberalnego wyborcy, Merkel żelazną ręką karciała odstępstwa na prawo od wyznaczonego kursu. Jako pierwszy przekonał się o tym konserwatywny poseł CDU z Hesji Martin Hohmann. Ten pupilek Dreggera odważył się publicznie nazwać Żydów „narodem sprawców”, którzy podczas rewolucji bolszewickiej 1917 roku splamili sobie ręce uczestnictwem w mordzie miliona ludzi^[26]. Merkel najpierw wyrzuciła Hohmanna z frakcji parlamentarnej, potem z CDU. Zdystansowała się też publicznie od premiera Badenii-Wirtembergii Günthera Oettingera, który podczas mowy pogrzebowej na cześć swojego poprzednika na urzędzie Hansa Filbingera

wystylizował go na przeciwnika Hitlera. Tymczasem Filbinger jako sędzia marynarki wojennej miał na sumieniu wiele wyroków śmierci wydanych w czasie wojny na opozycjonistów. Merkel zmusiła Oettingera do publicznych przeprosin, a nawet rozważała jego dymisję. Ale przede wszystkim konsekwentnie neutralizowała młodszych wiekiem konserwatywnych baronów. W 2004 roku utraciła kandydaturę Wolfganga Schäublego na prezydenta Niemiec na rzecz liberalnego szefa Banku Światowego Horsta Köhlera. W 2006 roku wyeliminowała z prezydium CDU Jörga Schönbohma, naczelnego ideologa partii z epoki Kohla, byłego generała i niezawodnego gościa zjazdów ziolkowskich. A na samym końcu pozbyła się w 2010 roku nieformalnego lidera konserwatystów młodszej generacji Rolanda Kocha. Wobec każdego z nich żywiła spore obawy, że może on porwać się na sformułowanie politycznie konserwatywnej filozofii i programu, a nawet na przejście partii.

Stajnia kucyków

Za to szefowa CDU otoczyła się gronem nowych wiernych o równie elastycznych co ona poglądach. „Stajnię kucyków” nazwał ich jeden ze spin doktorów Helmuta Kohla^[27]. Główne walory „kucyków”? Bezideowość i koniunkturalizm. Naczelna troska: utrzymanie władzy. Ich memento: „Upadnie Merkel, upadamy my”. Najbardziej archetypicznym z nich jest Ronald Pofalla, syn sprzątaczkę i robotnika fabrycznego, mówiący trochę przez nos szef Urzędu Kanclerskiego w latach 2009–2013, wcześniej przez sześć lat (2005–2011) numer dwa w CDU jako sekretarz generalny partii. Jego najbardziej charakterystycznymi cechami są: perfekcyjna niewyraźność, blade przekonania i absolutny brak profilu ideowego. W oczach Merkel walory predysponujące go w sposób szczególny do stanowiska sekretarza generalnego. Przewodnicząca CDU, a potem kanclerz Niemiec nie życzyła sobie przecież żadnej burzy mózgow i ideologicznych awantur w partyjnych szeregach. A Pofalla gwarantował zachowanie absolutnej cmentarnej ciszy. Choć każdy z dotychczasowych sekretarzy generalnych CDU z urzędu nakręcał ideologiczną spiralę emocji i w partii odgrywał rolę podobną do lidera piłkarskiego fanklubu walącego na meczach w wielki bęben, krzyczącego jako pierwszy: „Gooooool!”, gdy padnie bramka dla jego drużyny, i wrzeszczącego: „Faul!”, gdy przeciwnik przechodzi do ataku. Ronald Pofalla był pierwszym sekretarzem generalnym w dziejach CDU, który po bramce dla swojej drużyny związał transparenty i odbierał gwizdki kibicom z fanklubu. Partyjni koledzy najbardziej zapamiętali go jako fetyszystę okularów. Bo nie zapadł im w pamięci jako autor ustawy, strategicznego projektu czy słownej potyczki w Bundestagu^[28]. Trochę się to zmieniło, gdy w 2011 roku Pofalla przesiadł się z fotela sekretarza generalnego CDU na krzesło szefa Urzędu Kanclerskiego. Późną jesienią 2011 roku wystrzelił z grubej rury: „Nie mogę znieść widoku twojej gęby!” – wykrzyknął w obecności kilkudziesięciu chadeckich posłów na jednego z nich, który w Bundestagu złamał dyscyplinę klubu i zagłosował przeciw pakietowi ratunkowemu dla Grecji. „Gównu mnie to obchodzi” – dorzucił jeszcze, gdy inkryminowany poseł wskazał na wątpliwą zgodność pakietu z konstytucją^[29].

Jedynym konserwatystą z przekonania, może nawet ogierem w „stajni kucyków” Angeli Merkel, jest Volker Kauder. Syn Niemców wypędzonych po II wojnie światowej z Jugosławii i jak Merkel ewangelik. Z wiarą św. Pawła, która przenosi góry. Większa od jego wiary jest tylko lojalność wobec przewodniczącej CDU. Byłby gotów w każdej chwili złożyć swoje konserwatywne poglądy na ołtarzu rzecznej lojalności. Gdy w 2000 roku Angela Merkel

wdrapała się na partyjny szczyt, Kauder grzał w Bundestagu ostatnie ławy poselskie. Należał do zaciętych przeciwników nowej przewodniczącej. W jej rozgrywce o nominację na chadeckiego kandydata na kanclerza w 2002 roku z szefem CSU Stoiberem bez wahania opowiedział się za Bawarczykiem. Kiedy Merkel jeszcze w tym samym roku do funkcji szefowej partii dorzuciła kierownictwo frakcją chadecką w Bundestagu, wysłała Kauderowi zaproszenie na pogawędkę w cztery oczy. Przy sałatkach zaoferowała mu stanowisko pierwszego jej zastępcy we frakcji. „Liczyłem się ze wszystkim, ale nie z tym” – przyznaje Kauder^[30]. Od razu przyjął posadę, na której można się zaharować na śmierć. Albo awansować. Kauder awansował. Gdy Merkel w 2005 roku została kanclerzem, on przejął po niej frakcję. Od tej pory może na nim polegać jak na Zawiszy.

W 2005 roku razem z Kauderem i „kucykami” Merkel stanęła na czele wielkiej koalicji z SPD. Rządząc z socjaldemokratami, siłą rzeczy musiała zawierać „zgniłe kompromisy”. Wszystkie w duchu mocno socjalnym. Jeszcze bardziej zatracając swój konserwatywny profil. Otworzyła się na dotychczasowego wyborcę lewicowej konkurencji: żyjących w Niemczech obcokrajowców, kobiety samotnie wychowujące dzieci, mieszkańców dużych miast, którzy – jak zauważyli sami chadecy – „w porównaniu do uczestników zebrania powiatowego CDU są ubrani bardziej kolorowo i modnie, na większym luzie”^[31]. Wiarusi Kohla i partyjni malkontenci zaczęli wieszczyc katastrofę: jeśli Merkel będzie nadal w ten sposób „modernizowała” partię, kokietując obcokrajowców, Niemcy zamienią się w kraj Murzynów, Azjatów i Turków. A jeśli jej minister nadal w tak ekspresowym tempie będzie rozbudowywać żłobki i przedszkola, upadek rodziny jest murowany. Kobieta nie zostanie w kuchni przy garach, tylko usiądzie przy komputerze w biurze. Dopóki jednak psioczono po kątach, Merkel nic sobie z tego nie robiła.

Rachityczna opozycja

Aż tu nagle wybuchła bomba. We wrześniu 2007 roku czwórka chadeków średniego pokolenia zapowiedziała ogłoszenie memorandum, które na nowo miało zdefiniować konserwatywny kanon partii. Merkel na dobre się przeraziła. CDU groziło wielkie niebezpieczeństwo – strategiczna debata programowa. Od dołów partyjnych po samą wierchuszkę. Dyskusja mogła odsłonić piętę achillesową partii: brak konserwatywnego profilu. Czyżby koniec marzeń o modernizacji CDU i szerokim dla niej elektoracie? Niestety nie mogło być większe. Akurat w tym właśnie czasie kanclerz pracowała nad partyjnym programem. Po siedmiu długich latach, jakie minęły od przejścia sterów w CDU. Tyle że jej program nie miał powstać na drodze ogólnopartyjnej debaty, jak w czasach Adenauera czy Kohla, tylko przy stoliku – w centrali. Na wieść o „bandzie czworga” projektującej memorandum „generalowie” Merkel, Kauder i Pofalla, natychmiast chwycili za służbowe telefony. Nic nie wskórali. Einsteinpakt, jak w chadeckiej centrali ohrzczo snyderczo, od miejsca śniadań w jednej z berlińskich kawiarni, kwartet krnąbrnych chadeków, wkrótce wydał zapowiedziany dokument^[32]. Merkel nie dostała go do ręki. Treść memorandum przeczytała w gazecie. Papier hucznie zapowiadał powrót do chrześcijańskich korzeni chadecji. W języku Realpolitik oznaczało to odrzucenie przez Niemcy akcesji Turcji do UE, a na forum wewnętrznym przykręcenie śruby w polityce imigracyjnej, wzmocnienie rodziny i państwa opiekuńczego. Na szczęście dla Merkel w tym ostatnim punkcie konspiratorzy sami ze sobą nie

mogli dojść do zgody. Dwóch z nich młotem potępienia waliło w praktyki jej minister do spraw rodziny Ursuli von der Leyen, przykładnej matki wychowującej siedmioro dzieci z jednego małżeństwa. Rozbudowa sieci przedszkoli i żłobków przez von der Leyen to zdaniem dwójki z Einsteinpaktu pomysł lewacki. Byłoby o niebo lepiej, gdyby pani minister wspierała matki, które w domu zostają z dziećmi. Ale pozostała dwójka frondystów politykę minister uznała za słuszną. Co nie wzmocniło pozycji rebeliantów. Nic bowiem nie szkodzi buntowi tak bardzo jak wewnętrzna niezgoda.

Merkel, Kauder i Pofalla odetchnęli z ulgą. Tym bardziej że żaden znaczący polityk nie przyłączył się do kwartetu frondystów. Ich tezy w partyjnej centrali Konrad-Adenauer-Haus szybko przerobiono na makulaturę. Sam Einsteinpakt rozplątał się w niebycie. Merkel mogła najspokojniej dokończyć rozbijania rodzinnej porcelany chadecji. Ówczesny modernistyczny program pani kanclerz odchudzał opiekuńcze państwo Kohla z socjalnego tłuszczu. Odrzucał pomysł wprowadzenia płacy minimalnej jako elementu niszczącego miejsca pracy, a optował za podniesieniem wieku emerytalnego do sześćdziesięciu siedmiu lat. Ekonomiczny liberalizm objawiał się poluzowaniem zabezpieczeń pracobiorców przed wypowiedzeniem pracy i stałym podkreśleniem konieczności wzięcia odpowiedzialności za swój los we własne ręce. To jeszcze nie wszystko. Bo ekonomiczny liberalizm szedł w parze ze społecznym: wariantową opieką nad dzieckiem przez matki i ojców, rozbudową przedszkoli i żłobków, zgodą na badania prenatalne, na in vitro, a jak się ostatnio okazało, z dowartościowaniem małżeństw homoseksualnych. Wszystko to oznaczało odejście od litery „C” w nazwie partii. Dla Merkel natomiast było elastyczną odpowiedzią na nowe wyzwania stojące przed polityką w zakresie państwowego managementu. Wprawdzie od samego początku naczelną przesłanie kanclerz brzmiało: „Jesteśmy partią środka”, co oznaczało ofertę programową adresowaną do szerokiego kręgu wyborców^[33]. Tyle że ów „środek” przesunął się od dominującego wcześniej wyborcy katolickiego w kierunku elektoratu neoliberalnego.

„Jeśli ktoś łowi ryby, zbyt mocno przechylając się na lewą stronę, może łatwo wypaść z łodzi” – przestrzegają niezadowoleni z tego kursu chadecy^[34]. I ponownie zwierają szeregi. Skupiają się wokół przewodniczącego frakcji CDU w heskim Landtagu Christeana Wagnera. Ten pochodzący z Królewca przesiedleńca przez długie lata w heskim parlamencie uchodził za pierwszą szablę Dreggera, a od lat jest stałym bywalcem spotkań związków wypędzonych. Wagner długo marzył, by zostać federalnym ministrem sprawiedliwości. W przeszłości zabłysnął już kilkoma prawnymi sugestiami. Między innymi proponował zaostrzyć kary dla drobnych przestępców, wydalać obcokrajowców za słowne obrażanie Niemców czy zakładać kajdanki elektroniczne bezrobotnym, którzy zbyt długo żyją na państwowym garnuszku. No i należał do największych orędowników wprowadzenia do szkół na lekcjach biologii tematu poświęconego biblijnej wersji stworzenia świata. Jego pomysły pozostały schowane głęboko w szufladzie, gdyż nigdy nie objął stanowiska federalnego ministra sprawiedliwości.

W przededniu kampanii wyborczej w 2009 roku do Bundestagu, gdy Merkel ubiega się o reelekcję, grupa bojowa Wagnera wzrasta do szesnastu członków. Wszyscy są posłami CDU do Bundestagu. Wśród nich błyszczy nazwisko prominentnego barona w partyjnej hierarchii – Karla-Teodora zu Guttenberga. W słoneczne, wiosenne i letnie dni 2009 roku sprzysiężeni regularnie spotykają się w ogródkach kawiarni i restauracji na centralnej alei Berlina Unter den Linden. Przy dziczyźnie, sałatkach i kawie dyskutują, jak zaradzić dalszemu tłuczeniu chadecckiej porcelany przez Merkel. Wszyscy są porażeni tym, co stało się 3 lutego 2009 roku.

Tego dnia Angela Merkel popełnia w ich oczach największe przewinienie. I to całkiem świadomie.

Kiedy 3 lutego pani kanclerz staje przed kamerami razem z prezydentem Kazachstanu Nursultanem Nazarbajewem, którego gości w Berlinie, i rozpoczyna konferencję prasową, dobrze zna treść jednego z pytań. Dotyczy ono papieża Benedykta XVI. Jej rodak w Watykanie cofnął niedawno ekskomunikę, jaką jego polski poprzednik obłożył czterech biskupów Bractwa Kapłańskiego Świętego Piusa. Wszyscy duchowni to absolutna konserwa w Kościele. Odrzucają nauki II Soboru Watykańskiego, a w Żydach nadal upatrują diabła wcielonego. To kanclerz Niemiec nie musi obchodzić. Ale gdy jeden z rehabilitowanych hierarchów, biskup Richard Williamson, notorycznie zaprzecza eksterminacji Żydów w czasie II wojny światowej, przez Niemcy przechodzi fala oburzenia. Nad Renem negacja Holocaustu podlega karze do pięciu lat pozbawienia wolności. A sama Merkel jest szczególnie wrażliwa na losy narodu żydowskiego. „Będę musiała się w tej sprawie wypowiedzieć” – zapowiada swojemu otoczeniu^[35]. Jeśli zrugąła posła Hohmanna i wyrzuciła go z CDU za antysemityzm, to potrafi dać odpór i papieżowi. To nie ona ustala sobie przecież listę osób, które należy przywołać do porządku. Czyż nie czekała cierpliwie na reakcję rzymskiej kurii? Niestety, na próżno. Pierwotnie pani kanclerz planuje zorganizowanie specjalnej konferencji prasowej. Ostatecznie postanawia skorzystać z okazji, jaką daje wizyta w Berlinie prezydenta Kazachstanu. „Jak ocenia pani konsekwencje personalnej decyzji papieża i dyskusji, jaka toczy się w Europie, przede wszystkim w Niemczech?” – pada ustawione pytanie. Odpowiedź Merkel też jest przygotowana. „To nie jest wewnętrzna sprawa Kościoła katolickiego, lecz kwestia zasadnicza, odnosząca się do całej społeczności żydowskiej, ponieważ po decyzji Watykanu powstaje wrażenie, że można zaprzeczać Holocaustowi. Dlatego nie wolno jej pozostawić tak sobie, bez konsekwencji”^[36]. Zdanie przechodzi do historii. Jeszcze nigdy żaden nowożytny przywódca kraju pochodzącego z zachodniej cywilizacji chrześcijańskiej nie skrytykował papieża tak dosadnie. W dodatku w towarzystwie autokraty Nazarbajewa, który u siebie w domu opozycję łamie kołem. Żelazną ręką chce trzymać nie tylko swój kraj, ale i przyrodę – jeden z jego pomysłów polega na zawróceniu biegu syberyjskich rzek z kierunku północnego na południowy. „Z pewnością popełniono w Watykanie błędy” – próbuje zamortyzować wydźwięk słów pani kanclerz wysoki rangą niemiecki kardynał w rzymskiej kurii Walter Kasper^[37]. Ale dzień wcześniej 20 milionów Niemców w największej bulwarówce kraju „Bild Zeitung” czyta z zapartym tchem: „Nie ma bardziej moralnie godnej potępienia rzeczy od relatywizowania rasistowskiego mordu. Papież popełnił wielki błąd, a że jest nim akurat papież niemiecki, to błąd jest jeszcze poważniejszy. Papież Benedykt XVI przyniósł Niemcom w świecie wielką ujmę na honorze. Dlatego musi naprawić swój błąd, odwołać wcześniejszą decyzję i przeprosić. Kto nie znajdzie do tego siły w sobie, ten nie ma prawa powoływać się na siłę boską”^[38]. Te przeszywające słowa wychodzą spod pióra samej prezes koncernu Axel Springer AG, który wydaje „Bild Zeitung”. Dziedziczka imperium wydawniczego Springera należy do sojuszników pani kanclerz. Podobno wpada na kawę do Urzędu Kanclerskiego. Friede Springer, o której tu mowa, kibicowała Angeli Merkel z trybuny honorowej podczas jej zaprzysiężenia w Bundestagu. Nawet rzecznik rządu nie kryje, że obydwie damy darzą się wielką sympatią. „Bild Zeitung” jak może wspiera panią kanclerz na medialnej flance. Internetowe wersje „Spiegla” i „Die Welt”, które należą do koncernu, mają charakter gazety dworskiej. Koniec końców, 3 lutego 2010 roku chadecka porcelana z hukiem się potłukła.

Niemieccy katolicy są święcie oburzeni. Dla nich atak na papieża Ratzingera odbywa się w stylu liberalnego hasła „Ratzinazi”. Bo jak można tak napyskować papieżowi? Mimo uszu puszczają to, co mówi kardynał Karl Lehmann z Moguncji. W wywiadzie dla radia Südwestrundfunk hierarcha rehabilitację biskupa Williamsona nazwał katastrofą dla ofiar Holocaustu. Lehmann to taki niemiecki biskup Pieronek. Gdy po dwudziestu latach przewodniczenia niemieckiej konferencji episkopatu otrzymywał kapelusze kardynalski, kibicował mu cały kraj, w tym niewierzący^[39]. Ale w Niemczech Lehmann cieszy się większym autorytetem od papieża-emeryta Benedykta. Oczywiście z wyjątkiem środowisk konserwatystów.

Jednym z rozsierdzonych na kanclerz katolików jest Werner Münch. Dla niego po bezprecedensowym ataku Merkel na papieża miarka się przebrała: „Zarzucić akurat temu papieżowi, że nie jest wrażliwy na Holocaust, to absurd”^[40]. Pod koniec lutego Münch wysłała list otwarty do szefa swojego zarządu powiatowego CDU. Informuje go w nim, że po trzydziestu siedmiu latach występuje z partii. Epistołą zaczytuje się pół kraju. I całe CDU. „CDU kupczy wartościami”, jej przewodnicząca „lawiruje na wszystkie strony”, pokazuje się razem „z największą w Niemczech orędowniczką przerywania ciąży”, przeobraziła partię chadecką w socjaldemokratyczną, brzmi katalog zarzutów. „Konserwatywni wyborcy są niezadowoleni. Wielu napisało mi, że nie mogą już dłużej głosować na CDU” – kończy swój list Werner Münch^[41]. Pięć miesięcy później w wyborach samorządowych we Freiburgu, stolicy archidiecezji Górnego Renu, CDU osiąga najgorszy rezultat po II wojnie światowej.

Münch to nie byle kto. Na karku ma siedemdziesiąt lat, za sobą imponującą karierę w CDU. Zaczynał w latach 70. jako przewodniczący Junge Union, karierę kończył jako premier kraju Saksonii-Anhalt. Wykładał politologię w Osnabrück. W jesieni życia przeniósł się do Freiburga, najbardziej idyllicznego miasta w Niemczech. Miasto notuje największą liczbę dni słonecznych w Niemczech, panuje w nim łagodny śródziemnomorski klimat i w ogóle żyje się w nim jak u Pana Boga za piecem. W powietrzu unosi się dolatujący zza nieodległej granicy zapach francuskiego sera, a z okien rozpościera się widok na wciskające się w miasto i porośnięte winnicami góry Schwarzwald. Właśnie na jednym z tych łagodnych zboczy stoi dom Müncha z widokiem na ciemny grzbiet francuskich Wogezów i wijącą się w dole nitkę Renu. I na katedrę z wieżą, którą wielki historyk sztuki Jacob Burckhardt nazwał najpiękniejszą wieżą świata chrześcijańskiego. Bajka. Ale nie dla Müncha. O zawroty głowy przyprawia go CDU Angeli Merkel. Chadecki emeryt, zamiast ze swojej werandy kontemplować krajobraz i czyste powietrze, przesiaduje w salonie obok figurki Madonny, z ołówkiem i zeszytem w rękę, skrupulatnie notując kolejne grzechy CDU. Wyczytuje je potem każdemu, kto go odwiedzi, przybierając pozę profesora. Wykłady o kryzysie ideowym chadecji prowadzi na granicy zawału serca. Oplakuje upadek wartości, etyki i moralności. Absolutny brak reakcji ze strony CDU po jego wystąpieniu z partii utwierdza go tylko w słuszności wyboru.

Zdegustowani jak Münch chadecy posłowie skupieni wokół posła Wagnera w lecie 2009 roku piszą do Merkel list – nie e-mail – jak przystało na konserwatystów. W przededniu kampanii wyborczej do Bundestagu na trzech stronach epistoły bardzo taktownie pouczają ją, jak ponownie należy wyeksponować konserwatywne, chrześcijańskie i mieszczańskie wartości, nie zapomnieć o rodzinie, wolności czy patriotyzmie i ogólnie zatknąć chorągiewkę chadecką na polityce prawicowej. Merkel proponuje Wagnerowi spotkanie w Urzędzie Kanclerskim. Randka nie trwa nawet godziny. Ze strony pani kanclerz to raczej miły gest, nic więcej.

Jakiegokolwiek ustępstwa na rzecz partyjnych konserwatystów klóciłyby się z jej naczelną strategią, plasującą CDU jako partię środka. Ale spotkaniem nie zamyka ust oponentom. Uciszy ich tylko wtedy, jeśli w 2009 roku wygra kolejne wybory i znów zostanie kanclerzem. Poseł Georg Brunnhuber, ten sam, który u progu jej kanclerstwa wymyślił dla niej prostą receptę: „on i konserwatyści + nowoczesna Merkel = sukces”, raz jeszcze staje przed nią w przełomowym momencie jej politycznej kariery. U progu kampanii wyborczej spotyka ją w restauracji Bundestagu i do uprzedniej recepty dorzuca istotną poprawkę. Wynik najbliższych wyborów będzie papierkiem lakmusowym ich związku. Nie brzmi to dobrze dla Merkel. Wygląda na zapisany drobnym drukiem dodatek do wcześniejszej umowy. Lepiej za to brzmią dla niej sondaże przedwyborcze. Dziesięć tygodni przed dniem wyborów czterech z pięciu Niemców typuje ją na zwycięzcę. Tylko 13 procent oczekuje sukcesu pretendenta z SPD. Nawet sami członkowie SPD (84 procent) liczą się z triumfem Merkel. „Od dziesięcioleci nie mieliśmy takich wysokich notowań urzędującego kanclerza” – komentuje czołowy instytut sondażowy TNS Emnid. Ale już analiza przyczyn takiego rozłożenia nastrojów studzi euforię. To nie CDU jest tak silna, tylko SPD słaba jak nigdy^[42]. By zwiększyć szanse Merkel na zwycięstwo, prezydent USA Barack Obama krótko przed wyborami z największymi honorami przyjmuje ją w Białym Domu. Pretendentowi z SPD, który sam zasugerował spotkanie w Waszyngtonie, Biały Dom przysłał odmowę.

Kiedy po zakończeniu wyborów ogłaszane są wyniki, CDU osiąga historyczne dno, najgorszy rezultat w dziejach (33,8 procent). Podobnie jak jej największa konkurentka – SPD (23 procent). Merkel pozostaje kanclerzem tylko dzięki fenomenalnemu poziomowi poparcia dla nowego koalicjanta – liberalnej FDP (15 procent). Dotychczasowa katolicka klientela CDU pokroju Müncha odwraca się do niej plecami. Rozgoryczony rozwodnionym programem CDU chadecki wyborca zostaje w domu. Albo swój głos oddaje innym. Jak wynika z wyborczych danych, ponad dwa miliony chadeków zagłosowało na lewicę lub liberałów z FDP. Merkel ponosi klęskę w dotychczasowych katolickich bastionach unijnych na południu kraju. Tam, gdzie za Adenauera i Kohla CDU przekraczała próg 50 procent. Teraz w żadnym z dwóch południowych landów, Bawarii i Badenii-Wirtembergii, nie zbliżyła się nawet do progu 36 procent. Jediną grupą wyborczą, która w większości oddała swój głos na chadecję, byli renciści (40 procent). Przed jeszcze większą klęską uratowały Merkel kobiety i wschód Niemiec. Była NRD w większym stopniu niż przed czterema laty poparła chadecję.

Zaraz po wyborach konserwatywne koło Wagnera nie zostawia na Merkel suchej nitki. Czyni ją osobiście odpowiedzialną za nędzny wynik. To polityka rodzinna w duchu socjaldemokratycznym Ursuli von der Leyen i odejście od konserwatywnych wartości były gwoździem do trumny CDU – grzmi koło Wagnera. Te egzekwie to jedynie retoryczne frazesy. Przyczyny są znacznie głębsze. Wyniki wyborów dowodzą, że erozja wielkich partii ludowych w całej Europie dosięgła i CDU. Jeszcze przed laty socjolog i politolog Ralf Dahrendorf, napisał, że „czeka nas koniec stulecia socjaldemokracji”, bo „jej program jest z wczoraj”^[43]. Teraz także katolicki elektorat stopniał, a jego związek z chadecką partią rozluźnił się mocno. Na śmietnik historii odszedł czas wielkich partii integrujących różne grupy społeczne, uzyskujących 40 czy nawet 50 procent głosów. W Niemczech o różne środowiska walczy już pięć dużych partii, których oferta programowa zbytnio się nie różni. Także dlatego, że po upadku dwubiegunowego świata coraz mniejsze znaczenie mają ideologia i religia. Merkel o tym wie, dlatego uwodzi elektorat miast, zeświecczonych singli, matki samotnie

wychowujące dzieci, patchworkowe rodziny i neoliberalów. W 2009 roku zagłosowało na nią 900 tysięcy byłych wyborców SPD. Z perspektywy pani kanclerz jej strategia się opłacała.

„Mówię to rzadko: jestem szczęśliwa” – oświadcza w wyborczy wieczór przed kamerami^[44]. W czerwonym żakiecie, z koralami na szyi i promienną twarzą. Triumfatorka jest tak rozchwytywana, w takim tempie udziela wywiadów, że nawet mąż profesor nie może się do niej dodzwonić z gratulacjami. Ona wreszcie staje na czele koalicji marzeń, z liberalną FDP. To jak wysniony ślub. Ale ciągnący się od jesieni 2008 roku światowy kryzys pogłębia jeszcze bardziej przepaść między kurczącym się elektoratem katolicko-socjalno konserwatywnym a liberalnym. Na niekorzyść tego pierwszego. Poparcie dla CDU rok później (2010) spada do dramatycznych 31 procent. Z takim wynikiem Merkel nigdy nie wygrałaby wyborów. Nie zostałaby kanclerzem.

Podwójna gra

Najpierw, na początku drugiej kadencji (2009), Merkel wymienia trzecią osobę w partii, sekretarza generalnego. Zamienia „kucyka” Pofallę na wyrazistego konserwatystę z prowincji. Hermann Gröhe jest przykładowym ewangelikiem, z pierwszą żoną i czwórką dzieci. Udziela się w synodzie ewangelickim, wydaje pisma religijne. A w CDU to swój człowiek, z czerstwą twarzą, rumieńcami na policzkach, kompan niestroniący od piwa wieczorem i męskich dowcipów. Jest za pan brat z tysiącami chadeków. Każdego roku podczas karnawału dziarsko maszeruje w bractwie kurkowym. Jego ulubiona rozrywka? Nie, nie czytanie – myślistwo. Co gwarantuje on Merkel? Absolutną wobec niej lojalność i koneksje u konserwatystów. A dzięki tym przymiotom także nadzieję na spacyfikowanie prawicowych wiarusów.

Rok później na partyjnym kongresie w Karlsruhe w grudniu 2010 roku Merkel szuka jeszcze jednego balsamu, który mogłaby wylać na obolałą duszę chadecji. Znajduje go w ważnej dla konserwatystów kwestii migracji. Chadeccy prawicowcy powątpiewają, czy można połączyć islamski sposób myślenia z wartościami państwa demokratycznego. „Kto chce mieszkać w Niemczech, ten musi uczyć się niemieckiego i respektować obowiązujące w Niemczech prawo” – grzmi z trybuny Merkel^[45]. Otwarcie przyznaje się do litery „C” w nazwie partii, chwali rodzinę i aż do znudzenia operuje „chrześcijańskim obrazem człowieka i jego nienaruszalnej godności”^[46]. To pojęcie ma określać chrześcijański profil partii. W istocie jednak jest na tyle nieprecyzyjne, by nie krępować swobody przewodniczącej, która kwestię wiary zamyka w obrębie szczelnych murów kościoła. By jeszcze bardziej przypodobać się konserwatystom, Merkel w Karlsruhe atakuje opozycję, od której w warstwie światopoglądowej jej CDU niewiele się już różni. „To zgrają ogórków” – rzuca jakby z obowiązku w stronę Partii Zielonych^[47]. Czysta retoryka. Co najdobitniej udowadnia praktyka samego zjazdu. Większością tylko jednego głosu przechodzi zakaz przeprowadzania badań genetycznych na zarodkowych komórkach macierzystych pochodzących z Niemiec. Badań mających wykryć ewentualne defekty embrionu uzyskanego dzięki in vitro przed jego implantacją. Ze względu na konieczność zniszczenia trzy-pięciodniowego zarodka dla pozyskania komórki macierzystej Kościół katolicki metodę tę uznaje za sprzeczną z etyką i przyrównuje do uduszenia dziecka poduszką. Za dopuszczalnością badań opowiada się na kongresie minister do spraw nauki w rządzie Angeli Merkel Annette Schavan, absolwentka teologii. Jako praktykująca katoliczka Schavan przyznaje: „Nie można ignorować szans, jakie daje postęp w medycynie. Choć zdaję

sobie sprawę z konfliktu, w jaki popadam”^[48]. Rząd Angeli Merkel już w styczniu 2008 roku przepchnął w Bundestagu ustawę zezwalającą na importowanie z zagranicy komórek macierzystych, o ile pobrano je przed 1 maja 2007 roku. Merkel głosowała za przyjęciem ustawy, podobnie jak jej minister po teologii. Nie chciała, by niemiecka nauka wlokła się w ogonie za światową czołówką. Rok po Karlsruhe parlament w toku dramatycznej debaty przyjmuje liberalny projekt ustawy zezwalający na stosowanie badań preimplantacyjnych w dwóch przypadkach: występowania choroby genetycznej oraz ryzyka obumarcia płodu lub poronienia. Posłowie głosują zgodnie z własnym sumieniem. Chadeckiej partii grozi palcem Kościół katolicki. Kardynał z Kolonii już straszy ekskomuniką. Schavan nie musi być rozwieziona, bezdzietna i tkwić w drugim związku, podobnie jak przewodnicząca jej partii, by tak samo jak ona ucieleśniać chadecję à la Merkel. W istocie literę „C” w nazwie partii Merkel uzasadnia jedynie blokada starań islamskiej Turcji o wejście do Unii Europejskiej. Skoro minister spraw wewnętrznych z CDU w rządzie krajowym w Hamburgu opowiadał się za legalizacją eutanazji. A partyjna koleżanka i minister spraw społecznych w rządzie Dolnej Saksonii za zdjęciem krzyża w salach lekcyjnych.

„Krzyż przy literze »C« – czyli jak chrześcijańskie jest jeszcze CDU?” – zatytułował swoją książkę Martin Lohmann, członek CDU, z zawodu dziennikarz, z powołania katolik i członek koła posła Wagnera. Osią wywodów uczynił politykę przewodniczącej Angeli Merkel, która jego zdaniem najbardziej zagraża chrześcijańskiemu jądro chadecji. Jak islam Zachodowi. W jednym miejscu Lohmann opisuje swoje pierwsze spotkanie z Merkel sprzed dwudziestu lat, gdy pracował w katolickiej gazecie i udzielał się w katolickim kole CDU. To ona pierwsza zadzwoniła do niego i poprosiła o spotkanie. Doszło do niego jeszcze tego samego dnia, u Merkel w biurze. Ale między nimi nie zaiskrzyło. Teraz, po dwudziestu latach, Lohmann przyniósł jej swoją książkę do Urzędu Kanclerskiego. Sygnowaną odręcznie dedykacją: dla „przewodniczącej CDU i kanclerz, dr Angeli Merkel – w poczuciu krytycznej lojalności i chrześcijańskiej łączności”. Tym razem Merkel spotkać się nie chciała^[49]. Za co nie grozi jej ekskomunika.

Kardynał z Kolonii nie straszy ekskomuniką również wtedy, gdy w 2010 roku rząd Angeli Merkel przygotowuje się do zawieszenia na kołku obowiązku służby wojskowej, co w efekcie zmniejszy zapotrzebowanie na kapelanów w armii. Podkopanie filaru chadeckiej tożsamości, dla konserwatystów „wielkiej szkoły narodu i patriotyzmu”, politycznie oznacza ukłon w stronę lewicowego wyborcy, praktycznie – przejście na mniejszą pod względem liczebności armię zawodową – okrojoną z 250 tysięcy do 165–170 tysięcy żołnierzy – opartą teraz na zaciągu ochotników. Bo po co Niemcom ćwierć miliona żołnierzy, skoro wysłanie już siedmiu tysięcy na misję stabilizacyjną stawia Bundeswehrę przed zadaniem niewykonalnym? Przełomowy dla 200-letniej tradycji wojskowości w Niemczech, w tym 57-letniej w samej RFN, krok odpowiada trendowi w NATO i Europie. Dziewiętnaście krajów postąpiło tak samo. W przypadku pragmatycznej Merkel, liczącej w wolnych chwilach słupki z miliardami w budżecie rządowym, argument zaoszczędzenia do końca 2013 roku 1,3 miliarda euro najbardziej przemawia do wyobraźni. Podobnie jak argument o archaiczności powszechnego poboru. Skoro zimna wojna się skończyła, Niemcy są okrażeni wyłącznie przez przyjaciół, na granicy nie czają się radzieckie czołgi, a Bundeswehra operuje w Hindukuszu czy na przylądku Horn, to lepsza jest mniejsza i profesjonalna armia interwencyjno-operacyjna, a nie narodowa. Bo co począć z rzeszą poborowych, którzy przez pół roku w koszarach nie bardzo wiedzą, co mają robić?

Mają polerować nowiutkie karabiny MG3? Tak mówią sami generałowie i specjaliści od wojskowości. Dla Merkel nie bez znaczenia jest jeszcze jeden wątek – polityczny. W ten sposób sprzątnie się sprzed nosa SPD jej flagowy postulat. Oczywiście, że naraża się za to malkontentom z własnych szeregów. „Nie chcemy, by – jak w USA – rozneglizowane cheerleaderki werbowały ochotników na placach i ulicach”^[50] – straszy starszyzna partyjna wychowana na zimnej wojnie i zabawach ołowianymi żołnierzami w dziecięcym pokoju. Odejście w 2011 roku od powszechnej służby wojskowej grupa ta potraktowała jak tsunami dla chadeckiej tożsamości. Tymczasem to prawdziwe miało dopiero przyjść. I to już lada moment.

Gdy 11 marca 2011 roku Japonia dostaje się w szpony gigantycznego tsunami, w elektrowni atomowej Fukushima I dochodzi do największej awarii nuklearnej od czasów eksplozji reaktora w Czarnobyli (1985). Echa fal tsunami docierają do Niemiec w postaci lęku przed podobną katastrofą na własnym podwórku. W obliczu radykalnej zmiany nastrojów społecznych i wyborów do Landtagu, tym razem aż w trzech landach: Badenii-Wirtembergii, Saksonii-Anhalt i Nadrenii-Palatynacie, gdzie debata atomowa zawłaszcza kampanię wyborczą, rząd Merkel w ciągu trzech miesięcy podejmuje rewolucyjną decyzję odejścia od energii nuklearnej i wygaszenia do 2022 roku wszystkich siedemnastu reaktorów jądrowych. Choć dopiero przed rokiem wytargował przedłużenie ich pracy o dwanaście lat. Partię energii jądrowej Merkel zamienia w mgnieniu oka w partię energii odnawialnej. Ale przełom energetyczny (Energiewende) niesie ze sobą konieczność upowszechnienia nowych technologii: baterii słonecznych, elektrowni wiatrowych na morzu, zbudowania tysięcy kilometrów sieci przesyłowych transportujących energię w głąb kraju. Koszt tych ostatnich opiewa na sumę 37 miliardów euro. Energiewende to najdroższy i najambitniejszy od zjednoczenia Niemiec projekt rządowy. Zarazem znak firmowy Angeli Merkel.

Tym razem to Zielonym kanclerz podbiera flagowy postulat. To właśnie na sprzeciwie wobec elektrowni atomowych zbili oni swój kapitał polityczny. Do spółki z socjaldemokracją, pod wodzą kanclerza Schrödera, koalicja obydwu partii uchwaliła w 2002 roku konsensus, który polegał na stopniowym zamykaniu wszystkich elektrowni atomowych. A skoro teraz, w 2011 roku, decyzję Merkel podzielają SPD i Zieloni, to czyżby Merkel miała stanąć na czele wszystkich Niemców? Czyż nie o tym marzyła? I cóż z tego, że brwi marszczy jej własna starszyzna partyjna? Dla pani kanclerz Atomausstieg usuwa największą przepaść między CDU a Zielonymi. Otwiera możliwość zawarcia dziewiczej koalicji. Tej w 2013 roku, czego Niemcy jeszcze nie były świadkami. Po czterech latach z SPD (2005–2009), czterech z FDP (2009–2013) Merkel szykuje się do kolejnych czterech z Zielonymi. Trzy rządy, trzy różne koalicje, trzy „małżeństwa”. Pierwsze z rozsądku (z SPD), drugie z miłości (z FDP) i wreszcie trzecie z małolatami (Zielonymi). Adenauer przewraca się w grobie. Ostatecznie do koalicji z Zielonymi nie dojdzie, bo w wyborach 2013 roku wypadli słabo. Ale Merkel siądzie z nimi do rozmów.

Bo Merkel nie jest ani zielona, ani socjaldemokratyczna, ani konserwatywna, ani liberalna. Merkel jest pragmatyczna. Lub, jak kto woli, elastyczna. Pragmatyzm jest jej największą cnotą. Nie wierność zasadom czy wielkim wizjom. Dlatego „po epoce Merkel zostanie dla potomności jedno zdanie, że konta oszczędnościowe Niemców w latach kryzysu nie zostały splądrowane” – napisał złośliwie jeden z publicystów^[51]. Czy się pomylił? Podczas kampanii wyborczej w 2009 roku na stronie internetowej Angeli Merkel pod hasłem „moje przekonania” figurowało następujące oświadczenie: „Obecne wyzwania wymagają od nas dużej gotowości do zmian i ogólnej elastyczności”^[52]. Kto jednak jest bez przekonań lub zasad, naraża się na jeden

poważny zarzut – pazerności na władzę. Franz Müntefering z SPD, wicekanclerz w pierwszym rządzie koalicyjnym Merkel (2005–2009), wyraził to tak: „Spokojnie można wsiąść obok niej do samolotu, kiedy go pilotuje. Doleci się na pewno. Tylko nie wiadomo dokąd”^[53].

Te obawy dzielają konserwatyści skupieni wokół posta Wagnera. Z zadowoleniem przyjmują wprowadzenie nominację Hermanna Gröhego i wystąpienie Merkel w Karlsruhe. Jednak jej kurs z odejściem od energii jądrowej i powszechnej służby wojskowej, tak odległy od chadeckiego DNA, budzi ich sprzeciw. Gdy jeszcze w 2011 roku rząd daje posłuch lewicowemu pacyfizmowi w społeczeństwie i nie wysyła niemieckich żołnierzy do Libii, w której NATO ściga dyktatora Kaddafiego, dla strażników chrześcijańskich wartości miarka się przebiera. Krąg niezadowolonych z Merkel w CDU pęcznieje. Wśród nowych twarzy błyszczy dobrze znany Polakom upiór Erika Steinbach. Nieformalna grupa rebeliantów przyjmuje nazwę Koła Berlińskiego. Od nazwy hotelu Berlin, w którym regularnie się spotyka. Rzut kamieniem od partyjnej centrali CDU. Czysty przypadek – twierdzą buntownicy.

Jeszcze w grudniu 2010 roku Koło Berlińskie zapowiada wydanie memorandum. Podejrzliwa i nieufna Merkel, która nie cierpi, jeśli w kanclerskich hufcach powstają niezależne oddziały partyzanckie, na front walki ze sprzysiężeniem wysłała swoich pretorianów. Kauder i Gröhe straszą wizją pęknięcia partii na pół. Gdy na jednym z posiedzeń prezydium CDU Merkel wali pięścią w stół i mówi „sprawdzam”, frondyści siedzą jak mysz pod miotłą. I po kolei zagadywani przysięgają na wszystkie świętości, że nic za plecami przewodniczącej nie knują.

Tymczasem przez dwa kolejne lata spotykali się w największej konspiracji. Dopiero w grudniu 2012 roku odważyli się wyjść z podziemia. Grupa liczy sobie czterdziestu posłów CDU i CSU z Bundestagu i krajowych Landtagów. Wśród nich jest kilka dam, na czele z Eriką Steinbach. Ale brakuje w tym gronie wielkich, magnetyzujących nazwisk pokroju barona Guttenberga. Krąg chadeckich malkontentów składa się z polityków, którzy lata świetności mają za sobą. Ich kolejna słabość: nie mają wspólnego programu. Część z nich jest zwolennikami energii atomowej, część powszechnej służby wojskowej, inni prorodzinnej polityki starej szkoły, jeszcze inni pomstują na zgniłe kompromisy pani kanclerz zawierane podczas ratowania waluty euro. Ich cel? Odzyskanie chadeckiej duszy przez partię. Przyciągnięcie 2,5 miliona wyborców CDU, którzy w wyborach 2009 roku odwrócili się do niej plecami. Takich jak Münch. Bo tylko wtedy, ich zdaniem, we wrześniowych wyborach 2013 roku uda się wygrać i zgarnąć 40 procent głosów z naddatkiem. Nie można stawiać na popularność samej Merkel. Bo CDU nie może być wierną drużyną kanclerską – perorują członkowie Koła Berlińskiego. Oczywiście, że to afront dla Merkel, ale kanclerz może spać spokojnie. Zarzut zdrady chadeckich wartości tylko ją rozśmiesza. Gdyby nie jej pragmatyczne otwarcie, konserwatywna CDU z różańcem w ręku nie przekroczyłaby progu 20 procent. Zresztą buntu krasnali, którzy potrzebowali aż dwóch lat, by wyjść z ukrycia i stale odsuwali w czasie wydanie memorandum, obawiać się nie musi. Ponadto „chadecy spiskowcy” swój programowy dokument lojalnie jej przysłali. I najważniejsze: czyż ostatni kongres partyjny w Hanowerze nie dowiódł, że jak nigdy wcześniej CDU leży u jej stóp? I czyż Angela Merkel nie błyszczy w sondażach na szczeblu federalnym, zbliżając się do pułapu marzeń, owych 40 procent? W 2013, roku wyborów do Bundestagu, dla zdecydowanej większości zwolenników niemiecka chadecja ma twarz Angeli Merkel. To ona jest jedyną wizytówką pragmatycznej, liberalnej i odideologizowanej partii, jej szyldem reklamowym.

Ale na tym szyldzie jest rysa. Jak znaczna, okazało się półtora miesiąca po kongresie

w Hanowerze w dniu wyborów w Dolnej Saksonii, drugim co do wielkości kraju związkowym. „Koszmar Angeli Merkel” – dosadnie podsumował wynik „Der Spiegel”^[54]. Tamtejszy wieczór wyborczy przekształcił się w film kryminalny. Zaraz po zamknięciu lokali o godzinie 19 ogłoszono pierwsze wyniki sondażowe. Rządząca koalicja CDU i FDP pod wodzą premiera kraju Davida McAllistera, oddanego Angeli Merkel chadeka szkockiego pochodzenia, prowadziła zaledwie jednym punktem procentowym nad opozycją złożoną z SPD i Zielonych. Godzinę później był już wyborczy pat. Przy czym ogłaszane rezultaty mieściły się w granicach błędu statystycznego. Krótco przed północą komisja państwowa podała oficjalny wynik. CDU i FDP przegrały o włos, uzyskując o jeden mandat w Landtagu mniej niż opozycja. Gdy na drugi dzień premier McAllister stanął przed Landtagiem, załamał mu się głos. Po policzkach ciekły łzy. Skrupulatni analitycy wyliczyli, że do zwycięstwa CDU w dziewięciomilionowym landzie zabrakło 240 głosów.

Porażka w Dolnej Saksonii to przede wszystkim gorzka pigułka do przełknięcia dla kanclerz Merkel. Bo zdaniem ekspertów rzesza tradycyjnych zwolenników CDU została w domu. Odślonili piętę achillesową prowadzonej przez Angelę Merkel chadecji. Nie Koło Berlińskie, nie chadeckie hufce partyjne, które Merkel zdyscyplinowała jak generał armię, ale zwykły konserwatywny wyborca odwraca się do niej plecami. Jak Münch ze słonecznego Freiburga. Jedna trzecia wyborców, którzy w 2009 roku postawili swój krzyżyk przy CDU, w 2013 roku tego już nie chce uczynić – wylicza TNS Emnid^[55]. Jeżeli konserwatywny wyborca spełni swoją groźbę, dni pani kanclerz będą policzone. Ona o tym dobrze wie. Przed jesiennymi wyborami decyduje się na cyrkowy szpagat: otwierając CDU na szeroki elektorat i niezdecydowanego wyborcę, stara się zintegrować z nią chadeckich tradycjonalistów. Możliwe, że po raz ostatni, nim chadeccy wiarusi ostatecznie się wykruszą.

Całkiem zwyczajna kobieta w kolejce do sklepowej kasy

Szefowa kasjerek w berlińskiej hali kupieckiej przy Mohrenstrasse opowiada, że Angela Merkel wręcz niezauważalnie porusza się między regałami, najczęściej ze spuszczoną głową. Ale wózek sklepowy pcha sama. Aż do samochodu...^[1]

W jesienny weekend 2010 roku do domku letniskowego Angeli Merkel w Uckermarku wdarł się 45-letni mężczyzna. Przeskoczył ogrodzenie i zadzwonił do drzwi. Angela Merkel akurat znajdowała się w środku. Gdy policja ujęła włamywacza, okazało się, że ten już wcześniej wtargnął na teren posiadłości, gdy przebywał w niej profesor Sauer. Podczas przesłuchania włamywacz zeznał, że do impertynenckiego kroku zainspirował go brak odpowiedzi Angeli Merkel na wysyłane do niej listy. Tajemnicą natomiast pozostaje, jak stalkerowi udało się wejść na teren posesji, którą dzień i noc monitoruje policja. Od kiedy Merkel została kanclerzem, policjanci urządzili sobie specjalny posterunek naprzeciw daczcy w blaszaku, w którym cisną się jak sardynki w puszcze. Trzech funkcjonariuszy stale przebywa w kontenerze, wyglądającym jak transformator prądu. Obok, pod zadaszoną wiatą, stoi niebiesko-srebrny policyjny mercedes. Policja pilnuje domu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wprawdzie osobista ochrona najważniejszych polityków w RFN znajduje się w gestii Federalnej Policji Kryminalnej (Bundeskriminalamt), jednak za ich bezpieczeństwo w prywatnym czasie odpowiedzialni są zwykli policjanci z lokalnych komend. W Templinie spośród trzydziestu funkcjonariuszy aż osiemnastu jest oddelegowanych do pilnowania Merkel. Brakuje ich potem na ulicach miasta. Dlatego powiatowa jednostka posiłki ściąga z całej Brandenburgii. Ochotników nie brakuje, szczególnie tych starszych wiekiem, którzy ochronę posiadłości kanclerz Niemiec traktują jako punkt honoru. Angela Merkel jest pierwszym szefem niemieckiego rządu, który ma mieszkanie w centrum dużego miasta i daczę na wsi. Z ostatnich kanclerzy Helmut Kohl prywatnie mieszkał w bungalowie w Oggersheim, a Gerhard Schröder w łatwym do ochrony domku szeregowym w Hanowerze.

Ucieczka z Berlina

Posiadłość w Uckermarku znajduje się rzut beretem od rodzinnego Templina, 100 kilometrów od Berlina i godzinę jazdy autem od granicy z Polską. Z Templina jedzie się drogą wybrukowaną kostką, na której samochód ciągle podskakuje. Przed kilku laty niektóre jej odcinki wyasfaltowano. „Usunięto urocze kocie łby. Nie wiem, czy spodobało się to pani kanclerz” – przypomina sobie jeden z miejscowych robotników drogowych^[2]. Do niewielkiej

wioski Hohenwalde droga wije się malowniczo przez gęsty las, między jeziorcami i łąkami. Przypominająca polskie Mazury okolica należy do najrzadziej zaludnionych w całych Niemczech. Nie ma tu ani pól golfowych, ani wielogwiazdkowych hoteli. Przyroda nie została zepchnięta na margines, nie przegrała z człowiekiem. Berlińczycy, którzy odwiedzają Merkel w Hohenwalde, rozdziawiają ze zdumienia usta, kiedy słyszą krzyk żurawi. Sama wioska składa się zaledwie z kilkunastu domków, w których mieszka pięćdziesięciu stałych mieszkańców. Nie ma tu nawet knajpy, kiosku czy najmniejszego choćby sklepu z pieczywem. Dom najpotężniejszej kobiety na świecie niczym od innych się nie odróżnia, no, może brakiem numeru i skrzynki na listy. I przyciemnionymi oknami. A tak jak cała reszta zbudowany jest z czerwonej cegły i pokryty czarną dachówką. W środku, jak opowiadają ci, którzy kiedyś w nim byli, urządzone jest po spartańsku. Na podłodze stoi odtwarzacz CD, na środku salonu długi stół i krzesła z tworzywa sztucznego. Na ścianie plakat. W oknach nie ma firanek, w salonie telewizora. Surowo, ascetycznie, bez luksusu. Taki Silvio Berlusconi wibrywałby się z estetycznego bólu. Pewnie dlatego nigdy tu nie był. W przeciwieństwie do prezydentów Sarkozy'ego czy Busha. Kiedy tu gościli, gospodyni uraczyła ich samodzielnie przez siebie przyrządzonym pstragiem. Pewnie im smakował. Nie wiadomo jednak, czy spodobały im się okolica i sama dacha.

Wiadomo natomiast, że Angela Merkel jest w Uckermarku zakochana. To ostatni skrawek z jej dawnego intymnego mikrokosmosu. Tylko tu może sobie pozwolić, by pobiegać czy popływać. We wsi wszyscy ją znają. Zdarza się więc często, że podczas joggingu zatrzyma się przy ogrodzeniu sąsiada i przez chwilę z nim poplotkuje. Hohenwalde to jej mentalny fitness club, miejsce, gdzie ładuje swoje akumulatory. Bo, jak wiadomo, polityka to sport ekstremalny, a odporność na stres uchodzi za kluczową kompetencję w politycznym biznesie. Ale nawet ten ostatni skrawek prywatności zmienił się, odkąd Merkel została kanclerzem. Także tu utraciła swoją wolność. Jeżeli spaceruje po lesie, na jego skraju stoi jeep. Za kierownicą dwumetrowy, barczysty mężczyzna, typ Terminatora. Ilekroć Merkel spogląda w jego stronę, mężczyzna zasłania się gazetą. Raz podeszła do niego i zapytała: „Myśli pan, że uwierzę, iż czyta pan gazetę?”^[3]. Mężczyzna zdębiał. Ale kiedy Merkel ponownie wybrała się do lasu, jeep na jego skraju stał jak zawsze. Udało się jej jednak przeforsować, że w Uckermarku ochrona kroczy za nią w odległości 200, nie 50 metrów, jak chcą przepisy. By na leśnej ścieżce nie musiała szeptem rozmawiać z mężem. Ale wobec nadchodzących w weekendy esemesów jest już bezbronna. Przychodzi ich wtedy około setki. Do Hohenwalde ściągają też z całych Niemiec indywidualni i zorganizowani turyści. Urządzają sobie zakłady, w którym domu mieszka kanclerz.

Najbardziej jej prywatność ogranicza osobista ochrona. Jeden z miejscowych opowiada, że kiedyś w lecie szedł koło jeziora, a tu nagle wychodzi z niego Angela Merkel. Mokra, w kostiumie kąpielowym. Ukłonił się jej dżentelmeńsko. Merkel była jak porażona. Widocznie zupełnie nieprzygotowana na taką sytuację. Pomachała mu lekko ręką, jak to zwykle czyni na stopniach samolotu do zegnających ją szefów państw. W tej samej chwili z jeziora wyłonił się urzędnik ochrony. Gdy Merkel wsiadła do swojego golfu i odjechała, ochroniarz pognął za nią. Na rowerze.

Starym golfem w wybladłym już czerwonym kolorze dowleka się w weekendy z Berlina jej mąż, profesor Sauer. Jego grat ze słabymi resorami podskakuje na kocich łbach. W przeciwieństwie do rządowego audi. Od chwili objęcia urzędu kanclerza Angela Merkel jest

wożona dwoma limuzynami audi A8, wariant security. Cena egzemplarza 400 tysięcy euro. Luksus we wnętrzu zapewnia skórzana tapicerka, czterostrefowa klimatyzacja, system audio firmy Bose pozwalający na rozmowę z kimś stojącym na zewnątrz bez otwierania szyby, dwa fotele z tyłu z elektryczną regulacją. Sportowy design dyskretnie kamufluje rzeczywisty charakter czołgu na kołach, ważącego 3,5 tony. Tego modelu nie można kupić w salonie. Został zrobiony na specjalne zamówienie Urzędu Kanclerskiego. Zbrojenie pochłonęło 450 godzin w warsztacie Audi w Ingolstadt, gdzie pracownikom nie wolno mieć przy sobie telefonów komórkowych, co ma chronić przed wyciekiem tajemnic konstrukcji. Aby limuzyna zdołała ochronić pasażerów przed ostrzałem z broni maszynowej o kalibrze 7,92 milimetra czy wybuchem granatu, niemieccy inżynierowie sięgnęli po najbardziej wytrzymałe materiały – pancerną stal i aluminium, wielowarstwowe szkło pokryte poliwęglanem. Z masą są skorelowane nastawy elektronicznych pomocników oraz wzmocniony układ hamulcowy i zawieszenie. Na pokładzie znalazły się: system przeciwpożarowy kierujący wodę do nadkoli, w pobliżu zbiornika paliwa, system emitujący dym (dla kamuflażu w razie ataku na samochód), wyjście awaryjne oraz czarna skrzynka. Pojazd porusza się na specjalnych oponach Michelin, które nawet w chwili utraty ciśnienia umożliwiają dalszą jazdę co najmniej przez 100 kilometrów z prędkością do 80 kilometrów na godzinę. Wszystkie te parametry fetyszystów samochodu mogą doprowadzić do zawrotów głowy. A8 potrzebuje trochę ponad godzinę, by pokonać odległość z Berlina na daczę pod Templinem. Profesor Sauer wleczę się tam niemal trzy razy dłużej.

Ale cóż byłby wart najbardziej bezpieczny samochód, gdyby Merkel nie mogła w nim popracować: przeglądać akt, pisać przemówień czy dowiadywać się o bieżących wydarzeniach. Jej audi jest więc biurem na kółkach. Do dyspozycji ma: telefon, wideo, monitor, faks, internet. Dla relaksu kanclerz może też sięgnąć po drinka z minibaru i obejrzeć film na DVD. James Bond byłby zazdrosny.

W 2006 roku Merkel jako gość specjalny brała udział w finale konkursu „Das Goldene Lenkrad” (Złota kierownica), podczas którego przyznawane są prestiżowe nagrody niemieckiej branży motoryzacyjnej. Listę jurorów czyta się jak gazetę dworską. Figurują na niej mistrz świata Formuły 1 Michael Schumacher, cesarz futbolu Franz Beckenbauer i niemieccy aktorzy formatu Olbrychskiego czy Lindy. Wręczenie nagród odbywa się podczas wielkiej gali w berlińskiej siedzibie wydawniczego giganta Axel Springer. W edycji 2006 na podium obok Merkel zebrali się bossowie luksusowych marek: Mercedesa, Audi i Porsche. Wszyscy oni rozdziawili ze zdumieniem usta, gdy pani kanclerz, zapytana, jakim autem najchętniej jeździ, odpowiedziała, że siedemnastoletnim golfem męża. „Nie potrzebuję GPS-a, by dojechać do celu, objazdy do Templina znam na pamięć. Najważniejsze, by auto miało odtwarzacz CD. Bo oboje z mężem słuchamy muzyki Wagnera” – odpowiedziała rzeczowo^[4]. Fakt, niekiedy starym golfem profesora obydwójce udają się na daczę. Z reguły prowadzi on. Ma podobno silniejsze nerwy. Ale i niedobre przyzwyczajenie: tankuje dopiero wtedy, gdy bak jest już kompletnie pusty.

Odkąd została kanclerzem, Merkel rzadko siada za kierownicą. Prawo jazdy uzyskała jeszcze w NRD. Na kursach nie była orłem, skoro po trzydziestu ośmiu godzinach praktycznej nauki za kółkiem nie odważyła się zgłosić na egzamin. Zaraz po uzyskaniu stosownego dokumentu zapisała się do kolejki oczekujących na trabanta. Wcześniej jednak runął mur. We wrześniu 1990 roku, gdy wraz ze zjednoczeniem Niemiec do NRD zawitał kapitalizm, kupiła sobie

białego golfa. Używała go do spólki z profesorem Sauerem przez kolejnych sześć lat, aż jej mąż stał się w 1996 roku właścicielem czerwonego golfa, którym jeździ do dziś. Natomiast biały samochód Merkel po dwudziestu dwóch latach użytkowania trafił pod młotek na strony eBayu. Z przebiegiem 190 tysięcy kilometrów i w dobrym stanie, bez stłuczki. Cena wywoławcza: 10 tysięcy euro. Bo to „historyczny samochód naszej pani kanclerz” – napisał w ofercie ostatni właściciel pojazdu. I sfotografował go przed Urzędem Kanclerskim. W pierwszych dniach po zamieszczeniu oferty zarejestrowano pięć tysięcy „kliknięć”. Ostatecznie spłynęło dwadzieścia osiem propozycji kupna. Auto poszło na pniu. Za 10 165,02 euro.

Niefart w przestworzach

Skoro Angela Merkel nie przepada za supersamochodami i zadowala się jazdą siedemnastoletnim golfem, to może należy też do tego gatunku ludzi, którzy niezbyt chętnie wyjeżdżają i wolą rozwiązywać problemy na miejscu? Od razu rzuca się w oczy, że podróże zagraniczne kanclerz ograniczają się do najistotniejszych punktów programu. Brakuje im kunderowskiej lekkości bytu, jaką zademonstrował choćby Donald Tusk podczas wizyty w Peru, gdy z młodzieńczą radością podróżował po egzotycznym kraju, z którym nie bardzo wiadomo, jakie Polskę łączą interesy. Wielce szczęśliwy, z peruwiańskiej wyprawy przywiózł czapeczkę zawiązywaną pod szyją, szaliczek z wełny młodych lam i moc wrażeń. Zapewne nie mniej radości sprawiło mu też zaopatrzenie się w kilka butelek renomowanego chilijskiego wina. Inaczej Angela Merkel. Ona, składając zagraniczną wizytę, solidnie realizuje program punkt po punkcie. Bez fajerwerków i fantazji. No i dobrze, nie każdy musi być dotknięty gorączką czy radością podróży. Gorzej, że pani kanclerz wyraźnie nie ma w podróżach lotniczych farta. W kwietniu 2010 roku, gdy wracała z USA, na Islandii akurat wybuchł wulkan o niedającej się wypowiedzieć nazwie Eyjafjallajökull. By ominąć dotkniętą wulkanicznym pyłem północ Europy, maszyna rządowa zamiast do Berlina poleciała do Lizbony. Tam się okazało, że nawet dalszy lot do Mediolanu jest niemożliwy. Merkel wylądowała w Rzymie. Stamtąd wynajętym samochodem wracała przez Alpy do Berlina, bez mała 1,3 tysiąca kilometrów. Jak kiedyś Hannibal, tyle że bez słoni. Nieco wcześniej, w marcu 2009 roku, w drodze na szczyt unijny w Brukseli również nie było jej do śmiechu. W maszynie kanclerskiej krótko po starcie przegrzał się jeden z silników. Piloci musieli go wyłączyć i lecieli dalej tylko z jednym silnikiem. Wylądowali awaryjnie na najbliższym lotnisku w Hanowerze. Samolotem zastępczym Merkel doleciała na szczyt, spóźniając się o całą godzinę.

To jeszcze nic w porównaniu z nieszczęściem, jakie spotkało ją w Algierii. Udała się tam w lipcu 2008 roku, wioząc ze sobą jak zwykle liczną delegację niemieckich biznesmenów. Już szykowała się do powrotu, by wieczorem 17 lipca świętować z mężem swoje 54. urodziny, gdy w kanclerską maszynę na lotnisku nieopatrznie z impetem wjechał pomost, po którym wchodzi się na pokład samolotu. W kadłubie airbusa A310 „Theodor Heuss” powstała trzydziestocentymetrowa rysa. Start był niemożliwy. Prezydent Algierii dzentelmeńsko zaoferował jej swój samolot prezydencki. Merkel oferty nie przyjęła. Maszyna gospodarza była znacznie mniejsza, co oznaczało, że większość członków niemieckiej delegacji musiałaby w Algierze czekać dłużej, by powrócić samolotem rejsowym. Kanclerz jako kapitan całej drużyny postanowiła solidarnie wracać razem z biznesmenami. Posiedziała więc dłużej przy obiedzie z prezydentem Algierii i wypła z nim kilka nieprzewidzianych urodzinowych kaw. No

i przesunęła rodzinną imprezę w Berlinie. Incydent na lotnisku w Algierze wieńczył wizytę przebiegającą od początku pod nieszczęśliwą gwiazdą. Bo jak inaczej nazwać okoliczność oberwania chmury w pełni afrykańskiego lata? Przez wszystkie dni pobytu pani kanclerz w Algierii lało jak z cebra, łącznie z dniem urodzin solenizantki. Gwałtowne burze w stolicy kraju zakończyły się nawet przerwami w dostawie prądu. A może Angela Merkel nawet w powietrzu przyciąga złe moce? Bo jak wytłumaczyć fakt, że zaraz po objęciu urzędu nowy prezydent Francji François Hollande, udając się na swoją pierwszą „randkę” do Berlina, musiał natychmiast zawrócić, gdy po starcie w jęgo samolot trafił piorun?

O tym, jakiego pecha przynosi podróż lotnicza z Angelą Merkel, mogli przekonać się biznesmeni, którzy w ostatni dzień maja 2011 roku lecieli z nią do Indii. Podróży nie zakłócił tym razem ani wulkan, ani incydent na lotnisku. Po tym, gdy kanclerska maszyna szczęśliwie wzbijała się w Berlinie w niebo, władze w Teheranie niespodziewanie odmówiły jej prawa przelotu przez irańską przestrzeń powietrzną, na co, zgodnie z rutynową praktyką w żegludze lotniczej, uprzednio wydały swoją zgodę. Spontaniczna zmiana trasy rządowej maszyny nie była możliwa, gdyż odpowiednie pozwolenia na przelot przez kraje tranzytowe uzyskuje się na długo przed planowanym lotem. Rządowy airbus z kanclerz na pokładzie długo krążył nad sojuszniczą Turcją. W kokpicie rozważano nawet powrót do Ankary. Wreszcie Iran dał zielone światło na przelot. W New Delhi pani kanclerz wylądowała z wielkim opóźnieniem.

Irytacja z powodu zagrywki Iranu zakłóciła Angeli Merkel radość z dziewiczego lotu nową maszyną. Dotychczasowa rządowa flota powietrzna składała się z dwóch airbusów A310 „Konrad Adenauer” i „Theodor Heuss”, będących jeszcze spuścizną po enerdowskich liniach Interflug. Po interwencji Merkel stare maszyny wystawiono na licytację i kupiono dwie nowsze, choć nie całkiem nowe. Airbusy A340, rocznik 1999, zdążyły wylatać pod banderą Lufthansy 50 tysięcy godzin. Ale od maja 2011 roku Angela Merkel nie jest skazana na uciążliwość międzylądowań podczas lotów międzykontynentalnych. Bak o pojemności 135 tysięcy litrów wystarcza na 13,5 tysiąca kilometrów. Odległość równą jednej trzeciej długości równika. Co oznacza przelot non stop z Berlina do Singapuru, Rio de Janeiro lub Tokio. Nowy jet zapewnia miejsce 143 osobom na pokładzie. To więcej niż w boeingu 747 Baracka Obamy z siedemdziesięcioma miejscami na pokładzie. Mniej już pewnie interesuje Angelę Merkel, że na wyposażeniu nowy „Konrad Adenauer” i „Theodor Heuss” (dawne nazwy zachowano) posiadają system obrony antyrakietowej. Na co trzeba było głębiej sięgnąć do kieszeni i wyłożyć 146 milionów dolarów. Pani kanclerz doświadcza w przestworzach prawdziwych luksusów podróży. Już sam dywanik w kolorze jasnej kawy pod jej nogami jest bardziej miękki niż w pozostałej części samolotu. Przede wszystkim jednak szef rządu ma do swojej dyspozycji apartament na pokładzie: z wygodnym, szerokim łóżkiem, łazieneczką, aneksem kuchennym i salonikiem. W tym ostatnim może prowadzić kameralne rozmowy jak w Urzędzie Kanclerskim. Dla Angeli Merkel najważniejszy jest jednak komfort pracy. A ten zapewnia jej część biurowa powietrznego apartamentu. Także do odbywania konferencji prasowych ma znacznie więcej miejsca. Nie wystarcza go wprawdzie dla wszystkich chętnych. Stąd tradycyjnie dziennikarze siadają u jej stóp. Ale przynajmniej na mięciutkim dywaniku.

Pechowiec w podróżach lotniczych Angela Merkel może się przynajmniej cieszyć ze swojej floty powietrznej. Oprócz dwóch wielkich odrzutowców dysponuje również dwoma samolotami średniego zasięgu A319. Pozwalają one na bezpośredni przelot z Berlina do Waszyngtonu czy Pekinu. Nie mniej raduje Merkel i to, że także i te maszyny są latającym Urzędem Kanclerskim. Może w nich równie dobrze jak w berlińskim biurze pracować i odbywać

konferencje. Na wypadek, gdyby ponownie musiała spędzić urodziny w samolocie, może też odebrać telefon lub e-mail z życzeniami. Absolutnym hitem technicznym jest system wentylacji powietrza, który umożliwia lot na trudnych odcinkach, jak na przykład przez Himalaje. Przesądni przekonują jednak, że nowa flota kanclerz Niemiec za okragły miliard euro nie odpędziła jej osobistych złych mocy. W świeżo nabytym airbusie A319 już podczas kołowania w Paryżu pękła opona.

Miłość na stadionie

Komfort powietrznych podróży jest dla Angeli Merkel o tyle istotny, że spędza ona w samolotach więcej czasu od poprzedników. Oprócz standardowych podróży zagranicznych lata też na niekończące się szczyty unijne poświęcone kryzysowi euro. Ale to nie loty na udry do Brukseli są wisienką na torcie w wojażach po przestworzach kanclerz Niemiec. Od samego początku sprawowania urzędu oblatuje glob, folgując nowej, wielkiej namiętności, którą zgrabnie łączy z obowiązkami szefa rządu. Tą pasją, jaką w sobie odkryła, jest piłka nożna. Zaczęło się od mistrzostw świata 2006, rozgrywanych akurat w Niemczech.

Przedtem z futbolem łączył ją raczej niewinny flirt. Samą siebie określa jako „sportowego idiotę”, który w NRD prześlizgiwał się na WF z klasy do klasy. Dość mgliście przypomina sobie, jak jeszcze na studiach zmarła na kość na stadionie w Lipsku, gdy reprezentacja NRD grała przeciwko Anglii. Ponowne starcie z Anglią narodowej jedenastki, tym razem już zjednoczonych Niemiec, w półfinale mistrzostw Europy 1996, oglądała jako minister w rządzie Kohla w jednej z bońskich knajp. A ponieważ w Hohenwalde nie ma telewizora, to na mecz finałowy mistrzostw świata 2002 Niemcy – Brazylia wybrała się do gospody w sąsiedniej wsi.

Dopiero jednak cztery lata później zupełnie straciła głowę dla piłki i ówczesnego trenera RFN Jürgena Klinsmanna. Ten mistrz świata z 1990 roku tchnął nowego ducha w narodowy team piłkarski i w cały kraj. Młoda wiekiem drużyna podbiła serca nie tylko fanów futbolu. Niemcy zakochały się w szaleństwie euforii. I w nieznanym do tej pory narodowym patriotyzmie. Jako pierwsza Angela Merkel. W świat poszły fotografie kanclerz na stadionie: uniesione ręce i otwarte w okrzyku radości usta. Zdarzało się jej w szczytowym stanie emocji na trybunie honorowej kopnąć w kostkę równie prominentnego co ona sąsiada. Najczęściej szefa światowej lub europejskiej federacji piłkarskiej Josepha Blattera lub Michela Platinię.

W 2008 roku podczas mistrzostw Europy na ostatnim meczu grupowym Niemców rozgrywanym w Wiedniu Merkel nie siedziała obok ważnego działacza UEFA czy polityka, tylko ramię w ramię z odsuniętym od jednego spotkania za czerwoną kartkę Bastianem Schweinsteigerem. „Powiedziała mi – relacjonował później reprezentant kraju o blond czuprynie – bym takiej głupoty powtórnie nie palnął, tylko grał jak wtedy”^[5]. Słowo „wtedy” rzecz jasna odnosiło się do fenomenalnego 2006 roku. Podczas mistrzostw świata w RPA w 2010 roku pani kanclerz na dziewięćdziesiąt minut meczu ćwierćfinałowego z Argentyną specjalnie leciała jedenaście godzin do Kapsztadu. Jej zdjęcia, jak wystrzela z fotela do góry przy każdym z czterech goli Niemców, robiły furorę w światowych mediach. A podczas Euro 2012 w Polsce kursowały na YouTube filmy pokazujące, jak zwiedza kwaterę reprezentacji, Dwór Oliwski w Gdańsku i jako jedyna kobieta razem z piłkarzami zasiada do kolacji. Niczym Matka Courage ze swoimi chłopcami. Przy stole najbliższej niej siedział Miroslav Klose. Niemiec z Polski i seryjny łowca bramek należy do jej osobistego fanklubu. W domu na honorowym

miejscu trzyma książkę z jej autografem. Wizyta w Gdańsku u Klozego, Podolskiego & Co. stanowiła majstersztyk kanclerskiego managementu, gdyż wypadła w okresie unijnego maratonu ratującego od zguby walutę euro. Z jednego ze szczytów euro przyleciała helikopterem na mecz ćwierćfinałowy z Grecją do Gdańska.

Wspólne kibicowanie na wiedeńskim stadionie ze Schweinsteigerem w 2008 roku miało poważniejsze konsekwencje. Niektórzy utrzymywali, że Angela Merkel częściej wpatrywała się w niebieskie oczy blond piłkarza niż w zieloną murawę. Po kolejnym meczu grupowym na mistrzostwach Europy 2008 z Portugalią napisała do Schweinsteigera list miłosny:

Drogi Sebastianku Schweinsteiger,

raz jeszcze pięknie dziękuję za niezapomniane godziny spędzone razem na trybunie VIP-owskiej podczas meczu z Austrią (ha, 1:0 dla nas!). Ależ byłam szczęśliwa, że otrzymał Pan we wcześniejszym meczu z Chorwacją czerwoną kartkę, dzięki czemu nasze spotkanie w loży w ogóle było możliwe. Właśnie upoważniłam mojego rzecznika prasowego, by podał do publicznej wiadomości oświadczenie, że „kanclerz Niemiec”, czyli ja!, „bardzo sobie ceni otwartą postawę pana Schweinsteigera”.

Osobiście chcę dodać, że przeszło mnie do szpiku kości, jak mi Pan objaśniał, co to jest „strefa umiejętności indywidualnych”, a potem jak Pan opowiadał, co zdarzyło się podczas meczu Niemcy – Austria w 1982 roku w Cordobie, kiedy to obydwie drużyny od pierwszej do ostatniej minuty grały na remis, by razem wyjść z grupy. Czyż to nie słodkie, skoro w 1982 roku nie było Pana jeszcze na świecie? A ja żyłam wtedy w NRD, w socjalizmie, i poznawałam dopiero mojego pierwszego męża, Ulricha Merkela, który był fizykiem. Mój drugi mąż także jest fizykiem. Ślęczy teraz zamknięty w swoim pokoju i zajmuje się nauką, podczas gdy ja okupuję kanapę i śledzę mecz Włochy – Hiszpania. Mojemu mężowi w ogóle nie przyjdzie do głowy, by dotrzeć do mnie i wyjaśnić mi, co to jest strefa umiejętności indywidualnych.

Drogi Sebastianku Schweinsteiger, kiedy strzelił Pan tego fenomenalnego gola Portugalii, mój mąż był również pochłonięty jakimiś badaniami naukowymi, ślęczał zamknięty u siebie w pokoju, ale ja widziałam Pana bramkę, od początku do końca. Jak jasny piorun zjawił się Pan przy piłce i huknął jak z armaty. Przeszedł mnie wtedy tak wielki dreszcz, że od teraz przechodzę na „ty” – w przyszłości także Ty nie zwracaj się do mnie per „pani kanclerz”, bo uważam, że, po pierwsze, łączy nas otwarta relacja, a po drugie, także przez Ciebie na VIP-owskiej trybunie przeszedł potężny dreszcz.

Drogi Sebastianku, kiedy przed paroma dniami na zamku Meseberg prezydent George W. Bush trochę na dłużej przytrzymał rękę na moim ramieniu, to od razu przed oczami stanął mi wiedeński stadion, loża VIP-owska i ten jasny piorun, który zjawił się w moim życiu. Tymczasem codziennie otaczają mnie ci faceci z rządu, jak ćmy lampę.

Kiedy Nicolas Sarkozy godzinami całuje mnie w rękę, mój mąż jest wściekle zazdrosny. Bo musisz wiedzieć, że mój mąż nazywa się Joachim i ma dwie cechy: jest zazdrosny i cały czas zajmuje się nauką. No, ale od niedawna wiem, że masz nową przyjaciółkę. Nazywa się Sarah, poznaliście się gdzieś między butikami a wybiegami dla celebrytów. Tej Sarah przyjrzałam się dokładnie na YouTube, filmik włączyłam sobie w gabinecie w Urzędzie Kanclerskim. Powiem tylko tyle: Sarah jest fotomodelką i blondynką. Jak Ty z nią w ogóle możesz rozmawiać? Czy to właściwa kobieta dla Ciebie?

Ty z modelką, a ja z fizykiem – coś mi tu nie gra... Kobiety w jej wieku są niestabilne. Unoszą się w powietrzu jak futbolówki, w zglobalizowanym świecie pełno jest ludzi, którzy mają parcie na szkło i zrobią wszystko, by zaistnieć w mediach. Pomówmy lepiej o globalnym świecie! O życiu. O Unii Europejskiej. O małżeństwie. I o tym, o czym marzysz. Chcesz mieć dzieci? A wiesz, jak będzie wyglądał świat, w którym będą żyły nasze dzieci?

Ja jestem kanclerzem Niemiec i jeszcze przez długi czas będę rządzić naszym krajem, powiedz mi całkiem po prostu, czego byś chciał. (Lubisz emotikonki?). Wczoraj na przykład otworzyłam Tydzień Kiloński, wielką paradę żaglowców z całego świata, a potem zadzwonił do mnie Obama. Joachim podał mi telefon i powiedział przez zaciśnięte zęby: „Obama!”. Tak na marginesie, uważam, że jesteście do siebie bardzo podobni, znaczy się nie, nie Ty i Joachim, tylko Ty i Obama. Ach, ta charyzma, ten piorunujący wzrok, a znasz właściwie moją stronę internetową www.angela.de? A może pojedziemy do Bayreuth na festiwal wagnerowski? Na Twojej stronie internetowej www.bastian-schweinsteiger.de pisze Ci jakaś Dominika, czy mógłbyś ją odwiedzić od 26 do 29 lipca na obozie szkolnym w Oberaudorfie. Często dostajesz takie oferty?

Nie byłoby lepiej, gdybyś pojechał ze mną na szczyt G8 do Japonii? A w następnym meczu przeciwko Turcji wal prosto pod poprzeczkę, spotkamy się wtedy raz jeszcze na finale mistrzostw Europy, i to całkiem dyskretnie na wiedeńskim stadionie. Ach, jakie Ty masz cudowne oczy. Wydam polecenie, by stadion w Wiedniu całkiem zamknąć, będziemy tam tylko my, we dwoje, a Ty powiesz mi wtedy wszystko.

Ehhh, woła mnie Joachim! Znów coś odkrył. „Angela?!”. Kiedy tak właśnie woła „Angela”, wtedy dokonał jakiegoś ważnego odkrycia!

I napisz mi koniecznie, co z naszą eskapadą na szczyt G8. Pisz na adres: angie@freenet.de^[6].

Merkel zjawiała się na meczu finałowym, kibicując Niemcom i Schweinsteigerowi. W świat poszło wszystko mówiące zdjęcie, na którym pani kanclerz rzuca krótkie, filuterne spojrzenie defilującemu przed nią przy odbieraniu srebrnego medalu na trybunie honorowej spoconemu blondynowi. Dwa lata później, podczas mistrzostw świata 2010 roku w RPA, pani kanclerz raz jeszcze nawiązała do pierwszego spotkania w łoży VIP-owskiej na wiedeńskim stadionie.

Pamiętasz jeszcze mój pierwszy list? Po długim dniu pracy okupowałam wtedy w domu sofę i widziałam Cię na mistrzostwach Europy w TV! Miałaś blond włosy, a ja siedziałam, Bogu niech będą dzięki, sama, bez męża. Cały czas byłam myślami przy naszym pierwszym spotkaniu w łoży honorowej na stadionie w Wiedniu. Specjalnie usadziłam prezesa naszej niemieckiej federacji piłkarskiej koło jakiegoś ważniaka z UEFA, byś mógł siedzieć obok mnie. W końcu to ja jestem kanclerzem i o wszystkim decyduję. Muszę wyznać, że wpadłeś mi w oko już podczas meczu przeciwko Chorwacji, Twoje wejście było takie męskie, ach, jak Ty tego Chorwata skutecznie podciąłeś. Jego wcześniejszy faul na Tobie był obraźliwy! A czerwona kartka, jaką otrzymałeś, zaprowadziła Cię prosto ku mnie, do łoży honorowej. W objęcia przeznaczenia.

Piszę Ci dziś, bo, po pierwsze, Chcę ci życzyć w meczu z Australią wszystkiego najlepszego. Jak przebiegał lot do RPA? W gazecie widziałam zdjęcie, na którym w samolocie wyraźnie siedziałeś obok tej blond piosenkarki, no, tej Shakiry, w dodatku w pierwszej klasie. Cały czas myślałam, że lecieliście ekonomiczną, no ale ta piosenkarka leciała pierwszą klasą, czyżbyś się przesiadł do pierwszej klasy? W nocy? A jesteś jeszcze z Sarah? Ona też jest blondynką?

Joachim, mój mąż, znowu ślęczy zamknięty w swoim pokoju i przeprowadza badania. Tkwią w małżeństwie, które jest gorsze niż moja koalicja z FDP. Dziś znowu przez cały dzień miałam na głowie ratorowanie Opla i zawiązywanie pakietu oszczędnościowego. Nie wiem, Sebastianku, czy do Ciebie w RPA dociera wszystko to, co dzieje się u nas w Niemczech?! Od bezrobotnych i wielodzietnych rodzin znów chcemy wysepić trochę pieniędzy, zgodnie z najlepszą tradycją CDU i FDP. A tu nagle zjawia się mój ekspercki zespół ekonomiczny i mówi: „Bogaci też chcą wnieść swoją ofiarę do budżetu”. Czy oni mają dobrze w głowach? Sebastianku, popytaj się może wśród kolegów, Wy przecież wszyscy jesteście milionerami, czy któryś z Was nie chciałby na ochotnika zapłacić większego podatku! Bardzo mnie to interesuje!

Dobrze ulokowałeś swoje oszczędności? To nie jest teraz takie proste. Ja ze swoimi papierami wartościowymi stawiam konsekwentnie na spadek kursu euro. I jak na razie dobrze na tym wychodzę. Nie kupuj, broń Boże, obligacji państwowych, także naszych niemieckich, wkrótce staną się makulaturą!

Wróćmy do meczu. Macie na dziś dobrą taktykę? Z informacji, jakie do mnie docierają, Twój talent rozwija się dobrze. Przyłgnęło do Ciebie nawet określenie „emocjonalny lider”, tak też mówi się o mnie. O nas, Sebastianku!

Cieszysz się, że w końcu na boisku zabraknie Ballacka? U Was, piłkarzy, kontuzje konkurencji umożliwiają zajęcie stałego miejsca w reprezentacji, ja w polityce sama muszę eliminować konkurencję z gry. Przyznaję, że idzie mi to całkiem nieźle.

Raz jeszcze wracam do meczu: strzel gola! Strzel go dla mnie. Dla Niemiec! To nie jest zwykły mecz, u nas w Niemczech chodzi o wielkie emocje. Musisz być w najlepszej formie, nie możesz się tak po prostu przesiadać z samolotu na samolot, by z tą blondyną Shakirą... – no, no nie wiem, co robić. Na zdjęciu mieliście rozmierzwione włosy! Trzymam kciuki za dzisiejszy mecz wieczorem, jak mi się uda, wysłę w przerwie esemesa!

Twoja Angie

W kolejnym liście Merkel mocno się zaniepokoiła tym, że w niemieckiej drużynie brylował nie Bastian Schweinsteiger, tylko nowa gwiazda: Thomas Müller.

Przesyłam gratulacje po miażdżącym zwycięstwie nad Australią (ha, 4:0 dla nas!), teraz jestem pewna, że dziś wysłemy Serbów tam, gdzie jest ich miejsce, to jest na Balkany. Wiesz, że drużynę na boisku można podzielić na MSW, MSZ oraz Ministerstwo Obrony. Ale Ty ucieleśniasz sobą Urząd Kanclerski. Bo to Ty pociągasz za sznurki. Dlatego, przyznam, bardzo mnie irytowało, że po meczu tak dużo mówiło się o tym Müllerze. Komentatorka „Dwójki” cały czas głądziła o „świeżym” Müllerze (trzeba chyba po prostu kobietom zabronić komentowania piłki nożnej!).

A to właśnie Ty ze wszystkich tryskałaś największą świeżością! Jeśli irytuje Cię ta cała gadanina o Müllerze, zrób tak, jak ja z Karlem-Theodorem zu Guttenbergiem – wszyscy uważają go za superministra i za najbardziej ożywczego ducha w rządzie. Dlatego razem z Pofallą, moim ministrem do specjalnych poruczeń, sporządziłam tajną opinię. Chcesz może, żeby Pofalla sporządził tajną opinię o „ożywym Müllerze”? Wysłemy ją potem razem do największej bulwarówki „Bild Zeitung”, przekonasz się wtedy, że Müller nie będzie się już tak ochoczo wychylał z szeregu. Powiedz tylko jedno słowo, a Pofalla już bierze się do roboty.

Po meczu z Serbią Merkel mocno się zirytowała:

Czyż nie napisałam ostatnio, że to Ty miałaś wykonywać karnego w meczu z Serbią?! Spotkanie obejrzałam u siebie w Urzędzie Kanclerskim i chwilami nie wierzyłam własnym oczom: Podolski??? Natychmiast chwyciłam za CZERWONY TELEFON, ale za późno! Przestrzelił karnego! Spudłował! Jakaż złość mnie ogarnęła, niemal rzuciłam telefonem o podłogę! Nie powinieneś pozwolić odebrać sobie piłki przez tego Podolskiego, to Ty powinieneś strzelać! Zabrał Ci piłę, ot tak, z ręki? To przecież pół-Polak, no nie? Dobry nastrój w kraju siadł! Jeszcze nie zdążyłam z wykręceniem numeru w CZERWONYM TELEFONIE, a ten pół-Polak już zdążył przestrzelić!

I powiedz szczerze, czy nie dyndała z tyłu na Twojej koszulce metka? Przez cały mecz z Serbią miałaś na szyi niebieski napis. Kto Cię tak mógł wypuścić na boisko? Nie możesz przecież występować w telewizji z metką. No, i widziałam Twoją przyjaciółkę na trybunie. Potem była jeszcze raz, w głównym wydaniu wiadomości. Na Twoim motocyklu. No, no, organizujesz sobie z nią safari, zamiast trenować przed meczem z Ghaną? Sarah, tak się chyba nazywa, staje się coraz jaśniejszą blondynką. Nie wiem, czy to dobrze, nie

wiem też, czy to też dobrze, że siedzi sobie to na trybunie, to na Twoim motorze. Nie siedziała na meczu z Australią i wygraliśmy. A na meczu z Serbią siedziała. I dobrze wiesz, jak się zakończył. Remisem...

Nawet ze szczytu G20 Merkel napisała list. Spotkała się tam z Silvio Berlusconim, którego drużyna akurat przegrała mecz ze Słowacją i w żalonym stylu wyleciała z mistrzostw świata.

Piszę Ci dziś ze szczytu G20. Nie masz pojęcia, co się tu dzieje. Dopiero przed chwilą, kiedy podawano aperitif, Berlusconi co żyw skoczył na prezydenta Rosji Miedwiediewa: „Dlaczego istnieje jeszcze Słowacja? Dlaczego tam jeszcze nie wmaszerowaliście?!?!”. Myślałam, że się przesłyszałam. Ależ skądże. „Silvio!” – powiedziałam do niego. „Silvio, Słowacja jest niepodległym krajem, w dodatku członkiem NATO! I Słowacy pokonali was całkiem zasłużenie 3:2! Nie potraficie nic z wyjątkiem pizzy!”. Sarkozy, ten Francuz, jak usłyszał o pizzy, zaczął się pokładać ze śmiechu. I wtedy, nie uwierzysz, Berlusconi sfaulował Sarkozy'ego jak Ty tego piłkarza, gdy otrzymałeś czerwoną kartkę. Włoski premier wykrzykiwał przy tym: „Wy, Francuzi, z tymi historiami o miłości francuskiej i całowaniem w..., jesteście gorsi od Kościoła katolickiego!”.

„Jezus, Maria, czy to aluzja do P, O, C, kropka, kropka, kropka, kropka, S, I, E, W, D, U, kropka, kropka?” – szepnęłam do ucha Rosjanina i Japończyka. Obama natychmiast rzucił się do mediacji, ale Berlusconi wpadł tylko w szal i wrzeszczał: „Twój US-łowca bramek jest pedalem! Dlaczego nie zbombardujesz Słowacji, ty pół-Bambo?”. Obama wybaluszył na to oczy. Pół-Bambo, tak powiedzieć do amerykańskiego prezydenta? Berlusconi nie ma wszystkich klepek w głowie. Bo co ma wspólnego gejoewski snajper piłkarski z USA z bombardowaniem Słowacji? Nic! Japończyk stał tylko mocno zdziwiony, uśmiechał się sfinksowato i powtarzał jak mantrę: „Honda, Honda, Honda”. (To jakiś ich piłkarz???). Myślę, że ma kuku na muniu, odkąd Japończycy awansowali do 1/8 finału. I wtedy akurat podszedł do mnie nowy brytyjski premier. Przedstawił się, ale ja mu tylko powiedziałam z dystansem: „No, ty Angolu, w niedzielę mecz kończy się znowu karnymi, po których odlatujecie z powrotem na Wyspy. Goodbye!”.

Oj, dzieje się w tym Toronto, dzieje. Jesteśmy chronieni przez 12 tysięcy policjantów, cały szczyt kosztuje 880,111 miliona euro. A tak naprawdę debatujemy nad pakietami oszczędnościowymi i regulacją rynków finansowych... No, ale teraz pomówmy o Tobie. Moi doradcy donieśli mi, że masz problemy z mięśniami i że możesz nie wybiec na murawę przeciwko Anglii. Oj, smuci mnie to. Weź, proszę, krem arnikowy z irysem, koniecznie Weledy, i nakładaj go sobie grubo na obolale miejsce. Czyżbyś się przeforsował z Sarah? Problemy z muskulaturą nie muszą iść tylko na konto wcześniejszego pojedynku. Wiesz przecież, co myślę o pobycie Sarah w RPA! Myślisz, że ja zabieram Joachima na szczyty G20 do Kanady?

Pozdrawiam Cię z Toronto – Twoja Angie

PS. Jeśli w meczu z Anglią będziemy mieli karnego, strzelaj Ty! Bo masz najsilniejszego kopa!

Czterdzieści cztery lata po najsławniejszym голу wszech czasów, który w finale mistrzostw świata 1966 z Niemcami zapewnił Anglikom jedyny ich tytuł światowego championa, a który golem nie był, bo piłka nie przekroczyła linii bramkowej, Anglicy strzelili podobną bramkę w meczu 1/8 finału mistrzostw świata z Niemcami. Tym razem piłka przekroczyła linię bramkową. A jednak Niemcy zwyciężyli Anglię 4:1. Po tym triumfie, który otworzył Niemcom drogę do ćwierćfinału z Argentyną, Merkel napisała:

Drogi Sebastianku,

jestem taka wzruszona fantastycznym wynikiem meczu z Anglią (ha, 4:1 dla nas!). Pisałam Ci już, że piłkarski klasyk Niemcy – Anglia obejrzą sobie na szczycie w Kanadzie razem z premierem Cameronem.

Siedział obok mnie na sofie i w miarę upływającego czasu malał w oczach. Tylko przy jednym strzale Anglików zerwał się nagle na równe nogi i gromko wykrzyknął: „The ball was in!!!”, czyli „piłka wpadła do bramki!!!”. Odpowiedziałam: „Thank you for the info”, i całą scenkę obejrzałam sobie w zwolnionym tempie. Sebastianku, tak, piłka rzeczywiście całym obwodem wpadła do środka bramki! Mr Cameron nie przestał jednak wrzeszczeć: „Mrs Merkel, the ball was IN!”. „Yes – odpowiedziałam – but now it is OUT, Mr. Cameron! That’s life”. „Takie życie”.

Czy piłka jest w środku bramki, czy nie – o tym decyduje na boisku sędzia, ale o całej reszcie decyduje ja! Tak, dziś na tapecie jest Argentyna. Przylatuję na mecz! Będę na trybunie honorowej! Kiedy ten list dotrze do Twoich rąk, będę siedzieć już w rządowym airbusie! Smaruj sobie specyfikiem Weledy obolale mięśnie i pokaż pastuchom gaucho i hodowcom koni, kim są naprawdę! Maradona, ta wcisnięta w garnitur mielona kielbasa, ten toczący się i nafaszerowany kokainą argentyński Castro, rozpieszczą jedynie swoich piłkarzy! Pojęcia nie mają, co to jest dyscyplina i bat!

I powiedz trenerowi Löwowi i jego asystentowi, żeby na mecze znowu zakładali jasnyniebieską górę od dresu! (Czy ta dwójka razem robi shopping?). Te ciemne, dziergane na drutach sweterki w stylu starego Helmuta Kohla, jakie mieli na sobie podczas meczu z Serbią... mają ich już nigdy nie pokazywać! Zamiast nich, proszę, niech założą jasnyniebieską górę od dresu!

Słyszałeś może, co zrobiono z piłkarzami z Korei Północnej? (0:7 z Portugalią!). Ledwo zjawili się w Phenianie, zostali przez prezydenta Kim Dzong Ila żywcem zabetonowani w głowicach atomowych rakiety międzykontynentalnej Taepodong, którą zamierzają wkrótce wystrzelić w kierunku USA. Coś takiego w Niemczech pod rządami Angeli Merkel jest absolutnie niemożliwe. Nigdy, ale to nigdy nie wsadziłabym Cię, Sebastianku, po jakimś marnym meczu do rakiety i nie wystrzeliła do Afganistanu lub gdziekolwiek indziej, ale dziś oczekuję zwycięstwa nad Argentyną. Kiedy siedzę w łoży honorowej, chodzi też o siłę medialnego przekazu. Pomysłności w meczu z Argentyną, Sebastianku! Gauchos mają Maradonę i rękę Boga (w nawiązaniu do pamiętnej bramki strzelonej przez Maradonę na mistrzostwach świata 1986), my mamy Schweinsteigera! Pomacham Ci z trybuny!

Niemcy rozłożyli Argentynę na łopatki 4:0. Angela Merkel, w czerwonym zakiecie i obok prezydenta RPA, na stojąco oklaskiwała występ swojego ulubieńca i jego kolegów. Po meczu nie bardzo ją wzruszyło, gdy trener Argentyńczyków Maradona przeżegnał się i rozpląkał głośno jak dziecko. Zaraz po spotkaniu wróciła do Berlina. Pochłonięta debatą budżetową w Bundestagu nie przyjechała na półfinał i Niemcy przegrali z Hiszpanią, zajmując ostatecznie trzecie miejsce. Interesujące, że niemiecka reprezentacja nie wygrała ani mistrzostw świata, ani mistrzostw Europy, odkąd Merkel jest kanclerzem. Co nie przeszkodziło jej w jednym z kolejnych listów przyznać się do tego, jak bardzo pozostaje pod urokiem niemieckiej reprezentacji: „Kiedy widzi się, jak stworzył Was Bóg, drogi Sebastianku, to trzeba powiedzieć, że nie wyglądacie jak Niemcy”.

Jej intymne listy do Bastiana Schweinsteigera są oczywiście fikcyjne. Ułożył je berliński dramatopisarz i dziennikarz Moritz Rinke. Jak papierek lakmusowy wiernie oddają jednak wielką pasję Merkel do piłki nożnej oraz dokumentują dużą popularność kanclerz w niemieckiej popkulturze. Jak kiedyś w Wadowicach kremówki zaświadczały o niebywałej popularności polskiego papieża. Kanclerskie amourfou zamieszczały w Niemczech „Die Zeit” i „Süddeutsche Zeitung”. Sam autor prezentował je na Międzynarodowym Festiwalu Bertolta Brechta w Augsburgu i na prestiżowych deskach berlińskiego Deutsches Theater.

Namiętność namiętnością. Ale Merkel, *Homo sapiens* o wielkim instynkcie politycznym, świetnie zdaje sobie sprawę z tego, że jej sojusz z reprezentacją narodową przekłada się

na wzrost słupków procentowych. Piłka nożna dostarcza niezapomnianych emocji, a wspólne zdjęcia z teamem narodowych herosów nakręcają jej popularność. Nie wiedział o tym jeszcze patriarcha Konrad Adenauer, który po zdobyciu przez RFN tytułu mistrza świata w 1954 roku wysłał jedynie telegram z suchymi gratulacjami. Ale wielki kanclerz za sport uznawał jedynie grę w bule. I żył w epoce, która świetnie się obydwała bez dokumentowania zażyłości między Urzędem Kanclerskim a trenerem narodowej jedenastki. Inaczej Merkel. Jej najślynniejsze z piłkarskich zdjęć powstało po meczu Niemcy – Turcja rozgrywanym w Berlinie w 2010 roku. Rozradowana zwycięstwem 3:0 swoich ulubieńców kanclerz pozostawiła samemu sobie skwaszonego premiera Turcji Recepta Tayyipa Erdoğan na trybunie honorowej i szybko zbiegła do szatni. Tam, mocno podnosząc głowę, pogratulowała znacznie wyższemu, obnażonemu do pasa Mesutowi Özilowi.

Z obecnym trenerem reprezentacji Joachimem Löwem, jak uprzednio z Jürgenem Klinsmannem, esemesuje przed każdym meczem narodowej jedenastki i zaszczycą go zaproszeniami do Urzędu Kanclerskiego na pogawędkę przy kawie. Interesuje ją nie tylko sam futbol, ale i strategię gry zespołowej, które są uderzająco podobne do tych w polityce. Z fascynacją dziecka przygląda się, jak Joachim Löw, tak jak wcześniej Klinsmann, rysuje jej na kartce, na czym polega obrona strefowa. I co się dzieje w szykach przeciwnika, jeśli jednego zawodnika wypuści się do przodu, drugiego do tyłu. Możliwe, że takie modele ataku uważa za politycznie wielce interesujące. Ogólnie Merkel w zakresie znajomości piłki nożnej poczyniła duże postępy. Tym bardziej że w tym procesie poznania nie mogła i dalej nie może liczyć na wsparcie ze strony najbliższej rodziny. Jak sama powiedziała, „jest bardziej zafascynowana piłką niż mąż”^[7]. Przy czym wiedzieć należy, że profesor Sauer w trzymilionowym Berlinie uchodzi za niekoronowanego króla wśród laików futbolu i pewnie wierzy, że rzut karny można wykonywać ręką. Nic dziwnego, że od czasu do czasu i jej zdarzają się lapsusy. Choćby w 2006 roku, gdy po zdobyciu przez kobietę reprezentację Niemiec tytułu mistrza świata, a w przededniu turnieju męskiego oświadczyła: „Jedenastka narodowa kobiet już została mistrzem świata i dlatego nie widzę żadnego powodu, by mężczyźni nie mieli osiągnąć tego samego, co kobiety”^[8].

Przede wszystkim zdumiewa, że Merkel znajduje czas na tête-à-tête z futbolem. Od lat operuje na granicy wytrzymałości fizycznej. „Co ta kobieta potrafi jednak wytrzymać, psychicznie i fizycznie, jest nieprawdopodobne. Niewielu może się z nią w tym równać” – konstatuje Michael Glos, długoletni towarzysz Kohla, który z niejednego pieca chleb jadł^[9].

Włoskie wakacje

Polityka niszczy nie tylko charakter, ale i zdrowie. W ciągu ostatnich dwudziestu lat odcisnęła także swoje znamię na twarzy Angeli Merkel. Przybyło jej mnóstwo zmarszczek. A kto przypomina sobie Merkel podczas przegranego głosowania w Bundestagu nad drugim pakietem ratunkowym dla Grecji (27 lutego 2012 roku), gdy jej własna frakcja parlamentarna odmówiła jej posłuszeństwa? Ziemista cera i worki pod oczami zmusiłyby każdego, niezależnie od politycznych sympatii, do wyrażenia wobec niej współczucia. Także kanclerz Niemiec dysponuje tylko dwudziestoma czterema godzinami na dobę. Może, jak czynił to Helmut Kohl, spędzać je często w pobliżu lodówki. Kohl zaczął jako przystojny mężczyzna, a skończył jako 150-kilogramowy kolos. Stres kompensował jedzeniologizmem. Można też, jak kanclerz

Schröder, dzień pracy rozciągnąć do osiemnastu-dziewiętnastu godzin i przez ten czas debatować ze swoją frakcją w parlamencie, pozbawiając jej członków snu. Angela Merkel wybrała trzecią drogę. Wszystko robi w pojedynkę lub z niewielką liczbą współpracowników. Stąd często wygląda tak, że nawet najgorszy wróg życzyłby jej kilku dni urlopu. Merkel co najwyżej jeździ w weekendy na daczę. Relaksuje się, pieląc ogródek, ubrana w stare dresy. Jak wyznała, najwięcej radości sprawia jej sadzenie pomidorów. Bardzo sobie ceni komfort wysypiania się w weekend. W Berlinie stale uskarża się na deficyt snu. A ilość nieopielonych grządek w ogródku rośnie z roku na rok.

Na luksus dłuższego urlopu pozwala sobie tylko raz do roku. Dwa tygodnie, zwykle w południowym Tyrolu. Ze względów bezpieczeństwa dowozi ją tam helikopter Luftwaffe. Na wakacyjną kwaterę od dobrych kilku lat obiera czterogwiazdkowy hotel Marlet w Sulden. Nad alpejską miejscowością góruje najwyższy szczyt Alp Wschodnich – czterotysięcznik Ortler. Ale Merkel napawa się tam nie tylko zapierającymi dech w piersiach górskimi widokami. Wielką sympatią darzy mieszkającego w Sulden Reinholda Messnera. Z legendarnym himalaistą wspólnie wędruje po wysokich Alpach. Dlatego na urlop zabiera ze sobą wyłącznie pionierki, anorak i sportowe ubrania. Zawsze ma jednak przy sobie dwie suknie wieczorowe. Z Sulden organizuje bowiem tradycyjne wypady na festiwal wagnerowski w Bayreuth i teatralny w Salzburgu.

Z kolei na Wielkanoc wyjeżdża na kilka dni na Ischię. Leżąca u wejścia do Zatoki Neapolitańskiej wyspa, na której kręcono sławną „Kleopatrę” z Liz Taylor i Richardem Burtonem, tonie wiosną w kwitnących fuksjach i oleandrach okalających wzgórze i w zapachu lawendy. Możliwe, że jako fizyka Merkel bardziej niż uroki przyrody urzekła za pierwszym razem wulkaniczna przeszłość wyspy, widoczna we wszechobecnym porowatym, osadowym tufie. Z upływem czasu jednak Merkel, dla której w NRD Italią była czarnomorska Bułgaria, uległa czarowi miejsca. Ischia uwiodła ją staromodnymi parasolami słonecznymi na plaży, lazurowym morzem, rybakami sprzedającymi ryby na promenadzie i ciepłymi termami Afrodyty. Powściągliwa protestantka rozkochała się w krętych, pozbawionych ruchu samochodowego wąskich uliczkach portowego miasta Sant’Angelo, a także w tagliatelle, pappardelle, farfalle, taglierini, spiralingi, bucatini, cappelletti, capellini, perciatelli, anellini i nadziewanym królikiem z dzikim ziołem Cima di Coniglio. Bella vita wpłynęła nawet na manieri pani kanclerz. Odkąd bowiem signora Angela rok w rok przez tydzień pomieszkuje w hotelu Miramare w Sant’Angelo, popija espresso na ulicy, a nawet odważa się na shopping we włoskim stylu, pierwotna salonowa toporność Niemki z NRD ustąpiła pewnej gracji. Zgrabniej jej wychodzi teraz całowanie z uczestnikami szczytów unijnych czy G20. A już się wydawało, że pierwszy pobyt na malowniczej wyspie zakończy się wielką kłapą. Ledwie bowiem Merkel postawiła nogę w hotelu Miramare, to już siedemnaście pokoi sąsiedniego pensjonatu zaanektowali fotoreporterzy z brytyjskich bulwarówek. Od obrotnego właściciela osobny taras hotelowy wynajęli też włoscy paparazzi, uzbrojeni w gigantyczne teleobiektywy.

Merkel do Neapolu przylatuje challengerem Luftwaffe. Jej mąż, profesor Sauer, znany powszechnie z oszczędności, dolatuje, jak kiedyś żona kanclerza Schrödera, tanimi liniami Germanwings. Nieznany bliżej mediom chemik kwantowy, którego świat orbituje wokół zeolitów, pewnej grupy minerałów, na taki „luksus” może sobie pozwolić. Na lotnisku chętnie pomaga kobietom z wózkami i małymi dziećmi. Jako współpasażer u boku żony w maszynie Luftwaffe musiałby głęboko sięgnąć do kieszeni. Lot do Neapolu kosztuje 1,3 tysiąca euro. Ostatnim razem małżeństwo Merkel z Neapolu na wyspę dotarło nie jak zawsze promem, tylko

łodzią policyjną. By pozostać nierozpoznaną, kanclerz była przebrana za urzędnika włoskiej policji finansowej.

Pan Merkel

Właśnie by uczcić urodziny męża, małżeństwo Merkel po raz pierwszy przybyło na Ischię. Obydwoje łączy zamiłowanie do wędrowania po górach. I do muzyki Wagnera. Profesor uchodzi za jego znawcę i wielkiego melomana. To on zaszczerpił żonie pasję do muzyki operowej. Od lat Sauer prowadzi podwójne życie. Oficjalnie jest uznanym naukowcem na berlińskim Uniwersytecie Humboldta. W swoim drugim życiu mężem kanclerz Niemiec. Dlatego bardzo mu zależy na tym, by być postrzeganym wyłącznie w tej pierwszej roli. Na uczelni studenci bardzo cenią sobie jego wykłady, nikt na nich nie żuje kanapek i nie popija colą. Ale jeśli chce się go zdenerwować, wystarczy zwrócić się do niego: „Panie Merkel”. Podobnie jak żona, wyróżnia się on brakiem finezji. Z tego powodu latem 2001 roku mocno podpadł berlińczykom. Wtedy Związek na rzecz Powiększania Artystycznego i Kulturalnego Spektrum wysłał zawiadomienia do wszystkich mieszkańców okolic Muzeum Pergamońskiego, że na wolnym powietrzu wystawia sztukę Kleista. I z tego względu przeprosił, że może być głośniejszy niż zazwyczaj. W ramach rekompensaty dołączono wolne karty wstępu. Profesor Sauer nie poszedł na spektakl. Został w domu przed komputerem. Krótco po godzinie 22 zmierzył ilość decybeli w oknie, po czym wysłał faksem skargę do urzędu miasta. Na drugi dzień gazety nie zostawiły na nim suchej nitki. Nie tylko po tym doświadczeniu, ale generalnie, gdy oblegają go dziennikarze, natychmiast odwraca głowę od mikrofonów. Raz odstąpił od swojej reguły i wpadł w pułapkę. Zapytany przez włoskich żurnalistów o najważniejsze wydarzenie w życiu, bez namysłu odpowiedział: „Upadek muru berlińskiego”^[10]. Za co mu się znów dostało. Każdy włoski cavaliere, choćby wygrał milion w totka czy wspiął się zimną na Mount Everest, zawsze odpowie, że najszcześniejszym momentem życia był dzień jego ślubu. Oczywiście ze względu na najpiękniejszą żonę u boku. Profesor tym bardziej trzyma się od dziennikarzy z daleka. No, chyba że ci chcą go zapytać o jego ostatnią publikację. A ma ich na liście ze trzysta. Wtedy chętnie rozwodzi się o swojej zawodowej pasji – polowaniu na atomy, roztrzaskaniu ich struktury i układów. Gdy padają pytania o sens tych polowań, wyjaśnia spokojnie, że korzyści z nich czerpie wielki przemysł, choćby renomowana firma BASF. A jego grupa badawcza figuruje wysoko w międzynarodowych rankingach, dodaje z dumą. Pewnością siebie mąż w niczym nie ustępuje żonie. Na konferencjach często siedzi z rozłożonym na kolanach notebookiem, widocznie nawet wtedy poluje na kolejne atomy. W piątkowe wieczory lub soboty w Berlinie nie ma na to czasu. Wtedy Angela Merkel wysyła go z kartką na zakupy. Zdarza się jednak, że to ona sama udaje się w weekend do hali kupieckiej przy Mohrenstrasse. Ku swojemu utrapieniu zawsze w towarzystwie ochroniarza. Sklep spożywczy znajduje się na dwóch kondygnacjach, na parterze i poziomie -1. Merkel bierze stojący przy wejściu wózek i jedzie schodami na dół. Od razu kieruje się do półki z jogurtem makrobiotycznym – zdradza uprzejma ekspedientka w sklepie. Przeważnie do wózka ładuje też ciemnoziarnistą mąkę, a przed sylwestrem polską gęś^[11]. I najzwyczajniej w świecie ustawia się w każdej kolejce: przy ladzie z serami, mięsem i rybami. Na końcu do kasy. Nie zapomina o francuskich serach i butelce wina. Do niedawna w ten trunek zaopatrywał ją prezydent Sarkozy, przywożąc jej w prezencie na unijne szczyty lub rozmowy konsultacyjne butelkę burgunda. O burgundzie

od prezydenta Hollande'a na razie nic nie wiadomo. Szefowa kasjerek w markecie przy Mohrenstrasse opowiada, że Angela Merkel wręcz niezauważalnie porusza się między regałami, najczęściej ze spuszczoną głową. Ale wózek pcha sama. Aż do samochodu^[12]. Bycie kanclerzem Niemiec nie bardzo pomaga w robieniu zakupów. „Kiedy sięgam po rzeżuchy w puszcze, zdziwiona ekspedientka podchodzi do mnie i tłumaczy, że tuż obok mają stoisko ze świeżymi. Czasami wdzięczna jestem za usługne rady, ale częściej mam ich dosyć” – wyznaje Merkel^[13]. W weekendy stara się gotować obiady w domu. Na liście ulubionych potraw figurują: kartoflanka, barszcz, pieczeń wołowa, rolady z czerwoną kapustą, ryby. I legendarny placek ze śliwkami. Oczywiście dla męża. W Urzędzie Kanclerskim razem z szefem kuchni ustala menu z trzech dań na cały tydzień. Sama preferuje sałatki latem, bulion zimą. „Uwielbia sery i często po południu zamawia półmisek z serami” – zdradza jej szef kuchni^[14]. Później do nocy przegryza jedynie marchewki, które ma pod ręką, gdyż nie przepada za owocami. Służą jej także, jak kiedyś kanclerzowi Brandtowi zapalki, do ukojenia nerwów. Znacznie gorzej jest podczas podróży w kraju i za granicą, gdy trzeba uważać, by nie mieszać ze sobą podawanych kuszących specjałów.

Codziennie też dla męża i dla siebie przyrządza śniadanie. Potem, o 7.30, rusza do Urzędu Kanclerskiego. Jej królestwo, potężne gmazysko ze szkła, sprawia wrażenie, jakby się znajdowało na innej planecie, zupełnie odcięte od reszty świata. Z kanclerskiego gabinetu najbliższa kafejka, na dworcu głównym, jest odległa o pół godziny drogi. Getto – mówią na Urząd Kanclerski jego pracownicy. Poprzednik Merkel – kanclerz Schröder – pracował tu i mieszkał dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na najwyższej kondygnacji miał małe mieszkanie z sypialnią. Z tej perspektywy patrzył na Berlin jak średniowieczny monarcha na swoje posiadłości z wysokości zamkowej wieży. Merkel od razu pozbyła się łóżka. Sypia w domu. By zachować kontakt z rzeczywistością, stale zaprasza do szklanego pałacu gości na lampkę wina. Naukowców, artystów, sportowców, ekonomistów, szefów wielkich firm. Opowiadają jej, co się dzieje na zewnątrz. Wszyscy jak jeden mąż też twierdzą, że Merkel potrafi bardzo dobrze słuchać. Inaczej niż poprzednik, który do gości wygłaszał monologi. Zebrane towarzystwo miało go słuchać i podziwiać. Za to kiedy Merkel w towarzystwie się rozkręci, potrafi świetnie naśladować innych polityków, na przykład Putina w przyływie złości, który nerwowo wypisuje słowa na poszczególnych kartkach, po czym każdą z osobna podnosi do góry. I wrzeszczy: „Da, da, da!”, palcem dźgając kartkę. Swoich gości Merkel raczy kartoflanką. Jak gospodyni domowa na prowincji. Pani kanclerz nie pławi się bowiem w splendorze władzy. Kiedy sama odwiedza włoskie restauracje w Berlinie, ich właściciele wiedzą już, że muszą mieć na podorędziu trochę mięsa mielonego. Bo Merkel nie zamawia ani homarów, ani makaronu z truflami, tylko najzwyczajniejsze spaghetti bolognese.

Razem z mężem nie mieszka też na odludziu, tylko w samym centrum Berlina, dokładnie naprzeciwko Muzeum Pergamońskiego. Na czwartym piętrze w pomalowanej na żółto kamienicy. W mieszkaniu czynszowym, płacąc 20 euro za metr kwadratowy plus koszty wody i gazu. Adres: Kupfergraben 6, 10–117 Berlin. Adres można wygoogłować. Łącznie ze zdjęciem drzwi wejściowych. Dzięki Google Earth można też pogapić się na dach domu. Wystarczy wprowadzić: „Kupfergraben” i „Merkel”. Jej nazwiska nie ma na dzwonku. Pod numerem szóstym figuruje jedynie: „Prof. Sauer”. Przed drzwiami wejściowymi od ulicy zawsze stoi dwóch policjantów. Do jednego z pomieszczeń w domu wprowadzili się funkcjonariusze Federalnego Urzędu Kryminalnego. Codziennie kontrolują nie tylko wchodzących

do kamienicy, ale i śmietniki oraz studzienkę na podwórku. Federalny Urząd Kryminalny byłby dużo bardziej szczęśliwy, gdyby kanclerz Niemiec mieszkała w wolno stojącej willi. Kamienica przy Kupfergraben 6 jest trudna do ochrony. Okna wychodzą na wszystkie cztery strony, dookoła panuje duży ruch samochodowy, kręci się masa turystów. 300 metrów od mieszkania Angeli Merkel w kafejce Zille-Eck zawodowe spotkania odbywają stręczyciele obstawiający prostytutkami berliński pigalak – Oranienburger Strasse. Odkąd w pobliżu zamieszkała pani kanclerz, policja dokonuje tam częstych nalotów. By przynajmniej zewnętrznie zmienić charakter lokalu, jego właściciel poustawiał w środku stare sofy, biblioteczki z książkami i wyłożył gazety z 1936 roku. Istotniejsze jednak dla Angeli Merkel okazało się zaraz po przejściu przez nią urzędu wykrycie na dachu Muzeum Pergamońskiego kamery z silnym zoomem, która przez dobrych kilka lat na okrągło monitorowała jej salon. Muzeum kamerę na dachu zainstalowało ze względów bezpieczeństwa. Jeden z pracowników ochrony skierował jednak obiektyw na okno salonu kanclerskiego mieszkania, gdyż wydawało mu się to ciekawsze niż obserwacja potencjalnych złodziei zabytków starożytnego Egiptu. Sprawa wyszła na jaw, gdy dziennikarz niedzielnego wydania „Bild Zeitung”, który pisał akurat artykuł o ochronie muzeum nocą, przyłapał ochroniarza na tym, jak podglądał profesora Sauera, gdy ten na sofie w salonie oglądał telewizję.

O Merkel wiadomo, że jest niezwykle ciekawa świata. Przed kilku laty podejmowała Arnolda Schwarzeneggera, gubernatora Kalifornii. Na kolacji siedziała obok legendy aktorskiej, choć z daleka wyglądało tak, jakby obok niej czaił się ochroniarz. Nie za bardzo wiedziała jednak, o czym ma z nim rozmawiać. W końcu przesiadła się do Craiga Barretta, szefa kalifornijskiej firmy Intel, największej na światowym rynku IT, pozostawiając towarzystwo Schwarzeneggera szczebiotliwej żonie prezydenta Niemiec Christiana Wulffa. Z Barrettem rozmawiała o strategiach firmy i zmianach, jakie w globalnej świadomości wywołuje rozwój technologii cyfrowych. By nie ograniczyć swojej znajomości świata do perspektywy widzianej z urzędu czy z kanclerskiej limuzyny, Angela Merkel spotyka się też regularnie ze swoją młodszą o dziesięć lat siostrą, z zawodu energoterapeutką. Rzadko natomiast widuje się z bratem, który tak jak ona skończył fizykę i wykłada na uniwersytecie w Magdeburgu.

Modowe wpadki

O tym, jak Merkel skraca dystans do otaczającej ją rzeczywistości, świadczą porządki zaprowadzone przez nią w Urzędzie Kanclerskim. Zmniejszyła koszty własne. Urząd kosztuje niemieckiego podatnika 49 centów na głowę, trzykrotnie mniej niż Pałac Elizejski podatnika francuskiego. Miesięcznie Merkel zarabia 16,2 tysiąca euro. Mniej niż średnio zaradny stomatolog. Ze wszystkimi dodatkami pani kanclerz rocznie dobija do 220 tysięcy euro. Biedna mysz w porównaniu do bossów biznesu. Szef Volkswagena inkasuje rocznie 17 milionów, szef Deutsche Banku 9,5 miliona euro.

W gabinecie przy wielkim, półokrągłym kanclerskim biurku Merkel nie pracuje. Stamtąd jedynie telefonuje. Do Obamy, Hollande'a, do Brukseli. Z górą akt i dokumentów siedzi natomiast po drugiej stronie gabinetu, przy długim, wąskim stole z dziewięcioma krzesłami. Stąd ma tylko kilka kroków do sekretariatu, do którego stale sama zachodzi. Pracuje więc przy otwartych drzwiach gabinetu. Za to na wielkim biurku postawiła globus. By mieć świadomość, dokąd się udaje, gdy składa zagraniczne wizyty. Oczywiście zostawiła wiszący na ścianie z tyłu

biurka portret Konrada Adenauera z kamienną twarzą, choć pierwszy katolicki kanclerz, gdy jeszcze żyła w NRD, był jej zupełnie obcy.

Na ile może, Merkel spotyka się z wyborcami ze swojego okręgu. A ci pytają ją o przedziwne rzeczy. Na przykład o to, czy podczas wideokonferencji prezydent Obama miał na sobie marynarkę. Bo, jak wiadomo, szef Białego Domu zniósł obowiązek przychodzenia do pracy w marynarkach. Albo inne pytanie: Co sądzi o amerykańskiej First Lady, która nagminnie nosi sukienki odsłaniające ramiona? Merkel nie bagatelizuje już takich pytań. Odkąd zjawiała się na otwarciu opery w Oslo z obnażającym biust dekoltem, wie, że są to pytania ważne. Przynajmniej dla jej wyborców. Z własnym stylem ubioru radzi sobie już znacznie lepiej. Na wiecu CDU w malutkim Neheim w trakcie kampanii wyborczej w Nadrenii Północnej-Westfalii wystąpienie zakończyła słowami: „Jeśli jutro zostaniecie zapytani, gdzie byliście wczoraj, to odpowiedzcie odważnie: na wiecu, obejrzeć sobie Merkel. Ale będą was dalej pytać: czy Merkel wyglądała na mniej czy na bardziej zmęczoną? No i co miała na sobie? A kiedy te kwestie już wyjaśnicie, to powiecie też, co ja tu mówiłam o gospodarce”^[15].

Okolo roku przed przejściem funkcji kanclerza zawiązał się wokół Angeli Merkel „girls club”, którego członkinie postanowiły zatroszczyć się o jej wygląd i zwiększyć tym samym jej szanse w starciu z urzędującym kanclerzem Schröderem. Klub składał się z prominentnych, eleganckich dam, stale obecnych w mediach. Klubową kartę najczęściej podbijały dziennikarka Sabine Christiansen, bizneswoman Friede Springer i dziennikarka Inga Griese, prowadząca w „Die Welt” kolumnę stylu i elegancji. Dzięki nim nowa pani kanclerz zamieniła powyciągane swetry, kloszowe spódnice i sandały na eleganckie kostiumy we wszystkich możliwych kolorach jesieni. Większość kostiumów jest taliowana, uszyta z lejącego się, wyszczuplającego materiału i ma ukośną kieszeń, by wcisnąć tam telefon komórkowy. Do żakietów Merkel zakłada czarne spodnie. Nie nosi jak szefowa MFW Christine Lagarde wielkich szali z kaszmiru czy jak była amerykańska sekretarz stanu Madeleine Albright efektownej biżuterii: wielkich kolczyków i broszek, lecz jedynie srebrny łańcuszek, podarunek od męża profesora. Włosy „girls club” oddał w ręce fryzjerskiej gwiazdy Udo Walza. Berliński mistrz nożyczek i grzebienia w przeszłości fryzował już Marlenę Dietrich, Romy Schneider, Julię Roberts, Claudię Schiffer, Naomi Campbell, a pracował dla takich kreatorów mody jak Wolfgang Joop czy Jean-Paul Gaultier. Do tej pory bowiem fryzura Merkel była przedmiotem wielu dowcipów. Kim z zawodu jest jej fryzjer? – brzmiał najpopularniejszy z nich. A na wiosnę 2001 roku samochody firmy Sixt z Hamburga, wypożyczającej auta, przez dwa tygodnie jeździły po Niemczech ze zdjęciem Merkel opatrzonym pytaniem: „Masz ochotę na nową fryzurę?”. I drugim jej zdjęciem, tyle że ze sterczącymi do góry włosami wraz z pointą reklamową: „To wypożycz sobie kabriolet!”. Teraz pani kanclerz płaci 110 euro za wizytę u berlińskiego stylisty. Mycie, suszenie i podcięcie. Bo Walz nigdy nie podcina na mokro. Z reguły jego prominentna klientka dzwoni godzinę wcześniej, po czym przyjeżdża i wciska się w jakieś „okienko”. Właściwie to dosiada się do oczekujących na sofie w salonie kobiet. Od niedawna zatrudnia też w Urzędzie Kanclerskim własną stylistkę, która przed każdym oficjalnym wystąpieniem na szybko robi jej makijaż, układa włosy i doradza kolor kostiumu. Dawną sypialnię Schrödera, ów pokój bez okien nad kanclerskim gabinetem, przerobiła na garderobę. W kolorowych żakietach z satyny daleko jej jeszcze do rasowych powerdressing kobiet-polityków: byłej sekretarz stanu USA Condoleezza Rice czy premier Julii Tymoszenko. Ale swoim stylem Merkel pozwala mężczyznom zapomnieć, że jest kobietą, a kobiet nie prowokuje, że konkuruje z nimi

na targowisku próżności. Na wszystkich szczytach unijnych czy G20 wyróżnia się dyskretną elegancją, a na tle uwijających się w obowiązkowej czerni polityków przyciąga uwagę karminem, seledynem czy szafirem żakietu. Przed kilku laty niemiecki projektant mody Wolfgang Joop zadedykował jej swoją nową kolekcję. „Zainspirowała mnie siła otwartości i dystansu, jaka bije z jej oczu” – oświadczył prasie. Kolekcję zaadresował do „kobiety z dużej aglomeracji”^[16]. Berlin widział też w 2007 roku poświęconą Angeli Merkel wystawę biżuterii „Hommage a Angela”. Jej przemiana nawet w królestwie próżności i celebrytów znalazła uznanie. I tak ekscentryczna diwa pop z USA Gwen Stefani, wokalistka grupy No Doubt, mająca niepowtarzalny styl i fenomenalny gust, projektantka kreacji dla Madonny, oceniła, że „Merkel wygląda całkiem dobrze, kostiumy, jakie nosi, pasują do niej. I absolutnie nic w jej stylu ubierania bym nie zmieniła”^[17].

W ciągu wielu lat kanclerstwa natrętnym dziennikarzem udało się „przyskrzynieć” ją dwa razy na wypadkach modowych na czerwonym dywanie. Po raz pierwszy, gdy w Oslo na wiosnę 2008 roku w towarzystwie norweskiej pary królewskiej podczas otwarcia opery narodowej miała na sobie czarno-szafirową suknię wieczorową z dekoltem obnażającym połowę biustu. W myśl zasady „wszystko na zewnątrz”. Paparazzi zdjęcie ustrzelili z góry, czym optycznie powiększyli tylko kanclerskie walory. Piersi dosłownie wylewały się z sukni. Tym wyczynem zupełnie przyćmiła szczebiotliwy szwadronik przybyłych na koncert europejskich księżniczek. A rodaków w ojczyźnie na długo pozbawiła snu. „Czy Niemcy mają się czym chwalić?” – pytały rodzime gazety. Błyskawicznie rozpisana ankieta „Sterna” przyniosła 58 procent odpowiedzi na „tak”, podczas gdy 17 procent respondentów outfit uważało za zbyt odważny. „Pani kanclerz jest bardzo zdziwiona tak wielkim echem medialnym jej wieczorowej garderoby” – komentował na drugi dzień z kamienną twarzą rzecznik prasowy rządu. I wielce się dziwił, że nikt nie zadaje pytań o reformę kolei^[18]. Cztery lata później na otwarciu operowego festiwalu w Bayreuth wścibscy fotoreporterzy przyłapali Merkel na tym, że do wieczorowej turkusowej sukni z satyny założyła na nogi nylonowe, sięgające kostek skarpetki. Pech chciał, że na czerwonym dywanie dół sukni się podwinął, odsłaniając modowe faux pas. Dla Joanny Horodyńskiej absolutny faworyt do największej gafy roku. Dla rodaków Angeli Merkel powód, by zadać frapujące pytanie, czy kanclerz Niemiec nie stać na rajstopy. Przy dużej dozie szczęścia na przecenach do nabycia za jedno euro. Bez lycry. To jeszcze nie wszystko. Dziennikarze natychmiast wyszperali, że w tej samej sukni, perłach i fryzurze Merkel paradowała na festiwalu Wagnera już cztery lata temu. Tylko buty i torebkę miała inne. W kwestii oceny stylizacji gusta narodu się rozjechały. Podczas gdy jedni mówili o sukni z recyklingu, drudzy wskazywali na polityczne przesłanie: w czasach kryzysu nawet kanclerz Niemiec musi oszczędzać. W istocie Angela Merkel nie wydaje 500 euro na bluzeczkę, a sprzedawczyni markowych domów mody nie pieszczą w rękach jej karty kredytowej.

Od dwóch lat Merkel nosi jednak torebki francuskiego domu mody Longchamp. W kolorze pomarańczowym, czarnym i karminowym. Są tak wielkie i wytrzymałe, że pani kanclerz spokojnie wciśnie do nich wszystkie nieprzeczytane w ciągu dnia akta bez obawy o to, że pójdą szwy. Torebka od Longchampa nie wygląda może w ręce kobiety tak szalowo jak na przykład od Christiana Louboutina czy Louisa Vuittona, ale gwarantuje ustrzeżenie się przed modową wypadką. A to wystarczy. I nie kosztuje majątku – duża, ze skóry, maksimum 300 euro.

Bo Angela Merkel pozostała sobą. Odmówiła wielkim projektantom proponującym, by na oficjalne spotkania zakładała przysyłane w prezencie kreacje ich domów mody. Za to

codziennie przed północą, gdy wychodzi z Urzędu Kanclerskiego, ciągnie za sobą walizkę na kółkach. Z aktami do przerwania w domu na następny dzień. Pytana o markę butów, jakie preferuje, odpowiada: „Solidne i ładne, by wytrzymały cały dzień chodzenia”^[19]. „Jak każda kobieta zastanawiam się każdego ranka, co założyć, pamiętając, co miałam na sobie dzień wcześniej. Nie można dwa dni z rzędu nosić tego samego” – mówi. I od razu dodaje: „Czego czasami żałuję”^[20]. Możliwe, że dlatego ku zgorszeniu niemieckich narodowych stylistek znów pojawiła się na galowych koncertach operowych w tej samej sukni wieczorowej z liliowej satyny. A trzykrotnie, jak skrupulatnie wyliczyli z oburzeniem wspomniani narodowi styliści, założyła na festiwalach Wagnera i Straussa kolorową suknię w kształcie tuniki. Co znów oficjalnie musiał potwierdzać rzecznik rządu. „Angela Merkel suknię tunikę kupiła podczas pobytu w Kalifornii w 2002 roku i miała ją na sobie już dwukrotnie”^[21]. Recykling sukienkowy Angela Merkel podniosła do rangi metody. Za ten brak rozrzutności i narcyzmu Niemcy ją lubią. Dlatego też Merkel zgodziła się kiedyś na spotkanie z dziennikarzami, którzy zadawali jej „intymne” pytania. Wtedy wyszło na jaw, że najbardziej boi się burzy, za najlepszy film uważa „Pożegnanie z Afryką” z Robertem Redfordem, a na kolację przy świecach wybrałaby się najchętniej z trenerem piłkarzy Hiszpanii Vicente del Bosque.

Angela Merkel próbuje w prywatnym życiu pozostać „normalną” osobą. Jakie to trudne, przekonała się, gdy z Urzędu Kanclerskiego postanowiła kiedyś wymknąć się windą gospodarczą, jedyną drogą niemonitorowaną przez kamery. Dotarła aż do garażu podziemnego. Tam czekali już na nią policjanci z psami.

Menedżerka unijnego kryzysu

Europejski raj jest tam, gdzie policjantami są Brytyjczycy, kucharzami Francuzi, kochankami Włosi, mechaniką zajmują się Niemcy, a wszystko organizują Szwajcarzy. Piekło natomiast jest tam, gdzie kucharzami są Brytyjczycy, mechaniką zajmują się Francuzi, kochankami są Szwajcarzy, policjantami Niemcy, a wszystko organizują Włosi.

Dowcip niemiecki

W słoneczne popołudnie 20 października 2011 roku siedząca w rządowej limuzynie Angela Merkel od ponad godziny kluczyła po ulicach Berlina. O 14.00 opuściła Urząd Kanclerski, by udać się na dawno zaplanowane spotkanie robocze ministrów oświaty krajów związkowych. Temat posiedzenia: integracja szkolna uczniów z rodzin migrantów: zagadnienie leżące Merkel na sercu. Przed wejściem do siedziby Sekretariatu Konferencji Ministrów Oświaty w sercu Berlina tłoczyli się dziennikarze i fotoreporterzy. „Było zimno” – wspomina jeden z nich. „Przyjazd Merkel się opóźnił”. Nagle wśród stojących funkcjonariuszy Federalnego Biura Ochrony zapanowało poruszenie. Nadjechała kolumna czarnych limuzyn. Jednak kanclerskie audi zatrzymało się w niewielkiej odległości od tłumku dziennikarzy. Ci ruszyli z kopyta w stronę limuzyny. W ruch poszły aparaty. Niektórym fotografom udało się ustrzelić przez szybę zdjęcia rozmawiającej przez telefon Merkel. Niemal w tej samej chwili samochód ruszył z piskiem opon i przejechał obok zdezorientowanych dziennikarzy. Nawet czekająca na kanclerz federalna minister oświaty, jej bliska przyjaciółka Annette Schavan, nie знаła przyczyny nagłej zmiany decyzji. Kilka minut później „Bild Zeitung” na swojej stronie internetowej poinformowała: „Merkel odwołała spotkanie z ministrami oświaty”^[1]. Ale dlaczego? By zrozumieć jej reakcję, trzeba się cofnąć do początków 2010 roku.

Alarm w Grecji

Wtedy wczesną wiosną świat obiegają hiobowe wieści. Grecja jest spłukana, rządowi w Atenach brakuje pieniędzy na pokrycie długów, wypłatę płac, rent i emerytur. Kieszonki greckiego podatnika niemiłosiernie drenują raty i odsetki za obligacje rządowe, dużo wyższe niż te płacone w stabilnych Niemczech czy Holandii. Jeśli do wierzycieli dotrą kolejne niepokojące sygnały świadczące o tym, że rządowi w Atenach woda sięga do szyi, ci jeszcze bardziej zawyżą odsetki i Grecja będzie musiała zawiesić spłatę długu. Kraj zbankrutuje. Euro grozi krach. Grecki premier w dramatycznym apelu zawraca się do Unii Europejskiej o pomoc.

Pytające spojrzenia ze wszystkich stron Europy kierują się w stronę Niemiec. Od najsilniejszego państwa eurolandu oczekuje się solidarnego wsparcia dla dogorywającego bankruta. Gra idzie o najwyższą stawkę. Transfer niemieckich miliardów do niewypłacalnej

Hellady wydaje się o tyle uzasadniony, że zagrożone są także 43 miliardy euro, jakie niemieckie banki utopiły w greckich papierach wartościowych, kredytach czy pożyczkach. Ale Merkel i jej sztab rozumują inaczej. Dla największego eksportera i płatnika netto w euroklubie, zrzeszającym państwa, które wprowadziły u siebie euro, jego stabilność i wiarygodność są najważniejsze. Nowe pożyczki tylko doraźnie uspokoją sytuację, długofalowo nakręcą spiralę zadłużenia. Nim więc niemieckimi pieniędzmi wyciągnie się Grecję z finansowego dołka, trzeba jej najpierw zaaplikować kurację odchudzającą, by kraj zarzucił praktyki drenujące budżet. Ot, choćby takie, jak na wyspie Zakynthos, na której liczba pobierających zasiłek dla niewidomych aż dziewięciokrotnie przewyższa średnią europejską. A wśród beneficjentów tej zapomogi są nawet taksówkarze i myśliwi.

Sama pani kanclerz często opowiada tragicomiczną, choć prawdziwą historię ilustrującą oszustwa Greków. Nigdy nie może jej opowiedzieć do końca, bo już w połowie wybucha niekontrolowanym śmiechem, aż łzy ciekną jej po policzkach. Otóż rząd w Atenach zamówił w kilońskiej stoczni najnowocześniejsze okręty podwodne na świecie, klasy U-214. Ale nie chce za nie zapłacić. Grecy eksperci wojskowi twierdzą, że okręt „Papanikolis” w wodzie przechylił się na bok. I że przecieka mu peryskop. Niemieccy konstruktorzy kilkakrotnie sprawdzili, mierzyli, wypróbowali łódź, poddawali ją jawnym testom głębokiego zanurzenia w Kilonii i tajnym w norweskim Bergen (głębokość zanurzenia owiana jest tajemnicą). Nic nieprawidłowego nie odkryli. Przechylił łodzi są w stanie stwierdzić tylko mocno zadłużeni Grecy.

Grecja zapewne najbardziej potrzebuje zmiany kulturowej. Bo o ile państwo jedną nogą, choć w sposób kaleki, tkwi we współczesnej Europie, to drugą wciąż zanurzone jest w osmańskiej epoce średniowiecza. Administracja państwowa jest podobna do tej, jaka istniała przed 200 laty. Pojęcie społeczeństwa obywatelskiego nie istnieje. Wszystkie wielkie prądy umysłowe, kluczowe w kształtowaniu nowożytnej Europy: renesans, oświecenie czy industrializacja, Grecję ominęły dużym łukiem. Tym bardziej Merkel obstaje przy swojej recepcie: trzeba oszczędzać, oszczędzać i jeszcze raz oszczędzać. „Wystarczy zapytać prostą gospodynię domową ze Szwabii, która przestrzeże, że nie można żyć ponad stan”^[2] – filozofuje pani kanclerz. Bogata Szwabia cieszy się w Niemczech reputacją wyjątkowej sknery, jak w Europie Szkot, a w Polsce krakowski centuś. Merkel proponuje Grecji twardy program naprawczy w zamian za strumień pieniędzy. Ale czy uda jej się przeforsować plan?

Pani kanclerz od początku stoi przed dylematem. Musi ratować euro, a jednocześnie chronić niemieckie pieniądze, emerytury i świadczenia socjalne. Zadanie piekielnie trudne. Takiego chaosu zjednoczona Europa jeszcze nie przeżywała. Skutecznego remedium nie oferują nawet najlepsze podręczniki ekonomii. Wyzwanie staje się trudniejsze w obliczu karuzeli wyborów kręcącej się stale w szesnastu niemieckich landach. Transfer niemieckich pieniędzy na południe Europy nie ucieszy wyborców. A Merkel z chadecją musi i wygrywać kolejne wybory do parlamentów krajowych, i szybko interweniować w Grecji. Tymczasem ona zwleka. Podobnie jak w 2008 roku, gdy po plajcie banku Lehman Brothers kryzys finansowy rozlał się na cały świat. Merkel była wtedy zupełnie sparaliżowana, niczym rybka akwariowa wrzucona do morza. Nie pojmowała związków przyczynowo-skutkowych, które odpowiadały za przewracające się klocki kryzysowego domina.

W kryzysie euro zainicjowanym przez greckiego bankruta Merkel chce najpierw rozpoznać sytuację, wysondować zamierzenia wszystkich graczy biorących udział w rozgrywce. Jej

strategię zdradza ekonomista Otmar Issing, niemiecki członek w zarządzie Europejskiego Banku Centralnego (EBC): „Każde euro, które wtedy trafiłoby do Grecji, zostałoby natychmiast przejedzone. Kraj utwierdziłby się tylko w przekonaniu, że jego sytuacja jest wynikiem niekwestionowanych spekulacji rynków finansowych, w żadnym wypadku rezultatem własnych poczynań. Grecy weszli do klubu euro tylnymi drzwiami. Na potęgę fałszowali statystyki”^[3]. Do Urzędu Kanclerskiego docierają też informacje, że grecki rząd za żadną cenę nie wpuści do siebie „facetów w czerni”, czyli kontrolerów Europejskiego Banku Centralnego, Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW) i Unii Europejskiej, którzy z lupą w ręku sprawdzaliby, co się dzieje z pożyczonymi pieniędzmi. Jednak Merkel zdaje sobie sprawę, że Grecja runie w przepaść, jeśli z Berlina i Brukseli nie popłynie strumień pieniędzy. W Atenach już tysiące ludzi wychodzi na ulice. A to jeszcze nie wszystko. Sztab Merkel wie, że odmowa Berlina postawi rynki finansowe w stan alarmu, co jeszcze bardziej osłabi kondycję Grecji. Sytuacja przypomina kwadraturę koła. Ale Merkel pozostaje nieugięta. Gra na czas. Grecja nie uzyska szybkiej pomocy. Zło trzeba wyrwać z korzeniami. Najpierw Ateny muszą zacisnąć pasa, dokonać cięć wydatków publicznych, drakońskiej redukcji długu i reformy rynku pracy oraz zwiększyć konkurencyjność własnych produktów. Bo Hellenowie nie mogą sprzedać nawet swoich oliwek.

Czy jednak narzucenie Grecji niezwykle surowego pakietu oszczędnościowego nie było rezultatem zawiązania się „spisku niemiecko-greckiego”? Asumpt do takich podejrzeń dały na początku 2013 roku kursujące w Atenach pogłoski oskarżające dyrektora greckiego urzędu statystycznego (ELSTAT) Andreasa Jeorju o sfałszowanie danych. W listopadzie 2010 roku, zaraz po objęciu przez Jeorju greckiego urzędu statystycznego, miano czterokrotnie zawyżyć deficyt budżetowy kraju za ubiegły rok, z 3,9 procent na 15 procent PKB, co jednoznacznie wskazywało na pogłębienie się kryzysu. Pozwalało to Grecji zwrócić się do Unii Europejskiej z prośbą o przyznanie pakietu ratunkowego, a z drugiej strony usprawiedliwić drastyczne środki oszczędnościowe narzucone przez Merkel, będące warunkiem przyznania pomocy. Sensacyjne informacje pochodziły z wiarygodnego źródła. Była nim profesor ekonometrii Zoe Jeorjanta, członek zarządu ELSTAT, którą zwolniono w 2011 roku^[4].

Niezależnie od tego, czy doszło do spisku, logika i strategia Merkel stają się w pełni zrozumiałe dopiero w kontekście sytuacji wewnętrznej Niemiec. Późną wiosną 2010 roku przewidziane są wybory do parlamentu krajowego w Nadrenii Północnej-Westfalii (NRW). Głosowanie w osiemnastomilionowym landzie to próba nastroszenia w całym kraju. U progu kampanii wyborczej rządząca w NRW chadecja i opozycyjna SPD idą w notowaniach łeb w łeb. Merkel wie, że akcje solidarnościowe nie cieszą się u niemieckiego podatnika popularnością. Z tą myślą w tyle głowy rzuca się w wir walki wyborczej. Liczy na to, że zwycięstwo CDU w tym landzie wzmocni pozycję jej rządu. Dlatego wciela się w nieugiętego obrońcę reguł obowiązujących w strefie euro. Ale co to oznacza? Pozostawienie Grecji na pastwę losu? Brak natychmiastowej dla niej pomocy? Podczas gdy w Niemczech taka postawa podnosi kanclerz słupki procentowe, w Unii Europejskiej, skłonnej do udzielenia pomocy Grecji, powoduje jej osamotnienie. Wkrótce staje się jasne, że, chcąc nie chcąc, Madame Nein, jak brzmi jej nowy przydomek wśród szefów państw eurolandu, musi przystać na międzynarodowy pakiet ratunkowy dla bankruta z Południa. Tyle że za kulisami. Oficjalnie kanclerz niezmiennie dmie w ten sam róg: najpierw kuracja odchudzająca, potem pomoc. Takie dictum zdaje się rozjaśniać twarz niemieckiego podatnika. Na dwa miesiące przed

wyborami w NRW, 18 marca 2010 roku, Merkel zamienia mównicę w Bundestagu w trybunę wyborczą. I wygarnia Grekom prosto z mostu: „Swoją sytuację zawdzięczają oni nie tyle spekulacjom rekinów finansowych, ile własnym, nieodpowiedzialnym rządowi”. W oczekiwanim z wielkim napięciem przemówieniu w parlamencie pani kanclerz, kokietując wyborców, posuwa się nawet do ryzykownej groźby: „W przyszłości trzeba będzie zawiązać taki pakt, który w ostateczności jako ultima ratio umożliwi wykluczenie z eurostrefy kraju, który stale narusza ustanowione reguły”^[5]. Tak jeszcze nie przemawiał żaden kanclerz. Groźba wyrzucenia Grecji z eurolandu wywołuje w Brukseli szok, na rynkach finansowych popłoch, a niemal połowę krajów strefy euro, które podobnie jak Grecja borykają się z dużym deficytem budżetowym i zadłużeniem publicznym, stawia na baczność. Wśród nich są Włochy, Hiszpania, Portugalia, Cypr, a nawet Francja i Belgia. Na horyzoncie pojawia się widmo reakcji łańcuchowej. Bo pożar w Grecji roznieca ogniska zapalne w innych zadłużonych krajach strefy euro. W obawie, że precedens wykluczenia Grecji może zamienić się w stałą praktykę, rynki finansowe reagują gwałtownym spadkiem zaufania do obligacji rządowych zadłużonych członków eurolandu. To nic innego jak bieg wsteczny dla wspólnej waluty. Nagle euro zawisa nad brzegiem przepaści. Przerazone unijne rządy skrzętnie ukrywają dramatyczną sytuację przed własnymi społeczeństwami. Nie tylko w Niemczech. Ale takiego biegu wydarzeń w Urzędzie Kanclerskim nie przewidziano. Przemówienie Merkel okazuje się dla euro strzałem w stopę.

Tapnięcia na rynkach finansowych zbiegają się dla pani kanclerz z drugim dotkliwym wydarzeniem – upokarzającą porażką jej partii w wyborach w NRW 9 maja 2010 roku. CDU musi tam oddać rządy w najludniejszym kraju związkowym. Dla Merkel smak porażki jest gorzki. Doznaje jej w konfrontacji z Hannelore Kraft, liderką socjaldemokratów. Kraft zostaje powszechnie okrzyknięta „czerwoną Merkel”. Pani kanclerz ma świadomość, że mieszkańcy NRW w wyborach zdecydowanie opowiedzieli się przeciwko wydawaniu ciężko zapracowanych pieniędzy na ratowanie greckich utracjuszy. Tymczasem tej samej nocy w Brukseli na światło dzienne wychodzi uzgodniony wcześniej za kulisami bezprecedensowy pakiet ratunkowy dla Grecji. Odsuwa on widmo jej bankructwa. Kredyty pomocowe opiewają na 110 miliardów euro. To zrzutka szesnastu krajów strefy euro i MFW. By osłodzić gorzką pigułkę swoim wyborcom, Merkel wychodzi poza euroklub i skarbonkę podstawia też MFW. Niemcy wnoszą „wiano” w wysokości 22 miliardów euro. Pakiet ogłoszono niemal w ostatniej chwili, bo raport greckiego premiera wygłoszony na szczycie tuż po wspólnej kolacji przywódców państw Unii Europejskiej nie różni się zbytnio od „Piekle” z „Boskiej komedii” Dantego. W zamian za strumień świeżych pieniędzy rząd w Atenach zobowiązuje się do przeprowadzenia drakońskich cięć świadczeń socjalnych. Ich cel: zmniejszenie deficytu budżetowego z horrendalnych 10,5 procent do nieprawdopodobnych 3 procent w 2014 roku. Ponadto kredytodawca, osławiona Trojka (Komisja Europejska, EBC i MFW), uzyskuje całkowity wgląd w buchalterię rządu w Atenach. Tak rodzi się recepta dla Europy à la Merkel.

Merkel z gaśnicą

Kwestia Grecji to tylko część dramatu euro. Groźba upadku wspólnej waluty mobilizuje unijny szczyt do wzniesienia „zapory ogniowej”. Tak nazywa się fundusz ratunkowy dla zadłużonych członków Unii Europejskiej z astronomicznym kapitałem wyjściowym 750

miliardów euro. Merkel znów podstawia skarbonkę. Euroland wrzuca tam 440 miliardów, MFW 250 miliardów, Komisja Europejska 60 miliardów^[6]. Wkład Niemiec wynosi 190 miliardów euro. „Wspólną walutę będziemy ratować za wszelką cenę” – oświadcza komisarz do spraw waluty Unii Europejskiej^[7]. Niecałe sześć tygodni po przemówieniu Merkel w Bundestagu.

Po wyborach w NRW Merkel wciela się w rolę zbawicielki waluty euro i Grecji. Dzień po porażce wyborczej i tuż po powrocie z unijnego szczytu oświadcza: „Pakiet ratunkowy służy wzmocnieniu i ochronie naszej waluty. Jest absolutnym wyjątkiem w historii euro i Unii Europejskiej”^[8]. Czy to za późno na takie wyznanie? W Berlinie i w innych unijnych stolicach z niecierpliwością wyczekuje się reakcji rynków finansowych. Czy pakiet uspokoi nastroje inwestorów, zakończy zawirowania na giełdach? Przeciwnie: zamiast nabrać zaufania do strefy euro, inwestorzy uciekają jak spłoszone konie. W maju 2010 roku nie ma chętnych na kupno greckich obligacji. Wszyscy chcą się ich pozbyć na pniu.

Rośnie presja światowych rynków finansowych na Europejczyków. Najbardziej naciskają USA. Ich płynność finansowa i przepływ tamtejszego kapitału w dużym stopniu zależy od stabilności w Europie. Zawirowania na Starym Kontynencie windują cenę dolara, na czym najmniej zależy gospodarce amerykańskiej. Tamtejszy rynek natarcywie domaga się, by EBC dodrukował euro. Taka kroplówka finansowa dla dłużników w eurolandzie nie wymaga, jak chce tego Merkel, zaciśnięcia przez nich pasa i ostrych cięć w wydatkach budżetowych. Ale nie będzie kołem zamachowym dla ledwo dyszących gospodarek zadłużonych krajów. To nie lekarstwo na raka zadłużenia, lecz chwilowa narkoza. Dlatego Merkel broni się przed dodrukiem pieniędzy i masowym skupowaniem obligacji zadłużonych państw przez EBC. Kurczowo trzyma się statutów banku centralnego i unijnych traktatów. Ale oporów nie ma prezes EBC Jean-Claude Trichet. Nie trapi go widmo inflacji w strefie euro czy groźba rozpasania dłużników. Już w maju 2010 roku zaczyna skupować obligacje zagrożonych krajów. Merkel mogłaby tę praktykę zaskarżyć. Ale na tak radykalny krok się nie zdecyduje. Zresztą po roku akcję ratunkową EBC, pompującego pusty pieniądz w krwiobiegu strefy euro, weryfikuje samo życie. Rynki finansowe tylko wtedy pozytywnie reagują, gdy EBC skupuje obligacje. Z chwilą zaprzestania skupu kursy indeksów na giełdach natychmiast spadają, a rentowność obligacji najbardziej zadłużonych państw rośnie. Merkel ma w zanadru inną receptę: proponuje powiększenie „zapory ogniowej” strefy euro. By w razie potrzeby przyjąć z pomocą zagrożonym kolosom: Hiszpanii i Włochom, kapitał ma sięgnąć astronomicznego biliona euro. Ponadto kanclerz Niemiec chce pakietu stabilizacyjnego. O jego przyjęciu jak zwykle ma zadecydować kolejny unijny szczyt – pod koniec października 2011 roku.

W przeddzień szczytu, w ciągu jednej nocy, Ministerstwo Finansów w Berlinie przygotowuje koncepcję pakietu stabilizacyjnego. Przewiduje on dofinansowanie banków oraz wymuszenie na członkach eurolandu utrzymania w ryzach swoich finansów, łącznie z sankcją karania tych, którzy żyją ponad stan. Projekt trafia do rąk każdego posła przesyłką kurierską rankiem następnego dnia. Bundestag musi go przepchnąć na posiedzeniu w ekspresowym tempie. Posłowie czują się tak, jakby przystawiono im nóż do gardła. O niechętnych nastrojach w parlamencie tuż przed rozpoczęciem posiedzenia informuje Merkel jeden z zaufanych posłów. Kanclerz natychmiast wykonuje serię telefonów do reszty „zaufanych” parlamentarzystów. W trybie natychmiastowym odbywa rozmowy z szefami frakcji parlamentarnych. I zastanawia się, czy nie przesunąć nawet unijnego szczytu. Tego dnia, 20

października 2011 roku, sytuacja staje się krytyczna. Cała Europa kieruje wzrok na Merkel. Obawy przed dominacją Niemiec są co prawda duże, ale nadzieje na ratunek dla kontynentu jeszcze większe. Tymczasem program dnia pani kanclerz przewiduje rutynowe spotkanie z ministrami oświaty krajów związkowych. Jej myśli cały czas krążą wokół paktu stabilizacyjnego, kotwicy ratunkowej dla zagrożonej strefy euro. Gdy kanclerska limuzyna zatrzymuje się na miejscu obrad ministrów, Merkel chwyta za telefon. Po drugiej stronie – prezydent Francji Nicolas Sarkozy. Stojący na ulicy dziennikarze są przekonani, że musiało wydarzyć się coś nadzwyczajnego, skoro nawet stojąca obok nich minister Annette Schavan nie zna przyczyny nagłej zmiany programu swojej szefowej. Rzeczywiście. Podczas godzinnego kluczenia po Berlinie Merkel podejmuje decyzję: szczyt w Brukseli zostanie przesunięty. Wieczorem kanclerz na kilka godzin zjawia się w unijnej stolicy. Tego dnia zdaje się wykraczać poza fizyczne możliwości kobiety. Taka jest cena walki z kryzysem euro.

Tydzień później w Brukseli zbiera się unijny szczyt. Przed rozpoczęciem obrad swojemu rozmówcy telefonicznemu sprzed kilku dni Merkel wręcza pluszowego misia. To prezent dla urodzonej przed tygodniem Giulii, pierwszej wspólnej córki prezydenckiej pary, Sarkozy’ego i Carli Bruni. Francuski prezydent ledwo wziął pluszaka do ręki, natychmiast wykręca numer do żony, po czym telefon komórkowy podaje pani kanclerz. Bezdzienna Merkel gratuluje francuskiej First Lady urodzenia drugiego dziecka. Życzenia dla żony i le bébé są od Merkel minimalną rekompensatą za dotkliwy brak ojca i męża w domu w pierwszym tygodniu po narodzinach córeczki. Zamiast stać przy kołysce, papa Sarkozy u boku kanclerz łamie sobie głowę, jak ratować dłużników i ocalić euro. Francuzi z przekąsem przyjmują przyjacielski gest Merkel. „Niemcy górują nad nami, bo są silniejsi gospodarczo”, „Merkel podarowała pluszaka dziecku prezydenta, ale jemu samemu nie sprezentowała nic” – zżymają się media nad Sekwaną^[9]. To niesprawiedliwa ocena. Kanclerz stara się godzić interesy unijnych członków. Na ile to możliwe. Bo trudne to w obliczu istniejących napięć. Ale tak właśnie poskromiła Sarkozy’ego, który w kryzysie euro pierwotnie stawiał na EBC, sojusz z Hiszpanią i kolejne pożyczki. Nie na oszczędzanie. By lepiej zrozumieć Francuza, którego nieustanna gestykulacja, przebieranie nogami i zagadywanie doprowadzały Merkel do szału, studiowała filmy z Louisem de Funèsem. Sarkozy wyznał kiedyś: „Są trzy kobiety w moim życiu, Carla, Giulia i Angela”^[10]. W dobie kryzysu mówią tym samym językiem, a niekiedy porozumiewają się bez słów, kanclerz i prezydent w poczuciu wspólnoty losów stopili się w duet, na który ukuto akronim: Merkozy.

Po gratulacjach i uściskaniu szczęśliwego ojca na brukselskim szczyście kanclerz w toku obrad przedstawia jeszcze jedną propozycję, którą już wcześniej uzgodniła z Sarkozy’em – redukcję długu Grecji. Rząd w Atenach nie jest w stanie spłacać gigantycznego zadłużenia kraju, choć tnie płace i świadczenia socjalne. Związki zawodowe wyprowadzają demonstrantów na ulice. Propozycja Merkel zakłada odciążenie greckiego bankruta i przeniesienie kosztów długu nie na barki banków państwowych (czyli na podatników), tylko na wierzycieli prywatnych. Zgrabne posunięcie, choć ryzykowne. Bo jeśli zdesperowani Hellenowie wychodzą już na ulice, to redukcja ich długu drastycznie obniży zaufanie rynków finansowych do obligacji wszystkich zadłużonych krajów strefy euro. Tymczasem ich rządy są skazane na sprzedaż obligacji – to dla nich niezawodne źródło pieniędzy. By osiągnąć wstępne porozumienie z prywatnymi bankami, Merkel i Sarkozy osobiście włączają się do rozmów. Ich finalizacja następuje na unijnym szczyście. Zgodnie z brukselską tradycją w środku nocy. Najważniejszego negocjatora, Josefa

Ackermanna, prezesa Deutsche Banku, kilka razy budzi telefon z Brukseli. Kością niezgody w negocjacjach jest wysokość strat, jakie gotowy jest ponieść prywatny sektor bankowy. Merkel i Sarkozy nie schodzą poniżej 50 procent. Są twardzi. I osiągają cel – redukcję greckiego długu o 100 miliardów euro. To jeszcze nie wszystko! Merkel kategorycznie domaga się od bankowców, by oczywiste przyłożenie im pistoletu do skroni nie stało się przypadkiem tajemnicą poliszynela. Wymuszona na prywatnych wierzycielach zgoda na 50-procentową redukcję długu na zewnątrz musi sprawiać wrażenie dobrowolnej rezygnacji. W przeciwnym razie potencjalni inwestorzy, chętni na kupno obligacji krajów eurolandu, wystraszą się uprawianą przez polityków Unii gangsterką. W żadnym wypadku kulisy nocnego szczytu nie mogą ujrzyć światła dziennego. W ciągu nocy udaje się Merkel wynegocjować i ten punkt. Kanclerz Niemiec triumfuje. Anuluje połowę długów Grecji. Ale jak zawsze w drugiej ręce trzyma listę swoich warunków: dalsze zaciskanie pasa i kontrola buchalterii kraju przez wszechwładną Trojkę. Grecki premier Jorgos Papandreu, który o 5 nad ranem z zadowoloną miną opuszcza szczyt, po powrocie do Aten staje przed dylematem. Czy jego wyborcy zaakceptują dalsze ostre cięcia wydatków budżetowych? Pod groźbą niemieckich narzędzi tortur?

O tym, jak wielki triumf Merkel odnosi na brukselskim szczycie, świadczy uspokojenie się rynków finansowych. Ceny obligacji krajów eurolandu spadają. Ale idylla nie trwa długo. Cztery dni po zakończeniu szczytu jak grom z jasnego nieba spada hiobowa wiadomość. Premier Papandreu zapowiada referendum w Grecji nad dwoma pakietami: ratunkowym Unii Europejskiej i swoim własnym, dotyczącym wewnętrznych reform. Tymczasem w lipcu 2011 roku kraje eurolandu zrobiły zrzutkę i zawiązały drugi pakiet ratunkowy – 130 miliardów euro, przy wkładzie Niemiec 21,7 miliarda euro. Jego cena? Jeszcze ostrzejsza kuracja odchudzająca greckiego pacjenta, który akcję reanimacyjną nazywa dyktatem Berlina. Bo w Grecji przedmiotem sporu i protestów mieszkańców nie jest wprowadzenie winietki na autostradach, tylko brutalnych oszczędności. Dlatego tysiące Greków, którzy nawet mają pracę, strajkuje. „Referendum będzie klarownym sygnałem zarówno w kraju, jak i poza granicami Grecji, w sprawie naszego europejskiego zaangażowania i naszej przynależności do euro” – oświadcza Papandreu w wydanym komunikacie^[11]. Merkel i szefowie rządów grupy euro czytają go w gazetach. Z wypiekami na twarzy. Kanclerz jest zszokowana. Rynki finansowe wpadają w panikę. Duet Merkozy natychmiast wzywa greckiego premiera na dywanik.

Dywanik rozkłada na Lazurowym Wybrzeżu w Cannes, mekce gwiazd, dokąd Sarkozy zaprosił na szczyt G20. To rozszerzony klub najsilniejszych gospodarczo państw świata. Oprócz potęg, jak USA, Chiny czy Niemcy, w klubie zasiadają kolosy na glinianych nogach, jak choćby Rosja. No i ekonomiczni aspiranci, wyrrywający się do światowego przywództwa: Brazylia, Argentyna, Indie. Honory gospodarza szczytu pełni hiperaktywny Sarkozy, któremu prezydent Barack Obama wreszcie może osobiście pogratulować córki. Obama wie, co mówi – sam jest szczęśliwym ojcem dwóch nastolatek. Prezydent USA nie może się jednak powstrzymać od kąśliwej uwagi: „Mam nadzieję, że urodę Giulia odziedziczy po mamie, nie tacie”^[12].

Uszczepliwość ze strony kolegi zza oceanu Sarkozy, dotychczasowy ojciec trzech synów, odbija sobie do spółki z przyjaciółką Angelą. Tandem Merkozy na tle malowniczych morskich fal Lazurowego Wybrzeża przykładają pistolet do skroni tym razem nie bankierom, lecz greckiemu szefowi rządu. Jeśli Grecja w referendum odrzuci twardego program naprawczy, nie dojdzie do przekazania kolejnej transzy. Ba, Grecja zostanie wyrzucona ze strefy euro, a nawet

z Unii Europejskiej. Przez aklamację. Papandreu na tle szmaragdowego morza w Cannes robi się biały jak kreda. Ale w Berlinie, Paryżu i Brukseli unosi się widmo apokalipsy. Całkiem realne „nie” w referendum Greków najprawdopodobniej pociągnie za sobą wyjście bankruta z Unii. W jego ślady pójda niechybnie inni dłużnicy z Południa: Portugalia, Hiszpania i Włochy. Unia walutowa runie. Europa pogrąży się w recesji i inflacji. Na szczęście nie trzeba snuć takich scenariuszy; niemiecko-francuski straszak działa na premiera Papandreu: Grecja wycofuje się z pomysłu referendum. Tandem Merkozy bierze głęboki oddech.

Francuski prezydent jest do wiosny 2012 roku największym sojusznikiem niemieckiej kanclerz w ratowaniu unijnej waluty. Obydwoje są rodzicami chrestnymi funduszu ratunkowego i paktu fiskalnego – dwóch mechanizmów, które strefę euro mają wydobyć z finansowego dołka. Pierwszy z nich rozszerza zasoby ratunkowe dla eurolandu do sumy 750 miliardów euro. Z tej góry pieniędzy mogą doraźnie skorzystać zadłużone państwa, gdy napotkają trudności z dostępem do pożyczek na rynkach finansowych. Drugi mechanizm wprowadza „złotą regułę”, z obowiązkiem wpisania jej do konstytucji. Ustala ona maksymalny limit rocznego deficytu budżetowego (różnicę między dochodami a wydatkami państwa na przestrzeni jednego roku) na 0,5 procent dochodu narodowego (PKB), a długu publicznego (całościowego zadłużenia kraju) na 60 procent PKB. Przekroczenie tych limitów oznacza dla finansowego grzesznika poddanie się sankcjom. Pakt fiskalny to rodzaj bata, który ma zdyscyplinować krajowe budżety państw eurogrupy. Merkel, jako szefowa kraju ponoszącego największe koszty ratowania państw pogrążonych w kryzysie zadłużenia, o obydwu mechanizmy zabiegała najbardziej. Oczywiście z pomocą wiernego Sarkozy’ego. Dlatego oddanego sojusznika pani kanclerz postanawia publicznie wesprzeć, kiedy ten na początku 2012 roku w walce o reelekcję rozpoczyna kampanię wyborczą.

Obydwoje decydują się na wspólny występ w telewizji, francuskiej i niemieckiej. Merkel popełnia jednak błąd, za który słono zapłaci. Przecenia swoją popularność nad Sekwaną. Jej radykalny program oszczędnościowy nie cieszy się wielkim wzięciem u kochających rozkosze życia, głównie za pożyczone pieniądze, Francuzów. Ci jak najbardziej chcą wspólnej Europy, byleby nie ukształtowanej na niemiecką modłę. A przy okazji nie chcą już zakochanego w sobie Sarkozy’ego i jego żony celebrytki. Mają dosyć dylematów i newsów, jakie słyszą już przy śniadaniu, czy na przykład podczas wizyty zagranicznej Carla Bruni założyła stanik, czy paradowała bez niego. Także politycznie Sarko jest spalony. Większość wyborców we Francji uważa, że jeśli Sarkozy wygrał z hasłem zerwania ze „starym”, to przez pięć lat urzędowania pogubił się w wyjaśnianiu, na czym polega „nowe”. A rozpierająca Francuzów duma narodowa tym bardziej nie pozwala im wybrać prezydenta z łaski Niemiec. Poparcie Merkel dla francuskiego przyjaciela, całującego ją przy każdym spotkaniu na powitanie i pożegnanie dwa razy w policzek, jest tak radykalne, że odmawia ona kurtuazyjnego spotkania z jego konkurentem François Hollande’em. To wielki błąd. Bo pamiętliwy Hollande, który obiecuje Francuzom, że w przeciwieństwie do neurotyka Sarkozy’ego będzie prezydentem normalnym, wybory wygrywa i w maju 2012 roku wprowadza się do wybudowanego ongiś dla królewskiej metresy wszech czasów – Madame Pompadour – Pałacu Elizejskiego. I od razu bierze odwet na przyjaciółce Sarkozy’ego. Zapowiada wprowadzenie euroobligacji. Oznacza to, że kraje strefy euro, zamiast na własną rękę zadłużać się na rynkach finansowych, emitowałyby wspólne papiery dłużne. Dzięki temu kraje Północy, jak Niemcy, Austria, Holandia czy Finlandia, uważane za bezpieczne i cieszące się najwyższą oceną wiarygodności kredytowej i w związku z tym płacące najniższe oprocentowanie za obsługę swego długu, przelałyby swoją

wiarygodność na mniej bezpieczne kraje Południa. „Dopóki żyję, euroobligacji nie będzie” – wymusnęło się Merkel w trakcie jednej z poufnych porad rządowych w Berlinie^[13]. Na co uczestnicy spotkania za zamkniętymi drzwiami spontanicznie śpiewają jej sto lat i ustawiają się w kolejce z gratulacjami. Przeciek, jaki dostaje się do mediów, wcale jej nie martwi. Twarda postawa przynosi jej uznanie u niemieckiego podatnika, który nie chce płacić za rozrzutność Włochów, Hiszpanów czy Greków. Grozi za to kłótnią na najbliższym szczycie unijnym.

W przededniu szczytu dochodzi do precedensu. Prezydent Hollande zrywa z pięćdziesięcioletnią tradycją. Po raz pierwszy głowa francuskiego państwa nie spotyka się z kanclerzem Niemiec w cztery oczy, by omówić wytyczne na brukselskie spotkanie i ustalić wspólną linię postępowania. Mało tego. Zawiera sojusz z włoskim premierem Mario Montim i hiszpańskim Mariano Rajoyem. Cel tajnego układu: bunt przeciwko niemieckiej strategii zaciskania pasa i policyjnej kontroli Niemiec nad narodowymi finansami zadłużonych państw. Tworzy się alians unijnych biedaków przeciwko bogaczom. Przede wszystkim przeciwko pierwszemu strażnikowi unijnego skarbcza: Niemcom. Tymczasem grecki pożar rozlewa się na wszystkie kraje południa Europy. W Hiszpanii z hukiem pęka bańka spekulacyjna. Banki zostają na lodzie bez pieniędzy, gdy ceny domów i mieszkań spadają na łeb na szyję, a ich właściciele nie są w stanie spłacać zaciągniętych gigantycznych kredytów. Zadłużenie Hiszpanów, samorządów miejskich i samych banków jest tak monstrualne, że kraj wyczerpuje swoje zasoby finansowe i żyje na koszt przyszłych pokoleń. To już nie jest Hiszpania, lecz jakiś półdziki „Hiszpanistan”. W czerwcu 2012 roku hiszpański premier bombarduje esemesami swojego ministra finansów, który w Brukseli negocjuje warunki pomocy dla hiszpańskich banków: „Walcz. Jesteśmy czwartą gospodarką eurolandu, nie Ugandą. Jeśli nie przyjmą naszych warunków, to niech od razu przygotowują sobie 500 miliardów euro na ratowanie nie tylko naszych banków, ale i całej Hiszpanii. I kolejne 700 miliardów na pomoc dla Włoch, które zbankrutują zaraz po nas”^[14]. Euroland pęka na pół.

Znokautowana

Nieoczekiwanie podział Europy przenosi się na atmosferę piłkarskiego turnieju rozgrywanego w czerwcu 2012 roku w Polsce i na Ukrainie – Euro 2012. Po raz pierwszy w historii mistrzostw kontynentu mecz reprezentacji Niemiec i Grecji zyskuje polityczną konotację. „To polityczny hit Euro 2012” – orzekają fachowcy od piłki i polityki. Media w obydwu krajach podgrzewają emocje. „Grecy nie potrzebują w piłce nożnej parasola ratunkowego. Klęskę będą mieć za darmo” – huczy niemiecka prasa. Greckie gazety kontrują: „Jeszcze przed meczem sędzia napędzi Merkel strachu, gdy przy losowaniu stron boiska podrzuci drachmę do góry”. „Wyzyskiwacze” na oczach siedzącej na trybunie pani kanclerz, w zielonym żakiecie i okularach z minusowymi soczewkami, biją w ćwierćfinale 4:2 „bankrutów” z Hellady^[15]. Po meczu rozpromieniona Merkel, która poprzesuwała terminy spotkań politycznych, byleby tylko zdążyć na mecz do Gdańska, tak się śpieszy z gratulacjami do szatni, że wpada tam na wychodzących prosto spod prysznica roznegliżowanych piłkarzy. Rozpromieniona ściska im ręce i poklepuje ich atletyczne ciała.

Południe Europy szykuje się do rewanżu – na brukselskim szczycie. Jego atmosferę podgrzewa nieopatrzny cytat Merkel, pomstującej na euroobligacje. Prezydent Francji nadal

czuje do niej urazę. Nie zapomniał zniewagi z kampanii wyborczej. A cała trójka: Hollande, Monti i Rajoy, za plecami niemieckiej kanclerz finalizuje ustalenia mające zapewnić dopływ świeżych pieniędzy z funduszu ratunkowego dla zagrożonych w ich krajach banków. Tyle że bezpośrednio, by nie powiększać ogólnego zadłużenia publicznego krajów. I bynajmniej nie za cenę zaciskania pasa czy poddawania ich krajów „policyjnej kontroli” Trojki, jak chce tego Merkel.

28 czerwca, krótko przed godziną 15.00, szefowie unijnych państw wkraczają na salę konferencyjną na piątym piętrze betonowego kłosa Rady Europejskiej w Brukseli. Merkel pod rękę z premierem Montim, nic nie wiedząc o spisku Południa. Wraz z wybiciem siódmej godziny obrad w odległej o 1,5 tysiąca kilometrów Warszawie wybiegają na stadion w półfinale mistrzostw Europy jedenastki Włoch i Niemiec. Stawka spotkania – awans do finału. Stolica Polski, podobnie jak unijna gospodarka, znajduje się w niemieckich rękach. Tysiące fanów z Berlina, Monachium i Stuttgartu przyjeżdża specjalnymi pociągami i rozlewa się po Warszawie. Niemcy chwają „niemiecką organizację” mistrzostw i polskie piwo. Im więcej go piją, tym pewniej widzą swoją reprezentację triumfatorami mistrzostw. Jak zresztą większość trzeźwych speców od piłki. Stadion Narodowy sprawia wrażenie, jakby znajdował się w Berlinie. Ale faworyzowana the German Machine, dopingowana frenetycznie przez swoich kibiców, ulega Włochom. Podolski, Klose & Co. przegrywają batalię o tytuł mistrza Europy. Dla Merkel to zły omen. Pani kanclerz nie ma czasu nawet na obejrzenie meczu w telewizji. Przewidziana na godzinę 21.00 jej konferencja prasowa zostaje odwołana. Pierwsza fanka RFN samotnie kruszy w Brukseli kopie z aliansem z południa Europy. Po raz pierwszy pozbawiona wsparcia francuskiego sojusznika, który przeszedł na drugą stronę. I po raz pierwszy postawiona pod ścianą kapituluje. Uskrzydłony zwycięstwem swoich piłkarzy Mario Monti szantażem wymusza zgodę na korzystanie przez Włochy, Hiszpanię i Francję z pomocy unijnej bez konieczności bolesnego zaciskania pasa. I kontroli Niemiec. O 5 nad ranem potwornie zmęczona kanclerz opuszcza posiedzenie. Z trudem otwiera oczy. Porażkę ma wypisaną na twarzy. Instynktownie podchodzi do ustawionych w jej stronę mikrofonów. Jej zdaniem niemieckich. Ale ogłuszona porażką myli się. Przemawia do stacji arabskich. Pomyłka wzmaga wizerunkowo wrażenie niemieckiej klęski. Tej nocy Angeli Merkel wymyka się z rąk kontrola i nad samą sobą, i nad Europą. Do Berlina wraca w stanie, jaki się powszechnie nazywa poważnym wzburzeniem. „Niemiecka dominacja nad Europą została złamana” – oświadcza wielki triumfator szczytu Mario Monti, który wzorem piłkarzy wydryblował Niemców. „Merkel samotna w Europie”, „Niemcy opuszczają mostek kapitański”, „Europa zamienia się w Unię Zadłużonych” – biją na alarm niemieckie media^[16]. Nic dziwnego, że 56 procent niemieckich wyborców optuje za wykluczeniem Grecji ze strefy euro, a 70 procent popiera bezkompromisowy wobec niej kurs zaciskania pasa^[17]. W Grecji kończą się zapasy gotówki. Skarbiec w Atenach jest pusty. Ale od maja pod naciskiem Berlina wstrzymane zostały kolejne raty pożyczek z eurolandu. Powód? Grecja zbyt wolno przeprowadza kurację odchudzającą. Jej przykład ma odstraszać innych dłużników i przymusić ich do oszczędzania.

Dwa miesiące później Merkel podejmuje wybranego w czerwcu nowego premiera Grecji. Antonis Samaras w swoją pierwszą wizytę zagraniczną udaje się do Berlina. Nie bacząc na diagnozę lekarzy, którzy zalecili mu rehabilitację i odpoczynek po przeprowadzonej operacji siatkówki oka. Ale Samaras się spieszy, bo z niepokojem oczekuje raportu Trojki. Czy Merkel wyrzuci Grecję, jeśli raport wykaże, że stan Grecji jest taki sam jak jego oka? Że Grecy nie

reformują kraju tak, jak chce tego Merkel, pomimo 50-procentowej redukcji długu i 240 miliardów wpompowanych przez ostatnie dwa lata kryzysu do jej finansowego krwioobiegu? Dlatego sztab Merkel nie przebiera w słowach. Na krótko przed wizytą Samarasa trąbi o wykluczeniu Grecji ze strefy euro. Grexit jest na ustach wszystkich. „Taki scenariusz już nas nie straszy” – peroruje buńczucznie wicekanclerz Philipp Rösler. A trzeci po Merkel człowiek w chadecji, szef frakcji parlamentarnej w Bundestagu Volker Kauder, zapewnia: „Poradzimy sobie z tym faktem”^[18]. Pani kanclerz nie przyłącza się do chóru krytyków. Milczy. Może znów utraciła kontrolę? Tym razem nie. Jej otoczenie krytykuje Grecję z jej przyzwoleniem. Ona sama wciela się w anioła dobroci. I tą dwutorową, wyrafinowaną strategią wywiera jeszcze większy nacisk na Samarasa, zostawiając jednocześnie dla siebie wszędzie otwarte drzwi. Udaje jej się wpłynąć na greckiego premiera, uchodzącego wcześniej za twardego przeciwnika reform. Jeszcze jako szef opozycji Samarasa pomstował na programy oszczędnościowe, głosując w parlamencie przeciwko pakietom pomocowym z Unii. Jego wizyta pod koniec sierpnia 2012 roku w Berlinie jest jak powrót syna marnotrawnego. Grecki premier solennie zapewnia w deszczowym Berlinie, że pod słońcem Hellady Merkel nie znajdzie innego polityka, który przekonałby Greków do wytrwania na ścieżce bolesnych reform. Gwarantuje też osobiście, że dotrzyma obietnicy i obniży deficyt budżetowy z 9 procent PKB w 2011 roku do 3 procent w 2014 roku. Niepewność, jak zareaguje kanclerz, powoduje, że Samarasowi drżą ręce, gdy odczytuje z kartki przemówienie. Dzień wcześniej, by jeszcze bardziej przymilić się Niemcom, w wywiadzie dla największej bulwarówki nad Renem długo rozwodził się nad berlińskim okresem studiów swojego ojca. Tatuś tak bardzo polubił to miasto, że ochrzcił się w wodach Sprewy, opowiada dziennikarzom. Merkel przyjmuje skruszonego grzesznika. Pokorny Samarasa wtedy jeszcze nie zna prawdziwej wielkoduszności gospodarza spotkania. Eksperci z Urzędu Kanclerskiego z ołówkiem w ręku wyliczyli koszty opuszczenia eurolandu przez Grecję. Kalkulacja jest tak mroczna, że zapiera dech w piersi. Już w pierwszym roku niemiecki PKB spadnie o 10 procent, armia bezrobotnych wzrośnie o pięć milionów, zbankrutują firmy, raptownie zmaleją wpływy z podatków. Koszty dla Niemiec mogą się nie zamknąć sumą 500 miliardów euro.

Merkel nie ma już wątpliwości: albo uratuje Europę, albo wypije ostatni kieliszek szampana na tonącym „Titanicu”. Greckiego bankruta trzeba ratować, bo jest to dla Niemiec tańsze. I stanowi mniejsze ryzyko przed wyborami do Bundestagu jesienią 2013 roku. „Grecja pozostanie częścią strefy euro” – zapewnia Merkel na zakończenie wizyty Samarasa. Rzecz jasna, za cenę dalszego zaciskania pasa. „Dziękuję bardzo”^[19] – rewanżuje się gość, który z poczuciem ulgi wraca do kraju. Żegnając go, kanclerz wie już na pewno, że ewentualny upadek euro będzie jej własnym upadkiem. Nie może do tego dopuścić.

Merkel długo się wahała – dać wiarę teorii domina czy balastu, jak sama nazywała wykluczające się opcje. Pierwsza z nich zakładała, że bankructwo Grecji nieuchronnie pociągnie w otchłań pozostałe zadłużone kraje. Druga opcja sugerowała, że Europa musi się pozbyć greckiego wrzodu, by wyzdrowieć. Raport sporządzony przez Urząd Kanclerski przekonał ją do pierwszego scenariusza. Możliwe także, że to chińscy finansyści uświadomili jej, że po wyrzuceniu Grecji inwestorzy z Azji stracą zaufanie do eurostrefy i przestaną kupować obligacje europejskich krajów.

Tymczasem rynki finansowe dalej są niespokojne, sytuacja waluty euro niepewna. Na kryzys zadłużenia nakłada się drugi, sektora bankowego. Głównie w Hiszpanii. Podczas gdy

gospodarka Niemiec kwitnie, większość krajów Unii Europejskiej wchodzi w recesję. Towarzyszą temu nieodłączne demony: bezrobocie i napięcie społecznych. Po dwóch latach trwania kryzysu burza finansowa nad basenem Morza Śródziemnego, w Hiszpanii, we Włoszech, w Portugalii, Grecji i na Cyprze oraz na północy, w Irlandii, trwa w najlepszej. Państwa te nie znajdują nabywców na swoje obligacje. Co to oznacza? Otóż każdy kraj wydaje więcej, niż wynoszą jego wpływy do budżetu. Różnicę uzupełnia, pożyczając pieniądze na rynkach finansowych. Sprzedaje swoje obligacje, zobowiązując się do późniejszego ich wykupu. Rzecz jasna z odsetkami. Ich wysokość zależy od kondycji finansowej państwa. Stabilne Niemcy wykupują swoje obligacje przy minimalnym oprocentowaniu 1,5 procent. Ale im większe ryzyko ponoszą pożyczkodawcy, tym stopy procentowe są wyższe. Powszechnie uważa się, że oprocentowanie powyżej 7 procent jest dla państwa zabójcze. Tymczasem w lecie 2012 roku do tej horrendalnej wysokości zbliżył się kurs obligacji Hiszpanii i Włoch (6,8 procent). W efekcie krajom południa Europy nikt nie chce pożyczać pieniędzy. Czyżby więc strategia Merkel radykalnych cięć, odchudzania i kontroli budżetu była chybiona? Czyżby zabijała wzrost gospodarczy? A może jej polityka jest zbyt długofalowa dla neurotycznych rynków?

Przyczyna w istocie jest prosta. Stworzone pod egidą Merkel fundusze ratunkowe nie mogą uspokoić rynków, bo nie mają pieniędzy. Deklarowana zdolność pożyczkowa w wysokości jednego biliona euro figuruje jedynie na papierze. W rzeczywistości jest ona zbyt niska, by w razie potrzeby udzielić pełnego pakietu pomocowego gigantycznym gospodarkom Hiszpanii czy Włoch. EBC musi koniecznie zwabić inwestorów międzynarodowych. Ci jednak muszą najpierw zaufać strefie euro. Bo największe firmy finansowe spekulują na rozpad eurolandu i grają na ucieczkę euro z Europy do krajów Azji i Ameryki. Powrót do walut narodowych, czyli to, co uchodziło do tej pory za niemożliwe, staje się realny. Niemieckie firmy już przygotowują się na to, że ich partnerzy w Madrycie i Barcelonie niedługo będą płacić w pesetach. We Włoszech notoryczny szaleniec, a chwilowo ekspremier Berlusconi w wyścigu o fotel premiera startuje z hasłem powrotu do lira. Renacjonalizacja waluty to tornado dla światowych finansów, katastrofa dla krajów Unii Europejskiej. Ich rządy albo będą musiały podnieść podatki, albo pogodzić się z inflacją. Jedno i drugie katastrofalne dla podatnika i woda na młyn dla politycznych szarlatanów żerujących na nastrojach społecznych. Euro zatacza się nad przepaścią. Potężny EBC, dysponujący nieograniczonymi środkami finansowymi, podejmuje decyzję: trzeba przywrócić zaufanie rynków do strefy euro. Ale w inny sposób, niż chce tego Merkel.

Na 6 września 2012 roku prezes EBC Mario Draghi zapowiada konferencję prasową. Do wieżowca Eurotower, 150-metrowej, przeszklonej siedziby EBC we Frankfurcie nad Menem, zjeżdżają europejscy politycy, ekonomiści z całego świata, tłumy dziennikarzy. Wyczuwa się atmosferę napięcia. Dwadzieścia minut przed rozpoczęciem konferencji włączają się syreny alarmowe. Stają windy, wejście do wieży blokuje policja. Pod piętnasty pod względem wysokości drapacz chmur w Niemczech przyjeżdżają na sygnale oddziały straży pożarnej. Zamach? Sabotaż? Skrupulatna kontrola wykazuje szybko, że w kuchni jeden z pracowników przez przypadek nacisnął guzik alarmowy. O 14.30 przed kamery wychodzi pierwszy bankier eurolandu. „Zrobię wszystko, by uratować euro” – oświadcza w sali konferencyjnej na trzydziestym piątym piętrze Eurotower. To „wszystko” oznacza skupowanie obligacji zagrożonych krajów strefy euro. Bez żadnych ograniczeń. Ale skąd EBC weźmie pieniądze? A dokładnie nieograniczoną ich ilość? Znikąd. Nawet nie musi drukować. Pojawia

się w formie elektronicznej na kontach EBC. Po czym zostaną przelane na konta dłużników. Kalkulacja Włocha jest następująca: kupując obligacje na wtórnych rynkach finansowych, czyli tam, gdzie odbywają się transakcje kupna-sprzedaży, zwiększa na nie popyt i automatycznie obniża ich oprocentowanie, uspokajając rynki. Zadłużone rządy odetchną, taniej pożyczą pieniądze, ryzyko ich bankructwa się zmniejszy. Zakup jest obwarowany dwoma ograniczeniami. Po pierwsze, do dokonywania transakcji tylko na rynku wtórnym (od posiadaczy, którzy sami wcześniej nabyli obligacje), a nie pierwotnym (od wypuszczających obligacje rządów). I dotyczy obligacji tych krajów, które zdecydują się wprowadzić u siebie „rygorystyczne” i „efektywne” reformy^[20]. Oznacza to w praktyce kontrolę EBC nad suwerennymi krajami. W ten sposób przekształca się on jakby w unijny rząd zastępczy. EBC w ogóle cieszy się największą niezależnością na świecie, przynajmniej w teorii. W przeciwieństwie do każdego narodowego banku centralnego EBC nie musi obawiać się wymiany personelu ani drżeć przed zmianami swojego statutu. Te możliwe są tylko wtedy, gdy zażyczy ich sobie jednomyślnie siedemnaście rządów krajów członkowskich Unii Europejskiej, które przyjęły euro. Tyle że jednomyślność zdarza się tak rzadko jak widok ośnieżonych Alp na pustyni.

Propozycja prezesa Draghiego to nic innego jak zwalczanie kryzysu zadłużenia przez zwiększanie długów. Tak postępują banki centralne w USA czy Japonii. Zalewają rynki pieniądzem, umożliwiając firmom zaciąganie kredytów i dalsze zadłużanie się. Teraz 17 tysięcy brukselskich eurokratów i politycy zadłużonych krajów Unii jak jeden mąż widzą w prezesie EBC zbawiciela. Rynki ogarnia euforia. Już na drugi dzień po rewolucyjnym oświadczeniu „Super-Mario” spada oprocentowanie obligacji, na przykład hiszpańskich z 7,6 procent na 5,7 procent. Czy Merkel wiwatuje z radości?

Kanclerz cudotwórcze słowa pierwszego bankiera Europy zastają akurat podczas „inspekcji” Hiszpanii. Jeszcze przed rokiem stanowczo protestowała przeciwko pomysłowi kupowania długów przez EBC jako nakręcającemu inflację bezczelnemu dodrukowi pieniędzy. Teraz zmienia zdanie. Wizja upadku strefy euro spędza jej sen z powiek. Tylko wyciągnięcie Europy z kryzysu finansowego zapewni jej szansę na drugą reelekcję. A dla stabilizacji eurolandu brakuje alternatywy. Jeśli nie EBC, to ona razem z ministrem Schäublelem musiałaby wysupłać miliardy dla Hiszpanii, a pewnie też dla Włoch. A nie dysponuje przecież polityczną większością w Bundestagu, by przepchnąć w nim kolejne pakiety ratunkowe. Jeśli odrzuci receptę Draghiego, czeka ją ostre starcie w parlamencie, mobilizacja opinii publicznej, a możliwe, że rozpad jej koalicyjnego, chadecko-liberalnego rządu CDU-CSU-FDP. Skupowanie obligacji przez EBC jawi się pani kanclerz jako dużo wygodniejsze rozwiązanie. Maszyny drukarskie wypuszczające pieniądze pracują znacznie ciszej niż Bundestag. Zresztą dając do ręki pieniądze tym rozrzutnym Grekom, Hiszpanom czy Włochom, umożliwia im dalsze zakupy mercedesów, volkswagenów i pralek Siemensa. W przeciwnym razie drastycznie spadnie niemiecki eksport, a na własnym podwórku pani kanclerz wzrośnie bezrobocie. Merkel jest skazana na Mario Draghiego i jego program. Ale ma to drugą stronę medalu. Nazywa się inflacja. Zzerająca niemieckie oszczędności inflacja to największy demon, jaki unosi się nad Renem. Do dziś nie zapomniano tam, że to na fali inflacji do władzy doszedł Hitler. Opcja naczelnego strażnika waluty Unii Europejskiej kryje w sobie jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Co się bowiem stanie, jeśli kraj, który otrzyma wsparcie od EBC, przestanie realizować uzgodniony pakiet reform? Czy pomoc zostanie wstrzymana? Czy EBC wynajmie armię,

najędzie na dłużnika i lufą karabinu wymusi na nim dotrzymanie umowy? Wywoła to przecież tak wielką panikę na rynkach, że najpierw dłużnik, a potem cały euroland legną w gruzach. Mario Draghi przerabiał już ten temat. W 2011 roku na prośbę Berlusconiego rozpoczął skup włoskich obligacji. Premier Włoch zobowiązał się do przeprowadzenia drastycznych cięć wydatków. Ledwo jednak spadło oprocentowanie włoskich obligacji, Berlusconi porzucił ścieżkę reform. Rodaka w Rzymie prezes Draghi mógł przycisnąć do muru, jedynie nasyłając na niego swoich własnych ochroniarzy z Eurotower. Do czego ostatecznie nie doszło. Dla Brukseli skup obligacji przez EBC może się więc okazać pułapką. „Draghi & Co. sami przykładają sobie lufę pistoletu do skroni, grożąc, że jeśli państwo przestanie uskutecznić pakiet reform, to oni pociągną za spust” – konkluduje Gary Jenkins z renomowanej brytyjskiej firmy konsultingowej Swordfish Research^[21].

Swoją decyzją Draghi przekracza Rubikon. Zrywa z dotychczasową, dogmatyczną polityką EBC, pozostającą pod silnym wpływem Bundesbanku. Jego credo: jak wcześniej w przypadku marki zachodniemieckiej (DM), tak i teraz za wszelką cenę nie dopuścić do inflacji i spadku siły nabywczej euro. Sam zresztą EBC od początku swego istnienia wzoruje się na niemieckim modelu. Kiedy w gorącej fazie jednoczenia się dwóch niemieckich krajów francuski prezydent François Mitterrand swoją zgodę na zjednoczenie uzależnił od rezygnacji przez kanclerza Kohla z twardej zachodniemieckiej marki, której siła nabywcza w ciągu pół wieku (1948–1999) spadła zaledwie o jedną czwartą, nadeszła godzina euro. Wspólna waluta miała zapobiec dominacji Niemiec. Tyle że DM nie zniknęła. Wcieliła się w euro – walutę twardą, stabilną i niezależną od kaprysów polityków. Nieprzypadkowo EBC ulokował się we Frankfurcie nad Menem, blisko siedziby Bundesbanku. Niemcy z wrażliwością młodej matki chuchali na noworodka. Nie dopuszczali, by fotel pierwszego bankiera Unii dostał się w niepowołane ręce. W 2011 roku na czele z Angelą Merkel zgodzili się na wybór 63-letniego eleganckiego rzymianina z surowym wzrokiem i wąskimi ustami, wprawdzie prezesa Banca d'Italia, ale widzieli w nim bankiera niemieckiego do szpiku kości. Takiego jak oni sami. „To włoski Prusak, z pikielhaubą na głowie!” – wyrokowano nad Renem. To nic, że „jak każdy Włoch nie narzuca płaszcz na garnitur”, by ten się przypadkiem nie pogniótł; ważne, że „podziela poglądy Merkel” i grozi palcem Berlusconiemu. Rzeczywiście Draghi przestrzegł włoskiego premiera: „Musimy podążać za przykładem Niemiec”^[22]. Ale „pruski Włoch” już miesiąc po objęciu stanowiska szefa EBC zaczął wpompowywać do Włoch i Hiszpanii pieniądze, skupując ich obligacje. Swoją cudowną broń nazwał „La Grande Berta” (grubą Bertą). Tak określano w żargonie wojskowym najcięższy moździerz z lat I wojny światowej, przebijający wówczas mury każdego fortu. Swoją nazwą nawiązywał do imienia żony niemieckiego fabrykanta broni Gustava Kruppa. Ale dopiero 6 września Draghi wypalił z „grubej Berty” w ducha niemieckiej marki, która do tej pory dotrwała w postaci euro. Przy czym Merkel sama podała mu pocisk i proch.

Do obrony rzucił się Jens Weidmann, szef Bundesbanku, zasiadający w Radzie Prezesów EBC. „Taka polityka zasadniczych przyczyn zła nie usuwa. Deszcz pieniędzy niczym narkotyk uzależnia i wzmacnia naturalne skłonności do odstąpienia od reform. Na końcu długi państw z południa Europy są pokrywane przez podatnika, najczęściej niemieckiego, który żyruje 27 procent wszystkich długów EBC” – oświadcza. Przez pięć lat (2006–2011) był osobistym doradcą Angeli Merkel. Należał do grona jej zaufanych współpracowników. To on jako ostatni późną nocą zamykał drzwi do Urzędu Kanclerskiego^[23]. Pani kanclerz jeszcze do niedawna

podzielała wątpliwości swojego bankiera. Teraz jednak Weidmann przekonał się, że jego stanowisko jest głosem wołającego na puszczy. Podczas głosowania nad propozycją Dragiego na forum Rady Prezesów EBC oponował przeciw niej jako jedyny spośród dwudziestu trzech członków tego gremium. Sfrustrowany chce podać się do dymisji. Wprawdzie dysponuje w Radzie Prezesów tylko jednym głosem, na równi na przykład z prezesem centralnego banku Malty, jednak reprezentuje najsilniejsze gospodarczo państwo Unii Europejskiej. Dla Merkel na rok przed wyborami do Bundestagu i z szansą na trzecie z rządu kanclerstwo konfrontacja z Weidmannem kryje w sobie duże ryzyko. Według sondaży niemieckiej telewizji publicznej ARD większość rodaków podziela stanowisko szefa Bundesbanku, a tylko co dziesiąty z nich uważa za słuszny zakup obligacji rządowych przez EBC^[24]. Dlatego Merkel, choć opowiada się za modelem à la Draghi, jednocześnie „popiera swojego człowieka w EBC”. Na wieść o rozważanej przez Weidmanna dymisji spotyka się z nim osobiście i „usilnie prosi o pozostanie na stanowisku. I zachowanie przekonań”^[25]. Pani kanclerz znów decyduje się na podwójną grę: opowiada się i za nowym kursem EBC, i za jego prominentnym krytykiem. Jest za, a nawet przeciw. Tyle że makiaweliczną metodę podwójnej gry można stosować przez krótki czas.

Być albo nie być

Akcję ratowania unijnej waluty, strefy euro, a możliwe, że i całej Unii Europejskiej – od czego, jak uważa Merkel, zależy jej polityczna przyszłość – kanclerz Niemiec podejmuje na każdej możliwej flance. Także w zadłużonej po uszy Grecji. Tam jej pryncypialna strategia oszczędzania i policyjnej kontroli ponosi na razie fiasko. Deficyt finansów publicznych krąży w granicach 10 procent, podczas gdy dochód narodowy skurczył się od 2008 roku o 20 procent. Prognozy do 2014 roku przewidują dalszy jego spadek o 25 procent. Dziura budżetowa na 2012 rok jest dwukrotnie większa, niż oficjalnie podaje to rząd w Atenach. Powrót na ścieżkę wzrostu planuje się na 2014 rok. Zaciskanie pasa wyciska z Greków krew i łzy. Pensje na państwowych posadach zmniejszyły się o 40 procent. Jeszcze większą liczbę Greków dotknęły redukcje zasiłków, emerytur i podwyżka podatków. Doprowadza ich to do kresu wytrzymałości i uderza w dumę narodową. Każdego dnia słyszą te same straszne wiadomości: o cięciach, agencjach ratingowych, Trojce i giełdzie. Dobrych informacji nie ma. Bezlitosna Trojka domaga się dalszej daniny krwi: większych obniżek płac, dalszych zwolnień w sektorze publicznym, obniżenia odpraw dla zwalnianych pracowników, podwyższenia wieku emerytalnego z sześćdziesięciu pięciu do sześćdziesięciu siedmiu lat i wprowadzenia sześciodniowego tygodnia pracy. Od tego uzależnia przekazanie kolejnej transzy drugiego pakietu ratunkowego (31 miliardów euro), bez których rząd w Atenach ogłosi bankructwo. Tymczasem rząd Samarasa ogłosił Grekom, że dalszych cięć nie będzie. Dlatego Hellenowie wychodzą na ulice. Strajkują nawet sędziowie.

By podtrzymać Greków na duchu, kanclerz Niemiec decyduje się w październiku 2012 roku na przyjazd do Aten. Pierwszy raz od początku kryzysu zadłużenia. Horrendalne wyzwanie w obliczu nastrojów społecznych. Grecy, przywykli do dojenia państwa socjalnego, z hojną emeryturą od sześćdziesiątki, 30-procentowym wzrostem płac w ostatnich trzech latach przed kryzysem, czternastoma pensjami w roku, rękami i nogami pchający się na posady do przerośniętego sektora publicznego, źle znoszą kurację wyszczuplającą. Winą za swój podły los obarczają Merkel, dając upust nienawiści do niej i do „IV Rzeszy, czyli Unii Europejskiej

Narodu Niemieckiego”. Odgrywają się też za sugestie niemieckich polityków zamieszczone w „Bild Zeitung”. Proponowano tam rządowi w Atenach łatanie dziur budżetowych oddaniem pod młotek trzech tysięcy greckich wysp. „Dostajecie szmal, to dajcie nam Korfu” – trąbiła arogancko niemiecka bulwarówka. I na całego nakręcała emocje: „Akropol jest wart 100 miliardów euro”^[26]. Sama Merkel nie jest bez winy. Przez dwa lata z politycznym kalkulatorem w rękę zarządzała kryzysem w Grecji, ale bez wyjaśniania swoich posunięć jej mieszkańcom. Dlatego gdy tylko stanęła na greckiej ziemi, powitały ją transparenty przedstawiające ją w kilku wariantach: na szubienicy, z wąsami Hitlera, w mundurze SS, z napisami: „Córko Hitlera won!”, „Precz zdiro!”. Merkel kojarzy się Grekom wyłącznie z drakońskim programem oszczędzania, a nie z wyciąganiem ich z opresji. Dlatego tak długo, jak jej strategia bata i marchewki nie przyniesie Grekom odczuwalnych efektów, opór przeciwko niej będzie rósł. A na antymerkelowskich hasłach zyskać mogą ugrupowania populistyczne. Jak choćby neonazistowski Złoty Świt. Jego zwolennicy nagminnie podpalają domy emigrantów, demolują ich sklepy, kijami bejsbolowymi przepędzając z ulic. Swoje sieci zarzucają w szkołach. W listopadzie 2012 roku Grecję obiegła porażająca informacja. W jednym z gimnazjów portowego miasta Patras uczniowie, sympatycy Złotego Świtu, odmówili udziału w rocznicowej uroczystości ku czci ofiar powstania przeciwko juncie wojskowej z 17 listopada 1973 roku. To nie wszystko. Po drugiej stronie greckiej sceny politycznej w pióra obrasta ultralewicowa SYRIZA, konglomerat radykalnych stronnictw o tak skomplikowanych strukturach jak teoria chaosu. Składa się ona z trockistów, eurokomunistów, krytyków euro, przeciwników globalizacji, antyimperialistów i dysydentów różnej maści. Ale SYRIZA w czerwcowych wyborach do parlamentu 2012 roku podbiła serca Greków, przegrywając jedynie z konserwatystami Samarasa. Jej lider Aleksis Cipras przez sympatyków został okrzyknięty „wschodzącą gwiazdą greckiej polityki”. Ale dla zwolenników Merkel to „najniebezpieczniejszy człowiek Europy”, grecki Che Guevara, który odrzuca spłatę długów na obecnych warunkach, a unijne pakiety pomocowe uważa za niezgodne z prawem^[27]. I obiecuje powrót do starego, dobrego życia, oczywiście bez reform – najpiękniejsza muzyka dla uszu wielu Greków. W Berlinie na wiecu Cipras krzyczy: „Unia Europejska pod dyktatem Merkel jest antysocjalna. A unijny kapitalizm daje pierwszeństwo prawom rynku, nie polityki!”^[28].

W tym właśnie dylemacie – między wyzwaniem rynku i polityki – tkwi Merkel. Chce pomóc Grekom, lecz musi im pogrozić palcem, chce chronić niemieckie pieniądze, lecz musi nimi ratować euro. Musi podejmować bolesne dla swoich wyborców decyzje, ale chce dzięki nim wygrywać kolejne wybory. Niemiecka kanclerz jest rozdarta. I czuje presję całej Europy. Tej, która w nią wierzy, i tej, która jej nienawidzi. Bo przecież sama jej obecność w Atenach wystarcza, by zmobilizować tysiące Greków do wyjścia na ulice w nazistowskich mundurach. Ale też tylko jedna jej decyzja oddała ich kraj od bankructwa. Jako szef rządu najsilniejszego państwa eurostrefy decyduje o losach kontynentu. Jeśli euroland przetrwa kryzys, zostanie okrzyknięta wybawicielką, jeśli się rozpadnie, będzie obwołana grabarzem. Żaden z poprzedników Merkel nie był tak potężny w Europie jak ona. A jednocześnie tak mało jak ona sercem zaangażowany w Europę. „Nim skinę głową przed niemiecką flagą, trzykrotnie pochylę się przed francuską” – tak mówił i czynił Helmut Kohl^[29]. Gdziekolwiek by się pojawił, uroczystości historyczne na Starym Kontynencie wyciskały mu łzy z oczu. Niezapomniany pozostaje jego gest pojednania z prezydentem Mitterrandem nad grobami w Verdun w 1984 roku, w okrągłą rocznicę wybuchu I wojny światowej. A także z grudnia 2012 roku, gdy w jego

rodzinnym Oggersheim zjawił się przewodniczący Rady Europejskiej Herman van Rompuy i przekazał mu kopię Pokojowej Nagrody Nobla, jaką została wyróżniona Unia Europejska. „Europa jest naszą ojczyzną, teraźniejszością i przyszłością” – wyznał mocno wzruszony 82-letni były kanclerz, a jego wypowiedź miała charakter politycznego testamentu, jaki odchodzący patriarcha zostawia potomnym^[30].

Natomiast fizyk władzy Angela Merkel nie potrafi wykrzesać z siebie namiętności wobec Starego Kontynentu. „Merkel to Prusak, a dla Prus Europa nigdy się nie liczyła” – wyrokuje ekonomista Jacques Attali, doradca byłego prezydenta Francji François Mitterranda^[31]. Ale też żyjąca w NRD Merkel przed trzydziestką nigdy nie marzyła o tym, by chłonać zapach pini w Rzymie, pokontemplować katedrę w Santiago de Compostela czy posiedzieć na schodach Sorbony. Nigdy też nie wyjechała na studia do Europy Zachodniej jako stypendystka Erasmusa w ramach programu wymiany studentów. Jej oczy, jak niemal wszystkich mieszkańców w bloku radzieckim, kierowały się w stronę USA. To prężna Ameryka jawiła się jako przeciwieństwo zapyziałej NRD Honeckera. Jak sama wyznała, przed upadkiem muru marzyła, by po ukończeniu sześćdziesiątki zwiedzić USA, kiedy jako emerytce będzie jej wolno wyjechać w celach turystycznych z socjalistycznego kraju^[32].

Chłodnego stosunku Merkel do Europy nie zmienił jej pierwszy pobyt w unijnej stolicy. 16 maja 1990 roku w Brukseli znalazła się u boku premiera NRD jako zastępca rzecznika jego rządu, gdy cierpiący na aerofobię pierwszy rzecznik został w Berlinie. Lothar de Maizière przybył na rozmowy dotyczące nieuchronnego już zjednoczenia Niemiec. W ciągu dnia eberdowski premier rzucił się w wir spotkań z europejskimi politykami. A po skończonych rozmowach wybrał się z zaufanym człowiekiem Helmuta Kohla w Parlamencie Europejskim Elmarem Brokiem na nocne zwiedzanie miasta. Bez swojej rzeczniczki. Kiedy na drugi dzień rano de Maizière długo nie przychodził na umówione spotkanie w hotelu Hilton z przewodniczącym konserwatywnej frakcji w Parlamencie Europejskim, Merkel siedziała tam sama przy wodzie mineralnej. Z błyskawicami w oczach. Gdy jej szef wreszcie się pojawił, solidnie spóźniony i z mokrymi w dodatku włosami, wszyscy tam obecni, łącznie z Elmarem Brokiem, mieli wrażenie, że wściekła Merkel wyciągnęła go prosto spod prysznica^[33].

W większym stopniu z Brukselą i unijną polityką Angela Merkel zapoznała się dopiero w 2000 roku, gdy została przewodniczącą CDU. Wprawdzie to kanclerz Schröder z urzędu uwijał się wtedy na brukselskich salonach, lecz i opozycyjna CDU jako członek największej frakcji w Parlamencie Europejskim, Europejskiej Partii Ludowej, uczestniczyła w unijnych rozgrywkach. Szczególnie w 2004 roku, gdy szukano odpowiedniego kandydata na stanowisko przewodniczącego Komisji Europejskiej. Socjaldemokratyczni szefowie rządów – Schröder, Zapatero i Blair – oraz francuski prezydent Chirac faworyzowali belgijskiego premiera i liberała Guya Verhofstadta. Merkel jako wpływowa przewodnicząca CDU do spółki z brytyjskimi konserwatystami zablokowała tę kandydaturę. I przeforsowała znacznie mniej prominentnego José Manuela Barroso. „To była próba ognia, która zespoliła ich obydwój”^[34] – taką opinię można usłyszeć do dziś w unijnych kuluarach. Ale dopiero gdy Merkel została kanclerzem, na dobre weszła na brukselskie salony, a politykę europejską uczyniła osią swej politycznej aktywności. Jej debiut na europejskiej arenie wzbudził wielkie nadzieje. Jesienią 2005 roku gra szła o wysoką stawkę. W Brukseli debatowano nad budżetem unijnym na lata 2007–2013. Wszystko wydawało się już ustalone, gdy nagle Polska wysunęła roszczenia do dodatkowych dopłat do rolnictwa. Na brukselskim szczycie 15 grudnia 2005 roku

nieopierzona jeszcze w międzynarodowym towarzystwie Merkel podczas przerwy w obradach podeszła do premiera Marcinkiewicza i po rosyjsku poinformowała go o rezygnacji ze 100 milionów euro, jakie otrzymała na landy wschodnie, i o przekazaniu ich na rozwój Polski wschodniej. Stojący obok minister Stefan Meller w przyływie radości wycalował panią kanclerz w obydwie policzki. Nieskora do wylewności Merkel spłasowała. Po przerwie zakomunikowała całemu gremium swoją decyzję. Wrażenie było piorunujące. Na twarzach szefów delegacji minister Meller dostrzegł zadowolenie, „że nie muszą sięgać po portfel”. Kanclerz Niemiec zademonstrowała wszystkim, jak można rozumieć europejską solidarność^[35].

Po latach nauczyła się, że opakowanie polityki w europejski patos jest niezbędne. Dlatego regularnie pielgrzymuje do Akwizgranu, gdzie co roku wręczana jest Nagroda Karola Wielkiego za zasługi dla Europy. Trzy lata temu wygłosiła nawet laudację na cześć laureata, „wielkiego Europejczyka” – Donalda Tuska^[36]. Z tego samego powodu znalazła się w Oslo, gdy Unia Europejska za przekształcenie Europy w kontynent pokoju odbierała Pokojową Nagrodę Nobla. Najpierw podczas uroczystej ceremonii siedziała w czarnym kostiumie i czerwonej bluzce w pierwszym rzędzie, po lewej stronie mając prezydenta Hollande’a, po prawej premiera Tuska. Potem wysłuchała koncertu, który prowadziła najslynniejsza wielbicielka szpilek – Sarah Jessica Parker. „Cudowna decyzja” – skomentowała w Oslo Merkel mocno kontrowersyjny werdykt szwedzkiej Akademii, wpisując się w ogólny nastrój patetycznej euforii^[37]. Sama jednak nie celebrowała liturgii historycznej, jak wcześniej Adenauer, Kohl czy nawet Schröder, który w 2004 roku, w sześćdziesiątą rocznicę desantu alianckiego w Normandii, wymienił z prezydentem Chirakiem serdeczny uścisk, a w rocznicę powstania warszawskiego pochylił się przed pomnikiem upamiętniającym to wydarzenie. Europę dla Merkel ucieleśniają konkretne mierniki: dobrobyt, waluta euro i konkurencyjność w zglobalizowanym świecie. Nie uczucia czy emocje. Merkel nie ma przed oczami wizji, ale konkretny cel: przetrwanie Europy w ekonomicznej rywalizacji z przodownikami globalnego wyścigu. Dlatego kierując się racjonalnym przekonaniem, walczy o zdyscyplinowanie budżetów unijnych krajów. „Nie można więcej wydawać, niż się zarabia” – powtarza jak mantrę. Czy taki beznamiętny lider może w ogóle wydobyć Unię Europejską z największego kryzysu w jej dziejach? A może to akurat wyjątkowe szczęście dla Europy, że przewodzi jej teraz fizyk władzy, który nie ulega egzaltacji, jak ci właśnie, którzy euro doprowadzili do ruiny – Berlusconi czy Papandreu.

Ona kryzys finansowy Unii Europejskiej diagnozuje jak lekarz grypę. Rzeczowo, z dystansem, w oparciu o konkretne dane. Jak technokrata. W wolnych chwilach, najczęściej w samolocie, nie czyta esejów, które wyszły spod pióra myślicieli pokroju Petera Sloterdijka^[38] czy Timothy’ego Gartona Asha^[39], tylko studiuje tabelki, w których po jednej stronie figurują sumy długu publicznego i deficytu budżetowego, a po drugiej PKB, tempa rozwoju, płac i oprocentowania obligacji krajów południa Europy. Bo obydwie kolumny z liczbami spina suma 400 miliardów euro, którymi Niemcy żyrują strefę euro. Przemówienia Merkel przypominają uniwersyteckie konwersatoria z ekonomii. Albo kaznodziejskie wykłady wygłaszane do hulaszczycy studentów z południa Europy. Z zimną krwią reaguje na fale protestów i morze wygrażających jej pięści. Nic sobie nie robi z faktu, że po wylądowaniu w Lizbonie przejeżdża limuzyną wzdłuż szpalerów ludzkich pozdrawiających ją wystawionym środkowym palcem. Lub że w Atenach musi pędzić pustymi ulicami metropolii, która przypomina wymarłą jak po katastrofie jądrowej. Niechęć i protesty utwierdzają ją

w przekonaniu o słusznym wyborze strategii radykalnego oszczędzania. Kiedy czyta w greckich gazetach, że tamtejszych zwolenników zaciskania pasa ironicznie nazywa się „merkelistami”, uśmiecha się, że to akurat ona stała się synonimem dyscypliny budżetowej. Wierzy w uzdrowienie Grecji i całej strefy euro. Utwierdza ją w tym casus Indonezji. Jej prezydent Susilo Bambang Yudhoyono, niepozorny syn sierżanta, dokonał rzeczy wielkiej. W ciągu kilku lat zamienił Indonezję w azjatyckiego tygrysa. Wyciągnął kraj z 50-procentowej inflacji, wysokiego zadłużenia oraz deficytu budżetowego. I to pomimo tsunami, w którym w 2004 roku zginęło 200 tysięcy Indonezyjczyków. Merkel latem 2012 roku, w samym środku kryzysu euro, złożyła w dalekiej Dżakarcie pierwszą swoją wizytę, okazując rewerencję najludniejszemu krajowi muzułmańskiemu na świecie. W Istiqlal, największym meczecie Azji Południowo-Wschodniej, mieszczącym 120 tysięcy wiernych, ściągnęła buty i zwiedzała go w skarpetkach. Skoro Indonezja mogła się wydobyć z zapaści, to dlaczego nie Grecja? Merkel nie uważa, by grecką rzekę trzeba było zawracać kijem.

Jeszcze większy podziw wzbudzają w niej Chiny. Nie przez przypadek w ciągu dwóch kadencji aż sześciokrotnie odwiedziła Państwo Środka, które wyrosło na drugą gospodarkę świata. Merkel zdaje sobie sprawę z tego, co azjatycka konkurencja oznacza dla Europy. Przy każdej okazji zongluje swoimi ulubionymi równaniami. Są proste, by zrozumiał je każdy. Pierwsze brzmi tak: „Za rządów Adenauera było 80 milionów Niemców i 2,5 miliarda ludzi na świecie. Dziś? 7,5 miliarda na świecie i nadal 80 milionów Niemców!”. Drugie równanie: „Chiny wcześniej na targach w Hanowerze wystawiały dwa tuziny stoisk. A dziś: 500!”^[40]. I trzecie równanie: „Europejczycy, czyli 7 procent ludności świata, produkują 25 procent światowego bogactwa, ale pochłaniają 50 procent światowych wydatków socjalnych”. A to rodzi problem. Merkel obawia się, że Europa, jak prorokuje dwóch francuskich intelektualistów, Michel Houellebecq i Bernard-Henri Lévy, może się stać dla turystów z Azji parkiem rozrywki albo miejscem z tanimi domami publicznymi^[41]. Jak Kraków dla Brytyjczyków. Obawy te potwierdzają jej rozmowy z politykami na całym świecie, którzy to z politowaniem, to ze współczuciem obserwują targowanie się jak na bazarze. Kłótnia o unijny budżet z grudnia 2012 roku, gdy jej członkowie rywalizowali o pieniądze z Brukseli, jest spektakularnym i niejedynym przykładem. Na skutek wrywania sobie nawzajem pieniędzy w „starym” jeszcze budżecie, na 2012 rok, od września zabrakło środków na pokrycie kosztów kilku programów, w tym na flagowy Erasmus, w ramach którego studenci przez kilka semestrów studiują na zagranicznych uczelniach. Kuleje europejski program kosmiczny, bo Francuzi i Niemcy toczyli boje o to, czy ulepszyć rakietę Ariane 5, czy budować nową Ariane 6. W tym czasie Chiny realizują program eksploracji Księżyca oraz umieszczają na orbicie kolejne satelity. Merkel obawia się, że Europa znalazła się na zakręcie historii, podobnie jak Chiny przed stu laty. Wtedy najstarsza monarchia świata dożywała swoich dni. Archaicznie rządzony kraj był plądrowany przez obce mocarstwa. Wielka Brytania czerpała profity z handlu opium, którym tysiące poddanych cesarza uśmierzało głód. I umierało. Przy dziurawym systemie fiskalnym lwią część podatków topiła się w bagnie korupcji. Kasa państwowa była pusta. W kraju wrzało, ale odseparowany od świata zewnętrznego malowany cesarz pojęcia nie miał o nadciągającej rewolucji.

Soft power

Do jakiej misji czuje się powołana Angela Merkel, która dobrze wie, że rozpasane i zadłużone południe Europy samo nie przejrzy na oczy, a niemiecka gospodarka, choć silna, to jednak nie udźwignie na swoich barkach brzemienia całego kontynentu? Otóż pani kanclerz wybrała politykę soft power, zwaną inaczej metodą „pedagogicznego podboju”. Szlagierem eksportowym Niemiec uczyniła Spardiktat, obsesyjnie tnący świadczenia socjalne i podnoszący podatki. Byleby tylko zrównoważyć budżet. Swoją dominację narzuca inteligentnie, nie waląc pięścią w stół. Na unijnych szczytach, gdzie zapadają najważniejsze decyzje, pewien psychologiczny opór wobec niej zmniejsza sama jej sylwetka, która inaczej niż w przypadku olbrzyma Kohla nie wypełnia sobą całej przestrzeni i nie miażdży jak walec, nie irytuje. Istotniejsze jest jednak co innego. Na unijnym forum Merkel stosuje tę samą metodę, jaką do perfekcji doprowadziła na krajowym podwórku. Patronuje jej Karl Popper, filozof, który stracił wiarę w moc świeckich prawd objawionych oraz ich kapłanów z pretensjami do przewodzenia ludzkości. „Nawet jeśli coś wiemy, to wiemy za mało, aby podjąć właściwą decyzję” – brzmi główne założenie politycznej filozofii Poppera^[42]. Dlatego polityk nie powinien ulegać wielkim wizjom i wcielać się w rolę egzekutora historii. Lepiej, jeśli posuwa się małymi kroczkami. Raz w lewo, raz w prawo, niekiedy na ukos, a jeśli trzeba do tyłu. Taką ostrożną interwencją w dłuższym okresie można dokonać przełomowych zmian. A jeśli drobny krok okaże się błędem, łatwo można się z niego wycofać. Przy frontalnym posunięciu pomyłka kosztuje więcej i zostawia za sobą zgliszcza. Filozofię Poppera na swój sposób zarekomendował przed laty były kanclerz Helmut Schmidt: „Kto ma wizję, niech idzie do lekarza”. Dziś ten guru, podobnie jak Merkel niepodatny na egzaltację, uchodzi nad Renem za „wyrocznie i pierwszego komentatora życia politycznego”^[43].

Merkel strategię Poppera przekuwa w czyn, zawsze przy tym unikając wrzawy. W jednym z wywiadów ułożyła takie równanie: „Gospodarka, jak wiemy od kanclerza Erharda, składa się w 50 procentach z psychologii. Dlatego w przypadku Grecji cały czas mówię o niej dobrze. Przy pozostałych 50 procentach możliwość podjęcia dobrej decyzji wynosi 50:50, co sumarycznie daje 75 procent trafienia w dziesiątkę”^[44]. Krótko i z puentą wyjaśniona strategia „drobnych kroczków”. Trudno tu o pomyłkę. Raz jeden bardziej bezpośrednio odniosła się do Poppera: „Stale trzeba powtarzać, że nie ma jednego cudownego środka na uzdrowienie europejskiego kryzysu zadłużenia (...). Jeżeli ma się nam udać zwalczenie kryzysu, to tylko w długiej serii kolejnych kroków, które wyplenią go u jego podstawy”^[45].

Merkel nie ma wielkiej wizji uzdrowienia Europy ani szczegółowego planu z kolejnymi etapami pokonywania kryzysu. Ale konia z rzędem temu, kto wie, jak będzie wyglądała przyszłość, nawet ta najbliższa. „Moją profesję wykonuję dziesiątki lat, ale tak trudna nie była jeszcze nigdy. Po uszy tkwimy w tak głębokim kryzysie, że na receptach z przeszłości polegać nie można” – mówi Jens Ehrhardt, uchodzący za najlepszego doradcę finansowego w Niemczech^[46]. Sumy, jakie powierzyli mu klienci, sięgają miliardów euro. A mimo to Ehrhardt wzdraga się przed nakreśleniem scenariusza przyszłości. Zresztą czyż trzeba daleko szukać? Na polskim podwórku czarny scenariusz z upadkiem Grecji i rozpadem strefy euro miał być złą złotą dla człowieka-instytucji, specjalisty od finansów międzynarodowych, konsultanta Banku Światowego Krzysztofa Rybińskiego. Zarządzany przez niego fundusz, wsparty na kasandrycznej wizji, ruszył w lutym 2012 roku. Dziesięć miesięcy później okazało się, że wkłady w funduszu potaniały o 34 procent.

Oczywiście, nie brakuje krytyków metody pani kanclerz. Publicyści, dziennikarze czy

mędrkujący profesorowie przemykają po telewizyjnych talk-show, ciskają gromy na blogach, Twitterze, w prasie. Tylko w przeciwieństwie do Merkel żaden z tych suflerów nie przejmie odpowiedzialności za niepomyślny bieg wydarzeń. Metodę „dreptania do przodu” krytykują też europejscy partnerzy Niemiec. „Gospodarka i rynki potrzebują jasnej orientacji. I niemieckiego przywództwa!” – grzmiał prezes Banku Światowego Robert Zoellick^[47]. W ten sam ton uderzył Radosław Sikorski, który w Berlinie wypowiedział spektakularne zdanie: „Jako pierwszy polski minister spraw zagranicznych mniej obawiam się niemieckiej potęgi niż niemieckiej beczynności. Nie możecie sobie pozwolić na porażkę przywództwa”^[48]. W Polsce zawrzało, gdyż opozycja uznała, że „gwarantem polskiego bezpieczeństwa” minister Sikorski czyni „powrót IV Rzeszy”^[49]. W Berlinie jednak wszystko zostało po staremu. Bo skoro ryzyko jest tak wielkie, to strategia małych kroczków wydaje się Angeli Merkel najrozsądniejsza. Roztropniej jest brnąć od jednego do drugiego unijnego szczytu, podjąć kilka mniejszych decyzji, odczekać i zobaczyć, jakie przynoszą efekty, w razie wątpliwości wycofać się i spróbować innego rozwiązania. Mało efektowne i mało spektakularne, za to pewniejsze. Kto kroczy nad przepaścią, powinien stawiać małe kroki, stale rozpoznając teren. „Merkel robi absolutne minimum, co uleczy euro na chwilę, ale nie na zawsze” – groził palcem ze swojej ambony papież amerykańskich inwestorów George Soros. „Niemcy muszą, tak jak USA po wojnie, stanąć na czele Europy. Jako dobrotliwy hegemon”. I objąć Europę wielkim projektem unii transferowej, czyli przerzucić pieniądze z bogatej Północy do zadłużonego Południa^[50]. Kanclerz Niemiec takie apele puszcza mimo uszu. Dostaje drgawek, gdy słyszy o wielkich wizjach. Jej strategia minirozwiązań pozwala płynnie zmieniać fronty, przekraczając granice między nimi. Czyż najpierw nie odmówiła Grecji pomocy, by miesiąc później, po wyborach w Nadrenii Północnej-Westfalii, na dramatycznym szczycie unijnym zawiązać dla niej pakiet ratunkowy? Czy pierwotnie Grecja nie miała być wyjątkiem? A następnie jednak utworzono fundusz ratunkowy, zdaniem Merkel jedynie prewencyjną zaporę ogniową, dla uspokojenia rynków, na zasadzie ultima ratio. Tymczasem do funduszu ustawiła się kolejka. Jako pierwsza do jego drzwi zapukała Irlandia po 85 miliardów euro, zaraz potem Portugalia po 78 miliardów euro, a ostatnio Cypr. A czy pani kanclerz nie wzdragająca się przed zawiązaniem unii transferowej? Zgodziła się jednak na to, by fundusz ratunkowy przyznawał kredyty grzesznym dłużnikom, ze śmiesznie niskim oprocentowaniem, oraz nabywał ich obligacje, przekształcając tylnymi drzwiami unię walutową w transferową. Niewykluczone też, że w przyszłości zrezygnuje z oporu przeciwko euroobligacjom. Jej cena za ten kompromis? Europejski minister finansów z prawami weta i kontroli wobec narodowych budżetów krajów eurolandu.

Taka metoda dreptania od jednej do drugiej przeciwstawnej opcji ma jeszcze jedną zaletę. Eliminując klarowność postępowania, czyniąc je ambiwalentnym, staje się Merkel nieuchwytna dla politycznych przeciwników. Bo jak tu ją przygwoździć, skoro może ona raz tak, innym razem inaczej? Największa partia opozycyjna, SPD, gromko atakuje panią kanclerz, ale w parlamencie głosuje zgodnie z jej życzeniem. „Nie będę namawiał mojej frakcji do niczego, co doprowadziłoby do tego, że Grecja wkrótce stałaby się niewypłacalna i musiała opuścić strefę euro”^[51] – oświadczył szef frakcji SPD Frank-Walter Steinmeier, przyklaskując trzeciemu pakietowi ratunkowemu dla Grecji. W głosowaniu w Bundestagu nad tym trzecim pakietem (44 miliardów euro) w grudniu 2012 roku SPD jak jeden mąż opowiedziała się za jego przyjęciem. To, co jeszcze przed głosowaniem w lutym 2012 roku nad drugim pakietem wymagało

od rządu Merkel heroicznego zaangażowania i usilnego przekonywania posłów, dziesięć miesięcy później przekształciło się w rutynę. Niemiecka szef rządu mogła się obyć nawet bez większości kanclerskiej, czyli głosów wszystkich posłów rządzącej koalicji CDU-CSU-FDP.

Merkel nie chce do siebie nikogo zrazić. Ani eurosceptyków, ani euroentuzjastów. W ostateczności prowadzi podwójną grę, jak w przypadku podatku od transakcji finansowych. Na forum Bundestagu jest trochę za opodatkowaniem, na forum unijnym trochę przeciwko.

W czerwcu 2012 roku jej minister finansów Wolfgang Schäuble wyszedł przed szereg i przedłożył dalekosiężny plan integracji UE jako remedium na kryzys. Schäuble, od pół wieku w CDU, to jedyny polityk europejski największego formatu, który na własne oczy widział, jak w 1992 roku podpisywano traktat w Maastricht. To właściwie ostatni w Niemczech prawdziwy Europejczyk. W 1994 roku napisał legendarny manifest o przyszłej Europie. Europejski projekt nie ogranicza się dla niego, jak dla Merkel, do unii fiskalnej. Prawnik z wykształcenia obecny kryzys zwalcza regulacjami prawnymi. Reformatorskie pomysły – prezydent Unii wybierany powszechnie, wzmocnienie parlamentu w Strasburgu, ustanowienie europejskiego ministra finansów z prawem weta wobec budżetów narodowych – Schäuble proponował przeprowadzić w Niemczech na drodze ogólnonarodowego referendum. Wpływowi chadecy na czele z panią kanclerz szybko odcięli się od jego propozycji. Bo jak ma się przełożyć bezpośredni wybór prezydenta Unii Europejskiej na wzrost konkurencyjności na przykład Francji? I czy nie byłoby lepiej metodą drobnych kroków wyposażyć funkcjonującego obecnie unijnego komisarza do spraw waluty w prawo weta wobec niesolidnych budżetów, niż powoływać unijnego ministra finansów, którego sama nazwa kłuje w oczy? Zresztą poprzerałoby z końcem 2012 roku pomysły ministra Schäublego i tak okrzyknięto w Niemczech największą ideą przebudowy Unii Europejskiej od czasów wprowadzenia euro. Bo jeśli państwa Unii nie będą już mogły za unijne pieniądze budować autostrad czy mieszkań własnościowych po to tylko, by zaspokoić potrzeby lobby bankowego czy budowlanego, to jak na Merkel są to pomysły rewolucyjne. Ale wyciąganie przez panią kanclerz Unii Europejskiej z kryzysu ogranicza się do ratowania jej jako związku konsumpcyjno-ubezpieczeniowego. Ujawniona przez kryzys finansowy pochmurna przyszłość Unii jako projektu cywilizacyjnego wymyka się poznaniu technokratki. Bo nawet jeśli wie, że Europa jako kłębowisko kulturowo-społeczne przypomina wielki statek dryfujący w nieznanym kierunku, to wcale nie zamierza wchodzić na mostek kapitański. Europejski projekt stał się dla niej koniecznością – skoro jego upadek miałby być czymś jeszcze gorszym. Gorszym oczywiście w sensie ekonomicznym. Od września 2012 roku projekt Europy dla Merkel zamknięty jest w formule „wymagania i solidarność”. Bo drogę przez mękę, jaką przeszło południe Europy, trzeba teraz wspomóc dozą empatii i obietnicą rozwoju. Ale to, co powiedziała Merkel na konferencji prasowej 18 września 2012 roku, układnie, bez wielkich słów i polotu, nie przypomina wizji przyszłej Europy, dla której Niemcy mieliby pojąć sens zaangażowania się w ratowanie Unii oraz własnych wyrzeczeń^[52].

Interesująca jest jej metoda komunikacji. Merkel, jeśli tylko może, skrętnie omija centralę w Brukseli. Wprawdzie w każdy weekend przez godzinę rozmawia przez telefon z przewodniczącym Barroso, który włada niemieckim, ale Komisja Europejska jest dla niej zbyt ociążała i liczy zbyt wielu graczy. Przed unijnym szczytem kanclerz woli usiąść przy telefonie i podzwonić do unijnych stolic, by uzgodnić stanowiska. „Metoda międzyrządowa”, jak się ją określa w brukselskim slangu, jest szybsza i skuteczniejsza, zważywszy na spadek wpływów Komisji Europejskiej. Przyczyny tego stanu rzeczy są wielorakie. Po pierwsze, stojący na czele

Komisji José Manuel Barroso nie okazał się politycznym samcem alfa. Nadzieje na to, że w drugiej kadencji pokaże pazury i uniezależni się od szefów państw i rządów poszczególnych unijnych członków, bo nie będzie zdany na ich łaskę przy kolejnym wyborze, przysły jak bańka mydlana. Od początku unijnego kryzysu Barroso kompromituje się brakiem pomysłów na jego zażegnanie. Aż w lecie 2011 roku zaskoczył wszystkich napisanym podczas kanikuly listem, w którym uznał podjęte dla ratowania waluty euro kroki za niewystarczające. Czym postawił w stan alarmu ospałe w szczycie urlopowym rynki finansowe. Interwencję Barroso w wielu stolicach uznano za narcystyczne prężenie mięśni. Słabość „unijnego rządu” nie wynika tylko z personalnej obsady stanowiska jego premiera. Liczba dwudziestu siedmiu ministrów zbierających się co tydzień w środy przy stole obrad gwarantuje zerową szansę na ustalenie wspólnego stanowiska. Ponadto Komisja coraz częściej podejmuje decyzje, które rządy państw członkowskich oceniają jako wkroczenie na obszar ich kompetencji. Efektem są kłótnie z Brukselą i spadek zaufania unijnych obywateli do Komisji. Od początku pierwszej kadencji Barroso do jesieni 2011 roku zaufanie to zmniejszyło się z 52 do 36 procent^[53]. Wzrost znaczenia państw członkowskich w zwalczaniu kryzysu wiąże się też z ich realną siłą finansową. Tylko one dysponują pieniędzmi, które wyłożyły na fundusze ratunkowe. Wśród nich dominują Niemcy, popierane przez Holandię, Austrię i kraje skandynawskie. Francja odpadła z rozgrywki po utracie najwyższego ratingu. I jest na najlepszej drodze do II ligi europejskiej. Włochy próbują się dopchać do głównych rozgrywających, ale są zadłużone po uszy. Wielka Brytania sama wyeliminowała się z gry.

Wielka rozgrywająca swoją unijną politykę prowadzi w kontekście czterech „B”: Bundestagu, Bundesbanku, „Bild Zeitung” i Bundesverfassungsgericht (Federalnego Trybunału Konstytucyjnego). Dlatego bez wielkich słów do spółki z ministrem Schäuble informuje rodaków o zarządzaniu kryzysem. Za to w homeopatycznych ilościach. By ich nie wystraszyć. Już raz podczas kryzysu wywołanego upadkiem banku Lehman Brothers pani kanclerz nieopatrznie „gadulstwem” zatoczyła się nad przepaścią. Jej „gwarancje państwowe” zgromadzonych przez Niemców w bankach oszczędności były obietnicą bez pokrycia. Choć spełniły swój cel polityczny. Uspokojeni wyborcy zostali w domach i nie ruszyli do szturmowania banków. Także w obecnym kryzysie euro pani kanclerz stara się nie wystawiać Niemców na ciężką próbę. Wszak jej wyborcy głupi nie są. I dobrze wiedzą, że Grecji i innych bankrutów z tarapatów nie wyciągnie się za darmo. Gdyby jednak już na początku kryzysu Merkel oświadczyła, że Niemcy, jak obecnie, zastawią sumę 400 miliardów euro, by ratować Europę, wywołałaby burzę. Dałaby amunicję do ręki tym wszystkim szaleńcom, którzy żądaliby opuszczenia przez Niemcy strefy euro. Na proste pytanie: ile Niemcy zapłacili za ostatni pakiet ratunkowy dla Grecji w listopadzie 2012 roku, odpowiedziała ustami ministra Schäublego: „Nie kosztuje nas to więcej pieniędzy. Program pomocowy zwiększa jedynie zapotrzebowanie finansowe na osi czasu”, ponieważ „na redukcję oprocentowania pozytywnie wpływają nasze środki zaradcze”^[54]. Ten żargon fachowcy nazywają „kręceniem piruetów” przez Merkel i ministra Schäublego. Obydwoje, nie zdradzając wiele, kroczyli krok po kroku osuwając rodaków z gorzką rzeczywistością. „Mateczka trzyma cały czas rękę na pulsie” – powtarzają Niemcy. I na razie nie protestują. Tylko jak długo?

Kryzys waluty euro, a zarazem całej Unii Europejskiej nie został zażegnany, choć jej sytuacja dzięki kanclerz Niemiec stała się bardziej stabilna. Fundusz ratunkowy, pakt fiskalny, unia bankowa (system gwarancji dla depozytów bankowych na wypadek, gdyby w jednym

z pogrążonych w kryzysie państw klienci w akcie desperacji opróżnili swoje konta) uodparniają strefę euro na turbulencje i wstrząsy. Dziejowa katastrofa raczej nie wisi nad Europą. Ale na odwołanie alarmu jest za wcześnie. Dyrektor Międzynarodowego Czerwonego Krzyża Yves Daccord nie wyklucza, że w europejskich miastach za rogiem czai się rewolucja. Podobna do tej, jakiej widownią niedawno były kraje Maghrebu. Miliony Europejczyków popadło w biedę. 120 milionów wegetuje poniżej granicy ubóstwa^[55]. Dług eurostrefy sięga 8 bilionów euro. Przeworna Finlandia od roku przygotowuje się na rozpad UE. „W krajach południa Europy wzrasta recesja i zadłużenie, dlatego nie mogę potwierdzić opinii, że najgorsze mamy za sobą” – mówi ekonomista Peter Bofinger. Również Kai Carstensen z monachijskiego instytutu Ifo uważa, że w kontekście recesji i kosztów ratowania euro, „jeśli chodzi o finansowe obciążenia dla Niemiec, najgorsze mamy przed sobą”^[56]. W końcu nadwyżka eksportowa Niemiec, owe 200 miliardów (sic!) euro rocznie, niemal w połowie (40 procent) trafia na rynek unijny. A południe Europy pod batem Niemiec mocno zaciska pasa i nie może zwiększać konsumpcji jak oszalałe. W Italii po lutowych wyborach 2013 roku odżyło widmo Berlusconi. I Angela Merkel przeżyła déjà vu. W październiku 2011 roku, gdy Berlusconi stał na czele rządu, kanclerz usilnie namawiała bowiem prezydenta kraju Giorgio Napolitano do zmiany włoskiego premiera. Tymczasem niezatapialny *Cavaliere* sukcesem wyborczym (trzecie miejsce z 20 procentami poparcia) jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki natychmiast wywindował oprocentowanie włoskich obligacji państwowych. Bo wiadomo, co on, jak i drugi wielki triumfator wyborów Beppe Grillo, z zawodu komik telewizyjny, sądzą o polityce europejskiej. Jako eurosceptycy mogą teraz w parlamencie blokować każde proeuropejskie kroki rządu. Cavaliere grozi nawet przeprowadzeniem głosowania w Italii nad wyjściem ze strefy euro. W lutowych wyborach aż 60 procent Włochów głosowało przeciwko euro, Frau Merkel i Niemcom. A kraj jest zadłużony po uszy. Najstarszy działający nieprzerwanie bank świata Monte dei Paschi di Siena musiał się ratować dekapitalizacją w wysokości 4 miliardów euro. Brytyjski „The Economist” okrzyknął poletko socjalizującego Hollande’a „tykającą bombą w sercu Europy”^[57]. Na okładce zamieścił siedem bagietek przewiązanych wstążką w narodowych francuskich barwach i podłączonych do palącego się lontu. W niewyrafinowany sposób magazyn przedstawił dymiące już pałeczki dynamitu grożące w każdej chwili eksplozją: rekordowe zadłużenie, bezrobocie, deficyty handlowy, budżetowy i wypadanie firm francuskich z rynków międzynarodowych. Co dziesiąty Francuz ma ciepłą posadkę w monstrualnej administracji państwowej. W efekcie siada niemiecki eksport do krajów Unii, a recesja puka do bram Berlina. Perypetie przeżywa Opel, a gdy spowolnienie ogarnie Chiny, skończy się eldorado dla niemieckich luksusowych aut z górnej półki, dźwigni niemieckiego eksportu.

Merkel czekają trudne miesiące, gdy będzie musiała odpowiedzieć swoim wyborcom, jak długo jeszcze Niemcy będą w stanie ratować strefę euro. Bo istnieje ryzyko wpadnięcia największej unijnej gospodarki w turbiny kryzysu. Rynki finansowe jeszcze się nie uspokoiły. Tymczasem pomoc samej Grecji, która nadal wije się w bólach, pochłania kolejne miliardy. Od grudnia 2012 do marca 2013 roku po długich targach na unijnych szczytach popłynęły do Aten w ramach trzeciego pakietu ratunkowego 43 miliardy euro. Na pensje i emerytury. Angela Merkel ukrywa przed opinią publiczną w Niemczech fakt, że lwia część pieniędzy płynących na południe Europy bezpowrotnie przepadnie. Ona sama nie ma już wątpliwości, że drugiego cięcia greckiego długu, tym razem z pieniędzy sektora państwowego, uniknąć się

nie da. I kolejnymi kredytami opóźnia się je tylko w czasie. Wzdraga się również przed haircut dla Cypru, który jako ostatni dopisał się na listę bankrutów z Południa. I który na wiosnę 2013 na gwałt potrzebował 17 miliardów euro, ni mniej, ni więcej tylko 100 procent swojego rocznego dochodu. Ale pani kanclerz nie chciała ryzykować przed jesiennymi wyborami 2013 roku do Bundestagu. Ratowaniu Cypru była i jest jeszcze bardziej niechętna, odkąd niemiecki wywiad wywęszył, że wyspa znajduje się w rękach rosyjskiej mafii piorzącej tam brudne pieniądze. Stąd narodził się pomysł „przysrzyżenia” cypryjskich depozytariuszy. W trakcie kampanii wyborczej 2013 roku Angela Merkel grała mafijną kartą cypryjską, by wytrącić opozycji z ręki argument, że uciulanymi przez niemieckiego podatnika pieniędzmi wyciąga z opresji rosyjskich bonzów na Cyprze. Wyborcom, coraz mniej skorym do wysyłania miliardów do eurobankrutów znad Morza Śródziemnego, prezentuje się Merkel jako twarda Madame Nein. Izoluje ją to w Europie, wystawia na szyderstwa unijnej prasy, ale stworzyło jej idealną pozycję wyjściową do wygrania po raz trzeci batalii o Urząd Kanclerski. Bo Niemcy solidaryzowali się ze swoją kanclerz. Im bardziej była ona atakowana przez unijnych rywali, tym bardziej rodacy zwierali wokół niej szeregi. W niej upatrują żelaznej gwarancji na przejście suchą stopą przez kryzys. W niej widzą główną rozgrywającą na europejskich salonach. I wierzą ufnie, że za jej plecami nie zapadnie żadna fundamentalna decyzja w kwestii euro. Czyż nie jest ona po ustąpieniu Jean-Claude’a Junckera z Luksemburga, długoletniego lidera eurostrefy, politykiem o największym doświadczeniu międzynarodowym? Niemcom imponuje, że Merkel szczegółowo zna nawet raporty, jakie sporządzają urzędnicy średniego szczebla w Brukseli. Kryzys euro okazał się dla Merkel wodą na młyn. Bo mało kto mówił o wstydliwych dokonaniach koalicyjnego rządu, tych wszystkich kłótniach z „wymarżonym koalicyjantem” FDP, które od samego początku groziły rozwodem. Usunęła je w cień Merkel jako wielki i kompetentny zbawiciel Unii Europejskiej. Wobec tak spizowej postaci pretendent do urzędu kanclerza – Peer Steinbrück – i popierająca go, konkurencyjna SPD, nie odważyli się zagadnienia kryzysu unijnego uczynić tematem wyborczym. Tymczasem Merkel wyniosła go do roli kariatydy wyborczego programu. Dzięki niemu wygrała jesienną batalię. Teraz chce przejść do historii jako kanclerz, który wyciągnął Unię Europejską z największego kryzysu w dziejach. Będzie musiała jednak wystąpić przed Bundestagiem i szczerze ujawnić wyborcom wszystkie przemilczane wątki: dlaczego rok po redukcji greckich długów na nowo narosła góra zadłużenia, większa niż przed redukcją? Dlaczego polityka zaciskania pasa nie przynosi na południu Europy pożądaných efektów? I dlaczego ufa premierowi Samarasowi, który przed kilku laty blokował wszystkie reformy? Bo na razie tylko ona wie, że to najtańsza opcja ratowania Grecji. Jej upadek byłby dużo bardziej kosztowny. Nie tylko dla rządu w Atenach, ale także dla niej samej.

Cesarzowa Europy i polscy fryzjerzy

Śpośród kanclerzy Niemiec tylko ci przeszli do historii, którzy przynajmniej trzykrotnie wygrali wybory parlamentarne. Rekordziści Kohl i Adenauer triumfowali po cztery razy. Ten pierwszy rządził szesnaście lat i dwadzieścia siedem dni, ten drugi czternaście lat, miesiąc i dwa dni. Merkel dołączyła do tego towarzystwa po ostatnim triumfie odniesionym pod koniec 2013 roku, ale nie obyło się bez niespodzianek.

We wrześniu 2013 roku od razu uchodzi za faworytkę. Kontrkandydat do fotela kanclerza Peer Steinbrück nie przysparza jej bezsennych nocy. Syn architekta, a po matce potomek duńskich handlarzy tabaką, zawsze i wszędzie wypadł z ram. W szkole kolekcjonował dwóje z matematyki, łaciny i greki. Kilka razy powtarzał klasę. A maturę zdał w wieku dwudziestu jeden lat. Co mu nie przeszkodziło zostać potem politykiem i namiętym szachistą. W Bundeswehrze, ze swoimi 186 centymetrami, służył w wojskach pancernych, mając obok siebie czołgistów ze wzrostem krasnali. Złośliwi twierdzą, że kiedyś spadła mu kłapa czołgu na głowę, co po nim widać. U progu kampanii wyborczej Steinbrück ogłasza wprawdzie, że gra o zwycięstwo, ale taką deklarację składa każdy klub amatorski, który w pucharze Niemiec trafia na Bayern Monachium. I wysoko przegrywa. Steinbrücka wysuwa wprawdzie największy konkurent chadecji, SPD, ale akcje socjaldemokracji od dawna chodzą po niskim kursie. Zresztą wyborcy wcale nie mają dość Angeli Merkel. W ich przekonaniu, jeśli chodzi o euro, od którego zależy przyszłość Unii Europejskiej i Niemiec, Steinbrück przeciwko głównej rozgrywającej Europie nie ma czym punktować. Im częściej Portugalczycy, Grecy czy inni południowcy wywieszają jej portrety z wąsami Hitlera, tym bardziej wyborcy w Niemczech jednoczą się wokół swojej kanclerz. Jakby tego było mało, jej konkurent popełnia w kampanii gafę za gafą. Najpierw zżyma się na niskie zarobki kanclerza: pensję 18 tysięcy euro i uposażenie posła 8 tysięcy euro, razem 26 tysięcy euro. To jednak dwa i pół razy mniej, niż wynosi gaża prezesa kasy oszczędnościowej na Kolonię i Bonn, tłumaczy. Osobliwa to argumentacja w obliczu wszechobecnego kryzysu i powszechnego zaciskania pasa. „Z pensji kanclerza da się wyżyć” – oświadcza nawet kolega z SPD Gerhard Schröder. Wie, co mówi, bo jest sknerą, a przez dwie kadencje był kanclerzem. „Dla kogo gaża kanclerza jest zbyt niska, powinien starać się o inną posadę” – dodaje kąśliwie. CDU natychmiast kontruje: „Nasze zadanie na 2013 rok: uchronić Steinbrücka od biedy”^[1]. Przedsięwzięcie zupełnie zbędne, gdy na światło dzienne wychodzi, że Steinbrück za same tylko wykłady od 2009 roku zainkasował 1,25 miliona euro. Nic dziwnego, że socjaldemokratyczny milioner nie zdobył sympatii ciulających cent do centa Niemców – 1,2 miliona z nich żyje poniżej minimum socjalnego – gdy oświadczył, że nie kupiłby wina w dyskoncie za 5 euro. Ile musi kosztować wino, by smakowało Steinbrückowi? – pytali wściekli Niemcy. Akcje Steinbrücka leciały w dół. Nie przebrzmiały jeszcze echa afery z gażą kanclerską, a zdążył zatroszczyć się o kolejną. Tym

razem międzynarodową. Komentując wynik wyborów w Italii, oświadczył, że zwycięzcami są dwaj klauni. Na myśli miał Beppe Grilla, z zawodu komika, i byłego premiera Silvio Berlusconi. Co wolno piwoszowi przy kuflu, nie uchodzi kandydatowi na kanclerza. Dlatego prezydent Napolitano, który akurat bawił z wizytą nad Renem, odwołał planowany obiad ze Steinbrückiem. Ten wprawdzie chwycił za telefon, ale mleko już się rozlało. Największe faux pas popełnił na tydzień przed wyborami. W cyklicznej serii wywiad bez słów na okładce dodatku weekendowego „Süddeutsche Zeitung”, niemieckiej gazety numer dwa, wyartykułował się, pokazując uniesiony środkowy palec. Pokazał go nam – zrozumieli oburzeni wyborcy. Rzecz jasna, nie to miał socjaldemokrata na myśli. Gest miał zasugerować: jestem suwerenny, inny od wszystkich, autentyczny. Miał stać w opozycji do Merkel, mało wyrazistej w tej kampanii, która zgodnie ze swoją strategią pole do popisu oddała przeciwnikowi, by się sam pozbawił szans na urząd. Steinbrück oczekiwać nie zawiódł. Merkel niemal do końca kampanii mogła spać spokojnie. Niemal...

„Najpierw się wyśpię, potem zjem porządne śniadanie i wyjdę na spacer, by zaczerpnąć dużo świeżego powietrza. Czyli zrobię to, czego mi w ostatnim czasie najbardziej brakowało. O 13.30 oddam głos w stołówce studenckiej, berlińskim lokalu wyborczym nr 228” – taki bukoliczny przebieg dnia wyborczego zapowiedziała kanclerz^[2]. Wieczorem spokojnie miała wyczekiwać zwycięstwa i trzeciego kanclerstwa, z solidną chadecko-liberalną większością, w najgorszym razie w ramach koalicji z socjaldemokratyczną konkurencją od Peera Steinbrücka.

Na kilka dni przed wyborami wszystko wzięło w łeb. Komfort błędnego wyczekiwania na sukces zamienił się w nerwówkę. Trzecie kanclerstwo zawisło na nitce. W ostatnich sondażach, opublikowanych dwa dni przed wyborami, opozycyjny obóz lewicowy (SPD, Zieloni, Ultralewica) zrównał się punktami procentowymi z obozem rządzącym, chadecko-liberalnym (CDU-CSU-FDP).

Nieszczęście dla Merkel zaczęło się tydzień przed pójściem Niemców do urn, gdy w Bawarii siostrzana CSU, odrębny klon ogólnoniemieckiej CDU, wygrała wybory większością głosów. Ten sukces miał i drugą stronę – silniejszy głos CSU w nowym rządzie Merkel. CSU stawiała warunki; samo przystąpienie do nowego gabinetu uzależniała od wprowadzenia opłat za autostrady dla obcokrajowców. Co Merkel zaczęło spędzać sen z powiek. A CSU miała w zanadrzu kilka takich pomysłów.

Prawdziwym powodem do zmartwień był drugi koalicjant, FDP, która w wyborach w Bawarii nie przekroczyła 5 procent i wyleciała z parlamentu w Monachium. Po tej klęsce wierchuszka FDP zapowiedziała, że jeśli konserwatywni wyborcy chcą mieć za kanclerza Merkel, swój drugi głos w wyborach do Bundestagu muszą oddać nie na CDU, ale na FDP. Dla Merkel czyste szaleństwo. Ostatni tydzień przed głosowaniem przekonywała wyborców: Jeśli ona ma znów zostać kanclerzem, obydwaj głosy na kartce wyborczej trzeba zakreślić dla CDU. Koalicjant, nawet preferowany, o głosy musi zabiegać sam – programem.

Jakby tego było za mało, ostatnie sondaże dawały 4,5 procent Alternatywie dla Niemiec (AfD), profesorskiej partii założonej w styczniu 2013 roku, lansującej śmierć waluty euro, odrodzenie marki i bliżej nieznaną rekonstrukcję Unii Europejskiej. 4,5 procent to w granicach błędu statystycznego. Równie dobrze rzeczywista skala poparcia mogła być większa, dająca przekroczenie prognozy wyborczej, wejście do parlamentu i odebranie tych 6 procent właśnie CDU. A koalicji z AfD Merkel nie bierze w rachubę. Kanclerz Niemiec jest Europejką

z przekonania. Na ostatnim wiecu przed wyborami wygłosiła orację na cześć Europy. By odciąć się od AfD, której teoretyczna obecność w rządzie oznaczałaby automatyczny spadek kursów na giełdzie.

Ostatnia hiobowa wiadomość dla Merkel w piątkowych sondażach brzmiała, że jedna trzecia wyborców na dwa dni przed wyborami nie wiedziała, na kogo zagłosuje. W jakim nastroju znajdowała się pani kanclerz, zdradza fakt, że dzień przed wyborami przeprowadziła akcję wysłania pięciu milionów listów do wyborców, namawiając do oddania obydwu głosów na CDU. To zaprocentowało. CDU-CSU wygrała wybory w wielkim stylu, dystansując pozostałe partie. Zdobyła 42 procent, uzyskując niekwestionowany przywilej sformułowania rządu. SPD została pobita. Z gry wyleciał i koalicjant FDP, i oponent, antyeuropejska Alternatywa dla Niemiec.

Merkel wygrała, bo w kampanii postawiła na... Merkel. CDU oparło strategię wyborczą na jej popularności jako najbardziej lubianym polityku (zaraz po prezydencie Joachimie Gaucku, byłym pastarze z NRD). To ona stała się jedynym znakiem towarowym chadejki. Bo Merkel to CDU, a CDU to Merkel. Jej popularność w kraju jest tak duża, że gdyby kandydaci na kanclerza byli wybierani bezpośrednio, to wyborcy pokazaliby Steinbrückowi czerwoną kartkę, a może i środkowy palec. Nawet jedna czwarta socjaldemokratów głosowałaby za Merkel. Steinbrück wygrałby tylko wtedy, gdyby do urn poszli Hiszpanie, Portugalczycy czy Grecy. Południowa flanką Unii Europejskiej trzymała za niego kciuki, modliła się do Madonny, choć niewielu Hiszpanów wiedziało, kim on jest, poza tym, że nie jest Angelą Merkel.

W wyborach głosowali jednak tylko Niemcy. A ci uważają Merkel za najlepszego gwaranta, który suchą stopą przeprowadzi ich przez odmęty kryzysu. Ufają jej i jej kompetencjom. Cenią sobie, że krajem rządzi inaczej niż poprzednik Gerhard Schröder, który za trybunę miał studio telewizyjne, za argument walenie pięścią w stół. Merkel w stół nie wali, do telewizji nie biega, wszechwiedzącej nie udaje. Oczywiście nie rezygnuje z kreowania swojego wizerunku. Ale ten ucieleśnia typ opiekuńczej mateczki troszczącej się o powierzonych jej pieczy rodaków. Przydomek „Mateczka” przyłgnał do niej na dobre. W obieg puścił go Michael Glos, rzecznik CSU w chadeckiej frakcji w Bundestagu, z pasji myśliwy, ten sam, który na „pięćdziesiątkę” pani kanclerz sprezentował piersiówkę z własną nalewką myśliwską. W uznaniu dla jej kunsztu celnego strzelania do rywali. Przydomek „Mateczka” na pierwszy rzut oka nie bardzo do niej pasuje. Merkel jest bezdzietna, rozwiedziona, w drugim małżeństwie i jako fizyk władzy nie bardzo przypomina opiekuńczą i drobnomieszcząską matronę. To nie mama-pizza, która w Italii przygotowuje śniadanko 30-letniemu synkowi. Jednak przy bliższym przyjrzeniu się Merkel można się przekonać, że przydomek pasuje jak ulał.

Bo „Mateczka” wygrała także dzięki temu, że nie chce radykalnie zmieniać kraju. Bez zapachu misyjnego, jaki charakteryzuje partyjnych ideologów, praktykuje metodę małych kroków. Raz do przodu, raz w bok, a gdy trzeba, to i do tyłu. Będąc pierwotnie zwolenniczką energii jądrowej, zupełnie zmieniła front, gdy po katastrofie w Fukushima niechęć Niemców do energii jądrowej zamieniła się w fobię. Merkel uważa, że nikt w Niemczech nie powinien się bać, niezależnie od tego, czy lęk jest uzasadniony, czy nie. Zaoferuje wyborcy każdy towar, jaki ten zechce. Płaca minimalna, nie ma problemu. Wprowadzie nie w radykalnym wariacie, jak chce tego SPD, bo godzi to w rynek pracy, ale w złagodzonej formie, czemu nie? W ten sposób Merkel trochę wciela się w pirata. Jeśli SPD postuluje na przykład, że należałoby zahamować rosnące gwałtownie opłaty czynszowe, to pani kanclerz dokonuje „abordażu” tematu i jak

gdyby nigdy nie sprzedaje go potem jako swój. Najważniejsze, by rodziny w Niemczech czuły się bezpiecznie. „Mateczka” jest wprowadzie bezdzietna, ale matki z dziećmi wiedzą, że na Merkel mogą liczyć. „Mateczka” przygarnie zresztą wszystkich wyborców, którzy nieustannie poszukują złotej formuły szczęścia.

„Mateczka” spełnia oczekiwania Niemców, którzy chcą żyć dostatnio i spokojnie. Jak matka w domu nalewa chochlą zupełnym wygłodniałym dzieciom, tak ona, nawet w kryzysie, rozdaje podatkowe prezenty. By każdy był syty i czuł się bezpiecznie. Rządzi, unikając podziałów. Podczas kampanii usypiała wyborców, zmniejszała pojawiające się napięcie. „To nie kampania wyborcza, to kołysanka” – komentowali ze skrzywionymi minami politolodzy z USA. Ale Merkel pasuje idealnie do kraju, w którym kontrasty społeczne są mniejsze niż gdziekolwiek indziej. Stąd wyborcy nad Renem chcą, by nadal im matkowała. Z punktu widzenia Niemców „Mateczka” jest najlepsza. Lepsza od CDU.

Za jej plecami o „Mateczce” szepczą wszyscy ci chadecy, którym jeszcze nie utarła rogów, a którzy muszą się pogodzić z jej dominacją. Stawać na baczność przed kobietą wydaje im się zdradą (męskiego) stanu. No, chyba że przed własną matką. Doświadczyli tego przecież w dzieciństwie i Napoleon, i Aleksander Macedoński, a nawet Józef Stalin. Przydomek „Mateczka”, ucieleśniający postać władcząj matki, pokrywa się z osobistym życiowym wzorem Merkel – carycą Rosji Katarzyną II. Jej portret, oprawiony w srebrne ramy, stoi na jej kanclerskim biurku. Jedyna rzecz osobista, jaką postawiła w gabinecie. Otrzymała go w prezencie, jeszcze gdy nie była kanclerzem. Potem przeczytała biografię carycy i dużo na jej temat rozmawiała z Putinem. W telewizyjnym show „Beckmann” zdradziła sekret swojego podziwu: „W turbulentnych czasach jako roztropny strateg Katarzyna podjęła wiele śmiałych decyzji”^[3]. Tak jak Merkel?

W pierwszej chwili w oczy rzucają się inne analogie. Urodzona w Szczecinie Katarzyna II dorastała w księstwie Anhaltu i jako 14-latką przybyła do Rosji, by poślubić carskiego syna. Merkel natomiast dojrzewała w NRD i w nieco starszym wieku znalazła się w RFN. Obydwie więc musiały zaaklimatyzować się w obcym dla nich świecie. Obydwie rzuciły rękawicę męskiej dominacji. I z walki wyszły zwycięsko. Katarzyna ręką kochanka wysłała swojego męża w zaświaty i przejęła po nim tron. Merkel dokonała ojcobójstwa kanclerza Kohla i wyeliminowała z polityki czołówkę establishmentu starej RFN. Obydwie kobiety wreszcie dla władzy poświęciły swoją tożsamość. Katarzyna rozstała się ze swoim niemieckim imieniem Sophie, gdyż nie było ono odpowiednie w Rosji, i z protestantyzmu przeszła na prawosławie. Angela Merkel porzuciła neoliberalizm na rzecz tureckiego bazaru, oferującego wszystko wszystkim po trochu. Ale Katarzyna zacofaną Rosję wprowadziła do Europy. Zreformowała administrację, sądownictwo, uzdrowiła finanse państwa. No i poszerzyła je kosztem sąsiadów. Merkel dopiero w drugiej kadencji poszła w jej ślady, rezygnując z energii atomowej, likwidując zawodową armię, stawiając pod pręgierzem papieża Benedykta. Wiele jednak niezbędnych reform odesłała do komisji i poczekalni, by nie ryzykować, a jednocześnie utrzymać wyborców w przekonaniu, że kanclerz Niemiec pamięta o wszystkim i wszystkich. Katarzyna nie zawsze święciła triumfy. Wielokrotnie doznawała porażek, reformując kraj, zawodzili ją kochankowie, a na dworze panoszyły się intrygi i plotkarstwo. Merkel tak jak jej idolka może wejść triumfalnie do historii. Ratując Europę.

Jej sukces wyborczy we wrześniu 2013 roku oznacza koniec blokady politycznej Berlina, który przed wyborami zawiesił działalność międzynarodową na kołku. Ku utrapieniu Brukseli,

gdzie dużym łukiem omijano problemy zbyt drażliwe dla Merkel. Na szczycie „rządu światowego” G20, na który prezydent Putin we wrześniu zaprosił do Petersburga, kanclerz była jak martwa dusza. Skoro w Niemczech panuje awersja do interwencji militarnych, to gdy USA na szczycie przedłożyły oświadczenie, domagając się „bardziej zdecydowanej reakcji” na użycie gazu przez reżim w Syrii, Merkel zachowała się kunktatorsko, trafiając do przeciwnego obozu razem z krajami takimi jak Rosja, Indie, Chiny. Powstał pat 10:10, gdyż druga dziesiątka krajów poparła USA, w tym trzej członkowie Unii Europejskiej: Francja, Wielka Brytania i Włochy.

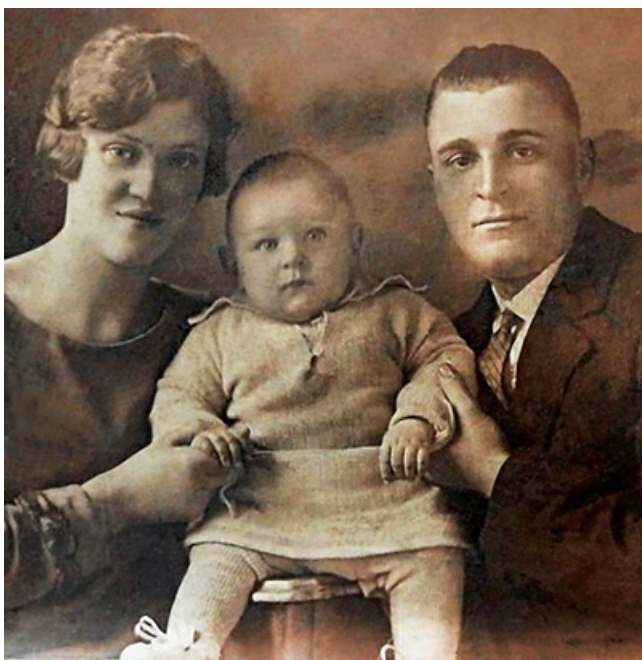
W dalszej perspektywie triumf Merkel i utworzenie rządu z SPD, ale bez pechowca Steinbrücka, ucieszy też polskich fryzjerów. W maratonowych negocjacjach SPD i siostrzana CSU zażądały wysokiej ceny za wejście do rządu: wprowadzenia płacy minimalnej 8,50 euro we wszystkich branżach. We fryzjerskiej spowoduje to eksplozję cen usług. Jeśli w Berlinie za ścięcie i modelowanie włosów mężczyźni płacą 10 euro, to przy stawce 8,50 za godzinę ceny usług podskoczą. Berlińczycy i mieszkańcy wschodnich Niemiec masowo ruszą do fryzjerów do Polski. Mistrzowie grzebienia i nożyczek w przygranicznych rejonach mogą zacierać ręce.

Ale do historii Merkel wzorem swojej idolki przejdzie jako wielka kanclerz tylko w jednym przypadku – jeśli upora się z największym kryzysem Unii Europejskiej. Gdy jej się uda, sama wystawi sobie łuk triumfalny. W całej Unii Europejskiej postrzegana jest jako mocarna cesarzowa. Grecki dziennik „Ta Nea” dzień po wyborczym triumfie pokazał ją na tronie z koroną na głowie, włoska „La Repubblica” okrzyknęła hegemonem Europy. Władzę wykorzysta, by wyciągnąć Europę z zapaści, zapewnia znany finansista amerykański George Soros. Twierdzenie trochę na wyrost, bo fizyk władzy na razie nie splamiła swojego imienia autorską wizją Europy. Najpierw moderowała wyjście Unii Europejskiej z kryzysu finansowego, potem z opresji wyciągała walutę euro. Oczywiście metodą małych kroków.

Na trzecią swoją kadencję pani kanclerz wyciąga jednak pakiet dalekosiężnych reform dla kulejącej Unii Europejskiej pod tytułem: „Więcej władzy dla Brukseli”. Szczególnie jeśli chodzi o kontrolę nad budżetami krajów członkowskich. Komisja Europejska miałaby prawo zawetować budżet członka Unii i narzucić mu poprawki. Pod kątem zwiększenia konkurencyjności jego gospodarki. Szef eurogrupy, krajów, które przyjęły euro, byłby automatycznie ministrem finansów całej Unii. Ingerencja tak wielka, że wymagająca zmian traktatu z Lizbony. Oprócz bata Merkel oferuje marchewkę. Te kraje, które zgodzą się z jej propozycją, zostaną nagrodzone dodatkowym strumieniem euro, pochodzącym z ekstra budżetu eurolandu. Wygląda jednak na to, że muchy na lep nie idą. Propozycja Merkel nie spotkała się z radosnym oddźwiękiem. Hasło więcej władzy dla Brukseli działa raczej jak czerwona płachta na byka. W Austrii w wyborach parlamentarnych, tydzień po niemieckich, eurosceptyczni populiści zostali trzecią siłą w kraju. Do parlamentu weszli nawet protofaszyści leciwego miliardera Franka Stronacha. Ich cel: opuszczenie przez Austrię tonącego europejskiego statku. Na propozycje Merkel nosami kręcą nawet nobliwi europarlamentarzyści z lewa i z prawa. Renegocjacja traktatu z Lizbony to ich zdaniem otwarcie puszkii Pandory. Ratyfikacje traktatu, ciągnące się we wszystkich krajach w zółwym tempie, grożą referendumi narodowymi, w których pod głosowanie podda się nawet obecne ustalenia. Jeśli te przy dzisiejszych nastrojach przypadną, nieszczęście gotowe.

Cesarzowa Europy ma jeszcze jeden wielki projekt: utworzenie największej na świecie strefy wolnego handlu: UE i USA. A w konsekwencji wygenerowanie milionów miejsc pracy dla Europejczyków żyjących z zasiłków dla bezrobotnych. Ale i tutaj zawisły ciemne chmury. Afera

ze Snowdenem w roli głównej, który ujawnił, że amerykański wywiad czyta e-maile Europejczyków i podsłuchuje ich telefony, naruszyła zaufanie i statykę porozumienia międzyatlantyckiego. Szczególnie na domowym podwórku alergiczni na USA wyborcy Merkel wywierają na nią presję, by butnym Jankesom pokazać czerwoną kartkę. Temperaturę w bilateralnych relacjach podnosi kolizyjny kurs w sprawach gospodarczych. USA piętnują największy kraj Europy za 200-miliardową nadwyżkę w bilansie handlowym, która rykoszetem bije w resztę kontynentu, a nawet w gospodarkę światową. Pouczają mentorsko Niemców, że powinni rozwiązać wór z pieniędzmi i żyć na kredyt. Wśród sprzecznych argumentów różnych stron kanclerz wije się jak piskorz. Strefa wolnego handlu odpowiada jej liberalnym przekonaniom, jednym z niewielu, jakie posiada. Dlatego kwestia amerykańskich podsłuchów, nawet jej własnego telefonu, schodzi na dalszy plan. Nie zżyma się na prezydenta Obamę, że zna jej esemesy do prezydenta Gaucka, a pewnie i do męża. Strefa wolnego handlu ma absolutny priorytet. Podobnie jak silna Unia Europejska. Dwa filary w łuku triumfalnym Angeli Merkel.



„Polskie korzenie” Angeli Merkel, po mieczu Kazimierczak, po kądzieli elblążanki. Do dziś taksówkarze w Elblągu pokazują turystom „Dom Merkel”. Na zdjęciu przyszła kanclerz ze zmarłym w 2011 roku ojcem-pastorem, z domu Kazimierczak, i matką Herlind z domu Jentzsch, rodem z Elbląga.
fot. Archiwum prywatne Angeli Merkel/East News



„Szczęśliwe dzieciństwo” w NRD, wedle słów własnych Angeli Dorothy Kasner, jak brzmi panieńskie nazwisko Merkel. Kilka tygodni po narodzinach córki „czerwony pastor” niczym Mojżesz Izraelitów z Egiptu do Ziemi Obiecanej wyprowadził rodzinę z zachodnioniemieckiego Hamburga do nielicznego nawet tysiąc dusz enerdowskiego Quitzw w Brandenburgii.
fot. Archiwum prywatne Angeli Merkel/East News



Krótko po maturze na obozie z przyjaciółmi latem 1973 roku. Kontakty społeczne były dla uczennicy, studentki, członkini młodzieżówki socjalistycznej FDJ i pracownicy Instytutu Chemii Fizycznej psychiczną „poduszką”, pomagającą przezwyciężyć skutki autorytarne wychowania przez pastora-ojca i stygmatyzacji córki duchownego w socjalistycznej NRD.
fot. Archiwum prywatne Angeli Merkel/East News



„Swojego człowieka się wyczuje, a Merkel była w porządku. Najpierw wypła, a potem zaczęła opowiadać o partii” – tak zapamiętał rybak z Lobbe na Rugii spotkanie z 36-letnią Merkel, gdy ta ubiegała się po raz pierwszy o mandat poselski. Bez zmruczenia oka wychyliła cztery szklanice 28-procentowej brandy Goldkrone. Jako kanclerz preferuje smak wina, w latach 2007–2012 otrzymywanego prosto z rąk prezydenta Sarkozy’ego.
fot. Archiwum prywatne Angeli Merkel/East News



W 2000 roku nowo wybrana szefowa niemieckiej chadecji na tle wschodniej ściany berlińskiej galerii, będącej częścią dawnego muru berlińskiego.
fot. Dieter Bauer/Imago/East News



Protesty podczas pierwszej od wybuchu kryzysu euro i finansowej zapaści Grecji wizyty Merkel w kraju bankruta (październik 2012). Z powodu polityki zaciskania pasa okrzyknięto ją nowym Hitlerem. Na ulicach skandowano: „Merkel, twoje reformy są gorsze niż pranie brudnych pieniędzy!”.
fot. Mehdi Chebil/Polaris/East News



Początek kanclerstwa Merkel (2005) zbiegł się z euforią, jaką w Niemczech wywołał organizowany tam w 2006 roku mundial, co zaowocowało wielką fascynacją kanclerz RFN piłką nożną. Tu Merkel w głębokim skłonie składa wyrazy uznania dla piłkarskiego kunsztu Roberta Lewandowskiego i pociesza go po przegranym przez Borussię Dortmund z Bayernem Monachium finale Ligi Mistrzów 25 maja 2013 roku na londyńskim Wembley, gdzie, jak cieszyli się Anglicy, „niemiecka drużyna wreszcie przegrała”.
fot. Jan Huebner/Imago/East News



Najbardziej jednak serce Angeli Merkel bije dla Bastiana Schweinsteigera... Mąż pani kanclerz, wybitny profesor chemii i znawca muzyki Wagnera, uchodzi w trzymilionowym Berlinie za największego laika w dziedzinie futbolu. Podobno sądzi nawet, że rzut karny można wykonywać ręką.
fot. Pixathlon/Reporter/East News



Na najbardziej polityczny mecz ME 2012 Niemcy – Grecja premier Tusk zaprosił kanclerz do Gdańska, gdy kryzys euro, zapaść finansowa Grecji i animozje niemiecko-greckie osiągnęły apogeum. „Grecy będą mieć klęskę za darmo” – huczała niemiecka prasa. A grecka kontrowała: „Jeszcze przed meczem sędzia napędzi Merkel strachu, gdy przy losowaniu stron boiska podrzuci drachmę do góry”. Na meczu pani kanclerz cztery razy podnosiła ręce, fetując gol dla reprezentacji Niemiec. Wielokrotnie też dawała upust swoim emocjom, kopiąc w kostkę prezydenta UEFA Michela Platinię.
fot. Fabrice Coffrini/AFP/East News



W listopadzie 2011 roku włoski koncern modowy Benetton zmontował na potrzebę kampanii „Przeciw nienawiści” serię skandalizujących plakatów, przedstawiających całujących się usta w usta polityków z przeciwstawnych obozów. Kanclerz Merkel znalazła się jednak w parze z kompatybilnym z nią w polityce europejskiej prezydentem Francji Sarkozym. Zresztą specjalne relacje francusko-niemieckie wyróżniały się za kadencji kanclerz Merkel całowaniem jej w rękę przez prezydenta Chiraca i w oba policzki przez prezydenta Sarkozy’ego.
fot. Apaydin Alain/Abaca/East News



Dwie najbardziej wpływowe kobiety świata 2011 roku, kanclerz Niemiec i sekretarz stanu USA Hillary Clinton, w wyśmienitym humorze na spotkaniu w Waszyngtonie w czerwcu 2011 roku.
Manuel Balce Ceneta/AP/East News



Gwiazda rocka Bono z irlandzkiej grupy U2 zasłynął kiedyś z nagrań opiewających biedne ulice. Jako 46-latek

zaangażował się w pomoc dla krajów rozwijających się, znajdując w kanclerz Merkel „pokrewną duszę”. Obydwoje spotkali się na szczycie gospodarczym w szwajcarskim Davos w styczniu 2006 roku.
Walter Bieri/AP/East News



Podczas wizyty prezydenta Putina na dorocznych targach w Hanowerze w kwietniu 2013 roku aktywistki z ukraińskiej organizacji Femen w stroju Amazonek i z napisem na piersiach „fuck dictator” zaprotestowały przeciwko systemowi politycznemu w Rosji. „Kto chce się politycznie wyartykułować, powinien to uczynić ubrany” – skomentował wydarzenie rosyjski gość. „Mam wątpliwości, czy w Niemczech, gdzie wolno protestować, trzeba się uciekać do tak radykalnej formy protestu” – dodała kanclerz Merkel.
Jochen Lurbke/AP/East News



W styczniu 2007 roku, gdy kanclerz Merkel gościła w willi Putina w Soczi, podczas rozmowy polityków do salonu wpadł nagle wielki labrador, prezydencka suka Koni, i zaczął obwąchiwać gościa z Niemiec.
Anatoli Zhdanov/Eyevine/East News

Przypisy

Wstęp

- [1] Julia Amalia Hayer, *Merkels Kurzbesuch in Griechenland*, Spiegel Online, 9.10.2012.
- [2] Bernard-Henri Lévy w rozmowie. *Reformen reichen nicht aus, um Europa zu retten*, „FAZ”, 20.11.2012.
- [3] Alessandro Sallusti, *Quarto Reich*, „Il Giornale”, 3.08.2012.
- [4] Mehdi Hasan, *Europe's most dangerous leader*, „New Statesman”, 21.06.2012.
- [5] Arnaud Montebourg: *Merkel est comme Bismarck*, Le Figaro Online, 30.11.2011.
- [6] Christoph Schwennicke, *Die Domina aus Deutschland*, „Cicero”, 10.04.2013.
- [7] Waldemar Łysiak, *Druck nach Osten*, „Do Rzeczy”, nr 11/2013, 8-14.04.2013.
- [8] Martina Fietz, *Kanzlerin mit hohen Sympathiewerten*, „Focus”, 9.02.2012.
- [9] Miriam Hollstein, Heiko Sakurai, *Miss Tschörmänie. Wie aus Angie unsere Kanzlerin wurde*, Frankfurt am Main 2009.

Córka „czerwonego pastora” – dziedzictwo protestanckiego domu

- [1] Hajo Schumacher, *Die Zwölf Gesetze der Macht*, München 2006, s. 35.
- [2] Alexander Osang, *Das eiserne Mädchen*, „Spiegel-Reporter”, nr 3/2000, s. 21.
- [3] Hinrich Rohbohm, *Die schwarze Genossin*, „Junge Freiheit”, nr 19/2011, 6.05.2011.
- [4] Robert Stupperich, *Otto Dibelius. Ein evangelischer Bischof im Umbruch der Zeiten*, Göttingen 1989, s. 418.
- [5] Zob. Horst Dähn, Joachim Heise (red.), *Staat und Kirchen in der DDR. Zum Stand der zeithistorischen und sozialwissenschaftlichen Forschung*, [w:] Johannes Wirsching (red.), *Kontexte. Neue Beiträge zur Historischen und Systematischen Theologie*, t. 34, Frankfurt am Main 2003; Detlef Pollack, *Kirche in der Organisationsgesellschaft: zum Wandel der gesellschaftlichen Lage der evangelischen Kirchen in der DDR*, Stuttgart 1994, Trutz Rendtorff (red.), *Protestantische Revolution? Kirche und Theologie in der DDR: Ekklesiologische Voraussetzungen, politischer Kontext, theologische und historische Kriterien. Vorträge und Diskussionen eines Kolloquiums in München*, 26-28.03.1992, Göttingen 1993; Peter Franz (red.), *Hinter der Mauer und doch frei. Ein Nachlesebuch von DDR-Christen*, Schkeuditz 1997.
- [6] Gerhard Wettig, *Phasen des DDR-Sozialismus*, [w:] Rainer Eppelmann, Horst Möller, Günter Nooke, *Lexikon des DDR-Sozialismus. Das Staats- und Gesellschaftssystem der Deutschen Demokratischen Republik*, Paderborn 1996, s. 22.
- [7] *Bei Merkels unterm Sofa*, „Focus”, nr 28/2004, 5.07.2004.
- [8] Od założenia NRD w 1949 r. państwo wschodniemieckie prowadziło represyjną politykę wyznaniową. Wprawdzie oficjalnie gwarantowało wolność religijną (Erich Honecker, *Aus meinem Leben*, Ost-Berlin 1982, s. 597), jednak w praktyce przyjmowało ideologicznie wrogą postawę wobec Kościołów i wyznań. Nie przesądzał o tym tylko wrogi chrześcijaństwu światopogląd marksistowski, lecz organizacyjne powiązania Kościoła wschodniemieckiego

z zachodni Niemiec. Zob. Peter Masser, *Kirchen und Religionsgemeinschaften in der DDR 1949–1989*, Konstanz 1992.

[9] Jacqueline Boysen, *Angela Merkel: Eine deutsch-deutsche Biographie*, Berlin 2001, s. 12.

[10] Gerd Langguth, *Angela Merkel. Aufstieg zur Macht*, München 2005, s. 16.

[11] *Aus dem Bericht der Konferenz der Evangelischen Kirchenleitungen vor der Synode des Bundes im Juli 1971 in Eisenach*, [w:] *Kirche als Lerngemeinschaft*, s.172.

[12] *Kirche als Lerngemeinschaft. Dokumente aus der Arbeit des Bundes der Evangelischen Kirche in der DDR*, Berlin 1981, s. 205.

[13] Członkiem Weissensteiner Arbeitskreis był ojciec ostatniego premiera NRD, Lothara de Maizière'a, zmarły w 1980 r. Clemens de Maizière, który w randze członka prowincjonalnego synodu Kościoła ewangelickiego w Berlinie-Brandenburgii donosił Stasi pod kryptonimem „Adwokat”. Maciej Rybiński, *Ryba po polsku – Owsiki trzymajcie się kupy*, „Wprost”, nr 5/2005. Samego Lothara de Maizière'a również podejrzewano o współpracę ze Stasi, „Die Zeit”, nr 5, 24.01.1992.

[14] Christiane Hoffmann, *Der Pfarrer und die Pfarrers Tochter*, „FAZ”, 11.03.2012.

[15] Miguel D'Escoto, Fernando Cardenal, Ernesto Cardenal, *U źródeł teologii wyzwolenia*, Warszawa 1985; Gregor Siefer, *Die Mission der Arbeiterpriester. Ereignisse und Konsequenzen. Ein Beitrag zum Thema: Kirche und Industriegesellschaft*, Essen 1960; Andrzej Micewski, *Współzadzić czy nie kłamać. PAX i ZNAK w Polsce 1945–1976*, Paryż 1978.

[16] Hinrich Rohbohm, *Die schwarze Genossin*, dz. cyt.

[17] Otto Luchterhand, *Die Gegenwartslage der evangelischen Kirche in der DDR. Eine Einführung*, Tübingen 1982, s. 31.

[18] Alexander Osang, *Das eiserne Mädchen*, dz. cyt., s. 27.

[19] Horst Kasner, przemówienie z 8 maja 2004 w Kuhz, Hassleben-Boitzeburger Land.

[20] „Die Kirche”, nr 33, 16.08.1992.

[21] Gerd Langguth, *Angela Merkel. Aufstieg zur Macht*, dz. cyt., s. 64.

[22] Richard Friedenthal, *Marcin Luter*, Warszawa 1992, s. 451.

[23] Karl Heussi, *Kompendium der Kirchengeschichte*, Tübingen 1956, s. 319.

[24] Michael Hollenbach, *Das evangelische Pfarrhaus – ein Abgesang*, „Deutschlandradio Kultur”, 27.06.2009.

[25] Herlinde Koelbl, *Spuren der Macht. Die Verwandlung der Menschen durch das Amt*, München 1999, s. 48

[26] Christine Eichel, *Das deutsche Pfarrhaus*, Berlin 2012.

[27] Jan de Wit, Guus van der Veer, *Psychologie des Jugendalters*, Donauwörth 1982, s. 95;

Gerhard Schmidtchen, *Ethik und Protest, Moralbilder und Wertkonflikte junger Menschen*, Hemsbach 1993, s. 97.

[28] Gabriele Bärtels, *Angela Merkels Kindheit in Templin*, „Frida-Magazin”.

[29] Wszystkie cytaty za: Michael Hollenbach *Das evangelische Pfarrhaus – ein Abgesang*, dz. cyt.

[30] Jacqueline Boysen, *Angela Merkel*, München 2005, s. 15.

[31] Michael Hollenbach, *Das evangelische Pfarrhaus – ein Abgesang*, dz. cyt.

[32] Herlinde Koelbl, *Spuren der Macht*, dz. cyt., s. 48.

[33] Hajo Schumacher, *Die Zwölf Gesetze der Macht*, dz. cyt., s. 37.

[34] Ines Geipel, *No limit. Wie viel Doping verträgt die Gesellschaft?*, Stuttgart 2008; „Spiegel Special”, nr 2/1990, 1.02.1990.

[35] <http://www.frida-magazin.de/html/merkel>, data dostępu 30.11.2013.

- [36] Bettina Ernst-Bertram, Jens Planer-Friedrich, *Pfarrerskinder in der DDR. Aussenseiter zwischen Benachteiligung und Privilegierung*, Berlin 2008.
- [37] Wszystkie cytaty za: Michael Hollenbach, *Pfarrers Kinder*, Deutschlandradio Kultur, 1.03.2008.
- [38] Jacqueline Boysen, *Angela Merkel*, dz. cyt., s. 20.
- [39] Peter Merseburger, *Willy Brandt*, Stuttgart-München 2002, s. 397.
- [40] Alexander Osang, *Das eiserne Mädchen*, dz. cyt., nr 3/2000, s. 27.
- [41] Tamże, s. 28.
- [42] Gerd Langguth, *Angela Merkel. Aufstieg zur Macht*, dz. cyt., s. 60.
- [43] Tamże, s. 61.
- [44] Gabriele Bärtels, *Angela Merkels Kindheit in Templin*, „Frida-Magazin”.
- [45] Alexander Osang, *Das eiserne Mädchen – Teil 2*, „Der Spiegel”, 05.07.2001.
- [46] Evelyn Roll, *Das Mädchen und die Macht*, Berlin 2001, s. 35.
- [47] Gerd Langguth, *Angela Merkel. Aufstieg zur Macht*, dz. cyt., s. 51.
- [48] Wolfgang Büscher, Peter Dausend, *Nicht besser. Nicht schlechter. Anders*, „Berliner Morgenpost”, 12.01.2003.
- [49] *In der Aula trug sie auch mal das FDJ-Hemd*, „Berliner Zeitung”, 20.03.2000.
- [50] Ulrike Hofsähs, *Angela war immer ein ehrlicher Typ – Templin erinnert sich*, DPA, 11.04.2000.
- [51] Ralf Georg Reuth, *Das erste Leben der Angela M.*, München 2013.
- [52] Jacqueline Boysen, *Angela Merkel*, dz. cyt., s. 23.
- [53] Evelyn Roll, *Das Mädchen und die Macht*, dz. cyt., s. 57.
- [54] Alexander Osang, *Das eiserne Mädchen*, dz. cyt., s. 26.
- [55] Jürgen Wolf, *Besondere Vorkommnisse. Das „Zusammenwirken der Organe“ an Schulen in Jena*, [w:] K. Behnke, J. Wolf (red.), *Stasi auf dem Schulhof. Der Missbrauch von Kindern und Jugendlichen durch das Ministerium für Staatssicherheit*. Berlin 1998, s. 153-176.
- [56] *Sie war schon immer intelligenter als alle andere*, „Bild-Zeitung”, 15.06.2004.
- [57] Alexander Osang, *Das eiserne Mädchen*, dz. cyt., s. 26.
- [58] Tamże, s. 28.
- [59] *Phantom der Oper*, „Stern”, 14.08.2005.
- [60] *Politik beim Gemüseputzen*, „Stern”, 17.07.2004.
- [61] *Politik in den preußischen Genen? „Bis zu einem Viertel polnisch“: Nicht nur Elbinger Taxifahrer fragen nach Angela Merkels Wurzeln*, „Preussische Allgemeine Zeitung”, 19.01.2011.
- [62] Stefan Kornelius, *Angela Merkel. Die Kanzlerin und ihre Welt*, Hamburg 2013, s. 18-19.
- [63] *Sauer in der Prinzen-Rolle*, Focus Online, 19.04.2009, http://www.focus.de/politik/deutschland/merkel-gatte-sauer-in-der-prinzenrolle_aid_390826.html, 03.10.2010.
- [64] Dorothee Krings, *Der Mann, der die Kanzlerin prägte*, RP Online, 5.09.2011.

Fizyk władzy

- [1] Hajo Schumacher, *Die zwölf Gesetze der Macht*, dz. cyt., s. 100.
- [2] Majid Sattar, *„...und das bin ich!” – Guido Westerwelle. Eine politische Biografie*, München 2009, s. 218.
- [3] *Guido ist sein grösstes Glück. Michael Mronz – Der Lebensgefährte des Aussenministers spricht*

- erstmalig über Politik und seine große Liebe*, „Bunte“, nr 27/2010, 1.07.2010.
- [4] Stefan Uhlmann, *Geburtstagfeier mit Köpfchen*, „FAZ“, 20.07.2004.
- [5] Wolf Singer, *Der Beobachter im Gehirn*, [w:] Wolf Singer, *Essays zur Gehirnforschung*, Frankfurt 2002.
- [6] Matthias Geyer, *Merkels Hirn*, „Der Spiegel“, nr 31/2004, 26.07.2004, s. 56.
- [7] Brigitte Huber, Andreas Lebert, *Ein Gespräch mit Angela Merkel*, „Brigitte“, nr 18/2005.
- [8] Matthias Geyer, *Merkels Hirn*, dz. cyt., s. 56.
- [9] Edward Nęcka, Jarosław Orzechowski, Aleksandra Słabosz, Błażej Szymura, *Trening twórczości*, Gdańsk 2005, s. 77.
- [10] Hugo Müller-Vogg, *Angela Merkel: Mein Weg*, Hamburg 2004, s. 50.
- [11] *Lernprogramm für das Lehrgebiet Physik*, heraus. vom Ministerium für Hoch- und Fachschulwesen, vom Dezember 1976.
- [12] Hans-Joachim Glemnitz, *Die Geschichte des marxistisch-leninistischen Grundlagenstudiums und der Sektion Marxismus-Leninismus an der Friedrich-Schiller-Universität Jena*, Jena 1980, s. 79.
- [13] Statut Uniwersytetu Karola Marksa w Lipsku z 24 marca 1953.
- [14] Uwe Müller, Grit Hartmann, *Stasi. Zmowa niepamięci*, Poznań 2012, s. 205.
- [15] *Die Leipziger Physik nach 1961*, [w:] Eingemauert. Die sächsischen Hochschulen und der 13. August 1961. Eine Ausstellung zur Erinnerung an den Tag des Mauerbaus vor 50 Jahren, Universitätsarchiv Leipzig 2011. <http://www.archiv.uni-leipzig.de/mauerbau/leipzig/leipzig-abschottung-der-ostdeutschen-issenschaften-2/>, 3.02.2013.
- [16] Hinrich Rohbohm, *Die schwarze Genossin*, dz. cyt.
- [17] Jacqueline Boysen, *Angela Merkel. Eine Karriere*, Berlin 2005, s. 29.
- [18] Verena Köttker, *Eines Tages zog sie aus*, „Focus“, nr 28/2004, 5.07.2004.
- [19] Katrin Schäffgen, *Verdopplung der Ungleichheit. Sozialstruktur und Geschlechterverhältnisse in der Bundesrepublik Deutschland und in der DDR*, Opladen 2000, s. 144.
- [20] Heike Trappe, *Emanzipation oder Zwang? Frauen in der DDR zwischen Beruf, Familie und Sozialpolitik*, Berlin 1995, s. 40-46.
- [21] Gerd Langguth, *Angela Merkel. Aufstieg zur Macht*, München 2008, s. 97.
- [22] Program nauczania dla kierunku fizyka, wydany przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, grudzień 1976.
- [23] Wolfgang Stock, *Angela Merkel. Eine politische Biographie*, München 2000, s. 47.
- [24] *Die sozialistische Familie. Ideologie und Wirklichkeit des Familienbildes in der DDR und Auswirkungen des Transformationsprozesses 1989*, Institut für Sozialwissenschaften Humboldt Universität Berlin, Berlin 2005/2006, s. 15.
- [25] Christoph Seils, *Ich war gerne in der FDJ*, „Cicero“, nr 12/2004.
- [26] Tamże.
- [27] Joachim Palutzki, Holger Barth, *Zur Baupolitik in der Ära Honecker. Das Wohnungsbauprogramm*, [w:] *Planen für das Kollektiv. Dokumentation des 4. Werkstattgesprächs vom 15.-16. Oktober 1998*, hrsg. v. Institut für Regionalentwicklung und Strukturplanung e. V. – IRS-, Erkner 1999.
- [28] Jacqueline Boysen, *Angela Merkel*, dz. cyt., s. 29.
- [29] *Eines Tages zog sie aus*, „Focus“, nr 28/2004, 5.07.2004.
- [30] *Die sozialistische Familie. Ideologie und Wirklichkeit des Familienbildes in der DDR und Auswirkungen des Transformationsprozesses 1989*, Institut für Sozialwissenschaften – Humboldt Universität zu Berlin, Berlin 2005/2006, s. 16.

- [31] *Eines Tages zog sie aus*, dz. cyt.
- [32] Wolfgang Stock, *Angela Merkel*, dz. cyt., s. 54.
- [33] Martina Fietz, *Angela Merkel und ihre Liebe zu türkischem Kaffee*, „Die Welt”, 10.04.2000.
- [34] Wolfgang Stock, *Angela Merkel*, dz. cyt., s. 55.
- [35] Susan Forward, *Toksyczni rodzice*, Warszawa 1989.
- [36] Patrick Illinger, *Brandheiss in Detail*, „Süddeutsche Zeitung”, 24.08.2005.
- [37] Matthias Geyer, *Angela rennt*, „Der Spiegel”, nr 45/2002, 4.11.2002, s. 52.
- [38] Edward Nęcka, *Trening twórczości*, Olsztyn 1989.
- [39] Ryszard Stocki, *Diagnoza organizacji od A do Z. Praktyczny podręcznik diagnozy dla konsultantów, trenerów i menedżerów*, Warszawa 2012.
- [40] Jan Maciejewski, Krzysztof Mazur, *Tamiza wpada do Wisły. Polski Londyn jako fundament III RP*, „Pressje”, nr 30/31, 2012, s. 25.
- [41] Ulrich Schnabel, *Von der Physik siegen lernen*, „Die Zeit”, nr 51/2005, 14.07.2005.
- [42] *Interview mit Angela Merkel*, „Berliner Morgenpost”, 14.11.2010.
- [43] Karl-Rudolf Korte, *Versuch plus Irrtum*, „FAZ”, 22.10.2005.
- [44] Hans-Ulrich Jörges, *Die Physikerin der Macht*, „Stern”, nr 12/2004, 10.03.2004.
- [45] Verena Köttker, Henning Krumrey, *Königin der Macht*, „Focus”, nr 28/2004, 5.07.2004.
- [46] *Die Erste*, „FAS” (20.11.2005).
- [47] Hajo Schumacher, *Die Jounglerin*, „Die Welt”, 20.08.2005.
- [48] Hajo Schumacher, *Die zwölf Gesetze der Macht*, dz. cyt., s. 98.
- [49] *Berufe der Bundestagsabgeordneten*, (16. Wahlperiode), Statista Horizont, Berlin 2005.
- [50] *Merkels Papst-Kritik stösst auf Widerspruch*, *Die Freie Welt*, <http://www.freiewelt.net/nachricht-255/merkels-papst-kritik-st%F6%DFt-auf-widerspruch.html>, 3.01.2013.
- [51] Ina Brandes, *Merkels gescheiterte Wunderwaffe*, Spiegel Online, 5.04.2009.
- [52] Ludwig Greven, *Ein Besuch, der zuspät kommt*, Zeit Online, 8.10.2012.
- [53] Oświadczenie prasowe kanclerz Angeli Merkel po zabiciu Osamy bin Ladena, 2.05.2011.
- [54] *Richter zeigt Kanzlerin Merkel an*, „Tagesspiegel”, 6.05.2011.
- [55] Sabine Adler, Jacqueline Boysen, *Die Kandidatin*, Deutschlandfunk, 3.09.2009.

Czy Angela Merkel była agentką Stasi?

- [1] Uwe Müller, *Das Doppelgesichts des moralischen Scharfrichters*, „Die Welt”, 10.06.2008.
- [2] Oliver Jungen, *Leben ist mehr als Staat*, „FAZ”, 20.05.2009.
- [3] Gerd Langguth, *Angela Merkel. Aufstieg zur Macht*, München 2008, s. 102.
- [4] Jeans Gieseke, *Stasi. Historia*, Kraków 2010, s. 102.
- [5] Uwe Müller, Grit Hartmann, *Stasi...*, dz. cyt., s. 45.
- [6] Andreas Schmidt, *Gegenstrategien. Über die Möglichkeiten, sich zu verweigern*, [w:] Klaus Behnke, Jürgen Fuchs (red.), *Zersetzung der Seele. Psychologie und Psychiatrie im Dienste der Stasi*, Hamburg 1995, s. 161-164.
- [7] Bartosz Wieliński, *Czy można było wykręcić się od donoszenia Stasi*, [w:] *Przeżyć w Berlinie*, blog, 1.05.2009; <http://wielinskiberlin.blox.pl/2009/05/Czy-mozna-bylo-wykracic-sie-od-donoszenia-Stasi.trackback?key=3935a4748b>, 1.09.2012.
- [8] Helmut Müller-Enbergs, *Warum wird einer IM, Zur Motivation bei der inoffiziellen*

- Zusammenarbeit mit dem Staatssicherheitsdienst*, [w:] Klaus Behnke und Jürgen Fuchs (red.), *Zersetzung der Seele...*, dz. cyt., s. 102-129, tu: s. 118.
- [9] *Ex-Stasi-Mitarbeiterin stellt Buch vor*, „Kölner Stadt-Anzeiger“, 23.01.2013; Jana Döhring, *Stasiratte*, Köln 2012.
- [10] Jacqueline Boysen, *Angela Merkel. Eine Karriere*, dz. cyt., s. 96
- [11] *Die inoffiziellen Mitarbeiter. Richtlinien, Befehle, Direktiven*, (red.) *Bundesbeauftragter für die Unterlagen des Staatssicherheitsdienstes des ehemaligen DDR*, Reihe A: Dokumente 1/92, Berlin 1992.
- [12] Gerd Langguth, *Angela Merkel. Aufstieg zur Macht*, dz. cyt., s. 90.
- [13] *Lafo, der Lügner*, „Berliner Kurier“, 12.09.2008.
- [14] Jeans Gieseke, *Stasi. Historia*, dz. cyt., s. 134.
- [15] Gerd Langguth, *Angela Merkel. Aufstieg zur Macht*, dz. cyt., s. 112-113.
- [16] *Oscars Märchen von der linientreuen Merkel*, Bild Zeitung Online, 2.06.2008; <http://www.bild.de/news/standards/maerchen/berlin-intern-4721916.bild.html>, 5.09.2012.
- [17] Timothy Garton Ash, *Niemieckość NRD*, Londyn 1989, s. 65.
- [18] Uwe Müller, *Das Doppelgesichts ...*, dz. cyt.
- [19] Uwe Müller, Grit Hartmann, *Stasi...*, dz. cyt., s. 145.
- [20] Angela Merkel, *Mein Weg. Ein Gespräch mit Hugo Müller-Vogg*. Aktualisierte Ausgabe, Hamburg 2005.
- [21] *Günter Gaus im Gespräch mit Angela Merkel* (1991) Sender: DFF/DDR-F, data emisji: 28.10.1991; Christian Buss, FDJ-Doku in der ARD Bruderkuss im Blauhemd, „Der Spiegel“, 28.07.2009.
- [22] Kathrin Schmidt, *Ich bin schon da*, „Der Freitag“, 3.06.2005.
- [23] Uwe Müller, Grit Hartmann, *Stasi...*, dz. cyt., s. 145.
- [24] Angela Merkel, *Mein Weg...*, dz. cyt., s. 62.
- [25] Michael Schindhelm, *Zweimal Mokka mit Angela*, „Berliner Morgenpost“, 8.03.2000.
- [26] Axel Brüggemann, Reinhard Wengierek, *Ideologische Bauchschmerzen. Die Gauck Akten liegen auf dem Tisch. Der Theaterintendant Michael Schindhelm über seinen Stasi Kontakte, die schwierige Wahrheit und das Gefühl des Ausgeliefertseins*, „Die Welt“, 13.01.2001.
- [27] Timothy Garton Ash, *Niemieckość NRD*, dz. cyt., s. 11.
- [28] Clemens Vollnhals, *Der Fall Havemann: Ein Lehrstück politischer Justiz*, Berlin 1998.
- [29] „Der Spiegel“ 40/2005, 30.09.2005.
- [30] Lothar de Maizière, *Ich will, dass meine Kinder nicht lügen müssen*, Freiburg 2010, s. 21.
- [31] *Dokumente der Stasi belasten Gysi schwer*, Focus Online, 1.04.2012; http://www.focus.de/politik/deutschland/gysi-und-die-stasi-dokument-der-gauck-behoerde-belastet-gysi-schwer_aid_731139.html, 5.09.2012.
- [32] Klaus Rossberg, Peter Richter, *Das Kreuz mit dem Kreuz. Ein Leben zwischen der Staatssicherheit und Kirche*, Berlin 1996.
- [33] Hinrich Rohbohm, *Merkel und das geheimnisvolle Foto*, dz. cyt.
- [34] Ewa Matkowska, *System. Obywatel NRD pod nadzorem tajnych służb*, Kraków 2003, s. 29.
- [35] Annette Maennel, *Frauen im Visier der Stasi: Frauenbild im MfS, inoffizielle Mitarbeiterinnen, „Zersetzung“ von Frauen, Widerständlerinnen, Rolle des Geheimen*, Berlin 1994.
- [36] *Mit Sex und Peitschen*, „Focus Magazin“, nr 11, 2002.
- [37] Hinrich Rohbohm, *Merkel und das geheimnisvolle Photo*, dz. cyt.
- [38] *Krause und Stasi*, „Der Spiegel“, nr 32, 5.08.1991, s. 16-17.

- [39] Rolf Ehlers, *Die de Maizière-Merkel Connection. Ein Blick zurück im Zorn*, [w:] Readers Edition online, 17.11.2010; <http://www.readers-edition.de/2010/11/17/die-de-maiziere-merkel-connection-ein-blick-zurueck-im-zorn/>, 8.09.2012.
- [40] Uwe Müller, Grit Hartmann, *Stasi...*, dz. cyt., s. 144.

Amazonka

- [1] Ariadna Masłowska-Nowak, *Amazonki. Greckie źródła literackie do historii mitu*, Warszawa 1990, s. 83.
- [2] Johannes Leithäuser, *Ich fürchte mich vor gar nichts*, „FAZ”, 30.05.2005.
- [3] Timothy Garton Ash, *Niemieckość NRD*, dz. cyt., s. 10.
- [4] *Schabowski war einer der Schlimmsten*, „Mitteldeutsche Zeitung”, 12.03.2009.
- [5] Internationale Pressekonferenz von Günter Schabowski, in Begleitung der ZK-Mitglieder H. Labs, G. Bell und M. Banaschak, 9. November 1989, [w:] Hans-Hermann Hertle, *Chronik des Mauerfalls. Die dramatischen Ereignisse um den 9. November 1989*, Berlin 2009, s. 141-146.
- [6] *Vermassel das hier nicht*, Wywiad z legendarnym amerykańskim dziennikarzem Tomem Brokaw, Spiegel Online, http://einestages.spiegel.de/static/authoralbumbackground/5349/_vermassel_das_hier_nicht.htm dostęp 22.06.2012.
- [7] Cordt Schnibben, *Die Nacht der Wildschweine*, „Der Spiegel”, nr 45/2009, 2.11.2009, s. 68.
- [8] *Eine friedliche Revolution*, „Der Spiegel”, nr 46/1989, 13.11.1989, s. 19.
- [9] Angela Merkel, *Mein Weg...*, dz. cyt., s. 72.
- [10] Lothar de Maizière, *Ich will...*, dz. cyt., s. 15.
- [11] Angela Merkel, *Mein Weg...*, dz. cyt., s. 72.
- [12] Wywiad z Angelą Merkel w „Berliner Morgenpost”, 12.01.2003.
- [13] Arkadiusz Stempin, *Długa droga do pojednania*, „Newsweek Polska”, 12.11.2009.
- [14] Patricia Clough, *Helmut Kohl. Portret władzy*, Gliwice 1999, s.147.
- [15] *20 lat temu Merkel była w Polsce*, TVN24 online, 9.11.2009, <http://www.tvn24.pl/wiadomosci-ze-swiata,2/20-lat-temu-merkel-byla-w-polsce,114828.html>, dostęp 13.07.2012.
- [16] Wywiad z Angelą Merkel w „Berliner Morgenpost”, 12.01.2003.
- [17] Timothy Garton Ash, *Wiosna obywateli. Rewolucja widziana w Warszawie, Budapeszcie, Berlinie i Pradze*, Londyn 1990, s. 3.
- [18] Jan Baszkiewicz, *Danton*, Warszawa 1990, s 21.
- [19] Patricia Clough, *Helmut Kohl. Portret władzy*, dz. cyt., s. 172.
- [20] Wolfgang Stock, *Angela Merkel...*, dz. cyt., s. 22.
- [21] Alexander Osang, *Die Schläferin*, „Der Spiegel”, nr 46/2009, 9.11.2009, s. 57.
- [22] Tamże, s. 64.
- [23] Jacqueline Boysen, *Angela Merkel. Eine Karriere*, dz. cyt., s. 89.
- [24] Alexander Osang, *Die Schläferin*, dz. cyt., s. 69.
- [25] Lothar de Maizière, *Ich will...*, dz. cyt., s. 60.
- [26] Tamże, s. 66-68.
- [27] Ewald König, *Merkels Welt zur Wendezeit*, EurActiv.de, 5.11.2009.
- [28] Ehrhart Neubert, *Geschichte der Opposition in der DDR 1949–1989*, Bonn 1997.

- [29] Ehrhart Neubert, *Unsere Revolution. Die Geschichte der Jahre 1989/90*, München 2008, s. 87.
- [30] Tony Judt, *Powojnie. Historia Europy od roku 1945*, Poznań 2008, s. 718.
- [31] Angela Merkel, *Mein Weg...*, dz. cyt., s. 78.
- [32] Lothar de Maizière, *Ich will...*, dz. cyt., s. 75.
- [33] Christian Wernicke, *Eine neue Partei mit Bonner Bügelfalten*, „Die Zeit”, nr 52/1989, 22.12.1989.
- [34] Alexander Osang, *Die Schläferin*, dz. cyt., s. 64.
- [35] Sonja Süß, *Politisch Missbraucht? Psychiatrie und Staatssicherheit in der DDR*, Berlin 1998.
- [36] Alexander Osang, *Die Schläferin*, dz. cyt., s. 64.
- [37] Tamże.
- [38] Gerd Langguth, *Angela Merkel. Aufstieg zur Macht*, München 2005, s. 132.
- [39] W rozmowie z autorem w dniu 20.05.2010.
- [40] Wolfgang Stock, *Angela Merkel...*, dz. cyt., s. 26.
- [41] Tamże.
- [42] Alexander Osang, *Die Schläferin*, dz. cyt., s. 67.
- [43] Gerd Langguth, *Angela Merkel. Aufstieg zur Macht*, dz. cyt., s. 132.
- [44] Timothy Garton Ash, *Niemieckość NRD*, dz. cyt., s. 10.
- [45] Lothar de Maizière, *Ich will...*, dz. cyt., s. 77.
- [46] Alexander Osang, *Die Schläferin*, dz. cyt., s. 67.
- [47] W rozmowie z autorem w dniu 20.05.2010.
- [48] *Der brutale Kaiser der DDR*, „Der Spiegel”, Einestages, 27.12.2007.
- [49] Patricia Clough, *Helmut Kohl. Portret władzy*, dz. cyt., s. 179.
- [50] Lothar de Maizière, *Ich will...*, dz. cyt., s. 82.
- [51] Tamże, s. 84.
- [52] Hinrich Rohbohm, *Merkels Türöffner*, „Junge Freiheit”, nr 24/11, 10.06.2011.
- [53] Wolfgang Stock, *Angela Merkel...*, dz. cyt., s. 26.
- [54] Alexander Osang, *Die Schläferin*, dz. cyt., s. 67.
- [55] Gerd Langguth, *Angela Merkel. Aufstieg zur Macht*, dz. cyt., s. 135.
- [56] Alexander Osang, *Die Schläferin*, dz. cyt., s. 68
- [57] Tamże.
- [58] Sabine Rückert, *Die Macht und das Mädchen*, „Die Zeit”, 3.02.2000.
- [59] Lothar de Maizière, *Ich will...*, dz. cyt., s. 126.
- [60] Wolfgang Stock, *Angela Merkel...*, dz. cyt., s. 30
- [61] Ewald König, *Merkels Welt...*, dz. cyt.
- [62] „Stuttgarter Zeitung”, 07.02.2012
- [63] Wolfgang Stock, *Angela Merkel...*, dz. cyt., s. 54.

Łowczyni męskich głów

- [1] Alexander Osang, *Das eiserne Mädchen*, dz. cyt., s. 26.
- [2] Manuela Pohl, *In einem anderen Leben*, „Frankfurter Rundschau”, 2.10.2006.
- [3] Markus Deggerich, *Die Fischer und ihre Frau*, „Der Spiegel”, nr 25/2005, 20.06.2005, s. 34.
- [4] Sabine Rückert, *Die Macht und das Mädchen*, dz. cyt.

- [5] Matthias Geyer, *Angela rennt*, dz. cyt., s. 50.
- [6] Sabine Rückert, *Die Macht und das Mädchen*, dz. cyt.
- [7] Hajo Schumacher, *Die zwölf Gesetze der Macht*, dz. cyt., s. 180.
- [8] Lothar de Maizière, *Ich will...*, dz. cyt., s. 154.
- [9] Wolfgang Stock, *Angela Merkel...*, dz. cyt., s. 28.
- [10] Alexander Osang, *Die Schläferin*, dz. cyt., s. 68.
- [11] Ewald König, *Merkels Welt...*, dz. cyt.
- [12] Hinrich Rohbohm, *Merkels Türöffner*, dz. cyt.
- [13] Alexander Osang, *Die Schläferin*, dz. cyt., s. 68.
- [14] W rozmowie z autorem w Gliwicach, 26.01.2011.
- [15] Ewald König, *Merkels Welt...*, dz. cyt.
- [16] Lothar de Maizière, *Ich will...*, dz. cyt., s. 225-227.
- [17] Tamże, s. 203.
- [18] Wolfgang Stock, *Angela Merkel...*, dz. cyt., s. 32.
- [19] Lothar de Maizière, *Ich will...*, dz. cyt., s. 193
- [20] Tamże, s. 230.
- [21] Jacqueline Boysen, *Angela Merkel. Eine Karriere*, dz. cyt., s. 130.
- [22] Ursula Samary, *10 Jahre CDU-Chefin: Angela Merkel – gut für jede Koalition*, „Rhein-Zeitung”, 9.04.2010.
- [23] Ewald König, *Merkels Welt...*, dz. cyt.
- [24] Alexander Osang, *Die Schläferin*, dz. cyt., s. 69.
- [25] Lothar de Maizière, *Ich will...*, dz. cyt., s. 189.
- [26] Alexander Osang, *Das eiserne Mädchen*, dz. cyt., s. 30.
- [27] Matthias Geyer, *Angela rennt*, dz. cyt., s. 51.
- [28] *Vor 20 Jahren: Die schnelle Wende des Günther Krause*, Spiegel Online – Video.
- [29] Thomas Husmann, *An Merkel mit Pech gescheitert*, „NWZ”, 1.09.2011.
- [30] Hinrich Rohbohm, *Merkels Türöffner*, dz. cyt.
- [31] „Der Spiegel”, nr 17/2000, 24.04.2000.
- [32] Stefan Heym, *Die Heilige Johanna der CDU*, „Der Freitag”, 7.01.2000.
- [33] Joachim Neander, *Ein runder Geburtstag*, „Die Welt”, 22.02.2000.
- [34] Angela Merkel, *Die von Helmut Kohl eingeräumten Vorgänge haben der Partei Schaden zugefügt*, „FAZ”, 22.12.1999.
- [35] Program „Biolk” w niemieckiej telewizji ARD, 27.01.2000.
- [36] „Berliner Zeitung”, 19.01.2000.
- [37] Sabine Rückert, *Die Macht und das Mädchen*, dz. cyt.
- [38] Program „Biolk” w niemieckiej telewizji ARD, 27.01.2000.
- [39] Matthias Geyer, *Angela rennt*, dz. cyt., s. 54.
- [40] Philipp Missfelder (red.), *60 Jahre Junge Union Deutschlands*, Berlin 2007; Wolfgang Hackel, *Die Auswahl des politischen Nachwuchses in der Bundesrepublik Deutschland. Die Junge Union als Sprungbrett für politische Karrieren in der CDU*, [w:] *Studien zur Politik*, t. 2, Stuttgart 1978.
- [41] Markus Feldenkirchen, *Mutti gegen Goliath*, „Der Spiegel”, nr 47/2010, 22.11.2010, s. 42.
- [42] Tamże.
- [43] Jürgen Aretz, Bruno Heck (1917–1989), [w:] Jürgen Aretz, Rudolf Morsey, Anton Rauscher (red.), *Zeitgeschichte in Lebensbildern*, t. 8. Grünewald, Mainz 1997, s. 213-232.
- [44] Albrecht von Lucke, *Die Geschichte kommt hoch. Günter Grass und die Neue Bürgerlichkeit*,

- „Blätter für deutsche und internationale Politik”, nr 10/2006, s. 1255.
- [45] „Bonner Rundschau”, 18.10.1973; „Süddeutsche Zeitung”, 18.10.1973.
- [46] Markus Feldenkirchen, *Mutti gegen Goliath*, dz. cyt., s. 42.
- [47] Tamze.
- [48] Katrin Teschner, *Eine Seilschaft als Machtfaktor in der Union?*, [w:] Braunschweiger Zeitung-Archiv, 1.07.2003. <http://www.braunschweiger-zeitung.de/archiv/eine-seilschaft-als-machtfaktor-in-der-unionid477069>, dostęp 5.04.2013.
- [49] Markus Feldenkirchen, *Mutti gegen Goliath*, dz. cyt., s. 42.
- [50] Arkadiusz Stempin, *Stulecie z Helmutem Schmidtem*, „Znak”, nr 3/2009.
- [51] Saskia Richter, *Das Scheitern eines Alpha-Tiers*, Spiegel Online (25.03.2007). http://einestages.spiegel.de/static/topicalbumbackground/202/das_scheitern_eines_alpha_tiers.ht dostęp 2.02.2012.
- [52] Markus Feldenkirchen, *Mutti gegen Goliath*, dz. cyt., s. 41.
- [53] Ralf Neukirch, Christoph Schult, *Der Männerbund*, „Der Spiegel”, nr 27/2003, 30.06.2003.
- [54] Markus Feldenkirchen, *Mutti gegen Goliath*, dz. cyt., s. 40.
- [55] Tamze, s. 46.
- [56] Tamze.
- [57] Alice Schwarzer, *Editorial. Über Merkel und die M-Frage, die noch immer ein Problem ist*, „Emma”, styczeń/luty 2002.
- [58] Peter Siebenmorgen, *Der Andenpakt*, „Der Tagesspiegel”, 30.05.2005.
- [59] Hajo Schumacher, *Alle gegen eine*, Cicero Online, 23.11.2005.
- [60] „Welt am Sonntag”, 5.01.2002.
- [61] Hajo Schumacher, *Alle gegen eine*, dz. cyt.
- [62] Ulrich Deupmann i inni, *Unter Männern*, „Der Spiegel”, nr 3/2002, 14.01.2002.
- [63] Tamze.
- [64] *Nie mehr Semmeln: Das Frühstück von Wolfratshausen*, „FAZ”, 12.01.2002.
- [65] Markus Feldenkirchen, *Mutti gegen Goliath*, dz. cyt.
- [66] Wolfgang Stock, *Angela Merkel...*, dz. cyt., s. 173.
- [67] Nina Grunenberg, *Die erste Spielerin der Macht*, „Die Zeit”, nr 18/2003, 24.04.2003.
- [68] Tamze.
- [69] *Merz wirft Merkel Wortbruch vor*, Spiegel Online, 14.12.2002.
- [70] „Financial Times Deutschland”, 12.10.2004.
- [71] Markus Feldenkirchen, *Mutti gegen Goliath*, dz. cyt.
- [72] Ralf Neukirch, Christoph Schult, *Der Männerbund*, dz. cyt.
- [73] Hajo Schumacher, *Merkel und Koch. Eine herzliche Rivalität*, „Die Welt”, 29.05.2010.
- [74] Tamze.
- [75] Hajo Schumacher, *Alle gegen eine*, dz. cyt.
- [76] Hajo Schumacher, *Merkel und Koch. Eine herzliche Rivalität*, dz. cyt.
- [77] Sybille Klormann, Britta Udelhoven, *Der Imagewandel von Helmut Kohl, Gerhard Schröder und Angela Merkel. Vom Kanzlerkandidaten zum Kanzler. Ein Schauspiel in zwei Akten*, Forschungsgruppe Deutschland am Centrum für angewandte Politikforschung an der LMU München, München 2008, s. 36.
- [78] Ralf Neukirch, Christoph Schult, *Der Männerbund*, dz. cyt.
- [79] Inge Kloepfer, *Friede Springer. Die Biographie*, Hamburg 2005

- [80] Ralf Neukirch, Christoph Schult, *Der Männerbund*, dz. cyt.
- [81] Hajo Schumacher, „*Anden-Pakt*“ nimmt Friedrich Merz auf, Spiegel Online, 3.11.2005.
- [82] Markus Feldenkirchen, *Mutti gegen Goliath*, dz. cyt.
- [83] Ralf Neukirch, Christoph Schult, *Merkels Schweigen*, „Der Spiegel“, nr 19/2004, 3.05.2004.
- [84] Ulrich Deupmann, Tina Hildebrandt, Jürgen Leinemann, *Herr und Knecht*, „Der Spiegel“, nr 38/2000, 18.09.2000.
- [85] *Hm, schon wieder Schäuble*, „TAZ“, 27.08.2011.
- [86] Petra Bornhöft i inni, *Gefährlicher Sieg*, „Der Spiegel“, nr 11/2004, 08.03.2004.
- [87] Michael Fröhlingdorf, Christoph Schult, *Aufstieg des Schwiegersohns*, „Der Spiegel“, nr 13/2005, 26.03.2005.
- [88] Markus Feldenkirchen, *Mutti gegen Goliath*, dz. cyt.
- [89] Tamże.
- [90] Tamże.
- [91] *Verfassungsgericht bestätigt Schröder im Haare-Streit*, „FAZ“, 26.09.2003.
- [92] Günther Hörbst, *Schröders haariger Sieg*, „Hamburger Abendblatt“, 18.05.2002.
- [93] Lisa Erdmann, *Wir gehen notfalls bis nach Karlsruhe*, „Der Spiegel“, 12.04.2002.
- [94] Matthias Gebauer, *Schröder zieht vor den Kaddi*, „Der Spiegel“, 1.03.2002.
- [95] Daniel Koerfer, *Was rettete Angela Merkel im September 2005?*, „FAZ“, 25.09.2009.
- [96] Severin Weiland, *Kohls unterschätztes Mädchen*, Spiegel Online, 30.05.2005.

Posada kanclerska

- [1] Peter Merseburger, *Willy Brandt*, dz. cyt., s. 596.
- [2] Heinrich August Winkler, *Długa droga Niemiec na Zachód. T. 2. Dzieje Niemiec 1933–1990*, Wrocław 2007, s. 296-297.
- [3] Andreas Schätzke, Joaquín Medina Warmburg, *Sep Ruf. Kanzlerbungalow, Bonn*, Stuttgart, London 2009.
- [4] Petra Bornhöft, *Wenn die Felsenbirne grünt*, „Der Spiegel“, nr 51/2000, 18.12.2000, s. 47.
- [5] Gerhart Laage, *Wie in einer Sparkasse*, „Die Zeit“, 13.02.1976.
- [6] Peter Merseburger, *Willy Brandt*, dz. cyt., s. 596.
- [7] Willy Brandt, *Begegnungen und Einsichten. Die Jahre 1960–1975*, Hamburg 1976, s. 82.
- [8] Peter Merseburger, *Willy Brandt*, dz. cyt., Stuttgart 2002, s. 458.
- [9] Jan Fleischhauer, *Im Kanzleramt*, „Der Spiegel“, nr 38/2005, 17.09.2005, s. 30.
- [10] Philipp Wittrock, *Strippenzieher mit Startproblemen*, „Der Spiegel“, 2.02.2010.
- [11] Wolfgang Jäger, Karl Bracher, Werner Link, *Republik im Wandel 1969–1974*, t. 5, Stuttgart 1986, s. 87.
- [12] Jan Fleischhauer, *Im Kanzleramt*, dz. cyt., s. 31.
- [13] Gregor Schöllgen, *Willy Brandt. Die Biographie*, Berlin 2001, s. 154.
- [14] Patricia Clough, *Helmut Kohl...*, dz. cyt., s. 119
- [15] Hajo Schumacher, Ist das nicht herrlich?, „Der Spiegel“, nr 32/1997, 4.08.1997, s. 40.
- [16] Günter Buchstab, *Konrad Adenauer in Cadenabbia*, Düsseldorf 1992.
- [17] *Schröder Ehrenbürger in Ischia*, „Focus“, 15.03.2004.
- [18] *Schröder minaccia di annullare le ferie in Italia*, „Corriere della Sera“, 8.07.2003.

- [19] Willy Brandt, *Begegnungen und Einsichten...*, dz. cyt., s. 596.
- [20] Kim-Björn Becker, *Das Fliegende Kanzleramt*, „Süddeutsche Zeitung”, 31.03.2011.
- [21] Peter Merseburger, *Willy Brandt*, dz. cyt., s. 596.
- [22] Patricia Clough, *Helmut Kohl. Portret władzy*, dz. cyt., s. 118.
- [23] Jan Fleischhauer, *Im Kanzleramt*, dz. cyt., s. 36.
- [24] Peter Merseburger, *Willy Brandt*, dz. cyt., s. 626.

Czarna wdowa?

- [1] Matthias Geyer, *Angela rennt*, dz. cyt., s. 54.
- [2] „Der Spiegel”, nr 16/2000, s. 52.
- [3] Michael Glos, *Angela Merkel. Die Jägermeisterin*, „Bild am Sonntag”, 4.07.2004.
- [4] Bernard Bernarding, *Schwarze Witwe mit festem Biss*, olksfreund. de 22.12.2004.
- [5] *Mutti, die Schwarze Witwe*, jetzt. de – „Süddeutsche Zeitung”, 20.05.2012.
- [6] Hajo Schumacher, *Die Zwölf Gesetze der Macht*, dz. cyt., s. 121.
- [7] O sile berlińskiej mniejszości seksualnej zob. Eduard Stapel, „*Der Schwulenverband in Deutschland*”, *seine Aufgaben und Perspektiven*, [w:] *Geschichte und Perspektiven von Lesben und Schwulen in den neuen Bundesländern, nr 4, Senatsverwaltung für Bildung, Jugend und Sport Berlin*.
- [8] Werner van Bebber, *Wer ist Friedbert Pflüger*, „Der Tagesspiegel”, 23.01.2006.
- [9] O kampanii wyborczej w Berlinie zob. Horst Willi Schors, *Am besten Wowi Bär*, [w:] *Kölner Stadt-Anzeiger*, 13.09.2006.
- [10] Armin Fuhrer, *Wowereits warme Worte*, „Focus”, 9.08.2006.
- [11] Ralf Neukirch, *Aus für den Andenpakt*, „Der Spiegel”, nr 17/2007, 23.04.2007.
- [12] Dirk Koch, *Messerscharf getrennt*, „Der Spiegel”, nr 39/2007, 22.09.2007.
- [13] Przemówienie kanclerz Angeli Merkel na uroczystości 65-lecia Elmara Broka <http://www.bundesregierung.de/Content/DE/Rede/2012/01/2012-01-23-bkin.kas.html;jsessionid=2C56F380D88332B4E69EC030C99A7A5A.s4t2?nn=391814>, dostęp 22.03.2012.
- [14] Alwin Schröder, *Magna cum laude in Machtlosigkeit?* Spiegel Online, 6.03.2001.
- [15] Tamże.
- [16] Ralf Beste, René Pfister, *Ende der ewigen Treue*, „Der Spiegel”, nr 10/2009, 02.03.2009.
- [17] Markus Feldenkirchen, *Mutti gegen Goliath*, dz. cyt.
- [18] Markus Feldenkirchen, *Out of Erbach*, „Der Spiegel”, nr 46/2007, 12.11.2007.
- [19] *Hat Minister Jung die Wahrheit verschwiegen?*, „Bild Zeitung”, 26.11.2009.
- [20] Peter Scholl-Latour, *Zwischen den Fronten. Erlebte Weltgeschichte*, München-Berlin 2007, s. 307-317.
- [21] Ulrike Demmer i inni, *Ein deutsches Verbrechen*, „Der Spiegel”, nr 5/2010, 01.02.2010.
- [22] *Die Lockerheit ist für mich nicht ganz einfach. Rozmowa René Pfister z Güntherem Oettingerem*, „Der Spiegel”, nr 31/2008, 28.07.2008.
- [23] Jürgen Dahlkamp, Felix Kurz, *Der neue Merz?*, „Der Spiegel”, nr 16/2005, 18.04.2005.
- [24] Wolfram Wette (red.), *Filbinger – eine deutsche Karriere*, Springe 2007.
- [25] Arkadiusz Stempin, *Kryzys chadeckiego konserwatyzmu ery Angeli Merkel*, [w:] Arkadiusz Stempin (red.), *Niemcy*, „Kultura i Polityka. Zeszyty Naukowe WSE im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie”, nr 8/2010, Kraków 2011, s. 83.
- [26] Ralf Neukirch, *Aus für den Andenpakt*, dz. cyt.

- [27] *Die Lockerheit ist für mich nicht ganz einfach. Rozmowa René Pfister z Güntherem Oettingerem*, dz. cyt.
- [28] *Die Wahl zum 17. Deutschen Bundestag am 27. September 2009. Vorläufige Ergebnisse für Baden-Württemberg*, Reihe Statistische Analysen, 4/2009, Stuttgart 2009, s. 3.
- [29] *Die Lockerheit ist für mich nicht ganz einfach, Rozmowa René Pfister z Güntherem Oettingerem*, dz. cyt.
- [30] *Günther Oettinger trennt sich von seiner Frau*, „Die Welt”, 10.12.2007.
- [31] Sebastian Fischer, *Oettinger nutzt letzte Ausstiegschance*, Spiegel Online, 24.10.2009.
- [32] Jürgen Trabant, *Die gebellte Sprache*, „FAZ”, 27.09.2007.
- [33] Christoph Schult, *Kommissar Zufall*, „Der Spiegel”, nr 10/2011, 5.03.2011.
- [34] Tekst oświadczenia prezydenta Köhlera [w:] *Die Kritik entbehrt jeder Rechtfertigung*, „FAZ”, 31.05.2010.
- [35] Florian Gathmann, Veit Medick, Philipp Wittrock, *Operation Röschen*, Spiegel Online, 2.06.2010.
- [36] Michael Fröhlingsdorf, Christoph Schult, *Aufstieg des Schwiegersohns*, dz. cyt.
- [37] Joachim Nagel, *Femme fatale. Faszinierende Frauen*, Stuttgart 2009; Izabela Surynt, *Zur Geschichte und Entstehung des Typus der „femme fatale” in der deutschen Literatur um die Jahrhundertwende*, „Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Powstańców Śląskich w Opolu. Filologia Germańska”, 1993 z. 1, s. 65-76.
- [38] „*Unsere Ehe hat keine Zukunft*”, „Stern”, 6.06.2006.
- [39] Michael Bröcker, *Bettina Wulff, die First Class Lady*, RP Online <http://www.rp-online.de/digitales/rp-plus/bettina-wulff-die-first-class-lady-1.2182909> dostęp 29.03.2012.
- [40] Sebastian Huld, *Miss Perfect will nach Bellevue*, „Stern”, 5.06.2010.
- [41] Jean Orieux, *Talleyrand*, Warszawa 1989, s. 160.
- [42] Ulrike Ruppel, *Die heikle Gratwanderung des Christian Wulff*, „Berliner Zeitung”, 17.12.2011.
- [43] Ulrich Exner, *Auf den Spuren des Präsidenten-Schlamassels*, „Die Welt”, 18.12.2011.
- [44] Veit Medick, Florian Gathmann, *Drama in drei Akten*, Spiegel Online, 1.07.2010.
- [45] Thomas Holl, *Andenpakt, letzter Akt*, „FAZ”, 1.07.2010.
- [46] Bartosz Wieliński, *Kłeska i upadek prezydenta Wulffa*, „Gazeta Wyborcza”, 18/19.02.2012.
- [47] *Wulffs Ehefrau soll kostenlos Luxus-Mode getragen haben* Spiegel Online, 6.01.2012.
- [48] *Mit Pauken und Vuvuzelas*, Spiegel Online, 8.03.2012.
- [49] Robin Alexander, *Mit Koch verliert Merkel einen wichtigen Fachmann*, „Die Welt”, 25.05.2010.
- [50] Sebastian Fischer, *Abschied des Angreifers*, Spiegel Online, 25.05.2010.
- [51] Hajo Schumacher, *Merkel und Koch – eine herzliche Rivalität*, dz. cyt.
- [52] Martina Fietz, *Die CDU verliert ein Urgestein und einen Spieler*, „Focus”, 22.01.2011.
- [53] „*Ich halte nichts von Machtworten*”. Rozmowa z Peterem Müllerem, „Bild Zeitung”, 11.07.2010.
- [54] Marc Widmann, *Der amtsmüde Schachspieler*, „Süddeutsche Zeitung”, 17.12.2010.
- [55] „Der Spiegel” 44/2005 (31.10.2005), s. 203.
- [56] Uchwała Bundesratu, maszynopis 736/11, 25.11.2011.
- [57] Frank Drieschner, *Plötzlich Richter*, „Die Zeit”, nr 5/2011, 27.01.2011.
- [58] Markus Feldenkirchen, *Mutti gegen Goliath*, dz. cyt., s. 40.
- [59] Peter Müller, *Auftritt mit Würze*, „Der Spiegel”, nr 49/2012, 3.12.2012.

- [60] *Gutenberg und die Opel-Krise: Geburtsstunde eines Phänomens*, „Süddeutsche Zeitung”, 16.02.2011.
- [61] http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/1/1f/Barcode_zeilen.png, dostęp 6.04.2013.
- [62] *Den Überblick über die Quellen verloren. Gutenbergs Rede am 21.02.2011 in Kelkheim auf einer CDU-Veranstaltung*, „Frankfurter Rundschau”, 22.02.2011.
- [63] Günter Bannas, *Vertrauen ist gut, aber kein Blankoscheck*, „FAZ”, 23.02.2011.
- [64] Franz Josef Wagner, *Lieber Dr. zu Gutenberg*, „Bild Zeitung”, 17.02.2011.
- [65] *Verhöhnung aller wissenschaftlichen Hilfskräfte*, Spiegel Online, 25.02.2012.
- [66] Süddeutsche Zeitung Online, 1.03.2011.
- [67] Caroline Stern, *„Mutti Merkel hat einen ihrer Söhne geköpft”*, „Die Welt”, 17.05.2012.
- [68] *Merkel entlässt Röttgen*, taz. de, 16.05.2012.
- [69] Mathias Zschaler, *„Sie hat diesen Mann benutzt”*, Spiegel Online, 17.05.2012.
- [70] *Die Patin hat abgedrückt*, „Der Spiegel”, nr 22/2012, 26.05.2012, s. 8.
- [71] *Mutti, die Schwarze Witwe*, jetzt. de – „Süddeutsche Zeitung”, 20.05.2012.
- [72] Dirk Kurbjuweit, *Mann ohne Goldrand*, „Der Spiegel”, nr 40/2012, 1.10.2012, s. 36.
- [73] Margreth Lünenborg, Jutta Röser (red.), *Ungleich Mächtig. Das Gendering von Führungspersonen aus Politik, Wirtschaft und Wissenschaft in der Medienkommunikation*, Bielefeld 2012.
- [74] Margreth Lünenborg, Jutta Röser, *Geschlecht und Macht in den Medien – ein integratives Forschungsdesign*, [w:] Margreth Lünenborg, Jutta Röser (red.), *Ungleich Mächtig...*, dz. cyt., s.16.
- [75] Termin z zakresu psychologii, który opisuje sytuację otrzymywania sprzecznych ze sobą komunikatów od ważnej osoby. Na przykład matka daje synowi do założenia koszulę białą i czarną. Gdy syn zakłada czarną, jest niezadowolona, że nie założył białej, gdy zakłada białą, jest niezadowolona, że nie założył czarnej.
- [76] Margreth Lünenborg, Jutta Röser, Tanja Maier, Kathrin Müller, Elke Grittmann *„Merkels Dekolleté” als Mediendiskurs. Eine Bild-, Text- und Rezeptionsanalyse zur Vergeschlechtlichung einer Kanzlerin*, [w:] Margreth Lünenborg (red.), *Politik auf dem Boulevard? Die Neuordnung der Geschlechter in der Politik der Mediengesellschaft*, Bielefeld 2009, s. 73-102.
- [77] Nadja Sennewald, *Aschenputtel, Femme fatale und Eiserne Lady. Ereignisbilder und ihre Diskurspolitik am Beispiel von Angela Merkel, Gabriele Pauli und Hillary Clinton*, „Femina Politica. Repräsentation im Wandel”, z. 2/2008, s. 79-89, tu s. 85-86.
- [78] Andreas Herholz, *Treuester Bündnispartner der Kanzlerin*. Wywiad z Gerdem Langguthem, „NWZ”, 26.05.2010.
- [79] *Merkels Ponyhof*, Sprengsatz – Das Politik-blog aus Berlin, 25.05.2010.

Poskromicielka niemieckiej chadecji

- [1] Johannes Leithäuser, *Katz und Kanzlerin*, „FAZ”, 5.12.2012.
- [2] Peter Müller, *Partei der Stille*, „Der Spiegel”, nr 48/2012, 26.11.2012, s. 34.
- [3] Herta Paulus, *Esebe die Vielfalt*, „FAZ”, 5.10.2007.
- [4] 1 BvR 1164/07 – Uchwała z 7 lipca 2009.
- [5] 1 BvR 611/07 i BvR 2464/07 – Uchwała z 17 sierpnia 2010.
- [6] 2 BvR 1397/09 – Uchwała z 9 czerwca 2012.

- [7] Wreszcie urzeczywistnić w praktyce politycznej podatkowe zrównanie zarejestrowanych związków partnerskich. Wniosek trzynastu członków niemieckiego parlamentu, 6.08.2012.
- [8] Guido Bohsem, *Ein Mann wie eine Walze*, „Süddeutsche Zeitung”, 12.07.2012.
- [9] *CDU gegen steuerliche Gleichstellung der „Homo-Ehe*”, „FAZ”, 5.12.2012.
- [10] Hans Peter Schütz, *Friede, Freude, Merkel*, „Stern”, 3.12.2012.
- [11] Vladimir Palko, *Pod złą gwiazdą chrześcijańskiej demokracji*, „Frona”, 58/2011, s. 138.
- [12] Christoph Schwennicke, *Germanias Kampf um Berlin*, „Der Spiegel”, nr 39/2009, 21.09.2009, s. 39.
- [13] Tamże, s. 40.
- [14] Peter Müller, *Partei der Stille*, dz. cyt., s. 34.
- [15] Johannes Leithäuser, *Katz und Kanzlerin*, dz. cyt.
- [16] Alexander Gauland, *Mit Angela Merkel hat die CDU ihr Seele verloren*, „Die Welt”, 23.06.2011.
- [17] Ralph Bollmann, *Viel Geduld und wenig Fehler*, „TAZ”, 9.04.2010.
- [18] Arkadiusz Stempin, *Papież-profesor w rodzinnej Bawarii*, „Znak”, nr 11/2006, s. 14-16.
- [19] *Die Mitglieder der CDU*. „Eine Umfrage der Konrad-Adenauer-Stiftung. Zukunftsforum Politik”, nr 84/2007, Sankt Augustin/Berlin 2007, s. 10.
- [20] Alexander Marguier, *Die Christdemokratie auf dem Weg in die Bedeutungslosigkeit*, „Cicero”, 2.08.2011.
- [21] *Das Gehirn hat völlig falsche Vorstellungen*, „Süddeutsche Zeitung”, 17.05.2010. Cornelia Stolze, *Die Entzauberung der Seele*, „Berliner Zeitung”, 1.07.1998.
- [22] Wywiad z Wolfem Singerem, „Forum”, 20.05.2001.
- [23] Stefan Reinecke, *Zu viel Versöhnung*, „TAZ”, 1.10.2012.
- [24] Paul Nolte, *Die Krise des Konservatismus*, „Die Zeit”, 26.07.2001.
- [25] Michael Hanfeld, *Angela Merkel macht den Obama*, „FAZ”, 23.03.2009.
- [26] Wolfgang Benz, *Hohmann-Affäre*, [w:] Wolfgang Benz (Hrsg.), *Handbuch des Antisemitismus. Judenfeindschaft in Geschichte und Gegenwart*. Bd. 4. *Ereignisse, Dekrete, Kontroversen*, Berlin 2011, s. 16.
- [27] Michael H. Spreng, *Merkels Ponyhof*, Sprengsatz – Das Politik-Blog aus Berlin, 25.05.2010.
- [28] René Pfister, *Merkels Sekretär*, „Der Spiegel”, nr 32/2006, 7.08.2006, s. 36.
- [29] *Böse Worte über Bosbach*, „FAZ”, 3.10.2011.
- [30] Matthias Geyer, *Angela rennt*, dz. cyt., s. 52
- [31] Claudia Kramer-Santel, *Zu altmodisch, zu steif: Ruprecht Polenz sorgt sich auch um Münster*, „Westfälische Nachrichten”, 22.10.2012.
- [32] Stefan Mappus, Markus Söder, Philipp Missfelder, Hendrik Wüst, *Moderner bürgerlicher Konservatismus – Warum die Union wieder mehr an ihre Wurzeln denken muss*, „FAZ”, 5.09.2007.
- [33] *Freiheit und Sicherheit. Grundsätze für Deutschland. Das Grundsatzprogramm*, 3–7 grudnia 2007.
- [34] *Gdzie jest „C” w CDU. Rozmowa z Martinem Lohmannem*, „Frona”, nr 53/2011, s. 169.
- [35] Christoph Schwennicke, *Germanias Kampf um Berlin*, dz. cyt., s. 42.
- [36] Heinz-Joachim Fischer, *Vom Theologen zum Papst. Joseph Ratzinger – Benedikt XVI*, Münster 2010, s. 277.
- [37] *Merkel fordert vom Papst klare Worte*, „Süddeutsche Zeitung”, 3.02.2009.
- [38] Mathias Döpfner, *Unfehlbar?*, „Bild Zeitung”, 3.02.2009.

- [39] Daniel Deckers, *Der Kardinal. Karl Lehmann. Eine Biographie*, München 2004, s. 365.
- [40] Alexander Marguier, *Christdemokratie...*, dz. cyt.
- [41] *Die Causa Werner Münch*, CDU-politik. de, 28.02.2009.
- [42] Sondaz Emnid, 19.07.2009.
- [43] Ralf Dahrendorf, *Die Krisen der Demokratie. Ein Gespräch*, München 2002.
- [44] *Hochrechnung: Schwarz-gelb gewinnt die Bundestagswahl*, „Der Spiegel”, 27.09.2009.
- [45] Lisa Caspari, *Merkel rettet sich mit einer Rede*, „Die Zeit”, 15.11.2010.
- [46] Volker Resing, *Angela Merkel. Die Protestantin*, Leipzig 2009, s. 141.
- [47] Lisa Caspari, *Merkel...*, dz. cyt.
- [48] Mariam Lau, *Die gläubige Frau Schavan und die Stammzellen*, „Die Welt”, 13.12.2007.
- [49] Christoph Schwennicke, *Germanias Kampf um Berlin*, dz. cyt., s. 43.
- [50] *Abschaffung der Wehrpflicht: Guttenberg bekommt Unterstützung aus der SPD*, „Der Spiegel”, 12.06.2010.
- [51] Wulf Schmiese, *Es fehlt die Erklärkanzlerin*, „FAZ”, 24.02.2009.
- [52] Wulf Schmiese, *Merkel zwischen allen Stühlen*, „FAZ”, 2.02.2009.
- [53] Markus Feldenkirchen i inni, *Die Nicht-Regierung*, „Der Spiegel”, nr 26/2011, 27.06.2011, s. 33.
- [54] Roland Nelles, *Merkels Alptraum*, „Der Spiegel”, 21.01.2013.
- [55] Henning Krumrey, *CDU verliert Gesicht – und ihre Wählerschicht*, „Wirtschafts Woche”, 14.11.2011.

Całkiem zwyczajna kobieta wkolejce do sklepowej kasy

- [1] Alexander Osang, *Die deutsche Queen*, „Der Spiegel”, nr 20/2009, 1.05.2009, s. 50.
- [2] Tamże, s. 38.
- [3] Tamże, s. 40.
- [4] *Wenn Merkel viel Geld hätte... Sie würde Mini fahren*, ntv. de, 9.11.2006.
- [5] Lars Gartenschläger, *Merkels warmherzige Kabinen-Dates mit Löws Elf*, „Die Welt”, 16.10.2012.
- [6] Moritz Rinke, *Also sprach Metzelder zu Mertesacker*, Kiepenheuer & Witsch, Köln 2012.
- [7] Evelyn Roll, *Mutter Courage und ihre Buben*, „Süddeutsche Zeitung”, 19.05.2010.
- [8] Przemówienie noworoczne dr Angeli Merkel, 31.12.2005.
- [9] Christoph Schwennicke, *Die Glucke der Nation*, „Cicero”, 25.06.2012.
- [10] „Bild Zeitung”, 24.01.2013.
- [11] Natalie Tenberg, *An dieser Fleischtheke kauft Merkel ihre Gans*, „TAZ”, 22.05.2007.
- [12] Alexander Osang, *Die deutsche Queen*, dz. cyt., s. 50.
- [13] *Kanzlerin in der Kaufhalle*, „Märkische Allgemeine”, 19.09.2009.
- [14] *Merkel mag als Dessert gerne Käse*, „FAZ”, 21.07.2012.
- [15] Christoph Schwennicke, *Die Glucke der Nation*, dz. cyt.
- [16] *Neuarrangement aus dem Bestand*, „FAZ”, 14.04.2008.
- [17] Tamże.
- [18] *Merkel punktet mi tiefen Einblicken*, „Focus”, 14.04.2008.
- [19] Alexander Osang, *Die deutsche Queen*, dz. cyt., s. 50.
- [20] *Merkel wird privat*, news. de, 25.08.2009.

[21] Jens Maier, *Das Kleid kennen wir doch!*, „Stern”, 11.08.2008.

Menedżerka unijnego kryzysu

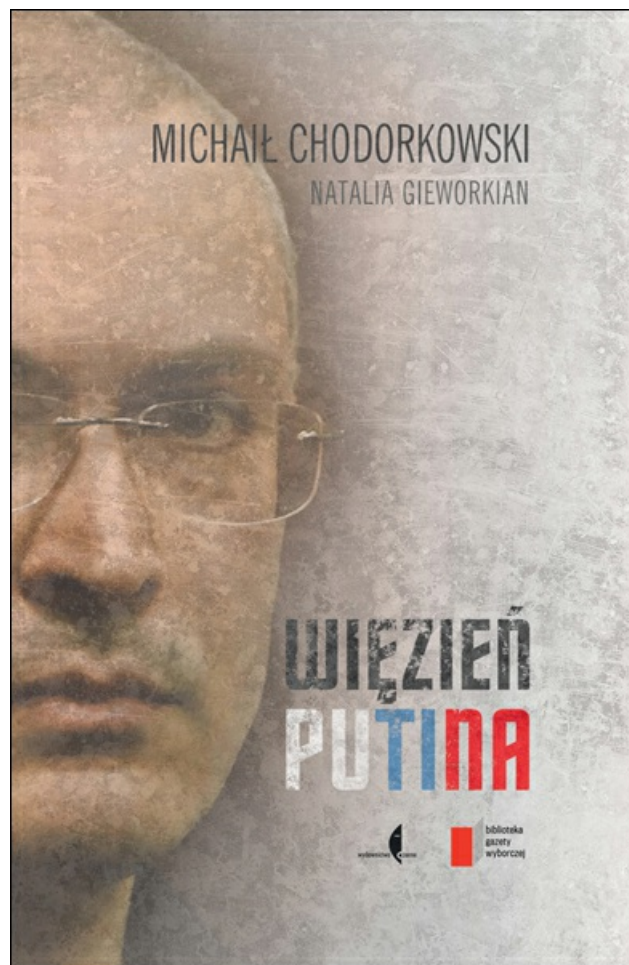
- [1] *Merkel sagt Treffen bei Kultusministern ab*, „Bild Zeitung”, 20.10.2012.
- [2] Veit Medick, Severin Weiland, *Die eiserne Spar-Kanzlerin wird weich*, Spiegel Online, 5.06.2012.
- [3] *Griechenland hat sich den Beitritt erschlichen*, „Die Zeit”, 12.12.2011.
- [4] http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114871,13301030,Urzednik_falszowal_badania_by_Grecja_dostala_pomoc.html, 15.02.2013.
- [5] Przemówienie kanclerz Niemiec dr Angeli Merkel na posiedzeniu niemieckiego Bundestagu poświęconym uchwaleniu ustawy budżetowej 2010 w dniu 17 marca 2010, [w:] Nikolas Busse, *Als der Euro gerettet wurde*, „FAZ”, 29.07.2010. Berlin, „Bulletin der Bundesregierung”, nr 27/1 z 17 marca 2010.
- [6] Peter Ludlow, *In the Last Resort. The European Council and the Euro Crisis, Spring 2010*, EuroComment Briefing Note, vol. 7, no. 7/8.
- [7] Nikolas Busse, *Als der Euro gerettet wurde*, dz. cyt.
- [8] Oświadczenie kanclerz Niemiec Angeli Merkel i ministra spraw zagranicznych Westerwellego odnośnie do postanowień ministrów finansów krajów UE w sprawie waluty euro.
- [9] *Merkel schenkt Sarkozy einen Teddy*, „Merkur”, 24.10.2011.
- [10] *Wie aus Merkel und Sarkozy Sarkozy wurde*, „Frankfurter Rundschau”, 3.05.2012.
- [11] *Grecja zaskakuje, referendum w sprawie pomocy jeszcze w tym roku?*, TVN24, 2.11.2011.
- [12] Sascha Lehnartz, *Zum Glück hat Sarkozys Tochter eine schöne Mutter*, „Die Welt”, 4.11.2011.
- [13] *Ein Merkellebenlang*, „Die Zeit”, 27.06.2012.
- [14] *Spanien ist nicht Uganda*, „Die Zeit”, 11.06.2012.
- [15] Richard Fraunberger, *Merkel, immer wieder Merkel*, „Die Zeit”, 23.06.2012.
- [16] *Die Schuldenunion rückt näher*, „FAZ”, 29.06.2012.
- [17] *Umfrage: Griechenland und Euro-Krise*, „Die Zeit”, 23.05.2012.
- [18] *Der gute Gast aus Athen*, „Süddeutsche Zeitung”, 25.08.2012.
- [19] Tamże.
- [20] *EZB will ohne Limit Staatsanleihen kaufen*, „FAZ”, 6.09.2012.
- [21] Larry Elliott, *Mehr Schlechtes als Gutes*, „Der Freitag”, 7.09.2012.
- [22] *Der preussische Italiener*, „Focus”, 31.10.2011.
- [23] *Notbankfinanzierung kann süchtig machen*, „FAZ”, 26.08.2012.
- [24] *Merkel lässt Weidmann in Stich*, „Die Welt”, 10.09.2012.
- [25] *Merkels supports Bundesbankchef*, „Financial Times”, 26.08.2012.
- [26] *Verkauft doch eure Inseln, ihr Pleite-Griechen*, „Bild Zeitung”, 27.10.2010.
- [27] Jan Pfaff, *Der gefährlichste Mann Europas*, „Der Freitag”, 24.05.2012.
- [28] Moritz Kirchner, *Eine inspirierende Erfahrung*, „Die Linke”, 20.09.2012.
- [29] Albrecht Meier, Anke Myrrhe, *Wie wichtig ist Frankreich noch?*, „Tagesspiegel”, 22.04.2012.
- [30] *Helmut Kohl erhält Kopie des Nobelpreises*, RP-online, 19.12.2012.
- [31] W rozmowie: Jacques Attali, *Für ein neues Europa*, „FAZ”, 21.01.2013.

- [32] *Merkel vermisst ihren Kirchenchor*, „Focus”, 11.12.2006.
- [33] Thomas Gutschkehr, *Europäerin aus Vernunft*, „FAZ”, 13.10.2012.
- [34] Tamże.
- [35] Michał Komar, *Świat według Mellera*, t. 2., Warszawa 2008, s. 228-238.
- [36] Przemówienie kanclerz Niemiec Angeli Merkel podczas nadania premierowi Tuskowi Nagrody Karola Wielkiego w Akwizgranie, 13.05.2010.
- [37] *Europäische Union erhält den Friedensnobelpreis*, „FAZ”, 10.12.2012.
- [38] Peter Sloterdijk, *Kryształowy Pałac*, Warszawa 2011.
- [39] Timothy Garton Ash, *Europa, Amerika und die Chance der Krise*, München 2006.
- [40] Christoph Schwennicke, *Die Glücke der Nation*, dz. cyt.
- [41] Bernard-Henri Lévy w rozmowie, *Reformen...*, dz. cyt.
- [42] Karl R. Popper, *Alle Menschen sind Philosophen*, München, Zürich 2002.
- [43] Arkadiusz Stempin, *Stulecie z Helmutem Schmidtem*, dz. cyt.
- [44] Konstantin von Hammerstein, René Pfister, *Kein Wunder*, „Der Spiegel”, nr 50/2012, s. 24.
- [45] Oświadczenie rządowe kanclerz Niemiec Angeli Merkel wobec stanowiska Rady Europejskiej z dnia 28 i 29 czerwca 2012 w Brukseli.
- [46] *Grosse Inflation kommt 2013*, „Frankfurter Rundschau”, 2.11.2011.
- [47] *Weltbankchef kritisiert Merkel in Eurokrise*, „Berliner Zeitung”, 8.10.2011.
- [48] Radosław Sikorski, *Poland and the future of the European Union*, „Rzeczpospolita”, 28.11.2011.
- [49] „Gazeta Wyborcza”, 29.11.2011.
- [50] George Soros, *The Tragedy of the European Union and How to Resolve It*, „The New York Review of Books”, 7.09.2012.
- [51] *Wierzyńcy przeciwko redukcji długu Grecji*, „Rzeczpospolita”, 27.11.2012.
- [52] Konferencja prasowa kanclerz Niemiec Angeli Merkel odnośnie do aktualnych zagadnień w zakresie polityki wewnętrznej i zagranicznej, 17.09.2012.
- [53] „Das Parlament”, nr 7/8, 20.02.2012.
- [54] Uli Dönch, *Soflunkert sich Schäuble durch die Eurokrise*, „Focus”, 8.01.2013.
- [55] Røde Kors, *Europa bliver verdens nye brændpunkt*, „Politiken”, 1.01.2013.
- [56] *Niemcy obawiają się recesji*, Deutsche Welle, 1.12.2012.
- [57] „The Economist”, November 2012.

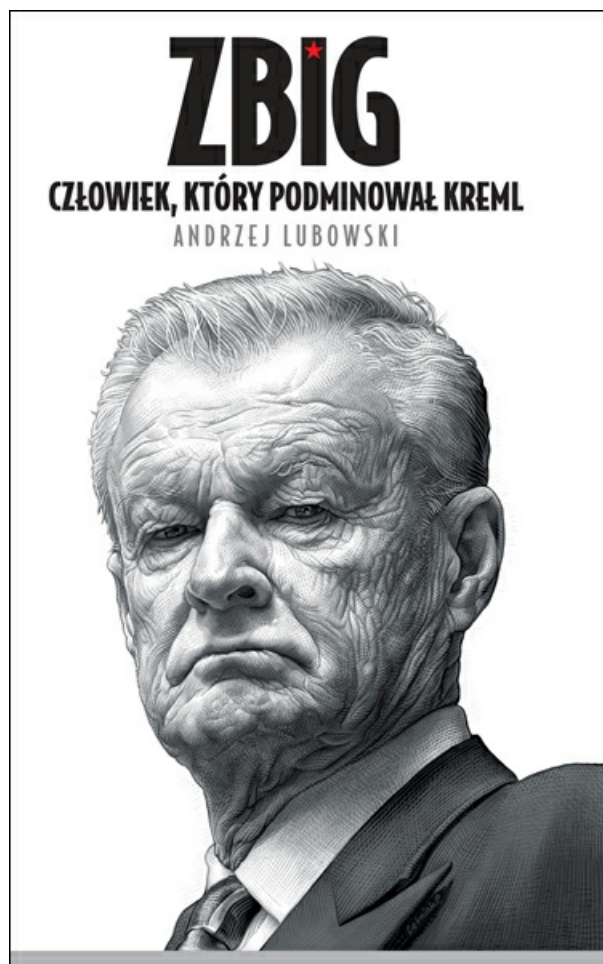
Cesarzowa Europy i polscy fryzjerzy

- [1] *Steinbrück meckert über Kanzler-Gehalt zurecht?*, „Focus”, 5.01.2013.
- [2] Wywiad dla Radia FF Hessen, 12.09.2013.
- [3] *Merkel. Ich mache gerne Politik*, Archiv Bundesregierung. de, 12.12.2006, <http://archiv.bundesregierung.de/Content/DE/Archiv16/Interview/2006/12/2006-12-11-bkin-bei-beckmann.html>, 9.12.2013.

Przeczytaj także



[Więźń Putina](#) ♦ Michail Chodorkowski, Natalia Gieworkian



Zbig. Człowiek, który podminował Kreml ♦ Andrzej Lubowski